



NOVAE RES

Królestwo PIĘCIU KSIĘSTW

a. p. ekiel

A.P. EKIEL

Królestwo Pięciu Księżstw



NOVAE RES

REDAKCJA: PAULINA NOWACZYK
KOREKTA: KATARZYNA CZAPIEWSKA
OKŁADKA: MICHAŁ DUŁAWA
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: © TOMASZ BIDERMANN - FOTOLIA.COM

© A. P. Ekiel i Novae Res s.c. 2015
ebma-gra

ISBN 978-83-7942-641-6

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail:

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



Święty Szymonie Magu, wcielony Mesjaszu, Mistrzu, Chrystusie i Zbawicielu Ludzkości, prowadź nas ku Światłu, nauczaj i wyzwalaj ze wszelkiego mroku, uwalniaj ze wszelkiej ciemności, wyzwalaj z grzechu winopilstwa, uwalniaj od grzechu mięsożerstwa, uwalniaj od żądz zabijania ludzi i zwierząt! Prowadź nas ku obmyciu ze wszelkich grzechów naszych, uwalniaj od drogi upadku, a prowadź ku zbawieniu duszy i życiu w Niebiosach Boga! Amen!^[1]

^[1] Modlitwa do Szymona Maga.

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

EPILOG

ANEKS

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Poprzedni rok był całkiem zwyczajny. Żadne znaki na niebie i ziemi nie zwiastowały nadchodzących wydarzeń. Nie było ani plagi szarańczy, ani zaćmienia słońca, ani żadnego innego cudu. Żadna, nawet najmniejsza kometa nie zaszczyciła nieba swoją obecnością, coby prostaczkowie upatrywali w niej jakiegoś znaku od bogów. Słońce codziennie wschodziło zza wysokich gór i z rumieniącym się obliczem wędrowało powoli po niebiańskim firmamencie. Od czasu do czasu skrywało się za ciężkimi chmurami, które otulały świat kokonem niepokoju. Pani Zima też była zwyczajna. Sroga, mroźna i śnieżna. Rzeki i jeziora, jak co roku, zostały pokryte grubym płaszczem lodu, by na wiosnę ponownie zmienić się w życiodajną wodę. Krowy dawały mleko, psy czekały, koty miauczały, kury uciekały przed kogutami, a te zawsze jakimś trafem zdołały je zbałamucić. Chłopi harowali od świtu do zmroku, marząc jedynie o kawałku chleba, podczas gdy wielmożowie objadali się nieprzyzwoicie w swych pełnych wygod komnatach. Jednym słowem był to zwyczajny rok.

Do czasu.

Była jesień. Złociste liście tańczyły na wietrze w żółtym świetle zachodzącego księżyca. To była ta pora, gdy uczciwi ludzie smacznie drzemali w swych domostwach, by niedługo zacząć nowy, pracowity dzień. Dla trójki młodzieńców dzień się właśnie kończył. Zmęczeni

całonocnymi harcami i zamroczeni mocnym winem, ledwo mieli siły powłóczyć nogami. Ich ciężkie buciory głucho stukwały o brukowane ulice, a podniecone głosy mieszały się ze sobą, tworząc jeden wielki bełkot. Młodzieńcy, jak przystało na synów wysoko urodzonych panów, pilnie przykładali się do nauki dorosłego życia. Nie było zamtuza w mieście, którego by nie zdołali odwiedzić, i karczmy, w której chociaż raz nie upiliby się do nieprzytomności. Wybitych zębów i połamanych nosów nie szczędzili nikomu. Czasem wystarczył głośniejszy chichot lub opacznie wypowiedziane słowo. Innym razem zbyt długie spojrzenie na jedną z towarzyszących im niewiast. Niewiast tak pięknych i tak powabnych, że każdy z nich dałby sobie dłoń wraz ze zdobiącymi ją sygnetami obciąć, że jeśli nie jest to sama bogini rozkoszy cielesnej Mokosz^[1], to przynajmniej jej młodsza siostra, córka, a w najgorszym razie bliska kuzynka. Niewiast jednocześnie tak tajemniczych i ulotnych, że wraz z blednącym światłem gwiazd i ich czar przygasa, by wreszcie w pierwszych promieniach dnia i po zaprzestaniu działania wyskokowych trunków ponownie przemienić się w brzydką córkę karczmarza, szewca lub kowala. Czasem i tego powodu nie trzeba było znajdywać, by buzująca w młodych żyłach krew przemieniła się w lawinę spadających pięści, kopniaków, uderzeń.

Młodzieńcy właśnie minęli opuszczony rybny targ i skręcili w lewo. Wąska droga zmieniała się w szeroki, brukowany gładko ciosanymi kamieniami trakt, który wiodł w górę do wznoszącego się w oddali pałacu. Nad kiwającymi się jak pacynki głowami słyszeli radosny trel budzących się do życia ptaków.

- Ależ ta droga kręta - odezwał się Berorg, syn sławnego rycerza Hipolita, herbu Szreniawa. - Może usiądziemy na chwilę... nóg prawie nie czuję.

- E tam - zaoponował szesnastoletni Lingwen, którego dziad, jak powiadają legendy, jednym ciosem odrąbał trzy głowy swoim wrogom, a ojciec zwyciężał na turniejach rycerskich w całym podzielonym królestwie. Sam Lingwen też miał niemałe zasługi. Nie dalej niż dwa

tygodnie temu sam jeden wypił wiadro mocnego helmundzkiego piwa, po czym miał jeszcze siłę wychędożyć grubą córkę karczmarza na oczach biednego ojca. Stary karczmarz początkowo protestował, lecz dosyć szybko pogodził się z zaistniałą sytuacją, ściskając w dłoni brzęczący mieszek.

Trzeci z młodzieńców, Bolesław – syn Wielkiego Księcia Ziemi Warszzyckiej – splunął na ziemię i klepnął marudera w plecy. Potknął się przy tym o wystający kamień i tylko jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach. Pokręcił głową, zmiął w ustach przekleństwo i nie bacząc na śpiące miasto, wydarł się na całe gardło:

*Hej, kompany, towarzysze,
Pijmy wino, póki dyszę,
Nalej, chłopie, pełny dzban,
Bo spragniony jam jest pan.*

Jego towarzysze ochoczo dołączyli do niego:

*Hej, karczmarzu, rusz swój zad,
Dolej wina, bom jest chwata.
A ty, bracie, kufel w dłoń,
Głowa wiruj, serce płoń.*

*Hej, kompany, towarzysze,
Dużo wina, ledwo widzę,
Ziemia się kręci jak szalona,
Moje ciało zaraz skona.*

Niewyraźnie wymawiane słowa pieśni odbijały się echem od kamiennych murów, wpadały przez nieszczelne okna i powodowały zgrzytanie zębami u tych, którzy chcieli jeszcze przez chwilę pozostać w bezpiecznych ramionach snu. Docierały także do uszu idącego z tyłu olbrzyma o twarzy tak groźnej i przerażającej, że każdy, kto

widział go po raz pierwszy, natychmiast odwracał wzrok i zaczynał szeptać modlitwy do swej opiekuńczej Doli^[2]. Gruba, nabrzmiała blizna, ciągnąca się od lewej skroni aż do nasady nosa, komponowała się ze śladami po przebytej ospie i uciętym w połowie prawym uchem. Krótko przystrzyżone włosy, bezwzględne oczy i czarna jak smoła broda związana w gruby warkocz dopełniały diabolicznego wyglądu. I tylko duże, ciepłe, brązowe oczy nie pasowały do reszty. Teraz jednak i one skrywały w sobie nieprzebraną wściekłość i co rusz spoglądały na plecy chwiejących się młodzieńców, jakby miały zamiar wypalić w nich trzy dziury.

Olbrzym zmiął w ustach przekleństwo. Mocny podmuch wiatru targnął połami jego czarnego, sięgającego kostek płaszcza, połaskotał skórzane spodnie i zmusił do szaleńczego tańca rzemyki długich, ciężkich buciorów. Mocarna dłoń ścisnęła trzon potężnego topora o dwóch diabelnie ostrych ostrzach. Drażdan spojrział na niego z czułością dumnego ojca i przerzucił go na drugie ramię. Był to jego wierny druh, najlepszy przyjaciel, z którym nigdy się nie rozstawał. Czy to podczas posiłków, gdy łapczywie pożerał całe połacie żylastego mięsa, czy też trochę później, gdy zgodnie z niezmienną naturą świata siedział w wychodku i dumiał nad własnym życiem, tocząc kolejną bitwę – tym razem ze samym sobą. Nawet podczas tych nielicznych chwil rozkoszy, gdy jakaś zdesperowana białogłowa o szemranej reputacji za parę dukatów zgodziła się rozłożyć dla niego swoje grube, blade uda, jego nieodłączny przyjaciel niemo przyglądał się wyczynom swego pana.

Młodzieńcy wreszcie ucichli. Zmęczenie coraz bardziej dawało im się we znaki, choć dzisiejsza noc była wyjątkowo spokojna. Trzy nowe dziwki w zamtuzie Pod Czerwonym Bucikiem wypełniły chłopcom czas na tyle, że nie musieli szukać dodatkowych atrakcji. Drażdan wznosił oczy ku niebu, prosząc bogów, by ci zechcieli wreszcie skierować kroki młodzieńców ku własnym komnatom. Jego myśli wzniosły się pod niebiosą, przeleciały nad miastem, wpadły przez pałacową bramę i zatrzymały się w przytulnej izdebce, w której ogień

wesoło skwierczał. Jakże on chciałby się tam znaleźć, nalać sobie szklaneczkę mocnego, kurdulańskiego wina, otulić ciepłym pledem i zapaść w długi, smaczny sen. I gdy już był prawie pewny, że bogowie przyczynią się do jego niemej prośby, usłyszał najgorsze słowa, jakie mógł w tej chwili usłyszeć.

- Może, ekhem, skoczmy se, yp... do Upadłej Matrony - zaproponował pijackim głosem Lingwen, nic sobie nie robiąc z oczekiwania stojącego z tyłu olbrzyma. - Sklaneczka na dobranoc nikomu, yp, nie zaszkodzi.

Pękate wargi ochroniarza syna Wielkiego Księcia spowił morderczy grymas.

- Ja tam mam dosyć - odpowiedział równie niewyraźnie Berorg, któremu z kącika ust poleciała drobna strużka śliny.

- Ja też nie idę - wtrącił się Bolesław. - Jutro ojciec wezwał mnie do siebie. Muszę się wy... wyspać, a poza tym to... zaraz się porzygam.

Bolesław rzadko kiedy rzucał słowa na wiatr. W jednej chwili potrawka z duszonego królika, kasza jęczmienna i chleb z mąki pszennej wylądowały na kamiennym bruku, tuż obok końskich odchodów i kałuży wylanych przez okno ekskrementów. Po chwili wstał, spojrzał zamglonym wzrokiem na swoich towarzyszy i dodał dumnym głosem:

- Chyba dziś przesadziłem. Idę spać.

- Co ty gadasz? - oburzył się Lingwen. - Noc jeszcze młoda. Chodźmy na jednego. Ja stawiam.

Bolesław chciał coś odpowiedzieć, ale zamiast zrozumiałych słów z jego ust wydobył się nieokreślony bełkot. Splunął na ziemię, machnął dłonią w powietrzu i ruszył chwiejnym krokiem pod górę. A tuż za nim, niczym posepny cień, podążył olbrzymi Drazdan. Wizja ciepłego łoża ponownie zagościła w jego głowie, przywołując skromną imitację uśmiechu na ponurej zazwyczaj twarzy.

Lingwen został sam.

- No to bywaj. I pozdrów jutro ojca - szepnął do siebie, obrzucając następcę tronu kpiącym uśmiechem.

Odczekał jeszcze kilka chwil, aż upewnił się, że stracił wszystkich z zasięgu wzroku, i ruszył w drugą stronę. Jego chód był teraz inny. Już nie zataczał się na wszystkie strony i nie potykał o nieistniejące nierówności. Nie. Teraz szedł pewnie, uśmiechając się do siebie i nucąc pod nosem sobie tylko znaną melodię. Od czasu do czasu przystawał, oglądał się za siebie i znowu ruszał, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Ponownie minął rybny targ, zaszczyciwszy przy okazji jedną z bud strużką ciepłego moczu, i skręcił w ciemną, wąską uliczkę. Do jego nozdrzy doleciał smród brudu, kału i zdechłych ryb, lecz chłopak nie zwrócił na to uwagi. Gdzieś z boku zamiauczał kot. Lingwen ominął leżącą pośrodku drogi pustą beczkę po kapuście, zrobił jeszcze kilkanaście kroków i zatrzymał się przed starą, odrapaną rudera. Jego ręka dotknęła pordzewiałej klamki i pewnym ruchem otworzyła drzwi.

Wszedł do środka. Z boku izby paliła się niewielka świeczka, dając poświatę migotliwego światła. W powietrzu unosił się odór staroci, zmieszany z zapachem egzotycznych kadzideł, cynamonu i jakichś medykamentów. Rozejrzał się dookoła i splótł ręce za plecami. Był spokojny, szczęśliwy, dumny.

- Jesteś już - usłyszał dobiegający z ciemności głos należący do zgarbionego starca o dużym nosie i wąskich, wiecznie rozbieganych oczach, który wyrósł nagle dwa kroki przed nim. - Jak poszło?

Młodzieniec wyprężył pierś.

- Tak jak sobie życzyliście, bracie. Szczeniak właśnie wraca do budy i jest tak pijany, że ledwo jest w stanie iść. A jutro rano ojciec wezwał go do siebie na audiencję.

Wąskie wargi starca wykrzywiły się w drapieżnym uśmiechu. W powietrzu błysnęła lecąca moneta, wywinęła dwa fikołki i upadła z brzdękiem tuż obok lewej stopy młodzieńca.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze. Kiedy tylko szczeniak opuści rodzinne gniazdko, dostaniesz dziesięć razy więcej. A teraz zmykaj

i upewnij się, że nikt cię nie widział.

Młodzieniec schylił się po monetę, ścisnął ją w garść i jeszcze bardziej wypiął pierś.

- Ku chwale Szymona - odpowiedział, a jego twarz pod wpływem pochwały wyraźnie pokraśniała z dumy.

Wielki Książę Ziemi Warszzyckiej podrapał się znacząco po nosie. Siedział w niewielkiej sali myśliwskiej w otoczeniu czterech najbliższych doradców. Z góry spoglądały na niego wypchane głowy różnorakiego zwierza, które w połączeniu z okazałą kolekcją broni tworzyły w pomieszczeniu całkiem przytulny klimat. Niewielki ogień radośnie tańczył w kominku, ogrzewając zmarznięte kości mężczyzn. Skończyły się czasy ciepłych wieczorów. Stukot okutych lodem buciorów Pani Zimy stawał się coraz głośniejszy.

Książę był postawnym mężczyzną w średnim wieku. Jego wielkie brzuszysko opięte w długi czerwony płaszcz, podbity futrem z gronostajów i ozdobiony wzdłuż brzegów złotą nicią, z trudem mieściło się za stołem. Pokrytą siwymi włosami głowę zdobiła srebrna mitra z czterema półkolistymi wypukłościami, a na lewej piersi widniał książęcy herb - skrzydlata postać mężczyzny o nogach byka i lwim ogonie.

Władca wziął w dłoń kielich czerwonego wina, który zawisł na chwilę w powietrzu, zanim spotkał się z jego popękkanymi wargami. Uniósł brwi do góry. Na surowym czole pojawiły się głębokie zmarszczki, świadczące o głębokim skupieniu. Cisza stawała się coraz bardziej nieznośna, lecz nikt nie śmiał przerwać władcy, który znany był z tego, że każde słowo musiał najpierw starannie przemyśleć. A miał o czym myśleć. Nasilające się od jakiegoś czasu plotki, mówiące o istnieniu w mieście tajemnej sekty wyznającej wiarę w jednego Boga, zaczęły przybierać postać coraz to realniejszej groźby.

- Możecie mi jeszcze raz wytłumaczyć, kim są ci cali symonici i co robią na mojej ziemi? - spytał księżę znużonym głosem, kierując spojrzenie ku mężczyźnie siedzącemu po jego lewej stronie.

Nazywał się Sulimir, choć nikt nie wiedział, czy było to jego prawdziwe imię, czy kolejny fałsz, którym się otaczał. Wyglądał dość powszechnie. Nie był ani specjalnie gruby, ani chudy. Nie był wysoki ani niski, stary czy też przesadnie młody. Włosy miał brązowe, krótko obcięte, żadnej brody. Twarz pospolitą, raczej przystojną, choć tu i ówdzie bogowie mogliby ją troszkę upiększyć. Niewielki nos, piwne, niewyrażające żadnych uczuć oczy, gęste brwi i rzadkie rzęsy. Ubiór skromny, choć widać było, że uszyty z dobrych gatunkowo tkanin. Wyglądał jak zwyczajny urzędnik i to właśnie czyniło go niezwykle niebezpiecznym. Sulimir bowiem nie był zwykłym doradcą, lecz znakomitym szpiegiem, przed którego mackami drzeć powinni wszelkiej maści konspiratorzy. Potrafił także zmieniać wygląd i w ciągu jednego dnia przemienić się czy to w schorowanego starca, czy to w dumnego z siebie rycerza. Tym razem był sobą, choć i co do tego były pewne wątpliwości.

- Jak na razie niewiele o nich wiadomo. Są bardzo ostrożni i doskonale zorganizowani. Nawet Wasza Miłość nie zdaje sobie sprawy, ile wysiłku kosztowało mnie to, żeby ich w ogóle namierzyć. Każdy inny już dawno by zwątpił, lecz nie ja. Nasamprzód przekupiłem takiego jednego...

- Daruj sobie te przechwałki, Sulimirze, i przejdź do konkretów - przerwał mu władca w połowie zdania. - Siedzimy tu już długo i zaraz mi głowa pęknie, jak będziesz mi o wszystkim opowiadał. Kim oni są?

Pierwszy Wśród Szpiegów zrobił nieszczęsną minę, która upodobniła go do małego szkraba, któremu ojciec zabrał mu ulubioną zabawkę. Siedzący obok niego Dalibor Sieciech uśmiechnął się złośliwie i zatarł pod stołem dłonie. Nie przepadał za tym zarozumiałym błaznem, który cieszył się w jego mniemaniu zbyt dużą przychylnością Wielkiego Księcia.

- Tak właściwie to wiele o nich nie wiem. Trzymam jednego z nich w loszkach, ale twarda to bestia i jak dotąd nic konkretnego nie powiedział. Tylko tyle, że przybył tutaj z daleka, zza Oceanu Czterech Wiatrów. Wciąż tylko gada o jakimś tam Szymonie Magu, którego uważa za inkarnację Jedyne Boga i któremu oddaje cześć.

- Inkarnację? A cóż to do licha znaczy? - zdziwił się książę.

- Inaczej wcielenie - szpiegowi przyszedł w sukurs milczący do tej pory starzec o spiczastym, skierowanym ku górze nosie, blisko osadzonych oczach i długiej siwej brodzie, która nadawała mu wygląd szacownego mędrca. Baw Oqrth faktycznie był mędrcom. Cieszył się olbrzymim zaufaniem samego Wielkiego Księcia, który prócz zaszczytnej funkcji Pierwszego Wśród Uczonych powierzył mu także pieczę nad edukacją swego syna. W tej drugiej dziedzinie starzec odnosił znacznie mniejsze sukcesy. - Symonici to potężna i prężnie rozwijająca się religia. Wierzą w jednego, najwyższego i niewyraźnego Boga, którego czasem zwą Elohim. Wierzą także, że pewnego dnia Bóg postanowił zejść na ziemię, by objawić ludziom swą wolę, i w tym celu przybrał postać Szymona - potężnego maga. Zresztą przed nim było paru innych, którzy uważali się bądź to za proroków, bądź za samych bogów albo bożych synów. Jednym z nich był niejaki Jezus z Nazaretu, który żył w tych samych czasach i którego kult konkurował z kultem Szymona. Tamten jednak trafiał głównie do biedaków i niewolników, być może to zadecydowało o tym, że niewielu już o nim pamięta. Kult Szymona zaś rozwija się w błyskawicznym tempie i dociera do serc coraz to większej rzeszy ludzi. Nie dziwię się przeto, że i tutaj próbują macić. Uważajcie jednak, książę, na nich. To niebezpieczni ludzie. Pochodzą z południa, zza Oceanu Czterech Wiatrów, gdzie ponoć podbili wiele miast i ludów. Są jak jadowite węże, co to sączą w słowach truciznę i mają kmięci do buntu i oddawania czci ich Bogu.

- A komu jest potrzebny nowy bóg - zagrział nieoczekiwanie Wielki Książę. - Toć mamy ich już wystarczająco wielu. Zresztą znacie moje zdanie na ten temat. Cała ta paplanina o bogach, świętych

drzewach, strzygach i upiorach to nic innego jak tylko czcze wymysły mające mącić motłochowi w głowach. Ludziom potrzebny jest silny władca, a nie jacyś bogowie, których nikt na oczy nie widział. Zróbcie z nimi jak najszybciej porządek. Niech wracają tam, gdzie ich miejsce. A teraz wybaczcie mi, szlachetni panowie, ale muszę zamienić słówko z mym synem. Zostańcie jednak, chcę, byście przy tym byli.

To powiedziawszy, Jarogniew Stateczny chwycił leżącą na stole pałkę i uderzył dwa razy w mosiężny gong stojący tuż obok pustego w trzech czwartych kielicha po winie. Rozległ się metaliczny dźwięk. Po chwili drzwi się otworzyły, a do komnaty wszedł ubrany w zieloną liberię służący i skłonił się do samej ziemi.

- Przynieś coś do jedzenia i każ sprowadzić mojego syna - rozkazał władca, nie zaszczyciwszy przybyłego ani jednym spojrzeniem.

- Tak jest, oceanie mądrości - odparł pokornie mężczyzna, zasalutował, przykładając pięść do serca, i wyszedł powoli z sali.

Księżę chwycił stojący puchar i napił się. Pozostali mężczyźni poszli za jego przykładem. Wszyscy oprócz czcigodnego Baw Oqrtha, który chwilę temu zasnął, a teraz zaczął nagle wymachiwać obydwoma rękami, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe słowa, by po chwili znów zatopić się w sennych marzeniach.

Po upływie dłuższej chwili drzwi ponownie się otworzyły. Do komnaty wszedł następca tronu, choć powiedzieć, że wszedł, było dosyć dużym uproszczeniem. Bolesław dosłownie się wtoczył i chwiejąc się na wszystkie strony, omiół wszystkich zamglonym spojrzeniem, podrapał po głowie i stanął z głupawym uśmiechem na wprost surowego władcy. Wyglądał gorzej niż strach na wróble. Podpuchnięte oczy, blada cera z zaczerwienionym lewym policzkiem i guz na czole wielkości dojrzałej śliwki sprawiały wrażenie, że bardziej przypominał bezdomnego żebraka niż prawowitego następcę książęcej mitry. Kruczoczarne włosy, które zawsze były powodem do dumy, teraz wiły się na wszystkie strony na podobieństwo kłębowiska

przeraźliwie chudych wijących się glist. Ubranie też pozostawiało wiele do życzenia. Ałasowa kamizelka krwistego koloru była tak poplamiona i pomięta, iż przywodziła na myśl prześcieradło po całonocnych igraszkach pary kochanków. Skórzane spodnie z szerokimi nogawkami były podarte, dodatkowo oczy zebranych raziły umorusane stopy w podziurawionych onucach. Najgorszy był jednak otaczający go smród. Smród potu i nieprzetrawionego alkoholu, dobywający się z niemytego ciała. Smród dnia poprzedniego.

Czoło księcia pokryło się tysiącami drobnych zmarszczek, a w jego zimnych oczach pojawiły się błyskawice zwiastujące nadchodzącą burzę. Władca przełknął ślinę i spojrzał raz jeszcze na pierworodnego, jakby chciał się upewnić, czy ten łachmaniarz to rzeczywiście krew z jego krwi. Zaległa złowróźbna cisza. Nikt nie śmiał wydać z siebie żadnego głosu. Tylko bzycząca niedaleko mucha i niczego nieświadomy mędrzec zatopiony w sennych marach nic sobie nie robili z książęcego gniewu.

Bolesław czknął bezgłośnie. Tępy ból głowy zaatakował go z całą siłą i odebrał zdolność logicznego myślenia. Starał się stać prosto, lecz ziemia zbyt szybko wirowała mu pod nogami. Przymknął powieki, jakby to coś miało pomóc, lecz zamiast tego poczuł silne mdłości. Przyłożył zaciśniętą pięść do ust, przełknął zalegająca ślinę i beknął nieśmiało, posyłając w świat odór własnych trzewi.

- Wybaczcie - wyjąkał i po chwili próbował się uśmiechnąć, by złagodzić negatywne pierwsze wrażenie.

Wielki Książę zacisnął pięści. Zachrupotały stawy, zgrzytnęły żółciałe zęby, żyłka na szyi zaczęła buzować, jakby miała zamiar zaraz pęknąć. Starał się uspokoić oddech, lecz zalegający w nim od dłuższego czasu gniew pulsował tuż pod powierzchnią skóry. Jeszcze się przed nim bronił, jeszcze hamował go w sobie, jeszcze zaciskał pięści, by tam znaleźć ukojenie. Odczekał kilkanaście uderzeń serca, wziął kilka głębszych oddechów, upił łyk wina, po czym spojrzał raz jeszcze na swego syna. Fala gniewu znów dała o sobie znać, lecz

zamiast wrzasnąć władca odezwał się spokojnym na pozór tonem, który w rzeczywistości przypominał syczenie jadowitego węża.

- Jak ty wyglądasz? Jak ci nie wstyd przychodzić do mnie w takim stanie? Portowa dziwka ma więcej taktu od ciebie. Przynosisz hańbę mnie i naszemu rodowi.

- Wybacz, ojciec - odpowiedział niepewnie Bolesław. - Trochę zaspiałem i nie zdążyłem się przygotować, a służący powiedział, że chcesz mnie widzieć natychmiast. Wczoraj trochę za długo...

- Zbyt długo wysłuchiwałem skarg na ciebie i tolerowałem twoje zachowanie - kontynuował książę tym samym, niebezpiecznym tonem. - Zbyt długo wysłuchiwałem o twoich wybrykach, pijaństwie, nocnych burdach i bogowie jeszcze wiedzą, co tam wyprawiasz ze swymi pożałowanie godnymi kompanami. Ale wiedz, że moja cierpliwość się skończyła. Za dwa dni wyjedziesz do zamku w Czerdzińsku. Twój wuj Jarnasz stacjonuje tam z garnizonem wojska. Oddasz się pod jego komendę i będziesz mu we wszystkim posłuszny. Od tej pory nie jesteś synem księcia, tylko zwykłym żołdakiem. Nie potrafiłem zrobić z ciebie mężczyzny, to może jemu się uda.

Wypowiadane lodowatym tonem słowa księcia powoli docierały do skacowanego młodzieńca, mroząc mu serce i duszę. Pozostali mężczyźni trwali nieruchomo na krzesłach, ze wzrokiem wbitym w stół, i choć starali się tego nie okazać, w ich oczach widać było wstręt i odrazę. Bolesław nerwowym ruchem dłoni odgarnął niesforny kosmyk włosów, który przysłonił mu lewo oko, i zamrugał powiekami.

- Ależ, ojciec. Wybacz mi. Daj mi jeszcze jedną szansę. Poprawię się, obie...

- Milcz! - ryknął nagle książę, uderzając dłonią w stół. Czcigodny Baw Oqrth mało co nie spadł z krzesła. Pozostali mężczyźni przestali oddychać. Nawet latająca mucha uciekła w najdalszy zakamarek sali, by po chwili, kpiąc sobie z książęcego gniewu, usiąść mu centralnie na nosie. - To jest postanowione i nie zmienię decyzji. A teraz precz

z moich oczu, bo ostatnią noc spędzisz w lochu. I ciesz się, że matka cię nie widzi. Paszoł won!

Tylko garstka mieszkańców miasta Kirań wyległa na ulicę, by być świadkami wyjazdu książęcego syna – Bolesława. Nie było wiwatów, okrzyków rozpaczy ani rzucanych pod nogi drepczących koni płatków uschniętych róż. Nie było także wodospadów łez, tylko nieliczne krople ronione ukradkiem przez kilka wątpliwej reputacji niewiast, płaczących nad utraconym zarobkiem. Byli też tacy, którzy z nieskrywaną radość obserwowali majestatycznie przesuwającą się ulicami miasta kawalkadę koni. Narobił sobie wrogów nasz Bolesław, oj, narobił. Jakiś młodzieniec ze źle zrosniętym nosem cisnął nadgryzionym jabłkiem w zad książęcego konia. Inny zaśmiał się szyderczo, pokazując gawiedzi ułamany w połowie ząb. Jednak większość mieszkańców, obojętna na losy możliwych tego świata, pozostała w swych domostwach. A szkoda. Jeszcze nigdy w swoim życiu syn Wielkiego Księcia nie wyglądał równie dostojnie. Ubrany w czarny kirys ze złotymi zapinkami, którego środek zdobiła pionowa ścieżka utworzona z krwistoczerwonych rubinów, siedział dumnie na koniu, a jego kruczoczarne włosy wirowały w takt granej przez wiatr melodii. Do dolnej części kirysu przymocowane były równie imponujące folgowane nabiodrki i nakolanka, chroniące dolne partie ciała, a lśniący hełm z otwieraną przyłbicą podskakiwał równomiernie, przytwierdzony do końskiego boku. Bolesław był przystojnym młodzieńcem. Szlachetna twarz, prosty nos, szerokie, skłonne do częstego uśmiechu usta oraz brązowe, drapieżne oczy, w których tlił się złośliwy chochlik, ale też płomyk życzliwości. Towarzyszyło mu dwunastu zbrojnych jeźdźców, ubranych w pancerze kolcze nałożone na skórzane kubraki. Na szarym końcu oddziału, pasujący do reszty niczym kwiatek przymocowany do kożucha, snuł się ze wzrokiem utkwionym w ziemię samozwańczy rycerz Drazdan ze swym nieodłącznym przyjacielem – toporem.

Oddział powoli minął opustoszały plac handlowy i skręcił w szeroką, brukowaną aleję prowadzącą do głównej bramy miasta. Bolesław z wymalowanym na twarzy rozrzewnieniem, a nawet przytłaczającym go smutkiem, rozejrzał się dookoła. Miał wiele wspaniałych wspomnień związanych z tym miejscem. To tutaj spędził najlepsze lata swojego życia, tutaj zaznał smaku pierwszego pocałunku, pierwszego kufła wina i pierwszej bójki. Tutaj także stracił niewinność z pięć lat starszą od siebie córką handlarza skórami, która bardzo chciała poznać smak książęcych ust. Znał każdy zaułek miasta, każdą bramę, karczmę i oczywiście każdy zamtuz. Były też przykre wspomnienia. W myślach ujrzał wściekłą twarz swego ojca, gdy po raz ostatni z nim rozmawiał. W starych, zmęczonych oczach zobaczył wielkie rozczarowanie i ogrom bólu. Młodzieniec poczuł ogromny wstyd. Zrozumiał, że swoim beztroskim zachowaniem stracił zaufanie jedynej osoby, na której mu naprawdę zależało. Wiele był dał za możliwość zadośćuczynienia. Niestety, było już za późno – rozkaz Wielkiego Księcia był nieodwracalny.

Odprowadzany beznamiętnymi spojrzeniami znudzonych strażników oddział nieśpiesznie minął miejską bramę i ruszył szerokim, piaszczystym traktem. Bolesław ostatni raz obejrzał się do tyłu i dyskretnie otarł płynącą z rozdartego serca łzę.

Jeszcze będziesz ze mnie dumny, ojcze – pomyślał. – Obiecuję.

Niejedna cierpka łza zakręciła się także w oku Wielkiego Księcia. Władca stał oparty o parapet i obserwował opustoszały dziedziniec pałacu. Powoli niktął zgiełk krzyków i huk końskich kopyt. Grube kreski cieni kurczyły się i wędrowały w górę, odsłaniając biel marmurowych płytek, od których zaczęły odbijać się promienie słońca. Jarogniew ciężko westchnął. Nie usłyszał skrzypnięcia drzwi i cichych kroków dobiegających z tyłu i dopiero gdy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, zorientował się, że nie jest sam.

- Tu jesteś. A ja wszędzie cię szukałam - usłyszał łagodny głos należący do młodszej od niego pięć lat małżonki. - Nie stój tak w oknie, bo się przeziębisz.

- Chciałem побыć trochę w samotności - odpowiedział Jarogniew, lecz Dobromiła udała, że nie słyszy wyraźnej aluzji bijącej z jego głosu.

- Podjąłeś słuszną decyzję, Jarogniewie. Nie powinieneś się zamartwiać.

Księżę pokręcił głową.

- Wcale się nie zamartwiam, tylko... tylko tak sobie stoję.

Księżna prychnęła.

- Mnie nie okłamiesz, Jarogniewie. Jestem twoją żoną i wiem, kiedy jesteś zmartwiony.

- Tak, tak, ty przecież wszystko wiesz najlepiej - odparł księżę. Odwrócił się powoli do żony i spróbował przywołać na twarz uśmiech, co jednak nie wyszło mu najlepiej.

- Jarnasz to porządny człek. Surowy, lecz porządny. Bolesław wyrośnie przy nim na prawdziwego mężczyznę, a za parę lat tu wróci i wtedy przekonasz się, że dobrze zrobiłeś.

- Wiem o tym. - Księżę chwycił dłoń swojej małżonki i przycisnął ją mocno do serca. - Już dawno powinienem był to zrobić. Wielu ludzi mi to doradzało, jednak... jednak to mój syn. Jaki by on nie był, to jest moja krew, będzie mi go brakowało.

- Nie przesadzaj. Bolesław nie wyjeżdża na koniec świata. A poza tym nie jest już małym chłopcem. Trochę dyscypliny mu nie zaszkodzi. No już, przestań się mazać jak jakiś berbeć, bo to nie przystoi Wielkiemu Księciu. I okryj się płaszczem, na litość bogów, lato już dawno się skończyło.

Jarogniew odwrócił się powoli w stronę Dobromiły, ujął jej drobną twarzyczkę w swoje tłuste dłonie i, z czułością nieprzystającą do jego srogiej twarzy, pocałował ją prosto w usta.

- Czuję jakiś wewnętrzny niepokój. Nie umiem tego określić, ale mam złe przeczucia. Sam już nie wiem.

Dobromiła westchnęła i spojrzała mu w głębinę piwnych oczu.

- Dajże spokój, Jarogniewie, bo już nie mogę tego słuchać. I od kiedy to żeś się zrobił taki wrażliwy? Każdy w pałacu ci mówił, że

nasz syn to hulaka i rozpustnik, więc przestań się zamartwiać i lepiej potowarzysz swej starej żonie. Właśnie się wybierałam do ogrodu, by rozruszać kości. Tobie też to nie zaszkodzi.

- Czy ty coś insynuujesz, moja droga? - spytał księżę, klepiąc się wymownie po sterczącym niczym samotna skała brzuchu.

- Ależ skąd, mój miły - odparła księżna i uśmiechnęła się do niego zalotnie.

Byli dziwną parą. On - gruby niczym sakwa handlarza niewolnikami i dumny jak królewski paw. Ona - malutka, skromna kobieta, sprawiająca wrażenie, jakby chciała przeprosić wszystkich za to, że znalazła się u boku wielkiego władcy. On - majestatyczny i stateczny, ona - krucha i niezwykle ruchliwa. Poznali się dwadzieścia trzy lata temu w dniu własnego ślubu. I nie była to bynajmniej miłość od pierwszego wejrzenia. Wręcz przeciwnie. Z początku czuli do siebie tylko wzajemną niechęć, przeplataną nierzadkimi epizodami drobnych złośliwości. On uważał ją za nudną niczym życie erotyczne kapłanek w Bractwie Wiecznego Dziewictwa, ona miała go za zadufanego w sobie egoistę, który poza czubkiem własnego nosa niczego więcej nie widział. Początkowa niechęć zmieniała się stopniowo w obojętność, później we wzajemną sympatię, przyjaźń, aż w końcu - nie wiadomo kiedy i jak - zapalali do siebie najgorętszą miłością, jaka kiedykolwiek zakwitła w starych murach Pałacu Wiecznego Pokoju. Obydwoje oczywiście się do tego nie przyznali, nawet po dwudziestu trzech latach wspólnego pożycia.

Księżęca para przeszła przez wysadzaną marmurami salę i znalazła się w swoich prywatnych ogrodach. Wonny aromat najprzeróżniejszych kwiatów, drzew i krzewów uderzył w ich nozdrza z siłą szarżującego byka. Minęli niewielką, usianą wodnymi liliami sadzawkę i usiedli na drewnianej ławeczce, stojącej w cieniu rozłożystego dębu. Księżna posłała swemu mężowi pełne troski spojrzenie. Kąciki warg wygięła nieznacznie ku dołowi, a na czoło zawezwała drobne zmarszczki - zawsze wierne i zawsze chętne, by pokazać światu aktualny stan jej duszy.

- Mam takie nieodparte wrażenie, mój mężu, że ty coś przede mną ukrywasz. Coś cię trapi, tylko nie wiem, co to jest. A ja, jak dobrze wiesz, nie lubię nie wiedzieć.

Jarogniew zmarszczył czoło. Nie miał najmniejszej ochoty zwierzać się komukolwiek ze swych lęków, lecz na tyle znał swoją żonę, że wiedział, iż ta nie odpuści, dopóki nie wywlecze na wierzch wszystkich jego sekretów. Założył więc nogę na nogę, wbił wzrok w ziemię i splótł palce rąk, aż strzeliły kostki.

- To nic takiego. Jestem po prostu zmęczony. Od dłuższego czasu nie mogę spać. Wciąż dręczy mnie jeden koszmar, który powoduje, że boję się zmrużyć oczy.

- Koszmar? - zdziwiła się księżna. - Nigdy nie miałeś koszmarów. Opowiedz mi o nim.

- Nie ma o czym mówić. To tylko...

- Jarogniewie! - syknęła Dobromiła nieznoszącym sprzeciwu tonem, który zawsze powodował u jej męża drętwienie kończyn.

Ksiązę westchnął z rezygnacją.

- Niech ci będzie. To dziwny sen. Śnił mi się już po raz czwarty i za każdym razem kończy się w tym samym miejscu, a ja budzę się cały mokry od potu. Widzę w nim dziwne miasto pośrodku wielkiego piasku. Miasto piękne i bogate, które nagle zaczyna przemieniać się w ruinę. Wszędzie widać trupy. Trupy i krew. I nagle w jego środku pojawia się mała dziewczynka. Śliczna mała dziewczynka o niewinnej twarzy i włosach koloru ognia. Jest w niej jednak coś dziwnego. Patrzy na mnie, jej oczy są zimne. To nie są oczy dziecka. Wyglądają, jakby należały do kogoś dorosłego... nie... to są oczy starca. Tak. Oczy starca. Dziewczynka patrzy na mnie oczami starej kobiety, jakby mi chciała coś przekazać. Ale nic nie mówi. Wyciąga tylko dłoń i pokazuje mi na coś, czego ja nie mogę dostrzec. Wyteżam wzrok i w końcu zaczynam widzieć, choć z początku niewyraźnie. To sylwetka mężczyzny. Z każdą chwilą staje się ona coraz większa i wyraźniejsza, aż w końcu go poznaję. To nasz syn Bolesław. Wygląda jednak inaczej - jest starszy i silniejszy, a na twarzy ma kilka świeżych blizn. Chcę

mu coś powiedzieć, ale nie mogę wydobyć z siebie żadnego słowa. Bolesław patrzy w moją stronę, ale mnie nie widzi. W jego oczach dostrzegam ogromny ból. To jest takie realne. W końcu i on mnie dostrzega. Podchodzi powoli do mnie, otwiera usta, jakby chciał mi coś powiedzieć. Ja jednak nic nie słyszę. I nagle... nagle z jego ust i nosa zaczyna ciec krew. Jest jej coraz więcej i więcej, aż w końcu na ziemi tworzy się małe bajoro. Krew bladnie, zmienia się w zwykłą wodę, której robi się coraz więcej, aż w końcu przemienia się w bezkresny ocean. Bolesław ostatkiem sił wyciąga dłoń i pokazuje jego drugi brzeg. A tam akurat trwa straszliwa burza. Olbrzymie błyskawice rozświetlają co chwila gwiaździste niebo, a usta Bolesława wciąż szepczą jedno słowo. Już mam je usłyszeć, gdy nagle się budzę. Zawsze w tym samym miejscu.

Zaległa długa cisza przerywana jedynie odgłosem dziecięcia stukającego monotonnym rytmem w pień starego dębu. Księżna chwyciła pulchną dłoń męża i spojrzała mu w oczy.

- To doprawdy dziwny sen. Tak jakby bogowie chcieli ci coś przekazać. Nie powinienes tego lekceważyć, mój mężu.

- Bogowie? Nie żartuj sobie ze mnie - prychnął pogardliwie książę i wykrzywił usta w grymasie odrazy. - Jacy bogowie? Masz na myśli to stado wymyślonych przez dawnych władców kreatur, mających za zadanie wymuszać posłuszeństwo wśród ogłupionego motłochu? Proszę cię, Dobromiło. Zlituj się nade mną i nie opowiadaj mi bajek dla małych dzieci. Za duży jestem, by w nie wierzyć.

Księżna zrugła go spojrzeniem swym błękitnych ślepek, odsunęła się od niego i wzięła w płuca głęboki haust powietrza.

Oho, zaczyna się - pomyślał Jarogniew, żałując, że dał się tak łatwo zapędzić w jej sidła. Było już jednak za późno.

- Prosiłam cię, żebyś tak nie mówił. Przynajmniej nie w mojej obecności - wysyczała Dobromiła głosem jadowitego węża, ostrzegającego nieświadomą zagrożenia ofiarę przed niebezpieczeństwem.

Książę rozłożył ręce w pokojowym geście. Dobrze znał ten ton i wolał nie wdawać się w kolejną bezproduktywną dyskusję. Wystarczająco długo żył na tym świecie, żeby poznać jedną z niezmiennych prawd wszechświata: z kobietą przekonaną o swojej racji się nie wygra. Nawet gdy ma się tysiąc argumentów na swoją korzyść, kobieta i tak wie swoje. No bo tak!

- Przepraszam cię - odpowiedział łagodzącym napięcie tonem, a jego twarz przybrała potulny wyraz, który sprawił, że przypominała teraz małego kotka domagającego się miski mleka. - Nie rozmawiajmy o tym, słońce ty moje, kwiatuszku życia mego. Mamy różne zdania na ten temat i niech tak zostanie.

- Różne zdania, ale tylko moje jest prawdziwe. A kłótnię to sam zacząłeś!

Milczeli przez dłuższy czas, każde zatopione we własnych myślach. Księżna nie mogła nadziwić się głupocie własnego męża.

Jak można nie wierzyć w bogów? Przecież to niedorzeczne. Któż inny zdołałby stworzyć ten świat? Któż inny zdołałby go ujarzmić? Na pewno nie ludzie. A ten idiota tego nie rozumie. O bogowie, miejcie go w swojej opiece.

Jarogniew na szczęście tego nie słyszał. Zresztą nie musiał, znał to niemal na pamięć. Coś innego nie dawało mu spokoju. Jakieś uporczywe skojarzenie, jakieś pojedyncze słowo cały czas kołatało się w najdalszych zakamarkach jego umysłu. Było niczym topielec pragnący wydostać się z mętnych toni wód. Już pojawiało się na końcu języka, by w glorii chwały powiadomić o swoim istnieniu, by po chwili ponownie zniknąć w ciemności niewiedzy. Książę toczył wewnętrzną walkę, niedbały o złość swojej małżonki, która wciąż nie mogła przejść do porządku nad jego ignorancją. I nagle aż podskoczył w miejscu. Uporczywa myśl niczym strzała wbiła się w jego jaźń.

- Ocean! - krzyknął, zrywając się na nogi, co było nie lada wyczynem, zważywszy na rozmiary książęcego brzucha. - Już wiem, ocean.

- Jaki ocean? O co chodzi? - spytała Dobromiła, patrząc na męża jak na wariata.

- Potem wszystko ci powiem, najdroższa. Teraz muszę natychmiast porozmawiać z czcigodnym Baw Oqrthem.

Ostatnie słowa Jarogniewa dobiegały już z daleka. Księżna spojrzała na niego takim wzrokiem, jakim matka patrzy na niesforne dziecko, wzruszyła ramionami i mruknęła pod nosem nieprzystające do jej majestatu słowo. Pokręciła jeszcze głową, po czym zatopiła się w modlitwie do Swaroga^[3] o zmiłowanie nad grzeszną duszą jej małżonka.

Czcigodny Baw Oqrth siedział w wygodnym, obitym skórą fotelu, w otoczeniu dwójki niezbyt rozgarniętych szkrabów. Od południa, ze skutecznością rybaka łowiącego zające w kałuży, próbował wbić im do głowy podstawowe twierdzenie z dziedziny geometrii. Baw Oqrth był cierpliwym człowiekiem, lecz ludzka cierpliwość ma swoje granice.

- No skąd ty, baranie, wzięłeś osiemnaście? Jakie osiemnaście? - Starzec chwycił leżący na drewnianym biurku wolumen traktujący o podstawach geometrii, spojrzał wymownie w górę i opuścił go z hukiem na głowę małego chłopca o puciołowatej twarzyczce okolonej bujną czupryną koloru przyciemnionego miodu. Jego starszy o niecały rok brat zachichotał bezczelnie. Sfatygowany wolumen równie szybko zetknął się z jego głową, wydając tak samo głośny odgłos.

- Za co, mistrzuniu? - spytał szkrab płaczkliwym głosem i potarł dłonią bolące miejsce. - Jam przecież nic nie uczynił.

- Z brata się śmiesz, gamoniu jeden, a sam długości boku policzyć nie umiesz! - krzyknął starzec, obserwując wgłębienie, jakie dwie puste głowy zrobiły w trzymanej w chudej dłoni książce. - Głupiście obaj niczym woły i jeszcze drogocenne księgi przez was muszę niszczyć. Oj, powiem waszemu ojcu, co z was za ancymony. Oj, powiem, powiem.

- Mistrzu, błagam was. Przecież tatko każe nas pasem wyćwiczyć. My się dowiemy. Wytłumaczcie nam to jeszcze raz, bo nie bardzo rozumiemy. Ale zrozumiemy. Ja zrozumie i mój brat zrozumie, tylko tatce nic nie mówcie. - Przestraszył się starszy z chłopców i spojrzał błagalnie w oczy starca. Ten machnął tylko ręką, jakby chciał odgonić zbyt natrętną muchę bzyzczącą mu koło nosa.

- Zmiatajcie już. Mam was dosyć - odezwał się ostrym tonem, choć w oczach tańczyły mu iskiarki życzliwości. - Przyjdźcie do mnie jutro koło południa, to wam to jeszcze raz wytłumaczę. A teraz już was nie ma, gałgany jedne. Sio, sio.

- Tak, mistrzu. Przyjdziemy. Tylko tatce nic nie mówcie - ponowił prośbę młodszy z braci.

Drugi zrobił w tym samym czasie maślane oczy, które w połączeniu z miną głodnego szczeniaka domagającego się kawałka mięsa rozbroiły dobrodusznego staruszka. Zdążył im jeszcze pogrozić palcem, lecz szkraby już tego nie widziały. Chłopcy wybiegli z sali z radosnymi pokrzykiwaniami, przepychając się nawzajem i próbując popchnąć jeden drugiego na toporną szafę stojącą w rogu komnaty.

Starzec potrząsnął z rezygnacją osiwiąłą głową. Rozłożył się wygodnie w fotelu, przeciągnął swe ciało, ziewnął, szeroko otwierając usta, po czym zamknął oczy i zapadł w płytką drzemkę. Nie cieszył się nią zbyt długo. Niebawem do strzępka bezcielesności, zawieszzonego między dwoma wpływającymi na siebie nawzajem światami, doszedł jak najbardziej realny dźwięk. Głuchy tupot wzutych na olbrzymie stopy trzewików i przyprawiające o drzenie nóg skrzypienie dawno nieoliwionych zawiasów. Starcza pierś wydała westchnienie rozczarowania, a ciężkie powieki uniosły się do góry i niczym kurtyna w teatrze odsłoniła czcigodnemu idącego ku niemu księcia. Ten sapnął srodze i nie czekając na zaproszenie, zajął pobliski fotel, który także wydał z siebie długi ostrzegający dźwięk. Pisk, a może jęk?

- Wybaczcie staremu człowiekowi, że nie wstaje, ale w tym wieku ciało nie zawsze robi to, czego umysł od niego żąda. Racz jednak spocząć, Wasza Miłość, zaraz każę przynieść jakiegoś wina, bo widzę,

że coś cię trapi – odezwał się po krótkiej chwili mędrzec i kiwnął głową na stojącego w rogu młodego mężczyznę. Wkrótce na niewielkim stoliku pojawiły się dwa bogato zdobione kielichy wypełnione znakomitym trunkiem, a powietrze wypełnił aromat odprężenia. – To wyborowe wino zza oceanu. Podarował mi je dawny przyjaciel, który kilka tygodni temu przejeżdżał przez miasto i postanowił odwiedzić starego druha. Rzekł mi, że ukryty jest w nim smak pustynnego wiatru, słońca i gwiazd. Ja tam nic nie czuję, ale skoro tak mówił... Wasze zdrowie, książę.

Księżciu nie trzeba było powtarzać tej jakże miłej jego podniebieniu propozycji. Wychylił kufel do dna, jakby to był najzwyklejszy sikacz, a nie owoc pracy najlepszych winiarzy świata. Po chwili beknął nieśmiało i wytarł usta rąbkiem szat.

– Całkiem znośne to wino, czcigodny, choć i ja żadnego wiatru nie czuję. Może zbyt mało go wypilem? Hm?

Starzec ponownie przywołał służącego i ruchem gałek ocznych wydał mu polecenie. Ten nie zwlekał ani chwili. Zniknął w korytarzu i po chwili wrócił z kolejnym aromatycznym dzbanuszkem wina. Nalał władcy do pełna i odsunął się w bok. Rozległo się głośne siorbanie, przeplatane odgłosami kulinarnej ekstazy i głaskaniem się po brzuchu. Baw Oqrth czekał cierpliwie, obserwując tymczasem, jak blada cera Jarogniewa nabiera kolorów, a matowe oczy stają się jaskrawsze, żywsze, pełniejsze.

Książę wreszcie skończył. Ponownie otarł usta, oblizwał kąciki warg i opowiedział czcigodnemu swój sen.

– I kiedy przed chwilą rozmawiałem o tym z Dobromiłą, coś mnie tknęło. Przypomniała mi się wasza opowieść o tych symonitach, czy jak się tam oni zowią. Mówiłeś, czcigodny, że pochodzą oni z południa, zza Oceanu Czterech Wiatrów? W moim śnie też widziałem ocean. To na niego pokazywał mój syn. Poza tym te pioruny... sam nie wiem, ale w głębi serca czuję, że mają one jakiś związek z Bolesławem.

Starzec przez dłuższy czas nic nie mówił. I tylko patrzył na księcia zamyślonym wzrokiem. Błada, pomarszczona twarz wydłużyła się w promieniach wpadającego przez okno słońca, a starcze ciało zdawało się być jeszcze bardziej kruche niż zazwyczaj. Wielki Książę czekał ze wzrokiem wlepionym w białą ścianę. Na jego czole zebrały się ledwo widoczne kropelki potu.

W końcu starzec przemówił:

- Sny są mową Boga, Wasza Miłość. Nie powinieneś ich lekceważyć. Waszemu synowi może grozić niebezpieczeństwo.

- Jakie niebezpieczeństwo? - wymamrotał władca, z trudem przełykając ślinę. Czuł, jak w środku brzucha pełnie mu olbrzymia, tłusta i wijąca się na wszystkie strony stonoga, przenika przez mięśnie, kości, skórę i zatrzymuje się w samym środku gardła. Drżącą dłonią próbował chwycić stojący dzban wina, lecz zamiast tego trącił go i szlachetny płyn rozlał się po podłodze.

Czcigodny Baw Oqrth nie odpowiedział. Patrzył na swego rozmówcę szeroko otwartymi oczami i niepokojem wypisanym na twarzy, jakby słyszał kołatające się w czaszce księcia myśli. Dopiero głośne chrząknięcie Jarogniewa wyrwało go z zadumy.

- Nie wiem, Wasza Miłość. Nie mnie jest oceniać głos Boga.

- Jak nie wam, to komu? No ale jeśli faktycznie nie wiecie, to może przynajmniej poradzicie mi, cóż powinienem uczynić. Czy mam czekać z założonymi rękoma, aż ci wasi zasrani bogowie raczą wyjaśnić mi swoje zamiary, czy może zawezwać syna z powrotem? - Władca westchnął ciężko. - Jak dobrze wiecie, zawsze byłem człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i śmiałem się z tych wszystkich zabobonów, lecz teraz... teraz doprawdy już nic nie wiem. Jeszcze nigdy się tak nie bałem. I nie wiem, czemuż tak się czuję. Toż to tylko jeden głupi sen.

- Może tylko, a może aż. Wszystko jest zapisane w księdze życia. Róbcie, książę, tak, jak wam mówi serce. Wiedźcie jednak, że przeznaczenie chodzi własnymi ścieżkami. Nie jest powiedziane, że tutaj wasz syn będzie bezpieczniejszy. - Kolejne ciężkie westchnienie,

tym razem starca, i krótka pauza. - Czuję w powietrzu, że nadchodzi wielkie niebezpieczeństwo, a wasz sen jeszcze to potwierdza. Mówiliście, że śnił wam się ocean i pioruny. Tak... mnie też to nasuwa na myśl symonitów. Hmm, czyżby nadchodziła wojna bogów?

Wielki Książę powstrzymał się przed pogardliwym prychnięciem i tylko nieznacznie pokręcił głową oraz uśmiechnął się kpiąco. Zaraz jednak jego twarz ponownie przybrała zatroskany, nieco przerażony wygląd.

- Opowiedz mi o tym całym Szymonie Magu - zażądał po krótkim namyśle. - Kim on był i kim są jego wyznawcy?

- Co do drugiej części pytania odpowiedź jest prosta - to chodzące bestie w ludzkiej skórze, które pod płaszczkiem wiary mordują wszystkich tych, którzy im się sprzeciwiają. Co do samego Szymona Maga sprawa jest bardziej zawiła. Otacza go nimb legendy, tak że dziś już nie wiadomo, co jest prawdą, a co zręcznie uknutą mistyfikacją. O jego życiu też niewiele wiadomo. Tylko tyle, że żył około dziewięciu wieków temu, daleko za Oceanem Czterech Wiatrów. Jego wyznawcy wierzą, że nie zrodził się z kobiecego łona, lecz jako bóg zstąpił z nieba, przybrawszy uprzednio postać dorosłego męża.

- I ktoś w to wierzy? - zakpił Wielki Książę. - Przecież to szaleństwo.

- Nie większe niż wiara w święte dęby, latające strzygi i podkradające mleko krasnale. Każda religia wydawać się może szaleństwem, lecz jeśli się im bliżej przyjrzeć, dojrzeć można wiele punktów wspólnych. Zresztą nie czas to na teologiczne dysputy. O Szymona Maga pytacie, więc wam odpowiadam.

- Jeszcze mi nie powiedzieliście niczego, czego bym sam nie wiedział, czcigodny.

- Cierpliwości, Wasza Miłość, cierpliwości. Żeby zrozumieć fenomen tej wiary, musicie nasamprzód wiedzieć co nieco o tamtejszym ludzie i czasach, w jakich żył Szymon Mag. A czasy były to nieciekawe. Liczne wojny, utarczki i konflikty przeplatały się ze straszliwymi plagami, trzęsieniami ziemi, wybuchami ziejących

ogniem gór i okropnymi epidemiami, które potrafiły w ciągu roku wyludnić całe miasta i wsie. W takich czasach, gdy tu na ziemi zaczyna brakować nadziei, ludzie zwracają się ku niebiosom, ku bogom. Szymon posiadał tę wiedzę lepiej niż ktokolwiek inny. Wskrzesał dawny kult wiary w jedyne Boga - Elohima - stwórcy nieba i ziemi. Kult niezwykle stary, ale też trochę zapomniany. A że język miał niezwykle wprawny, charyzmę niebywałą, a do tego dar magii posiadał, więc szybko zaczął przekonywać do siebie coraz to większą liczbę osób. Ludzie przybywali z najdalszych zakątków, byle tylko dotknąć rąbka jego szat lub usłyszeć jego głos. A Szymon dokonywał coraz to nowszych cudów. Potrafił unosić się nad ziemią, uzdrawiać ludzi dotykiem czy ujarzmić dzikie bestie. W końcu przekonał kilku kapłanów i ci ogłosili go żywym Bogiem. Bogiem Jedynym, który postanowił zejść na ziemię, by przypomnieć ludziom o swoim istnieniu, objawić swą wolę i uwolnić z ziemskiego więzienia swą boską myśl - Enoidę. Symonicy wierzą, że to ona, będąc jeszcze w niebie, urodziła całą rzeszę bytów pośrednich - aniołów. Ci zaś, bez porozumienia z Bogiem, stworzyli ten świat i ludzi. Aniołowie, nie chcąc, by ich matka - Enoida - ich opuściła, postanowili zatrzymać ją siłą na ziemi. I tak musiała ona przechodzić z ciała do ciała, a gdzie się nie pojawiała, tam wybuchały kłótnie, swary i konflikty. Odnalazł ją Szymon, wykupił z domu nierządnic, a niepokornych aniołów zesłał do piekielnych czeluści. I od tamtej pory stanowili nierozłączną parę - on, potężny mag, żywe wcielenie Boga i ona - była nierządnica, uosobienie boskiej myśli i mądrości.

Starzec przerwał na chwilę i podrapał się pod okiem. Jego wzrok był nieobecny, jakby się nad czymś usilnie zastanawiał.

- Jak już mówiłem, to były bardzo dziwne czasy. Symonicy w jednym mają rację - w tamtych czasach po ziemi faktycznie chodził Bóg. Nie był to jednak Szymon, który zawłaszczył sobie ten tytuł, lecz ktoś inny. Prawdziwy Syn Boży - Jezus z Nazaretu.

- Kolejny jedyny Bóg? To iluż ich było, na brodę Peruna?

Baw Oqrth nie raczył odpowiedzieć. Mówił dalej, tylko jego głos jakby się jeszcze bardziej zmienił. Był teraz żywszy, pełniejszy, bardziej natchniony.

- Dziś niewielu już o nim pamięta, lecz w tamtych czasach miał spore grono uczniów i słuchaczy. Po śmierci obydwóch te dwa kulty zaczęły wpływać na siebie nawzajem, choć różnice były znaczące. Jezus nauczał, że jedynie dobre uczynki i miłość do bliźniego mogą dać zbawienie. Według Szymona jedynym kluczem do zbawienia i wiecznego życia po prawicy Boga jest wiara w Niego. Sądzę, że to właśnie z tego powodu to jego myśl osiągnęła przewagę. Łatwiej bowiem jest jedynie wierzyć i żyć, jak się chce, niż całą swoją uwagę poświęcać nieczynieniu zła. Poza tym słowa Jezusa trafiały głównie do sponiewieranych marnym życiem biedaków, niewolników i żebraków. Dawał im to, czego najbardziej pragnęli - nadzieję. Pocieszał ich w biedzie i nieszczęściu, a jego słowa były niczym ziarna, które trafiły na żyzną glebę, by po latach wydać obfite plony. Dał ludziom także sens życia, by wiedzieli, że ich niedola ma jakiś cel. To im wmawiał, że w obliczu Boga wszyscy ludzie są równi. Bez różnicy. Stary czy młody, piękny czy brzydki, bogaty czy biedny. Wszyscy są sobie braćmi. I wszyscy są sobie równi. Ró...

- Chcesz mi powiedzieć, czcigodny, że byle kmieć może się równać z królem? - spytał książę, marszcząc ze zdziwienia brwi.

- A czy, za przeproszeniem, gówno króla jest mniej śmierdzące od gówna kmiecia? - odpowiedział starzec pytaniem na pytanie.

Brwi księcia uległy dalszemu nastroszeniu, a głos ich właściciela stał się nagle ostry i zimny niczym lodowy sopel.

- Gówno może śmierdzieć tak samo, ale to nie znaczy, że wszyscy są sobie równi. To niebezpieczne słowa.

- Ano niebezpieczne. I dlatego Jezus musiał zginąć, choć niektórzy powiadają, że to sam Szymon Mag doprowadził do jego skazania, nie mogąc znieść konkurencji. Jak by nie było, Jezus umarł w męczarniach, a po jego śmierci jego uczniowie z jeszcze większą gorliwością zaczęli rozpowszechniać jego nauki. Chrześcijananie, bo tak

siebie sami nazywają, zaczęli być coraz większym zagrożeniem dla wyznawców Szymona, więc ci postanowili ich zgładzić, a gdy to się nie udało, uznali Jezusa za proroka mającego ogłosić nadejście samego Boga - Szymona. Z historycznego punktu widzenia to się nie zgadzało, bo te dwie postacie żyły w tym samym czasie, jednak nikt sobie tym głowy nie zaprzętał. A gdy już się taki znalazł, to ją szybko tracił. By jeszcze bardziej zjednać chrześcijan, postanowili przejąć od Jezusa kilka jego nauk, szczególnie te mówiące o miłości względem bliźnich, pomaganiu biednym i czynieniu dobra. W końcu imię Jezusa zostało prawie zapomniane, a kult Szymona zaczął zyskiwać coraz to większe wpływy.

Starzec przerwał i uśmiechnął się ponuro, patrząc w oczy księcia. Ten podniósł w zamyśleniu brwi.

- Samo to, że ludzie wierzą w wielu bogów, wydaje mi się dziwne, ale to, że oddają cześć jednemu, jest dla mnie niewyobrażalne. Zastanawia mnie tylko, skąd wy tyle o tym wiecie, czcigodny? Wasza wiedza zdaje się przekraczać to, co powszechnie wiadomo.

- Bractwo prawdziwych chrześcijan nadal istnieje - kontynuował starzec, jakby nie dosłyszał pytania. - Oni nie uznają Szymona za Boga, a jedynie za zręcznego oszusta i manipulatora. Oddają w ukryciu cześć Jezusowi, narażając się tym samym na prześladowania. Nieraz musieli uciekać przed symonitami i teraz są rozsiani po całym świecie. Są wśród nich tacy, którzy zdołali zdobyć wysokie stanowiska na różnych dworach, także wśród symonitów... i także w Pałacu Wiecznego Pokoju - dodał po chwili starzec, przenikając wzrokiem księcia.

- Co?! Chcesz powiedzieć, że mam szpiega w pałacu? - Oczy księcia zrobiły się niepokojąco wąskie. Czoło pokryło się drobnymi zmarszczkami, zwiastującymi wybuch gniewu. - Kto to jest? Znasz go?

Starzec zachował kamienną twarz. Odczekał kilka dłużących się w nieskończoność chwil, po czym ze spokojem godnym królewskiego

kataryniarza upił łyk wina ze srebrnego kielicha i pogładził swą siwą brodę.

- Źle mnie zrozumiałeś, Wasza Miłość. To nie szpieg. Ten człowiek służy wam wiernie od kilkudziesięciu lat i miłuje jak rodzzonego syna.

- Kto to?! Kto to jest?! - ryknął książę tubalnym głosem mogącym przywrócić martwego do życia. Grdyka skakała mu w górę i w dół, oczy zrobiły się jeszcze węższe i niczym dwie szparki spoglądały w białka swego rozmówcy, a potężne brzuszysko poruszało się w takt przyśpieszonego oddechu. - Mów, starcze! Kto to jest?

Mędrzec zamknął oczy, jakby spodziewał się silnego uderzenia.

- Jeszczeście się nie domyślili? - odparł czcigodny Baw Oqrth cichym głosem.

[1] Bogini panteonu starosłowiańskiego, bogini ziemi i płodności, opiekunka sfery zajęć kobiecych, m.in. macierzyństwa i przędzenia lnu. Nierozzerwalnie związana ze sferą seksualną.

[2] W mitologii Słowian personifikacja losu i przeznaczenia, indywidualne bóstwo każdego człowieka.

[3] Bóstwo panteonu słowiańskiego, bóg nieba, słońca, ognia i kowalstwa

Rozdział 2

Życie trzynastoletniego chłopca dobiegało kresu. Jego ciało, które nie zdążyło nawet poznać delikatnego dotyku kobiecych ust, było całe w bliznach, pręgach oraz śladach po oparzeniach. Potworny ból przenikał go na wskroś. Chciał krzyczeć, lecz nie mógł – w piersi brakło tchu.

Bał się. Bał się jak nigdy dotąd. Bał się każdym kawałkiem ciała, każdą kroplą krwi, potu i łez. Nawet jego włosy odczuwały strach. A oczy – w nich próżno było szukać choćby drobnej iskierki nadziei. Patrzyły smutno przed siebie, lecz prócz czerwonej mgły nic więcej dojrzeć nie mogły. Spierzchnięte usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie, a nogi drżały bezwolnie w rytmie szalonego tańca. Chłopiec pragnął tylko jednego – szybkiej śmierci. Ta jednak nie nadchodziła.

Wisiał dwie stopy nad ziemią. Jego chude rączki związane były grubym, konopnym sznurem, który został przeciągnięty przez przymocowany do sufitu hak w taki sposób, że wygięte pod niezwykłym kątem stawy już dawno poddały się sile grawitacji. Ostre igły sterczały z jego moszny, prącia i spod paznokci, nadając mu wygląd monstrualnego jeża, a paląca się pochodnia co rusz lizała jego skórę.

Wył. Z bólu, strachu i bezsilności.

Bezzębny kat chwycił rozgrzane do czerwoności cęgi i nieśpiesznym ruchem przyłożył je do drżącej piersi ofiary.

Uśmiechnął się przy tym złowieszczo, odsłaniając pokryte białymi plamkami dziąsła. Chłopiec zamknął oczy. Ostre cęgi zacisnęły się na jego sutku i oderwały go od reszty ciała. Ze zdartego gardła wyrwał się przeraźliwy wrzask, który zaraz zginął, przyćmiony przez donośny okrzyk ekstazy dobywający się ust z siedzącej nieopodal filigranowej blondynki. Jej zwiewna, krwistoczerwona suknia z czarnymi obszyciami podwinięta była do połowy ud, a między rozszerzonymi nogami klęczała młodziutka dziewczyna, odziana jedynie w skórzaną obrozę z żelaznymi ćwiekami, które odbijały migoczące płomienie pochodni. Gorący, wszędobylski język z gracją tancerza krążył między bujnymi włosami łonowymi, ocierał się o najwrażliwsze części ciała, wwiercał się w głąb, wychodził, krążył i znów wracał. Wstydlive soki lepiły się do warg służącej, której sprawne dłonie delikatnie masowały mlecznobiałe uda swej pani. Dorodne piersi Lady Erzsébe falowały pod wpływem płytkiego oddechu, a nozdrza z lubością wdychały zapach strachu, bólu i śmierci.

Bezzębny kat odłożył zakrwawione cęgi, pogłaskał czule chłopca po głowie i chwycił leżący na stole bicz, do którego końca przymocowane były trzy niezwykle ostre haczyki. Wytarł wierzchem dłoni perlący się na czole pot i rozejrzał się dookoła. Jego wzrok podążył wzdłuż surowych, pokrytych pleśnią ścian, musnął uprawiającą zakazaną miłość parę i zwolnił przy rzędach ciasnych, metalowych klatek, które wypełnione były struchlałymi ze strachu ofiarami. Uśmiechnął się do siebie i w tej samej chwili morderczy bicz zawisł na chwilę w górze, by zaraz potem przeciąć ze świstem powietrze i wylądować na delikatnej skórze chłopca. Ten krzyknął, filigranowa blondynka jęknęła, a bezzębny kat ponownie się uśmiechnął. Bat po raz kolejny wylądował na ciele ofiary. Krew trysnęła szerokim strumieniem, krzyk osłabł, bat znów uniósł się w górę i ponownie opadł, niosąc za sobą niewyobrażalny ból.

- Mocniej! - krzyknęła blondynka, choć nie wiadomo było, czy w stronę klęczącej dziewczyny, czy bijącego kata.

Z ust chłopca dobiegł niewyraźny charkot. Potężny orgazm przyszedł w tym samym momencie, w którym zgasły ostatnie iskierki jego życia. Pani Śmierć wreszcie zlitowała się nad chłopcem.

Piękna Pani, jak ją nazywali poddani, oblizwała obryzgane krwią chłopca wargi i spojrzała na jego trupa. Jej lazururowe oczy świeciły światłem tysiąca gwiazd, a na ustach błąkał się tajemniczy uśmiech. Była piękną niewiastą. Miała włosy koloru dojrzałej pszenicy, które zwisały, luźno sięgając aż do połowy pleców. Szczupła sylwetka o kształtnych pośladkach i jędrnych piersiach emanowała niesamowitą kobiecością, a jej twarz o szlachetnych rysach i niewielkim, lekko zadartym nosku wyglądała niczym marmurowa rzeźba stworzona dłutem najlepszego artysty. Gdy się uśmiechała, na jej policzkach pojawiały się dwa urocze dołeczki, nadające jej wygląd niewinnego dziewczęcia. Wygląd zupełnie niepasujący do skażonej okrucieństwem duszy.

Pochodziła ze starego, choć nieco zubożonego rodu. W wieku czternastu lat opuściła rodzinne włości, by poślubić księcia Kazmera – władcę niewielkiego księstwa zwanego Magyoranem. Młodziutka księżna bardzo szybko podbiła serce sześćdziesięcioletniego mężczyzny oraz okolicznej ludności. Minstrelowie śpiewali o niej pełne zachwyty pieśni, rycerze pożerali ją wzrokiem, niewiasty zazdrościły uroku i młodości, a synowie kmieciów wyobrażali ją sobie, gdy tracili niewinność z własnymi dłońmi. Wszyscy ją pokochali, lecz była to miłość jednostronna. Erzsébe nienawidziła swojego męża i nowego domu. Nienawidziła cukierkowych wnętrz, wiecznie uśmiechniętych mord i śpiewu okolicznych ptaków. Czuła obrzydzenie, ilekroć starcze ręce ściągały z niej ubranie, a grube ciało kładło się na niej w celu zaspokojenie swych żądz. Zaciskała wtedy zęby i modliła się do wszystkich znanych bogów o zlitowanie.

Niespełna rok po ślubie, znudzona wystawną ucztą i pokazami sił zadufanych w sobie rycerzy, udała się wraz z najbliższą przyjaciółką do świątyni boga Nyji^[1], by pomodlić się o szybką śmierć męża. Niewielka świątynia boga podziemnego świata mieściła się tuż za

miastem. Jego kult stracił ostatnimi czasy na znaczeniu, a prowadzące ku miejscu czci ścieżki porosły gęstymi chaszczami, które spowodowały, że dziewczęta zabłądziły. Ich chude nóżki z trudem przedzierały się przez wysokie trawy, a brzuchy coraz głośniej burczały z głodu. I gdy powoli zaczęły tracić nadzieję na powrót do domu, nieoczekiwanie ujrzały stojące w nierównych rzędach domostwa. Trafiły do najbiedniejszej dzielnicy miasta – miejsca zapomnianego przez moźnych tego świata. Miejsca, gdzie głód walczył z zarazą o przychylność Pani Śmierci. Nie było tu straganów ociekających towarami z najdalszych krańców świata, nie było bogactwa ani przepychu. Po zabłoconych ulicach, pokrytych grubą warstwą gnoju i ludzkich odchodów, biegały umorusane berbecie z wiecznie pustymi brzuchami, których błagalne spojrzenia odbijały się od zrogowaciałych sumień arystokratek. Starsi siedzieli beczynnie przed rozpadającymi się chałupami, patrząc na intruzów z ukosa. Ktoś splunął, ktoś rzucił kamieniem. Gdzieniegdzie słyhać było niewybredne propozycje, z których nie chciałyby skorzystać nawet najbardziej zdesperowana nimfomanka.

- Chodźmy stąd – rzekła Lady Erzsébe i skręciła w niewielki zaułek, na którego końcu stała malutka chatka. Była inna od otaczających ją na wpół zrujnowanych domostw. Ze swymi świeżo pomalowanymi deskami i kamienną podmurówką wyglądała w tym miejscu niczym istny pałac. Nie to było jednak najdziwniejsze, lecz stojąca przed wejściem drewniana tabliczka ze starannie wygrawerowanym napisem. „Wróżby, zioła, przepowiednie. Wróżka Esterralda zaprasza”.

- Kto by pomyślał, że ktoś tu umie pisać – szepnęła Erzsébe do swojej czarnowłosej koleżanki. Ta w odpowiedzi ścisnęła ją mocniej za rękę.

- Nie podoba mi się to miejsce. Chodźmy stąd – jęknęła przerażona. Nawet przeraźliwie chudy wyrostek, który podążał od dłuższego czasu za nimi, wydał jej się lepszą perspektywą niż pozostanie w tym przeklętym miejscu choćby przez chwilę.

Pociągnęła swą przyjaciółkę, chcąc stamtąd jak najszybciej uciec, lecz ta stała nieporuszona. Coś ciągnęło Erzsébe do środka. Jakaś tajemna siła, jakiś kołatający się w jej czaszce głos. Cichy, ledwie wyczuwalny, przesiąknięty mocą. Zdołała jeszcze usłyszeć dobiegający z boku jęk, gdy jej nogi same ruszyły do przodu, a odziana w białą rękawiczkę dłoń zacisnęła się na klamce.

Wewnątrz panował półmrok. Kłębiący się dym podrażnił gardło księżnej tak, że musiała kilka razy kaszlnąć, a zapach ziół i olejków eterycznych spowodował istny zawrót głowy. Dziewczynka zrobiła krok do przodu. Była nad wyraz spokojna, opanowana, szczęśliwa. Niczym w jakimś transie zagłębiała się w półmrok chaty, czując wokół niewidzialne wibracje.

- Witaj, Lady Erzsébe, czekałam na ciebie - usłyszała nagle szeleszczący szept, który dobiegał z jej prawej strony. Zaraz też do jej nozdrzy dotarł nieprzyjemny odór bijący od zgarbionej staruszki, która uśmiechała się w ciepło w jej stronę.

Księżna czuła, że to spotkanie może zmienić jej życie.

I zmieniło.

Sześć księżyców później Lady Erzsébe była wdową i niepodzielną władczynią księstwa. Nigdy nikomu nie powiedziała, co się wydarzyło w tamtej chacie, a nikt nigdy nie miał na tyle odwagi, by ją o to spytać.

Księżna wstała z krzesła i mocnym kopnięciem w twarz przewróciła klęczącą służkę. Krwistoczerwona suknia opadła z szelestem za kostki. Dziewczyna załkała bezgłośnie. Bezzębny kat spojrział na swą panią i powolnym krokiem ruszył w głąb oświetlonej nielicznymi pochodniami piwnicy. Odwiesił na miejsce zakrwawiony bicz, z którego na podłogę skapywały gęste krople krwi. Kap, kap, kap. Jego wzrok padł na obszerny stół stojący pod ścianą, a kąciki ust samoczynnie poderwały się w górę. Na blacie, w równych rzędkach, leżały najwymyślniejsze narzędzia do zadawania bólu. Czegóż tam nie było: cążki do wrywania paznokci, obcinania nosów, uszu, maszynki do zgniatania kciuków, wzierniki do rozwierania pochw i odbytów,

druty do wypruwania wnętrzości, młotki do łamania kości czy też ostrza do obdzierania ze skóry. Nie zabrakło także zwykłych noży, pił i szczypców – prymitywnych, lecz jakże niezbędnych w wyrafinowanej sztuce zadawania bólu. Nad nimi, na licznych gwoździach wbitych w ścianę, wisiały narzędzia chłosty. Bezzębny kat spojrzął na nie z czułością ojca oglądającego poczynania swojej latorośli i zrobił kilka kroków w przód. Minął żelazne krzesło pokryte gęstą siecią ostro zakończonych szpikulców i zatrzymał się u stóp drewnianej, nabijanej gwoździami ławy. Do jego uszu dotarło cichutkie łkanie młodziutkiej dziewczyny. Jej chude rączki rozciągnięte były do tyłu, a nogi przywiązane do ruchomego walca. Niby przypadkiem trącił kolaniem korbę i wsłuchał się w chropowaty dźwięk rozciągania ciała. Następnie wziął do ręki jedną z palących się pochodni i oświetlił jej twarz. Dziewczynka jeszcze żyła. Jej pierś unosiła się w płytkim oddechu, a otwarte oczy patrzyły pełnią strachu i cierpienia.

- Pomóż mi... błagam – usłyszał słabiutki głosik dobywający się z jej gardła.

- Dobrze – odparł oprawca i przystawił do jej pachy palącą się pochodnię. W powietrzu uniósł się zapach skwierczącej skóry. Dziewczyna krzyknęła. Bezzębny kat pogładził ją po piersi i uszczypnął w odsłonięty sutek.

- Później się zabawimy, maleńka – wyszeptał jej do uszka i ruszył dalej.

W tym samym czasie Lady Erzsébe podeszła do wiszącego trupa chłopca, spojrziała w jego martwe oczy, przysunęła swe usta do jego piersi i namiętnym ruchem zlizwała z nich krew. Westchnęła z rozkoszy, sycąc się pełnią smaku.

Jakaś dziewczynka łkała w przymocowanej do sufitu klatce.

- Wypuść mnie, pani. Błagam cię. Jam nikomu nic złego nie uczyniła. Zlituj się nad biedną sierotą i wypuść mnie. Tak bardzo cię proszę.

Z klatki obok dochodził inny głos – pełny wściekłości i nienawiści:

- Ty brudna dziwko ruchana przez kozła. Ty kurwo cuchnąca gównem. Zabij mnie lepiej, bo inaczej wyrwę ci serce i zrobię z niego naszyjnik.

- Matulu kochana, ratuj - łkał inny głos. - Chcę do matuli.

Lady Erzsébe uśmiechnęła się pod nosem i złożyła namiętny pocałunek na zsiniałych ustach martwego chłopca. Następnie rozejrzała się dookoła, poprawiła grzywkę i wyszła przez duże, dębowe drzwi w półmrok cuchnącego śmiercią korytarza. Tuż za nią podążyła naga dziewczynka ze skórzaną obrozą, wpatrując się w swą panią niczym psiak w dorodną kość.

Korytarz prowadził do stromych schodów, na szczycie których znajdowały się grube żelazne drzwi z drewnianą sztabą w poprzek. Były otwarte, a po obu ich stronach stali wartownicy. Ubrani byli w wełniane kubraki, na które nałożone mieli stare, pordzewiałe kolczugi oraz wyblakłe spodnie czerwonego koloru. Długie, porysowane włócznie ciągnęły się w górę niczym cienkie kolumny, a hełmy z utwardzanej skóry sprawiały wrażenie, jakby brały udział w niejednej wojnie. Tak samo jak twarze ich właścicieli - tępe, puste, niewzruszone. Typowe żołnierskie ryje. Lady minęła ich bez słów i wyszła na dziedziniec.

Była jesień. Radosne promienie słońca oślepiły ją na chwilę. Zmrużyła oczy i ruszyła w poprzek prostokątnego dziedzińca, który w dawnych czasach tętnił życiem. Obecnie plac świecił pustką. Nie było tu ćwiczących rycerzy, przypatrujących się im giermków ani płochliwych niewiast liczących na choćby jedno krótkie spojrzenie swojego wybranka. Zamiast kolorowych kwiatów, zadbanych drzewek i niewielkiej sadzawki na środku placu wznosiła się majestatyczna szubienica z trzema trupami tańczącymi w porywach wirującego wiatru. Hałaśliwa gromada czarnych jak suknia Pani Nocy kruków wyzerała z nich resztki gnijącego mięsa, klóćąc się zawzięcie o jak najlepsze kawałki. Nieliczna służba, która nie zdążyła się schować przed złowrogim spojrzeniem pani zamku, zamarła w klęczącej pozycji. Oni też się bali. Nigdy nie było wiadomo, jakaż to nowa

niegodziwość zakwitnie w okraszonych blond włoskami główce. Czasem wystarczył jeden ruch, jedno opacznie wypowiedziane słowo lub zabłąkane spojrzenie, by znaleźć się w sławetnych lochach zamku.

Pani szybkim krokiem minęła dziedziniec i już po chwili znalazła się w olbrzymiej sali o czerwonych ścianach zdobionych portretami przodków jej męża i marmurowej podłodze pokrytej czarnym dywanem. Ominęła stojącą na podłodze okrągłą donicę, z której wystawał rachityczny kikut będący niegdyś dorodnym egzotycznym drzewem, obeszła wyschniętą fontannę oraz kamienną, nadgryzioną przez ząb czasu rzeźbę i skierowała swe kroki ku długim schodom z drewnianą poręczą po jednej stronie. Musnęła wzrokiem wiszące na ścianie ludzkie czaszki, puściła oczko gwałconej na obrazie niewieście, przesunęła paluszką po portrecie rogatej bestii, zarzuciła grzywką i poczekała łaskawie, aż jeden ze strażników otworzy jej drzwi. Zdołała jeszcze dojrzeć, jak dwie służki padają przed nią na kolana, i poczuć na stopie ciepłe usta nagiej dziewczynki z obrozą, po czym rozsiadła się wygodnie na drewnianym krześle z wysokim oparciem pomalowanym cynobrową farbą na niebiesko. Uśmiechnęła się pod nosem. Miała dobry humor. Zawsze tak było, gdy na jej rozkaz czyjeś niewinne życie dobiegło końca. Czuła się wtedy spełniona, czuła się ważna. Czuła się prawdziwą księżną. Nieśpiesznym ruchem chwyciła w dłoń stojące na drewnianej komodzie zwierciadło i spojrzała na własne odbicie. Uwielbiała to robić. Syciła się widokiem niewielkiego noska, błyszczących, pełnych życia oczek, idealnie kształtnego podbródka. Wszystko w doskonałych proporcjach i w doskonałych wymiarach.

I nagle jej serce zamarło.

- Nie, to niemożliwe - szepnęła z przerażeniem.

Spojrzała raz jeszcze.

Na mlecznobiałym, nieskazitelnie gładkim czole widniała niewielka zmarszczka.

- Neeeeeee!!! - przerażający krzyk poniósł się po całym zamku i odbił echem od ścian.

Służba zamarła w bezruchu. Przeklęte zwierciadło zostało wyrzucone z ogromną siłą i trafiło w jedną z klęczących służek. Dziewka wydała z siebie zduszony okrzyk, lecz nagle umilkła, widząc bezlitosne spojrzenie księżnej. Spuściła wzrok i przyłożyła twarz do podłogi, lecz było już za późno. Erzsébe poderwała się z krzesła i mocnym kopnięciem trafiła dziewczynę w szczękę.

- Zamknij się, suko! - wydarła się. Chwyciła za kępkę kasztanowych włosów i wyrznęła głową służki o podłogę. Rozległ się głuchy huk, zmieszany z tłumionym szlochem. Kremowa posadzka zabarwiła się na czerwono. - Straż! Do mnie! - krzyknęła Lady i zacisnęła z całej siły pięści. Ogromna fala wściekłości pulsowała tuż pod powierzchnią jej skóry, a zęby tarły o siebie w bezsilnej złości.

Zmarszczka, przeklęta zmarszczka - krzyczały jej myśli, zagłuszając nawet piski dziewczyny i głośnie bicie serc pozostałych służek. Odziane w sandały stopy raz za razem kopały dziewczynę po całym ciele, a z barwionych karminem ust dobywał się odgłos przypominający bulgot wrzącej wody.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Pojawił się w nich dobrze zbudowany wartownik, który widząc przeraźliwie bladą cerę swej władczyni, natychmiast padł na kolana. Strużka potu bezgłośnie spadła na podłogę.

- Zawołaj mi Iwana - warknęła Erzsébe. - Byle szybko, bo inaczej nakarmię twoim ścierwem świnię.

- Tak, najpiękniejsza pani - odparł wartownik, który bynajmniej nie marzył o wątpliwej przyjemności stania się karmą trzody chlewnej. Pokornie skinął głową, poderwał się z ziemi i pobiegł co tchu spełnić rozkaz władczyni.

Po krótkim czasie drzwi do komnaty ponownie zostały otwarte, a osoba, która się w nich pojawiła, mogłaby przestraszyć samego czorta. Był to Iwan - najwierniejszy rękodajny Pięknej Pani. Straszny, potworny, złowieszczy, choć jego wygląd nawet w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlał plugawości zimnego serca. A wyglądał doprawdy przerażająco. Tak przerażająco, że przy nim nawet

samozwańczy rycerz Drazdan mógłby uchodzić za pożerającego niewieście serca minstrela. Łysa, kwadratowa czaszka wyglądała jak nieociosany kawałek kamiennego bloku, do którego ktoś przylepił garbaty nochal – bardziej przypominający kaczy dziób niż narząd powonienia – oraz toporne uszy, przywodzące na myśl płachty namiotu. Wargi grube, popękane, pokryte – tak jak reszta twarzy – żółtymi plamkami i skrywające szerniałe zębiska, wystające z nich na podobieństwo górskich szczytów. Dwa wąskie, wiecznie rozbiegane ślepie o zaczerwienionych białkach przyprawiały o drżenie nóg każdego, kto miał pecha w nie spojrzeć, a gęsta sieć blizn i zmarszczek powodowała, że nogi same szykowały się do ucieczki.

- Wzywałaś mnie, Piękna Pani – odezwał się grubym, brzęczącym jak huk wodospadu głosem i wypiął dumnie pierś.

- Sprowadź mi szybko Garvullę – rozkazała Erzsébe. Jej oczy płonęły gniewem, a żyły na szyi pulsowały niczym wzburzona rzeka po wiosennych roztopach. – I zabierz gdzieś to ścierwo. Denerwuje mnie jej łkanie – dodała, wskazując głową na leżącą nieruchomo nieboraczkę, z której głowy wciąż tryskała fontanna krwi.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Piękna Pani – odparł Iwan i podszedł sprężystym krokiem do rannej służki. Z zadziwiającą lekkością podniósł ją do góry, przełożył przez ramię, uklonił się z gracją pijanego żebraka i wyszedł z komnaty, zostawiając Erzsébe sam na sam z największym koszmarem jej życia.

Drzwi rozpadającej się chaty otworzyła stara kobieta, choć nazwanie tego czegoś kobietą byłoby dla niej wielkim komplementem. Jej ciało przypominało wysuszony kawałek drewna, a twarz wyglądała niczym rzeźba wykonana ręką pięcioletniego szkraba, któremu ojciec podarował ziemniaczaną bulwę i tępy nóż. Wraz z nią pojawił się jej nieodłączny towarzysz – przeraźliwy odór czosnku, kału, potu i starości.

Nikt we wsi nie wiedział, ile mogła mieć lat, choć niektórzy powiadali, że żyła jeszcze za czasów ostatniego króla. Nikt też nie wiedział, skąd się tu wzięła. Okoliczni mieszkańcy zwali ją po prostu Wiedźmą. Nie cieszyła się we wsi ani szacunkiem, ani tym bardziej sympatią, a każdy, kto miał choć odrobinę instynktu zachowawczego, schodził jej z drogi, mrucząc pod nosem życzenia szybkiej śmierci. Daremne były to pragnienia. Umierali wszyscy dookoła, a Wiedźma, jakby wszystkim na złość, żyła sobie w najlepsze i co gorsza, cieszyła się dobrym zdrowiem. Wielu posądzało ją o czary czy też kontakty z siłami nieczystymi, lecz nie było we wsi śmiałka, co by spróbował jej to wypomnieć. Już nie było. Mieszkańcy zdawali sobie sprawę ze względów, jakimi ta przerażająca kobieta cieszyła się u samej księżnej.

Starucha weszła do ubogiej chaty, a zaraz za nią przypałętał się czarny kocur – równie szpetny co jego pani. Obeszła mieszczące się na środku izby palenisko i usiadła na rozchybotanym fotelu z jedną nogą krótszą od pozostałych. Ledwo zdążyła ziewnąć, a już jej głowa opadła na kościste ramię. Wiedźma pograżyła się w starczym śnie.

Wtem wiejską ciszę zakłócił tubalny głos:

- Ej, Wiedźmo! Wyłaż, stała Wiedźmo. Pani cię wzywa!

Na drewnianym wozie siedziało dwóch mężczyzn. Grubas i chudzielec. Ich pocziwe, niezbyt wyszukane facjaty, ogorzałe od słońca cery i zgrubiałe łapska jednoznacznie świadczyły o statusie społecznym. Do wielkich panów z pewnością nie należeli, a jeśliby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, wystarczył rzut oka na pomięte i w wielu miejscach połatane łachmany, którymi byli okryci. Nikt by także nie przypuszczał, że ci dwaj, tak różni osobnicy, zrodzili się z tego samego łona. Mało tego – przez dziewięć długich miesięcy musieli znosić swe towarzystwo i zacięcie walczyć o każdy łyk pokarmu. Nie trzeba nawet odpowiadać, kto wygrał tę batalię. Wystarczyło tylko spojrzeć na pulchne i na swój sposób dostojne ciało siedzącego wygodnie Orana, który niedbale przeżuwał źdźbło trawy,

czy też wejrzeć w jego dumne oczka, którymi z pogardą spoglądał na przeraźliwie chudego bliźniaka o wiecznie złęczonym spojrzeniu.

- Wyłaź, stała lopucho - krzyknął Volko piskliwym głosem i zatrzepotał w powietrzu rękoma. - Ileż mamy czekać?

Wiedźma nie wyszła. Śniły jej się dawne czasy, w których była młoda, choć nie do końca piękna.

Przez kilka dłużących się w nieskończoność chwil nic się nie stało. Bracia spojrzeli po sobie i jednocześnie zmarszczyli brwi.

- Może zdechła? - spytał wreszcie grubas. - Sprawdź, co z nią, Volko.

- Czemu ja? - odparł buntowniczo chudzielec. - Sam lusz ten tłusty zad. Zawsze to samo. Idź, podaj, splawdź. A samemu to nie łaska, psia mać?

- Młodszyś żeś - odparł starszy o kilka chwil grubas. - A poza tym ostatnim razem to ja poszedłem. No idź, Volko, nie bój się. Ona nie gryzie. Może nie jest zbyt urodziwa, ale to, co potrzeba między nogami, to ma. Płakałeś ostatnio, żeś samotny. Idź, Volko, idź.

- Wolę być sam niż chędożyć kłowy, jak ty - odciął się chudzielec i wystawił wojowniczo podbródek. - Sam idź. Schudniesz tlochę, tłuszczochu. Nic, tylko żlesz i zada nawet luszyc nie chcesz. A ostatnio to ja żem szedł. Od tego żalcia pamięć ci szwankuje.

- Idź, Volko - poprosił grubas słodkim głosem. - Postawię ci dzban wina U Kulawego Chrabąszcza.

Oczy chudzielca zaświeciły blaskiem pożądania.

- Takiego mocnego? Kuldulańskiego?

- Mocnego. Kurdulańskiego. Tylko idź.

Ten argument przeważył. Zawsze przeważał. Volko podniósł swój kościsty tyłek, zeskoczył z wozu i niepewnym krokiem ruszył w stronę chaty. Obejrzał się jeszcze za siebie, po czym energicznym ruchem pociągnął za klamkę. Gdy otworzył drzwi, przerażający smród cofnął go o dwa kroki.

- Idź, Volko, idź - wołał siedzący na wozie grubas z szerokim niczym królewski trakt uśmiechem. - Idź.

Volko odszukał w sobie głęboko ukryte pokłady odwagi, nabrał głęboki haust powietrza i wszedł do środka.

W chacie cuchnęło gorzej niż w oborze. Wszędzie walały się najróżniejszego rodzaju butelki, flaszki i flakony z podejrzanymi ingrediencjami oraz stopy nadpalonych kości zwierząt. Ledwo Volko zdołał przyzwyczać wzrok do okalającego go półmroku, a poczuł, jak coś wskakuje mu na głowę i wbija ostre pazury w gęste kłębowisko rozczochranych włosów.

- Latunku, pomocy! - krzyknął przerażony chudzielec i zrzucił równie przerażonego kocura na ziemię. - Plecz! - krzyknął jeszcze w jego stronę i kopnął go pod zebra, tak że zwierzak poszybował pod przeciwległą ścianę i odbił się od niej jak gumowa piłeczka. Volko, za nic mający niedolę zwierzaka, zatkał dłonią nos, splunął na klepisko i ruszył w stronę pokracczej sylwetki staruchy, nadeptując po drodze na leżący korzeń mantykory. Rozległ się cichy trzask, który zjeżył mu włosy na karku. Potrząsnął głową i, próbując nadać swemu głosowi pewności siebie, wydarł się wprost do ucha śpiącej w najlepsze Garvulli:

- Ej, Wiedzmo... Wstawaj. Wstawaj natychmiast, Piękna Pani cię wzywa.

Odpowiedział mu odgłos głośnego niczym rzenie konia chrapania.

- Wstawaj! - wydarł się chudzielec raz jeszcze i, przełamując wstręt, zaczął szarpać staruchę za ramię. Bał się przy tym, że zaraz je urwie.

Starucha otworzyła kaprawe ślepie i wlepiła w niego zimne spojrzenie. Volko zadrżał.

- Ktoś ty i czego chcesz? - spytała wściekłym głosem. Właśnie śnił jej się piękny książę w lśniącej zbroi, śpieszący do niej na białym rumaku, i kiedy już mieli paść sobie w objęcia, kiedy miała się z tego zrodzić ponadczasowa, bezinteresowna, gorąca jak lawa miłość, pojawił się jakiś niewydarzony chudzielec i piękny sen przysł niczym mydlana bańka.

- Pani Magyolanu, piękna Lady Elzsébe, posyła mnie po ciebie - odpowiedział Volko na jednym tchu, tak jakby recytował modlitwę do samego Swaroga. - Więc z łaski swojej lusz ten swój zad, bo nie będę tu stał w nieskończoność.

Wiedźma zmieła w ustach przekleństwo, po czym z niemałym trudem podniosła swe wątłe ciało z fotela. Spojrzała na chudzielca z nienawiścią, jednak po krótkiej chwili rysy jej twarzy wyraźnie złagodniały, a w oczach pojawił się błysk.

Hmm. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu - pomyślała z tajemniczym uśmieszkiem na spierzchniętych ustach.

- Czekam na zewnątrz - powiedział Volko, starając się zachować twarz, i majestatycznym krokiem zaczął kierować się do drzwi. Odprowadziło go wściekle spojrzenie naburmuszonego kocura oraz odgłos drepczącej za nim Wiedźmy.

- Co tak szybko, Volko? - zakpił z niego grubas, lecz po chwili na jego obliczu pojawił się wyraz najprawdziwszej odrazy, a pulchny nos niemal oderwał się od reszty twarzy. - Ożeż ty w mordę, psia twoja mać, jak ty wyglądasz? Zrób coś ze sobą, Wiedźmo, bo jak cię w takim stanie przywiozę przed oblicze Pięknej Pani, to obydwójce zawiśniemy na szubienicy.

- Dokładnie, złób coś ze sobą, a przynajmniej się umyj, bo capisz gorzej niż kozioł - poparł go chudzielec, pomny katusz, jakie jego organ powonienia musiał niedawno znosić.

Wiedźma spojrzała na braci wzrokiem, od którego powinni dostać dreszczy, lecz nic nie powiedziała. Widocznie musiała zdawać sobie sprawę, że w konkursie piękności nie miałyby większych szans. Bez żadnego słowa odwróciła się na pięcie i wróciła do swego królestwa, by zrobić się na bóstwo.

- Ech - westchnął starszy z bliźniaków, gdy po dłuższym czasie ponownie objawiła światu swoją brzydotę. - No nic, wsiadaj. Królowy z ciebie i tak nie zrobimy. Szkoda tylko czasu.

Oran przesunął swoje grube cielsko i gestem dłoni wskazał czarownicy miejsce obok swego brata.

- Usiądź tutaj. Zrobię wam trochę miejsca, gołąbeczki. Mój brat sporo mi o tobie ostatnio opowiadał - dodał, podśmiewując się pod nosem, i aż zatarł dłonie, ciesząc się ze swego żartu.

- Zawrzyj pysk, ty tłusty koński zwisie - sparował biedny Volko i spojrzał z odrazą na staruchę.

Wiedźma nie była mu dłużna. Wystawiła język z pomarszczonych ust i wykonała nim zbereźny gest, poruszając nim w górę i w dół.

- Ożeż kurwa - wycharczał grubas. Jego brat zdławił odruchy wymiotne i odsunął się od staruchy najdalej, jak tylko mógł.

Oran chwycił lejce w ręce i uderzeniem bata zmusił dwie wychudzone chabety do wyteżonej pracy. Wóz skrzypnął, jęknął, gwizdnął i po chwili ruszył przed siebie. Sprawiał przy tym wrażenie, że w każdej chwili gotów jest rozpaść się na kawałki. Brnął jednak dzielnie przez koleiny, minął ostatnie domostwa i w końcu znalazł się pośród urodzajnych pól. Trójka podróżnych z posepnymi minami obserwowała wychudzone sylwetki chłopów zaharowujących się od świtu do zmierzchu. Ich plecy garbiły się do ziemi pod wpływem nędzy i ciężkiej niedoli, a pomarszczone twarze wyrażały jedynie ból i zmęczenie. Nikt nie śpiewał, nie krzyczał, nie tańczył. Włóczyli się niczym senne zjawy, niczym upiory przyodziane w podarte łachmany. Nieliczne mijane domostwa sprawiały wrażenie zaniedbanych i nawet bijący z ich kominów dym roztaczał wokół wrażenie nędzy. Gdzieniegdzie widać było pozostałości niewielkich kapliczek, oblepione zwiędniętymi kwiatami pnie świętych dębów oraz liczne trupy przyodziane w konopne pętelki owinięte wokół chudych szyj i które majtały się na wszystkie strony świata. Gdzieniegdzie widać było także spalone domostwa, kontrastujące z radosnymi kolorami pięknej, złotej jesieni. A przecież nie zawsze tak było. Jeszcze niespełna pół wieku temu ta ziemia była istną kolebką dobrobytu i szczęścia, istną przystanią dla strudzonych wędrowców, istnym domem dla roześmianych ludzi. Cóż więc takiego się stało? Na to pytanie jedynie bogowie i Piękna Pani znają odpowiedź.

Droga skręciła lekko w lewo i po chwili wóz wjechał w iglasty las. Każdy pogrążony był we własnych myślach. Wiedźma marzyła o księciu w jasnej zbroi, który nie tak dawno temu odwiedził ją we śnie i którego piękna twarz wciąż majaczyła jej przed oczyma. Oran dumiał, jak by tu ponownie dopiec swojemu chudszeemu bratu, a chudszy brat Orana rozmyślał o złotowłosej Ortyli – córce młynarza z pobliskiej wsi, której ostatnio skradł całusa. Byłby niewątpliwie skradł coś więcej, gdyby nie wścibski ojciec dziewczyny, który, zauważywszy amory swojej jedynaczki, zmusił biednego chudzielca do szybkiego biegu. Perspektywa olbrzymiej pięści na własnym nosie sprawiła, że Volko prześcignąłby wtedy nawet gazelę.

Czas biegł powoli, za nic mając niezręczną ciszę, która zapadła na skrzypiącym wozie. Tak to już z nim jest – gdy ma szybko mijać, wlecze się jak ślimak na miejsce kaźni. Wkrótce las stał się gęstszy i bardziej złowieszczy, lecz nawet strach przed zamieszkującymi go istotami nie zachęcił podróżnych do rozmowy. Zachęciła za to nuda, która nieoczekiwanie zawładnęła energicznym zazwyczaj grubaskiem. Oran spojrział z ukosa na Wiedźmę, założył jedną nogę na drugą i przemówił z pozoru niewinnym głosem:

- Doszły mnie słuchy, moja droga Wiedźmo, że ponoć imasz się czarną magią, a nawet przyszłość potrafisz przewidzieć. Bądź więc tak dobra i rzeknij mi na uszko, czy nadejdzie kiedyś taki wspaniały dzień, że mój braciszek – niedojda Volko, którego miałaś już nieprzyjemność poznać – zmądrzeje?

Wiedźma nie odpowiedziała. Siedziała wciąż nieruchomo na wozie ze wzrokiem utkwionym w sapiące ze zmęczenia szkapy. Odezwał się za to niedojda Volko, łypiąc na brata morderczym spojrzeniem:

- A ja dumam, czy kiedykolwiek będziesz w stanie dojrzeć własną kuśkę między tymi zwałami tłuszczu, ty kupo gówna.

Oran uśmiechnął się krzywo, wzruszył ramionami i prychnął, po czym ponownie zwrócił się do staruchy:

- Nie musisz mi odpowiadać. Nawet bez tych czarów-marów znam odpowiedź. Taki piękny dzień niestety nigdy nie nadejdzie.

A szkoda, wielka szkoda. Zresztą nie do końca ufam tym wszystkim przepowiedniom. Słyszał żem kiedyś o jednej kobiecie, co chwaliła się, że potrafi przewidzieć przyszłość. Tak była z tego dumna, że w końcu została wezwana przed oblicze króla. Ucieszyła się niezmiernie, założyła najlepszą suknię, nowe trzewiczki, nawet jakieś korale wytrzasnęła i tak wystrojona przybyła na dwór. Nie przewidziała tylko tego, że skończy na szubienicy. Ha, ha, ha. Nie potrafiła wywróżyć własnej śmierci. Rozumiesz? Ha, ha, ha.

- Tak też bywa - odezwała się Wiedźma melancholijnym głosem i spojrzała prosto w oczy grubszego towarzysza podróży. - Przyszłość chodzi własnymi ścieżkami i nie zawsze da się ją przewidzieć. Dajmy na to was, szlachetny panie. Przystojny, bystry i mądry rycerz, o którym niejedna niewiasta śni po nocach. A wy co? Marnujecie się tutaj. Z waszym umysłem powinniście być co najmniej jakimś palatynem, mędrcom albo nawet... księciem. Tak, dobrze mówię, księciem. A wy gnijecie na końcu świata w służbie, hm, Pięknej Pani. Takie marnotrawstwo talentu.

Oran pokraśniał z dumy. W jego marnym życiu jeszcze nikt nigdy nie nazwał go mądrym ani przystojnym, a co dopiero rycerzem. Owszem, nazywano go różnorako, ale zazwyczaj nie były to najprzyjemniejsze określenia: grubas, tłuścioch, gamoń, bęcwał, safandula, bałwan, huncwot, ciamajda, dziabdziak, glimdzioł, kocmołuch, łachmaniarz, łapserdak, niezguła, psubrat, świszczypała. Były jeszcze gorsze, od których co wrażliwsze uszy powinny zwiędnąć. Dziś jednak Oran został nazwany szlachetnym panem i nawet fakt, że usłyszał to z ust śmierzącej staruchy, przypominającej z wyglądu starą miotłę do podłogi, nie umniejszył w jego mniemaniu tych pięknych słów. Oran wierzył w nie z całego serca.

W końcu to wykształcona osoba. Umie i czytać, i pisać. Podobno nawet na magii się zna. Ktoś taki musi znać się i na ludziach - myślał, pęczniąc z dumy.

Jego brat miał zgoła inne odczucie. W przeciwieństwie do grubasa potrafił wyczuć słyszalną w głosie Garvulli ironię.

- Prawdę gadacie. Doprawdy prawdę gadacie. Ja też tak uważam. Powinienem być teraz daleko stąd, walczyć ze smokami, ratować księżniczki z opresji, brać udział w dalekich wyprawach i walczyć w olbrzymich bitwach. Pewnie nie wiecie, ale mieczem potrafię walczyć jak niejeden rycerz, a odwagi mi też nie brakuje. No ale niestety. Obiecałem matuli na łożu śmierci, że zaopiekuję się tym oto niezgułą. - Oran wskazał dłonią na przysypiającego chudzielca. - Przecież gołym okiem widać, że nieborak nie poradzi sobie w życiu beze mnie. Spójrz sama. Chude to takie i niemrawe. Nie to co ja. Silny jak tur i mężny niczym sam Perun^[2], a odważny jak sam nie wiem kto. Nieraz myślałem, coby zabrać gamonia i ruszyć w świat, ale nawet gdybym chciał, to nie mogę. Mamy też młodszą siostrę, Etełę, która służy w kuchni u Pięknej Pani. Nie chcę nawet myśleć, co by się z nią stało, gdybym porzucił służbę. Piękna Pani bywa czasem okrutna. Ech, szkoda. Wielka szkoda dla świata.

Oran rozmarzył się. Nieraz widział siebie oczami wyobraźni, jak dosiada szybkiego niczym wiatr konia i gna na ratunek całemu światu. Wierzył, że jest do tego stworzony, a słowa Wiedźmy utwierdziły go w tym przekonaniu. Tylko czy słusznie?

- Ech, szkoda gadać - filozofował dalej grubas, wyginając palce u rąk. - Zresztą służba nie najgorsza. Dach nad głową jest, miska żarcia zawsze się znajdzie, a i gardziołko też jest czym przepłukać. Owszem, czasem trzeba komuś kości porachować, czasem jakąś chatę spalić, ale takie życie. Piękna Pani rządzi twardą ręką, a każdy jeden cham winien jej posłuszeństwo. Tak już ten świat jest urządzony. Cóż zrobić?

Tymczasem wóz wyjechał z lasu i zaczął wlec się pośród zielono-żółtych połaci trawy. Droga zaczęła się wznosić - z początku nieśmiało, później coraz ostrzej. Koła pojazdu stukały równomiernie o kamienistą nawierzchnię, zagłuszając przeciągłe skrzypienie osi i gwizd Volko, który w tym czasie zawędrował do krainy snów.

Niebawem oczom podróżnych ukazała się majająca na szczycie wzgórza i budząca trwogę w sercach mieszkańców złowroga siedziba okrutnej Lady. Zamek nie był imponującej wielkości. Zbudowano go na planie czworoboku na kamiennej podmurówce z białej cegły, która pod wpływem czasu mocno zszarzała. Masywne mury, zwieńczone blankami i otoczone z trzech stron fosą, łączyły się z sięgającą nieba wieżą, z której roztaczał się widok na całą okolicę. Po obu jej stronach, niczym młodsze siostry, wznosiły się pomniejsze baszty. Od północnej strony dostępu do zamku broniła niezwykle stroma, skalista grań z nielicznymi limbami rozmieszczonymi niczym włoski zarost pod nosem młokosa. Na szczycie wieży łopotał sztandar z herbem Lady Erzsébe - ujętym w locie nad palącym się miastem złowrogim krukiem, który w pysku dzierżył ludzkie oko.

Wóz skręcił w lewo i zaczął się mozolnie wspinać po coraz bardziej stromej górze. Dwie wychudzone szkapy zaczęły coraz ciężiej sapać, a na ich zmęczonych pyskach pojawiły się kropelki białej piany. Oran, nie bacząc na niedolę zwierząt, popędzał je co jakiś czas krótkimi uderzeniami bata i uśmiechał się pod nosem. Możemy tylko podejrzewać, jakie myśli kotłowały się w jego głowie. Volko wciąż spał, a jego głowa podrygiwała na każdym kamieniu, zbliżając się nieuchronnie w stronę Garvulli, która siedziała nieruchomo, roztaczając wokół swojski smród. Wóz ostatkiem sił wdrapał się na szczyt wzniesienia i pomknął po zwodzonym moście, będącym jedyną drogą prowadzącą do zamku. Masywna brama w kształcie ostrołuku z odlanymi z żelaza wrotami, pokrytymi gęstą siecią płaskorzeźb i ornamentów, poprzedzona była okutą żelazem i zawieszoną na łańcuchach kratą. Wrota były otwarte. Oran kiwnięciem głowy pozdrowił stojących u bramy wartowników i wreszcie znaleźli się na dziedzińcu.

W tym samym czasie Lady Erzsébe przechadzała się nerwowo po swojej komnacie w otoczeniu ponurych myśli kołatających się w jej szalonej główce. Wciąż nie mogła pogodzić się z posępną naturą świata.

Nie chcę być stara i pomarszczona – myślała, ocierając grzbietem dłoni kolejną łzę, która leniwie spływała jej po policzku. Pogrążona w rozpacz, nie usłyszała nawet turkotu kół na dziedzińcu i tupotu dwóch par nóg na kamiennej podłodze korytarza. Dopiero głośny odgłos stukania w drzwi wyrwał ją z czarnych objęć smutku.

– Czego? – warknęła i skierowała pogardliwe spojrzenie na struchlałe lico wartownika.

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Pani Garvulla do Waszej Miłości – zaanonsował, choć zdawał sobie sprawę, że nazwanie staruchy „panią” było taką samą przesadą jak nazwanie starej chabety rączym ogierem.

Rysy twarzy Pięknej Pani na krótką chwilę złagodniały. Koścista dłoń odepchnęła strażnika, a w jego miejscu pojawiła się rozanielona facjata niegdysiejszej Esterraldy. Wiedźma, nie czekając na pozwolenie, przekroczyła próg i od razu roztoczyła wokół siebie charakterystyczną woń dawno niemytego ciała.

– Witaj, Piękna Pani. Niezwykłym rada, że widzę cię w pełnym zdrowiu. Czym ci mogę służyć? – przemówiła zachrypniętym głosem i zaplotła ręce za plecami.

Księżna zmarszczyła nos i ze zniesmaczoną miną przesunęła się w stronę uchylonego okna.

– Kiepsko wyglądasz, pani. Czy coś się stało? – spytała starucha z udawanym przejęciem. Starła się nadać swojej twarzy wyraz przerażenia, choć jej serce skakało z radości. Wiedźma doskonale zdawała sobie sprawę z powodu swojego wezwania. Czekwała na to dość długo.

– Pytasz się, czy coś się stało? Tak. Stało się. I to dużo się stało.

Lady zbliżyła się do wiedźmy i, nie bacząc na duszący smród, wskazała palcem własne czoło.

– Tu. Spójrz. Widzisz to? Widzisz?

Czarownica wyteńczyła wzrok, jednak nie zauważyła niczego niezwykłego.

- Czoło jak czoło, Piękna Pani. Niezwykle piękne czoło, ale tylko czoło. Cóż z nim nie tak?

- Ślepa jesteś? Przyjrzyj się dokładnie.

Wiedźma przyjrzała się dokładniej. Zmrużyła jedno oko, potem drugie... i nic.

- Zmarszczka! Przeklęta zmarszczka - wydarła się nagle Erzsébe, a z jej oczu trysnął strumień łez, grubych niczym krople wiosennego deszczu. - Widzisz... o tutaj. Na środku czoła.

Garvulla pokiwała ze smutkiem głową i zrobiła pełną zrozumienia minkę.

- Starzejesz się, Piękna Pani. To nic złego. Starość i śmierć to jedyne dwie pewne rzeczy na tym podłym świecie. Nikt od tego nie ucieknie, nawet ty. - Zamilkła pod wpływem ostrego spojrzenia księżnej, lecz zaraz odzyskała rezon. - Wyobraźcie sobie, Piękna Pani, że ja też byłam kiedyś piękna i młoda. Oj, byłam, byłam.

Było to perfidne kłamstwo. Rzeczywiście Garvulla była w dawnych, bardzo dawnych czasach młodą dziewczyną, lecz nawet wtedy nikt, kto miał choć jedno zdrowe oko, nie mógł jej nazwać piękną.

- Ale ja nie chcę być stara! Nie chcę, nie chcę! - krzyknęła Lady i złapała się za głowę.

- Nikt tego nie chce, pani. Nikt - odparła starucha beznamiętnym tonem. Spojrzała z czułością na swoją podopieczną i przystawiła swój kościsty palec do brody, jakby nad czymś usilnie myślała. Po chwili wystrzeliła go w górę, przywołując na twarz wyraz podniecenia. - Istnieje jednakowoż zaklęcie, które może powstrzymać ten proces. To prastare zaklęcie, bardzo potężne i bardzo niebezpieczne.

W mrocznym sercu władczyni zaświecił promyk nadziei.

- Jakie zaklęcie? Mówże szybko.

Księżna zacisnęła ręce na ramieniu staruchy. Była tak przejęta, że nawet potworny smród dobywający się z półotwartych ust Wiedźmy nie zrobił na niej wrażenia.

- Prastare i bardzo niebezpieczne zaklęcie. Puść mnie, pani, to Garvulla wszystko ci powie.

Erzsébe puściła Wiedźmę. Serce biło jej szalonym rytmem, a jędrne piersi podskakiwały w takt przyśpieszonego oddechu. Garvulla upajała się tą chwilą. Uwielbiała być w centrum zainteresowania. Podeszła nieśpiesznie do stojącego krzesła i usiadła na nim, prostując chude jak patyki nogi. Przez krótką chwilę na jej twarzy zakwitł tajemniczy uśmiezek, zaraz jednak na powrót przyjęła zatroskany wyraz. Tylko jej oczy błyszczały jakimś dziwnym, czerwonym blaskiem. Księżna nie zwróciła na to uwagi. Zaciskała mocno pięści i czekała na słowa Wiedźmy niczym młodzik na widok cycków.

- Zaklęcie jest prastare i bardzo niebezpieczne - powiedziała Garvulla po raz trzeci, a jej głos brzmiał teraz niczym szum liści pośród głuchego lasu. - To potężna magia, do której dostęp mają tylko wybrani. Na szczęście bogowie mają cię w swej opiece, Piękna Pani, i to oni zesłali mnie tutaj. Musisz jednak wiedzieć, że zaklęcie jest wymagające. Żeby zadziało, potrzeba ludzkiej krwi. Nie może to być jednak zwykła krew, lecz pochodzić musi z królewskiego rodu.

Erzsébe, która jeszcze chwilę temu nie odrywała spojrzenia od pękatek ust swojej powierniczki, teraz znów zalała się łzami.

- Czyś ty rozum postradała, Wiedźmo?! Skąd ja ci wezmę krew króla?

- Nie powiedziałam krew króla, tylko krew z królewskiego rodu - poprawiła ją Wiedźma. - To znacząca różnica. Taka krew płynie w żyłach każdego z potomków dawnych króli, a im jest młodsza, tym zaklęcie będzie silniejsze.

Ziarno nadziei ponownie zakiełkowało w przeszytym próchnicą sercu podłej księżnej, a w lazurowych oczkach pojawił się błysk.

- Krew z królewskiego rodu, powiadasz? Tylko gdzie ja taką znajdę?

- Mam pewny pomysł tylko, ekhem, ekhem - chrząknęła znacząco Wiedźma i podrapała się po pomarszczonej niczym pasmo gór szyi. -

Wybacz, Piękna Pani, ale zaschło mi w gardle od tego gadania.

Procesy myślowe w blond główce zadziałały błyskawicznie. Zadziwiająco błyskawicznie.

- Straaaż! - ryknęła księżna, zaciskając z niecierpliwości pięstki.

Do komnaty wpadł struchlały strażnik i natychmiast padł na kolana w oczekiwaniu na nowe rozkazy.

- Przynieś wina i coś do jedzenia. Tylko chyżo.

Mężczyzna poderwał się z ziemi, jakby był przypalany pochodnią, i wystrzelił w stronę piwnic. Wrócił niebawem, powodując szeroki uśmiech na szpetnych ustach Garvulli.

- Bolesław, syn Wielkiego Księcia. On jest lekarstwem na twe troski, pani - przemówiła Wiedźma, gdy po jakimś czasie szlachetny trunek zniknął w jej mniej szlachetnym przełyku. - To jego krew zapewni ci wieczną młodość i sprawi, że czas przestanie się ciębie imać.

Przez krótką chwilę w przytulnej komnacie, oświetlanej migoczącym w kominku ogniem, zaległa przeraźliwa cisza. Księżna stanęła w miejscu, a jej rysy stężały, wyrażając strach pomieszany z nadzieją. Po chwili zatrzepotała kilkakrotnie rzęsami i spytała ze zdziwieniem, które było nawet większe niż zdziwienie wspomnianego młodzieńca, gdy tydzień temu bezczelny karczmarz śmiał domagać się od niego zapłaty za wino:

- Bolesław? Zwariowałaś doszczętnie, Wiedźmo? Chcesz, żebym przelała krew syna największego z władców dawnego królestwa? Syna Wielkiego Księcia?

- To nie ja tego chcę, Piękna Pani. Zakęcie tego wymaga - odparła, patrząc przenikliwie w niebieskie oczy księżnej. - Tylko krew księcia zapewnić ci może wieczną młodość i nieskazitelną urodę po wsze czasy.

- Czyżby nie było innego wyjścia?

- To jedyne rozwiązanie. Jedyne i do tego dostępne tylko dla nielicznych. Tylko dla ludzi z najszlachetniejszych rodów. Rodów takich jak twój, Piękna Pani. W dawnych czasach często je stosowano,

lecz z biegiem lat prastara magia uległa zapomnieniu, a szlachetna krew rozrzedzeniu. Tyś jednak wybrańczynią bogów – to zaklęcie jest stworzone dla ciebie.

- Łatwo mówić, tylko w jaki sposób mam dostać krew tego szczeniaka? To praktycznie niemożliwe. On jest synem Jarogniewa Statecznego. Żyje daleko stąd i pewnie jest dobrze pilnowany. I co, mam tak po prostu pojechać do Pałacu Wiecznego Pokoju i poprosić go o krew? Czy może od razu zabić?

Wiedźma uśmiechnęła się promiennie, odsłaniając ostatnie trzy zęby, jakie jej pozostały. Były pożółkłe i dziurawe, lecz wiernie trwały w ustach swej właścicielki, niczym królewscy gwardziści nieopuszczający swego władcy aż do samej śmierci.

- Nie doceniasz mnie, Piękna Pani. Znam pewien sposób, tylko, ekhem, ekhem...

- Tylko co?

- Tylko, hmm, muszę go jeszcze dokładnie przemyśleć, a jak sama wiesz, trudno się myśli o suchym pysku.

Erzsébe z niedowierzaniem spojrzała na pełny jeszcze chwilę temu dzban wina. *Przeklęta starucha* – pomyślała. – *Najchętniej kazałabym ją w tym winie utopić.*

- Straaaż! – wydarła się po raz drugi. – Przynieś wina. Tylko dużo, gamoni, bo skórę każę z ciebie zedrzeć.

Wartownik dobrze wiedział, że księżna nie rzuca obietnic bez pokrycia. Nie chcąc narazić się na nieprzyjemności, natychmiast pobiegł po olbrzymi dzban pełny mocnego trunku.

Garvulla, nie śpiesząc się, zmoczyła popękane usta. Zrobiło się jej błogo, a w głowie usłyszała przyjemny szum. Z charakterystycznym dla jej wieku spokojem wychyliła do dna mosiężny kielich, wytarła pomarszczone usta w brudny od wszelakiego rodzaju plam rękaw i podrapała się po spiczastej brodzie, z której wyrastał bujny kłaczek włosów.

- Powiesz mi wreszcie, co to za plan, czy mam cię kazać kołem łamać? – nie wytrzymała Erzsébe. Jej oczy były piorunami wściekłości.

Każdy inny już dawno skuliłby się ze strachu przed gniewem Pięknej Pani, jednak nie Garvulla. Ona się nie bała.

- Nie uważasz, pani, że w tej komnacie przydałoby się więcej kwiatów? Ożywiłyby nastrój i...

- Wiedzmo! - wydarła się księżna. - Nie przeciągaj struny. Mów, jaki masz plan, bo zaczynam tracić do ciebie cierpliwość.

- Ach tak, tak. Wybacz, pani, zamyśliłam się troszeczkę. No już dobrze. Szczęście ponownie uśmiechnęło się do ciebie, Piękna Pani. Widać bogowie otoczyli cię specjalnymi względami, bo tak się składa, że za niespełna trzy dni syn Jarogniewa, Bolesław, wyruszy z pałacu i uda się w długą podróż do Czerdzińska. Długą i bardzo niebezpieczną podróż. Wielce niebezpieczną, he, he, he.

Zawsze, gdy chodziło o popełnienie jakiegokolwiek niegodziwości, główka Lady Erzsébe pracowała niczym najsprawniejsza machina. Tak było i tym razem. Księżna wytarła dłonią drobinki śliny zalegające w kącikach ust i uśmiechnęła się szeroko. Nie był to jednak urodziwy uśmiech - czaiło się w nim zło. Z niewielkiego ziarenka nadziei, które zdążyło zakiełkować w zimnym sercu, wyrosło duże drzewo o bujnych gałęziach tworzących ścieżki przyszłych zdarzeń.

- Jesteś tego pewna?

- Tak pewna, jak tego, że ten dzbanuszek wina, który był przed chwilą pełny, teraz jest pusty - rzekła Wiedzma, lecz najwyraźniej jej delikatna aluzja nie wstrząsnęła sumieniem surowej władczyni. - Nie dalej niż wczoraj Wielki Książę podjął decyzję o wygnaniu syna i nic tego już nie zmieni. To twoja szansa na wieczną młodość, pani. Jedyna szansa. Skorzystaj z niej.

Lady Erzsébe zamyśliła się.

- To ryzykowna sprawa. Załóżmy jednak, że uda mi się go porwać. Co wtedy?

- „W środku nocy, przy księżycu pełni, z królewskiego rodu krew wypić musisz. Uroda i młodość przyzwane przybędą, gdy słowa zaklęcia wypowiesz” - wyrecytowała Wiedzma fragment sobie tylko znanej prastarej księgi.

- Jakiego zaklęcia?

- Potężnego. Nie musisz się o to martwić. Przeprowadź mi tylko syna księcia, a resztą Garvulla się zajmie.

Erzsébe nie wydawała się być do końca przekonana. W jej duszy rozpełtała się straszliwa burza, pełna lęku i pytań. Oświecał ją jednak promień nadziei jasno świecący z pragnącego wiecznej młodości serca. I to ten promień zwyciężył. Zdołał przegnać chmury wątpliwości i zrobić miejsce na nadejście przyszłych wydarzeń.

- Zaufaj mi, pani. Nikt się nie dowie, że to ty zleciłaś porwanie szczeniaka. Widziałam to w swej szklanej kuli. Zaufaj mi, zaufaj - namawiała ją Wiedźma, zaciskając mocno swe drobne piąstki, tak jakby miała w tym swój własny, głęboko skrywany interes.

Księżna podniosła się z krzesła, zaplotła ręce za plecami i zaczęła dreptać wzdłuż komnaty. Tam i z powrotem.

- Dobrze. Niech tak się stanie. Dostaniesz swego księcia, Wiedźmo. Uczyni mnie wiecznie młodą, a ja cię ozłocę.

- Nie o złoto mi chodzi, Piękna Pani, lecz o twe szczęście. Wiesz przecież, żeś dla mnie jak córka. Dla ciebie zrobiłabym wszystko.

Bliźniacy czekali na wozie, każdy w innej pozycji. Oran z wielkim brzuszyskiem skierowanym w rozgwieżdżone niebo rozmyślał o słowach Wiedźmy. Jego twarz wyglądała na natchnioną. Gruba dłoń zacisnęła się nagle w pięść i zatoczyła w powietrzu zamaszysty ruch, tnąc wyimaginowanym mieczem równie wyimaginowanego smoka.

- A masz, ty bestio szkaradna - zamruczał pod nosem, dokonując kolejnego bohaterskiego czynu. Czynu, o którym minstrelowie będą opowiadali przez setki, ba, tysiące lat. - Ech, marnuję się tu, marnuję - dodał i przewrócił się na prawy bok.

Volko miał mniejsze ambicje. Siedział na wozie z rozprostowanymi nogami. Palcem jednej ręki dłużył w nosie, drugą włożył sobie w spodnie, próbując ułożyć dwie, przyklejające się do siebie kuleczki. Patrzył przy tym na majtane porywami wiatru trupy,

wiszące milcząco na szubienicy i rozdziobywane przez wciąż nienasycone kruki. Nagle jego wzrok padł na coś jeszcze – przygarbioną postać, sunącą ku nim chwiejnym krokiem.

- Ożeż ty. Spójrz, Olanie. Coś mi się zdaje, że stalucha się ubzd... ubz... upiła. Ledwo się na nogach trzyma.

To była jedna z tych magicznych chwil w życiu chudzielca, kiedy miał rację. Garvulla była pijana, niczym helmundzki poseł na dworze Wielkiego Księcia. Szła w ich stronę z czarującym, w jej mniemaniu, uśmiechem, a chwiała się przy tym niczym wspomniane przed chwilą trupy nieszczęśników, których księżna kazała powiesić z sobie tylko znanego powodu.

Oran, wyrwany z własnego idealnego świata, niechętnie uniósł łeb i splunął siarczyście na widok Wiedźmy. Nie przewidział tylko silnego podmuchu wiatru, który powiał nagle w jego stronę.

- Ciesz się. Będzie łatwiejsza. - Nie mógł przepuścić tak doborowej okazji, żeby dogryźć bratu. Ten jednak udał, że nie słyszy proroczych słów bliźniaka.

- Hej, ho, moi przystojniacy! - krzyknęła Wiedźma. - Cóż za piękna noc.

- Luszał się, stara pluchwo - burknął Volko. - Nie mamy całej nocy.

- Już idę, złociutki. Garvulcia już do ciebie idzie - odpowiedziała śpiewnym tonem i zatoczyła się w bok, tak że niemal wpadła w błoto. Po chwili była tuż przy wozie, na który bezskutecznie próbowała się wdrapać. Volko i Oran z wielkim rozbawieniem obserwowali poczynania staruszki. Żaden jednak nie wpadł na tak durny pomysł, by jej w tym pomóc. Biedna Garvulla męczyła się sama, klnąc pod nosem ile wlezie. Dopiero za piątym razem udało jej się wejść, za co została nagrodzona wymyślną porcją drwin i przezwisk.

Ruszyli w drogę powrotną. Noc była chłodna, wietrzna i jakby tego było mało, zaczął padać drobny deszcz. Bracia opatulili się szczelnie leżącymi na wozie kocami i patrzyli tępo na mijane drzewa, pola i kamienie. W końcu wjechali w las. W oddali słychać było

przeciągłe wycie wilków, lecz nikło ono w potoku słów wydobywających się z paszczy Garvulli. O czym ona tak gadała, licho jedno wie. Co jakiś czas jednak milkła, napełniając obolałe głowy bliźniaków nadzieją spokoju, lecz po chwili zaczynała od nowa. I nie pomogły uprzejme prośby jednego ni drugiego.

- No żeż, do kurwy nędzy, zamknij wreszcie ten stary pysk - nalegał Oran.

- Ucisz się wleszcie, stała lopucho - asystował mu Volko, mierząc ją nienawistnymi spojrzeniami.

Nic to jednak nie dało. Garvulla była w oratorskim amoku i żadna siła na niebie i ziemi nie była w stanie jej uciszyć. Nie zamilkła nawet wtedy, gdy wóz wydał z siebie ostatnie skrzypnięcie i zatrzymał się przed jej chatą.

- Poczekajcie chwileczkę, złociutcy rycerze. Garvulcia ma coś dla waszej pani - powiedziała, gdy jej kościste stopy dotknęły zabłoconej ziemi.

- Sama se czekaj, Wiedźmo - odparł Oran. - Mam ciebie dosyć. Jedziemy, Volko. Ruszaj, bo już dłużej nie zdzierzę tego smrodu i kłapania jęzorem. No i co tak stoisz jak jakaś kurtyzana? Zjeżdżaj stąd, pókim dobry.

Wiedźma prychnęła i posłała im jeden ze swoich zmysłowych uśmiechów. Bracia poczuli zimne dreszcze.

- Jak tam sobie chcecie, jak chcecie. Wiedźcie jednak, że Pięknej Pani nie będzie do śmiechu, gdy jej szepnę słówko, iż nie chcieliście poczekać chwilki. Oj, nie będzie, nie będzie.

Volko splunął siarczyście tuż pod jej nogi, jednak jego mina nie była już tak pewna siebie jak jeszcze chwilę temu.

- Czego chcesz? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Ja nic. To Piękna Pani kazała mi coś wam przekazać, żebyście jej zawieźli. No ale jeśli nie chcecie... Trudno. Będziecie pięknie wyglądać, dyndając na sznurze. He, he, he. Bardzo pięknie. A szkoda, wielka szkoda, bo już was zaczęłam lubić.

Realna groźba narażenia się na gniew srogiej księżnej zawsze działała.

- No już dobrze, poczekamy. Tylko ruszaj się żwawo z łaski swojej. Noc późna, a my strudzeni nielecho i do tego głodni - przemówił grubas ugodowym tonem i okrył się szczelniej kocem.

Wiedźma wyszczerzyła zębiska i zniknęła w mroku chaty. Bracia powoli zaczęli się niecierpliwić, lecz żaden z nich się nie poruszył. W końcu odrapane drzwi ponownie się otworzyły, a w przejściu zamigotała zgarbiona sylwetka staruchy. Ciemność otuliła jej twarz, więc żaden z braci nie dostrzegł chytrego uśmieszku okraszającego jej usta. Dopiero gdy stanęła tuż przed wozem, Oran nabrał podejrzeń. Było już jednak za późno. Trzymana w prawej dłoni chustka zatrzepotała w powietrzu, a z jej wnętrza wydostała się chmura niebieskiego proszku, która natychmiast otuliła jego twarz. Drobne pyłki błyskawicznie wniknęły w jego nos i usta, odbierając mu dech.

- Co jest? - zdążył jeszcze wymamrotać, nim zwałił się głucho na dno wozu.

Volko otworzył szeroko oczy.

- Coś ty złościła, Wiedźmo? Zabiłaś mi blata! - krzyknął i w tym samym momencie chwycił leżący pod nogami bat i zamachnął się w jej stronę. Nie zdążył. Ostra strzałka wbiła się w jego szyję, powodując krótkie uczucie bólu. Chwilę później Volko stracił przytomność.

Obudził się w nieznanym miejscu, z lekkim bólem głowy i suchością w ustach. Niepomny ostatnich wydarzeń, rozejrzał się dookoła i aż krzyknął z wrażenia. Dookoła wręcz kipiało nieprzebranym bogactwem. Tuż obok rozległego łoża, na którym leżał, stał wspaniały stół z dwoma równie imponującymi krzesłami. Pomarańczowe światło kaganka odbijało się od ich gładkiej powierzchni i co jakiś czas padało na przykrytą skórą niedźwiedzia podłogę. Wokół niej, w pozornym nieładzie, leżały najprzeróżniejsze

przedmioty: pięknie skrzynki z kości słoniowej, wspaniałe butelki oraz liczne puzderka z najszczerzego złota.

To chyba jakiś pałac – pomyślał zdumiony Volko. – *Tylko co ja w nim robię?*

W kącie komnaty leżał kot. Jego dorodna sierść wyglądała, jakby była pokryta diamentami, a dwa seledynowe oczka z ciekawością lypały na chudzielca.

W życiu nie widziałem piękniejszego kota – pomyślał Volko.

Zwierzak jakby usłyszał jego myśli. Parsknął cicho, po czym odwrócił się w drugą stronę i zaczął dostojnie lizać swe klejnoty.

– Widzę, że mój rycerz wreszcie się obudził.

Głos dochodził z góry. Volko podniósł wzrok i aż zadrżał z wrażenia. Jego oczom ukazał się najpiękniejszy w jego parszywym życiu widok.

Widok mógł mieć najwyżej szesnaście lat i ciało godne samej bogini miłości Mokosz. Długie kasztanowe włosy opadały kaskadą na wąskie barki i kończyły swój żywot w okolicy odzianego we wspaniałą szatę tyłka. A był to nie byle jaki tyłek. Kształtny, zgrabny, wypukły i tak kuszący, że mógłby być inspiracją dla każdego poety.

Nieziemska piękność podeszła do oszołomionego Volka i nachyliła się nad nim. Jej pojawieniu się towarzyszył nieziemsko zmysłowy zapach płatków róż i letniego deszczu. Dopiero teraz chudzielec mógł z bliska przyjrzeć się jej twarzy. Ponownie zadrżał z zachwytu, chłonąc wszechotaczające ją piękno. Zmysłowe usta koloru czerwonego wina wyglądały tak, jakby były stworzone do pocałunków. A oczy... o bogowie. Miała szmaragdowe oczy wielkości oceanu, z których biła taka zmysłowość, że żaden normalny mężczyzna nie potrafiłby oderwać od nich wzroku. Piękność zatrzepotała namiętne rzęsami. Volko uszczypnął się w ramię.

Czy to sen? – pomyślał.

– Przyniosłam ci wino, mój bohaterze – powiedziała dziewczyna, a jej głos zabrzmiał niczym najwspanialsza muzyka świata, niczym pieśń dobrych wróżek. Niczym obietnica upojnej nocy.

- Kim... kim je... jesteś?

- Nazywam się Esterralda i jestem twoją dłużniczką, panie.

- Dłuż... dłużniczką? Jak to? Co się dzieje? Gdzie ja w ogóle jestem? Co ja tu robię? Czy to sen?

- To nie sen. Jesteś w mojej komnacie, piękny rycerzu. Napadli mnie zbóje, a tyś uratował mi życie. Jestem twoją dłużniczką - powtórzyła Esterralda i płynnym ruchem zrzuciła z siebie okrywającą szatę, stając przed chudzielcem zupełnie nago.

Volko zaniemówił.

To się nie dzieje naprawdę - pomyślał. - Ja śnię. Na pewno śnię.

Delikatna dłoń musnęła jego skórę. Esterralda przysunęła swą twarz do jego warg i po chwili ich usta stworzyły jedność. Dwa języki rozpoczęły wirujący, pełen zmysłowości taniec, stykając się ze sobą co chwila. Volko nieśmiało dotknął nabrzmiałych sutków wyrastających z idealnie kształtnych piersi, lecz zaraz cofnął dłoń, jakby bał się, że te rozplyną się w powietrzu, a on zostanie z niczym. Pragnienie jednak zwyciężyło, więc ponownie chwycił je w dłonie i zaczął delikatnie masować. Esterralda jęknęła z rozkoszy.

- O tak, mój rycerzu. Pragnę cię.

Jej dłonie rozpoczęły wędrówkę po całym ciele mężczyzny, aż w końcu zatrzymały się tam, gdzie Volko tego najbardziej pragnął. Delikatnie chwyciła jego nabrzmiąłą męskość i nie przestając całować, zaczęła poruszać nią w górę i dół. Chudzielec dawno już nie był z żadną kobietą. Wystarczyło kilka szybszych ruchów ręką i ciepła ciecz zalała dłoń Esterraldy. Volko jęknął z rozkoszy, wstydu i rozczarowania.

- Nic się nie martw, mój rycerzu - szepnęła namiętnie niewiasta. Spojrzała mu głęboko w oczy, oderwała się od jego ust, po czym zaczęła go namiętnie lizać po szyi, klatce i pępku. W końcu dotarła do oklapniętego kawałka mięsa i włożyła go w całości do ust. Fallus chudzielca powrócił do pełnej sprawności. Esterralda tylko na to czekała. Mruknęła niczym kotka w rui i błyskawicznie go dosiadła. Dwa splecione w miłosnym uścisku ciała zaczęły poruszać się w takt

bijących serc i przyśpieszonych oddechów. Volko był najszcześliwszym mężczyzną na świecie. Tej nocy był najszcześliwszym mężczyzną na świecie jeszcze cztery razy, po czym spleciony ze swoją kochanką niczym pnące bluszczu oplatające drzewo zasnął kamiennym snem.

Obudziły go jasne promienie słońca, wpadające przez niewielkie okno, oraz posępne wycie wiatru, znęcającego się nad spróchniałymi deskami chaty. Otworzył oczy i w tej samej chwili potworny smród zaatakował jego nozdrza, odbierając mu na chwilę dech.

Gdzie ja jestem? - zapytał sam siebie. Przekreślił głowę, chcąc rozejrzeć się dookoła, a to, co zobaczył, wstrząsnęło nim dogłębnie. Dookoła panował bród i nieznośny bałagan. Nic się nie zgadzało. Nie było wspaniałej komnaty, pięknych mebli ani złocistych ozdób. Zamiast tego najpodlejsza, kurna, chata, jaką Volko kiedykolwiek widział w swoim życiu.

Skądś znam to miejsce - pomyślał. Jakaś koścista dłoń drgnęła na jego klatce piersiowej. Z lewej strony usłyszał syczący odgłos chrapania. Stamtąd też dobiegał smród.

O bogowie, cóżem złego wam uczynił? Nie róbcie mi tego! Błagam, tylko nie to!

Bogowie byli jednak głusi na jego prośby. Najpewniej siedzieli z kielichami wina, ubawieni po pachy kawałem, jaki mu zrobili. Kolejna złowróżbna myśl zaświtała w bolącej coraz bardziej głowie. Volko bał się odwrócić. On już wiedział. Wiedział, ale nawet przed sobą samym nie chciał się do tego przyznać. Nagle poczuł potworne mdłości. Poderwał się z siennika i ruszył biegiem ku wyjściu. Po drodze zdążył chwycić leżące na oparciu krzesła spodnie i kopnąć leżącego kocura (który nie tak dawno był pięknym i dostojnym zwierzęciem). Z tyłu usłyszał szyderczy śmiech. Wzdrygnął się. Przyśpieszył kroku, wypadł przez otwarte drzwi i jednym susem wskoczył na stojący wóz. Kątem oka zdołał dojrzeć śpiącego w najlepsze i chrapiącego niczym niedźwiedź Orana.

- Dokąd tak pędzisz, mój rycerzu? - krzyknęła za nim Garvulla. -
A buzi na pożegnanie?

Bat przeciął powietrze i wylądował na skórze jednej z chabet.

- Wio! - krzyknął chudzielec i dla równowagi zdzielił drugiego konia.

Wóz leniwie ruszył po wyboistej drodze. Oran podniósł głowę, przetarł zaropiałe oczy i spojrzał ze zdumieniem na chudzielca.

- Co się dzieje? Gdzie my jesteśmy?

- Nic się nie dzieje. Śpij - warknął Volko, modląc się w duchu, by jego brat nie odkrył prawdy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że złośliwy grubas nie dałby mu żyć do końca dni.

Oran spojrzał na niego spod łba.

- Ależ mnie łeb boli... nic nie pamiętam. Dokąd jedziemy? I czemu nie masz spodni?

- Zawrzyj pysk, glubasie. Znów nachlałeś się jak świnia U Kulawego Chlabąszcza. Cud, żeś sam zdołał wejść na wóz, bo takiego cielska za nic bym nie podniósł - odpowiedział mu Volko, wymyślając najbardziej prawdopodobne kłamstwo. - A spodnie to żeś sam mi zalał. Już nie pamiętasz, łajdaku?

- A tak, tak. Coś sobie przypominam - burknął grubas, po czym z powrotem pogrzyżył się w krainie sennych mar.

[1] Bóg panteonu starosłowiańskiego, władca krainy dusz zmarłych przodków - Nawii.

[2] Jeden z najważniejszych słowiańskich bogów, bóg grzmotów, piorunów, wojny, walki, katastrof, odrodzenia, płodności i narodzin życia, opiekun warstwy rycerskiej.

Rozdział 3

Bolesław nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie zamieszanie wywołał, pojawiając się bez zaproszenia we śnie swego ojca. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię snuł się na przedzie wlokącej się niemiłosiernie kawalkady, która brnęła powoli wśród urodzajnych pól, niewielkich zagajników, bagien i łąk. Porywiste podmuchy wiatru przygnały z dalekich krajów gęstniejącą, ciemnogrnatową pierzynę chmur, która zwiastowała nadchodzącą burzę. Inna - lecz równie potężna - burza grzmiała w duszy i sercu młodego księcia. Tak pogodne zazwyczaj oczy były teraz poważne, matowe, a kąciki ust samoczynnie wyginały się ku ziemi.

Bolesław nie był typem człowieka, który długo nosi smutek w sercu. Pokłady wrodzonego optymizmu zaczęły stopniowo przeganiać z jego głowy ponure myśli, a na szlachetnym licu ponownie zagościł uśmiech. Początkowo nieśmiały, jednak z każdą chwilą zdobywający przewagę w tej bezkrwawej walce nastrojów. Wściekła twarz ojca zaczęła blednąć w jego pamięci, zastępowana przez leciutkie drzenie kończyn, tak nieodłączne wstępowaniu na nowe ścieżki życia.

Ahoj, przygodo - zawołał w myślach i uderzył boki konia ostrogami, by poczuć we włosach podmuch wiatru. Chciał pognać przed siebie, na złamanie karku, ku nowym łądom, ku nowemu życiu, lecz srogie spojrzenia eskortujących go żołnierzy skutecznie go powstrzymały. Zamiast tego wypiął dumnie pierś, zasunął wpół

powieki, wciągnął w głąb pól brzucha i zaryczał śpiewnym barytonem:

*Młoda dziewczyna o niebieskich oczach
Poznała piękny miłości złej smak.
Oj, zakochała się w zbójcu okrutnym,
Co zamiast serca lodowy miał głaz.
Bez niego żyć już nawet nie chciała,
On całym światem dla dziewczyny był.
Choć nieraz zbił ją i do bólu zranił,
Tak go kochała, że brakło jej tchu.*

Cudowny śpiew rozniósł się echem po okolicy i wtargnął z impetem do starganych dusz żołnierzy. Zamilkły wszelakie rozmowy, wszyscy ze skupieniem wsłuchiwali się we wspaniałą głos następcy tronu. Nawet konie jakby ciszej dyszały, nie śmiać zagłuszać chwytającej za serce pieśni rodem z ciemnych spelunek portowego miasta.

*Młoda dziewczyna o czarniutkich włosach
Siedziała w kącie i łkała bez tchu.
Podły rozbójnik znalazł sobie inną,
A ją skatował, wyrzucił na bruk.*

*Lecz nie umarła od kija ni pięści.
Jej ciało żyło, choć serce było trup.
Jej oczy wyschły, łez w nich brakowało,
Lecz dusza łkała i wyla co sił.*

*Chciało się zemścić dziewczę potargane
Przez życie podłe i przez życie złe.
Chwyciło ciężki miecz ostry jak skała
I cięło mocno, aż rozległ się jęk.*

*„Cóżeś zrobiła, dziewczyno przeklęta” -
Zdołał wycharczeć tylko podły zbój.
I upadł ciężko na ziemię bez życia,
I skonał w kącie, okrutnik ten zły.*

Bolesław skończył śpiewać, lecz słowa pieśni wciąż kołatały się w duszach żołnierzy. Niejeden ukradkiem otarł migoczącą w kąciku oka łzę, niejeden bezgłośnie wypuścił powietrze z ust, jakby własnym oddechem chciał oczyścić świat z wszelakiego plugastwa. Tylko wlokący się na samym końcu Drazdan z ostrym niczym sztylet spojrzaniem wbitym w plecy swojego podopiecznego zdawał się całkowicie nieporuszony. Targały nim na przemian wściekłość, żal i złość.

Niech cię szlag trafi, kozi wypierdku - myślał za każdym razem, gdy do jego uszu docierał perlisty śmiech następcy tronu. - Niech cię czorty porwą, a strzygi zrobią z twojej skóry bębenek. Obyś szczeł w męczarniach, a w twojej rzyci zagnieździło się tysiąc węży, ty zafajdany serze spod kobilej pyty.

I nie wiadomo było do końca, co wywołało te pokłady chwilowej nienawiści. Czy niewyspanie z powodu wczorajszej nocy, czy też może to, że przez wybryki tego nieokrzesanego szczeniaka samozwańczy rycerz musiał nagle opuścić ciepłe gniazdko, jakie sobie uwił w Pałacu Wiecznego Pokoju? A może fakt, że dzisiejszego wieczoru miał mieć schadzkę z pewną pulchną praczką, do której uderzał w konkury od kilku księżycy i z którą jego lędźwie wiązały nieczne plany? Tego się nigdy nie dowiemy. Faktem zaś pozostaje, że humor olbrzyma pogarszał się z każdym bujnięciem końskiego tułowia i nawet wesoła atmosfera jego towarzyszy nie zdołała go poprawić.

A wspomniani towarzysze bynajmniej nie zaprzęтали sobie uwagi dąsami snującego się z tyłu olbrzyma. Z ich ust co chwila wypływały kolejne pieśni, żarty, docinki, swawole. Lecz i oni się w końcu znużyli i na powrót zaległa względna cisza. Słyszać było jedynie ciężki

oddech, tupot koni, szum wiatru i wiecznie rozgadane ptactwo, co krążyło im nad głowami lub przeskakiwało z gałęzi na gałąź.

Bolesław się zamyślił. W jego pamięci ponownie zagościła wściekła twarz ojca, a serce zaczęło atakować mózg wyrzutami sumienia. By się od nich uwolnić, zacisnął usta w dwie wąskie kreski, ścisnął końskie boki łydkami i wyrwał do przodu. Niebawem zrównał się z dowódcą oddziału – dumnym mężem o okrągłej, nieco rumianej twarzy, zdobionej sumiastym i podkreślonym w górę wąsem. Łypnął na niego wzrokiem. Raz, drugi, trzeci. Przygłodził tańczące na wietrze włosy i uśmiechnął się zawadiacko. Żdan też się uśmiechnął. Nie zawadiacko. Ponuro.

- Jak długo będziemy jechać? – zagadnął beztrosko młodzieniec.

- Trzy dni, nie dłużej. Pojedziemy przez las, to zaoszczędzimy trochę czasu.

- Wy tu rządzicie, kapitanie... choć trzy dni to i tak kupa czasu. No ale przecież nie trza nam się tak śpieszyć. Wujaszek zaczeka.

W oczach księcia pojawił się charakterystyczny dla niego chochlik, zwiastujący niecny plan. Uśmiechnął się szeroko niczym młody chłopiec próbujący pierwszy raz w życiu dobrać się do kuszących cycuszków kuchennej dziewczki. A niezaprzeczalną prawdą jest, że żadne inne cycuszki nie są tak kształtne, tak soczyste i tak jędrne, jak te noszone przez dziewczki kuchenne. Czy to za sprawą dobrego jądła, odpowiedniej temperatury, czy też z jakiejś innej przyczyny, tego nawet najtęższe umysły ustalić nie zdołały.

- Przed tak długą podróżą przydałoby się zebrać siły w jakiejś karczmie. Przecież wiecie, szlachetny Żdanie, że nic tak nie umila podróży jak mocny trunek uderzający do łba. Od razu podróż weselsza się zdaje. A może, pssst, jakaś białogłowa wam podróż umili. Wszak służba ciężka, a żyć trzeba – kontynuował młodzieniec, spoglądając ukradkiem na srogą twarz starego wiarusa.

- Nie trza mi dziewczki, żonę mam. A zresztą w las zaraz wjedziem i karczmy tu nie ma żadnej. Prędzej chatę czarownic znaleźć można –

odparł żołnierz, chcąc zmienić temat rozmowy. - Powiadają, że dziwne rzeczy dzieją się w tym lesie. Dziwne i straszne.

Bolesław posmutniał.

- No cóż. Szkoda to wielka. W głowie mi łupie jak w jakiejś kuźni, gardło suche jak pustynia, no ale jak tam sobie chcecie. Jak sobie chcecie.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Księżę rozczarowany, trochę zły, trochę obrażony. Żdan zaś dumny z siebie i szczęśliwy, że wreszcie mógł utrzyć nosa jakiemuś wielmożowi. Przykręcił wąsa i jeszcze bardziej wypiął pierś, starając się wyglądać srogo i poważnie.

Pierwszy znów odezwał się Bolesław, który nie zwykł długo nosić w sercu urazy:

- Powiedzcie mi, szlachetny kapitanie, czyście już kiedyś byli w tym całym Pierdzińsku?

- Chcieliście chyba rzec „w Czerdzińsku” - poprawił go żołnierz, ponownie karmiąc swą wybujałą próżność. - Być nie byłem, lecz mój szwagier kiedyś tam stacjonował.

- Ach tak. A opowiadał może coś o tym miejscu? Jak tam jest?

- Coś tam opowiadał - zadumał się stary wiarus. - Zameczek to dosyć mały i przez długie lata był zaniedbany. Dopiero po rozpadzie królestwa zyskał na znaczeniu. Wasz ojciec kazał go rozbudować i obsadzić mocnym garnizonem, by chronił nasze ziemie od zachodu przed Helmundami.

- Słusznie, bardzo słusznie. Z tymi czortami to nigdy nic nie wiadomo. Przekłete to plemię, te Helmundy, oj, przekłete. A wuj Jarnasz? Jaki to człek?

- Nie znam go osobiście. Wiem tylko to, co o nim inni powiadają.

- A cóż takiego powiadają? - zainteresował się młodzieniec i jeszcze bardziej przybliżył się do Żdana.

- Człek to ponoć stanowczy i surowy, lecz sprawiedliwy. I strasznie na Helmundów zawzięty. Oj, zawzięty, jak nikt inny. Ledwo co od ziemi odrósł, gdy jego siostra została porwana przez jakiegoś

pomniejszego helmundzkiego paniczka. Co z nią robili, można się tylko domyślać. Wiele jest zła w tym parszywych plenienu. Oj, wiele. Kiedy już się nią znudzili, kazali jej ojcu pod zamek z okupem się udać. Mało tego. Gdy już się stawiał, kazali mu, psubraty, worek po mące z wyciętymi otworami na łeb i ręce nałożyć i stać tak przez dwie noce pod bramą, nim ci łaskawie zgodzili się go wpuścić. Zima wtedy okrutna była. Oj, była. No ale stał biedak pokornie, by córkę odzyskać, gdy te kurwie syny siłą ją brali. Każden jeden, co chciał. Nawet stajennym ją dawali. W końcu, zmarzniętego prawie na śmierć, wpuścili za bramę, kopiąc i bijąc biedaka gdzie popadnie. Córkę mu przyprowadzili nagą i pokrwawioną, ale nie oddali jej tak łatwo. Nie oni. Zło w nich siedzi takie, że za nic łzy ojca mają. Oj, twarde serca mają, psy chędożone. Twarde i złe. Umyślcie sobie, książę, że kazali biednemu ojcu oko sobie wydłubać, by mógł córkę odzyskać. Tak, oko. I to własnoręcznie. Nie namyślając się długo, ojciec, niejaki Zbyszko, Maćko, czy jak mu tam, chwycił długi sztylet i bez słowa skargi wsadził go sobie w oko. Wydłubał je bez jednego krzyku, taka to jest ojcowska miłość w naszym narodzie. Nawet te podłe psy były pod wrażeniem. W końcu oddali mu córkę. Ale to już nie była ona. Ponoć zwariowała doszczętnie po tych wydarzeniach. Co noc darła się na całe gardło, wyrywała włosy z głowy i rzucała dookoła wszystkim, co wpadło jej w ręce. Na własne życie kilka razy się nawet targnęła, ale zawsze zdołano ją odratować. W końcu ojciec kazał ją zamknąć pod kluczem, a sam mścił się na Helmundach parszywych do końca swego życia. Niejeden z nich w strasznych męczarniach zdechł. I jego syn, Jarnasz, też to robi. Nienawiść w nim straszna do tego zdraдлиwego plemienia. Oj, straszna.

Żdan skończył mówić i zapatrzył się na mijane drzewa.

- Smutna to niezwykle opowieść, ech, jakże smutna - westchnął Bolesław. - Co by tu nie mówić, nie dziwię się wujaszкови. Parszywe to plemię, te Helmundy zafajdane. Coś wiem na ten temat. Siedziałem sobie kiedyś z mymi przyjaciółmi w karczmie, to było chyba w Czarnym Lufcie lub Łajnie Nietoperza, sam już nie wiem... zresztą

to najmniej ważne. No więc siedzimy sobie spokojnie, a tu wchodzi do karczmy kilku tych parszywców. Wchodzą, rozsiadają się wygodnie i zaczynają świergotać po swojemu, drąc mordy, jakby u siebie byli. Aż nie dało się tego słuchać. A język ich gorszy niż szczekanie psa. Twardy, dudniący w uszach i nieprzyjemny. I jeszcze te wąsate mordy. To znaczy nie takie piękne i szlachetne wąsy jak u was, panie – zreflektowałem się książę – tylko takie... ech, brak mi słów, by to opisać. No ale nic. Pamiętam, że strasznie mnie wtedy we łbie łupało, bom poprzedniej nocy zbyt wiele wina wypił, a ci drą te ryje, jakby nigdy nic. Zero szacunku dla drugiego człeka. Mało tego. To może bym i jeszcze zdzierzył, ale wyobraźcie sobie, że jeden z nich chwycił nagle karczemną dziewczkę za zadek. Ot, taki łajdak. Nie żebym się dziwił. Zadek miała białka taki, że aż się prosiło, żeby za niego złapać. Sam nieraz to robiłem, no ale co można mnie, to nie byle jakiemu obszcymurowi. Niech u siebie łapią grube dupiska dziewczek. A powiadają, że białogłowe u nich ładniejsze tylko troszkę od świń. Stąd może ta ich nienawiść do wszystkich. Wszak wiadomo, że jak człek nie zakosztuje pięknej niewiasty, to zły na cały świat. A że tam same szpetne ropuchy, to i może stąd ta ichnia podłość. No nie wiem, nie wiem. Coś w tym może być.

- Pewnie i rację macie, książę. Tak może być – zgodził się łaskawie wąsacz.

- W każdym razie strasznie mnie rozeźlili, zafajdane końskie zwisy. Nie tylko zresztą mnie. Każden jeden patrzył na nich spod byka, a ci nic. Siedzą sobie spokojnie, żłopią piwska i jeszcze dziewczki nam obłapują. Oj, wkurzyli się nasi panowie. Żałujcie, żeście nie widzieli, jaki łomot im spuściliśmy pospołu. Nawet zazwyczaj spokojny karczmarz ganiał ich po ulicy z miotłą w ręku. Ha, ha, ha. Prędko już tu nie wrócą, jeżeli w ogóle.

Bolesław uśmiechnął się ciepło na samo wspomnienie tego wydarzenia. Uśmiechnął się także zazwyczaj ponury Żdan, któremu ta opowieść niezmiernie przypadła do gustu.

Ciemnogrnatowe chmury przesłoniły w całości niebo, okrywając świat płaszczem niepokoju. Zaczął siąpić drobny deszcz. Gdzieś daleko stąd zagrzmiało niczym w kuźni Swaroga. Ciężki piorun uderzył w stojące samotnie drzewo, łamiąc je na pół, a jego błysk oświetlił na krótką chwilę ponure sylwetki dwudziestu konnych postaci jadących wąską ścieżką wśród zdradliwych bagien. Jechali gęsiego, nie odzywając się do siebie ani słowem. Groźni, ponurzy, złowieszczy. Nie mieli chorągwi ani tarcz z namalowanymi herbami. Mieli za to ostre miecze, kusze i jak najgorsze intencje. Z każdą chwilą coraz bardziej zbliżali się do oddziału książęcego syna. Nie śpieszyli się jednak, mieli czas.

A tymczasem wzmógł się deszcz. Jadący na czele Żdan pogonił konia ostrogami, by jak najszybciej dotrzeć do majaczącego w oddali lasu. Błoto rozpryskiwało się pod kopytami jego konia, znacząc płaszcz i twarz brązowymi plamkami. Znowu walnął piorun, tym razem bliżej. Jeden z koni stanął dęba, lecz dosiadający go jeździec zdołał opanować sytuację. Bolesław skulił się w siodle, chcąc się schować przed coraz zimniejszym wiatrem. Nie myślał już o ojcu ani nowym życiu na peryferiach księstwa. Myślał o zdradliwej pogodzie, której nastrój uległ tak drastycznej zmianie. W jednej chwili radosna, wesoła, rozkoszna, by chwilę później wybuchnąć przeraźliwym gniewem i skryć świat w grubych łzach. Las był coraz bliżej. Już zdołali dojrzeć pierwsze drewniane kolosy, wznoszące się majestatycznie do nieba. Już wysoko rozłożone korony smukłych sosen, modrzewi i świerków zaczęły ich chronić przed lejącymi się z góry potokami wody. A w miarę jak kawalkada wjeżdżała głębiej, bór stawał się coraz gęstszy. Gęstszy i bardziej ponury. Zamilkły wszelkie rozmowy, żarty i śmiechy. Potęga lasu na każdym robiła wrażenie. Słyszać było tylko spadające krople deszczu i ciche sapanie koni. Gdzeniegdzie przemknął jakiś zwierz, lecz poruszony niecodziennym widokiem dziwnych stworów, postanawiał czym prędzej skryć się w gęstwinie mroku. A im dalej wjeżdżali, tym czuli coraz większy niepokój. Tak jakby straszliwe opowieści dotyczące

tego miejsca miały się zaraz urealnić. Droga zrobiła się węższa, więc musieli jechać jeden za drugim. Czasem schodzili z siodła, by ominąć leżące w poprzek kłody, powalone drzewa lub wyrastające nagle krzaczory. Czasem oddalali się od siebie, lecz zaraz znów zbijali się w ciasną gromadę, jakby to mogło zapewnić im bezpieczeństwo przed nieokiełznaną potęgą lasu.

Zrobiło się ciemniej i chłodniej. Opatulili się szczelniej płaszczami, założyli na głowy obszerne kaptury, ciesząc się, że gęsty las chroni ich przed wiatrem. Starali się nie słyszeć jego ciężkich jęków, świstów, szelestów, nie myśleć o czających się za grubymi pniami stworach czy o duszach zbłądzonych wędrowców wirujących na wietrze wraz z pożółkłymi liśćmi. Las zdawał się wyczuwać ich obawy, nagle bowiem nagle gęsty szpaler pni uległ rozrzedzeniu, a oczom jeźdźców ukazała się niewielka, przytulna polanka, otoczona ze wszystkich stron wiekowymi dębami.

- Tutaj rozbijemy obóz - zakomenderował kapitan ku niepomiernej uldze skwaszonego Bolesława. Nieprzyzwyczajony do długich podróży książęcy syn był potwornie zmęczony. Twarde siodło wbijało mu się w arystokratyczną rzyć, powodując narastające otarcia, a ból pleców rozchodził się promieniście na wszystkie strony ciała. Do tego brak wina. Oj, jak mu się chciało zmoczyć gardziółko. Niestety w bukłakach, na wyraźny rozkaz jego ojca, była tylko woda. Czysta woda - jak dla jakichś zwierząt.

Pozostali jeźdźcy także odetchnęli z ulgą. Bez zbędnych słów zsiadli z koni i poczęli je rozkulbaczać. Każdy wiedział, co ma robić. Jedynie Drazdan stał ponuro i patrzył w mroczną gęstwinię lasu, jakby nad czymś usilnie rozmyślał.

- Zebrać drewno, rozpalić ogień! - co rusz rozlegał się nawykły do wydawania rozkazów głos Żdana. -Tylko szybko! Jeden czuwa, reszta śpi. Ty - wskazał na młodziutkiego żołnierza o ostrych rysach i wydatnych kościach policzkowych - stajesz pierwszy na warcie. Potem ty i ty. Konie przywiązać do drzew, blisko siebie. Reszta ma się

wyspać w nocy, a nie brandzlować pod kocem. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Gromki śmiech wydobył się z gardeł żołnierzy.

- Tak jest, panie kapitanie - odpowiedzieli chóralnie i każdy poszedł w swoją stronę.

Żdan zeskoczył z konia i zaczął doglądać swoich podwładnych. Od czasu do czasu popędził kogoś czubkiem własnego buta lub wyzwał jego matkę od najgorszych. Czasem połaskotał opieszałego żołnierza pieśczośliwym kuksańcem. Nie było w tym jednak złośliwości, nie było zła. Tylko zwykła ojcowska surowość, coby każdy dobrze swe miejsce na ziemi znał. I gdy już się zmęczył, gdy surowa twarz jakby złagodniała, do jego uszu dotarł tubalny głos. Odwrócił się przeto nasz kapitan i zmarszczył brwi srodze.

- Co? - spytał i podkręcił wąsa, niesłusznie myśląc, że tym gestem dodaje sobie znaczenia.

- Musimy rozpalić więcej ognisk i podwoić warty. Duża wataha wilków czai się w pobliżu - powtórzył Drazdan.

Kapitan ponownie zmarszczył brwi, tym razem mocniej i na dłużej. Odwrócił swą twarz, zacisnął zęby i zrobił kilka kroków w przód.

- Mówiłeś coś? - spytał lodowatym głosem, wlepiając mordercze spojrzenie w ślepie Drazdana.

Rzadko kiedy ktoś śmiał kwestionować jego rozkazy, a już w obecności podwładnych mu żołnierzy? To zakrwawiało na straszną obelgę. Olbrzym zdawał się tego nie widzieć. Jego oczy były przymrużone, twarz spięta, poważna, zatroskana. Co rusz rozglądał się dookoła, co rusz zaciskał dłoń na toporze. Podświadomie czuł grożące im niebezpieczeństwo.

- Tu nie jest bezpiecznie - powiedział. - Wokół nas kręci się dużo wilków. Jedna wataha idzie za nami od początku lasu. Trzeba rozpalić duże ognisko pośrodku obozu i parę mniejszych wokół. I koniecznie wzmocnić warty. Mam złe przeczucia.

Żdan spojrział na niego, jakby zobaczył wilkołaka albo co najmniej upiora. Raz jeszcze podkreślił sumiastego wąsa, nastroszył brwi i splunął samozwańczemu rycerzowi pod nogi.

- Ja tu wydaję rozkazy. A wilki to ty masz w dupie - powiedział rozeźlony.

Kilku żołnierzy roześmiało się głośno.

- Będzie mi tu o wilkach dukał, psia jego mać - dodał, patrząc w ich stronę, jakby szukał aprobaty.

- Głupiś - powiedział olbrzym. - To złe wilki. Zrób, co rzekłem.

- Kogo nazwałeś głupkiem? - wycedził Żdan, zaciskając ze złości zęby. Podeszedł do Drazdana tak, że prawie nadepnął mu na czubki palców, zadarł głowę do góry i buńczucznie wlepił w niego swoje ślepie, jakby chciał go zabić samym spojrzeniem. Cokolwiek byśmy nie powiedzieli o starym wiarusie, jedno trzeba mu przyznać: strach się go nie miał. - Powtórz to jeszcze raz, a flaki ci rozpruję - dodał, ciskając wokół drobinkami śliny.

- Zrób, com rzekł, bo inaczej wszyscy zginiemy. Z wilkami nie ma żartów.

- W dupie mam wilki, wypierdku jeden! Ja tu rządę i żaden chłystek nie będzie mnie pouczał. Żaden, choćby nie wiem, ile miał wzrostu. Mnie, starego Żdana, co na niejednej wojnie zęby sobie połamał. Pfu. Zmiataj stąd, póki jeszcze ręczę za ciebie, bo inaczej... inaczej...

- Głupiś.

Twarz kapitana przybrała barwę czerwieni, purpury i znów czerwieni. Jego oczy zwężyły się do drobnych szparek, policzki naszły krwią. Cofnął się o krok i zacisnął zęby. Następnie chwycił przypięty do pasa miecz i nagłym ruchem wyciągnął go z pochwy.

Rozległ się złowróźbny zgrzyt. Ostrze dotknęło szyi Drazdana.

- Powtórz to jeszcze raz! Chociaż raz - wycedził, powoli wymawiając każde słowo.

Twarz Drazdana pozostała niewzruszona. Nie cofnął się, nie zląkł.

- Nie wyskakuj mi tu z żelastwem, bom ci nie wróg. Mówię tylko, byś rozpałił więcej ognisk, bo w tym lesie różne dziwne się dzieją. I nie patrz się na mnie, jakbym ci dziewczkę zbałamucił, tylko rób, co mówię.

- Zaraz to ja ciebie zbałamucę, wypierdku jeden - natychmiast padła rzutka odpowiedź.

Drazdan prychnął z pogardą. Żdan zagotował się. Miecz upadł na ziemię, a w jego miejscu pojawiła się twarda, żołnierska pięść. Już nadlatywała, już zbliżała się do szczęki stojącego na rozwartych nogach olbrzyma i już miała się boleśnie z nią spotkać. Nie spotkała. Monstrualna głowa cudzoziemca odchyliła się w tył i niczym pocisk wystrzelony z procy wyrwała do przodu. Twarde czoło przykleiło się na krótką chwilę do nosa Żdana, przynosząc odgłos pęknięcia kości. Kapitan zachwiał się, po czym runął jak długi. Zaraz jednak wstał, a jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza. Oręż zawisł na chwilę w powietrzu, zatoczył w powietrzu łuk i już miał zamiar runąć w dół, gdy wtem pełną napięcia ciszę wypełnił groźny głos Bolesława:

- Stój!

Żdan stanął. Krople krwi kapały mu z rozbitego nosa, dłoń dzierząca miecz drgała nerwowo, zęby zgrzytały o siebie, lecz Żdan bał się sprzeciwić rozkazowi książęcego syna. Niechętnie wsunął miecz do pochwy i odwrócił się na pięcie. Jego pierś poruszała się rytmicznie w takt nierównego oddechu, a zamglone oczy poszybowały w bok, chcąc uciec od spojrzeń żołnierzy. Połaskotały stateczne dęby, objęły pasące się beztrosko wierzchowce, musnęły stojącego nieruchomo wilka i przeniknęły przez rozłożone wysoko korony drzew.

Basior zaś odczekał jeszcze kilka chwil, po czym bezszelestnie zniknął w gęstwinie krzaków. Gdy wrócił do swego stada, natychmiast otoczyło go dziewięć olbrzymich bestii z cieknącą z popielatych pysków śliną. Ich zęby skradły na chwilę otaczający ich mrok, a z ust dobyło się przeciągłe wycie. Później zamilkły, czekając w spokoju na odpowiednią porę.

Zaatakowały przed świtem, tak jakby wiedziały, że wtedy ludzki sen jest najmocniejszy. Konie zaczęły głośno parskać, siedząca na gałęzi sowa przekręciła łeppek, trwający w błogim półśnie wartownik poderwał głowę. Za późno. Zdążył zobaczyć jedynie lecący w swoją stronę cień, nim potężna szczeka wbiła się w jego gardło, a ostre jak piła kły przebiły tętnicę szyjną. Krew trysnęła szerokim strumieniem, rozdziewiczając polanę. Mężczyzna jęknął, po czym padł bez tchu na ziemię.

Drazdan przebudził się i od razu wyczuł niebezpieczeństwo.

- Alarm! Do broni! Wilki! - wydarł się na całe gardło, sięgając w tym samym czasie po leżący obok topór. W ostatniej chwili. Dwie bestie już leciały w jego stronę.

Rozległ się krótki świst. Jedno cielsko upadło z hukiem u jego stóp, a głowa zwierza poturlała się w siną dal, po czym zatrzymała się w dogasającym ognisku. Drugi z wilków zmienił nagle kierunek i teraz zmierzał wprost na wstającego Bolesława. Topór ponownie świsnął w powietrzu, lecz tym razem trafił w próżnię. Bestia oderwała się od ziemi i poszybowała w powietrzu, chcąc wbić ostre pazury w gardło młodzieńca. Drazdan ruszył na pomoc, lecz nagle coś wskoczyło mu na plecy. Ostre pazury ześlizgnęły się po skórzanym pancerzu, a zęby kłapnęły w powietrzu.

- Won, ścierwo! - krzyknął, po czym odwrócił się i kopnął zwierza w pysk.

Wilk zawył i cofnął się kilka kroków, jakby chciał zrobić sobie miejsce do nowego ataku. Warknął, wyszczerzył zębiska i spiął twarde niczym skała mięśnie. Drazdan przerzucił broń do drugiej ręki i splunął na ziemię. Czekał.

Parę kroków dalej trwała nierówna walka. Ostre pazury wbijały się w delikatną skórę Bolesława, a zęby gryzły chroniące szyję ramię. Ból był ogromny. Młodzieniec zamknął oczy i w myślach pożegnał się z życiem. Nie czuł żalu, tylko bezkresny smutek, że nie zdążył naprawić wyrządzonych w życiu szkód. W myślach ujrzał bladą, zamartwioną twarz ojca. Poczł wściekłość, która na krótką chwilę

przesłoniła mu strach. Zacisnął w pięść drugą dłoń i uderzył z całej siły w pysk wilka. Spróbował jeszcze kilka razy, lecz z tym samym, mizernym skutkiem.

Jego dłoń - niczym kukielka kierowana przez teatralnego aktora - powędrowała do pyska futrzastego diabła, ominęła zaciśnięte na drugiej ręce zęby i skierowała się wyżej. Rozległo się ciche mlaśnięcie, gdy kciuk wbił się wprost w jarzące złem ślepie. Wilk warknął, uścisk zelżał. Ta sama dłoń opadła ku ziemi i zaczęła błądzić w poszukiwaniu sztyletu, który gdzieś tam leżał. Wilk zaatakował raz jeszcze - był bardziej wściekły, bardziej żądny krwi. Ostre zęby ponownie wbiły się w rękę człowieka, zagłębiając się w niej aż do kości. Bolesław poczuł przeraźliwy ból, który odebrał mu na chwilę dech. Serca waliło mu jak oszalałe, a usta łapczywie walczyły o odrobinę życiodajnego tlenu. Ruchy dłoni były coraz bardziej nerwowe, wręcz paniczne, powietrze gęstsze, ból niewyobrażalny. Wreszcie natrafił na upragniony kształt. Zacisnął mocno palce i, odnajdując w sobie resztki sił, dźgnął zwierza w kark.

Z boku rozległ się przeraźliwy krzyk. Pani Śmierć oderwała spojrzenie od walczącego o życie następcy tronu i ruszyła w tamtą stronę. Przeskoczyła nad ciałem wartownika, ominęła dwa wilki, które właśnie rozszarpywały drącego się wniebogłosy blondynka, i szybkim ruchem dłoni przejechała mu kosą po szyi. Następnie pochyliła się nad nim i z czułością żegnającej się matki złożyła na jego ustach ostatni pocałunek.

Świat jeszcze bardziej zwolnił swój bieg. Drobne kropelki deszczu spadały z pożółkłych liści, mieszały się z gęstą krwią wilka i oblepiały twarz półprzytomnego Bolesława. Bestia zadrzała w konwulsyjnych drgawkach, po czym znieruchomiła. Młodzieniec odetchnął z ulgą.

Tymczasem Drazdan i basior wciąż mierzyli się wzrokiem. Bładoniebieskie ślepie futrzastej bestii zdawały się pochłaniać całe światło gwiazd, które docierało z wysoka przez gęstą pelerynę stworzoną z rozłożystych koron drzew. Świeciły jasnym, niebezpiecznym blaskiem, jakby chciały zahipnotyzować dyszącego

ciężko Drazdana. Na czole olbrzyma perliły się kropelki potu, a mięśnie drgały bezwolnie w rytm pulsujących żył. Nie widział wokół walczących o życie towarzyszy, nie słyszał hukania zaciekawionej sowy ani szeleszczącej mowy liści. Istniała tylko pokryta lśniąca sierścią masa mięśni, prężąca się do skoku. W końcu wilk zaatakował, a jego ciało przez krótką chwilę przypominało lecącego w powietrzu Żmija^[1]. Drazdan zdołał uskoczyć w bok i w tej samej chwili wprowadził piekielnie mocny cios. Zbyt wolny i zbyt niecelny. Ostrze topora minęło ciało wilka, nie robiąc mu najmniejszej krzywdy. Bestia wylądowała miękko na nogach i, nie tracąc czasu, ponownie poderwała się w górę w szaleńczym ataku. Tym razem Drazdan nie zdołał uskoczyć i padł jak długi na ziemię, przygwożdżony przez futrzastego diabła. Rozległ się głuchy huk i zgrzyt pazurów po utwardzanej skórze. Olbrzym poczuł potworną woń dobywającą się z pyska zwierzęcia i ujrzał z bliska ostre jak szpikulce zęby oraz jarzące się ślepia, które aż parzyły go od środka. Były tuż przy jego twarzy. Nie poddał się jednak. Chwycił oburącz bestię za szyję i zacisnął na niej swe mocarne dłonie. Wilk warknął i kłapnął zębami w powietrzu. Raz, drugi, trzeci. Drazdan wzmocnił uchwyt. Jego mięśnie zaczęły palić, jakby były przypalane pochodnią, lecz on wiedział, że nie może teraz puścić.

Trwali tak w pozornym bezruchu niemal wieczność. Kąsanie stawało się coraz wolniejsze, ból mięśni się nasilał. Ucichł wiatr, zamilkły drzewa. W górze ponownie zahukała sowa, której głos zabrzmiał tym razem jak chichot bogów. Basior wyteżył mięśnie, by raz jeszcze zaatakować, lecz umięśnione ramiona Drazdana nie pozwoliły jego zębom zatopić się w ludzkim ciele. Zdechł.

Olbrzym zrzucił z siebie jego bezwładne cielsko i podniósł się ciężko z ziemi. Nogi ugięły się pod nim, świat wokół zakreślił, a serce niemal rozerwało mu klatkę piersiową i wyskoczyło na zewnątrz. Zaraz jednak doszedł do siebie. Chwycił za leżący topór i z całej siły zatopił jego ostrze w brzuchu bestii. Następnie otarł ciekący ciurkiem pot z czoła i wciągnął w płuca haust nocnego powietrza.

Świat znów nabrał barw, sowa zamilkła. Drazdan kątem oka ujrzał leżącego na ziemi Bolesława.

- Bogowie, tylko nie on - szepnął do siebie i, nie bacząc na potworne zmęczenie, rzucił się w jego stronę. Po chwili odetchnął z ulgą. Pierś młodzieńca poruszała się rytmicznie to w górę, to w dół, a piwne oczęta spoglądały świadomie na olbrzyma. Książęcy syn zdołał się nawet uśmiechnąć, gdy wtem nocne powietrze rozdarł przeraźliwy wrzask. Mężczyźni jednocześnie odwrócili głowy i ujrzeli trzy dzikie bestie, pastwiące się nad leżącym na ziemi Żdanem. Kapitan próbował się bronić, lecz był bez szans. Ostre kły rozszarpywały jego ciało, odrywając co chwila duże połacie mięsa. Ziemia wokół była pokryta czerwienią, która kontrastowała z bielą wystających kości i szczerzących się w przeraźliwym grymasie ostrych, wilczych kłów.

Drazdan poderwał się z ziemi i ruszył kapitanowi na pomoc. Czuł w dłoni przyjemny ciężar topora. Było jednak za późno. Stary wiarus już nie żył, a jego ciało stało się areną walki między wygłodniałymi wilkami o jak najlepsze kęski świeżego mięsa. Zwierzęta, powarkując na siebie nawzajem, zapomniały o reszcie świata. Puste brzuchy zaczęły powoli się zapełniać, a ich czujność osłabła.

- Stój! - zawołał któryś z żołnierzy, widząc zbliżającego się Drazdana.

W powietrzu zabrzączał wirujący bełt. Jeden z wilków został odrzucony na kilka kroków. Po chwili dwa kolejne groty wbiły się w sam środek futrzastej gęstwiny, odmawiając zwierzętom prawa do ostatniego posiłku.

Nieco dalej trójka żołnierzy tłukła z wściekłością skulone truchło wilka, mszcząc się za śmierć swych towarzyszy. Inna dwójka właśnie rozprawiała się z kolejną bestią, rozłupując jej czaszkę na pół i pokrywając zielone krzaki plamkami jasnoczerwonej posoki.

Nastała przeraźliwa cisza, zakłócana jedynie nerwowymi parsknięciami koni i złośliwym chichotem sowy. Drazdan chwiał się na nogach, Bolesław zemdłał. Reszta mężczyzn ciężko oddychała

przez szeroko otwarte usta i patrzyła dookoła bezradnym wzrokiem, jakby dopiero teraz docierało do nich szaleństwo leśnej głuszy. Wokół, jak okiem sięgnąć, leżały złączone w pośmiertnej zgodzie zakrwawione trupy ludzi i zwierząt.

Wzeszło słońce. Zatrzepotały skrzydła szaroburej sowy, która poderwała się nagle z gałęzi, nie mogąc dłużej na to wszystko patrzeć. Mężczyźni spojrzeli po sobie, po czym zaczęli budzić się z krwawego koszmaru. Bolesław wciąż był nieprzytomny. Drazdan pochylał się nad nim i opatrywał mu ranę. Część żołnierzy także wymagała pomocy. Inni zebrali się w kółko i rozglądali trwożliwie na boki. Kilku z nich wyjęło bukłaki z winem, które zaraz zaczęły przechodzić z rąk do rąk.

- Trzeba pochować zmarłych i wynieść się jak najszybciej z tego przeklętego lasu - odezwał się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o szeroko rozstawionych oczach i wyraźnie zarysowanej szczęce. Nazywał się Ciszpirz i to on jako najstarszy rangą przejął po śmierci Żdana dowodzenie oddziałem.

Żołnierze bez zbędnych słów zabrali się do roboty. Wkrótce pośrodku leśnej polany stanęły cztery stosy z leżącymi na górze ciałami poległych. Między nimi zebrali się ich żyjący kompani, chcąc towarzyszyć swym braciom w ich ostatniej drodze.

Zaskwierczał ogień. Czerwone płomienie wesoło skakały po rozłożonych szczapach drewna, aż w końcu dotarły do leżących na szczycie ciał. Żołnierze w skupieniu obserwowali to widowisko. Żaden z nich się nie poruszył, żaden nie zapłakał - byli wszak twardymi ludźmi, którym śmierć nieobca.

Nagle wśród skwierczenia ognia, wśród niepasującego do tragizmu chwili radosnego trełu ptaków rozległ się żałobny śpiew. Zaraz inne głosy dołączyło do niego, tworząc melancholijną litanię, która miała przebić się przez mech, pokonać grubą warstwę ziemi i dostać się do uszu władcy zielonej Nawii^[2]:

Już nie cierpicie głody ni chłodu,

*Już nie cierpicie bólu ni łez,
Już wasze ciała oczyszcza ogień,
A dusza w zieloność Nawii się rwie.*

*Mężni ojcowie, bracia i syny,
Coście tak dzielnie walczyli dziś,
Coście swe życie w darze złożyli,
By wraz z przodkami wino wnet pić.*

*Przyjmij ich, Panie, do twych szeregów,
Daj im schronienie w krainie twej.
Każdy ich śladem wkrótce podąży,
Klepsydra życia przewróci się.*

Żołnierze stali jeszcze przez długi czas, czekając aż nie tak dawno żywe ciała ich towarzyszy przemienią się w zszarzałe popioły, rozwiewane przez wiatr na wszystkie strony świata. Obok nich, uśmiechając się perfidnie, stała zgarbiona starucha o twarzy spowitej w cieniu obszernego kaptura. W ręku trzymała kosę, którą raz po raz uderzała o ziemię. Nikt jej nie widział, lecz ona tam była. Zawsze jest.

Ciszpirz odwrócił się na pięcie i podszedł do nieuczestniczącego w ceremonii pogrzebowej Drazdana. Olbrzym siedział z boku i patrzył tępo na martwe zwłoki basiora. Jego czoło spowiła gęsta mgła zadumy, a palce bezmyślnie stukały o umięśnione udo. Nowy dowódca przysiadł tuż koło niego. Po jego minie widać było, że usilnie myśli nad doborem słów.

- To moja wina - zaczął zboliałym głosem. - Winieniem was posłuchać i spróbować przemówić kapitanowi do rozsądku. To był dobry człęk i znakomity żołnierz, tylko porywczy jak diabli i wyczulony na swoim punkcie. Przyszło mu zapłacić za to najwyższą cenę.

Drazdan odwrócił w jego stronę twarz.

- Widocznie tak miało być. Nie ma co szarpać sobie sumienia. Powinniśmy się martwić czymś innym.

- Czym? - wtrącił się nagle Bolesław, który, obawiając się wybuchu kolejnej sprzeczki, podszedł do nich i ukucnął z boku.

- Sam nie wiem. Nie podoba mi się to wszystko. Wilki się tak nie zachowują. Nie atakują ludzi, gdy nie muszą, a te mi nie wyglądają na takie, co głodują. Nawet nie ruszyły koni. Poza tym...

- Poza tym co?

- Poza tym jest z nimi coś dziwnego. Ta wataha jest inna.

- W jakim sensie inna? Co masz na myśli?

- Jak dobrze wiecie, książę, moje życie różnie się toczyło. Kiedyś przez dwa lata żyłem w lesie i dobrze poznałem zwyczaje dzikich zwierząt. Wilki też poznałem i wiem co nieco o nich. Normalna wataha składa się z pary rodzicielskiej, młodych i czasem kilku wilków z poprzednich miotów. Przewodzi nimi najsilniejszy i najbardziej agresywny samiec - basior. A tutaj... no właśnie. Tutaj nie było ani jednej samicy, tylko... tylko same basiory. Olbrzymie, silne basiory.

Ciszpirz cicho jęknął, Bolesław zadrżał, obydwaj otworzyli szeroko usta i spojrzeli na Drazdana.

- Może to nie wilki, tylko biesy, drzewice lub jakieś inne paskudztwo, których w tych lasach nie brakuje? - spytał cicho Bolesław i aż się skulił ze strachu.

- Nie. Biesy lub drzewice są jeszcze gorsze. Spotkania z nimi nikt by nie przeżył. To były wilki... tylko jakieś inne, zakłète.

Samoczynnie zbliżyli się do siebie i rozejrzeli trwożliwie dookoła. Ponury las stał się jeszcze bardziej ponury, złowrogi, straszny. Radosny trel ptaków brzmiał teraz w ich uszach niczym wycie potępionych dusz, a skrzeczenie ognia było jak obietnica wiecznych katuszy.

Drazdan przełknął ślinę.

- Co robimy? - odezwał się. - Jedziemy dalej czy wracamy?

- Jedziemy - zdecydował Bolesław. - Długa droga za nami. Nie ma sensu wracać. Tylko bądźmy ostrożni. I zachowajmy naszą rozmowę dla siebie. Nie chcemy przecież wywoływać paniki.

Drazdan przytaknął, Ciszpirz poszedł wydać stosowne rozkazy i po krótkich, lecz nader nerwowych przygotowaniach pomniejszony oddział wyruszył w dalszą drogę. Jechali powoli, rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu kolejnych futrzastych bestii, lecz tym razem to nie ich powinni się obawiać.

W tym samym czasie niewielką dróżką prowadzącą wzdłuż wysadzanych złocistym zbożem pól jechało dwudziestu ponuro wyglądających zbirów - poddanych Lady Erzsébe. Jeźdźcy właśnie wjechali do niewielkiego brzozowego zagajnika, by po chwili znaleźć się w pobliżu małej osady, składającej się z pięciu rozpadających się chat. Złęknieni chłopcy pochowali się w najgłębszych zakamarkach, modląc się do bogów o zlitowanie. Tylko dwa łaciate burki jazgotały wniebogłosy, biegnąc obok końskich kopyt i kłapiąc rdzawymi pyskami, chcąc zasłużyć na pełną miskę. Zaraz jednak umilkły, przeszyte strzałami. Jeźdźcy się nie zatrzymali. Wjechali w wąską ścieżkę, biegnącą wzdłuż zwawo płynącego strumyczka, który spływał z pobliskich, majaczących we mgle gór. Z przodu rozciągał się wąski wąwóz, który niebawem gościnnie otworzył przed nimi swoje wejście.

Znaleźli się u celu.

Zsiedli z koni i bez zbytniego pośpiechu zaczęli przygotowania do napaści. Każdy doskonale wiedział, co ma robić. Z daleka wyglądali niczym karny oddział doświadczonych wojów, uwijających się w pocie czoła. Z bliska - jak banda oprychów przygotowująca zasadzkę. Podstępne oczka łypały na wszystkie strony, zgrubiałe dłonie gładziły stal, palce muskały cięciwy, a nogi niosły ich za potargane przez erozję skały. Teraz musieli tylko czekać. Wiejący ze wschodu wiatr przepędził kłębiące się chmury. Słońce ponownie pojawiło się na niebie, by ciepłymi promieniami pieszczotliwie muskać ich grubo ciosane mordy. Pojawiło się też wino, a to, jak wiadomo, każdemu dodać może odwagi.

Mężczyźni ochoczo skorzystali z tego daru i, racząc się podłym winem, oczekiwali sygnału od klnącego pod nosem młokosa. Czas upływał im w radosnej atmosferze oczekiwania.

Tymczasem oddział Bolesława wyjechał z lasu. Żołnierze odetchnęli z ulgą.

- Nareszcie - westchnął jadący obok młodego księcia Ciszpirz. - Bodajby więcej moja noga w żadnym lesie nie powstała.

Bolesław przytaknął i splunął na ziemię.

- Najgorsze mamy za sobą - odparł z naiwnością niczego niespodziewającej się ofiary.

I znów jechali w milczeniu, dumając nad minionymi wydarzeniami. A Pani Śmierć szła tuż obok i uśmiechała się do nich pod nosem.

- Jakoś mi się do końca nie chce wierzyć, że te wilki były zaklęte - rzekł w końcu Bolesław, któremu zbyt długa cisza działała na nerwy. - Drazdan mógł się mylić. Pochodzi przecież z Dalekiego Wschodu, a tam lud naiwny i we wszystkie dziwa i gusła wierzy. A czy to znaczy, że one istnieją? Jam tam ich na oczy nie widział. Tak samo zresztą jak bogów, co to powiadają, że istnieją. A wy, sierżancie, wierzycie w to wszystko? W czary, w demony, w bogów?

Ciszpirz spojrzał na niego z ukosa.

- Wierzę, co mam nie wierzyć. Jakże inaczej wytłumaczyć różne dziwy na tym świecie? Ot choćby zwykły piorun. Nic to, jak gniew Peruna, bo cóż innego? Zresztą skądś się musieliśmy wziąć na tej ziemi i dokądś zmierzamy, bo inaczej jakież to by wszystko miało sens. Rodzimy się, cierpimy głód i niedostatki, żremy, sramy, umieramy i to ma być wszystko? To bez sensu. A ja uważam, że wszystko musi mieć swój sens.

Bolesław nie wyglądał na takiego, co by się dał przekonać. Zbyt często wysłuchiwał tyrad ojca, który znany był ze swych przekonań.

- Sens... hmm? Mnie się czasem wydaje, że nic nie ma sensu. Zupełnie nic. Że życie to jedna wielka i bezcelowa pustka, po której

pozostanie jedynie gromada rozwydrzonych bachorów, kilka zbieleńskich kości i garść nic niewartych wspomnień.

- Szanuję twoje zdanie, książę, lecz zgodzić się nie mogę. Moim zdaniem każdy człowiek ma jakąś rolę w tym życiu. My tylko jesteśmy zbyt ograniczeni, by ją dojrzeć.

- Może i jesteśmy? Czyli sądzą, że jedynie bogowie są w stanie ją pojąć?

- Czasem tak właśnie myślę. A czasem to wydaje mi się, że jesteśmy tylko zabawkami w ich rękach. Dyrygują nami niczym bezwolnymi kukiełkami. Niby dają nam wybór, a i tak wszystko jest z góry zapisane w księdze życia. Zresztą kim ja jestem, by ich oceniać? Jest, jak jest, i inaczej być nie może.

- Niezbyt to pocieszające, choć może i macie rację. Kto wie? W takim razie bogowie muszą mieć niezły ubaw, gdy nas obserwują. Jeśli oczywiście istnieją, bo tego taki pewien to nie jestem. Tak sobie zresztą czasem dumam, kto kogo faktycznie stworzył: bogowie ludzi czy ludzie bogów?

Sierżant nic nie odpowiedział. Podrapał się po brodzie i rozejrzał z zaciekawieniem dookoła. Właśnie wjechali w wąski wąwóz otoczony z dwóch stron stromymi zboczami. Ostre granie skał napierały na kamienistą ścieżkę, powodując, że jeźdźcy ustawili się jeden za drugim. Konie powoli stawiały kroki na nierównym podłożu i dumnie zadzierały pyskami. Pani Śmierć nałożyła na siwą głowę obszerny kaptur i zwilżyła wargi językiem. Wiał lekki wiatr. W powietrzu unosił się wyraźny zapach drzew i pożółkłej trawy. Bolesław z rozkoszą wciągnął jego haust i zamknął oczy, zastanawiając się nad słowami sierżanta. Podrapał się leniwie po nosie i ponownie zwrócił do towarzysza. Nim jednak wypowiedział choć jedno słowo, ujrzał, jak twarz tamtego staje się przeraźliwie blada, a z kącików ust ścieka mu cienka strużka krwi.

Ciszpirz jęknął cicho i spojrzał z niedowierzaniem na tkwiący w jego brzuchu bełt. Chwilę później kolejny wbił mu się w szyję, a dziesięć następnych już nadlatywało, kierując się wprost na

nieświadomych niczego żołnierzy. Wyglądały niczym plaga szarańczy, niczym śmiercionośny deszcz. I takie samo robiły spustoszenie.

Konie stanęły dęba. Część jeźdźców osunęła się bezwładnie na ziemię, a ci, co przeżyli pierwszy atak, dobyli broni. Nieruchome dotąd skały zamieniły się nagle w pędzące sylwetki rozwścieczonych oprychów, wymachujących na wszystkie strony toporami, pałkami i maczugami.

- Auuuu! - rozległ się przeraźliwy krzyk, który po chwili zmieszał się z brzdękiem stali i krzykami zaskoczonych ofiar.

Trysnęła krew. Napadnięci unieśli tarcze, wyciągnęli miecze, lecz na niewiele się to zdało. Wąwóz był zbyt wąski, by mogli utworzyć obronny szyk. Zdezorientowane konie drobiły w miejscu, kopały się nawzajem lub wpadały na siebie. Dosiadający ich jeźdźcy padali zaś jak muchy w smole pod gradem ciosów, pchnięć i strzał. Jedynie górujący nad wszystkimi Drazdan stawiał opór do samego końca. Jako pierwszy wyczuł niebezpieczeństwo, lecz jego głos zniknął w szumie hulającego wietrzyska. Gdy tylko pierwsza strzała wyłoniła się zza wapiennych skał, on zeskoczył z konia i przywarł plecami do górskiej ściany. Zdołał jeszcze krzyknąć, lecz nikt go nie słuchał.

Potężny topór wywinął kozła w powietrzu i czekał na łyk świeżej krwi. Jeden z napastników podbiegł do niego i zamachnął się zwalistą maczugą. Broń świsnęła w powietrzu i gruchnęła z całą mocą o skałę, wzbijając w górę pył i kawałki wapienia. Twarda pięść Drazdana rąbnęła przeciwnika w wątrobę, pozbawiając go tchu, a trzonek topora wbił się w szczękę. Wybite zęby opadły na ziemię niczym krwawiące płatki śniegu. Drazdan odwrócił głowę i dojrzał drugiego z napastników. W ostatniej chwili zdołał wznieść topór i odbić wyprowadzone z góry uderzenie. Jego noga poderwała się w górę, stopa ulokowała się w kroczu, a wciąż czyste żeleźce przebiło skórzany pancerz i zagłębiło się w ciele ofiary. Po chwili znów nadlatywało, zraszając ziemię kropelkami ciemnoczerwonej krwi. Rozległ się chrzęst rozrywanej tkanki i głuchy huk spadającej głowy. Trzech kolejnych napastników już biegło w jego stronę. Topór

zakreślił obszerny krąg, rosząc powietrze czerwoną mżawką. Wciąż był głodny, wciąż był nienasycony.

Drazdan coraz ciężiej dyszał. Jego czoło spowiła gruba warstwa brudu, potu i krwi. Rozejrzał się wokół, przerzucił topór do drugiej dłoni i ruszył do przodu. Wiedział, że zginie, lecz chciał walczyć do końca. Jego kroki dudniły w wąskim wąwozie i odbijały się echem od skał, jakby maszerował cały oddział wojska, a nie jeden mąż.

Biegnący ku niemu żołnierze przystanęli. Nikt nie miał ochoty mierzyć się z diabłem w ludzkiej skórze. Jedynie Iwan nie czuł strachu, on był jednak zajęty. Drazdan wciąż szedł, zbiry zaczęły się cofać. Dwóch z nich odrzuciło pałki i sięgnęło po przewieszane za plecami łuki. Strzelili. Dwie strzały już mknęły w stronę olbrzyma, przecinając zgęstniałe od emocji powietrze. Po chwili jedna z nich wbiła się w umięśnione udo. Drazdan szedł dalej, niczym w jakimś amoku, i tylko grymas bólu na twarzy świadczył o tym, ile sił go to kosztuje. Kolejna strzała trafiła go w brzuch, a jeszcze następna w lewe ramię. Przyśpieszył, lecz nagle potknął się i upadł. Wstał, znów został trafiony i ponownie upadł. Zdołał jeszcze zobaczyć leżącego w pobliżu Bolesława, który w milczeniu przyglądał się rzezi swoich ludzi, próbując się przy tym wyrwać z owiniętej wokół niego siatki.

Walka dobiegła końca. Nastąpiła dziwna cisza, przerywana jedynie jękami rannych, lecz i ci niebawem zamilkli, dobici przez nieprzyjaciół. Wygłodniałe sępy poczęły krążyć po niebie, zwabione mocnym zapachem świeżej krwi, lecz jeszcze brakło im odwagi, by zasiać do sutej uczy. Zwycięzcy sapali ciężko, wycierali broń i uśmiechali się do siebie, napawając się widokiem krwawej jatki. Gdzieś parsknął koń, inny zarżał i wyrwał nagle z kopyta, depcząc ciało swego martwego pana. I tylko Pani Śmierć wydawała się obojętna. Otworzyła usta, wyszczerzyła przeszyte próchnicą zęby i wydała z siebie cichy, przeciągły syk.

Przysadzisty mężczyzna o puciołowatej, troszkę dziecinnej twarzy, okraszanej licznymi śladami po niezaleczonej chorobie, podszedł do

leżącego Bolesława. Jego ciało kiwało się na wszystkie strony niczym w jakimś upiornym przedstawieniu. Spojrzał na niego z góry, uśmiechnął niczym młodzieniec do swej wybranki i wyjął zza paska krótki sztylet o poszczerbionym od zużycia ostrzu. Szybkim ruchem wykonał krótkie cięcie.

Bolesław jęknął. Na jego przedramieniu pojawiła się wąska strużka krwi.

- Cichutko, złoteńko, cichutko - przemówił pieszczotliwym głosem zbir i uszczypnął go delikatnie w nos. - Cichutko, wujcio Slovdan cię nie skrzywdzi.

- Ej, co ty tam z nim robisz? - rozległ się nagle tubalny głos Iwana. - Zostaw go. Ma być żyw.

Zbir przekręcił głowę i wyszczerzył zębiska.

- A nic takiego, komendancie. Słyszałem jeno, że książęta mają niebieską juchę. Chciałem obaczyć to na własne oczy, ale ten to jakaś podróbka, a nie książę. Jucha jego czerwona, jak chuj.

- To może to nie syn księcia? - wtrącił się dobrze zbudowany mężczyzna o twarzy gnoma, który właśnie przymierzał skórzaną zbroję, należącą niegdyś do jednego z eskortujących Bolesława żołnierzy. - Morda, że niczego sobie. Bardziej mi na minstrela wygląda, psia jego mać, niż na wielkiego pana. Choć na dobrą sprawę prawdziwego księcia to żem na oczy nie widział.

- On to, jak chuj - odparł Slovdan. - Widział żem go onegdaj w mieście Kirań. Wyglądał tak samo, tylko był jakby, hłe, hłe, mniej przestraszony.

- Nie dziwota to. Gdybym z bliska obaczył twą paskudną mordę, też bym się, psia mać, przestraszył - krzyknął pokraczny drab o chudych jak patyki, krzywych nogach i zadziwiająco krótkim w stosunku do reszty ciała torsie. Ze względu na rzutki dowcip i wrodzoną złośliwość zwany był przez innych Bystrzakiem.

Paru żołnierzy zarechotało głośno.

- Spójrz na siebie - odciął się Slovdan, po czym ponownie spojrzął na krew Bolesława. - No jucha jak chuj czerwona. Może go, ten tego,

przy porodzie podmienili?

- Tak jak i ciebie, he, he, he. Matula musiała się przestraszyć, jak zobaczyła twój paskudny ryj, i wrzuciła cię do chlewu ze świniami - dorzucił krzywonogi, ku coraz większemu rozbawieniu kompanów.

Slovdan zrobił się czerwony jak burak, lecz nic nie odpowiedział. Zdawał sobie doskonale sprawę, że w szermierce na słowa nie może się równać ze swym kompanem. Pozostali żołnierze zamarli w oczekiwaniu, licząc na kolejne docinki i ciesząc się przy tym, że to nie na nich padło. Nie przeliczyli się.

- Teraz już wiadomo, skąd się bierze twój zapach - nie odpuszczał Bystrzak. - A co ty tak wlepiasz gały w tego młokosa? Owiec zabrakło już we wsi?

- Zawrzyj pysk - wyseplenił Slovdan, wstając na nogi i patrząc z nienawiścią na śmiejących się z niego kompanów.

I nie wiadomo, jak by się skończyła ta kurtuazyjna wymiana uprzejmości, gdyby nie ponury Iwan, na którego nawet stojąca w pobliżu Pani Śmierć bała się spojrzeć.

- Skończcie te gadki i bierzcie się do roboty - ryknął ponuro. - Slovdan, zwiąż gnoja i zbieramy się stąd, nim ktoś nas przyuważy. No ruchy, psie syny, ruchy. Nie mitrzyć mi tu czasu.

Slovdan odetchnął z ulgą. Starannie związał kończyny Bolesława grubymi rzemieniami, przerzucił go sobie na ramię niczym worek mąki i podążył w ślad za resztą mężczyzn. Starał się trzymać jak najdalej od śmiejącego się głośno Bystrzaka, ten jednak, gdy już raz upatrzył sobie ofiarę, tak łatwo nie odpuszczał.

- Tylko go nie ukłuj przypadkowo w zadek czymś twardym, Slovkanie. Powiadają w zamku, że lubujesz się w takich gołowásach.

Slovdan mruknął coś pod nosem i zwolnił. Ciężar jeńca przygniatał go do ziemi, lecz dzielnie stawiał kolejne kroki. Bolesław łypnął na niego lewym okiem.

- Kim jesteście i czego chcecie ode mnie? - spytał, starając się nawiązać nic porozumienia ze swym oprawcą. Pieszczotliwy

kuksaniec pięścią w twarz nie pozostawił jednak żadnych złudzeń na miłą pogawędkę.

Piękna Pani nie lubiła czekać. Przemierzała nerwowym krokiem zamkowe korytarze, boleśnie karząc służbę za prawdziwe lub rzekome przewinienia. Nawet straszliwa śmierć dwójki rodzeństwa z rąk bezzębnego kata nie ukoła jej skołatanych nerwów. Na niczym nie mogła się skupić. Potrawy przestały jej smakować, strach już jej nie podniecał, a ból innych nie cieszył. Myślała tylko o przekłetej zmarszczce i słowach Garvulli. „Znajdź, pani, syna księcia, a będziesz wiecznie młoda”.

Znajdę. Tylko gdzie oni, na litość bogów, się podziewają?

Choć minął zaledwie tydzień od wyjazdu Iwana, księżnej zdawało się, że czeka rok. Każdy dzień dłużył się jej bez końca. Z każdym dniem zaczęła bać się coraz bardziej.

A co będzie, jeśli im się nie uda? Jeśli zginą, a Wielki Książę się dowie, że to ja ich nastąpiłam... Co wtedy? – pytał jej pesymizm.

Nie! To nie może się stać. Jestem w końcu księżną Erzsébe. Mnie się wszystko udaje. Wszystko – podpowiadał optymizm, lecz nawet on nie był tak przekonany jak zazwyczaj.

Prawie całe popołudnie księżna spędziła, siedząc w swojej komnacie, ze wzrokiem bezmyślnie wlepionym w sufit. Na jej czole zebrały się ciężkie zmarszczki, a w oczach czał się lęk. Straciła już całą nadzieję, zadręczając się setkami wątpliwości. I wtem... usłyszała dochodzący z dziedzińca tupot końskich kopyt, zmieszany z głośnymi pokrzykiwaniami żołnierzy. Wyjrzała przez okno i odetchnęła z ulgą. Och, co to była za ulga. Czuła się tak, jakby tysiąc głązów spadło naraz z jej drobnych ramion, a niezwykle ostre drzazgi kłujące jej serce zamieniły się w miękkie kuleczki jedwabiu. Głośny okrzyk wyrwał się z jej gardła, poszybował wzdłuż zboczonych krwią ścian i dotarł do uszu wiszących na dole portretów przodków jej tragicznie

zmarłego męża. Księżna w pośpiechu poprawiła fryzurę i zbiegła na dziedziniec, pokonując po trzy stopnie naraz.

- Witaj, Piękna Pani - usłyszała dobiegające ze wszystkich stron głosy.

Cały dziedziniec zamarł w pozycji klęczącej, lecz ona nie zwróciła na to uwagi. Widok związanego, przerażonego i bezbronniego syna Wielkiego Księcia ogrzał jej mroczne serce podmuchem niewysłowionego szczęścia.

Młodzieniec jednak nie podzielał jej radości. Wręcz przeciwnie. Widok Mrocznej Pani napełnił jego duszę czarną, bulgoczącą cieczą, która kipiała w niepohamowanej grozie. Jakieś mocarne ręce poderwały go do góry i rzuciły o ziemię niczym workiem ziemniaków. Usłyszał swój zdyszany krzyk, tupot drobiańczych koni, gardłowy śmiech któregoś ze zbirów i niepasujący do reszty melodyjny głos niewiasty. Zdawało się, że słyszał coś jeszcze - jakby skrzypienie starych kości i zgrzyt ostrzonej o kamienie kosi. Później stracił przytomność. Czyjeś ręce poderwały go w górę i zaniósły do niewielkiej, skromnie urządzonej komnaty, mieszczącej się tuż obok pokoi księżnej. Znajdowało się w niej drewniane łóżko oraz wykonany z ciemnego drewna podręczny stolik, pod którym umieszczono metalowy nocnik. Niewielkie okno było zabite od zewnątrz deskami tak, że w pokoju panowała ciemność, rozjaśniona jedynie przez wiszący na ścianie kaganek. Służący rozwiązali Bolesława, po czym przynieśli mu skromny posiłek. Składał się on z zimnego gulaszu z kaszą jęczmienną oraz słabego, lecz nader smacznego piwa. Gościnnie Lady Erzsébe była wprost wzorcowa, lecz poobijany od pieśczośliwych kuksańców i zamroczony obezwładniającym strachem Bolesław nie zdołał jej należycie docenić.

- Och, ta niewdzięczna młodzież - mruknęłyby jakaś nadęta babulina, lecz chyba nie miałyby racji.

Księżę powiódł smutnym wzrokiem po komnacie. Tępy ból głowy, który towarzyszył mu od chwili porwania, jeszcze się nasilił. Starał się nie myśleć o swojej przyszłości, lecz ponure obrazy same pojawiały

się w jego głowie. Spojrzał z odrazą na stojący obok niego posiłek i aż się wzdrygnął. Był zbyt przerażony, by cokolwiek przełknąć. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi, nacisnął klamkę i naparł na nie całym ciałem. Nie zdziwił się zbytnio, gdy te nawet nie drgnęły. Przyłożył prawe ucho do dębowych desek, lecz zaraz skrzywił się z bólu. Poprzedniego wieczoru kilku porywaczy wytargało je w przypiływie swoistej czułości i teraz piekło go niemiłosiernie. Na szczęście lewe ucho zostało oszczędzone, więc to ono zetknęło się z drzwiami, by wsłuchać się w pozawięzienną rzeczywistość.

- Jest tam ktoś? Wypuście mnie! Wypuście! - wydarł się nagle i zaczął z całej siły walić pięściami w grube deski.

Jak można się było spodziewać, nie wywołało to żadnej reakcji. Bolesław kopnął kilkakrotnie w ścianę, zostawiając na niej czarne ślady obuwia, po czym chwycił ze złością leżący na stole talerz i cisnął nim w zabite deskami okno. Następnie usiadł bezradnie na łóżku, złapał się za twarz i wybuchnął niepowstrzymanym szlochem. Sam nie wiedział, kiedy zasnął.

Obudził go dopiero odgłos przekręcanej zamka i skrzypienia dawno nieoliwionych zawiasów. Do komnaty weszła Lady Erzsébe i od razu roztoczyła wokół słodkawego zapachu perfum. Trzeba przyznać, że Piękna Pani wyglądała oszołamiająco. W innych okolicznościach z pewnością zwróciłaby uwagę syna Jarogniewa i mógłby się nawet z tego narodzić bujny romans, opiewany w pieśniach przez minstrelów i przyprawiający młódki o przyspieszone bicie serca.

Lady spojrzała przelotnie na rozbity talerz, omiotła pogardą leżące wokół niego jedzenie i zatrzymała wzrok na Bolesławie. Karmazynowa suknia ze złocistymi obszyciami w okolicy głęboko wyciętego dekoltu zaszeleściła zmysłowo, a kąciki ust poderwały się do lotu w szczerym i ciepłym uśmiechu. Wykonany ze szczerego złota i stanowiący klamrę do pasa kruk łypnął na księcia swym rubinowym okiem i zamigotał odbitym światłem. Dwóch towarzyszących władczyni strażników strzeliło obcasami i zatrzymało się pod

drzwiami, a ich obojętne spojrzenia zatrzymały się gdzieś pomiędzy ścianą a sufitem.

Bolesław zadrżał ze strachu i skulił się w łóżku, mamrocząc pod nosem cichą modlitwę do swej opiekuńczej Doli. Starał się opanować, powstrzymać niekontrolowane drganie rąk i niepostrzeżenie wytrzeć spływająca po policzku kroplę potu.

Piękna Pani zrobiła krok w jego stronę.

- Wreszcie się spotykamy, księżę - odezwała się przemiłym głosem, który dźwięczał w uszach niczym istna pieśń bogów. - Mam nadzieję, że komnata ci odpowiada?

Bolesław poprawił grzywkę, usiadł prosto i spojrzał hardo w lazurowe oczka księżnej. Dojrzał w nich czający się błysk wyższości z lekką nutką rozbawienia.

- Niezbyt. Trochę tu ciemno, a łóżko to chyba robione dla karła - odparł oschłym tonem. Nie chciał pozwolić, by paraliżujący go strach odebrał mu godność.

- Jak ci się tu nie podoba, księżę, to mam jeszcze inną komnatę. Troszkę niżej, w loszkach - odparła figlarnie Erzsébe i uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie.

Bolesław przełknął ślinę.

- Dzień... dziękuję. Nie skorzystam... Czego ode mnie chcesz? Czemu mnie więzisz?

- Od razu „wieszisz”. Czyżby nie podobała ci się moja gościnność? - odparła Erzsébe z udawanym urażeniem i odgarnęła niesforny kosmyk włosów opadający jej na lewe oko.

- Szczerze mówiąc, nie bardzo. Bywałem w bardziej przyjemnych miejscach i... z bardziej przyjemnym towarzystwem. Powiesz mi wreszcie, o co tu chodzi? Czego chcesz ode mnie? Zdajesz sobie chyba sprawę, że jak mój ojciec się dowie, iż mnie porwałaś, to rozpęta taką wojnę, że z tego zameczku nawet marny kamień nie pozostanie, a ciebie każe powiesić na najbliższym drzewie jak zwykłego szubrawca.

Erzsébe przestała się uśmiechać. W niebieskich oczętach pojawił się niebezpieczny błysk, a kąciki ust wygięły się nieznacznie ku dołowi. Jej głos też się zmienił. Brzmiał teraz oschle, jakby dobywał się z wnętrza lodowej góry.

- Grozisz mi, księżę? To chyba niezbyt roztropne, zważywszy na twoją sytuację. Wierz mi, że traktuję cię jak mojego gościa, i lepiej dla ciebie, by tak zostało. Nie zawsze bywam taka miła.

Ostatnie zdanie zabrzmiało naprawdę groźnie. Bolesław poczuł, jak duża kropla potu leniwie spływa mu po kręgosłupie. W komnacie zrobiło się duszno.

- Wybacz mi - odrzekł po chwili. - Jestem niezmiernie rad, pani, że traktujesz mnie jak swojego gościa, choć byłbym jeszcze bardziej rad, gdybyś zrezygnowała z tej gościny i pozwoliła mi udać się do pałacu mego ojca. Może mnie zatem puścisz i zapomnimy o tym, hm, niemiłym incydencie?

Uśmiech ponownie zagościł na licu filigranowej blondynki.

- Niestety to niemożliwe. Jesteś mi potrzebny, księżę, a ja zawsze biorę to, czego potrzebuję. Zawsze.

Bolesław zmarszczył brwi.

- Potrzebny? Do czego?

- Jak by ci tu wyjaśnić? Mówiąc wprost, potrzebna mi jest twoja krew, księżęca krew.

Bolesław zaniemówił.

O bogowie. Ona jest obłąkana - pomyślał, lecz wolał zostawić to spostrzeżenie dla siebie.

- Nie za bardzo rozumiem, po co ci moja krew, pani. Masz przecież swoją i wierz mi, że jest tak samo czerwona jak moja.

Księżna zaśmiała się wdzięcznie.

- Nie wątpię w to. Jesteś jednak potomkiem dawnych króli, a takiej właśnie krwi potrzebuję.

- A mogę spytać do czego?

- Możesz spytać. A ja ci z radością odpowiem. Otóż potrzebuję jej do pewnego potężnego zaklęcia, które da mi to, co mi się należy -

wieczną młodość i urodę po wsze czasy.

Gdyby księżę nie zaniemówił już wcześniej, z pewnością teraz by to zrobił. A tak to tylko rozdziawił ze zdumienia buzię. Wyglądał, jakby właśnie zobaczył stado różowych jednoroźców ubranych w zielone płaszcze i grających w karty z siedmioma krasnoludkami i niedobrą macochą.

- Eee... zakłęcie... krew. I po to mnie porwałaś? Przecież to... szaleństwo. Jesteś obłąkana. Nikt nie może być wiecznie młody - powiedział. Nie wiedział, że właśnie popełnia duży błąd.

- JA BĘDĘ! - krzyknęła nagle Erzsébe. Jej dłoń pojawiła się z nienacką, sprzedając młodzieńcowi siarczystego liścia. Nie to go jednak zboleło, lecz świadomość, że ma do czynienia z wariatką. Wariatką, na łasce której właśnie się znalazł.

W oczach księżnej pojawił się ocean lodu, a twarz wykrzywiła się w upiornym grymasie.

- Wy... wybac, pani - wyjąkał Bolesław, kuląc się ze strachu jak małe dziecko podczas wyjątkowo groźnej burzy. - Ja... ja chciałem powiedzieć, że nie potrzebujesz zakłęcia, bo wyglądasz tak młodo i pięknie... bardzo pięknie. Już jesteś wiecznie młoda, pani, a piękniejszej niewiasty od ciebie w życiu nie widziałem. I zaklinam się na wszystkich bogów, że mówię to zupełnie szczerze.

Atak gniewu minął błyskawicznie. Po oceanie lodu nie było już ani śladu, choć niewielkie kry ciągle krążyły w błękicie jej oczu. Lady ponownie się uśmiechnęła.

- Wiem o tym - powiedziała z udawaną skromnością i wzięła się pod boki, wyprężając dumnie pierś. - Jestem młoda i piękna, to prawda. I chcę taką pozostać na zawsze, więc potrzebuję twojej krwi. I ty mi ją dasz, czy ci się to podoba, czy nie.

Synowi Jarogniewa niezbyt to się podobało, lecz cóż miał zrobić.

- Jeśli taka jest twoja wola, pani, częstuj się do woli. Mam tylko nadzieję, że zostawisz mi jej trochę, bym mógł dalej cieszyć się życiem. Chyba nie zamierzasz mnie zabić?

- No cóż. W sumie potrzebuję tylko twojej krwi, i to niezbyt dużo. Ot tak, jeden kielich, nie więcej. Jednak sam mówiłeś, że jak twój ojciec się dowie o naszej, hmm, naszym tajemniczym romansie, to nie będzie tym zachwycony. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że się bardzo rozsierdzi, a ja nie chcę denerwować Wielkiego Księcia. Zgodzisz się więc ze mną, że lepiej będzie, jak się o niczym nie dowie?

- Ja mu o niczym nie powiem, przysięgam. Przysięgam na wszystkich bogów. Na własną matkę przysięgam, będę milczał jak trup. Weź mojej krwi, ile potrzebujesz, a potem mnie wypuść. Daję ci książęce słowo honoru, że zapomnę o wszystkim.

Lady Erzsébe uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając drobne i białe ząbki. Uwielbiała takie chwile. Uwielbiała upajać się strachem swych ofiar, obserwować, jak zebrzą o litość, i po troszku odbierać im złudną nadzieję. Wolała to nawet od samego aktu pozbawiania życia, choć tamto też miało swój niewątpliwy urok.

- Hmm, w sumie może i masz rację. Jeśli przysięgniesz, to... może. Chociaż nie. Po cóż mam ryzykować? Lepiej cię zabić. Jak będziesz trupem, to przynajmniej będę miała pewność, że nikomu słowa nie piśniesz. Nieprawdaż, mój przystojniaczku?

- Błagam! - zaskomlał książę i rzucił się z płaczem na kolana. Objął zgrabną, odzianą w czerwony trzewik stópkę Lady i przyłożył do niej czoło. Dwie pary mocarnych rąk natychmiast go pochwyciły i cisnęły mocno na łóżko.

- Błagam, pani, nie zabijaj mnie - zdołał jeszcze pisnąć.

Erzsébe roz płynęła się w rozkoszy.

- Niestety nie mogę ci darować życia, choć wierz mi, że też nad tym ubolewam. Polubiłam cię, książę, choć czasem brak ci ogłady.

Bolesław zagryzł zęby w bezsilności. Naraz poczuł piekący wstyd z powodu swojego zachowania. Wytarł policzki z łez, podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy, a w spojrzenie to włożył całą nienawiść, jaką do niej żywił.

- Jeśli chcesz mnie zabić, to zrób to. Zrób to teraz. Nie boję się śmierci - wycedził powoli i zmarszczył brwi.

Księżna wybuchnęła śmiechem.

- Aleś ty niecierpliwy, mój bohaterze. Niestety musimy z tym trochę poczekać. Dokładnie osiem dni, do najbliższej pełni księżyca, tylko wtedy bowiem zakłęcie zadziała. A teraz musisz mi wybaczyć, ale obowiązki mnie wzywają. Niebawem jednak znów się spotkamy, obiecuję.

Księżna ruszyła w kierunku drzwi, poruszając zmysłowo biodrami. Gdy była tuż przy wyjściu, odwróciła powoli głowę i dodała:

- Niestety musisz mi wybaczyć jeszcze jedną niedogodność. Dręczy mnie taka obawa, że mógłbyś próbować zrobić sobie krzywdę, więc z wielką przykrością zmuszona jestem kazać cię związać.

Erzsébe spojrzała znacząco na stojących z tyłu strażników. Mężczyźni kiwnęli głowami na znak.

- A teraz zegnaj, księżę. I nie miej mi tego za złe.

- Idź do diabłów - warknął Bolesław, lecz księżna już tego nie słyszała. Wyszła z komnaty i skierowała swe kroki na dół. Naga dziewczynka ze skórzaną obrozą już na nią czekała.

Zeszli po ciemnych schodach, minęli obszerną salę z wymarłą fontanną pośrodku i znaleźli się na oświetlonym bladym światłem księżyca dziedzińcu. Z północy wiał mroźny wiatr, więc Lady przyśpieszyła kroku. Uśmiechnęła się półgębkiem na widok wiszących na szubienicy trupów i skierowała swe kroki w stronę ciężkich, żelaznych drzwi, pilnowanych przez dwójkę strażników.

- Chodź ze mną - warknęła do młodszego z nich.

Mężczyzna oblał się zimnym potem, lecz potulnie spełnił polecenie swej pani, drepcząc przy jej nodze niczym dobrze wytresowany psiak.

Wewnątrz unosił się zapach ludzkiej krwi. Księżna wciągnęła go do płuc, delektując się jej wonią. Tuż przed nią pojawił się bezzębny kat. Skłonił swą bladą, pokrytą strupami czaszkę, wziął do ręki wielki klucz i otworzył kolejne drzwi. Następnie zapalił wiszące na ścianach pochodnie i z niewyrażającą żadnych uczuć miną czekał na rozkazy.

Lady odwróciła się do stojącego z tyłu wartownika.

- Rozbieraj się i kładź na ziemię - rozkazała.

Następnie założyła ręce za plecy i wolnym krokiem zaczęła przechadzać się wzdłuż ustawionych pod ścianami klatek. Nagle zatrzymała się przed jedną z nich i wlepiła wzrok w dziesięcioletniego blondynka. Miał niewinną, kształtną twarz i gęste loki koloru przyciemnionego miodu. Jego oczka patrzyły smutno, bez wyrazu, a dłonie drżały niczym samotna osika podczas wyjątkowo silnego wiatru.

- Błagam, nie - wyszeptał ciekim głosem i skulił się w kłębek. Po udzie pociekła mu ciepła strużka moczu.

- Hmm. No skoro błagasz, to niech ci będzie. Dziś mam ochotę na kogoś innego.

Chłopiec wypuścił powietrze z ust, Lady poszła dalej. Jej uwagę przykuła popiskująca cichutko, na oko szesnastoletnia dziewczynka, o delikatnej urodzie i drobnym nosku. Zatrzymała się przed nią i wyduła wargi.

Dwie pary oczu spotkały się w połowie drogi. Jedna zła, zimna, bezwzględna. Druga pełna łez, niewinna, patrząca błagalnie.

- Jak masz na imię, skarbie? - spytała księżna.

Paralizujący strach zawładnął sercem dziewczęcia. Chciało coś powiedzieć, lecz żadne słowo nie mogło wydostać się ze ściśniętego gardła. Dziewczynka patrzyła tylko na księżną swymi czarnymi jak dwa węgielki oczami i drżała ze strachu. Księżna też drżała - z rozkoszy. Jej brwi uniosły się do góry w wyrazie udawanego zdziwienia, a na twarzy wykwitł przesłodki uśmiech.

- Boisz się mnie?

Dziewczynka kiwnęła głową.

- Oj, biedactwo ty moje. A może ci się tu nie podoba? Chciałabyś wrócić do mamusi?

- Tak, pani. Wypuść mnie, błagam - zdołała wydukać dziewczynka, czepiając się ostatniej deski ratunki. Była to jednak deska zepsuta, dziurawa, wyżarta przez korniki.

- O, to jednak umiesz mówić. To dobrze. Zobaczymy, jak będziesz śpiewać. Kacie, bierz ją.

Małodobry otworzył metalową kłódkę, chwycił dziewczynę za rękę i podniósł do góry jak szmacianą lalkę.

- Niiieeeee! Zostawcie mnie! Błagam!

Dziewczyna zaczęła wierzgać rękoma, próbując wyrwać się z objęć oprawcy. Na próżno. Mocarna pięść uciszyła ją jednym ciosem w twarz, a lodowate oczy spojrzały na swoją panią w niemych pytaniu. Księżna leniwym ruchem dłoni wskazała zwisającą z sufitu poprzeczną belkę. Oprawca kiwnął głową i poszedł czynić odpowiednie przygotowania. Po dłuższej chwili dziewczynka zwisała głową w dół, z nogami tworzącymi kąt prosty.

W tym czasie Timra zajęła się leżącym wartownikiem. Na polecenie swej pani włożyła sobie jego penisa do buzi i zaczęła zmysłowy taniec języka. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać.

- Zawołaj pomocnika - rzekła księżna w stronę kata. Ten zdążył jeszcze pogłaskać odsłonięte łono ofiary, po czym wyszedł z izby. Po chwili wrócił w towarzystwie chudego wyrostka o złych oczach i podłej, pokrytej pryszczami twarzy. Pomocnik uklęknął przed swoją panią i ze służalczą miną czekał na rozkazy. Co jakiś czas jego oczy skręcały w bok i głaskały intymne części bezbronnej ofiary, a jego spodnie stawały się coraz ciaśniejsze.

Erzsébe ruchem głowy wskazała na palącą się pochodnię, po czym skierowała wzrok na przerażoną ofiarę. Trochę trwało, nim błysk zrozumienia pojawił się w jego wąskich oczach, a migoczący ogień czule połaskotał bladą skórę dziewczęcia. Izbę przeszył przeraźliwy krzyk. W powietrzu zaczął unosić się ulotny zapach przypalanej skóry.

Erzsébe podeszła do Timry i leżącego na ziemi wartownika. Mocnym kopnięciem odtrąciła służącą, podniosła do góry karmazynową suknię i bezceremonialnie nabiła swe wilgotne łono na sztywnego penisa żołnierza. Pomocnik kata raz jeszcze zbliżył palącą się pochodnię do boku zwisającej ofiary i z niewysłowioną

przyjemnością przypatrywał się skwierczącej skórze. Księżna kiwnęła palcem na bezzębnego kata.

- Piła - wymówiła krótkie, lecz jakże złowieszcze słowo.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, lecz zaręczam, że nie był to uśmiech miły dla oka. Zmrużył oczy, podrapał się po gęsto zarośniętej kłacie i nieśpiesznym krokiem podszedł do drogich jemu sercu narzędzi. Wybrał największą piłę o ostrych, trochę zardzewiałych zębach. Jeden z jej końców podał swemu pomocnikowi, który chwycił go z zapalem.

- Zaczynajcie - rozkazała filigranowa blondynka, czując, jak nabrzmiała męskość wnika w jej wilgotną dziurkę.

Piła dotknęła krocza dziewczynki. Erzsébe zaczęła głośno dyszeć, lecz jej odgłosy nikły w potwornym wrzasku wydostającym się z gardła ofiary. Bezzębny kat wyszczerzył puste dziąsła i kiwnął głową swemu pomocnikowi. Ostre zęby zaczęły się powoli przesuwac w głąb ciała, rozcinając je na pół. Ból był nie do zniesienia. Dokoła tryskała krew. Timra zamknęła oczy. Leżący wartownik zacisnął pięści i starał się myśleć o swej żonie. Musiał się skoncentrować, jeśli nie chciał znaleźć się na miejscu torturowanej. Erzsébe przyśpieszyła. Z szeroko otwartymi oczyma obserwowała poczynania katów, upajając się cierpieniem bezbronnej ofiary. Nagle lochami targnął kolejny krzyk, jakże inny od poprzednich. Był to krzyk ekstazy, krzyk spełnienia.

[1] W mitologii Słowian uskrzydłony smok, czasem wąż, ptak lub człowiek, mieszkaniec czarnych, skłębionych chmur.

[2] W wierzeniach słowiańskich określenie dusz zmarłych. Także nazwa zaświatów, nad którymi pieczę sprawuje Weles.

Rozdział 4

Brzęczący w uszach niczym pszczeli rój i ostry jak brzytwa dźwięk rogu rozdarł suche, bezwietrzne powietrze. Z pokrytej mrowiem wojska paszczy piaszczystego oceanu wyłoniła się trójka jeźdźców. Jechali wolno, niemal dostojnie, utkwivszy wzrok w postrzępione mury obleżonego miasta. Ubrani byli jednakowo, w sięgające do łydek białe płaszcze w wyszytymi na plecach złotymi błyskawicami – symbolami magicznych mocy ludzkiego wcielenia Jedynego Boga. Jeden z nich, ten jadący pośrodku, trzymał w dłoni spoczywającą nieruchomo białą flagę – uniwersalny symbol posłańców.

Rycerze zatrzymali się na odległość strzały z łuku od miejskiej bramy. Ryk rogu ponownie zadudnił w uszach.

- W imieniu Boga Jedynego, wybrańca życia i śmierci, pana wszelakiego stworzenia, ukochanego ojca wszystkich ludzi, zwierząt, słońca, księżyca i gwiazd. W imieniu jego najwierniejszego sługi, Cesarza Ziemi Malmuckiej, Surejskiej, Itipbskiej i Alżyńskiej, Wielkiego Króla Ekrdu, Górnego i Dolnego Rheandru oraz wszystkich ziem na wschód od Sungaju. I przyszłego wielkiego władcy wszystkich ziem na zachód od Sungaju, Wielkiego Eutylianusa Pierwszego Bogobojnego! Zwracam się do was, mieszkańcy Arkandy. Porzućcie swych fałszywych bożków. Nawróćcie się. Wszchemocny Szymon Mag, Bóg Jedyne, w swym miłosierdziu kocha wszystkich synów i wszystkie córki ziemi. Oddajcie się pod jego dobroczynne skrzydła. Otwórzcie bramy miasta, a nic wam się nie stanie.

W przeciwnym razie gniew Pana spotka każdego. Nie będziemy mieli litości dla wrogów naszej świętej wiary. Słuchajcie, bezbożne psy. Otwórzcie bramy miasta albo sami je otworzymy, a ulice spłyną waszą krwią, ku chwale miłosiernego Szymona. To jest ostatnie ostrzeżenie.

Tubalny głos, wdzierający się z impetem do uszu i serc struchlałych obrońców, zdolny był poruszyć góry. Nie poruszył jednak serca sędziwego króla Machuda III. Władca stał z nachmurzoną miną na murach potężnego niegdyś miasta Arkanda, a jego wzrok przenikał obłoki kurzu i obejmował ocean fanatycznych najeźdźców z dalekiego południa. Tuż obok władcy przeskakiwał z nogi na nogę jego długoletni doradca – równie sędziwy Bargon Wuq – i z przerażeniem malującym się na twarzy starał się przekrzyczeć wszechotaczającą wrzawę.

– Panie, zlituj się. Mury już długo nie wytrzymają. Poddajmy się, póki czas. Jeszcze nie jest za późno. Pomyśl o naszych dzieciach. Pomyśl o synach, córkach i żonach. Oni wszyscy zginą. Ratuj ich. Każ otworzyć bramy.

– Ty tchórze! Jak ci nie wstyd?! Chcesz porzucić wiarę w naszych bogów dla jakiegoś nieznanego bożka? – Długa, zszarzała broda króla podskakiwała w nerwowych podrygach, a w jego oczach błyskały pioruny. – Nasi ojcowie i ojcowie ich ojców od wieków byli wierni naszej religii, naszej tradycji, naszej ziemi, a ty chcesz to wszystko porzucić? Poddać się? Nie! Nigdy! Nie słuchaj trucizny sączącej się z kłamliwych ust tych przeklętych jednobogów. Mówią o miłosierdziu. Mówią o miłości. Czy tak wygląda ich miłość?! Czy tak wygląda ich miłosierdzie?! Czy już zapomniłeś, co te parszywe psy zrobiły z Urgundą? Co zrobili z Parkuzją i z innymi miastami? Zapomniłeś?!

– Nie zapomniałem, mój królu. Pamiętam o tym i moje serce płacze ze smutku na myśl o tych nieszczęśnikach. Ale oni się nie poddali i dlatego spotkało ich to nieszczęście. Nie popełniamy ich błędu. Każ otworzyć bramy. Zlituj się, królu. Ratuj swoje dzieci! Martwi nie obronimy naszej tradycji, naszej wiary, naszych dzieci. Martwe kobiety nie zrodzą nowych wojowników, którzy mieliby

pomścić naszą klęskę. Jeżeli teraz nie każesz otworzyć bram, nasz lud na zawsze zginie i pozostaną po nim tylko spopieliałe kości. – Głos męczyzny zmienił się w błagalny skowyt. Uklęknął przed królem i chwycił jego odziane w sandały stopy. – U twych nóg klękam, mój królu, i błagam: każ otworzyć bramy – dodał cichszym, jakby zrezygnowanym tonem.

Władca odepchnął nogą skamlącego doradcę i splunął z pogardą na jego łysiejącą czaszkę.

– Won, tchórze! Wolę zdechnąć w męczarniach niż porzucić wiarę naszych przodków. A teraz zejź mi z oczu! Gardzę tobą! – ryknął wściekle. Następnie odszedł parę kroków i odwrócił się do przerażonych obrońców miasta.

– Żołnierze, obywatele wspaniałego miasta Arkanda! Nie słuchajcie tych kłamliwych słów! Nie słuchajcie wyznawców fałszywego bożka! Nie słuchajcie jadu sączonego w wasze uszy! I nie lękajcie się! Nasi przodkowie patrzą teraz na nas z góry. Czy chcecie, żeby ujrzeli tchórzliwe baby? Nie chcecie! Niech widzą prawdziwych mężczyzn! Niech będą z nas dumni! Nie okazujmy zatem lęku! Nie okazujmy strachu! Jesteśmy arkandyńczykami, a arkandyńczycy zawsze walczą do końca. Nie porzucamy także nadziei w sercach. Zwycięzimy albo umrzemy i z honorem spotkamy się z naszymi przodkami w urodzajnej Krainie Wiecznego Szczęścia! Nasi ojcowie i ojcowie ich ojców już tam na nas czekają za suto zastawionymi stołami. Nie zawiedzmy ich. Musimy walczyć do samego końca i zwyciężyć albo z dumą zginąć!

Władca skończył przemawiać i spojrzał z ojcowską miłością na brudne i umęczone twarze swoich poddanych.

– Hurrrrra! Niech żyje król! Niech żyje Arkanda! – dało się słyszeć z różnych stron donośne okrzyki. Nie było w nich jednak nadziei, nie było radości. Była za to rezygnacja, jakby żołnierze już pogodzili się z tym, że to są ich ostatnie chwile na tym świecie.

Wokół nadszarpniętych murów Arkandy, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się nieprzebrana masa wrogiego wojska. Byli wśród nich

dzicy barbarzyńcy z najdalszych krain z wytatuowanymi w przerażające wzory twarzami; potężnie zbudowani Barkudzi, z długimi warkoczami wyrastającymi z czubków ogolonych do gołej skóry czaszek oraz ufarbowanymi henną brodami, które przypominały czarne sople lodu; wysocy i smukli Kurdańczycy z dalekosiężnymi łukami wykonanymi z brzoźowego drewna oraz zwierzęcych kości i ścięgien, którymi potrafili posługiwać się jak nikt inny; nikłego wzrostu, znakomicie czujący się w siodle Gontarzy, dosiadający szybszych od błyskawicy wierzchowców; owłosieni niczym goryle i szybcy niczym gazyle, uzbrojeni w metalowe pałki i maczugi Gralvalle oraz rośli, czarnoskórzy Afirandajczycy, którzy samym swoim wyglądem przyprawiali przeciwników o dreszcze. W pierwszych szeregach stali zaś bezwolni i otepiali mankruci – niewolnicy idealni. Były ich setki, tysiące, bezmyślnych, bezwolnych, sunących powoli w pierwszych szeregach nacierającej armii i ginących pod wrogimi ostrzami jak źdźbła trawy pod wpływem kosy. W pojedynkę byli słabi i bezbronni niczym samotny płatek śniegu topniejący na wyciągniętej dłoni. Było ich jednak tak wielu, że te delikatne płatki tworzyły istną śnieżną zamieć, co to oblepia swych wrogów ze wszystkich stron, utrudnia ruchy, zasłania oczy i męczy do utraty tchu. Aż w końcu zabija.

Nie oni jednak budzili największy strach w szeregach wrogów wiary, lecz posępni rycerze z naszytymi na zszarzałych płaszczach błyskawicami – rycerze Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga.

Wśród niezmierzonej ciżby wojska, niczym olbrzymie baobaby stojące pośród gęstej trawy, wznosiły się potężne wieże oblężnicze z przymocowanymi kołami oraz ciężkie tarany służące do rozbijania bram. Obok nich majaczyły maszyny miotające: wyrzucające ciężkie bełty balisty, miotające ogromne głazy katapulty i siejące największe spustoszenie – dalekosiężne, choć niezbyt celne trebusze.

Król Machud III podszedł do opartego o blanki żołnierza, który jedynie niezłomną siłą woli utrzymywał się jeszcze na nogach. Obok niego połyskiwała w pełnym słońcu podrapana kusza z gotowym do

strzału bełtem. Ileż to już żyć zabrała śmiertelna broń, tego żołnierz nie był w stanie powiedzieć. Przestał liczyć przy stu dwudziestu, jednak ilu by ich nie było, wydawało się to tylko samotną kroplą w olbrzymim oceanie wrogiej armii. Władca stanął tuż obok strzelca i położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Przeklęte zwierzęta - powiedział tak, by wszyscy dookoła słyszeli jego słowa. - Poślij mu moją odpowiedź. Celuj w konia.

Mężczyzna zawahał się przez krótką chwilę, lecz posłusznie chwycił załadowaną broń i przymierzył. Świszczący odgłos lecącej z olbrzymią prędkością strzały poprzedził kwik okrytego białym kropierzem ogiera, na którym dumnie sterczał trzymający białą flagę jeździec. Mężczyzna upadł na spaloną od słońca ziemię, zmełł w ustach przekleństwo i, nie marnując czasu, wdrapał się na gniadego wałacha dosiadanego przez swego towarzysza. Odwrócił się jeszcze w stronę miasta i uniósł do góry zaciśniętą pięść, jakby chciał rzec: „Jeszcze tu wrócę”.

Trójka posłańców pośpiesznie odjechała ku własnym szeregom.

Wielki Mistrz Zakonu Najświętszego Serca Rosmund Nadsak podniósł prawą dłoń. Potężny dźwięk rogu po raz kolejny targnął powietrzem. Tym razem dźwięk był dłuższy i bardziej złowieszczy.

Rozpoczął się ostatni szturm w długiej i chwalebnej historii miasta Arkanda.

- Hurrrrrrrrrrraaaaaaaaaa! - wyrwało się z tysięcy gardeł i tysiące niezłomnych wojowników wyrwało do przodu. W pierwszym szeregu ruszyły potężne wieże oblężnicze, a ukryci w nich strzelcy szyli strzałami w stronę odpowiadających im niemrawo obrońców. Poniżej dwudziestu rosłych wojowników, każdy o bicepsie grubości dębu, ruszyło z okutym żelazem taranem w stronę uszkodzonej poprzednimi atakami bramy.

- I raz, i dwa, i trzy...! - darł się rozebrany do pasa olbrzym z wytatuowanym na szyi wężem.

Pędząca strzała przeszła szyję jednego z trzymających taran. Mężczyzna padł martwy na ziemię, lecz natychmiast ktoś inny zajął

jego miejsce. W tej samej chwili atakujący usłyszeli przerażający świst. Nad ich głowami przeleciał kamień o niewyobrażalnej wielkości i z impetem uderzył w mury, dziesięć stóp od króla Arkandy.

- Wasza wysokość, nic wam nie jest? - Jeden z poddanych natychmiast podbiegł do władcy i pomógł mu utrzymać równowagę.

Król otarł pot z czoła.

- W porządku. Taki mały kamyczek nie jest w stanie zrobić mi krzywdy - skłamał z nieszczerym uśmiechem.

Pobliski magazyn broni rozleciał się z hukiem.

- Przygotować smołę - rozkazał władca. - Czekać. Jeszcze nie. Na mój rozkaz... Teraz!

Trzy pary rąk przechyliły masywną beczkę z palącą się smołą. Zabójcza substancja wylała się wprost na głowy atakujących bramę wojowników. W powietrzu uniósł się swąd palonych ciał, który wymieszał się ze wszechogarniającym odorem krwi i potu. Rozległy się przeraźliwe wrzaski rannych.

- Chwytać taran! - darł się wytatuowany olbrzym. - Zaraz wyłamiemy bramę. Ruszać się, psia mać, bo nogi z dupy powyrywam.

Natychmiast dwadzieścia par świeżych rąk pochwyciło machinę.

- I raz, i dwa, i trzy! - nie przestawał krzyczeć olbrzym. - Ruchy, psie syny, ruchy, ruchy.

Kolejny kamień ze świstem uderzył w mur, czyniąc w nim poważne spustoszenie. Końce długich drewnianych drabin zaczęły z łoskotem uderzać o jego górne krawędzie. Było ich dużo, zbyt dużo. Wycieńczeni trzytygodniowymi walkami, nieliczni pozostali przy życiu arkandyjscy żołnierze nie dawali rady odeprzeć wdrapujących się po nich napastników. Z każdą chwilą pojawiało się ich coraz więcej. Wielu zginęło, lecz w miejsce każdego zabitego pojawiało się pięciu następnych. Jeszcze bardziej groźnych, jeszcze bardziej wściekłych i żądnych krwi pogan.

Wtem potężny okrzyk triumfu wyrwał się z tysięcy gardeł.

Padła główna brama miasta.

- Przygotować broń! - rozkazał olbrzym z tatuażem, lecz nikt go już nie słyszał. Setki wyznawców Szymona wdarło się do środka. Za nimi kolejna setka i kolejna. Obrońcy próbowali stawiać opór, lecz byli bez szans.

Rozpoczęła się krwawa rzeź.

Pierwszy raz w chwalebnej historii Arkandy wszyscy ludzie byli sobie równi. Bogacze i biedacy, kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy - wszyscy jednakowo padali pod gradem ciosów, pchnięć i uderzeń. Niebieska krew arystokracji mieszała się z pospolitą juchą kmieciów, tworząc wielką lepką rzekę, płynącą leniwie po brukowanych ulicach. Gdzieniedzie pojawiały się pierwsze płomienie ognia, które stopniowo pożerały coraz większą część miasta.

- Litości, błagam, litości - łkała brzemienista kobieta, próbując uciec przed goniącym ją czarnoskórym symonitą. Litości jednak nie było. Ostry miecz z piorunującą siłą ciął w mlecznobiałą szyję kobiety, a jej głowa z hukiem potoczyła się po ulicy i zatrzymała tuż obok trupa pięcioletniego, rozprutego na pół dziecka.

Nieco dalej trójka brudnych żołdaków, ze straszliwymi uśmiechami na spowitych okrucieństwem gębach, brutalnie gwałciła dwunastoletnią dziewczynkę. Po nich przyszli następni i kolejni. Przy dziesiątym dziewczynka wydała ostatnie tchnienie, lecz nawet to nie zatrzymało brutalnego gwałtu.

Król Machud III w milczeniu obserwował rzeź swoich poddanych. Jego twarz zastygła w grymasie bólu, a chuda dłoń kurczliwie ścisnęła rękojeść miecza. Stary król umierał wraz ze swym miastem, wraz z pamięcią o dawnych bogach i nadzieją na szczęście swych wnuków.

Jego wysokość Eutykianus I Bogobojny, Władca Świata i niepokorny sługa Szymona Maga, siedział wygodnie na wyścielanym atłasem tronie. Twarz miał spokojną, senną. Jego usta co rusz zanurzały się w czerwoności wysmienitego trunku, a powieki opadały w dół, jakby chciały przykleić się do reszty twarzy. Cesarz był mężczyzną

średniego wzrostu o odstających uszach i stosunkowo małej głowie. Jego czarne włosy, z charakterystycznymi zakolami na wysokim czole, były przerzedzone niewielkimi pasemkami siwizny po bokach. Miał ogorzałą od słońca cerę z dorodnym pieprzykiem na środku lewego policzka oraz orli nos, wyglądający jakby był na siłę przyklejony do twarzy. Przewiewna tunika barwy oceanu przewiązana była czerwonym pasem z ćwiekami, który raził przypadkowego widza bogactwem swych ozdób. Na nią nałożoną miał pelerynę o jeszcze bardziej jaskrawej, wręcz oślepiającej barwie, która spięta złotą broszką w kształcie motyla szeleściła przy każdym, najdrobniejszym nawet ruchu. Na nogach luźno zwisały prążkowane spodnie, co rusz odsłaniając ciemnozielone, uszyte ze skóry aligatora sandały.

Wyglądam jak błazen – myślał nieraz władca, lecz powaga majestatu i długoletnia tradycja wymagały od niego odpowiedniego stroju. Starał się nie patrzeć w zwierciadło, a gdy już jakimś nieszczęśliwym zrzędzeniem losu ujrzał w nim swoje odbicie, pocieszał się w myślach, że przynajmniej nie musi ubierać się na różowo, tak jak jego ojciec, dziad i pradziad. Zakaz noszenia przez mężczyzn różu był jednym z pierwszych dekretów młodego wówczas władcy. Natychmiast poparły go osiągające coraz to większe wpływy na dworze fanatyczne kręgi związane z religią.

- Sługa Szymona musi być czysty i ubierać się skromnie, a nie nosić na sobie kolor kobiecego sromu – orzekł wówczas Wielki Kapłan i tym samym uciął dalsze dyskusje.

Trzeszczący głos jednego z braci Zakonu Najświętszego Serca wyrwał władcę z filozoficznych rozważań nad naturą świata. Ubrudzony krwią zakonnik zeskoczył ciężko z konia i skłonił się przed cesarzem. Jego czoło było zroszone potem, a rozchylone usta łapczywie walczyły o każdy, najmniejszy nawet haust powietrza. Pokryte brudem palce podrygiwały w nerwowych tikach, a oczy co rusz kierowały się ku czerwonej łunie palącego się miasta, jakby ich właściciel nie mógł się już doczekać, by ponownie pograć się w szale mordów, grabieży i gwałtów.

- Panie, miasto Arkanda należy do ciebie - wyseplenił, wzbijając w powietrze drobinki śliny.

Stojący nieopodal Wielki Kapłan Baziliskus zgromił mężczyznę jadowitym spojrzeniem.

- Do miłosiernego Boga i jego towarzyszki Enoidy, chciałeś chyba rzec. Wszystko na tej ziemi należy do nich, synu. Nie zapominaj o tym.

Żołnierz zbladł jak ściana, pochylił głowę w stronę ziemi i uderzył się mocno w pierś. Cesarz ugryzł się w język, walcząc z pokusą ciętej riposty, i wbił wzrok w idealnie kształtne piersi wachlującej go niewolnicy. Ten widok zawsze go uspokajał.

- Wybacz, ojcze - odezwał się sfukany zakonnik. - Chciałem powiedzieć, że pogańskie miasto Arkanda poznało miłosierdzie Szymona Maga.

Wielki Kapłan wyszczerzył twarz w grymasie próbującym przypominać uśmiech. Był to wysoki, nad wyraz szczupły mężczyzna o drapieżnej, nieco pokracznej sylwetce, wygolonej czaszce i czarnej, sięgającej do klatki piersiowej brodzie, uformowanej w gruby warkocz i przełożonej przez kilka złotych pierścieni. Najbardziej niezwykle były jednak jego oczy - dwie niesamowicie wąskie szparki z bladoczerwonymi tęczówkami, pośrodku których widniały idealnie czarne źrenice. To nie były dobre oczy. Czaiła się w nich olbrzymia, hipnotyzująca moc, która sprawiała, że kto choć raz w nie spojrzał, nie mógł tego zapomnieć do końca życia.

Pociągła twarz kapłana zadrgała, a rachityczne ręce wzniosły się powoli ku niebiosom.

- Móóódlmyyysięęę - zaintonował przeciągłym, śpiewnym głosem.
- I dziękujmy Jedynemu Bogu za wspaniałe zwycięstwo, które jego waleczna armia odniosła nad bezbożnikami.

- Ożeż kurwa! Znowu? - wymknęło się cesarzowi. Na tyle jednak cicho, że usłyszała to tylko stojąca przy nim niewolnica, wydzielająca zniewalającą i pełną zmysłowych obietnic woń nie tak już niewinnej

niewiasty. - Ileż się można modlić? Czy ten człowiek nigdy nie ma dosyć?

Zęby cesarza potarły bezgłośnie o siebie, a ciało uniosło się w górę, jakby ważyło tyle co stado elifantów. Twarz spowił na krótką chwilę wyraz niezadowolenia, lecz cesarz, czując na sobie ciężki wzrok kapłana, pokornie złożył dłonie i dołączył do modlitwy.

- Święty Szymonie Magu, wcielony Mesjaszu, Mistrzu, Chrystusie i Zbawicielu Ludzkości, prowadź nas ku Światłu, nauczaj i wyzwalaj ze wszelkiego mroku, uwalniaj ze wszelkiej ciemności, wyzwalaj z grzechu winopilstwa, uwalniaj od grzechu mięsożerstwa, uwalniaj od żądz zabijania ludzi i zwierząt! Prowadź nas ku obmyciu ze wszelkich grzechów naszych, uwalniaj od drogi upadku, a prowadź ku zbawieniu duszy i życiu w Niebiosach Boga! Amen.

Pomarańczowo-czerwone wargi zachodzącego słońca z czułością muskały zwilżone krwią synów i cór Arkandy łono Matki Ziemi. Wśród gorejących ruin, wśród bezgłowych trupów, chichotów Pani Śmierci i sycącego głód padlinożernego ptactwa dwustu pięćdziesięciu ocalałych z rzezi biedaków czekało na swój los. Stali pośrodku niczego, tam, gdzie jeszcze wczoraj wznosił się tętniący feerią barw, kakofonią dźwięków i symfonią najprzeróżniejszych aromatów główny plac targowy. Skuto ich ciężkimi, metalowymi kajdanami i ustawiono w czterech rzędach, by przez cały dzień i pół nocy sycili oczy płomieniami liżącymi ich kochane miasto. Od czasu do czasu przemknął między nimi któryś z ponurych strażników, rozdając na prawo i lewo piekące uderzenia bata. Tak dla zabawy, tak z nudów.

- Co z nami będzie? - spytał przystojny mężczyzna o imieniu Achud stojącego przed nim towarzysza niedoli.

Odpowiedział mu świst bicia i piekący ból skóry.

- Zamknąć gęby, parszywe psy! - wydarł się mały, chudy człowieczek o wyłupiastych oczach i twarzy przypominającej gnoma.

W jego oczach czaiła się nieskrywana, perwersyjna wręcz przyjemność z lżenia innych.

Ruszyli po północy. Brudni, spragnieni i głodni. Popędzani głośnymi okrzykami, bolesnymi uderzeniami bata i wątpliwymi pieszczotami zaciśniętych w pięści dłoni kierowali się ku głównej bramie miasta. Wyglądali niczym owce prowadzone na rzeź. Czuli się znacznie gorzej. Po drodze musieli oglądać leżące bezładnie trupy swoich ziomków, palące się domy i padające pod własnym ciężarem ruiny. Gdzieniegdzie pijani żołdacy obrzucali ich stekiem najwymyślniejszych przekleństw.

- Ej, ty, przybrudzony - odezwał się pijany w trupa żołdak, którego naga pierś z wytatuowanymi czaszkami pokryta była licznymi plamami zakrzepłej krwi. - Twoja siostra chce ci coś powiedzieć.

Okrągły kształt z majtającymi się długimi warkoczami upadł z hukiem pod nogi ciemnoskórego więźnia, wlokącego się ciężko tuż obok Achuda.

- Głupiś. To nie ona. Jego siostra pierdoli się tam ze swym gachem. Chyba się zakochała. - Głośny rechot wy dobył się z wyszczerbionych ust jego kompana. Wykrzywiony niczym w reumatyzmie palec wskazał na płaczącą cicho dziewczynę, która leżała na kamiennej drodze, przygnieciona przez potężne cielsko gwałciciela.

Odpowiedziała mu salwa śmiechu.

- Barbarzyńcy, przekłete zwierzęta! - krzyknął któryś z więźniów.

Mały człowieczek z batem tylko na to czekał. Z zadziwiającą jak na jego posturę siłą uderzył śmiałka, zostawiając mu na plecach krwawą pręgę. Mężczyzna zawył z bólu.

- Co mówisz? - zakpił z niego jakiś głos. - Ho, ho, mamy śpiewaka. Niech zaśpiewa jeszcze raz.

Gnomowaty strażnik z nieskrywaną satysfakcją uległ tej prośbie. Raz za razem zaczął okładać więźniów mocnymi uderzeniami bata, ku olbrzymiej uciechu podochoconej publiczności. Strażnik czuł się ważny. Czuł się wielki i potężny. Nie to co w dzieciństwie, gdy był

pośmiewiskiem całej wioski i nie raz zbierał solidny łomot od swoich kolegów.

W końcu minęli zburzoną bramę miasta i wyszli w bezkresny odmęt piaszczystego oceanu. Chłodny, przesycony dymem i odorem trupów wiatr smagał ich porozcinane ciała. Krok za krokiem oddalali się od swych dawnych domostw. Wreszcie, kiedy Pani Noc stopniowo traciła władzę nad światem, a czerwonawe słońce ponownie zespoliło się z Matką Ziemią, zmęczeni jeńcy dotarli do celu. Minęli drewniane palisady oraz dwóch dłubiących w nosie wartowników, którzy beznamietnym wzrokiem obserwowali ten korowód nędzy i rozpacz, i zatrzymali się na dużym placu. Wokół nich, jak okiem sięgnąć, wznosiły się obszerne namioty z wielbłądzich i owczych skór. Dookoła słyhać było odgłosy parskania zwierząt i bliżej nieokreślony hałas przypominający orkiestrę złożoną z jęków, zgrzytów i pochrząkiwań. Słyhać było także świst przecinających powietrze batów, które co rusz lądowały na skórach więźniów, oraz stłumione krzyki, ciche szloch i nieliczne prośby o litość. Strażnicy kazali im usiąść i dali każdemu po kubku zatechłej wody, sami zaś ułożyli się w cieniu samotnie stojącej palmy, który otulił ich ciała niczym ramiona matki rodzicielki. W ruch poszły bukłaki z winem i pajdy czerstwego chleba.

Chłód nocy już dawno ustąpił przed parnym i coraz gorętszym powietrzem, płynącym nieprzerwanym strumieniem jakby z samych otchłani piekła. Wzmógł się wiatr. Drobinki ostrego piasku zaczęły unosić się w powietrzu, szturmując oczy i usta skazańców i powodując dodatkowe zgrzytanie zębów. Po niebie sunął klucz zszarzałych ptaków, których rozłożone skrzydła wyglądały niczym płynące po niebie statki. Część więźniów ze smutkiem w oczach obserwowała ich lot, zazdroszcząc im wolności. Kilka grubych łez spłynęło po ogorzałych policzkach i wsiąkło w piaski pustyni. Kilka pięści zacisnęło się w bezsilnej złości, z kilku ust wypłynęły niemrawe słowa modlitwy.

Achud rozejrzał się dyskretnie wokół siebie.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał szeptem siedzącego obok mężczyznę.

- W obozie dla mankrutów - odpowiedział ktoś z tyłu. Chciał jeszcze coś dodać, lecz nagle zamilkł.

Z obłoku kurzu wyłoniła się grupka mężczyzn, idąca ku nim szybkim krokiem. Przewodził jej wytatuowany od stóp do szyi grubas o obwisłych piersiach przypominających dwa zwisające boczki. Jego wysmarowane oliwą ciało zdawało się wchłaniać promienie słońca. Tak samo jak ogolona do gołej skóry czaszka, górująca nad tuzinem kolczyków wyrastających z jego brwi, uszu i nosa.

Dziesięciu wyglądających jak banda zbirów z najpodlejszych spelunek mężczyzn oraz jeden pocieszny grubasek pojawiło się zniecacka, wszczynając wrzawę, chaos i tumult. W ruch poszły buty, pięści i krótkie, skórzane bicze.

- Wstawać, psubraty, psia wasza mać. Wstawać, heretyckie ścierwa. Odpoczynku się wam, psia mać, zachciało! - zaczął drzeć się grubas przeraźliwie niskim głosem, rozdając ciosy na prawo i lewo. Następnie, nieporadnie przebierając olbrzymimi odnóżami, ruszył w stronę raczących się winem strażników. Stanął kilka kroków przed gnomowatym dowódcą, oblizał spierzchnięte wargi i powiódł znaczącym wzrokiem po zbitej gromadce jeńców.

- Gdzie reszta?

Siedzący w najlepsze żołnierze spojrzeli po sobie, z trudem maskując wesołość.

- Niechaj imię Szymona Maga dotrze do każdego zakątka ziemi i błogosławi twe serce urodzajem miłosierdzia - przywitał się jeden z nich, patrząc kpiąco na grubasa.

- Wy się tutaj imieniem Boga nie zasłaniajcie, psia wasza mać. Pytam się, gdzie reszta więźniów, bo chyba nie chcecie mi rzec, że w całym mieście ostała się jeno ta garstka?

- Nie chcem, ale muszem - odparł gnomowaty i mrugnął porozumiewawczo do siedzącego obok kompana, który zasłonił usta

dłonią i spuścił wzrok niczym rozchichotane dziewczę podczas trzeciej schadzki.

Grubas raz jeszcze rozejrzył się dookoła i podrapał po gładkiej brodzie.

- Kpiny sobie ze mnie urządzacie, psia mać?

- Gdzież byśmy śmieli, szlachetny panie naczelniku. Prędzej bym własną matkę na stosie spalił, niż pozwolił jakimukolwiek z mych żołnierzy obrazić tak gorliwego i pokornego sługę Szymona, jakim bez wątpienia jesteście. Jednakże Pan nasz, Bóg Jedyny i Miłosierny, stwórciel nieba i ziemi, tak się zapatrzył w swym gniewie przeciw tej pogańskiej hołocie, że ostała się jeno ta garstka. Są to jednakże sami najwytrwalsi mężowie - elita wśród elit. Częstujcie się przeto do woli i nie bluźnijcie przeciwko woli Pana.

Grubas wykrzywił twarz i splunął na ziemię. Na jego ustach na dobre zakwitł grymas niezadowolenia, który z każdą kolejną chwilą przybierał coraz to bardziej nieprawdopodobne kształty. Nozdrza rozszerzyły się jak u dzikiego zwierza, a twarz spurpurowiała, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Siedzący mężczyźni mężnie znieśli jego pełne wyrzutów spojrzenie, z trudem powstrzymując się przed atakiem śmiechu.

- Kpicie sobie ze mnie - powiedział grubas, choć nie do końca było wiadomo, czy to stwierdzenie, czy pytanie. Na wszelki wypadek siedzący żołnierze skwapliwie pokręcili głowami i zmarszczyli ze zdziwienia brwi.

Grubas powolnym krokiem ruszył w stronę nic nierozumiejących więźniów i zaczął przechadzać się wśród nich, taksując ich zmrużonymi ślepiami. Machał przy tym tłustymi rękoma na wszelkie strony niczym wielki struś próbujący poderwać się do lotu. Z każdym jego krokiem pulchna twarz zdawała się coraz bardziej czerwona.

- To jakieś kpiny, psia wasza mać! To musi być żart.

Teraz już nikt nie miał wątpliwości, że było to stwierdzenie. Tłusta dłoń zacisnęła się w pięść i zdzieliła przypadkowego więźnia, który zawinił tym, że stał w niewłaściwym miejscu.

- Nie przesadzaj, przyjacielu. Nie ma ich znowuż tak mało - próbował pocieszyć go gnomowaty. - Ciesz się z tego, co jest, a nie zrządzisz jak moja żona.

Siedzący obok niego kompan obdarzył go zdziwionym spojrzeniem.

- To ty masz żonę? - spytał z niedowierzaniem. - Nic się nam nie chwaliłeś.

- Jak mam, jak nie mam. Rzekłem przecież, że za dużo zrządziła - odparł mikrus, wzbudzając wokół powszechną wesołość. Tylko wytatuowany grubas się nie roześmiał.

- Nawet żadnej dziewczki mi nie dali, psia ich mać. Same stare krowy. Ale śmieście się, śmieście, psia mać. Młode to żeście pewnie zdołali wychędożyć, a dla moich chłopców same zropiałe ropuchy przysyłacie. Oj, wściekną się. Wściekną się, a wtedy biada wam. A wystarczy, że szepnę słówko memu szwagrowi, którego przyjaciel zna brata jednego z zakonników, i wtedy wam dopiero miny zrzedną.

- Nie róbcie tego, szlachetny naczelniku. Toż to dziewczek u was w bród - odezwał się wysoki strażnik o przebiegłej twarzy i wiecznie rozbieganych oczkach i, ledwo powstrzymując śmiech, wskazał na stojące nieopodal stado wielbłądów. - Może trochę bardziej owłosione niż zwykle, ale za to pachną podobnie. A cyce mają, że ho, ho - dodał, pokazując na ich garby.

To przechyliło szalę radości. Mężczyźni ryknęli śmiechem. Jeden ze strażników złapał się za brzuch i zaczął turlać po ziemi, jakby się najadł szaleju. Nawet towarzysze naczelnika z trudem zachowywali powagę, widząc, jak ich dowódca targa się ze złością wśród przerażonych jeńców. W końcu z trudem udało im się opanować, choć od czasu do czasu nadal słyhać było przytłumione szepty i chichoty.

Naczelnik splunął z odrazą.

- Zaprowadźcie te ścierwa do fryzjera, psia mać, niech ogolą im te łby. Może coś się uda zrobić z tych kreatur - rozkazał wściekłym głosem i oddalił się pośpiesznie w kierunku swojego namiotu. Siedzący żołnierze odprowadzili go zawiedzionymi spojrzeniami,

ciesząc uszy bezustannym jazgotem wydobywającym się z pękających, barwionych ochrą warg. Kilku wytarło łzy śmiechu, kilku pomachało mu dłonią, lecz nasz grubasek już tego nie widział.

- No jazda, jazda. Słyszeliście, co pan naczelnik powiedział. Ruszać się, ścierwa, ruszać się! - krzyknął w stronę więźniów jeden z nadzorców.

Bat znów świsnął w powietrzu, rozcinając skórę Achuda. Któryż to już raz dzisiejszej doby, Achud nie wiedział.

Ruszyli, lecz przeszli zaledwie kilkaset kroków, gdy znów musieli stanąć. Znaleźli się na niewielkim placu, tuż koło kamiennej studni odbierającej rozgrzanej ziemi życiodajną wodę. Obok niej rosła rozłożysta palma, dająca odrobinę upragnionego cienia, a z boku stał samotny namiot. Jeden ze strażników ruszył w jego stronę, wsadził do środka głowę i ryknął na cały głos:

- Ej, Swabaha! Wychodź! Przyprowadziliśmy ci owieczki do strzyżenia.

Z pobliskiego namiotu wychylił się czarnoskóry mężczyzna. Miał pofarbowane na rudo włosy, odstające uszy i miedziany kolczyk na środku dolnej wargi. Otaksował zaspanym wzrokiem przybyłych jeńców, ziewnął szeroko, po czym, klnąc pod nosem, wyszedł na zewnątrz i ponownie ziewnął.

- Nawet się wyspać człowiekowi nie dadzą, łajzy chędożone. Co ich tak dużo, do kurwy nędzy? Więcej ich matka nie miała? - przywitał się z charakterystyczną dla jego plemienia uprzejmością i przeciągnął w górę, aż zgrzytnęły stawy.

- Miała, miała, ale wstydziła się świata pokazać - padła rzutka odpowiedź.

Swabaha zgromił dowcipnisią spojrzeniem, pokręcił głową i splunął siarczyście na ziemię.

- No, szkoda czasu. Dawać te ścierwa tutaj, tylko po kolei. I niech któryś mi pomoże, bo sam to do usranej śmierci będę golił te puste byłby.

To powiedziawszy, podszedł do stojącego w cieniu palmy stolika i wziął do ręki ciężkie nożyce oraz ostrą niczym język teściowej brzytwę. W tym samym czasie dwaj strażnicy podeszli do pierwszego z brzegu jeńca, zdjęli mu kajdany i w brutalny sposób posadzili na przygotowanym zawczasu taborecie. Nieborak zaczął jęczeć, próbując się wyrwać, lecz kilka celnie ulokowanych kuksańców ostudziło jego zapał.

- Nie wierz się, to będzie mniej bolało - pouczył go Swabaha i, nie siląc się na delikatność, zaczął mu ścinać włosy, które grubymi kępkami opadały na żółte piaski pustyni. Po chwili były już tylko wspomnieniem, a poraniona czaszka lśniła w promieniach słońca niczym porysowany dzban wina.

- Następny! - krzyknął czarnoskóry i mocnym ciosem w potylicę zrzucił nieszczęśnika ze stołka.

Natychmiast pochwyciło go dwóch postawnych strażników, wykręciło mu do tyłu ręce i zaczęło prowadzić przez cały obóz, aż znaleźli się za jego tylną bramą. Już z daleka słychać było jęki, syki, ryki i wycie siedzących nieruchomo nieszczęśników. Wszyscy byli zakuci w dyby i przywiązani jeden do drugiego. Były ich setki, a nawet tysiące. Wyglądali niczym grządki pożółkłych cukinii na palącym słońcu pustyni. Większość się nie ruszała, lecz byli też i tacy, którzy bezskutecznie próbowali się uwolnić z metalowych kajdan. Jeszcze inni przeraźliwie krzyczeli, wygrażając bogom, strażnikom, a nawet własnym matkom za to, że te śmiały ich wydać na tak przeklęty świat.

- Puśćcie mnie - zaszlochał nieborak, lecz zamiast odpowiedzi dostał solidne uderzenie w wątrobę i usłyszał gardłowy, pełen złośliwości śmiech.

Żelazne obejmy zatrzasnęły się z trzaskiem na jego przegubach w taki sposób, że nie mógł się nawet podrapać. Jeden ze strażników ruszył ku stojącemu samotnie szalasowi, który wyglądał w tym królestwie rozpaczy niczym istny pałac pośród żebraczych chat. Po chwili wrócił, niosąc dużą drewnianą skrzynię. Położył ją na ziemi

i zaczął od niechcienia trącać jeńca czubkiem skórzanego sandała. Zaraz jednak odskoczył od niego, stanął na baczność, wyprężył pierś i schylił głowę w pokornym ukłonie.

- Witajcie, mistrzu Wolgrunie. Witajcie, witajcie. Wszystko już na was czeka w najlepszym porządeczku - wyjąkał i ze strachem, i z szacunkiem.

Przybyły nie raczył na niego spojrzeć. Ruszył sprężystym krokiem do skrzynki i włożył do środka przystrojoną trzema złotymi sygnetami dłoń. Po chwili wyciągnął ją z powrotem, trzymając wilgotny kawałek wielbłądziej skóry. Wstał, musnął spojrzeniem trzęsącego się więźnia i kiwnął głową w stronę wyprężonych strażników. Jeden z nich zaszedł arkandyjczyka od tyłu i unieruchomił mu głowę mocnym uściskiem ramion. Mistrz Wolgrun stanął z drugiej strony. Był niezwykle skupiony. Zdawał sobie sprawę, że jeden nieopatrny ruch, jeden błąd i cała operacja zakończy się śmiercią jeńca. Na taką stratę nie mógł sobie pozwolić. Powoli przyłożył wielbłądzą skórę do czaszki jeńca, wygładził ją obiema dłońmi, przesunął w bok o grubość paznokcia i znów wygładził. Gdy już upewnił się, że skóra leży tak jak powinna, przyłożył kciuki do kilku newralgicznych punktów czaszki i przycisnął z całej siły, jakby chciał zrobić w nich dziurę. Jeniec jęknął z bólu, lecz któż by się tam nim przejmował. Mistrz Wolgrun zdzielił go w potylicę i zlustrował swoje dzieło. Musiał być zadowolony, bo na ponurych zazwyczaj ustach wykwitł drobny uśmiezek. Wstał i wciąż nie wypowiadając ani jednego słowa, ponownie ruszył ku drewnianej skrzyni, patrząc jak dwóch kolejnych symonitów ciągnie za sobą drącego się wniebogłosy Achuda.

Jeden ze strażników przystawił jeńcowi do ust bukłak z wodą, a drugi raz jeszcze sprawdził zapięcia metalowych obejm.

- Siedź spokojnie - przemówił, kalecząc arkandyjski język. - Ty trochę pocierpieć, a za cztery dziesiątki dzień ty nic nie pamiętać. Skóra się skurczyć na słońce, zniszczyć twój mózg i ty być mankrut. Nic nie czuć, nic nie pragnąć, nic nie myśleć. Tylko służyć i umierać, ha, ha, ha.

Dziewczynka nie płakała. Przez ostatnie trzy doby wypłakała już wszystkie łzy, jakie mieściły się w jej jasnoniebieskich oczkach. Teraz były one suche niczym ciągnąca się z południowej strony zrujnowanego miasta pustynia. Suche, martwe i matowe.

Dziewczynka była brudna, głodna i spragniona. Nie była przerażona, raczej obojętna. Obojętna na całe zło, jakiego była ostatnio świadkiem. A okrucieństwem, które widziała, można by spokojnie obdzielić sto podobnych dziewczynek.

Siedziała skulona w chłodnej, suchej piwnicy w towarzystwie dorodnego szczura, który raz za razem podgryzał jej zdrętwiałe koniuszki palców u stóp. Zdołała się tu skryć zeszłej nocy, gdy pięciu obrzydliwych drabów, o śmierdzących alkoholem oddechach i rękach zbuczonych niewinną krwią, wpadło z impetem do ich domu, przewróciło stół, stłukło drogocenną porcelanę i zaczęło swój krwawy taniec miłosierdzia. Tylko jej z całej rodziny udało się skryć. Skuliła się w kącie i cicho łkała. Przez całe trzy dni musiała słuchać jęków i przeraźliwych szlochów swych najbliższych, które mieszały się z głośnymi śmiechami ich oprawców, pełnymi nienawiści krzykami i głośnymi westchnieniami spełnienia. Słyszała także bicie własnego serca, które waliło niczym młot w rękach fachowego kowala, oraz ciche słowa modlitwy wypowiedane bezwolnie przez jej spierzchnięte usta.

Teraz wszędzie trwała cisza. Przerazająca, wręcz namacalna martwota dźwięków. Dziewczynka nie chciała wychodzić. Marzyła, by zasnąć i więcej się nie obudzić. Chciała zostawić ten podły świat i spotkać się z matulą, usłyszeć jej cichy, kojący głos, poczuć ciepło ramion i wilgotny pocałunek na swym czole. Niestety była już w takim wieku, że wiedziała, iż to jest niemożliwe – czasu nie da się odwrócić. Miała jedynie cichą nadzieję, że może gdzieś tam, wśród ruin zniszczonego miasta Arkanda, wśród bezgłowych trupów i spalonych domostw żyje ktoś z jej bliskich. Pomyślała o swoich trzech braciach,

o ukochanym wujku i licznych kuzynach, którzy rozpieszczali ją, jakby była małą księżniczką. Zanim zniknęła w ciemnej piwniczce, była świadkiem tego, z jakim okrucieństwem przekłęci wyznawcy Jedynego Boga obchodzą się z jej ziomkami. Widziała rzezie, gwałty i tortury. I krew. Morze krwi płynącej po ulicach, niczym rwąca rzeka Rheandr.

Dziewczynka nie płakała. Siedziała skulona w ciasnej piwniczce, myśląc o swym dawnym życiu. Najchętniej zostałaaby tu do końca życia, lecz potwornie chciało jej się pić. Zaczęła powoli przesuwać się w stronę wyjścia. Wyglądała niczym płód opuszczający bezpieczne schronienie w brzuchu swojej rodzicielki. Korytarz był tak wąski, że nawet jej drobne ciało z trudem się w nim mieściło. Ostre krawędzie wystających kamieni raniły jej ciało, lecz ona nie zwracała na to uwagi. W końcu dotarła do niewielkich, zatarasowanych od wewnątrz drzwi.

Dziewczynka wyszła ze swojej kryjówki. Kątem oka ujrzała nagie i pokrwawione zwłoki swojej siostry. Leżały tuż obok martwego braciszka, który przed śmiercią zmuszony był patrzeć, jak brutalne potwory pozbawiają ją czci. Nieco dalej leżało poharatane ciało ukochanej matuli, a raczej to, co z niego zostało. Tułów leżał w innym miejscu niż głowa, jedna noga była ucięta w kolanie, a druga poskręcana niczym wyrób pijanego stolarza.

Dziewczynka minęła obojętnie ciała swoich najbliższych i skierowała swe kroki do kuchni, z nadzieją, że tam znajdzie coś do picia. Zawiodła się. W miejscu, gdzie stała niegdyś przytulna kuchnia z niewielkim piecem do wypiekania chleba, teraz wznosiło się istne pogorzelsko. Kawałki drewna, gliny i szkła mieszały się z gnijącymi trupami tych, którzy szukali tutaj schronienia przed niewyżytą hordą okrutników. Dziewczynka weszła do środka. Prawą nogą zahaczyła o jakiś podłużny kształt. Kształt, który jeszcze dwa tygodnie temu wołał do niej, stojąc z drewnianym mieczykiem w dłoni: *Nie bój się, Saliho. Obronię cię przed złymi symonitami.*

Saliha. Tak miała kiedyś na imię. Była ślicznym, wiecznie uśmiechniętym dzieckiem o lekko zadziornym charakterze. Miała jedenaście lat, choć jak na swój wiek była wyjątkowo dojrzała. Długie puszyste włosy koloru ognia nosiła zwykle związane w kucyk, który podkreślał jej drobną buźkę o niezwykle subtelnym rysach i długą niczym u łabędzia szyję. Gdy się uśmiechała, na jej policzkach pojawiały się urocze dołeczki. Wyglądała wtedy słodko niczym mały cukiereczek. Ten słodki wygląd burzył jedynie lekko zadarty do góry nosek i niesforne oczka, spoglądające na świat z niejaką drapieżnością.

W poprzednim życiu była szczęśliwym dzieckiem. Miała to wszystko, o czym tylu jej bezimiennych rówieśniczek mogło tylko marzyć. Dach nad głową, pełną miskę jedzenia i nade wszystko kochającą rodzinę. I jak to często bywa w takich przypadkach, zaczęła to doceniać dopiero wtedy, gdy to straciła.

Ojciec Salihy był drobnym urzędnikiem na dworze króla Machuda III. Ciężko pracował od zmierzchu do świtu, pragnąc zapewnić rodzinie godny byt. W wolnych chwilach uwielbiał brać ją na kolana i opowiadać niestworzone historie o smokach, krasnalach, elfach i mądrych niewiastach. Saliha z wypiekami na twarzy słuchała opowieści ojca, marząc, że kiedyś spotka przystojnego księcia na białym rumaku, który zabierze ją na koniec świata i któremu urodzi dziesięcioro prześlicznych bobasków.

Matka dziewczynki była niską, pulchną kobietą o zapachu drożdżowego ciasta. Robiła wszystko, by jej pociechy były szczęśliwe. Saliha miała także starszą o kilka lat siostrę i trzech braci. Dwóch z nich już dawno osiągnęło wiek męski i założyło własne rodziny. Najstarszy, Salir, niespełna trzy lata temu złożył egzaminy w cechu ślusarskim i zeszłego lata udało mu się otworzyć niewielki zakład niedaleko rodzinnego domu. Niewiele od niego młodszy Masmar wybrał karierę wojskową. Zdołał nawet awansować do stopnia setnika, nim jego przeszyte pięcioma strzałami ciało spadło

z wysokich murów Arkandy wprost na głowy szturmujących mankrutów.

To wszystko było jedynie bladym wspomnieniem minionego życia. Niczym ulotny sen, z którego po przebudzeniu pamięta się tylko drobne urywki. Już nie była uroczą Salihą. Teraz była tylko małą zagubioną dziewczynką, stojącą samotnie wśród ruin byłego domu i modlącą się do bogów o łyk choćby najbrudniejszej wody.

Dziewczynka wyszła na zewnątrz. Świejące bez litości słońce zalało jej lazurowe oczęta oślepiającym blaskiem. Zamknęła oczy. Zasłoniła drobną twarzyczkę brudnymi dłońmi, rozchylając delikatnie palce u rąk, by przez drobne szczeliny światło powoli docierało do oczu. W powietrzu czuć było duszący zapach krwi i popiołu oraz dominujący nad nimi przeraźliwy odór rozkładających się zwłok. Było cicho. Słyszać było jedynie mlaskanie biesiadujących sępów oraz jednostajne bzyczenie krążących nad całym miastem much. Dziewczynka oderwała rączki od twarzy i ruszyła wzdłuż wąskiej uliczki w poszukiwaniu wody. Szła powoli, zatrzymując się co chwilę i nasłuchując odgłosów dogasającego miasta. Rozglądała się na wszystkie strony. Minęła spalony zakład brata, ledwo muskając go spojrzeniem, znajomą cukiernię, w której co sobotę kupowali gorące placki nadziewane figami, oraz tajemniczy sklepik z magicznymi artefaktami, prowadzony przez nigdy nieuśmiechającego się dziwaka. Skręciła w lewo. Przeszła przez niewielki skwer z dwiema drewnianymi, o dziwo, niepołamanymi ławkami i znów skręciła, aż w końcu w zasięgu jej wzroku pojawiła się upragniona studnia. Musiała jeszcze ominąć leżącą w poprzek drogi stertę kamieni i przeskoczyć nad trupem korpulentnej babuli z twarzą zastygłą w przeraźliwym grymasie. W ustach czuła ocean suchości, więc przyśpieszyła kroku. Była już blisko, bardzo blisko, gdy nagle poczuła, jak czyjeś grube łapska oplątują jej wątłą talię. Dziewczynka zadrżała, lecz nie czuła strachu. Serce miała zimne jak tafla lodu i głuche niczym pień stuletniego dębu.

- Ho, ho, ho. Co my tutaj mamy? Taki kwiatuszek się uchował. Fiu, fiu, fiu - usłyszała nad uchem głos, który powinien zmrozić jej krew w żyłach.

Mężczyzna chwycił ją jak piórko i odwrócił w swoją stronę tak, że mogła z bliska przyjrzeć się jego paskudnej mordzie. Nie wyglądał jak jej wymarzony książę z bajki. Nie wyglądał nawet jak człowiek. Podła, wykrzywiona w grymasie triumfu facjata prawdziwego zakapiora, małe, chytre i zaropiałe oczka łypiące pożądliwie na trzymaną w rękach dziewczynkę, kawałek nosa, dwa sterczące niczym u elifenta uszy i grube mięsiste wargi, które skrywały przetrzebione zęby. Potwór uśmiechnął się obleśnie i oblizał wargi na widok swojej zdobyczy. Śmierdział gorzej niż leżące parę kroków dalej rozkładające się zwłoki bezgłowej kobiety.

- Puść mnie - powiedziała dziewczynka beznamiętnym głosem, tak jakby nie chodziło o jej życie, tylko o cenę kwiecistej sukienki z niebieską wstążką, którą mama kupiła jej na urodziny.

- Puszczę, puszczę, tylko pierw pokażę, co prawdziwy mężczyzna potrafi zrobić z takim motylkiem. He, he, he. - Mężczyzna odwrócił twarz w drugą stronę i zawołał głośno: - Hej, Hrungon! Cho no tu! Prędko! Obacz, co żem znalazł. He, he.

Z pobliskiego budynku, który kiedyś był gustownym sklepem z najlepszymi tkaninami sprowadzanymi ze wszystkich stron świata, wyszedł drugi mężczyzna. Był trochę młodszy od swego towarzysza. Gęsty zarost okrywający całą twarz skrywał regularne, jakby szlachetne rysy. Byłby nawet przystojny, gdyby nie podarte i brudne łachmany, które kiedyś były mundurem, i roztaczająca się wokół niego woń nieświeżości. Uroku nie dodawała mu także olbrzymia kurzajka, która jak na złość zażyczyła sobie osiąść w najbardziej widocznym miejscu - tuż nad prawą wargą.

- O kurcze flaki, ale cudeńko - odezwał się Hrungon. - Śliczniutka i do tego jeszcze żywa. Ulala. Dawnom nie miał żywej.

Mężczyzna podszedł do dziewczynki i brutalnie chwycił ją za głowę. Drugą ręką gmerał już przy swoim kroczu.

- Gdzie, łachudro?! Jam ją znalazł. Czekaj na swoją kolej - oburzył się zakapior. Odtrącił dłoń Hrunгона i jednym ruchem powalił dziewczynkę na ziemię. Następnie rzucił się na nią niczym żebrak na pajdę chleba.

Dziewczynka nie broniła się. Leżała jak martwa, z zamkniętymi oczami i z myślami błądzącymi daleko od tego zapomnianego przez bogów miejsca. Mężczyzna zdarł z niej kieckę i wolną ręką uwolnił swego nabrzmiałego penisa, który wyskoczył niczym sprężyna, by znaleźć wąskie wejście do jej wnętrza. Już prawie je znalazł, gdy nieoczekiwanie usłyszał tubalny głos dochodzący jakby z zaświatów:

- Stój!

Zakapior z niedowierzaniem odwrócił twarz. Jeszcze większe było jego zdziwienia, gdy ujrzał ubranego w białą szatę starca, który wyglądał niczym starszy brat samej śmierci. Był przeraźliwie chudy. Tak chudy, że byle podmuch wiatru powinien go porwać jak suchy liść i zmieść na drugi koniec świata. Starzec jednak, jakimś dziwnym zrządzeniem losu, stał prosto i tylko długa, bielsza niż kozie mleko broda wirowała wraz z rozpiętą szatą, niczym dwa płatki niespotykanego w tych stronach śniegu. Biła od niego dziwna, nieuchwytna moc. Trudno stwierdzić, skąd się ona brała. Czy z niezwykłej siły głosu, czy z wyprostowanej niczym struna sylwetki? A może z zimnych jak błękit oceanu oczu, patrzących hardo na dwójkę oprychów?

- Precz, starcze! Nie wtrącaj się! - krzyknął rozłoszczony zakapior i zgromił starca ostrzegawczym spojrzeniem.

Nie możemy mu się dziwić. Jako dezertier podążający za armią symonitów rzadko kiedy miał do czynienia z żywymi kobietami. Zazwyczaj musiał się zadowalać resztkami, jakie zostawiali jego dawni towarzysze broni. Uważał się za szczęściarza, gdy udało mu się znaleźć nieuszkodzone zanadto i nieśmierdzące rozkładem zwłoki młodej niewiasty. Znalezienie wśród spalonych ruin miasta ślicznej i, co najważniejsze, żywej dziewczynki było bodaj najlepszą chwilą w całym jego nędznym życiu. I gdy już miał zaznać nieziemskiej

rozkoszy, gdy miał zatopić swoje zęby w tym przesłodkim cukiereczku, jakiś niewydarzony starzec, ubrany niczym cyrkowy klaun, śmiał mu w tym przeszkodzić.

O nie, psia mać. Nigdy!

- Spokojnie, staruszkule - odezwał się ugodowo Hrungon, łypiąc rozbawionym spojrzeniem w stronę stojącego w bezruchu intruza. - Starczy dla wszystkich. Podzielim się z tobą, jeśli jeszcze nie zapomniał, jak to się robi, ha, ha, ha. W twoim wieku? Niewiarygodne, że też ci się jeszcze chce. He, he, he.

Jego dobry humor nie udzielił się pozostałym mężczyznom. Zakapior bezskutecznie starał się naprowadzić swą nabrzmiałą męskość na niewinne łono nieobecnej duchem dziewczynki. Starzec zaś stał niczym ubrany w szatę posąg, a jego oczy były poważne niczym wyrok śmierci.

- Puśćcie ją, a nic wam się nie stanie - głos spoza światów ponownie wypłynął z jego gardła.

- Nic nam się nie stanie, ha, ha, ha - zaśmiał się Hrungon. - Już się boję. Nie dość, że dziewczynki mu się zachciewa, to jeszcze i do bitki skory. Oj, pocieszny z ciebie staruszek, pocieszny, ale chyba powinieneś stąd zmykać, bo mojemu kompanowi nie przypadło do gustu twoje towarzystwo. He, he, spójrz na niego. Chyba się wkurzył, a wierz mi, że wtedy nie jest takim przyjemniaczkiem, na jakiego wygląda.

Staruszek nie zareagował tak, jak powinien zareagować każdy w jego wieku, kto wdaje się w konfrontację z dwójką bezwzględnych oprychów.

- Ostrzegam ostatni raz. Puśćcie dziewczynkę i odejdźcie w pokój! - zagrział, wolno wymawiając każdą sylabę.

Tego było już za wiele.

- Bezczelny staruch - wściekł się zakapior. Uderzył pięścią w twarz leżącej pod nim dziewczynki, po czym podniósł się, podciągając jednocześnie spodnie. Następnie chwycił leżący obok kiścień o drewnianym trzonku oraz z przytwierdzoną do niego

skórzanym rzemieniem stalową, najeżoną kolcami kulą i ruszył wściekle na starca.

- Zabiję cię! - wysyczał, machając bronią na wszystkie strony, jakby odganiał natrętne muchy. - Ty głupi, wścibski chuju. Zabiję cię!

- Ho, ho, ho. Chyba się doigrałeś - zaśmiał się Hrungon, zacierając pociesznie dłonie. - A nie ostrzegałem? He, he, he.

Starzec go zignorował. Spojrzał w ogarniętą amokiem twarz idącego ku niemu mężczyzny i pokręcił nieznacznie głową.

- Nie podchodź do mnie! - powiedział spokojnym tonem, tak jakby mówił do niesfornego brzdąca, a nie do chcącego go zamordować zbira.

Zakapior nie posłuchał. Wręcz przeciwnie, przyśpieszył kroku. Kolczaste bijaki wykonały dwa salta w powietrzu, szykując się do bliskiego spotkania z siwą czaszką starca. Były coraz bliżej. Gdzieś z boku dał się słyszeć radosny chichot Hrunгона. Zakapior wyszczerzył zęby w przerażającym grymasie. Jego twarz kipiała wściekłością. Starzec jednak się nie bał, stał spokojnie. Tylko jego smutne oczy wzniosły się w stronę bezchmurnego nieba, a usta wypowiedziały ciche, niemal bezgłośnie słowa:

- Wybacz mi, Panie!

I nagle, w krótkiej jak mrugnięcie powiek chwili, zaszła w nim olbrzymia zmiana. Czoło pokryło się siecią głębokich, groźnie wyglądających zmarszczek, twarz się wydłużyła, źrenice zrobiły się mniejsze od ziarenek słonecznika, a oczy... oczy zapłonęły dziwnym, czerwonym blaskiem, tak jakby ktoś włożył w nie palące się pochodnie. Chuda, koścista dłoń z rozczapierzonymi palcami skierowała się w stronę idącego ku niemu oprycha.

Ten nagle znieruchomiał. Śmigający w powietrzu kiścień upadł z hukiem na ziemię. Zakapior zacharczał, a jego cera stała się przeraźliwie blada jak u trupa. Oczy zaszły mgłą, a z ust zaczęła ciec gęsta piana. Próbował zrobić jeszcze jeden krok, lecz nie był w stanie. Zastygł w miejscu, a na jego twarzy zagościł wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Nie wiedział, co się dzieje, i już nigdy nie zdołał się tego

dowiedzieć. Po chwili upadł na twarz. Jego czoło rozbiło się o leżący kamień, jednak nie poczuł bólu. Już wtedy nie żył.

Hrungon zamilkł. Wyszczерzone jeszcze chwilę temu w złośliwym uśmiechu usta zamarły otwarte na całą szerokość. Skierował wzrok na Zakapiora, potem na starca i znów na Zakapiora. Jego serce niemal zamarło, gdy ujrzał wyciągniętą ku niemu kościstą dłoń.

- Nie - zdążył jeszcze wyszeptać i złożył ręce jak do modlitwy. Po chwili i on upadł, dołączając do swego jedyne go przyjaciela.

Starzec zamknął oczy i wciągnął łapczywie duży haust powietrza. Zakręciło mu się w głowie, lecz nie upadł. Chwiejnym krokiem podszedł do leżącej w bezruchu rudowłosej dziewczynki, pochylił się nad nią i czule pogłaskał po głowie.

Otworzyła oczy. Zdziwiła się. Zamiast szpetnej mordy próbującego ją skrzywdzić zbira ujrzała pochyłającą się nad nią łagodną twarz staruszka. Uśmiechał się do niej ciepło. Dziewczynka usiadła powoli i zamrugła powiekami. Wytarła ciekącą z rozbitej wargi krew, potarła obolałe ręce i spojrzała niewidzącym wzrokiem w przestrzeń nieba.

- Nie bój się - usłyszała ciepły, kojący głos. - Już wszystko dobrze. Nie bój się.

Starzec ukucnął obok niej i podał jej manierkę z wodą. Chwyła naczynie i wypila łapczywie całą zawartość. Drobne kropelki ochlapały jej rączki i podartą sukienkę, która kiedyś miała lazuruowy kolor, pasujący doskonale do jej pięknych oczek.

- Jak ci na imię? - spytał jej nieoczekiwany wybawiciel. Mówił szeptem, który przywodził na myśl uspokajający szum leniwie płynącego strumyczka.

Nie odpowiedziała. Nie miała imienia. Nie teraz. Kiedyś owszem, lecz to było dawno temu, w innym życiu. Albo we śnie.

Staruszek chwycił ją delikatnie za dłoń.

Dziewczynka nieznacznie wygięła wargi do góry, a na jej policzkach pojawiły się ledwie widoczne dołeczki.

- Opowiem ci pewną historię - przemówił. - Historię, która zdarzyła się nie tak dawno temu. Historię o Bogu. Jedynym i wszechmocnym Bogu, który jest stwórcą nieba i ziemi, panem wszelkiego stworzenia i ojcem wszystkich ludzi, także twoim. Otóż pewnego razu dobry Bóg wyjrzał zza chmur, by przyjrzeć się z bliska wspaniałemu miastu leżącemu na krawędzi pustyni. Dojrzał piękne budynki, szerokie ulice i najwspanialszy targ, jaki kiedykolwiek został zbudowany. Dojrzał niezmierzone bogactwa, złoto i diamenty. Nie dojrzał natomiast świątyni, którą ludzie powinni zbudować na jego cześć. Zasepił się Bóg straszliwie. Przecież dał mieszkańcom wszystko, czego ci pragnęli. Dał im życie i słońce, i ziemię. Dał jadło, by napełnili swoje brzuchy, i wino, by ugasili pragnienie. Dał im wszystko to, co było potrzebne, a w zamian zażądał jedynie czci i szacunku. Postanowił więc Jedyne Bóg zstąpić na ziemię, by przypomnieć swym dzieciom o ich powinnościach. Ledwo przekroczył miejską bramę, natychmiast jego oczom ukazał się bezmiar grzechu, zła i nieprawości. Wszędzie panowały gwałty, kradzieże i morderstwa. Brat krzywdził brata, siostra siostrę, syn ojca. Pycha, chciwość i gniew zapanowały na każdej ulicy, wypierając z nich miłość, skromność i litość. A co najgorsze, mieszkańcy oddawali cześć fałszywym bożkom. Zapomnieli już o swoim prawdziwym ojcu, o swym opiekunie. Zapomnieli o wszystkim, co ten dla nich uczynił. Zamiast tego wzniesli dziesiątki świątyń, każda chwaliła dawne, nieistniejące bóstwa lub samozwańczych bożych synów. Zasmucił się Bóg okrutnie. Usiadł na rynku i zapłakał rzewnymi łzami. I gdy tak płakał nad nieprawością tych, których tak bardzo umiłował, podeszło do niego pięciu mężczyzn. Zaczęli z niego kpić i szydzić, a gdy chciał odejść, spróbowali go pobić i okraść. Zagniewał się przeto Bóg Jedyne. Zagniewał się srodze i okrutnie. Ponownie wstąpił do nieba i już miał zamiar spuścić na wyrodne miasto deszcz ognia i siarki, gdy nagle, wśród oceanu zła i nieprawości, zdołał dojrzeć malutką dziewczynkę o włosach koloru ognia. I dojrzał w niej czystość i nieskończoną miłość. A że Bóg jest sprawiedliwy, wezwał do siebie

swego wiernego sługę i tak mu rzekł: „Sługo mój wierny, oto tam w dole, wśród pustynnych piasków, stoi miasto wspaniałe i piękne, lecz ci, co w nim mieszkają, w pogardzie mnie mają i gniew mój muszą poznać. Jest tam jednak moja córka, piękna dziewczynka o płomiennych włosach i czystym sercu. Zejdź przeto do miasta i uratuj ją. Uratuj też innych prawych ludzi, którzy tam żyją, a resztę ukaraj srodze, by nie plugawili tej ziemi swoją obecnością”.

Jako Bóg rzekł, tako starzec uczynił. Wszedł do miasta z armią Pana, by ta wyplenila z niego grzech i bezbożność. Wysłał także swojego brata, starego człeka, by odnalazł prawych ludzi i ich uratował. I wyobraź sobie, że w całym wielkim mieście był tylko jeden dobry człowiek. Jedną małą, śliczną dziewczynką o rudych włosach i słodkim uśmiechu. Odnalazł ją starzec i ocalił. Dziewczynka nie chciała zdradzić mu swego imienia, lecz on je znał. Wiedział, że nazywa się Zafira. Piękne imię, Zafira - zakończył starzec, przytulając słuchającą z otwartymi ustami rudowłosą dziewczynkę o nowym, dźwięcznym imieniu.

Słońce osiągnęło najwyższy punkt na niebie i leniwym krokiem poczęło zmierzać w stronę swojej sypialni, lecz nim z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zaległo na wygodnym pościu, oddając świat w posiadanie Pani Nocy, musiało dać się we znaki zarówno ludziom, jak i zwierzętom. A dawało się porządnie, zsyłając na nich plagę gorejących promieni. Było parno, sucho, nieznośnie niczym w królestwie Boga Ognia, którego świątynia - jak na ironię - została doszczętnie spalona trzy dni temu.

Staruszek podniósł się z ziemi i wyciągnął dłoń w stronę Zafiry.

- Chodź ze mną - przemówił delikatnym głosem.

Dziewczynka posłusznie chwyciła go za dłoń i ruszyła wraz z nim, odwracając wzrok od mijanych potworności. Minęli bramę miasta i wstąpili na ziejącą żarem pustynię. Obóz zwycięzców znajdował się niedaleko i rozciągał się na przestrzeni wielu mil na prawym brzegu rzeki Rheandr, przecinającej płaskie tereny niczym długi spasiony wąż. Budząca grozę w sercach wrogów niepokonana armia

symonitów odpoczywała po kolejnym zwycięstwie. Od ponad dziesięciu lat głosili wzdłuż i wszerz natchnione słowa wiary, nawracając słowem, mieczem i ogniem, a dzięki opiece Jedyne Boga nikt nie zdołał im się oprzeć. Większość miast z prawdziwą pokorą ulegało sile perswazji i posłusznie otwierało bramy i własne serca na ich nauki. Ocalali nie tylko własne życia, lecz nade wszystko swe dusze. Niektórzy jednak byli oporni i głusi na pokojowe wezwania. Zatwardziali bezbożnicy, słudzy szatana, dla których Władca Świata, cesarz Eutychanus I Bogobojny, nie miał litości. Taki właśnie los spotkał miasto Arkanda i większość jego mieszkańców. Ich ciała leżą teraz porzucane jak beładne worki, pokryte milionami czerwi i dziobane przez sępy, a ich dusze cierpią potworne katusze w wiekuistych ogniach piekieł.

Dziewczynka i staruszek minęli bramę obozu. Dwóch wartowników stojących w kojącym niczym pocałunek narzeczonej cieniu przepuściło ich bez mrugnięcia okiem.

- Przeklęty mag - odezwał się jeden z nich, gdy dziwna para zniknęła z zasięgu ich głosu.

- Cicho! - warknął drugi i rozejrzał się przerażonym wzrokiem dookoła. - Lepiej nie mów tego głośno. Słudzy Baziliskusa wszędzie mają uszy. A jak masz coś do niego, to lepiej sam mu to powiedz.

- W życiu. Już wolałbym spytać samego diabła, czy ma dla mnie miejsce w piekle - odparł tamten stłumionym głosem.

Strażnicy roześmieli się. Nie był to jednak śmiech pełen niewinnej radości, lecz cichy i przytłumiony, pełen kłębiącego się strachu.

Dziewczynka wciąż trzymała starca za rękę. Minęli pierwsze namioty - zamieszkałe przez smukłych Kurdańczyków. Wokół nich leżały porzucane stosy śmieci, nadpsutego jadła i wielbłądzich odchodów. W obozie panowała odświętna atmosfera. Kurdańczycy, jak mało które plemię, potrafili się bawić. Ani jeden z nich nie był trzeźwy. Kręcili się między namiotami ze śpiewem na ustach, śmiejąc się, krzycząc i machając rękoma. Co rusz ktoś obejmował się radośnie w przyływie chwilowej miłości, co rusz ktoś tłukł się po głowie

w przyływie chwilowego gniewu. Inni tańczyli wokół ogniska, przeskakując co chwilę nad wysokimi płomieniami i robiąc w powietrzu ekwilibrystyczne salta.

Za obozem Kurdańczyków usadowili się krwiożerczy Pintowie, o skórach czarnych jak smoła i ciałach umięśnionych niczym olbrzymie posągi. Zafira z wielkim zaciekawieniem przypatrywała się, jak duża grupka mężczyzn gania w pozornym chaosie za okrągłym przedmiotem, który przypominał jej ludzką głowę. Czasem wpadali na siebie z impetem, czasem tarzali się po ziemi lub chwyтали za bary. A wszystko to wśród głośnego porykiwania stojących wokół gapiów i głuchych trzasków pękających kości.

- Grają w „tłuczonego” - wyjaśnił jej starzec. - Są podzieleni na dwie drużyny. Chodzi o to, by włożyć piłkę do jednego z dwóch koszy, które stoją na krańcach boiska.

Dziewczynka pokiwała głową. Ruszyli dalej. Minęli obozowisko Pintów i weszli na tereny zamieszkałe przez braci z Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga. Tu atmosfera była zgoła inna. Nie było śmiechów, krzyków i pijaństwa. Jednakowo ubrani mężczyźni zebrali się pod drewnianą figurką przedstawiającą brodatego starca i w skupieniu oddawali się modłom. Przewodził im wysoki mężczyzna o długim, przypominającym kaczki dziób nosie i zwichrzonych włosach, uformowanych w przetłuszczające się loki. Co jakiś czas intonował śpiewnym głosem kolejne wersy Świętej Księgi, a reszta powtarzała jego słowa.

Staruszek z dziewczynką minęli górujący nad innymi czarno-biały namiot Wielkiego Mistrza i zaczęli wspinać się na niewielkie, usypane z piasku wzgórze. Tam wznosił się jeszcze większy i jeszcze okazalszy namiot samego cesarza Eutylianusa I Bogobojnego - Władcy Świata i niepokornego sługi Szymona Maga. Co chwilę ktoś do niego wchodził, wychodził, coś przynosił, odnosił, donosił. Przed wejściem stało dwóch wyglądających jak wybryki natury wartowników. Jeden z nich ścisnął mocniej włócznię na widok starca, a spojrzał ze współczuciem na drobiącą obok dziewczynkę i zgrzytnął zębami.

Poszli dalej. Minęli wyglądające na wymarłe obozowisko Gralvallów, którzy zaczęli świętować nader wcześnie i nader wcześnie skończyli, i weszli na tereny zajmowane przez popleczników Wielkiego Kapłana. Co chwila mijały ich sunące powoli postacie ze wzrokiem utkwionym w ziemię i ustami mamroczącymi słowa modlitwy. Tutaj nawet kręcące się po całym obozie psy były jakby poważniejsze, bardziej natchnione. Powietrze także było inne - chłodniejsze i bardziej gęste.

- To tutaj - odezwał się cicho starzec i skręcił w stronę stojącego samotnie namiotu. Sprawiał on niezwykle skromne wrażenie - niewielki, upstrzony kolorami, krzywy. Tylko stojące przed wejściem chorągwie z niebieskimi kluczami świadczyły o tym, do kogo należał.

Weszli do środka. Wewnątrz panował przyjemny chłód, jakże inny od pustelnego upału, który smagał ciała wojowników ognistymi biczami i powodował senność, marazm, ból głowy. Dziewczynka mocniej ścisnęła dłoń starca, a jej wzrok przebił się przez panujący półmrok i zatrzymał na siedzącej na drugim końcu pomieszczenia sylwetce chudego starca. Jego oczy wydzielały czerwony blask. Rachityczna dłoń skierowała się w ich stronę, kościsty szpon oderwał się od reszty swych braci i wskazał na Zafirę. Następnie zgiął się powoli, dając znak, by podeszła. Błysnął niebieski szafir, zaśniło złoto sygnetu, zatrzepotały poły żółtych szat, które spływały kaskadami po chudym ciele kapłana, a stożkowata czapka z wyszytymi na niej tajemnymi symbolami uniosła się w górę.

Ruszyli w jego stronę. Z każdym krokiem robiło się coraz chłodniej, powietrze zdawało się gęstnieć, wręcz kipieć od magii. Czuć było także jakąś dziwną, skondensowaną energię bijącą od Wielkiego Kapłana. Energię, która mroziła krew w żyłach wrogów wiary. Zafira jednak się nie bała. Wręcz przeciwnie. Coś ciągnęło ją do przodu. Przyśpieszyła. Z każdym kolejnym krokiem jej serce zalewał coraz to większy spokój. Zakręciło jej się w głowie od panującej duchoty, lecz starzec zdołał ją przytrzymać i dalej szła już sama. Kątem oka dojrzała stojący po prawej stronie misternie

zdobiony ołtarz, który zdawał się migotać ledwie widzialną poświatą. Był okazałych rozmiarów. Ciągnął się na długość kilkunastu kroków, załamywał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, drgał, przygniatał swą świętością, a mimo to - niczym olbrzymi okręt stojący na bezkresnym morzu - zajmował niewielką część namiotu. Kilku mężczyzn klęczało przed nim. Z ich ust wydostawały się niewyraźne słowa modlitwy. Po drugiej stronie stały masywne regały wypełnione w całości księgami, stoły zastawione tackami owoców i dzbanami wody oraz skromne, niepasujące do reszty sienniki sług i służebnic Pana.

Jak to wszystko się tu pomieściło? - pomyślała Zafira, przypominając sobie, że z zewnątrz namiot sprawiał niezwykle skromne wrażenie.

- Nie wszystko jest takie, jakim się wydaje - usłyszała nagle dobiegający z góry, przesycony tajemniczą siłą głos. - Jesteś w Domu Bożym, Zafiro. On jest jak ludzkie serce. Może wydawać się mały, lecz mieści największe skarby życia.

Wielki Kapłan podniósł się z tronu i ruszył w jej kierunku, a jego postać zdawała się frunąć w owładniętym mrokiem powietrzu. Zatrzymał się tuż przy niej i delikatnie złapał ją za brodę, zmuszając, by spojrzała na niego. Przez krótką chwilę poczuła przeraźliwe zimno, gdy nasycone czerwonym blaskiem oczy Basiliskusa przeniknęły najgłębsze zakamarki jej duszy. Czuła jego namacalną obecność we własnej głowie i bijącą od niego potęgę. Ponownie zakręciło jej się w głowie. Miała wrażenie, że spada, a w jej brzuchu kotłuje się kłębowisko węży. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy. Zniknęły i węże, i spadanie, a jej serce zalały fala niewysłowionego szczęścia oraz ogrzewający żar miłosierdzia. Zafira uśmiechnęła się do kapłana i spuściła skromnie swe lazurkowe ślipka. Onieśmielał ją ten dziwny mężczyzna, lecz jednocześnie jakaś nieznaną jej siłą ciągnęła ją do niego. Czuła się tutaj bezpiecznie. Wiedziała, że właśnie odnalazła swój nowy dom.

- Czy jesteś gotowa przyjąć Boga Jedynego do swego serca, córko? - spytał Baziliskus, a jego głos brzmiał tym razem niczym dzwon w Świątyni Życia.

- Jestem - odparła i zalała się łzami.

Nieco dalej, w największym namiocie obozu, cesarz Eutygianus I Bogobojny podrapał się po brodzie. Jego wzrok spoczął na dwóch leżących obok dowodach doskonałości bożego stworzenia. Uśmiechnął się do nich. Dziewczyny zachichotały niemal równocześnie, odsłaniając śnieżnobiałe zęby kontrastujące z ich oliwkowymi skórą. Jedna z nich przeciągnęła się zmysłowo, kusząc bezwstydnie cesarza, a druga w tym samym czasie zafalowała dorodnymi półkulami. Cesarz pogroził kokietkom palcem, kręcąc z niedowierzaniem głową. Następnie chwycił leżący na pobliskim stoliku kufel z czerwonym winem i upił duży łyk. Było wyśmienite. Przez pół wieku leżakowało w dębowej beczce, schowane w piwnicy należącej do jednego z najbogatszych mieszkańców Arkandy, by teraz spełnić swoje przeznaczenie i zniknąć w wysublimowanym przełyku Władcy Świata. Jedna z dziewcząt mruknęła zapraszająco i przesunęła palcem po nagim torsie władcy, kierując się coraz niżej. Druga natychmiast dołączyła do niej, zasypując cesarza lawiną gorących pocałunków.

- Dajcie spokój, nie mam siły - westchnął cesarz, lecz najwidoczniej w jego głosie nie było słyhać przekonania. Dziewczęta nasiliły pieszczoty, a cesarski kutas zaczął ponownie nabrzmiwać.

Codziennie trudy rządzenia największym imperium w historii zostały nagle przerwane przez pojawienie się selwuckiego niewolnika.

- Wybacz, Władco Świata, że śmiem zakłócać twój odpoczynek, ale przybył Wielki Mistrz, Rosmund Nadsak, i prosi o audiencję.

- Każ mu wejść - odpowiedział cesarz z wyraźnym rozbawieniem. Miał dziś doskonały humor. - I zabierz te dwie trzpiotki, bo mi żyć nie

dają - dodał, wskazując głową na rozchichotane dziewczęta, ubrane jedynie w powietrze. Te, nie przerywając chichotania, natychmiast poderwały swe zmysłowe ciała i czmychnęły z udawanym przerażeniem. Cesarz odprowadził je wzrokiem, po czym wstał z olbrzymiego łoża i narzucił na siebie zwiewną tunikę z obszernymi rękawami.

Niewolnik pokłonił się do samej ziemi i po krótkiej chwili wrócił w towarzystwie Wielkiego Mistrza Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga. Był to mąż średniego wzrostu, o szczupłej z pozoru sylwetce, skrywającej twarde jak stal mięśnie. Poruszał się sztywno niczym wykonana z drewna kukła, lecz była to tylko zręczna iluzja mająca na celu zmylenie potencjalnych przeciwników. W rzeczywistości w całej armii symonitów nie było zręczniejszego szermierza od niego. Oprócz doskonałej wprawy w posługiwaniu się wojennym orężem cechował się także nieprzeciętną inteligencją, wielką pobożnością oraz ogromną bezwzględnością, tak potrzebną w świętej misji usuwania pogańskich chwastów. Jego twarz zdradzała arystokratyczne pochodzenie. Regularne rysy, prosty, długi nos oraz cienkie, popękane od nadmiaru słońca usta sprawiały dość surowe wrażenie. Lewe oko miał przesłonięte czarną opaską. Stracił je piętnaście lat temu w jednej z niezliczonych bitew, w jakich brał udział.

Cesarz ruchem ręki wskazał przybyłemu stojące obok krzesło. Brat Rosmund z widoczną ulgą posadził na nim swoje święte cztery litery, wytarł brudnym rękawem pot z pomarszczonego czoła i przesunął palcami po przyczernionych henną wąsach, sterczących na helmundzką modłę w obie strony.

- Napijesz się czegoś, bracie? - zaproponował cesarz. - Moi słudzy dostarczyli mi trzydzieści beczek znakomitego wina. Jest słodkie i uderza do głowy niczym młoda dzierlatka. Może dasz się skusić?

- Reguła zakonna zabrania nam kontaktów z niewiastami, lecz wina nie odmówię - odpowiedział mistrz zakonu, uśmiechając się

tajemniczo do swego rozmówcy.

Cesarz udał, że tego nie widzi. Przed oczyma wciąż miał starannie wygolone trójkąciki swych najnowszych ulubienic, ich dorodne piersi, smukłe nogi i giętkie ciała. Czuł ich ponętny zapach, słyszał zmysłowy szept i bynajmniej nie miał najmniejszej ochoty na politykowanie. Rządzenie wymaga jednak pewnych poświęceń.

Eutygianus potrząsnął głową i wziął trzy głębokie oddechy. Założył nogę na nogę i spojrzał z powagą w twarz Wielkiego Mistrza. Towarzyszące mu erotyczne napięcie natychmiast odpłynęło w siną dal.

- Jakie wieści przynosisz? - spytał, wyginając nieznacznie palce u rąk.

- Wrócili posłańcy z trzech miast leżących na północ od Arkandy. Miasta Vorkaz i Ykrut pokornie poddają się twojej władzy i składają ci hołd. Mam listy od ich władców, którzy wyrażają w nich nadzieję, że zaszczycisz ich niebawem swoją obecnością lub przynajmniej wyślesz namiestników, by rządili w twym imieniu. Kazali także wygonić z miasta fałszywych kapłanów, zburzyć ich świątynie oraz otworzyć serca poddanych na nauki Szymona.

Cesarz uśmiechnął się szeroko.

- Mądrze zrobili. Widocznie pogłoski o rzezi Arkandy dotarły już do nich. Jak się domyślam, z Horkas nie poszło tak łatwo?

- Niestety nie. Ich władca, Xergos XV, jest starym i zaślepionym głupcem. Myśli, że jego miasto jest nie do zdobycia. Gdy tylko dowiedział się o naszych żądaniach, kazał uwięzić posłów, a następnie publicznie ich wychłostać. Kazał także przekazać tobie parę niezbyt przyjemnych słów, lecz pozwolisz, Władco Świata, że je przemilczę.

- Przemilcz. Jego odpowiedź jest wystarczająco zrozumiała.

Cesarz zamilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Wielki Mistrz sądził, że zaraz wybuchnie gniewem, lecz nic takiego się nie stało. Wręcz przeciwnie. Cesarz upił wina, zamknął na chwilę oczy, pozwalając trunkowi wypełnić jego zmysły, po czym uśmiechnął się szczerze.

- Niechaj tak będzie. Głupiec z niego, ale niech tak będzie. I powiem tobie, mistrzu, że nawet mnie to cieszy. Nic tak nie psuje żołnierza jak nuda. Wtedy on za dużo myśli, a - jak wiemy - żołnierz nie jest od myślenia, tylko od wykonywania rozkazów. Gdy ma zajęcie, to głupie pomysły mu do łba nie wchodzą i gorącą krew może ostudzić, łupy łatwiej zdobyć. Nie mówiąc już o oddaniu swego życia za wiarę, co jest największym zaszczytem dla prawego symonity. Więc niechaj tak będzie.

Rosmund Nadsak przytaknął.

- Zgadza się, Władco Świata. Wiedz jednak, że Horkas nie będzie łatwo zdobyć. Miasto ma potężne mury i dobrze wyszkoloną armię. Dysponują ponadto doskonałą flotą, więc wzięcie ich głodem będzie praktycznie niemożliwe. Chyba że postaramy się ją zniszczyć, lecz wolałbym tego uniknąć. Będziemy niedługo potrzebowali każdego okrętu, by przetransportować armię za ocean.

- Poradzimy sobie bez floty. O Arkandzie też mówili, że jest nie do zdobycia, a spójrz, co się z nią stało.

- Mam pewien plan. Jak wszystko dobrze pójdzie, to niebawem i Horkas podzieli los Arkandy.

Wielki Mistrz wygiął wargi z tajemniczym uśmiechem, przykręcając jednocześnie wąsa.

- Oby. Straciliśmy tutaj zbyt wielu ludzi. A jak idą przygotowania w Pięciu Księstwach? - spytał pośpiesznie cesarz, nie mogąc znieść zadufanej miny swego rozmówcy. Eutygianus zdawał sobie sprawę, że Wielki Mistrz ma swoje sekrety, których nie zdradzi nawet jemu. Specjalnie nad tym nie ubolewał. Ufał mu. Zupełnie inaczej niż Wielkiemu Kapłanowi, przed którym czuł jedynie lęk.

- Po naszej myśli. Wszystko idzie po naszej myśli.

Rozdział 5

Jest pogodny dzień. Żłociste promienie słońca odbijają się od szlachetnych marmurów kamienic, rysują na nich fantastyczne wzory, przenikają przez kolorowe witraże świątyń i padają na radosne twarze przechadzających się beztrąsko ludzi. Białe szaty kapłanów mieszają się ze zszarzałymi opończami pokutników, barwnymi kaftanami kupców, niebieskimi tunikami strażników miejskich i gołymi torsami wszechobecnej dziatwy. Wokół słycać radosny gwar różnych języków świata, przeplatających się ze sobą niczym różnokolorowe wstążki wpięte we włosy chodzącego na szrudłach mima. W poprzek miasta wije się szeroka rzeka o wodach koloru idealnego błękitu, by zaraz zniknąć w bezkresnych odmętach żłocistego piasku. Gdzieniegdzie przemyka ławica dorodnych ryb, mknąca wraz z prądem w poszukiwaniu pokarmu lub powolnej śmierci w rozłożonych sieciach rybaków. Panuje spokój, cisza. Jest cudownie. Zbyt cudownie, wręcz bajkowo. I nagle na niebie pojawiają się pierwsze chmury. Z początku nieliczne, blade, niewinne, lecz z każdą chwilą coraz bardziej żłowieszcze, rozczapierzone, kłębiaste. Jest ich coraz więcej i więcej, aż w końcu przykrywają niebo ciemnognatową pierzyną. Słońce zachodzi, uśmiechy znikają, gwar milknie. Robi się duszno i parno, a w powietrzu można wyczuć zbliżający się kataklizm. I nagle zaczyna padać. Nie jest to jednak zwykły deszcz – z nieba lecą grube krople krwi, dudniąc żłowieszczo o parapety, barwiąc dachy i ulice na czerwono. Drogocenne marmury,

granity i piaskowce zaczynają kruszeć i z łoskotem upadać na kamienne bruki. Ulice stają się puste i tylko gdzieś widać leżące bezładnie trupy kobiet, dzieci i mężczyzn. Jest coraz ciemniej, coraz straszniej, coraz gorzej. Błękitna leniwa rzeka zmienia się nagle w szalejący, wzburzony wodospad krwi. Ogień trawi wszystko, co staje mu na drodze: domostwa, sklepy, świątynie i karczmy. Płonie miasto, płoną ludzie. Wszędzie trwa chaos i pożoga. I nagle, pośrodku tej straszliwej zawieruchy, wśród stosu trupów i tańczących płomieni pojawia się mała dziewczynka. Śliczna, mała dziewczynka o lazurowych oczkach i z niebieską kokardką wpiętą w pasmo rudych włosów, opadających puszyście na jej chude ramiona. Patrzy na niego smutno, a w jej oczach czai się ogromny smutek, żal. Nie tak powinny wyglądać oczy malutkiej dziewczynki. Jej usta uśmiechają się smutno w jego stronę, a chuda rączka prostuje się i wskazuje w niezmierny odmęt piasku. Jego wzrok przemierza pustynię, za którą ciągnie się złowrogie morze. Dalej są las, pola, bagna, łąki i znowu las. Polana. Niewielka polana, na środku której niewyraźnie majaczy jakiś ludzki kształt. Kształt się przybliżył i już niebawem jest w stanie dojrzeć sylwetkę młodego mężczyzny. Jest coraz bliżej. Teraz widzi go wyraźnie. Serce zaczyna bić mu mocniej, a w płucach zaczyna brakować tchu. Zna go. To jego syn – Bolesław. Pochodzi do niego, lecz ten go nie widzi. Czuje ciepły oddech syna na swej skórze. Patrzy w jego piwne oczy, lecz widzi w nich jedynie pustkę. I strach. Chce go złapać, przytulić, wyściskać, lecz nie może. Ciało odmawia mu posłuszeństwa. Za to Bolesław wreszcie na niego spogląda. Jego wzrok jest nieobecny i tak lodowaty, że dosłownie czuje, jak jego ciało przeszywają tysiące ostrych igiełek. Z oczu i nosa Bolesława zaczynają spadać drobniutkie kropelki krwi. Usta otwierają się, jakby chciał mu coś powiedzieć, lecz on nic nie słyszy. Tylko przeciągłe wycie wiatru i stłumiony szloch tysięcy ludzi. Znowu mu coś szepcze, nie sposób tego zrozumieć. Nachyla się jeszcze bliżej. Z bliska widzi twarz syna – jest zmęczona, poraniona, blada. Cały czas chce mu coś powiedzieć. Słucha. Nie słyszy. Krew kapiąca z oczu i nosa Bolesława

spływa teraz szerokimi kaskadami niczym trzy dopływy olbrzymiej rzeki. Ziemia pod ich stopami zmienia się w kałużę krwi, która nagle blednie i staje się zwykłą wodą. Jest jej coraz więcej i więcej, i więcej. Teraz to już nie kałuża, lecz jezioro, morze, ocean. Olbrzymi, bezkresny ocean. Bolesław powoli wyciąga rękę i pokazuje na drugi brzeg. Potężny piorun oświetla na krótką chwilę jego twarz. Zaraz po nim następują kolejne wybuchy – istna kanonada grzmotów i błysków. Usta młodzieńca wciąż szepczą jedno słowo. Przykłada ucho do jego ust. Coś słyszy.

Erzsébe.

- Erzsébe! – krzyknął nagle Wielki Książę, otworzył oczy i usiadł gwałtownie na łożu. Jego czoło było całe mokre od potu. Oddychał ciężko. - Erzsébe – powtórzył szeptem i rozejrzał się lękliwie dookoła.

Nagle poczuł, jak czyjeś delikatne ręce obejmują go od tyłu.

- Już dobrze, mój mężu, już dobrze. To tylko zły sen – usłyszał kojący głos żony. - Tylko zły sen. Uspokój się. Już wszystko dobrze.

Serce Jarogniewa dudniło niczym dzwon w świątyni Radogosta^[1], a w duszy grał ponury hejnał. Gruba kropla potu pociekła przez środek czoła i zatrzymała się na nasadzie nosa.

- Tak, zły sen – powtórzył bezmyślnie, patrząc na bordową zasłonę, przez którą nieśmiało przenikało światło księżyca.

Dobromiła sięgnęła po stojący na nocnym stoliku kielich i podała go mężowi.

- Napij się. Wino dobrze ci zrobi.

Wypił do dna i wytarł dłonią usta. Nie pomogło. Serce wciąż biło mu jak szalone, a złowrogie imię wybijało w mózgu takt przerażenia. Ręka Dobromiły czule pogładziła przysypane siwizną włosy ukochanego męża.

- Czy to był ten sam sen co ostatnio?

Kiwnął głową.

- Tak. Ten sam, lecz jakby inny. Nie skończył się tak, jak zwykle. Znów widziałem naszego syna, mówił do mnie. Wypowiedział jej imię.

Pulchna ręka księżnej zamarła w powietrzu, a usta poruszyły się kilkakrotnie, niczym psyk ryby wyjętej z wody.

- Erzsébe?

- Tak. Wyraźnie słyszałem. Erzsébe.

Księżna zmarszczyła brwi.

- Erzsébe - powiedziała cicho, jakby do siebie. - To przecież nie ma sensu. Co ma wspólnego Mroczna Pani z naszym synem?

- Nie mam pojęcia, ale zaczynam się bać. Ten sen mnie prześladowa, wwierca mi się w mózg i powoduje, że boję się zmrużyć oczy. Mam go dość.

- Hmm. Może powinieneś porozmawiać o tym z czcigodnym Baw Oqrthem? To mądry człowiek i z pewnością zna się na snach. Może on coś poradzi.

W przerażonych oczach księcia pojawił się błysk rozdrażnienia.

- Baw Oqrth? Ten zdrajca? Nigdy!

- Co?! - aż krzyknęła ze zdumienia księżna. - Czyś ty zwariował, Jarogniewie, że takie rzeczy mówisz?

Księżę nie odpowiedział. Dobromiła wstała z łoża i zapaliła stojący na drewnianym stoliku kaganek.

- Spójrz na mnie, Jarogniewie. Natychmiast na mnie spójrz i powtórz, co żeś przed chwilą rzekł, bo chyba się przesłyszałam.

Jarogniew spojrzał się na nią hardo i zwięził oczy do dwóch drobnych szparek.

- Nie przesłyszałaś się. Nazwałem Baw Oqrtha zdrajcą i dodam jeszcze, że to nikczemnik i szubrawiec, jakich mało na tym świecie. Przez wszystkie te lata szpiegował nas i oddawał w ukryciu cześć jakiemuś Jezusowi skądś tam.

- Jezusowi z Nazaretu - poprawiła go Dobromiła, wprawiając męża w szczerze zdziwienie. - Wiem o tym, lecz nie rozumiem, co w tym złego.

Oczy księcia zaczęły teraz przypominać dwa dukaty.

- Jak to co... przecież...

- Przecież co? To, że wyznaje inną wiarę niż my i należy do jakiegoś dziwnaczalnego bractwa, o którym większość nawet nie słyszała, oznacza tylko, że jest szaleńcem, ale nie zdrajcą. Czy kiedykolwiek cię zawiódł? Czy kiedykolwiek zrobił coś złego? Z tego, co wiem, a wiem wystarczająco wiele, nigdy. Służył ci wiernie od wielu lat, a przedtem służył twemu ojcu. Spytałeś go, dlaczego do tej pory milczał? A nie pomyślałeś, że może na przykład chciał nas chronić przed przekłętymi symonitami, którzy coraz bardziej zaczynają panoszyć się za oceanem? Nie patrz tak na mnie. Wiem więcej, niż ci się wydaje, stary durniu. Rozmawiałeś z nim o tym czy od razu kazałeś go zamknąć?

- Ależ droga Dobromiło...

- Nie dobromiłuj mi tutaj. Już ja cię dobrze znam. Nie raczyłeś nawet go wysłuchać do końca, tylko od razu kazałeś postawić straż. Ile razy ci mówiłam, że działasz zbyt pochopnie? Porozmawiaj z nim na spokojnie, postaraj się go zrozumieć i dopiero później podejmij decyzję.

Książę huknął dłonią w poduszkę. W powietrze wzbiły się drobinki kurzu i obłoczek pierzu.

- Zamilknijże wreszcie, kobieto - ryknął, lecz po chwili pokornie spuścił głowę, widząc zbierające się gradowe chmury na czole swej małżonki. - Może i postąpiłem zbyt pochopnie, lecz byłem w szoku, że po tylu latach dowiaduję się takich rzeczy od najbliższego współpracownika. O jakichże jeszcze tajemnicach nie mam pojęcia? Jestem w końcu Wielkim Księciem i mam prawo wiedzieć o tym, co się dzieje w moim pałacu.

- Masz prawo - zgodziła się księżna. - Lecz każdy człowiek ma też prawo do własnych tajemnic, a dopóki nie kolidują one z wierną służbą i nie zagrażają księstwu, nie możesz nikogo za nie karać. Porozmawiaj z nim, Jarogniewie. Porozmawiaj, i to szybko.

Książę westchnął ciężko.

- Dobrze. Porozmawiam z nim. Jutro. A teraz wybac mi, żono, ale jestem zmęczony i mam ważniejsze sprawy na głowie niż

wysłuchiwanie twoich ciągłych utyskiwań.

- A cóż to za ważne sprawy? - Głos Dobromiły stał się nagle oschły jak życzenia teściowej. - Znów każesz kogoś zamknąć? A może od razu powiesić? Drzew wszak u nas ci dostatek.

- To innym razem - odparł zdenerwowany władca. Wytarł grudki ropy z kącików oczu, ciężko wstał z łóżka, nałożył na siebie ciepły płaszcz z sobolego futra i ruszył w stronę drzwi.

Że też ze wszystkich niewiast świata musiała mi się trafić taka jędrza - pomyślał ze złością, lecz zaraz jego gniew znalazł kolejną ofiarę. Ze spowitego półmrokiem korytarzu znajdującego się za drzwiami książęcej sypialni powiało pustką.

- Straż! - wydarł się na całe gardło i aż tupnął nogą, wprawiając posadzkę w drganie.

Echo jego krzyku zakłócił nerwowy tupot wartownika.

- To tak bronisz dostępu do mojej sypialni, warchole? - warknął władca, obdarzając żołnierza morderczym spojrzeniem. - Przyrowadź mi natychmiast Chociemira Slave. Tylko biegiem. A z tobą jeszcze się policzę.

- Tak, Wasza Miłość - wyjąkał przestraszony strażnik. - W... wybacz mi, Wa...

- Przestań mi tu skomleć, tylko biegnij po Chociemira, bo cię zaraz każę wychłostać i zamknąć w lochu - wrzasnął Jarogniew, dając wreszcie upust własnej złości. Tak to już jest ten świat skonstruowany. Księżna krzyczy na księcia, a książę na podwładnych. Och, losie... najmniej znaczny ma zawsze pod wiatr.

Wartownik ruszył biegiem w oświetlony lichym kagankiem korytarz. Po drodze odbił się niczym piłeczka od stojącego słupa i pobiegł dalej, przebierając pośpiesznie patykowatymi nogami. Wrócił po dłuższej chwili i natychmiast wyprężył się jak struna, chcąc ułagodzić gniew władcy. Zza jego pleców wyłonił się Chociemir Slava i dumnym krokiem wkroczył do książęcej sypialni. Złociste loki opadły ku ziemi, gdy szczupły tułów zgiął się w pełnym szacunku ukłonie,

zaspana twarz drgnęła nerwowo, lecz zaraz na powrót przybrała obojętny wyraz.

- Wzywałś mnie, Wasza Miłość - odezwał się głośno. Dopiero po chwili zauważył księżną Dobromiłę, która stała przy oknie z naburmuszoną miną i patrzyła w usiane gwiazdami niebo. - Witaj, pani.

Jarogniew darował sobie zbędne formalności i od razu przeszedł do sedna.

- Weźmiesz ze sobą pół setki ludzi i pojedziesz do Czerdzińska. Po drodze pilnie wypatruj wszelkich śladów. Chcę wiedzieć, czy mój syn bezpiecznie dotarł do celu. Jak się czegoś dowiesz, natychmiast wyślij do mnie kuriera. Wyślij też zwiad na ziemie położone blisko granicy z Magyoranem. Chcę wiedzieć, co się tam dzieje.

- Tak jest, Wasza Miłość. Wyruszę z samego rana. Czy coś się stało?

- To ty masz się tego dowiedzieć.

Chociemir zastukał obcasami, ponownie ukłonił się księżęcej parze i wyszedł z komnaty sztywnym, żołnierskim krokiem. Zaraz za nim podążył skwaszony wartownik, rozmyślając ponuro o więziennym żarciu.

Księżę nie zasnął już tej nocy. Nawet nie próbował. Kręcił się nerwowo po sypialni, przemierzając ją wzdłuż i wszerz, ku coraz większej irytacji swej małżonki. W końcu postanowił opuścić komnatę i powędrował do pustej o tej porze kuchni, lecz nawet solidna porcja zimnego mięsa z chlebem, zakropiona dużą dawką wina, nie złagodziła jego niepokoju. Postanowił poczytać. Udał się więc do biblioteki i wziął do ręki pierwszy z brzegu wolumen. Trafił na humorystyczną opowieść o bohaterskich losach rycerza Zatopca Białego z okresu zjednoczonego królestwa. Rycerz ów, postać nad wyraz autentyczna, wsławił się bohaterskimi czynami w dwudziestoletniej wojnie z Helmundami. Nie dość, że pokonał w walce samego Frondoma II, to jeszcze zdołał oczarować jego córkę, która tak się w nim zadurzyła, że postanowiła uciec z zamku ojca,

zabierając ze sobą pilnie strzeżone tajemnice. Historia była napisana barwnym językiem, z wielkim polotem i fantazją, lecz Jarogniew nie mógł się na niej skoncentrować. Jego myśli wciąż błądziły wokół syna. W końcu, gdy nikłe światło kaganka zostało wessane przez jasność wschodzącego słońca, a odgłosy porannej krzątania wypełniły pałac, książę odłożył księgę i udał się na dziedziniec. Oddział Chociemira Slavy czynił ostatnie przygotowania przed wyjazdem.

Wyruszyli wraz z pierwszymi kroplami deszczu. Szybko minęli wypełniający się handlarzami targ, olbrzymi Święty Dąb, będący ulubionym miejscem schadzek młodych par, oraz monumentalną rzeźbę przedstawiającą boga Jaryło^[2] siedzącego na białym koniu i trzymającego w prawej dłoni bukiet kwiatów. W końcu dotarli do miejskiej bramy. Pokiwali głowami znudzonym strażnikom i wjechali na piaszczysty trakt, którym nie tak dawno temu jechał książęcy syn.

Deszcz, tak częsty o tej porze roku, z każdą chwilą robił się coraz bardziej natarczywy. Piaszczysta droga szybko zmieniła się w zbiorowisko kałuż, a czyste płaszcze żołnierzy zostały usiane brązowymi plamami błota. Jechali kłusem, rozglądając się czujnie na wszystkie strony, poważni, milczący, ostrożni. Północny wiatr hulał w najlepsze, przenikał ich grube płaszcze, smagał po skórze. W oddali zamajaczył kontur lasu. Pogonili konie uderzeniami bata, by jak najszybciej skryć się przed lejącymi się z nieba strumieniami wody. W końcu, kompletnie przemoczeni i zziębnięci, wjechali w złowieszczy, szumiący niczym szept staruchy bór.

W powietrzu unosił się świeży zapach wilgoci i drzew. Deszcz znacznie osłabł, powstrzymywany przez unoszące się ponad ich głowami gałęzie i te nieliczne liście, które jeszcze zdołały się oprzeć nieskończeniu poruszającemu się kołowrotowi czasu. Zrobiło się jakby cieplej. I dużo straszniej. Jakieś tajemnicze moce oplotły serca żołnierzy niewidzialnym strachem. Mimo to jechali dalej, mijając w milczeniu gęsty szpaler dziwnie poskręcanych pni. Chociemir

miał wrażenie, że oczy lasu wiodą za nimi ostrzegającym spojrzeniem, jakby bór buntował się przeciw obecności ludzi w królestwie drzewic^[3] i leśnych jędz^[4]. Zacisnął zęby i zmówił krótką modlitwę do swej Doli, po czym zmienił chód konia do wolnego galopu. Na twarzy pozostałych także widać było napięcie. Zbili się w ciasną gromadę, jadąc jeden za drugim, i rozglądali się trwoźliwie na wszystkie strony. Niektórzy trzymali dłonie na rękojeściach, niektórzy zmienili ustawienie kuszy, by łatwiej było po nie sięgnąć, choć musieli zdawać sobie sprawę, że na nic się one zdadzą przeciw rozszalałym leśnym demonom. To był zaklęty las, tutaj wszystko mogło się zdarzyć.

Późnym popołudniem byli już nielicho strudzeni, doszczętnie przemoczeni, głodni, brudni, źli. Jechali jednak dalej, chcąc jak najszybciej opuścić to straszliwe miejsce. Wiatr dmuchał coraz mocniej, wprawiając czubki drzew w niekontrolowane drgania. Szumiało, świszczało, gwizdało, trzaskało. Czasem słychać było dochodzący z oddali huk łamanych drzew, chichot Borowego^[5], wycie wilków. Nagle jeden z koni zarżał głośno i stanął dęba, niemal zrzucając dosiadającego go żołnierza z siodła. Koń Chociemira stanął w miejscu i odwrócił pysk w jego stronę, jakby chciał mu coś powiedzieć. Kapitan dał ręką znak i cały oddział się zatrzymał. Jego wierzchowiec postawił uszy i parsknął ostrzegawczo. Ręka dowódcy zacisnęła się na rękojeści miecza, a nos wciągnął delikatny zapach rozkładających się zwłok. Reszta mężczyzn też to poczuła. Zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej i poczęli trwoźnie wodzić wzrokiem dookoła. Zaskrzypiały korby naciąganych kusz, zgrzytnęła wyciągana stal. Konie zaczęły nerwowo drobić w miejscu. Jeden z żołnierzy - ciamajdowaty grubasek o imieniu Bugwald - nie wytrzymał napięcia i leśną głuszę przeszył kolejny dźwięk. Huk, trzask, kanonada.

Chociemir zeskoczył z konia i zmarszczył nos.

- Bliznobór, Suliszów, chodźcie ze mną - rozkazał szeptem. - Reszta niech się nie rusza, by nie zatrzeć śladów.

Kolejny huk, jęk, odgłos uderzenia. Trójka mężczyzn ostrożnie weszła na polanę. Odór padliny robił się coraz bardziej intensywny.

Dwa kruki poderwały się nagle do lotu z kawałkami surowego mięsa w pyskach i zrobiły niewielkie kółko tuż nad ich głowami, jakby chciały pokazać swoją wyższość nad dwunogimi olbrzymami. Stopa kapitana zahaczyła nagle o jakiś kształt. Chociemir spojrział w dół i aż się wzdrygnął.

- O kurwa - jęknął Bliznobór, spoglądając na przeszyte strzałą truchło olbrzymiego basiora. - Co tu się stało, na cipę Mokosz?

Kapitan nie odpowiedział. Ruszył dalej, minął kilka kolejnych wilków, parę strzał, czyjeś buty. Serce waliło mu jak oszalone, krew buzowała w żyłach, dłoń zaciskała się z całej siły na zimnej stali i drgała - z zimna i ze strachu. W końcu stanął, a jego wzrok spoczął na czterech naprędce zbudowanych stosach. Zbliżył się jeszcze bardziej. Tuż obok siebie usłyszał cichy jęk Bliznobora.

Wśród popiołu i niedopalonych szczap drewna ujrzeć można było nadpalone ludzkie kości. Wiatr rozwiewał wokół intensywną woń, a drobinki popiołu tańczyły w rytm jego muzyki. Na pobliskim drzewie siedziała znajoma sowa i z kpiącym uśmiechem przyglądała się przybyłym. Mężczyźni z szacunkiem skłonili głowę i odmówili w myślach krótką modlitwę do władcy podziemnego świata. Następnie w całkowitym milczeniu wrócili do reszty oddziału. Nie musieli nic mówić. Reszta żołnierzy także zdołała dojrzeć prześwitujące przez pelerynę pni i gałęzi cztery stosy. Ich napięte twarze, zmarszczone czoła i drgające kończyny powodowały, że wyglądali niczym grupka terminujących apaszów przed popełnieniem pierwszego morderstwa.

- Co o tym myślisz? - Chociemir zwrócił się do wysokiego mężczyzny w średnim wieku, o pociągłej, surowej twarzy i wiecznie zamysłonym spojrzeniu.

Ten zrazu westchnął i pokręcił smutno głową, a gdy się odezwał, w jego głosie słychać było najprawdziwszy strach.

- Sam nie wiem, kapitanie. To nie jest normalne, żeby wilki atakowały ludzi o tej porze roku, kiedy żarcia mają w bród. Coś mi się tu nie podoba, bardzo mi się nie podoba.

- Huh, huh - zgodziła się z nim sowa, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Mnie też się tu nie podoba - westchnął któryś z żołnierzy, ale zaraz zamilkł, napotkawszy srogie spojrzenie dowódcy.

- Ciebie się nikt o zdanie nie pytał, gamoniu jeden. Zresztą to nie dziewczka nadobna, by każdemu się podobało, psia mać.

Żołnierz spuścił wzrok i wycofał się kilka kroków.

- Ktoś ma jeszcze coś do dodania? - zapytał kapitan i powiódł spojrzeniem dookoła. - Jak nie, to zmywajmy się stąd, bo mi zaraz nos odpadnie od smrodu tej padliny. No chyba że komuś się tu podoba, to może zostać, he, he.

Chętnych nie znalazł... prócz jednego. W każdej większej grupie musi przecież być ktoś, kto swym żartem potrafi rozluźnić napiętą atmosferę. W każdej większej grupie musi być także ktoś, kto stanie się jego ofiarą. Tym razem padło na pociesznego grubaska o owalnej twarzy przywodzącej na myśl pulchny zadek Wielkiego Księcia.

- Mnie tam wszystko jedno, kapitanie - odezwał się dowcipniś. - Wilków się nie lękam, a ten smród to nic w porównaniu z tym, co poczułem, jadąc obok Bugwalda. W pewnej chwili żem usłyszał taki huk, żem pomyślał, że jakiś piorun walnął w drzewo obok. Dopiero po chwili żem się zorientował, że to nie piorun, ino Bugwald. A smród był taki, jakby ktoś mi na łeb wiadro pomyj wylał. I zaręczam, że ten zapaszek z wilczego truchła to nic w porównaniu z tym, przez co ja żem musiał przejść.

Żołnierze ryknęli śmiechem, spotęgowanym przez towarzyszące im nerwy. Niejeden spojrział na biednego grubaska, który jako jedyny zachował powagę. Stał z czerwoną jak surowa wołowina twarzą i nie wiedział, gdzie podziąć wzrok. Kilku żołnierzy skwapliwie pokiwało głowami i odsunęło się kilka kroków w bok.

Zapadał zmierzch. Kapitan dał znak do odjazdu i oddział bez zbędnej zwłoki ruszył w dalszą drogę, odprowadzając strapionymi spojrzeniami szczątki swoich byłych towarzyszy. Jechali jakby szybciej, bardziej nerwowo. Przestało padać, a las znacznie się

przerzedził. Rozłożyste buki, smukłe brzozy oraz pełne pożółkłych liści klony zostały wyparte przez iglaste, sięgające nieba drzewa. Pojawił się także księżyc, który coraz częściej wychylał się zza płynących po niebie chmur, dodając żołnierzom otuchy. Niejeden zadarł łeb do góry, przypatrując się jego uśmiechniętemu obliczu i wypatrując postaci pewnego astronoma, co to według starych bajan zaprzedał duszę czartowi. Podobno do tej pory siedzi nieborak na księżycu i rozmyśla nad swoją głupotą. Wróciły ciche rozmowy, stłumiony śmiech, głupie żarty. Ktoś z tyłu zaczął nawet wesoło podśpiewywać, a wkrótce i inni dołączyli do niego i skoczne takty piosnki poniosły się po lesie.

Niebawem nocne niebo ponownie przykryła pierzyna chmur. Zniknął złocisty blask księżyca, zniknęły jarzące się gwiazdy, a wraz z nimi i dobry humor jeźdźców. Wrócił za to strach. Panoszący się w twardych żołnierskich sercach nieustępliwy, zادیorny i kolczasty lęk przed lasem. Jeźdźcy dotarli właśnie do sporej polanki ulokowanej na niewielkim wzniesieniu, obok której leniwie płynął wąski strumyczek. Przywiązali konie do drzew, lecz ich nie rozkulbaczyli, a następnie rozpalili wokół sześć dużych ognisk, rozlosowali kolejność wart i posilili się naprędce przygotowaną strawą. Następnie część z nich od razu udała się w krainę snu, a reszta zebrała się wokół największego ogniska, by posłuchać mrozących krew w żyłach opowieści z dawnych czasów. A kogóż w nich nie było? Piękne królowny, źli władcy, dzielni rycerze oraz korowód najstraszliwszych bestii, wśród których prym wiódł trójgłowy bazyliszek, żywiący się wyłącznie dziewicami. Wybredna bestia z niego była, nie powiem. W końcu wojacy mieli dość. Jeden z nich – młody chłopak o wystających zębach i piegowatej twarzy – wyjął drewnianą fujarkę i niebawem odgłos skocznej melodii rozległ się w głuchym lesie. W końcu jednak i dźwięki melodii ucichły, a ludzi zmorzył sen. Niektórzy zasnęli od razu i spali smacznie do samego rana. Inni nieopatrznie ułożyli się w pobliżu Bugwalda. Ci mieli znacznie gorzej. Nawet orzeźwiająca świeżość nocnego powietrza, połączona z wonią

tysięcy drzew, na nic się im zdała. Kręcili się z boku na bok, odsuwali jak najdalej i klęli w myślach na swój los. W końcu i oni zasnęli, a obóz pogrążył się w ciszy, przerywanej jedynie odgłosami chrapania, parskania koni i krokami czuwających wartowników.

Nastał świt. Blade promienie słońca zaczęły przebijać się przez mroczne królestwo ustępującej Pani Nocy, a wraz z nimi pojawiła się hałaśliwa zgraja różnorodnego ptactwa, dająca upust swym muzycznym talentom. Żołnierze posilili się suszonym mięsem z plackami pszennymi, popili jasnoczerwonym sikaczem i ruszyli w drogę. Niebo było bezchmurne. Wiał ciepły wiatr, który delikatnie pieścił surowe oblicza wojów. Oblicza, na których niebawem pojawił się wyraz radości. I tylko jeden z nich, smutny grubasek o imieniu Bugwald, nie podzielał nastroju kompanów. Jechał na samym końcu, ze wzrokiem wlepionym w mijane po drodze pnie sosen. Starał się nie przejmować złośliwymi docinkami kierowanymi pod swoim adresem. Starał się ich nie słyszeć, lecz słyszał.

- Według mnie powinno się go hetmanem koronnym uczynić - perorował jeden z żołnierzy, otoczony gwarną grupką rozbawionych słuchaczy. - Choć nie. Co ja gadam. On sam jeden mógłby za całą armię posłużyć. Wystarczy wpuścić takiego do obozu wroga i wojna wygrana. Wrogowie zmykaliby szybciej niż zające.

- Dziesięciu takich jak on i byśmy cały świat podbili - dodał drugi żołnierz, gładząc się po sumiastym wąsie.

- Tylko po co żyć w tak śmierdzącym świecie... Toż to nie lepiej wysłać go do Helmundów? Niech tam kadzi.

- Szkoda takiej broni - wtrącił się zawsze pragmatyczny młodzieniec o krzywym nosie i wiewiórczych zębach. - Wykorzystajmy go do zjednoczenia królestwa. Niech żyje nowy król Pięciu Księstw - Bugwald Zabójca.

Żołnierze dość szybko doszli do porozumienia. Opracowali cały misterny plan użycia nowej broni i podboju nowych terytoriów. Podzielili się nawet stanowiskami na zajętych terenach, ustalili wspólną politykę zagraniczną, monetarną i prawną. A wszystko wśród

gwałtownych wybuchów śmiechu i przyjacielskich poklepywań po plecach. Rozmowa trwała w najlepsze, podczas gdy konie nieśpiesznie mijały pola, łąki i niewielkie zagajniki.

Do czasu. Krążące na niebie sępy zwróciły baczność uwagi kapitana, a radosna atmosfera minęła jak z bicza strzełił.

Jeźdźcy wjechali w wąwóz z jak najgorszymi przeczuciami.

- O bogowie - wysyczał przytłumionym głosem Bliznobór i chwycił za rękojeść miecza.

Dziewięć nadgryzionych przez sępy ludzkich trupów i tyleż samo martwych koni wałało się wzdłuż drogi. Leżały bezładnie, jak rzucone z góry kawałki drewna, a ich smród roznosił się w gęstym od bzyczących much powietrzu. Zapierał dech w piersiach, mroził krew w żyłach, odbierał chęć do życia. Gdzieś leżały odcięte kończyny lub kałuże zaschniętej krwi. Było też kilka wiecznie głodnych hien, zajadających się zalatującym zgnilizną mięsem. Te jednak szybko czmychnęły na widok zbliżających się intruzów.

Kapitan przyłożył chustkę do nosa i dał żołnierzom znak, by się zatrzymali. Sam zaś ruszył wolnym stępem w obszar zagarnięty przez kościstą staruchę z długą ostrą kosą. Mimo młodego wieku był doświadczonym żołnierzem, lecz nawet na nim ten widok zrobił wrażenie. Bolesny kolec wbił się w jego serce, powodując głębokie uczucie niepokoju. Chciał zamknąć oczy i uciec jak najdalej stąd, lecz nie mógł. Zamiast tego jechał powoli i zmuszał się, by nie zwymiotować.

- Naliczyłem siedmiu naszych poległych towarzyszy - powiedział, gdy już dotarł do końca wąwozu i wrócił do siedzących nieruchomo w siodłach żołnierzy. - Razem z czwórką, którzy zginęli w lesie, jest ich jedenaścioro. Brakuje tylko księcia Bolesława. A to oznacza, że ktoś zadał sobie dużo trudu, by go porwać.

- A skąd pewność, że książę nie był jednym z tych w lesie? - zapytał przysadzisty mężczyzna o wystających uszach, chorobliwie wielkim nosie i twarzy zdradzającej, że policzenie do dziesięciu stanowi szczyt jego intelektualnych możliwości.

- Gdyby zginął w lesie, to reszta nie miałaby potrzeby jechać dalej
- odpowiedział mu Bliznobór z cierpliwością godną rodzica ułomnego dziecka.

- Ano tak, ano tak - wymamrotał niegodny syn swego uczonego ojca, który, jak powiadają we wsi, ukończył dwie pełne klasy. Nauczył się nawet pisać, choć nie była to wiedza pełna. Otóż zdążył poznać jedynie samogłoski, ale i nawet to czyniło go uczonym i nie przeszkadzało traktować swych sąsiadów z pobłażliwą wyższością, a nawet z pogardą.

- Nie możemy ich tak zostawić na wieczną zawieruchę - kontynuował Chociemir. - Trzeba ich pochować, by ich dusze mogły trafić na zielone łąki. Zbierzcie drewno na stosy, a kilku niech przejdzie się po okolicy, by znaleźć ku temu dogodne miejsce. Bliznoborze, weź ze sobą kilku ludzi i poszukaj jakichś śladów. Może coś znajdziesz. Chcę wiedzieć, kto to zrobił i dokąd zabrał księcia. No już, nie stać mi tutaj, tylko do roboty.

Żołnierze posłusznie zsiadli z koni i zaczęli przygotowania do pogrzebu. Nikt bez potrzeby się nie odzywał, nawet konie przestały parskać. I tylko krążące wysoko na niebie sępy zniżały swój lot i zaczęły niecierpliwie krzyczeć, niezadowolone z powodu przerwanej uczty.

Nagle tę względną ciszę przerwał tubalny głos Sulisza, który pochylał się nad jednym z leżących nieruchomo ciał.

- Kapitanie, kapitanie! Tutaj! Szybko. On dycha.

Wszyscy, jak na komendę, odwrócili się w jego stronę.

Pośrodku wąwozu, wśród rozkładających się trupów, wśród porzucanych kawałków zbroi, uciętych dłoni, nóg i głów, leżał Drazdan. Był nieprzytomny, cały obryzgany zastygłą krwią. Lecz żył. Twarz miał spokojną, jakby wykutą z granitu, pogodzoną z nadchodzącą śmiercią. Ta jednak nie chciała jeszcze zabrać dzielnego wojownika. Czaiła się w pobliżu, tańczyła nad nim, śmiała się, płakała, myśląc usilnie, czy nadszedł już czas na ostatni pocałunek zsiniałych ust olbrzyma. A może przebiegli bogowie,

siedząc w swoich niebiańskich komnatach, postanowili ponownie zabawić się biednym sierotą? Może wyznaczyli mu kolejne zadanie w sobie tylko znanym, misternie ułożonym planie życia i śmierci? Nie wiadomo. Pani Śmierć czekała na rozkazy, a w olbrzymiej piersi wciąż biło serce. Słabo i powoli. Cyk. Cyk. Cyk. Krew leniwie krążyła w żyłach, a tors z trudem to podnosił się, to opadał wraz z każdym życiodajnym oddechem. Z olbrzymiego ciała, niczym drzewce proporców, wystawały trzy kikuty strzał. Kolczugę miał pordzewiałą w wielu miejscach, a na twarzy głęboką ranę biegnącą wzdłuż całego policzka.

Natychmiast zebrała się przy nim spora grupka zatroskanych kompanów. Większość znała go z widzenia. Mimo surowego oblicza, mrukliwego charakteru i szorstkiego sposobu bycia cieszył się wśród nich niemałym szacunkiem. Niektórzy nawet go lubili.

- Odsunąć się, do kurwy nędzy. - Kapitan uklęknął przy twarzy olbrzyma i przyłożył mu dwa palce do szyi. - Dycha. Jest tu jakiś medyk?

Żołnierze spojrzeli po sobie z osłupiałymi minami. Wyglądali tak, jakby pytano ich o zabranie zdania w odwiecznym sporze między absolutyzmem a relatywizmem poznawczym.

- Szczurza Twarz trochę się na tym zna. Jego tatko był ponoć wiejskim uzdrowicielem - wydukał w końcu jeden z nich.

- To dawać mi go tu, tylko chyżo.

Nikt się nie poruszył, nikt nawet nie jęknął.

- No gdzie on, do kurwy nędzy, jest? - wydarł się nagle Chociemir, a po twarzy przebiegł mu nagły skurcz.

Część żołnierzy cofnęła się kilka kroków i powróciła naprędce do swych zadań, nie chcąc narazić się na gniew dowódcy. Reszta jednak wciąż stała z rozdziawionymi pyskami, drapiąc się bezmyślnie po skołtunionych włosach. W końcu jeden z nich zebrał się na odwagę i raczył odpowiedzieć:

- Poszedł do lasu, kapitanie.

- To na co czekasz, psia mać? Biegnij po niego, tylko szybko. Bojanie, weź ze sobą trzech ludzi i jedźcie jak najszybciej do pałacu. Niech księżę przyśle Algurgsisa al-Biruna. Sulisz - ty jedź z kolejną trójką do Czerdzińska. Jak mają medyka, to niech też przysyłają. Powinien być tu jak najszybciej, bo każda chwila jest na wagę życia. Gdzie ta Szczurza Twarz, do kurwy nędzy? Wy trzej, rozejrzyjcie się po okolicy. Może jest tu jakaś wieś czy choćby chata. Poszukajcie też wozu. Dobrze by było przewieźć gdzieś rannego, bo na dłuższą drogę za słaby. Reszta niech przygotowuje stosy pogrzebowe. Każdy wie, co ma robić?

- Tak, kapitanie.

- To ruszać dupy. Nie mamy czasu. Chyżo, chyżo.

W tym momencie przy kapitanie pojawił się zasapany, niski mężczyzna o krótkich nogach i wystającym brzuchu. Kapitan od razu wywnioskował, że jest to Szczurza Twarz. Wystarczyło tylko spojrzeć na jego lico i wszelkie wątpliwości odpłynęły niczym kłoda unoszona z bystrym prądem rwącej rzeki.

Kapitan spojrzał na niego uważnie.

- Znasz się na leczeniu?

- Eeee... troszkę, kapitanie, ale...

- Troszkę wystarczy. Zajmij się nim.

- Ale...

- Żadne ale! Nie ma czasu!

Szczurza Twarz zdał sobie sprawę, że dalsze wymawianie słowa „ale” może mieć dla niego nieprzyjemne konsekwencje. Rozejrzał się jeszcze dookoła, jakby szukał pomocy z zewnątrz, po czym, nie znalazłszy jej, pochylił się nad Drazdanem i zaczął go wnikliwie badać. Wpierw przyłożył ucho do jego piersi, później odgarnął powiekę i zajrzał mu w głąb oka, a na końcu uważnie przyjrzał się tkwiącym w ciele strzałom.

- Miał dużo szczęścia, ale jeszcze więcej będzie go potrzebował - przemówił z miną godną królewskiego medyka. - Ledwo dycha. Jego los jest teraz w rękach bogów.

- A twój los w jego rękach - sparował Chociemir. - Jeśli umrze przed przybyciem medyka, ty podążysz jego śladem. Jeśli wyżyje, Wielki Książę cię wynagrodzi. To dzielny człęk. Poza tym to nasz jedyny świadek, więc zabieraj się do roboty i więcej mi tu nie marudź.

Szczurza Twarz zbladł. Przełknął ślinę i ponownie zbadał rannego. Tym razem dużo dokładniej.

- Wpierw trza opatrzyć rany, by się jakie лихо nie wdało. Trza mi pewnego zioła, krwawnik pospolity się zowie. Musi być gdzieś tutaj... na pewno jest. Wygląda zwyczajnie, taki zielony z białym kwiatkiem na górze. Mój tatko go stosował. Ktoś zna to zioło?

Odpowiedziała mu cisza.

- Czy ktoś wie jak wygląda krwawnik pospolity? - spytał powtórnie, tym razem dwa razy głośniejszym głosem, i popatrzył dookoła po wyrażających bezbrzeżną głupotę twarzach swych kompanów.

Żołnierze poczęli spoglądać po sobie, lecz ponownie nikt nie wyrwał się do odpowiedzi. Szczurza Twarz przeklął ich siarczyście, wyzywając od niedouczonego tłuków, po czym ponownie nachylił się nad rannym Drazdanem.

- Mogę spróbować wyjąć strzały z piersi i barku. Pancierz je zatrzymał. Siedzą dosyć płytko. Tej w nodze wolę nie ruszać. Zbyt głęboko siedzi. To musi zrobić jakiś medyk. Daj mi no któryś wody.

Natychmiast czyjaś uczynna dłoń podała mu pełen bukłak. Zmył krew z twarzy Drazdana, a resztę wlał sobie w gardło.

- Oj, niezbyt dobrze to wygląda, niezbyt dobrze. Idę poszukać krwawnika, a dopóki nie wrócę, niech nikt go nawet nie rusza. I przygotujta mi ogień. Będzie trza przypalić rany rozżarzonym żelazem. Dobrze, że leży bez przytomności, to nie będzie nic czuł.

To powiedziawszy, wstał i nie kryjąc dumy z zainteresowania, jakie wzbudziła jego skromna osoba, ruszył szybkim krokiem w poszukiwaniu ziół. Tak był tym zaaferowany, że prawie wpadł na zdyszanego młokosa, który właśnie nadbiegał z drugiej strony wąwozu, by zatrzymać się dwa kroki od dowódcy.

- Kapitanie, kapitanie, tam na końcu jest mała ścieżka. Prowadzi na łąkę. To dobre miejsce na stosy. Znalazłem na niej wydeptaną trawę i ślady końskich kopyt. To tam...

- Prowadź - przerwał mu kapitan w połowie zdania. - A reszta niech przeniesie tam zwłoki i drewno. Wy dwaj czekajcie na Mysi Pysk. Jak wr...

- Szczurzą Twarz - poprawił dowódcę któryś z żołnierzy.

- Nie zwracaj mi, kurwa, głowy. Szczurza Twarz czy Mysi Pysk, też mi różnica - odparł wściekle kapitan, piorunując śmiałka wzrokiem. - Macie czekać na niego i mu pomóc. A, i spytajcie go, czy można przenieść Drazdana na polanę. Nie podoba mi się ten wąwóz. Za bardzo czuć tu śmiercią. A ty przestań się tak trząść jak ryba wyjęta z wody i prowadź.

Minęli usiany trupami wąwóz i dotarli do wąskiej, ledwie widocznej ścieżki, prowadzącej na wnoszącą się wśród niewielkich zboczy łąkę. Chociemir pobieżnie zlustrował okolicę, po czym przemierzył ją wzdłuż i wszerz, pochylając się co chwilę i badając zatarte przez deszcz ślady.

- Tutaj trzymali konie - powiedział pod nosem, po czym zadarł do góry głowę, jakby tam chciał znaleźć odpowiedzi. - A niechaj ich czorty porwą, kurwich synów. Niech tylko Wielki Książę się o tym dowie, to się zacznie heca.

W tym samym czasie, gdy na zielonej łączce święty ogień oczyszczał dusze siedmiu poległych wojowników, trójka wysłanych przez kapitana żołnierzy ujrzała stojącą samotnie pośród kamiennych zboczy niewielką drewnianą chatę. Z otworu imitującego komin unosił się szarawy obłoczek dymu, przywodzący im na myśl wspomnienie smaku matczynych posiłków. Żołnierze podjechali pod skromne wejście. Dookoła wały się stosy śmieci i porozrzucane w nieładzie kawałki drewna na opał. Obok wznosiła się równie zrujnowana szopa, pełniąca funkcję magazynu, oraz rozlatująca się

latryna pełna bzyjących much. Zwierząt żadnych nie było, nie licząc trzech wychudzonych kur gdaczących żałośnie do siebie.

- Hej! Jest tu ktoś? - ryknął jeden z żołnierzy głosem mogącym postawić na nogi martwego.

Po chwili w odrapanych drzwiach, które jakimś cudem nadal stały na swoim miejscu, pojawił się niski, chudy człowieczek. Nie sprawiał sympatycznego wrażenia. Jego twarz była przebiegła i posępna, a malutkie, świńskie oczy skakały nerwowo z miejsca na miejsce. Ubranie także pozostawiało wiele do życzenia - widać było, że czasy świetności miało dawno za sobą.

- Czego? - wychrypiał na wpeł ze strachem, a na wpeł z nadzieją na jakiś zarobek. Nieczęsto miewał gości na tym odludziu.

- Nasz towarzysz jest ciężko ranny. Potrzebujemy dla niego izby i jakiejś lekkiej strawy. Potrzebny też jest wóz, jeśli masz. Zapłacimy za wszystko. I to dobrze - odezwał się żołnierz, wyjmując z przypiętego do pasa mieszka srebrną monetę.

Oczy gospodarza zalśniły, a na twarzy pojawił się nagle szeroki uśmiech. Także jego ton stał się miłszy, bardziej unizony. Widok srebra ma doprawdy niezwykle właściwości.

- Witam, witam czcigodnych panów. Chatka jest mała, ledwo nam miejsca starcza, ale może by się dało coś znaleźć dla szlachetnych panów.

Moneta zakręciła w powietrzu dwa fikołki i z brzdękiem upadła wprost pod nogi gospodarza. Ten z zadziwiającą szybkością schylił się po nią, wziął do ręki i obejrzał ze wszystkich stron. Następnie włożył do buzi i ugryzł lekko pozostałymi, nielicznymi zębami. Na jego twarzy pojawił się jeszcze szerszy, jeszcze bardziej obrzydliwy uśmiech niż poprzednio.

- To zaliczka. Jak się spiszesz, dostaniesz więcej. Widziałeś tu ostatnio jakichś obcych?

- Nie, panie. Nikogo żem nie widział od dawna. Nawet skrzaty omijają to miejsce szerokim łukiem, choć co wieczór zostawiam im spodek z mlekiem na ganku.

- A wóz masz?

- Nie mam, miłościwy panie, ale tam mieszka Kołtun Samotnik. O tam, niedaleko, na górze. - Chude ramię, przypominające bardziej rękę kościotrupa niż żywego człowieczka, wskazało na niezbyt wysoką, skalistą grań, za którą wznosiło się brązowo-zielone pastwisko. - Trza tylko naokoło jechać, ale to niedaleko. On ma wóz. Nada się. Dobry wóz. Ja nie mam. Ale kury mam. Córa rosółek uwarzy. Pyszny rosółek, dobry dla rannego. - Miły ciężar srebrnej monety spowodował istny słowotok u milczącego zazwyczaj człowieczka.

- Tak się stanie - odezwał się najstarszy z żołnierzy, po czym odwrócił się do dwójki swych towarzyszy. - Jedźcie tam na górę do tego... jak mu tam?

- Kołtuna Samotnika, miłościwy panie.

Kąciki ust żołnierza powędrowały nieznacznie w kierunku oczu, a poważna i surowa do tej pory twarz poczęła toczyć nierówną walkę ze wzbierającą niczym wezbrana rzeka salwą śmiechu.

- Kołtuna Samotnika? - Żołnierz nie zdołał się opanować i przeraźliwy chichot wypłynął z jego gardła. - Ha, ha, ha. Cóż za durne imię! O bogowie. Ha, ha, ha. Kołtun Samotnik. Dobrze. Ha, ha, ha. A ty jak się zowiesz, dobry człowieku?

Szeroki uśmiezek momentalnie zniknął z twarzy gospodarza, a jego twarz przybrała ponury wyraz, przywodzący na myśl płatnego zbira tuż przed wykonaniem mokrej roboty. Zacisnął zęby i, patrząc pod nogi, odpowiedział słabym, jękającym się głosem:

- Ja, ekhem, jam jest... Kołtun Odludny, panie.

Tego już było za wiele. Trójka żołnierzy ryknęła tubalnym śmiechem. Ich odziane w wełniane kubraki i stare - pochodzące najpewniej z odzysku - kolczugi poczęły trząść się niczym trzy galarety. Z każdą chwilą było coraz gorzej. Żywioł śmiechu pochłaniał ich do reszty i nie zamierzał wypuszczać ze swych objęć. Jeden z nich o mało co nie zleciał z konia i tylko ostatnim wysiłkiem zdołał chwycić się uzdy. Jego towarzysz zgiał się wpół i złapał za bolący brzuch.

Ukradkiem otarł napływające niczym strugi deszczu łzy radości. Trzeci niemal popuścił. Starali się opanować, lecz nie byli w stanie. A gdy któremuś jakimś cudem udało się wyrwać z otchłani śmiechu, wystarczyło, że spojrział na któregoś z kompanów, a żywił ponownie go wchłaniał. Z jeszcze większą siłą, z jeszcze większą energią.

A Kołtun Odludny stał i stał, i stał. Nie wiedział, skąd się wziął ten nagły przypływ radości, choć podejrzewał, że może mieć coś wspólnego z jego imieniem, które z taką dumą nosił od kołyski.

W końcu się uspokoili. Najstarszy - zwany przez innych Czosnkiem, z racji wielkiego zamiłowania do tej rzucającej się w nozdrza przyprawy - poprawił się w siodle, wysmarkał nos i przemówił z pewną pieczołowitością:

- A więc, dobry człowieku, racz być tak miły i przygotuj posłanie i strawę dla rannego. Niebawem wrócimy, Koł... ekhem, ekhem, Kołtunie... No nie mogę, ha, ha, ha. - Mężczyzna zakrył twarz dłonią. Starał się oddychać miarowo, by ponownie nie zatopić się w ataku śmiechu. Tym razem się udało. - Wybacz mi, dobry człowieku. Przygotuj zatem posłanie i strawę, niebawem wrócimy. A wy - zwrócił się do swoich towarzyszy - jedźcie do tego... jedźcie na górę po wóz.

W ponurych oczach gospodarza pojawił się chytry błysk. Smętna twarz przybrała przebiegły wyraz kupca, który wpadł na genialny pomysł. Natychmiast zapomniał o urazie, jaką jeszcze przed chwilą żywił do żołnierzy.

- Tak, miłościwy panie - odparł pełnym unizienia głosem. - Jak rozkażesz. A może, panowie złoci, macie ochotę na, ekhem... - Kołtun puścił w ich stronę oczko. - Może macie ochotę na gorącą dziewczkę? Co? Mam córkę. Zgrabna i, hmm, chętna, że ho, ho. Za jeszcze jedną taką monetę może wam umilić czas. Co wy na to?

- Każ jej lepiej rosół uwarzyć - odparł oschle Czosnek, patrząc z odrazą na ojca gotowego za marną monetę sprzedać ciało własnej córki. Następnie splunął na ziemię i zwrócił się szeptem do swych towarzyszy: - Jedźcie po wóz i zaprowadźcie go do wąwozu. Ja sprawdzę izbę i przypilnuję, by czegoś do rosołu nie wsypał, łajdak

jeden. Po nim wszystkiego można się spodziewać. No, jedźcie już, jedźcie.

Żołnierze spięli końskie boki łydkami i ruszyli wykonać rozkaz. Czosnek odczekał kilka długich chwil, rozejrzał się dookoła i dopiero gdy się upewnił, że jego towarzysze zniknęli z pola widzenia, zeskoczył z konia i ruszył w stronę gospodarza. Nachylił się do niego, zmierzył go surowym wzrokiem, po czym uśmiechnął przymilnie i przemówił konspiracyjnym szeptem:

- To pokażcie tę córkę, gospodarzu.

Kołtun uśmiechnął się, odsłaniając w całości poszczerbione zęby z kłębiącymi się między nimi niestrawionymi resztkami fasoli.

- Ej, Bronka! Wyłaż, ino chyżo! - krzyknął w stronę wnętrza obskurnej chaty.

Niemal w tej samej chwili w drzwiach pojawiło się przestraszone dziewczę. Wymiętą suknię koloru spłowiałego brązu obwiązaną miała grubym, konopnym sznurem, a długie, jasne niczym snopy zboża włosy związane niedbale w majtające się warkocze i przykryte dodatkowo białym niegdyś czepkiem. Na oko mogła mieć z trzynastcie wiosen, no może czternaście, ale nie więcej.

- No co tak gały wytrzeszczasz? - ofukał ją ojciec. - Przywitaj się ze szlachetnie urodzonym panem.

Dziewczyna spuściła skromnie ślipka i dygnęła niezdarnie.

Czosnek wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu. Jego wzrok bezwstydnie wodził po córce gospodarza, zatrzymując się na najbardziej lubianych przez mężczyzn częściach. Mimo obszernej sukni wszystkie niezbędne wypukłości były na swoim miejscu. Szczególnie te poniżej szyi kusily swoimi rozmiarami, niczym dwa soczyste arbuzy.

- Ile masz wiosen? - spytał, oblizując przy tym wargi.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Łypnęła tylko wzrokiem na stojącego naprzeciw niej mężczyznę, po czym ponownie spuściła ślipka.

- Odpowiadaj, jak szlachetny pan pyta - warknął Kołtun i huknął ją w ucho, aż rozległ się głośny plask.

- Czternaście, panie - odparła cichym głosem, patrząc na czubki swych bosych stóp.

- Czternaście? Ho, ho, ho. Toż tyś już duża panienka. A chłopca już kiedyś miała?

Dziewczę zapłonęło ze wstydu. Jej policzki przybrały barwę dojrzałego jabłka.

- Raz, panie. Zeszłej wiosny zdybał mnie Janko na polanie i... - Policzki zrobiły się jeszcze bardziej czerwone.

- I co?

- I mnie wziął. Próbowałam się opierać, ale on silny był. Nie dałam rady.

Czosnek mógłby przysiąc, że na krótką chwilę oczy dziewczyny zabłysły z pożądania, a na jej twarzy pojawił się błogi uśmiech. Trwało to jednak krócej niż mrugnięcie powieki i przed oczami żołnierza ponownie stało zawstydzone, płochliwe dziewczę. Czosnek posmutniał.

- Czyli nie jesteś dziewicą - powiedział z pewnym rozczarowaniem. - Trudno. Ale to nic. Chodź i pokaż mi, co tam masz pod kiecką - dodał, rzucając gospodarzowi kolejną srebrną monetę.

Ten pochwycił ją z równie radosną miną co poprzednio i ukłonił się niezdarnie do samej ziemi.

- Dziękuję, szlachetny panie, dziękuję. Obaczycie, że nie będziecie żalowali. A ty bądź miła dla pana i rób wszystko, co ten każe.

Czosnek złapał Bronkę za rękę i przyciągnął do siebie.

- A swoją drogą, to nie wstyd ci własnej córki sprzedawać za jednego srebrnika? - spytał ostrym tonem.

- Wstyd mi panie, oj, wstyd - odpowiedział gospodarz. Myślni wybiegał już w stronę karczmy stojącej po drugiej stronie wzgórz i lichej gorzałki, która niebawem wniesie trochę kolorytu w jego marną egzystencję. Przez najbliższe trzy dni majątek gospodarza

znacząco ulegnie powiększeniu, tak że w ciągu najbliższego miesiąca nie spędzi on ani jednego dnia w trzeźwości. Jego córka szybko przemieni się z nieśmiałego, sfukanego dziewczęcia w pewną swoich wdzięków kokietkę, kuszącą żołnierzy spojrzeniami, gestami i zmysłowym chodem. Powiększy się też rodzina Kołtuna Odludnego, ale to dopiero za dziewięć miesięcy. Za trzynaście wiosen chytry człowieczek umrze w tej samej chatce, w której dawno temu przyszedł na świat. Jego miejsce zajmie pulchny chłopczyk o wiecznie zamyślonym spojrzeniu. Nie ma pewności, kto jest jego ojcem, lecz niektóre fakty, związane z tylną częścią jego ciała, mogą z dużą dozą prawdopodobieństwa wskazać pewnego pociesznego grubaska. Niestety ani chłopiec, ani Bugwald nigdy nie dowiedzą się o łączącej ich więzi.

Pani Śmierć się wahała. Co rusz zbliżała swą wychudzoną twarz do popękanych ust Drazdana i za każdym razem się wycofywała, jakby nie była pewna, czy ma złożyć na nich ostatni pocałunek. A serce olbrzyma wciąż biło. Cyk, cyk, cyk. Pytała się okrutna kostucha bogów o radę, lecz cóż ich obchodziło życie jednego człowieka. Z pewnością ważniejsze sprawy mieli na głowie. Może właśnie urządzali niebiański turniej miotania piorunami albo wystawną ucztę pełną najwymyślniejszych rarytasów? A może ich w ogóle nie było, istnieli tylko w świadomości durnych ludzi? Tego nawet Pani Śmierć nie wiedziała.

Gorączka trochę osłabła, lecz Drazdan wciąż nie odzyskał przytomności. Miotał się w malignie przez trzy dni pod czujną opieką Szczurzej Twarzy. Jego oddech stawał się coraz głębszy i bardziej miarowy.

- Będzie żył - zawyrokował syn wiejskiego uzdrowiciela i otarł pot z czoła. Czuł przy tym olbrzymią ulgę. Wszak i jego życie znalazło się na rozdrożu, między dwiema drogami prowadzącymi do dwóch różnych światów.

Jakby na potwierdzenie jego słów mizerną chatkę Kołtuna Odludnego zaszczyił niezwykle osobnik o delikatnych, niemal kobiecych rysach twarzy i szczupłej budowie ciała. Ubrany był we wszystkie kolory tęczy. Obcisły, składający się z czterech części dublet uszyto z tkaniny w czerwono-pomarańczowo-żółto-zielono-turkusowo-fioletowe paski. Zdobily go obszerne, bufiaste rękawy koloru różowego oraz okalający łabędzią szyję sztywny kołnierz w tym samym kolorze. U dołu dubletu znajdowały się dziurki, do których za pomocą guzików przymocowano obcisłe nogawice barwy ciemnej zieleni z pełnym szwem na pośladku oraz sporym saczkiem w miejscu genitaliów. Całość tego niezwykłego stroju uzupełniały niebieskie trzewiki z wygiętymi ku górze noskami, zakończonymi czarnymi pomponami, oraz żółta, filcowa czapeczka z wystającym z boku pawim piórem.

Już z daleka słyhać było jego piskliwy głos.

- Z drogi chłopcy, z drogi. Gdzie jest ranny? No usuńcie się z drogi. Sio, sio.

Indywidualum zatrzymało swojego niewielkiego karego konia przed grupką grających w kości mężczyzn. Niektórzy z nich zaczęli przecierać oczy ze zdumienia, drudzy otworzyli szeroko buzie i nie byli w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Jeszcze inni po krótkiej, niezbędnej do upewnienia się, czy aby wzrok nie płała im jakichś figli, chwili, poczęli dyskretnie chichotać. Zrazu cichutko, jakby nieśmiało, lecz nie minęło wiele czasu, gdy niewidoczne tamy runęły, a śmiech wybuchnął z ogromną siłą i zalał usta mężczyzn niekończącym się rzeniem. Powódź zataczała coraz to szersze kręgi. Nawet dwie wychudzone kury dały się porwać szaleństwu i zaczęły głośno gdakać, ganiając się nawzajem po niewielkim placu. Nie zbiło to bynajmniej z tropu kolorowego osobnika. Wręcz przeciwnie. Wyprostował się dumnie w siodle, podrapał po gładkiej brodzie i powiódł zniesmaczonym wzrokiem po ogorzałych twarzach mężczyzn. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na najmłodszym z nich. Uśmiechnął się radośnie, sycąc oczy widokiem przystojnej

twarzą okalanej burzą kruczoczarnych włosów i starannie przyciętą bródką.

- Ej, ty, piękny chłopcze - odezwał się do niego melodyjnym głosem. - Czy byłbyś tak łaskaw i zaprowadził słynnego medyka Melkulozoza Merkoza Mergongezę do rannego?

Młodzieniec spojrział na niego, jakby ujrzał stado śpiewających rusałek, i otworzył szeroko usta.

- Kogo? - wydukał z niemałym trudem.

- Jak to kogo? No przecież, że mnie. Phi.

Piękny chłopiec nie odpowiedział. Nie był w stanie. Tylko jego dłoń uniosła się leniwie do góry i wskazała na stojącą nieopodal chatkę.

Osobnik pokręcił z naganą głową i zgromił go spojrzeniem. Żołnierze ponownie parsknęli śmiechem.

- Oj, coś niezbyt rozmowny jesteś, piękny chłopcze - powiedział przybyły z wyraźnym wyrzutem. - No cóż. Sam trafię.

Sprawnie zeskoczył z konia, poprawił ułożenie czapki, prychnął lekceważąco, po czym złapał kłapiącego uszami zwierzaka za pysk i przemówił do niego łagodnym, pełnym czułości głosem:

- Nie ruszaj się stąd, koniku, i czekaj grzecznie na pańcia. Pańcio zaraz wróci. I nie bój się, ci brutale nie zrobią ci krzywdy.

Kolejna fala śmiechu porwała zebranych. Medyk przestał zwracać na nich uwagę. Zabrał z przymocowanego do końskiego siodła worka czarną walizkę i skierował swe kroki do chaty. Poruszał się lekko, jakby płynął w powietrzu. Minął rozchybotane drzwi, przystanął na chwilę na ganku, by przyzwyczaić wzrok do półmroku, po czym ruszył w stronę, z której dochodziły do niego stłumione jęki. Zaraz jednak odskoczył jak oparzony, wpadając na stojącą w rogu szafę i nabijając sobie na środku czoła niewielkiego guza. Spłoszona Bronka podciągnęła szybko kieckę i wybiegła z chaty. Towarzyszący jej żołnierz przeklął głośno i walnął pięścią w stół, po czym, trzymając na wpół zsunięte portki, ruszył za nią co tchu.

- Ej, wracaj mi tu. Jeszcze nie skończyłem. Wracaj, cholero.

Melkuloz odprowadził ich zgorszonym wzrokiem, po czym otworzył kolejne drzwi i dziarsko wszedł do środka.

Wewnątrz pachniało śmiercią. Migotliwe światło kaganka padało co rusz na leżącego bez przytomności Drazdana. Szczurza Twarz nachylał się nad nim i właśnie zmieniał opatrunek. Tak był skoncentrowany na tej czynności, że nie słyszał ani pisku dziewczyny, ani krzyku jej najnowszego adoratora, ani nawet głośnego niczym ryk lwa skrzypnięcia zawiasów. Poczł za to ciepłe muśnięcie oddechu na własnej szyi.

Odwrócił się gwałtownie i spojrzł do góry.

Z początku pomyślał, że mu się przewidziało. Zamrugął kilkakrotnie powiekami, uszczypnął się mocno w dłoń, zamknął oczy i otworzył je ponownie.

Barwne indywiduum wciąż przed nim stało i wlepiało w niego ślepią niczym mityczny bazyliśzek. Usta żołnierza poruszyły się niemo, raz, drugi, trzeci, lecz dopiero za czwartym razem wydośtały się z nich dwa krótkie słowa:

- Ktoś ty?

- Jam jest Melkuloz Merkoz Mergongez - odparł zapytany jednocześnie z dumą i ze zdziwieniem, że ktoś śmie pytać go o tak oczywistą rzecz. Zdjął przy tym czapkę i ukłonił się z wdziękiem przed oniemiałym żołnierzem. - Mam zaszczyt być przesławnym medykem. Przysłano mnie z zamku w Czerdzińsku, więc odsuń się, niezbyt ładny chłopcze, i daj Melkulozowi pracować.

- Melku... Melku... Melkukrwa jak?

Szczurza Twarz wciąż nie mógł dojść do siebie. Ręka trzymająca wilgotną szmatkę znieruchomiała, oczy zrobiły się wielkie jak złote monety, usta nieznacznie się rozwarły, a na czole pojawił się skomplikowany wzór zmarszczek, komponujący z rozsianymi z rzadka piegami.

- Melkuloz Merkoz Mergongez - powtórzył jednym tchem medyk. - No już, brzydki chłopcze, odsuń się. Szybko, szybko, nie ma czasu.

Medyk chwycił żołnierza za ramię i zaczął ciągnąć do góry. Szczurza Twarz powoli dochodził do siebie, a w jego głowie pojawił się istny dylemat. Zastanawiał się, czy powinien ryknąć śmiechem, czy może walnąć bezczelnego intruza z całej siły w wypudrowany bladym różem pysk. W decyzji pomogli mu kłębiący się w drzwiach towarzysze, którzy niczym grupka nastolatków po zrobieniu złośliwego psikusa nielubianemu prymusowi zaśmiewali się niemal do łez. Po krótkim namyśle postanowił się do nich przyłączyć.

Melkuloz Merkoz Mergongez nic sobie z tego nie robił. Zdjął czapkę, położył ją ostrożnie na niewielkim, stojącym nieco z boku stoliku, po czym usiadł na odrapanym taborecie i począł wnikliwie badać chorego. Jego smukłe palce ze zręcznością kochanka wodziły po olbrzymim ciele, zatrzymując się na dłużej w okolicach ran, a usta poruszały się bez ustanku niczym w jakiejś modlitwie. Po dłuższej chwili wypuścił z ust powietrze, rozejrzał się dumnym wzrokiem dookoła, po czym sięgnął do swojej walizki i wyjął z niej niewielki przyrząd przypominający bawoli róg. Szerszy koniec przyłożył do piersi chorego, węższy włożył do ucha i zamarł, wsłuchany w rytm serca rannego. Wreszcie skończył. Schował przyrząd z powrotem, otarł pot z czoła i odwrócił się w stronę Szczurzej Twarzy.

- Tyś mu wyjął strzały i opatrzył rany, brzydki chłopcze?

Żołnierz przytaknął niemrawo i spojrzał niepewnie na swych kompanów.

- No... Jam to zrobił, przesławny medyku Mulku...rwa, nie wiem, jak dalej - odpowiedział nagle, wywołując wokół salwę śmiechu.

I nagle stała się rzecz niebywała. Spokojny dotąd i opanowany osobnik poderwał się jak szalony i ruszył ku stojącym żołnierzom.

- Sio stąd, brzydale! Sio, sio! Już was tu nie ma! Melkuloz potrzebuje ciszy. No, sio, sio!

Zaczął przy tym machać rękoma na wszystkie strony i popychać żołnierzy w kierunku otwartych drzwi. Wyglądał jak mały piesek tańczący wokół stada wyrosniętych wilków.

- Wynocha stąd. Wszyscy. Raz-dwa. A ty, brzydki chłopcze, zostań, będziesz mi potrzebny. Reszta sio. No, na co czekacie? Już was nie ma!

Wobec tak zdecydowanej postawy medyka żołnierzom nie pozostało nic innego, jak tylko się wycofać. Niektórzy zataczali się przy tym w porywie szalonego śmiechu, objając o nieliczne meble, lub posyłali gościowi usiane z powietrza buziaki. Twarde żołnierskie życie rzadko dostarczało im rozrywki tej miary co nieoczekiwane pojawienie się owego nader interesującego osobnika. Nawet grupa komediantów, która odwiedziła ich koszary zeszłej jesieni, nie mogła się równać z przesławnym medykiem z dalekiego zamku.

W ciasnej izdebce zostali tylko medyk i Szczurza Twarz. Jeden dyszący ze wściekłości, drugi dygoczący ze śmiechu.

- Hmm. Widzę, że użyłeś okładu z *Achillea millefolium*. Genialnie, chłopcze, genialne. To znakomite zioło na rany - przemówił medyk, patrząc z uznaniem na plebejską twarz żołnierza.

- Eeee... co? To przecież jest krwawnik. Mój tatko...

- Aj, tak, tak, krwawnik. Rzeczywiście, taką prostą nazwę nosi to zioło wśród wieśniaków, nieuków i innych barbarzyńców. Poprawna nazwa to *Achillea millefolium*. Zapamiętaj to, brzydki chłopcze. *Achillea millefolium*. Pięknie brzmi. Nieprawdaż? Tak nazywają ją światli ludzie, choć dla ciebie to może i jest krwawnik pospolity, brzydki chłopcze.

- Jak jeszcze raz mnie nazwiesz brzydkim chłopcem, to ci, kurwa, przywalę - odszczeknął się Szczurza Twarz, któremu przesławny medyk zaczynał coraz bardziej działać na nerwy.

- Oj, wybacz Melkolorozowi. Po cóż te złości? Czyż nie wiesz, że złość piękności szkodzi? No już dobrze, dobrze. - Prawa ręka medyka delikatnie dotknęła ramienia żołnierza. Ten odsunął się z odrazą, jakby musnął go oślizgły wąż, i wpadł na poplamioną przeróżnymi kolorami ścianę. - Sprawileś się jak zuch. Musisz pomóc teraz Melkolorozowi wyjąć tę brzydką strzałę z nogi. Ależ olbrzym mi się trafił. Ho, ho, ho. A jakie mięśnie. Przynieś, proszę, gorącej wody,

dużo szmatek, ogień i jakieś żelazo. Widzę, że pozostałe rany wypaliłeś. Oj, zuch jesteś. Gdzie się tego nauczyłeś? Prawdziwy chwyt, może niezbyt urodziwy, ale jaki dzielny. No dobrze, trzeba się brać do roboty. No idź już, chłopcze. Nie ma czasu.

Szczurza Twarz zacisnął zęby i opanowawszy z trudem narastającą w nim złość, opuścił izbę. Trafił jednak z deszczu pod rynnę. Gromadzący się przy drzwiach kompani natychmiast obdarzyli go dawką drwin, kpin i żartów. Z opresji wybawił go dopiero kapitan, który właśnie zmierzał do izby.

Żołnierze rozstąpili się na boki, robiąc mu miejsce. Jeden z nich otworzył nawet przed nim drzwi, reszta zamarła w pełnym oczekiwaniu.

Kapitan nie zwrócił na nich uwagi. Nieświadomy powagi sytuacji, wkroczył do izby sprężystym krokiem, dumnie wypiął pierś, strzelił obcasami.

- Dowódca Gwardii Księcia Jarogniewa Statecznego, kapitan Chociemir Slava - przedstawił się na żołnierską modłę.

Melkuloz odwrócił się powoli w jego stronę i aż zamarł z wrażenia.

- Melkuloz Merkoz Mergongez - odpowiedział po dłuższej, pełnej napięcia chwili, przeciągając sylaby i wpatrując się namiętnie w błękitne oczy dowódcy. Następnie zdjął fikuśną czapkę i zaszurał pawim piórem po podłodze, zginając przy tym tułów w szarmanckim ukłonie. - Przesławny medyk z zamku w Czerdzińsku w służbie Jego Książęcej Mości. Do usług, piękny panie.

Kapitan otworzył szeroko oczy i wykrzywił twarz w grymasie zdziwienia. Cofnął się odruchowo w kierunku drzwi, jakby nie był do końca pewien, czy ma do czynienia z człowiekiem, czy z jakimś bajkowym stworem, który zaraz przemieni się w olbrzymią żabę i go pożre. Medyk ponownie wbił ślepią w jego twarz i zastygł z czarującym uśmiechem malującym się na krwistoczerwonych ustach. Był wręcz oczarowany niezwykłą urodą żołnierza.

Kapitan pierwszy zdołał wyrwać się z kręgu niedowierzania. Był przecież żołnierzem i niejedno już widział.

- Będzie żył? - spytał niepewnym głosem i nerwowo przełknął ślinę.

- Powinien, piękny kapitanie, powinien. Brzydki chłopiec - ten, który właśnie stąd wyszedł - dobrze się spisał. Istny zuch z niego, istny zuch. Melkuloz zaraz wyciągnie strzałę, a reszta w rękach bogów. Może zostaniecie, by mi pomóc? Przyda się dodatkowa para silnych rąk.

Kapitana przeszły nagle dziwne dreszcze.

- Eeee... chętnie... bardzo chętnie bym pomógł, ale nie mam czasu. Muszę już iść, trzeba nakarmić konie i przypilnować żołnierzy. Miło mi było poznać, a jak byście czegoś chcieli, to... proście moich żołnierzy. Ja będę zajęty, bardzo zajęty. No to bywajcie.

To powiedziawszy, pośpiesznie opuścił izbę i wybiegł z chaty, jakby od tego zależało jego życie.

Medyk odprowadził go zawiedzionym spojrzeniem. Zawiedziona była także Bronka, która nagle przestała być w centrum zainteresowania. Żołnierze przestali wodzić za nią wygłodniałymi spojrzeniami, a ich uwaga skupiła się na dziwnym osobniku płci, prawdopodobnie, męskiej. Co do tego ostatniego nie było wśród nich jednomyślności.

Po chwili wrócił Szczurza Twarz, niosąc ze sobą wszystkie potrzebne przyrządy. I znów zostali sami. Szpetny syn wiejskiego uzdrowiciela i wymuskany medyk z dalekiego zamku.

- Mnie także jest śpieszno - odezwał się Szczurza Twarz i, nie czekając na odpowiedź, ruszył ku wyjściu.

Melkuloz był jednak szybszy. W dwóch susach doskoczył do drzwi i zatarasował je własnym ciałem.

- Oj, nie, nie, nie. Nigdzie nie pójdziesz. No jakże to tak, będziesz tu potrzebny. Melkuloz Merkoz Mergongez sam nie da rady, potrzebuje pomocy. No nie stój tak, tylko przynieś mi bandażę. No

już, brzydki chłopcze. Raz-dwa, raz-dwa. Szkoda czasu, czeka nas pracowity dzień.

Potok najgorszych przekleństw zaczął się cisnąć żołnierzowi na usta. Zdołał jednak opanować swój gniew, zacisnął z całej siły pięści i posłusznie poszedł wypełnić polecenie. Tylko jego wzrok co chwila padał na wypudrowany pysk intruza, jakby chciał wypalić w nim dziurę.

Wspólnie wyjęli strzałę tkwiącą głęboko w udzie Drazdana, wypalili ranę rozgrzanym do czerwoności żelazem i założyli staranny opatrunek. Następnie każdy udał się w swoją stronę. Szczurza Twarz poszedł się upić. Medyk próbował znaleźć kapitana, by zamienić z nim kilka słów. Ten jednak zniknął, wyparował, zapadł się pod ziemię.

Pojawił się dopiero następnego dnia, gdy monotonię oczekiwania przerwało trzech jeźdźców. Pojawili się znieczeka, wzbijając wokół grudki błota i niemal rozdeptując końskimi kopytami leżącą beczynną kurę.

- Gdzie Drazdan? - wydarł się przewodzący im mąż i zeskoczył na ziemię.

Kilkoro mężczyzn wskazało na chatę. Mężczyzna ruszył szybkim krokiem w jej stronę. Nagle poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się gwałtownie, sięgnął po przypięty do pasa miecz i już miał go wyjąć, gdy nagle jego wzrok padł na szlachetną twarz Pierwszego Wśród Gwardzistów.

- Ach, to ty Chociemirze. Aleś mnie przestraszył - powiedział, zrzucając z głowy obszerny czarny kaptur, który nadawał mu tajemniczości.

Kapitan uśmiechnął się szczerze.

- Wybacz, Algurgsisie, nie chciałem. Cieszę się, że już jesteś. Wczoraj przybył tu z Czerdzińska pewien medyk, lecz nie bardzo mu ufam. Chodź, zaprowadzę cię do rannego.

Pierwszy Wśród Medyków kiwnął głową i ruszył za kapitanem. Minęli po drodze uśmiechającą się zalotnie Bronkę i skierowali się do

izby, w której leżał Drazdan. Pierwszy wszedł kapitan i od razu odetchnął z ulgą, widząc, że prócz rannego nikogo w niej nie ma.

Nowo przybyły zdjął gruby czarny płaszcz, powiesił go na kołku i zbliżył się do rannego. Pochylił się nad nim, zbadał puls, zajrzał w oczy, a następnie ostrożnie zaczął zdejmować przesiąknięte krwią bandaż.

Wtem... cienki piskliwy głosik z nutą wyraźnego wzburzenia targnął spokojną dotąd izbą.

- A cóż to za granda? Któż śmie niszczyć wybitną pracę przesławnego Melkulozoza Merkoza Mergongezza?

Algurgsis drgnął, lecz się nie odwrócił. Kapitan cofnął się kilka kroków i splótł nerwowo palce u rąk.

- Przedstawiam ci, panie, medyka z Czerdzińska, Melkuolorozo... wybacz, ale nie potrafię tego wymówić - odezwał się w stronę nowo przybyłego, bacznie obserwując jego reakcję.

Ten ledwo co zaszczycił dziwaka spojrzeniem, nie przerywając swoich zabiegów.

Tego było za wiele dla Melkulozoza Merkoza Mergongezza. Przyzwyczał się już do wszechobecnych w jego życiu kpin, żartów i docinek, lecz tak jawne lekceważenie jego osoby zraniło dogłębnie jego wrażliwą dumę. Owszem, pozwalał, żeby się z niego śmiano, ale przechodzić obojętnie? Co to, to nie.

- Cóż to za zwyczaj?! To mój pacjent! Ktoś ty jest, do jasnej cholerci?! - Jego głos brzmiał jak kwik zarzynanej świni.

- Cśśśś - syknął przybyły.

- Co? Ja ci dam cśśśśś! Cóż za bezczelność! Uciszać przesławnego Melkulozoza? Mów, kim jesteś, bezczelny łotrze, albo... wrrrr!

Indywidualność złapała się za biodra i poczęła ze złością tupać w przeżarte przez korniki deski podłogi. Kapitanowi przypomniał się książęcy błazen, który czasem podobnie tupał nóżkami w udawanym szale. Melkuloz jednak nie udawał. On był naprawdę wściekły.

Algurgsis westchnął ze zrezygnowaniem, pokręcił głową i wstał z taboretu. Odwrócił się powoli i po raz pierwszy spojrzął na swego

adwersarza. Przewyższał go o głowę, był także szerszy w barkach, starszy i zdecydowanie bardziej męski. Jego pociągła twarz ze spiczastym podbródkiem i haczykowatym nosem kryła w sobie jakąś tajemnicę, a ciemnobrązowe oczy wyglądały jak dwie studnie nieprzebranej mądrości.

- Algurgsis al-Birun, Pierwszy Wśród Medyków - przedstawił się beznamiętnym tonem.

Melkuloz zaniemówił. Złość natychmiast odpłynęła z jego twarzy, a w jej miejsce pojawił się wyraz nabożnego szacunku.

- Algu... Ten Algurgsis al-Birun - wyjąkał nie swoim głosem. - Wybacz mi, panie, eee... to dla mnie zaszczyt.

Pierwszy Wśród Medyków zmusił się do lekkiego uśmiechu. Wiedział, że jego imię budzi najróżniejsze emocje. Był wszak jednym z największych uczonych ówczesnego świata, autorem licznych ksiąg z zakresu medycyny, anatomii, astronomii, a nawet filozofii. Był chodzącą wyrocznią w zagmatwanych kwestiach nauki i wzorem do naśladowania dla wielu poszukiwaczy prawdy - w tym także dla naszego barwnego Melkuloza.

- Z rozkazu Wielkiego Księcia przejmuję pieczę nad rannym. Dobrze się spisaliście, panie kolego, ale możecie już wracać do siebie. Nie lubię, jak mi ktoś przeszkadza.

- Jak sobie życzysz, mistrzu - odparł nie tak już pewny siebie Melkuloz. - A... czy mógłbym tu zostać... może bym się czegoś nauczył?

- To nie jest pora ani miejsce na nauki. Tu chodzi o życie człowieka - odparł ostro Algurgsis, lecz widząc zaszklone oczy Melkuloza, dodał trochę bardziej życzliwym tonem: - Jeśli chcesz, każę ci przesłać kilka kopii cennych manuskryptów traktujących o medycynie. Z nich także możesz się wiele nauczyć.

Indywidualność rozplynęło się w szczęściu. Jego usta spowił szeroki uśmiech, oczy rozbłysły światłem dwóch słońc, a język zaczął bezustannie mieć w wyrazie najszerzych podziękowań. Dopiero uniesiona dłoń starszego medyka i jego cichy syk zdołały go uciszyć.

- A teraz zostawcie mnie samego. Muszę się skoncentrować - powiedział Algurgsis i z powrotem zajął się rannym.

- Tak jest, mistrzu - zdołał jeszcze wydukać Melkuloz i szorując pawim piórem po podłodze, wycofał się za drzwi.

Zaraz jednak nałożył czapkę na głowę i odwrócił twarz, a jego osoba znalazła nowy obiekt adoracji. Melkuloz spojrział maślanym wzrokiem na złocistowłosego kapitana, zamrugnął powiekami, zarzucił grzywką i przemówił melodyjnym głosem:

- Piękny kapi...

Tylko nie to - zdołał pomyśleć Chociemir i przyspieszył kroku. Jeśli jednak myślał, że tak łatwo uda mu się uwolnić, to się mylił. Melkuloz wprost pożerał go wzrokiem, a z jego ust co rusz wypływały kolejne słowa. Kłębiący się dookoła żołnierze chichotali bezczelnie, lecz żaden nie przybył z odsieczą swemu dowódcy.

- Wybacz mi, medyku, lecz nie mam teraz czasu. Sulimirze, pomóż medykowi się spakować i podziękuj mu w moim imieniu za pomoc. Ja muszę już iść, obowiązki wzywają.

Melkuloz był niepocieszony, ale cóż miał począć? Spakował swoje manatki i wrócił do odległego zamku w Czerdzińsku. Dwa dni później także reszta towarzystwa opuściła nędzną chatę Kołtuna Odległego, wioząc na rozklekotanym wozie wciąż nieprzytomnego Drazdana.

[1] Bóg czczony w świątyni w Radogoszczy na Połabiu, posiada cechy solarne oraz wojenne. Możliwe, że jego imię związane jest z gościnnością.

[2] Starosłowiański Bóg wiosny, młodości i płodności.

[3] Starosłowiański demon drzew.

[4] Żeńskie demony leśne wywodzące się z dusz kobiet zmarłych przy porodzie, bardzo agresywne i niebezpieczne.

[5] W wierzeniach słowiańskich demon lasu, pan i władca zwierząt w nim żyjących.

Rozdział 6

- Daj mi to! - krzyknął stanowczo dziesięcioletni Malik do małej Nelci, która biegała radośnie po niewielkiej polance. W jednej ręce trzymała cienki sznureczek, do którego był przywiązany latawiec. Zabawka niczym wspaniały ptak szybowiała wysoko nad jej głową, ślizgała się w powietrzu i tańczyła wraz z porywami wiatru.

Dziewczynka nie posłuchała. Ominęła go szerokim łukiem i biegła dalej - radosna, beztroska, głupia. Zagroził jej drogę. Był od niej o dwa lata starszy i dużo silniejszy.

- Daj mi to! - powtórzył, patrząc na nią z ukosa. Jego naznaczona piegami twarz z blisko osadzonymi wąskimi oczami i cofniętym podbródkiem nie wróżyła niczego dobrego.

Dziewczynka cofnęła się o dwa kroki. Podobnie jak wszystkie dzieci w niewielkiej wsi leżącej o dwa dni drogi od siedziby Lady Erzsébe bała się wyrosniętego rozrabiaki.

Stanął tuż koło niej, przewyższał ją o głowę. Spojrzał w jej przestraszone oczka z nieskrywaną pogardą, jakby miał przed sobą marnego robaka, i powtórzył po raz trzeci, wyraźnie wymawiając każde słowo:

- Daj mi to!

- Nie.

Cofnęła się o kolejne dwa kroki, spięła mięśnie i już miała zamiar rzucić się do ucieczki, gdy chuda ręka chłopaka złapała ją mocno za ramię. Pisnęła z bólu.

- Puść mnie! To moje! Dziadziuś mi zrobił. Puszczaj!

Chłopiec nie puścił. Uderzył ją z całej siły pięścią w twarz tak, że upadła na ziemię.

- Zawrzyj pysk, smarkulo! - powiedział Malik. Wyrwał jej sznurek z ręki, po czym kopnął mocno w zębra. - Teraz to moje.

Dziewczynka zaczęła głośno płakać.

- Becz se, becz, smarkulo. A na przyszłość wiedz, że jakem powiadam, że masz mi coś dać, to masz mi to naprędce dać - wycedził Malik z podłym uśmiechem. Splunął na nią, po czym wziął sznurek do ręki i podbiegł na środek polanki, rzucając jednocześnie latawiec do góry.

Ten jednak nie chciał lecieć. Począł kręcić się wokół własnej osi, zbliżać do ziemi, aż w końcu upadł kilka kroków dalej. Chłopiec zaklął. Spróbował raz jeszcze, lecz znów nie wyszło. Zabawka spadła tym razem szybciej, wydając głuchy odgłos.

- Głupi latawiec! - wydarł się chłopiec. Podbiegł do niego, chwycił w ubłocone dłonie i ze wściekłością wymalowaną na twarzy zaczął drzeć go na małe kawałki. - Nie chcesz latać, to nie będziesz!

Następnie rzucił rozerwany szkielet daleko przed siebie, splunął ze złością na ziemię i cały czas mamrocząc pod nosem słowa, których nie powstydziliby się pijany szewc, poszedł nad rzekę poszukać kolejnej ofiary.

Nad brzegiem było jednak pusto. Inne dzieci z daleka zobaczyły zbliżającego się łobuza i czym prędzej czmychnęły do wsi. Malik ponownie zaklął. Kopnął leżącą na ziemi szyszkę, która przetoczyła się kilka kroków i wpadła z chlupotem do wody.

Nic tu po mnie - pomyślał. - Wracam do domu.

Nie zaszedł jednak zbyt daleko. Już z dala dostrzegł idącą w jego stronę sylwetkę starszego mężczyzny. Próbował go minąć, lecz starzec zagroził mu drogę. Jego dłoń boleśnie zacisnęła się na uchu chłopca.

- Tu jesteś, hultaju jeden! Ty huncwocie! Już ja ci dam bić małe dziewczynki! - Uścisk na uchu stał się jeszcze mocniejszy. Druga dłoń

mężczyzny wylądowała z hukiem na pokrytej rudymi włosami potylicy. Chłopiec próbował się wyrwać, lecz nie był w stanie.

- Puszczaj mnie! Puszczaj! - zaczął krzyczeć jak opętany, tupiąc przy tym nogami niczym w jakimś dziwnym tańcu.

- Już ja cię puszczę, gałganie jeden. Niedoczekanie twoje. Jak ci rodzice w skórę nie dadzą, to ja ci ją wygarbuję. Do końca życia mnie popamiętasz, zasańcu!

- Puść mnie, proszę. Już nie będę.

Mężczyzna kolejny raz grzotnął chłopca w potylicę i chwycił go za łokieć.

- Pójdiesz sam czy mam ci ucho urwać? - spytał, popierając własne słowa kolejnym uderzeniem.

Chłopiec jęknął i pociągnął nosem. Zdał sobie sprawę, że znowu znalazł się w nielichych tarapatach.

Minęli niewielki ołtarz zbudowany ku czci Swarożyca^[1], starą studnię z żurawiem, zamkniętą od trzech lat kuźnię i znaleźli się u celu. Chata była skromna, drewniana, z kamienną podmurówką. Jak większość domostw we wsi składała się z trzech izb oraz niewielkiego magazynku na najpotrzebniejsze szpargały i kłamotoy. Przed wejściem stała odrapana ławeczka, na której w późne wieczory siadali gospodarze. Patrzyli wtedy na odległe gwiazdy, chcąc choć na chwilę zapomnieć o swojej doli. A była to niezwykle ciężka dola. Smagani przez los chłopci zmuszeni byli harować w pocie czoła od świtu do zmierzchu, by napełnić spichlerze Pięknej Pani i jej obrastających w tłuszcz rękodajnych. Sami zaś często nie mieli co do garnka włożyć. Nie to było jednak najgorsze, lecz spontaniczne wizyty budzącego trwogę oddziału pod dowództwem okrutnego Iwana, którego żołnierze robili, co chcieli. Mogli kraść, gwałcić i bić do woli, kogo tylko mieli ochotę. Chroniła ich Piękna Pani, a oni z tej ochrony skwapliwie korzystali. Chłopci też mieli swoje prawa. Mogli patrzeć bez słowa skargi, jak brutalne potwory gwałcą ich córki, siostry i żony. Mogli także pochylać swe karki i pozwalać ciężkim biczom rozcinać ich twarde, plebejskie skóry. Na domiar złego czasem we wsi

ginęło dziecko. Każdy wiedział, czyja to sprawka, lecz nikt o tym głośno nie mówił. Nikt, komu życie było miłe.

Starszy człowiek załomotał do drzwi. Po krótkiej chwili usłyszał głośne skrzypienie podłogi oraz zrzędlawy głos gospodarza. W uchylonych drzwiach błysnęły ślepie - pocziwe, smutne, zmęczone. Na pobrużdżonej twarzy pojawił się wstyd, a zgarbione plecy pochyliły się jeszcze bardziej do ziemi, przytłoczone kolejnym ciężarem.

- Cóż znowu nawywijał, nicpoń jeden?

- Uderzył mą wnuczkę pięścią w twarz, kopnął ją i popsuł latawiec, com jej zrobił dwa dni temu. Zrób coś, Boćko, z tym hultajem, bom sam się nim zajmę, jakem stary Volkun. I powiadam ci, raz jeszcze tknie mą Nelcię, a sam mu nogi z dupy powyrywam tymi rękami. Jak mi bogowie mili.

Boćko zacisnął zęby, aż zgrzytnęły. Jego twarz stężała, zrobiła się czerwona, groźna, ponura. Bez żadnego ostrzeżenia huknął syna otwartą dłonią w policzek tak, że głowa malca odskoczyła w bok i odbiła się od futryny. Następnie złapał go za włosy i rzucił nim o ścianę.

Chłopiec upadł na ziemię, zaczął płakać.

- Wybacz mi, Volkunie. Jużem nie wiem, co z nim robić. Rozum tracę przez szczeniaka. Ech, bodajby mnie piorun strzeli, jak zem pldził tę żmiję. Ale daję ci słowo, że mu dam popalić. Oj, dam mu popalić, czartowi jednemu. Pasa zaraz wezmę i skórę wygarbuję tak, że ze trzy dni chodzić nie będzie.

- Nie oszczędzaj oberwańca. Mocnego manta mu trza, bo tak być nie może. Inne dzieci się go boją. Jak czegoś nie zrobisz, to nie wiadomo, co z niego wyrośnie. Zbir jakiś albo jeszcze gorzej.

Boćko pokiwał głową, choć najchętniej zapadłby się pod ziemię. Po raz kolejny musiał świecić oczami za syna i wysłuchiwać niekończących się skarg sąsiadów.

- Zajmę się nim, a ty poczekaj chwilę. - Mężczyzna zniknął na moment w chacie, po czym wrócił z pięknym czerwonym jabłkiem,

które trzymał w dłoni niczym największy skarb. – Daj to Nelci ode mnie i ją przeproś. A z gałganem zaraz się porachuję.

Starzec wziął w dłoń owoc i odszedł bez słowa. Boćko tymczasem podniósł chłopaka i zaciągnął go na środek izby.

– Już ja ci pokażę, czarcie jeden. Heliga, podajże mi pasa. Ino chyżo – rzekł w stronę stojącej obok żony, która ze łzami w oczach przysłuchiwała się rozmowie. Posłusznie przyniosła mężowi ciężki skórzany pas, który po chwili wzbił się w powietrze, by zaraz z dużą prędkością opaść na plecy Malika. Ten zaczął płakać, lecz ojciec za nic miał łzy syna.

– Aua. Ostaw mnie, tatku. Już nie będę. Ostaw, ostaw.

Kolejny raz spadł na jego grzbiet. I kolejny. I jeszcze jeden.

– Tatku, zlituj się. Przepraszam. Aua. Litości.

Litości nie było. Pas raz za razem wzbijał się w górę i bezlitośnie opadał, zostawiając potworny ból i czerwone pręgi. Pojedyncze łzy zamieniły się w wezbrane rzeki, lecz Boćko wciąż bił i bił, bez opamiętania.

– Starczy mu już – krzyknęła Heliga i złapała męża za łokieć. Nawet ona przestraszyła się furii męża.

– Zamilcz, kobieto! – krzyknął Boćko. – Trza mu dać nauczkę. Niech zapamięta na resztę życia, by nie bić słabszych. A ty mi się nie waż dawać mu kolacji. Niech głoduje, hultaj jeden.

Uderzył syna jeszcze trzy razy, po czym otarł pot z czoła i gniewnie wyszedł z chaty. Z boku słychać było ciche skomlenie Malika.

– No już nie rycz. – Heliga uklękła przy synu i pogłaskała go czule po głowie. Chciała go przytulić, lecz ten odepchnął ją gwałtownie.

– Ostaw mnie! Nienawidzę was! Nienawidzę was wszystkich! Wszystkich! Jeszcze się zemszczę! Obaczycie! – krzyczał, płacząc i patrząc nienawidzącym wzrokiem w poczciwą twarz kobieciny. – Zemszczę się! Obiecuję to wam! Zemszczę się!

Na zemstę musiał jednak poczekać.

Mżysta jesień zawładnęła światem, lawirując taktownie między dwojgiem swego rodzeństwa. Radosne lato o gorącym sercu ustępowało stopniowo zimnemu wyrachowaniu swej najstarszej siostry - mroźnej zimy - która z namysłem przygotowywała się do objęcia tymczasowej władzy nad światem. W środku ich odwiecznej walki, niczym klin wbity między te dwa skrajne charaktery, stała wystrojona w złocistą suknię tajemnicza Pani Jesień. Nie tak dawno zielone drzewa teraz straszyły golizną, a ich pożółkłe wdzianka leżały porozrzucane w nieładzie lub wirowały w porywach coraz to zimniejszego wiatru. Słońce straciło dawną moc i coraz rzadziej zdołało przeciskać się przez grubą pierzynę chmur. Dzień robił się krótszy, tłamszony przez panoszącą się Panią Noc, która zalewała świat nieprzeniknioną ciemnością, rozświetlaną jedynie przez mieniące się na niebie gwiazdy. Chłopi wierzyli, że to duchy poległych wojowników, którzy zginęli w długotrwałej wojnie toczonej na początku świata. Wojnie między dobrym Swarożycem a podłym i podstępny Welesem.

To nie gwiazdy jednak, lecz słabo świecący księżyc skupiał uwagę siedzącej przy oknie księżnej Magyoranu. Z nocy na noc odsłaniał coraz większą część swego oblicza, lecz do pełni jeszcze brakowało. Lady nie lubiła czekać. Czuła narastającą wściekłość z powodu swojej bezsilności. Nawet ona - wspaniała, piękna i silna władczyni, mająca u stóp tysiące poddanych, nie potrafiła przyśpieszyć biegu czasu i musiała jak zwykli śmiertelnicy pokornie znosić jego kaprysy. Dni, choć coraz krótsze, dłużyły się bez końca. Czas za nic miał jej gniew, za nic miał jej łzy. Za nic miał także łzy podanych, na których skupiała się złość Pięknej Pani. A trzeba przyznać, że była to złość nieokiełzana, bezlitosna i niezwykle krwiożercza. Jedynie potworne jęki bólu i wyraz cierpienia wymalowany na twarzach niewinnych ofiar potrafiły sprawić, że Lady Erzsébe choć na krótką chwilę zapominała o dręczących ją koszmarach.

Był wczesny wieczór. Ogień radośnie skwierczał w kominku, dając ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Odgłos pękających szczap rozchodził się po całej komnacie, tworząc preludium do nadchodzących wydarzeń. Pod nogami Lady Erzsébe klęczała naga dziewczynka w skórzanej obroży, muskając wargami jej pomalowane na czerwono paznokcie. Właśnie przyniesiono kolację. Apetyczny aromat pszennego ciasta nadziewanego słodkim serem, miodem oraz korzennymi przyprawami przyjemnie podrażnił ich nozdrza. Lady uśmiechnęła się niemal przyjaźnie, ułamała kawałek ciasta i podniosła do ust. Zdążyła jeszcze zamruczeć niczym dzika kotka, po czym zamknęła oczy i ugryzła niewielki kęs, ciesząc podniebienie niebiańskim smakiem. Druga dłoń, która cały czas mierzwiła czuprynę swej wiernej służki, zamarła nagle w bezruchu, po czym zacisnęła się w pięść. Zmieszany ze śliną pokarm wylądował na marmurowej posadzce, a wraz z nim sporej wielkości kamyczek, który ukruszył księżnej zęba. Piękna twarz wykrzywiła się w potwornym grymasie. W niebieskich oczach zabłysły pioruny, a z ust wydostał się potworny krzyk.

Naga dziewczynka z obrożą zadrżała.

- Straaaaż! - krzyk Lady poniósł się po całym korytarzu.

Do komnaty wpadł blady ze strachu wartownik i klęknął przed swą panią, pokornie schylając głowę. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy, nie był tego godzien.

- Kto to robił?! Odpowiadaj, gamoniu, jak cię pytam! - krzyczała Lady Erzsébe. Jej policzki płonęły z gniewu, a drobne piąstki zaciskały się z całej siły i drżały w przypiływie niepohamowanego gniewu.

Wartownik skulił się jeszcze bardziej, a po jego prawym policzku przebiegł nerwowy tik.

- Etela, o Piękna Pani - odparł, przetykając nerwowo ślinę.

- Przyrowadź mi ją! Natychmiast!

Naga dziewczynka z obrożą wypuściła bezgłośnie powietrze. Strażnik podniósł się z podłogi i z wyraźną ulgą ruszył ku

pomieszczeniom kuchennych. Zszedł po ciemnych schodach, minął rozległy hol, przeciął w poprzek dziedziniec i wkrótce znalazł się w części przeznaczonej dla służby. Wziął do ręki zatkniętą przy ścianie pochodnię i ruszył długim korytarzem w stronę kuchni. Jego buciory głośno tupały, dodając kolejne nuty do rozgrywającego się dramatu. Otworzył drewniane drzwi i wszedł do środka. Zalała go fala ciepłego powietrza, wymieszana z aromatyczną wonią miodu i pieczonego chleba. Wartownik poczuł głód. Wszedł głębiej i rozejrzał się dookoła. Wśród wielgachnych garnków, kotłów, patelni, różnej wielkości rondli, misek i talerzy ujrzał jasnowłosą dziewczynę. Długi warkocz swobodnie opadał jej na ramiona i ciągnął się aż do połowy pleców. Dziewczyna pochylała się, ukazując zgrabne pośladki opięte obcisłym fartuszkim. Wartownik po raz kolejny poczuł głód, tym razem innego rodzaju.

- Tu jesteś. Chodź ze mną. Pani chce cię widzieć - odezwał się, powodując, że ta drgnęła z zaskoczenia. Na jej niewinnej twarzyczce pojawił się wyraz zdziwienia, który powoli przemieniał się w strach.

- Co? Pani? Mnie? Po... co?

- Nie wiem po co. Ruszaj się, nie mam czasu.

- Ale po co? Ja nie chcę. Nie... proszę.

- No nie mazgaj mi się tutaj. Ruszaj się szybko, bo jeszcze ją rozzłościś, a wtedy i mnie się dostanie. Nie masz się czego bać.

Mężczyzna złapał dziewczynę mocno za rękę i zaczął ciągnąć za sobą.

- No, nie wrywaj się, maleńka. Nic ci się nie stanie. Uspokój się - próbował ją pocieszyć, choć zdawał sobie sprawę, że jej życie balansuje na cienkiej linii. Z jednej strony było mu jej żal, z drugiej zaś cieszył się, że to nie na nim skoncentrował się gniew księżnej.

Dziewczyna opierała się. Chciała się wyrwać, lecz silne dłonie mężczyzny jej to uniemożliwiły.

- Puść mnie, błagam. Puść - próbowała wzniecić w nim litość, lecz to nie było odpowiednie miejsce na tego typu uczucia.

- Pójdiesz sama czy mam cię zanieść?

- Pójdę, pójdę... tylko daj mi trochę czasu. Muszę się uczesać. Nie chcę iść do Pięknej Pani w takim stanie.

- Nie mam czasu się z tobą cackać - warknął wartownik. Nagłym ruchem chwycił ją za talię i przewiesił sobie przez prawe ramię.

Dziewczyna zaczęła krzyczeć i próbowała się wyrwać, młóćąc rękoma na wszystkie strony i wierzgając niczym porywista klacz.

- Puszczaj, puszczaj, jam nic nie zrobiła.

Zaciśnięta pięść rąbnęła ją w nos. Raz, drugi, trzeci. Etela jęknęła. Z rozbitego nosa pociekła strużka krwi. Przestała wierzgać. Unoszona w powietrzu na silnych ramionach strażnika, wsłuchiwała się w ponury stukot żołnierskich obcasów i obserwowała taniec płomieni na ceglanych murach. Jeszcze miała cień nadziei, że wszystko będzie dobrze, jeszcze się łudziła, lecz gdy tylko ujrzała przeszyte wściekłością ślepią władczyni, wiedziała, że znalazła się w poważnych tarapatach.

- Tyś robiła placek? - usłyszała zimny, bezwzględny głos dochodzący z zaciśniętych kurczowo ust.

Chciała odpowiedzieć, lecz zamiast słów z jej gardła wypłynął potok bezładnej paplaniny, szlochów i skowytów. Wciąż nie wiedziała, czemu pani ją wezwała. Zrobiła przecież wszystko, jak należy. Ciasto było dobrze wyrobione, a do środka włożyła dużą ilość najlepszego sera, miodu oraz niezwykle drogich, korzennych przypraw, które zawitały do Magyoranu aż z za wielkiego morza. Nie pierwszy raz piekła ten placek i za każdym razem księżna była zadowolona. Cóż mogło nie udać się tym razem?

Lady westchnęła. Spojrzała w przestraszone oczęta łkającej cicho dziewczynki, upajając się jej strachem. Wstała powoli, poprawiła kieckę i dostojnym, wręcz denerwującym krokiem podeszła do Eteli. Dziewczyna natychmiast rzuciła się do jej stóp i zaczęła całować wypolerowane na błysk trzewiki. Lady nie protestowała. Kochała czuć pełnię władzy nad czyimś życiem i śmiercią. Odczekała kilka niezwykle dłużących się chwil i nagle jej stopa z całą siłą wylądowała na wardze dziewczyni.

- Przez ciebie ułamałam sobie ząb, szmato! - wysyczała księżna na pozór spokojnym głosem, który jednak niósł w sobie obietnicę iskrzącej się furii.

Etela zadrżała. Strach obecny w jej oczach zmienił się w bezgraniczne przerażenie.

- Nie, pani. Ja nigdy. Nigdy.

- Zapłacisz mi za to! - krzyknęła Erzsébe. Jej but kolejny raz znalazł się na twarzy służącej. Rozległ się trzask łamanego zęba oraz kolejny krzyk bólu. Razem z głośnym płaczem, trzaskiem palących się szczap i urywanym oddechem księżnej tworzyły przerażającą symfonię strachu, bólu i zła. Władczyni syciła się tymi dźwiękami, po czym niczym dyrygent kierujący orkiestrą zaczęła systematycznie kopać służącą po całym ciele. W końcu się zmęczyła. Otarła pot z czoła i popatrzyła chłodno na swoje dzieło.

Kuchenna dziewczka z trudem łapała kolejne hausty powietrza, a z jej złamanego nosa oraz rozbitych ust ciurkiem ciekła krew. Fala bólu zalewała jej ciało, które bezwolnie drgało w takt skurczów mięśni.

- Zabrać ją stąd - rozkazała księżna, kończąc pierwszy akt tej krwawej opery. - Ma dostać trzydzieści batów. Może to ją czegoś nauczy.

Wartownik natychmiast poderwał się z klęczek i przerzucił dziewczynę przez prawe ramię. Już się nie wrywała, nie miała na to siły. Zaniósł ją na rozświetlony gwiazdami dziedziniec i przywiązał do drewnianego słupa, który stał w cieniu swej starszej siostry - szubienicy.

- Nie bój się, maleńka - szepnął do niej dyskretnie, chcąc dodać jej otuchy.

Dziewczyna jednak go nie słyszała. Uszy miała całkowicie zatkane krwią i łzami. Żołnierz rozerwał jej suknię, odsłaniając wątle plecy, chwycił do ręki wiszący na gwoździu bicz, cofnął się dwa kroki, wziął rozmach i z całej siły uderzył. Ciało wygięło się w łuk. Z ust Eteli wydobył się słaby krzyk, będący ostatnią arią w jej życiu. Kropelki

jasnoczerwonej krwi obryzgały czoło oraz bordową kamizelkę żołnierza.

- Raz! - krzyknął wartownik, po czym zamachnął się po raz wtóry. Wątpił, że dziewczyna przeżyje tę kaźń, i zbytnio go to nie obchodziło. Kątem oka ujrzał w oknie jasną czuprynę swej władczyni i jej złowrogi uśmiech, okraszający twarz niczym twór szalonego artysty. - Dwa! - krzyknął, gdy po raz drugi ciężki bat spadł na ciało biczowanej. - Trzy... cztery... pięć...

Miarowe liczenie przeplatało się ze świstem bata, odgłosami uderzeń i coraz słabszymi krzykami ofiary. Przy dziesiąciu dziewczyna zamilkła. Żołnierz chwycił przygotowany zawczasu gliniany dzban z zimną wodą i chlusnął jej w twarz. Odzyskała przytomność. Świst bata i dźwięk uderzeń ponownie poprzedziły jego głos, powodując, że lico obserwującej księżnej stawało się coraz bardziej natchnione. Etela przestała krzyczeć, teraz tylko cicho jęczała, a i to niebawem ustało. Przy piętnastym uderzeniu kolejny raz straciła przytomność i nawet zimna woda nie pomogła jej odzyskać. Nie czuła kolejnych razów. Nie czuła zimna ani bólu. Czuła jedynie zalewającą ją błogość i kojący spokój.

Pani Śmierć pogładziła ją po mokrym od krwi i potu czole, zbliżyła swe usta do jej warg i z czułością kochającej matki złożyła na nich suchy, zimny niczym śnieg pocałunek. Serce dziewczyny przestało bić - pierwszy raz od ośmiu lat nie czuło już strachu.

Lady Erzsébe odwróciła się od okna i odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów. Niedawny atak furii już dawno minął, choć przez jej oczy nadal przetaczały się krótkotrwałe błyski. Spojrzała na klęczącą u jej nóg nagą dziewczynkę z obrozą. Ta pisnęła cicho i potarła głowę o udo swej pani.

- Pewnie jesteś głodna.

Timra znów pisnęła i wysunęła język.

Ręka Erzsébe wskazała na miejsce, gdzie nie tak dawno leżała pobita służka.

- Masz, żryj.

Timra wydała z siebie krótki dźwięk i ruszyła na czworakach w tamtą stronę. Następnie, bez zbędnej zwłoki, niepotrzebnych słów czy jakichkolwiek protestów, zaczęła zlizywać gęstą i ciepłą jeszcze krew Eteli.

Lady uśmiechnęła się. Podeszła do niej, wzięła się za boki i przez dłuższy czas obserwowała tę scenę. Od czasu do czasu wystawiała stopę pod nos dziewczyny, by ta złożyła na niej pokorny pocałunek. A z każdą kolejną chwilą w dolnych rejonach ciała czuła nasilające się mrowienie. W końcu mrowienie stało się tak dokuczliwe, że postanowiła dać upust swojej żądzy. Zapragnęła poczuć w sobie mężczyznę. Konkretnego mężczyznę.

- Chodź ze mną - rozkazała Timrze.

Droga była krótka - do sąsiedniej komnaty. Erzsébe przystanąła przed drzwiami, musnęła wzrokiem dwóch wyprężonych wartowników, otarła resztki krwi z dłoni i weszła do środka.

- Mam nadzieję, że mój książę stęsknił się za mną - rzekła w stronę Bolesława i uśmiechnęła się figlarnie.

Młodzieniec uniósł głowę. Po jego twarzy przebiegł nerwowy skurcz.

- Witaj, książę - odezwała się Lady, mrugając figlarnie w jego stronę. Po niedawnym wybuchu gniewu nie pozostał nawet ślad. - Stęskniłeś się za mną?

- Ależ oczywiście - odparł posępnym głosem. - Niczym skazaniec za szubienicą.

- Oj, ty figlarzu - zaśmiała się Erzsébe. Zmysłowym krokiem podeszła w stronę leżącego więźnia i nachyliła się nad nim. W rękę trzymała lśniący sztylet, który niebezpiecznie zbliżył się do jego szyi.

Bolesław wstrzymał oddech.

- Co masz zamiar zrobić? - wyjąkał.

Lady tylko się uśmiechnęła. Wdrapała się na łożo i usiadła na jego udach.

Krzyknął, bardziej ze strachu niż z bólu.

- Óóóó - szepnęła Erzsébe. Jedną rękę oparła o zagłowie łóža, a drugą położyła przy jego uchu. Pomalowane krwistoczerwoną pomadką usta znalazły się na wysokości jego warg. Księżę zamknął oczy. Do jego nozdrzy dotarł dyskretny zapach różanych perfum i mięty. Po chwili poczuł delikatne muśnięcie pocałunku. Księżna podniosła głowę i czule pogłaskała go po policzku. Po chwili ponownie go pocałowała. Tym razem mocniej i gwałtowniej, a jej język bezskutecznie próbował przecisnąć się przez barierę z zaciśniętych zębów młodzieńca.

- Bądź grzeczny, księżę, dobrze ci radzę - szepnęła mu do ucha, po czym ponowiła atak. Tym razem młodzieniec się nie bronił i osobliwa para złączyła się w namiętym pocałunku. Żwawy, ruchliwy język księżnej wirował wokół zataczającego leniwe okręgi języka księcia, a jej biodra zaczęły poruszać się w rytm przyspieszonego oddechu. W końcu oderwała się od niego. Otarła wargi wierzchem dłoni, zarzuciła grzywką i wolnym ruchem przyłożyła mu nóż do spodni.

Oczy księcia zrobiły się wielkie jak pełnia księżyca. Z trudnością przełknął zalegającą w ustach ślinę.

- Proszę - wyszeptał błagalnie.

- Óóóó, malutki - szepnęła Erzsébe i rozcięła mu spodnie aż do kroku. To samo zrobiła z kolejną warstwą ubrań, na której widać było drobne ciemnożółte plamki.

- Mówiłam ci, że zawsze biorę to, na co mam ochotę. A dziś mam ochotę na ciebie - szepnęła zmysłowo, ściągając podarte ubrania z trzęsącego się ze strachu młodzieńca. - Hmm. Zdziwiasz mnie. - Chwyciła w dłoń jego miękkiego penisa. - Mam nadzieję, że mnie zadowolisz - rzekła, akcentując swe słowa mocnym ściśnięciem książęcych jąder.

- Auć - syknął Bolesław.

- Będiesz grzeczny? - spytała go, nasilając uścisk.

- Tak, tak, tak, będę. Bardzo grzeczny, tylko puść.

Gestem dłoni wygoniła za drzwi wartownika, wstała z łóżka, po czym powoli zaczęła zrzucać z siebie kolejne warstwy ubrania. A z każdą kolejną rzeczą członek księcia robił się coraz większy. W końcu stanęła przed nim kompletnie naga. Jej skóra lśniła w migoczącym świetle pochodni, wydzielając aurę doskonałości, a najbardziej sekretne części jej ciała tchnęły obietnicą niebiańskich rozkoszy. Bolesław nie mógł oderwać od niej wzroku. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany, z szeroko rozwartą szczęką, a po jego brodzie ściekała strużka śliny. Jego męskość niemal eksplodowała, a serce zaczęło dudnić jak szalone. Erzsébe zdawała sobie z tego sprawę i jeszcze bardziej zaczęła go kusić. Wyciągnęła ręce do góry i przeciągnęła się zmysłowo, połaskotała spojrzeniem jego członka, mruknęła jak kotka, oblizwała zmysłowo wargi i chwyciła się za obnażoną pierś, muskając językiem jej różowe zwieńczenie. Usiadła mu na twarzy, zmuszając, by ją dokładnie wylizał. W końcu miała dość. Wdrapała się na łóżko i bez zbędnych ceregieli wbiła się w niego.

Dwa ciała złączyły się w jedno i rozpoczęły zmysłowy, pełen zwierzęcej żądzy taniec. Nie było tu miejsca na miłość, nie było miejsca na delikatność czy stopniowe odkrywanie tajemnic własnych ciał. Istniała tylko niepoohamowana chuć, strach i rozkosz. Ich serca biły wspólnym rytmem, a strużki płynów mieszały się ze sobą. W komnacie słychać było westchnienia rozkoszy i symfonię płytkich oddechów. Lady kontrolowała sytuację. To przyśpieszała, to znów zwalniała, gdy widziała w oczach książęcego syna zbliżające się spełnienie. Wiła się na nim niczym wąż lub wszędobyłska łapa olbrzymiej ośmiornicy. Kładła się, podnosiła, odwracała i zmieniała pozycję. Na moment zdołała zapomnieć o przeklętej zmarszczce szpecącej jej idealną cerę. Zapomniała o dłużącym się czasie. Liczyła się tylko ta chwila. Chwila pełna nieziemskiej przyjemności.

Lady zamknęła oczy i ujrzała oczyma wyobraźni chłostaną Etełę oraz swą wierną suczkę, liżącą pokrwawioną podłogę. Przypomniała

sobie strach bijący z książęcych oczu i to wystarczyło. Fala rozkoszy przeszła całe jej ciało, a z ust wyrwał się przeciągły krzyk.

- Volko, stój! Co robisz?

Szerokie jak wezbrana rzeka ramię Orana usiłowało za wszelką cenę powstrzymać swojego brata przed popełnieniem głupstwa. Nie było to łatwe. Volko ze wszystkich sił próbował wyrwać się z mocnego uścisku grubasa. Jego twarz wyrażała rozpacz pomieszaną ze wściekłością i bezkresnym smutkiem. Oran też płakał. Właśnie stracił siostrę, nie chciał stracić i brata.

Pokryte krwawymi pręgami ciało szesnastoletniej Eteli spoczywało bezwładnie, przywiązane do ciemnobrązowego słupa. Dziewczynka wyglądała tak samo jak za życia - krucha, niewinna i bezbronna. Długi warkocz koloru ciemnego miodu miotał się na wszystkie strony, targany silnymi porywami wiatru. Tylko zastygła w grymasie bólu twarz, puste oczy i przechylona na bok głowa sprawiały nienaturalne wrażenie. I jej usta - zazwyczaj skore do chichotu, teraz były tylko dwiema sinymi kreskami, dziobanymi przez czarnego niczym dusza władczyni tego zamku kruka. Aż żal było patrzeć.

Etela była powszechnie lubiana. Dla każdego potrafiła znaleźć dobre słowo czy choćby uśmiech, będący jedną z nielicznych ostoj człowieczeństwa w tym nieludzkim miejscu. Potrafiła cieszyć się z najprostszycz rzeczy, takich jak zieleń trawy czy orzeźwiający dotyk deszczu chłodzącego jej rozgrzaną skórę. Tam, gdzie inni widzieli tylko mrok, ona widziała także iskierkę światła i, co najważniejsze, sprawiała, że inni też potrafili ją dostrzec. Jej optymizm był niczym kojący balsam dla złęknionej służby, a mimo to nikt jej nie opłakiwał. Nikt się nie zatrzymał, aby w ciszy i skupieniu polecieć jej niewinną duszę bogom. Tylko nieliczni powiedli smutnymi spojrzeniami po zmasakrowanym ciele, ciesząc się w duchu, że to nie im przypadł taki

los. Służba na zamku skutecznie zahartowała ich serca. Każdy myślał tylko o sobie, każdy chciał przeżyć do następnego dnia.

Jedynie dwaj bracia martwej dziewczyny szczerze ją opłakiwali. Była ich małą siostrzyczką, ich światełkiem, ich dobrą duszyczką. Osobą, dla której mieli po co żyć.

- Chodź, Volko. Ludzie patrzą. Chodźmy stąd, bo jeszcze i nas każe wychłostać - szeptał Oran bratu na ucho. Jedną dłonią przytulał go do piersi, a drugą głaskał po włosach.

- Niech chłostają. Niech mnie zabiją, wszystko mi jedno. Nie mam już po co żyć - chlipał Volko. - Spójrz, наша malutka siostrzyczka, nasz ukochany płomyček. Co oni z nią zlobili? Dlaczego, Olan? Dlaczego? Nie chcę już żyć. Niech mnie zabiją.

- Nie mów tak, Volko. Nie możesz. Masz mnie. Mamy siebie nawzajem. Nie możesz się poddać.

- Po co mam żyć? Ta... ta suka zabiła naszą maleńką siostrzyczkę.

Prześląknięty niewyobrażalnym bólem głos chudzielca załamywał się coraz bardziej, a łzy ciurkiem kapały na zabłoconą ziemię.

- Ćśśś, Volko. No bądźże cicho. Chodź ze mną, pogadamy. Tu nie możemy, ludzie na nas patrzą i zaraz ktoś doniesie tej krwawej suce. No, chodźże.

Oran zaczął ciągnąć brata za rękę na drugi koniec dziedzińca, gdzie mieściły się drewniane stajnie. Rozglądał się przy tym dookoła, wypatrując niepowołanych świadków. Wiadomo wszak, że w siedzibie Lady Erzsébe trzeba zachować szczególną ostrożność. Tutaj ściany mają uszy. Wystarczy choć jedno nieopatrznie wypowiedziano słowo, jedno złe spojrzenie czy jeden nieprzemyślany gest, by w przerażającym bólu przedwcześnie zakończyć swój żywot. Gdy się upewnił, że nikt ich nie śledzi, popchnął brata przez półotwarte drzwi.

Znaleźli się w stajni. Zapach zgniłego siana i prześląkniętych wilgocią desek mieszał się ze smrodem paszy, szczyn i gówna. Oran zostawił brata przy drzwiach, sam zaś przeszedł się po pomieszczeniu, by upewnić się, że nikt nie będzie im przeszkadzał.

- Siadaj, Volko, trza poważnie pogadać. - Pociągnął brata na ziemię. - Nie mazgaj się jak baba. Trza żyć dalej. Co się stało, to się nie odstanie.

- Daj mi spokój. Wi... widziałeś? Nasza mała siostrzyczka. To była Etela. Widziałeś?

- Nie mazgaj się. Jesteś chłop czy nie? - Oran złapał brata za barki i potrząsnął nim mocno. - No już, Volko. Daj spokój. Przestań ryczeć i mnie wysłuchaj.

- Etela. Moja mała Etela - łkał chudzielec, jakby słowa brata wcale do niego nie docierały.

- Już cicho, Volko. No, bądźże cicho. Nie chcesz chyba, by jej śmierć była daremna? Chcesz tego? Czy może wolałbyś ją pomścić?

Dopiero teraz Volko spojrzał w pucołowatą twarz swego rozmówcy.

- C... co masz na myśli?

- Mam plan, Volko. - Oran zbliżył swe usta do ucha brata. - Uciekniemy stąd, Volko. Uciekniemy.

- Wszystko mi jedno.

- Nie mów tak. Nie możesz. Etela by tego nie chciała. Chciałaby, byśmy uciekli. A przy okazji - głos grubasa zniżył się jeszcze bardziej - przy okazji zemścimy się na tej krwawej suce. Odplącimy jej pięknym za nadobne, obaczysz.

Na twarzy chudzielca wreszcie pojawiła się iskierka zainteresowania.

- O czym ty gadasz?

- Mam plan, Volko. Mam plan. Pamiętasz tego gołowasa, którego cztery dni temu przywiozły psy Iwana? Taki młody, gładkolicy i piękny niczym sam bóg Jaryło. Wiesz, kto to jest?

Volko pokręcił głową.

- A ja wiem. To jest syn Jarogniewa Statecznego - Wielkiego Księcia Ziemi Warszzyckiej. Jego jedyny syn i dziedzic. Rozumiesz? Suka kazała go porwać i teraz go więzi. A wiesz czemu?

Volko ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie wiesz. Nie dziwię się, ty nic nie wiesz. Ale za to ja wiem. Wiem i zaraz ci powiem. Pamiętasz, jak żeśmy zawozili starą Wiedźmę do zamku, a potem ją odwoziliśmy z powrotem? Pamiętasz to? Stara się wtedy nieźle ubzdryngoliła i nie mogła wleźć na wóz.

Zaczerwieniona z rozpaczy twarz chudzielca w jednej chwili zmieniła swój kolor na trupioblady, a później zielonkawy. W wilgotnych oczach pojawił się nagły wstyd, który na krótką chwilę wyparł z serca ból po stracie siostry. Wspomnienie tamtej nocy dręczyło chudzielca niczym bolesna drzazga wbita pod paznokieć. Starał się wymazać to z pamięci, lecz nie potrafił. Mało tego - Garvulla czasem nawiedzała go we śnie i wtedy widział jej paskudne, pomarszczone ciało i wysuszony język, który niczym obrzydliwy robal pełzał wprost do jego ust. Słyszał jej jęki i chrapliwy śmiech, taki jak wtedy, gdy nad ranem uciekał z jej kurnej chaty. To był uraz na całe życie i nic nie mogło go ukoić.

- Starucha plotła coś o jakimś zaklęciu, o jakiejś krwi - kontynuował Oran, nie zdając sobie sprawy z bolesnej traumy swego brata. - Myślałem wtedy, że bredzi, jak to zwykle ona, ale tym razem gadała prawdę. Krwawa suka kazała porwać syna Jarogniewa Statecznego, by odprawić jakieś magiczne zaklęcie czy coś w tym stylu. Czart by się w tym nie połapał. Wiem tylko, że potrzebna jest jej krew księcia i stąd to całe zamieszanie. Teraz musi ponoć czekać do pełni księżyca i dlatego tak się wścieka, bladź chędożona. Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Nie za bardzo.

- Aleś ty głupi, Volko. Nie bez przyczyny to mnie matula pierwszego na ten świat wydała, bo ty byś beze mnie nawet przez chwilę nie dał sobie rady. Otóż księżna niemal zwariowała, gdy ujrzała na swym czole zmarszczkę. To było wtedy, gdy skatowała służącą, a nam kazała jechać po Wiedźmę. I to Wiedźma namówiła ją do porwania młodego księcia, by za pomocą jego krwi odprawić zaklęcie i przywołać wieczną młodość.

- Ale co to ma wspólnego z naszą kochaną siostrzyczką? I skąd o tym wszystkim wiesz?

- Skąd wiem, to niech cię o to głowa nie boli. Obydwoje wiemy, że z naszej dwójki to ja jestem ten, który wie. Nadal nic nie rozumiesz? Ech... Księżna chce być wiecznie młoda i piękna po wsze czasy, a my jej te plany pokrzyżujemy. Ot, co zrobimy.

Volko wzruszył ramionami.

- Uciekniemy stąd, a przy okazji weźmiemy ze sobą syna Jarogniewa. Uwolnimy go. Rozumiesz teraz?

Volko wciąż nie rozumiał.

- Ale po co?

- No jak to po co, Volko? Głupi jesteś, że nie rozumiesz? Wyobraź sobie jej minę, jak się dowie, że księżę uciekł. Nie będzie mogła odprawić zaklęcia, nie będzie wiecznie młoda i wiecznie piękna. Dla niej to gorsze niż śmierć. Będzie wyła z wściekłości do końca życia. Ale nie to będzie najgorsze. Jużem sobie wszystko obmyślił, Volko. Otóż gdy tylko uwolnimy księcia, udamy się z nim do jego ojca. Wyobrażasz sobie? Będziemy bohaterami. Księżę nas wynagrodzi tak, że do końca życia będziemy mogli leżeć do góry brzuchami i co najważniejsze, dowie się, kto porwał mu syna. Jak sądzisz, co wtedy zrobi?

- Pewnie się wkurwi.

- Dokładnie tak. - Grubas aż zatarł dłonie z podniecenia. - Wkurwi się, i to jak. I przybędzie tu z ogromną armią, spali ten przeklęty zamek, a tę oszalałą dziwkę każe końmi rozerwać albo jeszcze gorzej. Rozumiesz? Dostanie to, na co zasłużyła. A my, Volko, będziemy bohaterami. I pomścimy naszą siostrzyczkę. Rozumiesz, Volko? Rozumiesz teraz? No powiedzże coś.

Chudzielec spojrział na brata szeroko rozwartymi oczami i rozdziawił gębę, jakby chciał połknąć latające dookoła muchy.

- Oszalałeś, Olanie - powiedział po dłuższej chwili. - Kompletnie oszalałeś.

- Nie oszalałem, Volko. Wszystko żem sobie przemyślał. Uda nam się. Obaczysz.

- Kompletnie oszalałeś - powtórzył chudzielec, patrząc na brata niczym na kompletnego wariata. - Jak niby chcesz polować syna księcia?

- Mam plan, Volko. Mam plan - odparł natychmiast Oran, jakby spodziewał się podobnego pytania. - Wszystko żem przemyślał, a jak dobrze wiesz, pomyślunek mam całkiem tęgi. Książęcy syn jest trzymany w komnatach na górze. Drzwi pilnuje dwóch strażników, a dwóch kolejnych stoi na dole schodów. Z tymi na dole nie będzie problemu. Znam ich, bo często gram z nimi w kości. Ochłaptusy straszne. Wystarczy dosypać im czegoś do wina i droga wolna. Gorzej z tymi na górze. To zaufani krwawej suki. Trza ich jakoś przechytryć, choć to ponoć szczone bestyje. Ale znasz mnie, Volko, ja żem jeszcze cwańszy. Takem sobie wydumał, że trza będzie udać się do tej przeklętej staruchy. Ona ciebie lubi, to widać. Musimy ją tylko jakoś zagadać, żeby dała nam coś, co uśpi wartowników albo jeszcze gorzej. Pies z nimi, jak dla mnie to mogą nawet zdechnąć, przeklęte sucze pomioty. A jak już się dostaniemy do komnaty więźnia, to będzie z górki. Uwolnimy go i wyjedziemy najspokojniej na świecie. Nikt nas przecież nie zatrzyma, znają nas. I co, Volko, ma się ten łeb, no przyznaj?

Wzrok chudzielca mówił sam za siebie.

- Ma się, Olan. Ma się ten łeb, tylko że pusty jak psia mać. No przecież tyś zgłupiał doszczętnie. Chyba żeś się ze świnią na lozomy pozamieniał albo żeś szaleju się nażał. Głupiś ty jak dziulawy but. Przecież to nie może się udać. Złapią nas, nim dostaniemy się na górę, a wtedy... aż stłach myśleć, co się z nami stanie. Oj, już wolę se galdło podelżnąć. Mniej będzie bolało.

- Narzekasz jak stara baba. Co się może nie udać? Ja żem wszystko wymyślił. Za dwa dni krwawa suka ze swymi psami jedzie na polowanie. Rozumiesz? Zamek będzie prawie pusty. Nie będzie jej i tego przeklętego Iwana ze swoją hałastrą. To nasza szansa, Volko,

jedyna szansa. Uciekniemy i udamy się do Ziemi Warszzyckiej. A tam Wielki Książę nas ozłoci. Może nawet rycerzami zostaniemy. Wyobraź sobie tylko: dumny rycerz Volko w lśniącej zbroi, siedzący na wspaniałym ogierze i trzymający w dłoni długi miecz. Widzisz to, Volko? Widzisz?

- Owszem, widzę. Dumny rycerz Volko nabity na pal z odelwaną skółą, uciętym językiem i bez nóg. To widzę. Ot co.

- Jak tu zostaniemy, to prędzej czy później tak skończymy, Volko. A tak to przynajmniej mamy szansę. Chcesz czekać spokojnie, by ta suka zrobiła ci to, co naszej kochanej siostrzyczce? Czekać i modlić się każdego wieczoru o jeszcze jeden dzień życia? Chcesz tak żyć, Volko? Bo ja nie. Mam już dość życia w ciągłym strachu. Ucieknijmy i zemścijmy się na niej. Za to, co zrobiła naszej Eteli. I za to, co robi nam. Prędzej czy później. Pora działać, Volko. Pora działać.

Oran dał się ponieść doniosłości chwili i na moment zapomniał o ostrożności. Jego głos wzniósł się ponad drewniane strzechy stodoły, a w oczach pojawił się błysk podniecenia. Pełne natchnienia słowa były niczym kapiące krople wody i mozolnie drążyły tunel w grubej warstwie wątpliwości i pesymizmu jego brata. Docierały do głęboko zakopanych pokładów wiary i odwagi. Mimo to musiało kapnąć jeszcze dużo kropel, a poziom elokwencji grubasa wznieść się na niebywałe wyżyny, by w końcu udało mu się przekonać chudzielca. I gdy już wydawało się, że bracia osiągnęli porozumienie, gdy już grubas odetchnął z ulgą i zatarł dłonie w geście triumfu, pojawiła się kolejna przeszkoda.

- No to trza się brać do roboty. Ja pójdę po wóz, a ty czekaj tu na mnie - zdecydował Oran.

- Po wóz? Po co?

- No jak to po co, Volko? Musimy jechać do Wiedźmy. Zapomniałeś już?

Volko pobladł. Jego twarz przybrała odcień śniegu, by po chwili zazielenić się niczym płótno malarza w fazie kolorowania szkicu.

- Du... duszno mi... muszę... wyjść...

- Co ci jest? Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Oran.

- Nic... mi nie jest - odparł Volko, jednak ledwo zdołał to powiedzieć, jego żołądkiem wstrząsnęły torsje. Zwymiotował.

Oran pokręcił głową ze zrozumieniem.

- To przez te nerwy. Odpocznij sobie, biedaku, wyjdź na zewnątrz, pooddychaj świeżym powietrzem, a ja w tym czasie pójdę po wóz. Mamy mało czasu.

- Już mi lepiej, tylko... czy nie możesz sam jechać do... Wiedzmy.

- No coś ty, Volko. Jakże tak? Przecież strażnicy od razu nabiorą podejrzeń i zaczną mnie wypytywać. A tak to powiemy im, że jedziemy po mąkę do młynarza. Ale musimy razem, Volko. Zresztą Wiedźma bardziej ciebie lubi. Sam widziałem, jak na ciebie patrzy.

Kolejna fala torsji wstrząsnęła chudzielcem.

- Jedź sam, Olan - powiedział błagalnym tonem. - Źle się czuję.

- Nie narzekaj, Volko. Zaraz ci będzie lepiej. Poczekaj chwilę, zaraz wracam.

Oran odszedł, zostawiając brata sam na sam z własnymi trwogami.

Strasznie musiał przeżyć śmierć siostrzyczki, biedaczek jeden - pomyślał z rozczuleniem. Sam też miał zbolełe serce, lecz śmiały plan uwolnienia Bolesława do tego stopnia zawładnął jego myślami, że nie był w stanie myśleć o czymś innym.

Wyjechali koło południa. Wóz z łoskotem przeciął brukowany dziedziniec, minął znudzonych wartowników pilnujących wjazdu na zwodzony most i znalazł się na piaszczystej drodze, prowadzącej stromo w dół. Był słoneczny, niemal bezchmurny dzień, choć zimny wiatr dawał zapowiedź nieuchronnie zbliżającej się zimy. Z daleka zamek Lady Erzsébe sprawiał wrażenie bajkowego. Wysoka wieża zdawała się wznosić aż do samego nieba, a zszarzałe pod wpływem czasu cegły świeciły w promieniach słońca. Okolica była przepiękna, widok wręcz zapierał dech w piersiach. Postronny obserwator nie mógłby nawet przypuszczać, że w tym poetyckim zakątku świata mieszka najkrwawsza władczyni w historii Pięciu Księstw.

Wóz wjechał w rzadki las z dominującą przewagą sosen. Oran po raz trzeci zaczął opowiadać bratu szczegóły planu. Za każdym razem coś dodawał, coś zmieniał, coś poprawiał. Volko bezwiednie mu przytakiwał, błędząc myślami przy siostrze. Wspominał szczęśliwe dzieciństwo, wspólne zabawy oraz nieschodzący z jej ust uśmiech. Uwielbiał, kiedy się śmiała. Jej policzki wykrzywiały się wtedy w taki zabawny sposób, a ręce uderzały o uda, wydając głuche klaśnięcia. Pamiętał jej błyszczące oczy, słodki głosik mówiący: „Braciszku, kocham cię” oraz jej szmacianą lalkę, z którą nie chciała się nigdy rozstać. To wszystko było wspomnieniem. Niezwykle żywym i barwnym, lecz tylko wspomnieniem. Volko zdawał sobie sprawę, że już nigdy nie ujrzy jej błyszczących oczek i niewinnej, dziecięcej twarzyczki, i to powodowało, że co rusz z jego oczu spływała gruba łza, kapiąc na podarte w paru miejscach spodnie. Został mu tylko brat. Odruchowo spojrzął na Orana i aż zmarszczył brwi. Pucółowata twarz okraszona sumiastymi wąsami, włosy koloru przyciemnionego bursztynu z widocznymi zakolami na czole i paskami siwizny przy skroniach, mały nos i nieproporcjonalnie wielgachne uszy. Kochał go na swój sposób, choć nieraz miał chęć go zabić. Grubas, jak nikt inny, doprowadzał go do szewskiej furii. Był dokuczliwy, przemądrzały i złośliwy i nigdy nie potrafił odmówić sobie przyjemności, by zakpić z brata. Chudzielec starał się odgryzać, lecz w tej konkurencji nie miał najmniejszych szans.

- Co tak gały wytrzeszczasz, jakbyś ducha obaczył? - spytał grubas, zauważając natarczywy wzrok brata. Ten uśmiechnął się nieznacznie i nic nie odpowiedział. Grubas wrócił zatem do przerwane go wątku i po raz kolejny zaczął wyłuszczać swój plan, a jego głos to wznosił się, to opadał. Za każdym jednak razem, gdy mięsiste usta wypowiadały jedno bolesne imię: „Garvulla”, przez twarz chudzielca przebiegał nagły skurcz. Zaciskał wtedy zęby, wmawiając sobie, że robi to dla ukochanej Etele.

Zabiję staruchę, jak wspomni o tym choć jednym słowem - obiecywał sobie w duchu i z pewnością by tej obietnicy dotrzymał,

gdyby nagle nie wpadł na jeszcze lepszy pomysł.

- Sklęć w plawo - powiedział stanowczym tonem. - Pojedziem wpielw do Kulawego Chlabąszcza.

- No coś ty, Volko. Zwariowałeś?

- Nie zwaliowałem. Muszę się napić. Sklęcaj.

- A jednak zwariowałeś. Wiesz przecież, że nie mamy dużo czasu. Poza tym musimy być trzeźwi. A gorzałki to jeszcze zdążysz się napić w życiu, obaczysz. Wielki Książę da ci jej tyle, że do końca życia nie zdołasz jej wychłęptać.

- Muszę się napić, i to teraz!

- Volko, proszę cię. Nie utrudniaj mi życia. Wytrzymaj jeszcze trochę.

Volko był nieustępliwy.

- Sklęcaj albo wysiadam. Poza tym sam żeś mówił, że stłaznicy są wyjątkowo ostłozni. Jak obaczą, żeś włócił od młynarza trzeźwy, to dopiero nabiorą podejrzeń. Nie sądzisz?

Oran podrapał się po głowie. Argumentacja jego brata wydała mu się całkiem słuszna.

- Hmm. No cóż... może i ty masz rację. No niech ci będzie. Wpadniemy tam, ale tylko na chwilę.

- Na chwilę, Olan, obiecuję. Na malutką chwilunię. Tylko galdziołko zmoczę i już nas nie ma.

To była wyjątkowo długa chwila. Po niej nastąpiła kolejna i jeszcze kolejna, a z każdą jedną humor Volko ulegał znacznej poprawie. Strach przed spotkaniem oko w oko z koszmarem jego życia powoli ulatywał, jednak trzeba było jeszcze kilku kolejek, by serce chudzielca znów mogło bić normalnym tempem. W końcu, gdy druga flaszka stała się buzującym w żyłach wspomnieniem, a ziemia zaczęła gwałtownie wirować pod jego nogami, zdecydował się ruszyć w dalszą drogę.

Nieco dalej niespodziewająca się gości Wiedźma siedziała w swojej kurnej chacie wraz z obrzydliwym kocurem, który właśnie wrócił z trzydniowej włóczędzy. Zwierzak wyglądał jeszcze gorzej niż

zazwyczaj. Czarny pysk nosił ślady licznych zadrapań, a nad lewą łapą widać było świeżą ranę powstałą na skutek psich zębisk. Skołtuniała sierść odchodziła w wielu miejscach, ukazując różową skórę z białymi plamami. Wiedźma nie wyglądała lepiej. Siedziała na brudnym od sadzy klepisku, wśród walających się wszędzie śmieci i różnego rodzaju sobie tylko znanych skarbów. Warzyła w glinianej misce buzującą miksturę o barwie zgniłej zieleni. Pośrodku izby palił się niewielki ogień. Duże kłęby szarego dymy wypełniały każdy kąt chaty i wzbijały się ku niewielkiemu otworowi, umieszczonemu pośrodku dachu. Dym miał jedną zaletę - skutecznie zabijał roznoszący się wszędzie odór ekskrementów, potu i starości.

Ten sielankowy obraz został niebawem przerwany przez donośny odgłos grubszego z braci.

- Ej, Wiedźmo! - krzyknął Oran i walnął pięścią w kulawe drzwi. Tylko cud sprawił, że się nie rozwały. Następnie, nauczony własnym doświadczeniem, wziął w płuca głęboki haust powietrza, zatkał dłonią nos i zrobił krok w przód. Był to mały krok dla Orana, lecz wielki dla ludzkości.

- Ho, ho, ho. Kogo to moje stare oczy widzą? Czyżby to mój dzielny rycerz Oran? - zawołała Wiedźma, ukazując światu poczerwiałe zęby, w których dziur było więcej niż we wszystkich serach świata. - Olalala i mój szczupły książę zaszczycił mnie swoją obecnością. Bogowie muszą być dziś łaskawi dla starej Garvulli. Stęskniłeś się za mną, złociutki?

- Niech, yph, niech cię szlag trafi, stara ropucho - odparł Volko pijackim głosem, bezbłędnie wymawiając wszystkie litery „r”. Doprawdy alkohol potrafi czynić cuda i niech się wstydzą ci szarlatani, co przeczą temu stwierdzeniu.

- Nie przyszlim tu z wizytą, Wiedźmo. Przysyła nas Iwan - skłamał gładko grubas. - Potrzebujemy pewnej mikstury. Nasennik bielgachny, czy jak to się tam zowie. Masz coś takiego?

- Może i mam, a może nie - odparła Wiedźma, łypiąc wzrokiem na ledwo trzymającego się na nogach chudzielca. - A co on się tak buja

na wszystkie strony?

- Spił się - odparł Oran zdziwiony, że ktoś mu zadaje tak oczywiste pytanie. - Nie mamy wiele czasu, więc jeśli masz to coś, to dawaj, a jak nie, to coś o podobnym działaniu. Wolałbym nie wracać do zamku z pustymi rękoma. Ostatnio wszyscy są tam podenerwowani, a Piękna Pani to już najbardziej. Od trzech dni nie może oka w nocy zmrużyć i tylko się snuje z kąta w kąt, jakby na coś czekała. Nie moja zresztą sprawa. Ja tam robię tylko to, co mi każą.

Garvulla cmoknęła dwukrotnie i zaklekotała, uderzając językiem o podniebienie.

- A po co Iwanowi taka mikstura? - spytała podejrzliwie i puściła oczko w stronę opierającego się o drzwi chudzielca.

- Po co, po co? A skąd mi to wiedzieć? Myślisz, że mi się zwierza? Kazał tu przyjechać, tom przyjechał, a głupich pytań mu nie zadawałem. Jeszcze tego brakowało.

Wzrok jędzy stawał się coraz bardziej podejrzliwy.

- A skąd ja mam wiedzieć, że wy czegoś, gołąbeczki, za plecami Pięknej Pani nie kombinujecie? Toż mi na takich wyglądacie, co by własną matulę za kilka miedziaków mogli sprzedać.

Oran zaklął w myślach. Przełknął nerwowo ślinę i podrapał się po brodzie, myśląc jak by tu wybrnąć.

- Jeszcze mi życie miłe. Zresztą jak mi nie wierzysz, to wsiadaj na wóz. Pojedziem do zamku i sama z nim pogadasz, bo wierz mi, że wolałbym zeżreć wiadro szpinaku niż wrócić z pustymi rękoma. A, bym zapomniał. - Wyciągnął z kieszeni srebrną monetę i rzucił ją w kierunku Wiedźmy. - To od Iwana, jako zapłata.

Wiedźma wyszczerzyła zębiska.

- Zapomniałbyś? Ha, ha, ha. Przyznaj się, łotrze, żeś chciał ją dla siebie zatrzymać? No mówże prawdę.

Nieszczęsny grubasek spuścił wzrok i zrobił taką minkę, jakby został przyłapany przez matkę na masturbacji. Chrząknął, zaplótł ręce za plecami i wybąkał niemrawo:

- No... ten, tego. Wybacz - kajał się, przeklinając w duchu staruchę za jej podejrzliwość. Kosztowało go to ostatniego srebrnika, którego oszczędzał od wielu miesięcy na czarną godzinę.

Garvulla ponownie wyszczerzyła zębiska, schowała monetę do kieszeni, wydeła wargi w udawanym oburzeniu i pogroziła Oranowi kościstym palcem.

- Oj, nieładnie, nieładnie. Za karę będziecie musieli coś dla mnie zrobić, by dostać nasennik.

- Przecież jużem ci zapłacił. Czego jeszcze chcesz?

- Nie tyś mi zapłacił, lecz Iwan. Tyś chciał go tylko okraść. Jak sądzisz, co zrobi, gdy się o tym dowie?

Oran zbladł.

- Mów szybko, czego chcesz - powiedział rzeczowym tonem, jakby targował się na bazarze o cenę rzepy. Nie wiedział jeszcze, że cena za spełnienie jego niecnego planu będzie dużo większa.

- Och, nic wielkiego. Drobnostkę. Taką tyci, tyci. - Kciuk i palec wskazujący Wiedźmy utworzyły niewielki odcinek, by podkreślić błahość jej żądania.

- Powiesz wreszcie czy będziesz się ze mną drażniła do przyszłej wiosny?

- Aleś ty niecierpliwy, mój rycerzu. No już mówię. Otóż chcę jednego, malutkiego całuska od niego - odparła starucha z rozbijającym uśmiechem i wskazała dłonią na Volko.

Stojący przy samym wejściu i opierający się plecami o framugę drzwi chudzielec był pogrążony we własnym świecie. Słyszał co prawda toczącą się rozmowę, lecz ani jedno jej słowo do niego nie docierało. Twarz miał spokojną, obojętną, tak jakby była wystrugana w drewnie. I dopiero mocne uderzenie w tył głowy przywróciło go do świata żywych.

- Ale... yph, ale brzydki kocur - wyjąkał, nieświadom powagi sytuacji.

Kot miauknął z oburzenia i powrócił do lizania jąder. Oran wzruszył ramionami i odezwał się do Garvulli:

- Sama widzisz, że ledwo kontaktuje. Daj nam nasennik, a jak tylko wytrzeźwieje, to otrzymasz swoją zapłatę. Daję ci słowo.

- Taka głupia to ja nie jestem. Ale Garvulcia i na to ma swój sposób. Oj, ma, ma.

Wiedźma poderwała się nagle z klepiska i zaskakująco żwawo ruszyła w stronę stojącej w rogu szafeczki, w której trzymała swoje najcenniejsze skarby. Mebel wyglądał jak jego właścicielka. Był potwornie stary, w wielu miejscach przeżarty próchnicą i poskręcany, jakby ktoś go wyżywał. Oran miał wrażenie, że w każdej chwili może upaść, przygniatając chude ciało staruchy do ziemi, i nawet na to po cichu liczył. Nic takiego się jednak nie stało. Garvulla, nucąc sobie wesoło pod nosem, włożyła do środka swą kościstą dłoń i pogrzebała krótką chwilę wśród stojących w nieładzie buteleczek, pudełek i pojemniczków.

- O, mam - zawołała radośnie, wyjmując niewielką flaszczykę z jasnyniebieską cieczą. - Niech to wypije do dna, to od razu poczuje się lepiej.

Grubas spojrział podejrzliwie na flaszkę, na Wiedźmę i znów na flaszkę.

- Co to takiego?

- Lekarstwo na pijaństwo - odparła wesoło Wiedźma, nie mogąc doczekać się dotyku aksamitnych warg chudzielca. - Daj mu to do wypicia, a niebawem będzie trzeźwiutki jak mysz.

- A co, jeśli to któraś z twoich czarodziejskich sztuczek, Wiedźmo? Może ty chcesz go otruć, co?

- Otruć? Ha, ha, ha. A po cóż miałabym truć twego brata? Toż on mi jak druh. Jak druga połówka. Jak... no wiesz... kochanek, ha, ha, ha. Paskudny śmiech Garvulli wypełnił całą chatę.

Oran podrapał się po nosie i pokręcił z niedowierzaniem głową.

Nie prościej byłoby zatłuc staruchę i samemu wziąć nasennik? - pomyślał. Zaraz jednak poniechał tych myśli, gdy uświadomił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, jak w tym bałaganie znaleźć to, co będzie

mu potrzebne. Westchnął więc ciężko, chwycił ostrożnie butelczynę, zdjął korek i przystawił sobie do nosa.

- O fuj. Ale cuchnie. Gorzej nawet od ciebie.

Wiedźma udała, że nie słyszy tego wątpliwego komplementu. Jej wzrok wciąż pożerał nieświadomego niczego Volko, a język zakreślał w powietrzu okrężne ruchy.

- No cóż - westchnął Oran - spróbuję, choć nie ręczę, czy uda mi się go przekonać. Wiesz, jak by ci to powiedzieć... nie za bardzo jesteś w jego guście. I pamiętaj, jak go otrujesz, to cię własnoręcznie wybebeszę. Zrozumiałaś?

- Oj, nie masz się czego obawiać. Chyba... - Wiedźma przeczesła dłonią włosy - chyba że jesteś o niego zazdrosny, serduszko? Co? Nie musisz. Garvulci starczy dla was dwóch. - Wiedźma zarechotała chrapliwie i puściła mu oczko.

Oran zadrżał, splunął pod nogi i czym prędzej ruszył w stronę brata. Chwycił go mocno za zuchwę, bezceremonialnie rozwarł szczęki i wlał w niego zawartość flaszki, co do kropelki.

Z początku nie stało się nic wartego odnotowania. Zaraz jednak cera Volko przybrała zielonkawy odcień. Źrenice zrobiły się maleńkie niczym główki od szpiki, a szyja wygięła się nienaturalnie do tyłu. Chudzielec chrząknął, wywrócił oczyma i spojrzał na brata ze zdziwieniem.

- Gdzie jestem? - spytał nie swoim głosem.

Po chwili błysk zrozumienia dotarł do jego jaźni. Jego twarz wykrzywiła się w wyrazie bezmiernego obrzydzenia, który pogłębił się jeszcze bardziej, gdy jego oczy napotkały promienne lico Garvulli.

- Co ja...

Nie dokończył. Oran chwycił brata za rękę i wyciągnął go na zewnątrz.

Mocny podmuch świeżego powietrza owinął się wokół ich twarzy, przynosząc ich nozdrzom niebywałą ulgę. Volko ziewnął szeroko, po niedawnym pijaństwie nie został nawet ślad. Jego brat położył mu delikatnie rękę na ramieniu, spojrzał głęboko w oczy i spokojnym

tonem zaczął przedstawiać wyniki konsultacji między nim a czekającą z niecierpliwością Garvullą. Nie zdołał dokończyć, gdy Volko zaczął się wyrywać i tylko niebywalej sile Orana zawdzięczać możemy fakt, że nie zdołał uciec jak najdalej stąd. Jeszcze więcej sił go kosztowało, by brat zdołał wysłuchać go do końca. Uciekał się do wszystkiego: do próśb, do gróźb, współczucia i gniewu. Nic nie działało. Volko nie chciał słyszeć nawet o tym, by zbliżyć się do Wiedźmy na odległość mniejszą niż pięć kroków, a co dopiero mówić o pocałunku? Oran jednak się nie poddawał. Po raz kolejny przedstawiał te same argumenty, ubierając je w coraz to inne słowa. Mówił pięknie i zawile. Nic. Prosto i treściwie. Nadal nic. Nasilił atak. Gadał, błagał, groził, prosił i przekonywał z jeszcze większą siłą, z jeszcze większą determinacją. A Volko tylko stał i patrzył się tępo na odganiający muchy ogon przeraźliwie chudej chabety. W końcu, gdy grubas zaczął już tracić resztki nadziei, zdołał dojrzeć nieznaczny błysk w oczach brata. Volko się ożywił i nawet pozwolił sobie na skromny, niezwykle skromny uśmieszek. Zielone oczy łypnęły szelmowsko na Orana, a głowa kiwnęła dwukrotnie w geście oznaczającym zgodę.

- Niech ci będzie - skapitulował chudzielec. - Złobię to tylko przez wzgląd na naszą kochaną siostrzyczkę. Mam jednak walunek.

- Wszystko, co zechcesz, Volko, wszyściutko - zapalił się Oran, powstrzymując się przed podniesieniem rąk w triumfalnym geście.

- Złobię to, ale ty pielwszy musisz ją pocałować. Dopiero później ja.

Jeszcze nie tak dawny uśmiech okraszający pulchną twarz Orana przemienił się w jednej chwili w odrażający grymas. Już chciał posłać brata do tysiąca diabłów, już chciał zdzielić go w twarz i kopnąć pod zebra, gdy zrozumiał, że nie ma wyjścia. Od przyszłych rycerzy wymaga się naprawdę wiele.

- Niech ci będzie - rzekł, dumnie unosząc podbródek. - Zrobię to dla nas, dla naszej siostry.

Kilka chwil później nie był już taki pewny siebie. Gdy ponownie ujrzał zaropiałe usta Garvulli, zakręciło mu się w głowie. W ostatniej

chwili zdołał się oprzeć o ukośną ścianę chaty, by nie upaść. Odetchnął głęboko, co nie było najlepszym pomysłem w tym pomieszczeniu, i opowiedział Wiedźmie o kompromisie, do którego doszli z bratem.

Garvulla nie protestowała, wręcz przeciwnie. Uśmiechnęła się od ucha do ucha, zatarła ręce z radości i ułożywszy usta w dziubek, spytała radośnie:

- No to który pierwszy? Garvulcia czeka. - Cmoknęła przy tym kilkakrotnie w powietrze i aż podskoczyła z radości.

- Miejmy to już za sobą - westchnął Oran i ruszył ku niej. Już z daleka poczuł przeraźliwy odór dobywający się jej ciała, a z każdym krokiem było coraz gorzej. Zamknął oczy. Był coraz bliżej. Już czuł przesycony smrodem oddech staruchy na swojej szyi, który wywołał w nim mdłości.

Nie mogę się wycofać, nie mogę, nie mogę - powtarzał w myślach. Pochylił się w jej stronę. Smród był wręcz nie do wytrzymania. Starał się wyobrazić sobie coś przyjemnego: zieloną łąkę usianą czerwonymi makami, błękitne jezioro o kryształowo czystej wodzie, niewinny uśmiech córki młynarza, przekomarzającej się z nim zalotnie. To na nic. Za każdym razem w jego fantazjach pojawiał się obleśny ryj Wiedźmy z tym parszywym uśmieszkiem. W końcu poczuł nieprzyjemny dotyk chropowatych warg na swych ustach. Wiedźma przycisnęła go do siebie, łapiąc przy okazji za pośladki.

Wytrzymaj. Jeszcze chwilę. Wytrzymaj.

Odczekał dwa uderzenia serca, po czym gwałtownie odsunął głowę.

Uff.

- Dostałaś, czego chciałaś. Volko, twoja kolej - krzyknął w stronę brata, wycierając dłonią usta, jakby chciał zedrzeć z nich skórę.

- Hola, hola, nie tak szybko - zaproponowała Wiedźma. - To miał być całus? Tak to możesz sobie całować swoją ciocię. Garvulcia chce prawdziwego całusa.

Wiedźma wysunęła język z zaropiałych ust i zrobiła nim dwa kółeczka w powietrzu. Oran mało nie wymiotował. Żołądek niemal wywrócił mu się na drugą stronę i zagroził buntem. Grubas najchętniej padłby teraz trupem, lecz wtedy z pewnością nie zostałby rycerzem.

Rycerz Oran - pomyślał. To był jego cel, to było jego powołanie. Ponownie zamknął oczy i wyobraził sobie, jak siedzi na koniu w lśniącej od słońca zbroi, czując na sobie pełne podziwu spojrzenia gawiedzi.

- Raz kozie śmierć - powiedział cicho i ponownie przysunął usta w stronę wiedźmy. Ich wargi ponownie się spotkały, tym razem na dłużej. Nagle poczuł, jak coś ciepłego i oślizgłego wślizguje mu się do buzi. Zrobiło mu się słabo. Oślizgła rzecz majtała w jego ustach, jakby czegoś poszukiwała, ocierała się o jego język, mlaskała, przesuwając powoli po zębach i docierała nawet do migdałków. Trwało to wieczność.

Rycerz Oran, rycerz Oran, ryce... kurwa mać.

Gwałtownie odepchnął od siebie Wiedźmę i uskoczył kilka kroków w tył. Potknął się przy tym o leżący na ziemi kocioł i wpadł tyłkiem w dogasające palenisko. Zerwał się niemal natychmiast i wybiegł czym prędzej na zewnątrz, by oddać ziemi zawartość swego żołądka. Nie skończył wymiotować, gdy jego śladem podążył chudzielec.

Z wnętrza chaty dobiegł ich chrapliwy śmiech.

Pierwszy skończył Oran. Podniósł się z ziemi i spojrzał na klęczącego brata. Odetchnął z ulgą, gdy dojrzał w jego dłoni niewielki słoiczek z białym proszkiem. Wdrapał się niezdarnie na wóz i poczekał, aż Volko upora się z własną tragedią. Potem popędził konie, by czym prędzej uciec z tego przeklętego miejsca.

Przez całą powrotną drogę żaden z nich się nie odezwał. Żaden z nich nawet nie spojrzał na drugiego. Nawet wtedy, gdy znaleźli się na rozstaju dróg. Po prostu skręcili w lewo, kierując wóz ku gospodarzowi U Kulawego Chrabąszcza. Pili, by zapomnieć, lecz zapomnieć się nie dało.

Minęły dwa dni. Dziedziniec zamku Lady Erzsébe wyglądał jak mrowisko, do którego ktoś włożył dymiący się kij. Miotająca się z kąta w kąt służba czyniła ostatnie przygotowania przed wyruszeniem na łowy. Po raz setny naciągano rzemienie, sprawdzano uprząże, strzały w kołczanach, cięciwy. Wszystko trzeba było dopiąć na ostatni guzik, Piękna Pani nie tolerowała zaniedbań.

Księżna już była gotowa. Siedziała na karym wałachu, obserwując z niepokojem kłębiące się w oddali chmury. Puszyste włosy koloru słońca miała związane w dwa opadające na plecy warkocze, które fikuśnie tańczyły z każdym ruchem jej głowy. Ubrana była w wygodny strój przystosowany do konnej jazdy. Czarne, ściśle przylegające do ciała spodnie ze skóry podkreślały smukłość jej nóg i idealnie komponowały się z sięgającymi do połowy ud butami o szerokich cholewach. Na górną część ciała miała nałożoną białą koszulę oraz krwistoczerwoną, wełnianą tunikę podszywaną czarnym lnem, a na dłoniach sięgające do łokci lniane rękawiczki. Po obu jej stronach siedzieli jej najwierniejsi słudzy: olbrzymi Iwan o twarzy przypominającej nocnego upióra i o głowę od niego niższy, lecz równie szeroki w barach Dravko. Dziesiątki innych mężczyzn kłębiły się z tyłu w oczekiwaniu na sygnał do wyruszenia. Wokół nich wściekle ujadała sfora terierów, trzymana na smyczach przez nerwowych pachołków.

Lady spojrzała na twarze swoich poddanych, po czym sięgnęła wzrokiem dalej, starając się wypatrzeć majaczące w oddali bory i knieje.

- Wszystko gotowe, pani, możemy wyruszać - usłyszała pełen szacunku głos jednego ze służących.

Uniosła dłoń. Z tyłu rozległ się przeciągły dźwięk bawolego rogu. Kopnęła końskie boki piętami i ruszyła w stronę zwodzonego mostu. A tuż za nią podążyli inni.

Dziedziniec opustoszał. Na zamku zostali nieliczni, ciesząc się perspektywą kilku dni pozbawionych ciągłego strachu. Nie wszyscy jednak odetchnęli z ulgą. W niewielkiej szopie na narzędzia, niczym dwie małe myszki (no dobrze, jedna mała myszka i jedno myszysko), siedzieli Volko i Oran. Czekali niecierpliwie, aż Pani Noc łaskawie skryje świat w czerni swego stroju. Woleli nie kręcić się po zamku, by nikt nie zadawał im zbędnych pytań. Spróbowali się zdrzemnąć, lecz ogromne podniecenie, strach i wspomnienie niedawnego upokorzenia skutecznie uniemożliwiały im podróż do tej krainy nieograniczonych możliwości.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Słońce, jakby im na złość, dreptało wyjątkowo wolno po swej codziennej ścieżce i tylko od czasu do czasu wychylało swą twarz zza zasłony chmur, by popatrzeć z góry na dwójkę przyszłych bohaterów. Wokół panowała niepasująca do tego miejsca cisza, zakłócana jedynie przez burczenie dobywające się z bebeczków Orana oraz głośne bicie ich serc.

Zapadł zmierzch.

- Już czas - zdecydował Oran.

Chwycił przygotowany zawczasu dzban z winem, nabrał spory łyk i przepłukał nim gardło. Skropił sobie także twarz i szyję, by roztaczać wokół przyjemny aromat pijaństwa i swawoli. Do reszty wina wsypał niewielką ilość białego proszku, za który zapłacił niebywałą cenę, i zamieszał kilkakrotnie. Jego spojrzenie zatrzymało się na pocziwej facjacie brata. A było to spojrzenie niezwykle. Nie było w nim zwyczajnej kpiny, szyderstwa, wyższości. Była tylko braterska miłość. Volko też był wzruszony, wszak zdawał sobie sprawę, że to może być ostatni raz, kiedy widzi brata. Jego dłoń na krótką chwilę dotknęła ramienia Orana, zaraz jednak ją cofnął, jakby zawstydził się własnych uczuć.

- Luszajmy - szepnął, starając się opanować narastającą w gardle gulę.

Oran ostrożnie wychylił łeb przez półotwarte drzwi i rozejrzał się dookoła.

- Droga wolna. Idziemy.

Poszli. Przecięli w poprzek dziedziniec, minęli bez słowa zaczynające gnić ciało swej ukochanej siostrzyczki i zatrzymali się przed grubymi drzwiami, prowadzącymi do siedziby Lady. Raz jeszcze spojrzeli po sobie, zawahali się na moment, po czym padli sobie w objęcia.

- No już, Volko, nie becz. Wszystko się uda, obaczysz - szepnął Oran, choć to jemu pociekła łza. Ogarnął się jednak, wytarł policzki, położył dłoń na klamce i nacisnął.

Serce biło mu jak szalone, a po plecach pociekła samotna kropla potu, łaskocząc go nieprzyjemnie. Pchnął drzwi z całej siły, beknął głośno, raz i drugi, i zatoczył się w bok tak, że niemal wpadł na jednego z dwóch stojących niedbale strażników. Nagle stanął w miejscu, przybierając najgłupszy wyraz twarzy, na jaki mógł się zdobyć (tak po prawdzie nie różnił się on istotnie od zwyczajnego stanu jego facjaty).

- Yph... witajcie, dzielne żołnierze - przemówił pijackim głosem i czknął.

Żołnierze spojrzeli na niego z pogardą.

- Czego tu szokasz? - warknął jeden z nich. Miał wygoloną dookoła czaszkę, z której czubka zwisał długi warkocz, przywodzący na myśl końską kitę.

- Zmiotaj stąd, świńsko beko tłuszczu - poprawił drugi, nieco starszy i sporo wyższy. Ostrze jego broni zbliżyło się niebezpiecznie blisko do balonowatego brzucha.

- Spokojnie, Olah. Toć to tylko Oran - próbował uspokoić go jego kompan. - Czego tu szokasz, tłuszczoszku? Toż to nie kuchnia, tu żorcia nie znojdziesz, ha, ha, ha.

- Yph... jak to nie kuchnia. A co?

- Sypiolnia twojej storej. Chyba już ci storczy tego wina. Ledwo Pani wyjechała, a tyś już napruty jak dziki osioł. Oj, uwożaj, gruby, bo jok się Pikna Pani dowie, to wtedy, he, he, morne twoje widoki.

Wartownik zmierzył grubasa groźnym wzrokiem, choć dostrzec w nim można było iskierkę rozbawienia.

- Nie dowie się, yph, bo z kim będziesz w kości wygrywał?

- Ha, ha, ha. A co rocja, to rocja. A powiedz mi, czemuś ty z innymi nie no polowaniu?

Oran westchnął smutno i spuścił wzrok.

- No bo... no bo Iwan kazał mi ostać na zamku.

- A czemuż to?

- No bo rzekł, że boi się, yph, boi się, że mnie na polowaniu pomyli z... dzikim wieprzem.

Wartownicy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Ha, ha, ha. Dobrze. Ciebie to roczej ze świnia można pomylić. Ha, ha, ha. No nie stój tak jak ten słup. Dawaj tu ten dzbonek. Pomożem ci go osuszyć, bo tobie już storczy. He, he, he. Dobrze godom, Mirkos?

- Dobrze, bardzo dobrze. No chodźże, hultaju. Dowaj dzban, bo som przyjdę i se wozmę.

Oran zrobił nieszczęsną minę i z wyraźną niechęcią zbliżył się do wartowników. Chwiał się przy tym na wszystkie strony, niczym chorągiew z herbem Lady Erzsébe zatknięta na szczycie wieży. Wyciągnął dłoń z dzbanem i podał go Olahowi. Ten natychmiast go przechwycił, wyszczerzając w uśmiechu swą pokrytą wągrami twarz, i pociągnął soczystego łyka.

- Ale szczynty, psio moc - powiedział, po czym znów przystawił dzban do ust. Gdy podawał naczynie swemu kompanowi, było ono w połowie puste. Mirkos dokończył dzieła zniszczenia i beknął głośno, dając wyraz swej radości.

- Przynieś nom więcej, bo inaczej Pikna Poni dowie się, jok jej służyysz - powiedział, ocierając twarz brudnym rękawem i łypiąc bezczelnie na grubasa.

- Przyniosę, przyniosę - odpowiedział Oran, lecz wartownicy już go nie słyszeli. Ich rysy twarzy stały się nieostre, oczy zrobiły się błędne, a cera przybrała zielonkawy odcień. Po chwili padli z hukiem

na ziemię, a wraz z nimi pusty dzban po winie i długie, ostre halabardy.

Grubas spojrział na nich ze złośliwym uśmieszkiem. Wolał nie wiedzieć, co się z nimi stanie, gdy Piękna Pani powróci, lecz nie było mu ich żal. Nie raz musiał wysłuchiwać złośliwych docinków względem własnej tuszy oraz patrzeć, jak kantują go przy grze w kości. Nie chciał z nimi grać, lecz potężne pięści żołnierzy lądujące na jego ciele były dostatecznym argumentem, żeby zmienił zdanie.

Zobaczymy, kto się teraz będzie śmiał - pomyślał.

Podszedł do drzwi i zastukał w nie trzykrotnie.

- Gładko poszło - powiedział, gdy tylko chudzielec wszedł do środka. - Z tymi drugimi może nie pójść tak łatwo. Daj no mi to.

Volko podał bratu posrebrzaną tacę z kolacją dla księżęcego syna. Leżała na niej pajda suchego chleba, dwa całkiem spore kawałki boczku i kielich ze słabym piwem. Obok kielicha leżał niewielki spodeczek z białą substancją, wyglądającą na sól.

- Tylko nie zeżłj wszystkiego, nim dojdiesz - szepnął chudzielec, siląc się na dowcip, choć obydwaj wiedzieli, że to nie był najlepszy czas na braterskie docinki.

Oran wziął tacę.

Bogowie, miejcie mnie w opiece - pomyślał.

Ruszył po schodach w górę.

Wokół panował półmrok. Oran zaczął ostrożnie stawiać kroki, starając się nie patrzeć na wiszące na ścianie ludzkie czaszki i potworne malowidła. Pierwszy raz był w tej części zamku i już zdążył tego pożałować. Szedł jednak dalej. dzielnie pokonywał stopień za stopniem i wkrótce znalazł się na pierwszym piętrze. Zatrzymał się na chwilę, by wziąć głęboki oddech, po czym ruszył dalej. Wyczuwał obecność brata podążającego za nim jak cień i to dodawało mu otuchy. Mimo to bał się. Bał się okropnie, jak nigdy w życiu. Pokonał kolejne stopnie. Był już coraz bliżej. Jeszcze parę kroków i znalazł się w długim, skąpanym w półmroku korytarzu. Malowidła na ścianach były tu jeszcze bardziej makabryczne, aż po

plecach przeszły mu ciarki. Zwolnił i niebawem ujrzał w głębi korytarza zarys stojących strażników. Było ich dwóch – srogich, groźnych i stojących przed drzwiami więzienia Bolesława niczym olbrzymie, marmurowe kolumny. W ich dłoniach spoczywały śmiertelnie groźne halabardy.

– Co ja tu robię? – szepnął do siebie, jednak się nie zatrzymał.

Jeden z wartowników odwrócił powoli głowę w jego stronę, spod ciężkiego hełmu zalśniły złowrogie ślepie. Serce Orana przyspieszyło jeszcze bardziej, grube ręce zaczęły mimowolnie drżeć, rozlewając na tackę trochę piwa. Volko przykucnął na końcu schodów, niczym małe dziecko bawiące się z kolegami w chowanego. To jednak nie była zabawa. Stawką było ich życie. Jeden nieopatrzny ruch, jedno nieopatrzne słowo i... chudzielec wolał o tym nie myśleć.

Nagle zadźwięczała zbroja płytowa drugiego z wartowników. Nałożona na nią krwistoczerwona tunika zatańczyła w powietrzu i bezszelestnie opadła, a groźna niczym kobieca chandra halabarda wysunęło się na spotkanie nieoczekiwanego gościa.

– Czego tu? – zapytał jej właściciel, wciskając czubek broni w pokazny bebecch Orana, jakby chciał sprawdzić, czy ten nie pęknie pod wpływem nacisku.

– Oran mnie zowią, szlachetny panie. Kolację dla imć księcia Bolesława żem przyniósł.

Żołnierz popatrzył nań podejrzliwie.

– Nie znam cię. Gdzie dziewczka? Ona zawsze przynosi kolację.

– Dravko kazał jej jechać na polowanie. Kolację przyrzadziła stara Priscilla, ale dziś nie domaga i prosiła, bym ją zastąpił.

Wartownik wydął wargi i zmarszczył brwi. Nie wyglądał na do końca przekonanego. Zerknął na tacę.

– Co tam masz?

– Nic takiego, szlachetny panie. Pajdę chlebusia, jakieś mięsko i piwko. Może byście tak zechcieli opuścić broń, bo mi zaraz serducho wyskoczy. Bardzo nie lubię broni.

- Zawrzyj pysk! Postaw tacę na podłodze i zmiataj stąd - warknął drugi ze strażników. Był starszy i wyższy od swego towarzysza. Twarz zdobiły mu liczne blizny, a w oczach czaiła się dzika bezwzględność, która zamroziła Oranowi serce.

- A... ale ja miałem przynieść... tacę i...

- Precz stąd, rzekłem! - Ostro zakończony grot rozciął skórę na szyi Orana. Grubas syknął z bólu.

- Jak sobie życzycie, szlachetny panie - powiedział i bardzo powoli położył tacę na wysadzaną granitowymi płytami podłogę. Przez cały czas czuł na sobie przenikliwe spojrzenia wartowników. Zrobiło mu się duszno. Serce jeszcze bardziej przyśpieszyło, zdawało mu się, że zaraz wyskoczy z piersi. Bum, bum, bum, bum. Wstrzymał oddech.

Uda mi się, uda... - pomyślał. Próbował ruszyć ręką, lecz strach go sparaliżował. Jeden z wartowników syknął ostrzegawczo i dźgnął go czubkiem buta, drugi splunął mu pod nogi i zakpił z jego tuszy.

I wtedy właśnie stała się rzecz niepojęta. Niewidoczne tamy runęły, wypychając na zewnątrz całą złość, jaką nasz pocziwy grubasek kumulował w sobie przez długie lata kpin, drwin i poniżeń. To było o jednego „tłusciocha” za dużo, o jedno kopnięcie za wiele. Kielich goryczy został przelany. Oran już nie czuł strachu, czuł tylko złość. Potworną, obezwładniająca złość. I to ona pokierowała jego dłonią, kazała chwycić mu spodek z trucizną i rzucić nim z całej siły w oko stojącego bliżej żołnierza. Biały proszek uniósł się w powietrzu, przesłaniając na krótką chwilę migotliwy blask pochodni. W oczach wartownika pojawił się krótki błysk zdziwienia, który zaraz przemienił się w dziką furję. Z jego ust wypłynął ochryply dźwięk, ręka uniosła broń i nagle zamarła w powietrzu, po czym opadła w dół. Wartownik zachwiał się jeszcze, po czym runął jak długi na podłogę.

Oran dmuchnął z całej siły, by drobinki nasennika doleciały do drugiego z przeciwników. Kątem oka zobaczył lecące w swoją stronę ostrze halabardy, próbował odskoczyć w tył, lecz jego stopa zahaczyła o ciało nieprzytomnego mężczyzny i upadł z hukiem. A ostrze

zakręciło w powietrzu i znów zmierzało w jego stronę. Szybko i celnie. Odepchnął się nogami od ściany, przeturlał w bok i nagle poczuł przeraźliwy ból w brzuchu.

Zza pleców usłyszał tupot nóg i przeciągły krzyk rozpacz. Nadciągał Volko. Chudzielec, nie zważając na nic, wpadł w impetem na zaskoczonego takim obrotem sprawy żołnierza i obaj runęli w dół. W prawym ręku trzymał krótki sztylet, który wbił w pierś wroga, lecz cienkie ostrze nie sprostało grubej zbroi i pękło na pół. Wartownik już się otrząsnął z chwilowego zaskoczenia. Rąbnął chudzielca z całej siły łokciem w twarz i zrzucił z siebie z niezwykłą łatwością. Kopnął go jeszcze w żebra, chwycił leżącą tuż obok halabardę i ruszył w stronę próbującego się podnieść Orana, słusznie przypuszczając, że to on stanowi większe zagrożenie. Grubas jednak był szybszy. Cisnął leżącym obok niego dzbanem, trafiając żołnierza w czoło. Ten tylko się uśmiechnął i szedł dalej. Prawą skroń znaczyło mu lekkie rozcięcie, jedna z nóg kulała, lecz było to nic z ogromną furią kotłującą się w jego oczach.

Oran zasłonił głowę rękoma, Volko zakasłał i złapał się za rozbity nos, jedna z pochodni zaskwierczała. Żołnierz był coraz bliżej. Już uniósł w górę broń, już miał ją spuścić z całej siły w skomlącego cicho grubasa, gdy nagle świat wokół niego zawirował, a w płucach zabrakło tchu. Trucizna zaczęła działać. Żołnierz oparł się o ścianę, po czym runął w dół, zahaczając halabardą broni o ramię Orana.

Pochodnia zgasła, Oran zemdlał, Volko wstał i ruszył ostrożnie do leżącego brata.

- Olan, Olan! - krzyknął i chwycił go za twarz. - Żyjesz? Olan, obudź się. Żyjesz?

Grubas otworzył oczy.

- Żyję, Volko, żyję, tylko mnie puść, bo umrę.

Chudzielec odetchnął z ulgą.

- Alem ich załatwił. Widziałeś to, Volko? Widziałeś?

- A jakże, Olan, widziałem. Tylko wstań. Nie możesz tu leżeć. Musimy stąd uciekać.

- Już wstaję, Volko. Alem ich załatwił. Ha, ha, ha. Widziałeś?

Grubas z grymasem bólu podniósł się do pozycji siedzącej. Całe prawe ramię piekło go palącym ogniem. Złapał je lewą dłonią i poczuł lepka, gęstą ciecz, przeciskającą się przez palce niczym marmolada.

- Dobrze się czujesz? - spytał jego zatroskany brat.

- Nic mi nie będzie, Volko. Nic nie będzie - odpowiedział Oran i spojrzał na swój brzuch. Miał szczęście. Z samego rana zapobiegliwy grubasek włożył pod kaftan pancerz z grubej, utwardzanej skóry, co to nabył go okazji dwa lata temu podczas corocznego jarmarku organizowanego w noc Kupały. To uratowało mu życie.

Volko podał bratu dłoń i pomógł mu wstać.

- Chwała bogom. Dasz ladę pójść sam?

- Dam radę, Volko. A jakże. Nie tacy jak oni próbowali pokonać mężnego Orana. Nie tacy, he, he. Widziałeś, jak zem ich załatwił? No przyznaj.

- Widziałem, widziałem, ale luszajmy już. Szkoda czasu.

Chudzielec stracił cierpliwości i pierwszy wszedł do pokoju, którego strzegli pogrążeni we śnie strażnicy.

W pokoju panował nastrojowy półmrok, rozświetlony jedynie przez dogasającą świecę. Bolesław leżał na wznak na drewnianej pryczy. Na rękach i nogach miał żelazne kajdany, a ciało było dodatkowo przywiązane grubą liną owiniętą wokół łóżka. Od ostatniej namiętnej wizyty Lady Erzsébe nie miał żadnych gości, prócz rudowłosej dziewczyny, odwiedzającej go dwa razy dziennie. Służąca przynosiła mu jedzenie, zabierała puste naczynia, opróżniała nocnik i wychodziła. Nigdy nie odezwała się do niego ani jednym słowem, nigdy nawet na niego nie spojrzała. Młodzieniec czuł się coraz bardziej przerażony. Nie wiedział, jak długo leżał w ciemnej komnacie i jak dużo musi jeszcze upłynąć czasu, by psychopatyczna dziwka, jak w myślach nazywał Lady Erzsébe, odprawiła na nim swoje czarne rytuały. Gdy zobaczył nad sobą przeraźliwie chudego mężczyznę, wyglądającego jak starszy brat stracha na wróble, pomyślał, że dzień jego śmierci właśnie nadszedł. Odmówił w myślach modlitwę do

władcy podziemi i czekał. Żał mu było żegnać się z życiem, był przecież bardzo młody.

Zawiodłem cię, ojczyźnie – pomyślał po raz nie wiadomo który, a dwie niewielkie łzy zakręciły się w kącikach jego oczu. Próbował je powstrzymać, lecz nie dał rady. Ciepła kropla samoczynnie spłynęła mu po policzku. Po chwili poczuł czyjeś dłonie na swojej twarzy. Chuda zjawa pochylała się nad nim.

– Książę, książę, obudź się – usłyszał skrzekliwy głos dobiegający z góry.

– Co z nim? – drugi, bardziej piskliwy dźwięk, dobiegał gdzieś z tyłu.

Bolesław otworzył oczy.

– Chwała bogom – westchnął Volko. – Jużem myślał, że nie dychasz. Uciekamy stąd. Musisz się podnieść.

Młodzieniec był zbyt zrezygnowany i przerażony, by dotarły do niego słowa dziwnego przybysza. Nie rzucił się zatem w ramiona swego wybawcy, czego spodziewał się Volko, ani nawet się nie poruszył. Leżał tak jak przedtem – na wznak. Tylko jego oczy zaświeciły się jaskrawym blaskiem nadziei, spowitym jednakże grubą zasłoną podejrzliwości.

– Słyszysz mnie? Przyszlim cię uwolnić. Wstawaj. Nie ma czasu.

Książę powoli podniósł głowę i rozejrzał się po komnacie. Z tyłu dostrzegł dosyć korpulentnego jegomościa, trzymającego się lewą ręką za prawe ramię. Mimo panującego mroku dostrzegł w nim jakąś szczerłość i dobroduszość. Wyglądał zupełnie inaczej niż ci, którzy go tutaj przywieźli.

– Szybko! – ponaglił ich tłuscioch. – Wstawaj, książę. Zaraz ktoś może tu przyjść.

– Wstawaj, wstawaj – zawtórował mu chudzielec, szarpiąc młodzieńca w górę i wodząc zatrwożonym wzrokiem od bladej twarzy więźnia do półotwartych drzwi, w których w każdej chwili spodziewał się ujrzeć krwistoczerwone płaszcze żołnierzy Lady Erzsébe.

Żelazne kajdany wbijały się głęboko w skórę Bolesława, powodując ostry ból. Jęknął.

- Nie wiem, kim jesteście, ani czego ode mnie chcecie, ale jeśli mam wstać, to raczcie zdjąć ze mnie to cholerne żelastwo, bo mi zaraz ręce pourywa.

Volko znieruchomiał. Dopiero teraz dojrzał krepujące księcia kajdany oraz linę owiniętą wokół jego ciała. Zaklął pod nosem i spojrzał niepewnie na brata. Oran zmarszczył brwi, podszedł do łóżka i rzucił okiem na więźnia. Następnie wyjął z za pasa krótki sztylet i szybkim ruchem przeciął linę.

- Trza przeszukać wartowników. Powinni mieć klucze - powiedział, po czym wyszedł na korytarz, krzywiąc się przy każdym ruchu z bólu.

Nic jednak nie znalazł.

- Niech to szlag. Pewnie ta krwawa suka nosi je przy sobie. Oby szczęła w męczarniach, bladź chędożona w rzyć.

- I co teraz? - Volko był bliski płaczu.

- Nie ma co się mazgać. Musimy stąd szybko pryskać, a obrączki zdejmujemy później. Gdzie książę?

- Tu jestem - odezwał się Bolesław, który właśnie pojawił się w drzwiach i przypatrywał się unieruchomionym żołnierzom Pięknej Pani. - Wyście to zrobili?

Oraz wyprężył pierś i złapał się pod boki.

- A jakże. Jam to, nie chwałąc się, uczynił.

- A ja to niby co? Już nie pamiętasz, jak ci...

- Cichaj, Volko. Nie ma teraz czasu na czczą gadaninę. Musimy zwiewać.

Cała trójka ruszyła długim wąskim korytarzem prowadzącym do schodów. Bolesław rzucił od niechcienia okiem na wiszące tuż przed nim malowidło i aż zadrżał z przerażenia. Obraz przedstawiał trupioblada twarz starszego mężczyzny, który patrzył w jego stronę pustymi oczodołami, wewnątrz których gnieździło się mrowie tłustych, żółtobrazowych robaków, przypominających olbrzymie glisty.

Robaki gnieździły się także w ustach, nosie i uszach oraz pełzały po policzkach mężczyzny, wyjadając z nich kawałki mięsa. Twarz nie miała włosów. Zamiast nich z wygolonej do łysa i pokrytej strupami czaszki zwisały skupiska długich węży, które oplatały szyję mężczyzny, wbijając w nią ostre zęby. Książę zdawał się słyszeć ich przeciągły syk i czuć przeraźliwy zapach zgnilizny.

- O bogowie - wyszeptał.

Z tyłu usłyszał przeciągły zgrzyt, jakby ktoś rysował paznokciem po gładkiej powierzchni metalu. Odwrócił głowę i ujrzał idącego za nim chudzielca trzymającego w dłoni długi sztylet, którym ciął przerażające płótno. Uśmiechnął się pod nosem. Obok trupiej twarzy namalowany był portret chłopca otoczonego przez sforę krwiożerczych bestii. Na wpół wilki, na wpół ludzie, z olbrzymimi członkami skierowanymi do góry, rozrywały ciało biedaka na strzępy. Wszędzie widać było strugi krwi. Chłopiec patrzył błagalnie w stronę widza, a w jego oczach czaił się doskonale uchwycony przez malarza strach.

Bolesław miał dosyć. Zakręciło mu się w głowie od tych okropności, więc odwrócił wzrok w drugą stronę. Metalowe obejmy dźwięczały z każdym jego krokiem. Miał wrażenie, że słyhać je na całym zamku. Po chwili pokonał ostatni stopień i znalazł się w przestronnym holu. Kątem oka zobaczył rachityczny trup drzewa wystający z okrągłej donicy, wysuszoną fontannę oraz jakąś obrzydliwą rzeźbę, na którą ledwo co rzucił okiem. Ujrzał też dwóch leżących na podłodze mężczyzn, ubranych w stare wojskowe łachmany. Domyślił się, że to kolejni wartownicy unieruchomieni przez jego wybawców.

Podeszli do drzwi.

- Stójcie - odezwał się Volko, który w wyniku obrażeń ciała, jakich doznał jego starszy brat bliźniak, przejął dowodzenie nad grupą.

Otworzył delikatnie drzwi i wystawił przez nie głowę. Rozejrzał się dookoła, w lewo, prawo i znów w lewo, po czym ostrożnie wyszedł na zewnątrz.

- Droga wolna - szepnął i ruszył jako pierwszy wzdłuż ścian budynku.

Oran wraz z księciem podążyli za nim. Ich skulone sylwetki majaczyły w mroku nocy, a blask księżyca odbijał się w ich szeroko otwartych oczach. Słysząc tylko brzęczenie kajdan oraz syczący odgłos sapania dobywający się z gardzieli rannego Orana. Minęli stajnię, skręcili w lewo i po chwili już byli w szopie. Ostry zapach koni dotarł do ich nozdrzy, niosąc w sobie powiew wolności. Zwierzęta parsknęły z zaniepokojeniem.

- Cicho. Cichutko, koniki. To tylko ja - szepnął w ich stronę Oran, a Volko w tym czasie pomógł księciu wdrapać się na wóz i przykrył go pustymi workami po mące. Sam zaś zajął miejsce na koźle i poczekał na brata.

- Ruszamy - rozkazał Oran słabym głosem. Z każdą chwilą rana na ramieniu dawała mu się coraz bardziej we znaki.

- Poczekajcie - wstrzymał ich młody książę. - Może najpierw byście zdjęli mi te kajdany? Skóra mnie piecze jak cholera.

Volko zaklął pod nosem, Oran rozejrzał się skonsternowany. Zmarszczył czoło, cmoknął kilka razy, podrapał się po brodzie. Nagle chytry uśmieszek rozjaśnił jego lico. Mruknął coś pod nosem i wyszedł bez słowa ze stajni. Wrócił po dłuższej chwili, trzymając w górze zardzewiały klucz. Bolesław odetchnął z ulgą, gdy wreszcie uwolnił się z ciężkich obejm. Volko popędził konie. Wóz wydał przeciągłe skrzypienie i ruszył w mrok nocy. Drewniane koła zdawały się wypełniać jazgotem całe księstwo, lecz na szczęście nikt nie zwrócił na nich uwagi. W końcu dotarli do bramy. Była zamknięta. Siedzący przy niewielkim stoliku wartownicy nie zwrócili na nich uwagi. Jeden z nich trzymał w dłoni blaszany kubek i namiętnie nim potrząsał.

- Dawaj, dawaj - mruknął pod nosem i nagle wyrzucił z niego dwie kostki. Spojrzał na wynik, huknął pięścią w stół i przeklął siarczyście. Dopiero po chwili zauważył stojący przed nimi wóz.

- A gdzież to po nocy się wybierota? - warknął wściekłych głosem, wciąż nie mogąc pogodzić się z utratą dniówki.

Oran uśmiechnął się promiennie.

- Jak to gdzie? Do twojej siostry, Tiborze.

Drugi z wartowników zaśmiał się gardłowo.

- Siostry ni mo, więc możecie wrocać - odezwał się Tibor. - Wyjechała do matuli.

- Nie gadajże tyle, tylko otwieraj bramę. Pośpiesz się!

- Jak to otwieraj? Nie słyszolżeś, że Pikna Poni zobroniła wypuszczyć kogokolwiek z zomku?

- Słyszał żem, słyszał. Słyszał żem też, że zabroniła pić podczas służby.

- Pić? A kto tu pije? No pewno nie my.

- No skoro tak, to będę musiał sam opróżnić ten dzbanuszek. - Oran uniósł w górę zawczasu przygotowany na tę okazję gliniany dzban pełny gorzałki. - Może ty, Volko, mi pomożesz, bo ja nie mam już siły. A wujaszka odwiedzim, jak Piękna Pani wróci. Może jeszcze będzie żył.

- Yhy - potwierdził ochoczo jego brat i przystawił dzban do ust.

- Czekojcie - niemal krzyknął Tibor. - Jak to wujoszko? Tok po nocy?

- Ano po nocy. Leży nieborak na łożu śmierci, więc wszystko mu jedno, czy noc, czy dzień. No ale jak Piękna Pani zakazała wypuszczać, to cóż zrobić. Przyjdzie nam się upić i modlić do bogów o trochę czasu dla niego.

Volko odstawił dzban od ust i zachlipał. Tibor spojrział złaknionym wzrokiem na gliniane naczynie i przełknął ślinę.

- Hmmm. No niech wom będzie. Tylko wróćcie jutro. Piknej Poni ni ma, to i spokój większy momy. No nie stój tak, Ignac, z językiem na brodzie, tylko otwieraj bromę. A ten dzbonuszek to ostowcie. Nie zmarnuje się, co nie, Ignac?

Drugi z żołnierzy zarechotał niczym kocur podczas rui i skwapliwie pokiwał głową. Dwoma susami skoczył do kołowrotka

i zaczął w pocie czoła kręcić korbą.

Trzy serca uciekinierów zabiły przyśpieszonym rytmem. Wolność była już tak blisko.

W końcu krata znalazła się wystarczająco wysoko nad ziemią, by wóz mógł ruszyć w dalszą drogę. Oran otarł pot z czoła, Bolesław wypuścił bezgłośnie powietrze, a Volko otarł nieistniejące łzy. Wjechali na most, gdy wtem do ich uszu dotarł głośny tupot żołnierskich buciorów.

- Zatrzymać ich! Zdrada! Zatrzymać wóz!

- Odkryli nas. Szybko, szybko - wydarł się Oran, lecz Volko nie trzeba było tego mówić. Ostrymi smagnięciami bata próbował wykrzesać z koni całą ich moc. Brona z brzdękiem opadła na ziemię, by po chwili ponownie wspinać się ku górze.

Z dziedzińca słyhać było nerwowe pokrzykiwania żołnierzy:

- Szybciej, do diaska, szybciej!

Wóz zaczął się staczać ze stromego wzniesienia.

[1] Inaczej Dadźbóg, bóg ognia domowego i ofiarnego. Jego imię oznacza bogactwo i pomyślność

Rozdział 7

To były jedne z najdłuższych dni w życiu Wielkiego Księcia i jego dobrodusznej, lecz nader zrzędlivej małżonki Dobromiły. Dni pełne strachu, obaw i niewiadomego. Dni ponure, szare, smutne, wlokące się niemiłosiernie i nużące swoją monotonią. Po dniach następowały zaś noce. Te były jeszcze gorsze. Żadne z nich nie spało. Wiercili się nerwowo na łóżku, zmieniali pozycje, chrząkali, stękali, lecz zasnąć nie mogli. I jak to często bywa u długoletnich małżeństw, zaraz pojawiały się wzajemne pretensje. Ileż ostrych słów padło z obydwu stron, ileż krzyków, ryków, obelg i nerwów, tego żadne z nich policzyć nie było w stanie. A później nadchodził żal. Wtulali się więc bez słowa we własne ramiona, by w nich znaleźć pocieszenie i poradzić sobie ze wszechogarniającym ich strachem. Były też łzy – te puszczone ukradkiem w poduszkę, jak i te jawne – przeciągłe szlochy przychodzące w najmniej oczekiwanych momentach. Ponura służba snuła się w milczeniu po pałacowych korytarzach, starając się schodzić z drogi Wielkiemu Księciu. Nawet kręcące się z kąta w kąt koty zdawały się ciszej miauczeć, nie chcąc swą beztroską burzyć przytłaczającej atmosfery oczekiwania. I tylko wszechobecne myszy harcowały jak dawniej, ganiając w poszukiwaniu kawałka sera.

A Drazdan wciąż leżał bez przytomności.

Wielki Książę stał na tyłach ogrodów. Wieczorny wiatr owiewał jego zatroskaną twarz, mierzwił coraz bardziej siwe włosy, targał połami płaszczka, wywoływał łzy. Zatroskany wzrok prześlizgnął się po

starannie przyciętych krzewach i zatrzymał na niewielkiej altance, gdzie w cieplejsze noce zakochane pary oddają się wspólnej modlitwie ku czci bogini rozkoszy cielesnej – wyuzdanej Mokosz. Tuż obok znajdowała się niewielka sadzawka pełna kumkających żab oraz olbrzymia, obecnie nieczynna fontanna. Nieco dalej stał kamienny labirynt, który ze swoimi wąskimi drózkami, ukrytymi zaułkami i tajnymi przejściami sprawiał niebywałą frajdę latorośli wielmożów. Wielki Książę ruszył w tamtą stronę, lecz zaraz skręcił w lewo i zatrzymał się dopiero przed ostro opadającym stokiem. Tam w dole wznosiło się prężne i dumne miasto Kirań – niegdysiejsza stolica zjednoczonego królestwa. Po jego rozbiciu na pięć udzielnych księstw miasto nic nie straciło na swym znaczeniu. Wciąż pełniło rolę głównego ośrodka handlu, religii i sztuki. Wciąż ze wszystkich stron napływali do niego najróżniejszego autoramentu poszukiwacze bogactwa, przygód i sławy, brzdękając po drodze wypełnionymi do pełna słoikami. Nie mogło oczywiście zabraknąć złodziei, żebraków, oszustów i całej gamy najróżniejszych kurew obojga płci, którzy w każdym mieście świata pełnią ważną funkcję miejscowego folkloru.

Na niebie pojawił się księżyc, oświetlając słabym blaskiem stojący nieopodal pałac. Był to trójkondygnacyjny budynek z dwoma prostopadle usytuowanymi skrzydłami, które tworzyły niepełny prostokąt z rozległym dziedzińcem pośrodku. Fasadę budynku okraszały drogocenne marmury oraz granity pokryte gęstą siecią przemysłnych ornamentów. Znajdowały się na niej kunsztowne reliefy, kartusze i medaliony nawiązujące do bogatej historii Ziemi Warszyckiej oraz zastygłe twarze całego korowodu bóstw, strzyg i upiorów. Majestatycznie wznoszące się półkolumny oraz łukowate i prostokątne okna z misternymi obramowaniami dopełniały całości dzieła. Wnętrze także kipiało od wszelakich ozdób, bogactw i przepychu. Cóż z tego, skoro radości w nim nie było.

- Tutaj jesteście, panie. Szukałem was.

Wyrwany z własnego świata Wielki Książę drgnął, a jego ciało przeszyły nagle dreszcze. Odwrócił się na pięcie i spojrzał

w szlachetną twarz Chociemira Slavy.

- Tak, tak. O co chodzi? Czy coś się stało?

- Drazdan odzyskał przytomność.

Kilka chwil musiało upłynąć, by sens tych słów w pełni dotarł do władcy. Pękate usta poruszyły się bezgłośnie, brwi poderwały się do góry, czoło zafalowało, a tłusta ręka zawisała w powietrzu w połowie drogi między udem a czubkiem głowy.

- Co? Gdzie? Jak? A, Drazdan... kiedy?

- Przed chwilą. Jest bardzo słaby, ledwo dysza, ale otworzył oczy. Jest przy nim medyk i to on mnie posłał po was - odparł gwardzista, lecz Jarogniew już go nie słyszał. Wyrwał do przodu niczym ogromna strzała wystrzelona z balisty, przemierzył ogród, dotarł do pałacu, wpadł na niosącego balie z wodą służącego, pchnął go na ścianę, po czym zaczął biec po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz i robiąc przy tym hałas odpowiedni dla całego oddziału żołnierzy. Gdy w końcu dotarł do izdebki zajmowanej przez rannego, jego czoło było mokre od potu, a usta poruszały się niczym pysk wyjętej z wody ryby.

Drazdan miał otwarte oczy. Pierwszy Wśród Medyków właśnie pochylał się nad nim i przecierał czoło rannego wilgotną szmatką, gdy usłyszał głośny hałas. Odwrócił się w tym samym momencie, w którym Jarogniew Stateczny wpadł do izby.

- Co z nim? - spytał książę między jednym ciężkim sapnięciem a drugim. - Obudził się? Mówił coś?

- Obudził się, Wasza Miłość, lecz jest bardzo słaby. Właśnie skończyłem przykładac mu pijawki, gdy...

- Mówił coś? - przerwał mu Jarogniew i stanął obok medyka, ocierając się o niego opasłym brzuszyskiem tak, że Algurgsis był zmuszony zrobić krok w stronę ściany.

- Jeszcze nie. Jest bardzo słaby.

Władca przesunął się w stronę zagłowania łóżka, napierając jeszcze bardziej na medyka. Ten zrobił nieszczęsną miną, uświadamiając sobie, że oto znalazł się w zabójczych kleszczach między ścianą a monumentalnym bebechem Jego Książęcej Mości. Jarogniew nie

zwrócił na to uwagi. Pochylił się nad rannym i spojrzął na jego bladą, wychudzoną twarz. Wzdłuż lewego policzka olbrzyma biegła świeża blizna, wyglądająca niczym głęboki kanion i nadająca mu jeszcze bardziej złowieszczego wyglądu niż dotychczas. Trudno było to sobie wyobrazić, już przedtem bowiem twarz samozwańczego rycerza była w wystarczającym stopniu poszatkowana starymi szramami i zrogowaceniami, które sprawiały, że przypominała ona górskie pasmo z licznymi wąwozami.

Wielki Książę spojrzął Drazdanowi głęboko w oczy, lecz nie zdołał niczego z nich wyczytać. Zaczerwienione spojówki, rozszerzone źrenice i grudki zaschniętej ropy w kącikach wyglądały prawie normalnie. Pochylił się jeszcze bardziej, co było nie lada wyczynem, zważywszy na jego gabaryty, i chwycił go delikatnie za dłoń.

- Drazdanie, słyszysz mnie?

Mięśnie na twarzy olbrzyma napięły się, a jego usta poruszyły się bezgłośnie.

- Jeśli mnie słyszysz, mrugnij dwa razy powiekami - zaproponował książę, czując pulsowanie żyłki na skroni. Po chwili z jego piersi dobyło się westchnienie ulgi.

Drazdan mrugnął dwukrotnie.

- Całe szczęście, żeś żyw. Całe szczęście. Skup się teraz, bo to bardzo ważne. Zadam ci kilka pytań. Nie musisz odpowiadać. Wystarczy, że dasz mi znak mrugnięciami powiek. Jeśli odpowiedź brzmi „nie”, mrugnij raz, jeśli brzmi „tak”, mrugnij dwa razy, a jeśli nie znasz odpowiedzi, to trzy. Zrozumiałeś mnie?

Chwila niepewności. Dwa mrugnięcia. Kolejny oddech ulgi i kolejne słowa - ciche, syczące, pełne napięcia:

- Zowiesz się Drazdan?

Dwa mrugnięcia i chwila ciszy.

- Jesteś wędrownym komediantem wędrującym po miastach z cyrkową trupą?

Książę mógłby przysiąc, że kąciki ust olbrzyma wygięły się nieznacznie ku górze. Trwało to jednak krócej niż machnięcie

skrzydeł muchy. Oczy Drazdana zamknęły się na ułamek chwili, po czym otworzyły ponownie. Tylko raz. Książę nabrał powietrza w płuca i ze skupionym wyrazem twarzy zadał kolejne pytanie. Jego głos brzmiał teraz szorstko, słysząc w nim było ogrom bólu i niepewności.

- Czy mój syn żyje?

Trzy mrugnięcia.

W komnacie słysząc było przyspieszone oddechy trójki mężczyzn oraz bzyczenie niepokornej muchy, która raz za razem siadała bezczelnie na łóżku, stoliku czy ciele któregoś z mężczyzn. Ogień wesoło skakał po ścianach, na czole księcia perlił się pot.

- Czy wiesz, kto to zrobił?

Dwa mrugnięcia i przerwa. Tym razem dłuższa. Ponowny ciężki oddech i znów głos Jarogniewa:

- Czy to sprawka Helmundów?

Mrugnięcie powiek.

- Olkmunda?

Kolejne pojedyncze mrugnięcie.

- Lady Erzsébe?

Drazdan nieznacznie skinął głową, mrugając dwukrotnie oczyma. Wielki Książę zagryzł zęby i zacisnął dłoń w pięść z taką mocą, że dało się słyszeć chrzęst kości.

- Jesteś pewny, że to sprawka Mrocznej Pani?

Ponownie dwa mrugnięcia i następujące po sobie ciężkie oddechy, zmieszane z odgłosem zgrzytania zębami i niemrawym szuraniem medyka, który wciąż próbował wydostać się z potrzasku.

- Lady Erzsébe - westchnął książę ni to do siebie, ni to do zebranych. - A więc sen mówił prawdę. Tylko czemu? Czemu ta krwawa dziwka kazała porwać mego syna? Czemu?

Przed oczyma księcia pojawiła się rozmazana twarz Mrocznej Pani. Ledwo ją pamiętał. Rozmawiał z nią tylko raz przed siedmioma laty, gdy ta wychodziła za mąż za jego dobrego przyjaciela, księcia Kazmera. Sprawiała wtedy wrażenie cichej, uroczej dziewczynki o jasnych, uformowanych w dwa warkocze włosach, uśmiechniętej

buzi i kokieteryjnym spojrzeniu. On jednak zauważył coś jeszcze. Jakiś drobiazg, ulotny grymas, błysk w oku. Nie pamiętał już, co to było, lecz „to coś” sprawiło, że przez ciało księcia przebiegł wtedy dreszcz. Gdy widział ją po raz drugi – i zarazem ostatni – Lady Erzsébe sprawiała zgoła inne wrażenie. Ubrana cało na czarno, z trupioblada twarzą i krwistoczerwonymi ustami wyglądała bardziej na demona niż człowieka. Drapieżne, lecz jednocześnie niezwykle oszczędne, wyważone ruchy, mrozący krew w żyłach wzrok i wypowiedane bez emocji słowa sprawiły, że Jarogniew ograniczył się jedynie do zdawkowego powitania. Później dochodziły go słuchy o krwawych rządach Lady Erzsébe, o jej wyuzdanych żądzach, trzymany w klatkach dzieciach, torturach, mękach, picciu krwi. Były to jednak plotki, a jak wiadomo, ludziska lubią sobie pogadać. Jarogniew Stateczny miał ważniejsze sprawy na głowie niż obłąkana władczyni ościennego księstwa.

Do teraz.

Księżę wypadł z izby i huknął pięścią w drzwi, aż poczuł ostry ból w dwóch najbardziej wysuniętych kostkach dłoni.

- Ona mi za to zapłaci! - krzyknął w stronę zwisającej z poręczy kolorowej girlandy i kopnął z całej siły w ścianę. Następnie stoczył się po schodach niczym lawina, co to zmiata wszystko, co staje jej na drodze, i wpadł z impetem do pomieszczeń dla służby.

- Zwołać Wielką Radę. Natychmiast - warknął, rozbijając przy okazji stojący na stole wazon, po czym kopnął w krzesło i wybiegł jeszcze szybciej niż wbiegł.

Gdy ponownie pojawił się w pałacu, wyglądał niczym istny bóg zemsty. Czerwona twarz, sterczące włosy, zroszone potem czoło, zaczerwienione i zdarte w paru miejscach kostki i kropelki krwi na ubraniu sprawiały, że nikt nie śmiał się do niego zbliżyć. Także przyśpieszony, gwizdzący oddech i niekontrolowane drgawki mięśni twarzy świadczyły o niedawnym wysiłku. Był jednak dużo spokojniejszy, jakby wyładowanie swej złości na oczekującym

katowskiego topora skazańcu odeгнаło burzowe chmury. Nic bardziej mylnego – burza miała dopiero nadejść.

Jarogniew wkroczył do opustoszałej sali myśliwskiej i począł niecierpliwie dreptać z jednego jej końca na drugi. Tysiące myśli przelatywało mu przez głowę, większość z nich nie wróżyła długiego życia Pięknej Pani. Zaraz po księciu w sali obrad zjawił się niski, szpakowaty mężczyzna o gęstych i czarnych jak atrament brwiach, które sterczały na wszystkie strony świata, oraz niedbale przystrzyżonej brodzie. Był to Argomił Ocki – Pierwszy Wśród Znaczców Prawa. Mężczyzna uklonił się nisko, usiadł cichutko na skraju obitego czerwona tkanina siedziska i w milczeniu czekał na resztę. Zaraz też zaczęli dołączać do niego inni doradcy: pulchny, jowialny, czasem nieco rubaszny Znamir Zbytny – stary druh Jego Księżęcej Mości, przywrócony do łask Baw Oqrth, złotowłosy dowódca Gwardii Księżęcej – imć Chociemir Slava oraz wiecznie poważny, dumny jak paw i niecieszący się zbytnią estymą Mysław Bystry – Pierwszy Wśród Budowniczych. Tuż za nim wkroczył Drogomor Grodny – wysoki mąż o płowych wąsach zaokrąglonych filuternie do góry, którego dyplomatyczne talenty nie raz wybawiały Wielkiego Księcia z opresji. Nie mogło zabraknąć także Nadwornego Skarbnika Księstwa Warszzyckiego – wysokiego i chudego jak tyczka Gościwuja Ręckiego, którego twarz przypominała stuletni bór złożony z gęstych krzaków, a ubranie raziło oczy jaskrawymi barwami, Algurgsisa al-Biruna – Pierwszego Wśród Medyków oraz enigmatycznego Dalibora Sieciecha o przebiegłym spojrzeniu i słowach ostrych jak czubek miecza. Na samym końcu zjawił się Sulimir – Pierwszy Wśród Szpiegów. Wszedł bezgłośnie, rozejrzał się dookoła z szelmowskich uśmiechem, westchnął kilkakrotnie i udał się na swoje miejsce, ciężko powłócząc nogami.

Wielki Księżę splunął na ziemię i już miał zabrać głos, gdy wtem do jego uszu dotarł natarczywy dźwięk brzęczących o siebie bransoletek, wisiorków, świecidełek. Po twarzy władcy przebiegł nieskrywany grymas odrazy, oczy zaszyły mgłą i spoczęły na

człapiącym niezdarnie osobniku. Brzęczenie stało się jeszcze bardziej męczące, natarczywe, gwałcące uszy i poczucie dobrego smaku. Łysa, natłuszczona oliwą czaszka przybyłego odbiła migoczące światło pochodni. Przeciągnięte przez małżowiny uszne, brwi i nozdrza kostki zwierząt stuknęły o siebie. Wielki Książę zacisnął pięści. Pierwszy Wśród Wróżbitów spojrział przelotnie na niego, wyszczerzył białe, spiłowane trzony zębów, usiadł w najdalszym kącie sali i zastygł wpatrzony w swoje pomalowane na czarno paznokcie. Rzadko kiedy się odzywał, a gdy już to robił, nieodmiennie wprowadzał chaos i zdenerwowanie.

Ktoś chrząknął nieśmiało, ktoś odłożył kufel z winem, ktoś zaszurał stopami, a władca wciąż stał z założonymi z tyłu rękoma i myślał. O czym – tego możemy się tylko domyślać.

– Wasza Miłość, dobrze się czujecie? – spytał któryś z zatroskanych doradców, wyrywając księcia z zadumy.

– Tak, tak, dobrze – odparł.

Zrobił krok w przód, przeczesał dłonią włosy i wreszcie przemówił. A słowa, które wypowiadał, miały moc zmieniania biegu świata.

– Zadano gwałt naszemu księstwu, złamano długotrwałą przyjaźń, pogwałcono odwieczne prawa. – Jego głos, z początku cichy, smutny, wyważony, z każdą chwilą przybierał na sile, jakby czerpał energię z książecego gniewu. – Mój syn został porwany, a towarzyszący mu żołnierze podstępnie zabici. To byli prawi ludzie, dzielne woje, ojcowie, mężowie i bracia. Teraz ich już nie ma, a ich dusze łakną zemsty. Ja łaknę zemsty!

Olbrzymia pięść władcy huknęła w stół. Zadzźwięczały kielichy, rozlało się wino, czcigodny dygnął.

– Nie zebrałem was tutaj, by dzielić się własnym bólem, lecz by wspólnie ustalić, co czynić. Jedno jest pewno – takiego gwałtu nie można puścić płazem.

– Czy wiadomo, kto za tym stoi? – wyrwał się Znamir Zbytny.

– Lady Erzsébe.

- Mroczna Pani.

- Ta krwawa dziwka z Magyoranu. To ona to zrobiła. To ona.

Zewsząd zaczęły sypać się odpowiedzi. Zgiełk robił się coraz większy, huczały pięści, zgrzytała stal. Nawet zazwyczaj spokojny i opanowany Baw Oqrth dał się ponieść szaleństwu chwili i darł się jak opętany, ciskając wokół drobinkami śliny. Któryś z doradców wdrapał się na stół, dobył miecza i zaczął nim machać na wszystkie strony, pomstując co sił na Mroczną Dziwkę.

Wojna. To słowo padało coraz częściej, coraz głośniej, coraz wyraźniej. A Pani Śmierć uśmiechała się coraz szerzej i szerzej.

- Cisza! - zagrzmiął nagle Wielki Książę i ponownie zdzielił bogu ducha winny mebel. - Spokój, na brodę Peruna! Cisza! Nie jesteśmy w karczmie, tylko w pałacu, więc zachowujcie się, jak należy.

Zebrani zamilkli, choć od czasu do czasu nadal dało się słyszeć nerwowe pomruki, ciche przekleństwa, groźby, syki i zgrzytanie zębami. Pojawił się służący. Wszedł bezgłośnie, postawił na stole dwa dzbany wina, miskę owoców, kilka pajd chleba i zaraz zniknął, jakby przestraszył się panującego w powietrzu gniewu. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Każdy wpatrywał się we władcę w pełnym napięcia oczekiwaniu. On zaś wciąż stał. Stał, dyszał i żądał krwi. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w pustą przestrzeń ponad głowami zebranych. Jego oczy powoli zmieniały swój naturalny wyraz. Białka stawały się bardziej mgliste, źrenice coraz mniejsze. Twarz przybrała odcień dojrzałego jabłka, na szyi i czole pojawiły się pulsujące żyły, a zęby zacisnęły się z taką siłą, że aż cała twarz zaczęła drgać.

- Czy to pewne, że to Lady Erzsébe stoi za porwaniem? - spytał Gościwuj Ręcki przytłumionym głosem.

- Pewne - odpowiedział mu Chociemir Slava. - Tak pewne, jak zarost na waszym licu, a nawet pewniejsze, bo brodę można zgolić, a porwania Bolesława odwrócić się nie da.

Młody kapitan odgarnął przysłaniający mu lewe oko kosmyk włosów i rozejrzał się smętnie dookoła. Następnie zrelacjonował

zebranych wszystko, czego się dowiedział, a z każdym jego słowem atmosfera w sali zdawała się jeszcze bardziej gęstnieć. Opowiedział zatem o przeklętym lesie pewnym dziwnych odgłosów, tajemniczym napadzie samczej watahy, obryzganym krwią wężem pełnym poległych żołnierzy i ciężko rannym Drazdanie. Nie wspomniał jedynie o ponętnej córce Kołtuna Odludnego, która także jego zdołała wyrwać z kręgu miłośników wierności małżeńskiej.

Gdy skończył, zaległa cisza, tak jakby obecni powoli trawili usłyszane słowa. Trwało to jednak krótko. Bardzo krótko. I znów rozległ się gwar, harmider, chaos. I znów książę musiał wałnąć pięścią w stół. I ponownie nastąpiła cisza. Tym razem dłuższa, przerażająca.

- Nie bardzo to wszystko rozumiem. Gdzie tu logika? Gdzie tu sens? Jakiż to zły duch ją opętał, że porwała się na coś takiego? To mi się w głowie nie mieści - przerwał ją Argomił Ocki.

- Nikomu się w głowie nie mieści. A logiki nie wszędzie trza szukać. Mroczna Pani zwariowała - to jest jedyne wytłumaczenie. Ot co - ożywił się nagle Mysłav Bystry, zaraz jednak na powrót zapadł w swoje zwyczajowe odrętwienie.

- To tak jak z wami, szlachetny Mysławie. U was też próżno szukać logiki - zakpił Dalibor Sieciech, nie mogąc przepuścić tak doborowej okazji, by dogryźć nielubianemu architektowi.

Kilka osób zarechotało niczym zarzynane świnię. Nawet kąciki ust Jarogniewa poderwały się na moment w górę, w krótkiej imitacji uśmiechu. Trwało to jednak krócej niż mrugnięcie powiek i twarz władcy ponownie przypominała tysiącletni grobowiec.

- Może jej chodzi o okup? - zastanawiał się Gościwuj Ręcki. Jak na Nadwornego Skarbnika przystało, jego myśli bez przerwy krążyły wokół pieniędzy, srebra i złota.

- Nie sądzę - zaoponował czcigodny Baw Oqrth. - Tutaj musi chodzić o coś więcej. O coś o wiele bardziej poważnego. Nie wiem, co to jest, lecz prędzej czy później się tego dowiemy. Mam złe przeczucia.

Siedzący obok niego Algurgsis al-Birun skwapliwie pokiwał głową.

- Ja także - przemówił takim głosem, że po plecach paru mężczyzn przeszły ciarki. Jedynie Pierwszy Wśród Wróżbitów wydawał się całkowicie niezainteresowany toczącą się dysputą. Siedział ze znudzoną miną, wpatrując się w czubki własnych dłoni, jakby to z nich chciał wyczytać przyszłość.

- Nie czas teraz na czcze domysły - warknął Wielki Książę. - Ani ja, ani żaden z was nie wiemy, czemu ta dziwka targnęła się na mojego syna, więc zostawmy to w spokoju. Trza nam uradzić, cóż powinniśmy czynić.

- Proponuję wysłać do niej posłów i zażądać bezzwłocznego uwolnienia Bolesława wraz ze stosowną rekompensatą w złocie - zaproponował Pierwszy Wśród Dyplomatów. - Ta dziwka musi zdać sobie sprawę, że my wiemy, iż to ona kazała porwać Bolesława, i nie cofniemy się przed niczym, by wyrównać rachunki. Jeśli nie zgodzi się na nasze warunki, będzie to oznaczało jedno - wojnę.

- Dobrze gada.

- Tak zrobmy.

- Ja pojedę.

- I ja. Chcę jej spojrzeć w te kaprawe ślepie i powiedzieć, co o niej myślę.

- A co, jeśli Bolesława nie ma u niej? Jeśli ktoś zlecił jej porwanie w sobie tylko znanym celu? Co wtedy? - spytał nagle Algurgsis al-Birun, wprawiając wszystkich w osłupienie.

- Masz na myśli Helmundów?

- Helmundy mają w tej chwili swoje problemy - wtrącił się Pierwszy Wśród Szpiegów z tajemniczym uśmieszkiem błakającym się po twarzy. - Ich cesarz ma niespełna sześć lat. Krajem rządzi rada regencyjna złożona z przedstawicieli dwóch frakcji. Żrą się oni między sobą o kontrolę nad gnojkiem niczym dwa wściekłe kundły o kawałek kości. Ostatnio doszło nawet do zamachu na członka jednej z frakcji. Ależ się rwetes zrobił, jakby kto kij w mrowisko włożył. Mało

nie doszło do wybuchu wojny domowej. Niestety udało im się jakoś ten spór załagodzić. Ze względu na wrodzoną skromność nie będę się wdawał w dalsze szczegóły i pominię swoją rolę w tym drobnym incydencie.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Ja nic nie chcę powiedzieć, szlachetny Znamirze - przerwał mu Sulimir w połowie zdania. - Lepiej, żeby każdy wiedział tyle, ile potrzeba. Ja tylko robię, co w mojej mocy, by chronić nasze księstwo. A im słabsi są nasi wrogowie, tym mocniejsi jesteśmy my.

Sulimir powiódł dookoła napuszonym wzrokiem. Był dumny niczym młokos po zbałamuceniu pierwszej w życiu dziewczki i bynajmniej nie zamierzał rezygnować z tej krótkiej chwili triumfu.

- No więc któż? Może symonici? Wszak podobno coraz więcej się ich tu kręci.

- Skończmy już te durne domysły - ponownie wściekł się władca. - Zachowujecie się jak stado przekupek. Drogomorze, jutro z rana weźmiesz ze sobą paru ludzi i udasz się do zamku Erzsébe. Oddasz w jej ręce list, który napiszę, i poczekasz na odpowiedź. Dam jej dwa dni na oddanie mego syna. Jeśli nie spełni żądania, to wtedy zgmiotę tę dziwkę jak zgniłą śliwkę, a jej truchło każę rozerwać końmi. Taka jest ma wola.

Kilku mężczyzn klasnęło w dłonie, kilku wstało z miejsc i przyłożyło pięść do serca.

- Jak sobie życzysz, Wasza Miłość - pokornie odpowiedział Drogomor i spuścił głowę.

- To wszystko. Chyba że ktoś chce jeszcze coś dodać?

Kilka głów przekręciło się z lewa na prawo, z prawa na lewo. Kilka zadków poderwało się z krzeseł, kilka stóp oderwało się od ziemi. Zaraz jednak ponownie znieruchomiało, a oczy ich właścicieli powędrowały w kierunku młodego kapitana książęcej gwardii.

- Jeśli łaska, Wasza Miłość?

- Mów.

- Proponuję jeszcze to obgadać. Wszak wojna to poważna sprawa, a teraz idzie zima i wszystkie działania zostaną utrudnione. Nie raz słyszałem o potężnych armiach, które zostały zdziesiątkowane przez mrozy i śniegi. Zamek Erzsébe leży w dogodnym do obrony miejscu. Trudno będzie wziąć go szturmem, a do oblężenia trzeba się dobrze przygotować. Zima nam nie pomoże. Może lepiej poczekać do wiosny?

- Mam czekać bezczynnie, aż ta dziwka zabije mojego syna? - zdziwił się książę i poraził dowódcę spojrzeniem.

- Wybacz mi, Wasza Miłość, ale obecnie życie waszego syna nie zależy od was. Zresztą gdyby Erzsébe chciała go zabić, prędzej wysłałaby skrytobójcę, niż zadawała sobie tyle trudu, by go porwać. Ciekawi mnie także, jak inne księstwa zareagują na wojnę. Musimy ich uprzedzić, wyjaśnić nasze powody, bo inaczej pomyślą, że to my jesteśmy agresorami, a do tego raczej wolelibyśmy nie dopuścić.

- Mam się im tłumaczyć niczym jakiś pacholek? Nie wiem, czy o tym zapomniałeś, ale to ja jestem Wielkim Księciem, seniorem Pięciu Księstw, i to mnie inni władcy winni okazywać posłuszeństwo.

- Nie zapomniałem o tym, Wasza Miłość, lecz dobrze wiemy, że testament Bolesława Prostonosego to zamierzchnia przeszłość. Władcy nie chcą o nim pamiętać ani tym bardziej mu się podporządkować. Jesteśmy rozbici jak nigdy dotąd i tylko jakimś cudem nie skoczyliśmy sobie do gardeł. Gdy napadniemy Magyoran bez wyjaśnienia naszych racji, inne księstwa mogą się zbuntować i nawet my nie poradzimy sobie z czterema wrogami naraz. Rozszarpią nas niczym stado wilków... wybaczcie - to nie było dobre porównanie.

W obszernej sali zaległa przytłaczająca cisza. Jedyne głębokie, niekiedy świszczące oddechy zebranych zlewały się ze sobą, tworząc złowieszczy szum. Nikt się nie poruszył, nikt nie wstał, nikt się nie odezwał. Każdy tylko gapił się to na księcia, to na kapitana, jakby oczekiwał kolejnego aktu.

- Chociemir ma rację - przemówił nieoczekiwanie Drogomor Grodny, gdy władca zdołał już opanować gniew. - Trzeba przewidzieć,

jak zachowają się inni władcy, i w razie możliwości przeciągnąć ich na naszą stronę. Jak na razie liczyć możemy jedynie na Ichnuzję, z którą od lat łączą nas doskonałe stosunki. Cóż jednak zrobi Breslang? Cóż zrobi Kriglandastan? To są kluczowe pytania.

Księżę milczał przez jakiś czas, tylko jego palce wędrowały raz za razem od pełnej miski orzechów do pełnych tłuszczu ust.

- Może i macie rację - przemówił Jarogniew po dłuższej chwili i zapatrzył się zatroskanym wzrokiem na wiszący na ścianie wypchany pysk rysia. - Wiadomo coś więcej o tych księstwach? Sulimirze, tyś powinien być najlepiej poinformowany.

- Na tronie Kriglandastanu zasiada Olkmund Staloręki. To ponoć rozsądny człek, lecz niezwykle dumny i podejrzliwy. Słyszałem plotki, że niegdyś uderzał w konkury do Erzsébe, lecz ta odprawiła go z kwitkiem. Nie wiem, czy to nam pomoże, czy przeszkodzi. Jedno jest pewne - trzeba się z nim obchodzić niczym z jajkiem. Możemy go nieco przycisnąć, połechtać jego próżność i ewentualnie rzucić mu w nagrodę kilka sakiewek złota. Z pewnością pogłoski o poczynaniach Mrocznej Pani doszły do jego uszu, więc powinien nas zrozumieć. Nieco gorzej wygląda sprawa z Breslangiem. Brurgrund Moźnowładca jest już dość sędziwy, a odkąd bez mała osiem lat temu zmarła jego druga żona, podupadł znacznie na zdrowiu. Mówiąc krótko, zwariował. Stał się nieobliczalny i często traci kontakt z rzeczywistością. Księstwem faktycznie rządzi niejaki Hamil al-Kataraj, o którym niewiele wiadomo. Są tylko plotki mówiące, że pochodzi zza oceanu i że pała się czarną magią. Ale, jak już rzekłem, to tylko plotki, a jak wiecie, ludziska różnie gadają. Po śmierci żony Brurgrunda ten cały Hamil al-Kataraj bardzo szybko zdobył zaufanie księcia i w krótkim czasie przejął praktycznie całą władzę. Od tamtej pory Breslang prowadzi politykę izolacji, ograniczając kontakty z innymi księstwami do minimum. Narzucono też niezwykle wysokie cła, tak że karawany kupieckie omijają te ziemie szerokim łukiem. Jedynie okręty zza oceanu przybijają do ich portów, jakby ograniczyli się do kontaktu z dalekimi krajami. Wydało mi się to trochę dziwne

i swego czasu starałem się zdobyć trochę informacji o tym, co się tam dzieje, lecz moje wysiłki zostały udaremnione, a siatka szpiegów doszczętnie rozbita. Później nastąpił kryzys helmundzki i muszę przyznać z pokorą, że trochę zapomniałem o Breslangu. Może to był błąd?

- Dobrze wiedzieć, że ty także popełniasz błędy - zauważył cierpko Gościwuj Ręcki.

Kilkoro z obecnych przytaknęło ochoczo i obdarzyło szpiega kpiącymi uśmiezkami.

- Dla nas byłoby dobrze, gdyby Breslang nadal pozostał w izolacji, jednak musimy brać pod uwagę najróżniejsze warianty i w razie wojny zabezpieczyć się przed ewentualnym atakiem z ich strony - kontynuował Sulimir, ignorując tę drobną uszczypliwość.

- Może trzeba będzie ich przekupić? - zaproponował nieśmiałym głosem Pierwszy Wśród Znawców Prawa, Argomił Ocki.

- Ciekawe tylko, skąd weźmiemy na to złoto - odparł Nadworny Skarbnik Gościwuj Ręcki. - Nasz skarbiec nie jest workiem bez dna, a wojna kosztuje. I to dużo.

- Brak wojny czasem kosztuje znacznie więcej - odpowiedział mu ostro Dalibor Sieciech. - Znalezienie złota to już twoje zadanie.

- Nie jestem magiem.

- Ale jesteś Nadwornym Skarbnikiem, do cholery. Wystarczy, że zwrócisz to, co nakradłeś przez te wszystkie lata, a stać nas będzie nawet na przekupienie samego Peruna - wypalił Dalibor, posyłając w kierunku siedzącego naprzeciw skarbnika wściekłe spojrzenie.

- Zawrzyj pysk, suczy synu - wycedził przez zęby Gościwuj Ręcki i poderwał z krzesła swe chude, sięgające prawie do sufitu ciało. Prawa dłoń już sięgnęła za pas i zacisnęła się na wysadzanej diamentami rękojeści długiego sztyletu. Poderwał się również sięgający mu do pasa Dalibor Sieciech, wyciągając zza pazuchy krótki, błyszczący nóż.

Awantura wisiała w powietrzu. Pozostali mężczyźni z niepokojem oczekiwali kolejnych wydarzeń. Wszak wzajemna antypatia między

tymi dwoma nie była żadną tajemnicą. Tylko ksiązę był niewzruszony, siedział spokojnie z zamysloną twarzą i spojrzeniem wbitym w przezroczystość powietrza.

- Jeżeli prawdą jest to, co powiedział szlachetny Sulimir na temat Helmundów - przemówił kapitan Chociemir Slava, ignorując zupełnie sprzeczkę między Gościwujem a Daliborem - to możemy część wojska przenieść z zachodu i obsadzić zamki wzdłuż granicy z Breslangiem. W razie napaści z ich strony zyskamy czas i zdołamy zebrać siły, by go odeprzeć.

- Chcesz zostawić niebronioną zachodnią granicę? - Twarz Drogomora Grodnego wykrzywiła się w wyrazie nieskrywanego zdziwienia, a jego głos brzmiał niczym zgrzyt metalu o kamień. - Przecież to wariactwo.

- Nie takie znów wariactwo - poparł kapitana Pierwszy Wśród Szpiegów. - W obecnej sytuacji większe niebezpieczeństwo grozi nam ze strony nieprzewidywalnego Breslangu niż ze strony skłóconego i słabego jak nigdy dotąd cesarstwa.

Pierwszy Wśród Dyplomatów jeszcze długo nie mógł się przekonać, lecz w końcu dał za wygraną i przez resztę czasu niewiele się odzywał. Narada zaś trwała w najlepsze. W pewnej chwili do sali wniesiono olbrzymią mapę Pięciu Księstw. Mężczyźni pochylili się nad nią i, przekrzykując się nawzajem, zaczęli rozpatrywać różne warianty ewentualnego ataku oraz obrony, kierunki natarć, przeciwnatarć, trasy przemarszu wojsk oraz zaopatrzenia. Twarde, męskie i okraszone dużą ilością mocnego wina rozmowy zdawały się trwać bez końca. I gdy już zdawało się, że wszystko zostało ustalone, a mężczyźni myślami byli przy swoich żonach, dzieciach czy nałożnicach, nieoczekiwanie odezwał się milczący do tej pory Pierwszy Wśród Wróżbitów. Wysoki tembr jego głosu wzbił się w górę i wirował w powietrzu niczym chmara szarańczy, ręce to wznosiły się, to opadały, a twarz wyrażała pełnię oburzenia.

- Moi bracia. Słuchałem was dotąd bez słowa, lecz dłużej milczeć nie mogę. Bo jakże to tak, chcecie podejmować decyzje sami? Bez

porozumienia z bogami? Bez pytania ich o wolę? Bez stosownych ofiar? Kimże wy jesteście, że uważacie się za równych im? To bogowie dają wam życie i tylko oni mogą je odebrać. Przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji trzeba się udać do świątyni, by tam...

- Zamknij się! - warknął książę i nie czekając na odpowiedź, poderwał się z miejsca i ruszył w stronę wyjścia. - Obrady zakończone.

Kilkoro mężczyzn ochoczo podążyło za nim. Inni zostali, nie chcąc obrazić pośrednika między światem bogów a światem ludzi. Ten zaś wciąż gadał jak najęty, a z jego ust wypływała istna rzeka słów, gróźb i świętego oburzenia. W końcu i najwytrwalsi z doradców Wielkiego Księcia mieli dosyć i ukradkiem zaczęli opuszczać sale obrad. A wróżbita wciąż gadał i gadał, i gadał.

Następnego dnia, gdy tylko pierwsze promyki słońca padły na zmarzniętą ziemię, niewielki oddział żołnierzy wyruszył z miasta Kirań. Posuwali się szybkim tempem w stronę owianego złą sławą zamku Lady Erzsébe. Na ich twarzach nie było widać napięcia, jakby nie zdawali sobie sprawy, że od wyniku ich misji zależeć mogą losy tysięcy. Tylko jadący z przodu Drogomor Grodny snuł się ze wzrokiem utkwionym w majaczące w oddali góry. Tuż koło niego jechał Bratko z Harnawy, który od dłuższego czasu obserwował nachmurzoną minę Pierwszego Wśród Dyplomatów. Stary wiarus zbliżył się do dostojnika i zagadnął go jakby od niechcienia:

- Słyszał żem, że jakaś wojenka nam się szykuje. Prawda to czy znowu ludziska po próżni gadają?

Dyplomata uśmiechnął się tajemniczo.

- Może i prawda, może i nieprawda. Któż to wie?

- Ale przecież wy coś wiecie, panie. Uchylilibyście rąbka tajemnicy.

- A cóż to za tajemnica? - zaśmiał się w głos Drogomor. Natychmiast koło niego zebrała się grupka ciekawskich żołnierzy,

nadstawiając czujnie uszu. – Sam nie wiem, co nam los przyniesie. A że wojna być może, to się zgadzam.

– Czyli to prawda, że Mroczna Pani porwała syna Wielkiego Księcia? – wtrącił się młody żołnierz o kędzierzawych włosach i patykowatych nogach wyrastających z zadziwiająco krótkiego korpusu.

Drogomor ponownie się zaśmiał.

– A powiadają, że to baby plotkują, he, he, he. Ano porwała, bładź chędożona. A czemuż, tego nikt nie wie.

– Czyli wojna będzie jak nic. Wielcy panowie nie z takich powodów skaczą sobie do gardeł.

– Szkoda tylko, że to my musimy nadstawiać za nich karku. No ale cóż zrobić, taka jest dola poddanych.

– Mnie w to akurat graj. Przyda się trochę stare kości rozruszać, a i łupy łącne zdobyć nie zaszkodzi. Jak za dawnych czasów. Ech, cóż to była za wojenka, aż mi łzy z oczu ciekną, gdy se wspominam, jak zem pospołu z mym tatkiem gonił Helmundów po ich krainie. I brankę zem wtedy zdobył, co to do dziś mi wyrko grzeje, he, he, he. A jakie łupy były, tego nawet sobie wyobrazić nie umiecie. Ze dwie wioski za to mógłbym sobie kupić – odezwał się stary wiarus Bratko i wypiął z dumą pierś.

– O jakich łupach ty gadasz? – wtrącił się dowódca oddziału, Miron Kamienna Szczeka. – Toż tam bida piszczy, jak się patrzy. Mroczna Pani wszystkich zdążyła złupić. No chyba że zamek zdobędziemy, ale coś mi się zdaje, że nawet wtedy łupów nie obaczysz. Wielki Książę wszystko zgarnie do skarbcza, a dla takich nicponi jak ty zostaną ino kości. He, he, he. Nie znasz wielkich panów, oj, nie znasz.

– Wszyscyście głupi – warknął Drogomor Grodny. – Toż to wojny jeszcze nie ma, a wy się już o łupy dopominacie. Zresztą bądźcie już cicho. Coś mi się zdaje, że wjechaliśmy na jej ziemie. Nie wiadomo, jakie lichy się tu czai.

Żołnierze spojrzeli znacząco po sobie. W jednej chwili ucichły śmiechy, rozmowy, szepty. Dłonie mimowolnie zacisnęły się na rękojeściach mieczy, a oczy zaczęły biegać nerwowo na wszystkie strony. Jechali trochę wolniej, zbici w ciasną gromadę. Z każdą kolejną milą widać było coraz większą różnicę między dwoma księstwami. Zamiast zadbanej chatki stojącej wśród złocistych pól żołnierze mijali zaniedbane wsie pełne bezpańskich psów i wychudzonych kotów. Nie było ciekawskich szkrabów wybiegających na drogę i patrzących z zaciekawieniem na okryte kropierzami wierzchowce ani zarumienionych dzierlatek posyłających wiarusom pęki usianych z wiatru buziaków. Były za to złężnione spojrzenia przeraźliwie chudych widm snujących się po polach. Nawet śpiew ptaków zdawał się zgoła inny w tym zapomnianym przez bogów zakątku świata. Mniej radosny i beztroski, pełen za to przenikającego do szpiku kości bólu. Monotonna ptasia elegia o dawnej chwale Magyoranu.

Czwartego dnia podróży ujrzeli okrytą złowrogą sławą siedzibę Lady Erzsébe. Zdumieli się na jej widok. Z daleka zamek wyglądał wprost bajecznie. Jasne promienie słońca odbijały się od gruboziarnistych piaskowców, a wznosząca się do samego nieba wieża zdawała się zlewać z bielą kłębiących się wysoko chmur. Próżno jednak było szukać pełnych zachwyty okrzyków wśród posłów Wielkiego Księcia. Żołnierze jechali w stronę zamku z ponurymi minami. Niektórym zdawało się, że słyszą ponure zawodzenie dusz, które nie mogą zaznać wiecznego spokoju. Mylili się. To tylko wiatr smętnie zawodził nad tą nieszczęsną krainą.

Oddział zatrzymał się przed zwodzonym mostem. Zabrzmiał przeciągły dźwięk rogu, w powietrzu załopotąła biała flaga. Drogomor Grodny przyglądał nerwowo swoje wąsiska i poprawił się w siodle. Po chwili usłyszał charakterystyczny zgrzyt opuszczanego mostu. W otwartej bramie stanęło pięciu mężczyzn. Ich dłonie czały się blisko spoczywających u pasa mieczy, a z zakutych w stal łbów łypały

nieufne ślepia. Jeden z nich wysunął się do przodu, stanął w rozkroku i odezwał się głosem przypominającym huk wodospadu:

- Czym mogę służyć moim przyjaciołom z Księstwa Ziemi Warszzyckiej?

- W imieniu Jarogniewa Statecznego, Wielkiego Księcia Ziemi Warszzyckiej, przybywamy z listem do księżnej Magyoranu, Lady Erzsébe - donośny głos Pierwszego Wśród Dyplomatów zagłuszył echo słów stojącego po drugiej stronie wojaka.

- Poni ni mo w zomku. Wczoraj wybroła się na polowonie. Powinna wrócić nazajutrz - odpowiedział dowodzący garnizonem księżnej kapitan Oszlo Hyugart.

Drogomor Grodny zmarszczył brwi.

- Jak to nie ma? Hm, ciekawe. W takim razie każ przygotować dla nas kwatery. Poczekamy tu na księżną.

Oszlo Hyugart zrobił krok w przód i stanął w rozkroku. Wiatr przewiał chmury, wzeszło słońce. Jego promienie odbiły się od lśniącej zbroi Magyorańczyka i poraziły oczy wzburzonego dyplomaty.

- Słyszał żeś, com rzekł. Streszczaj się, nie będę tu stał do wieczora.

- Słyszeć, słyszołem, lecz wpuścić nie mogę. Pikna Poni zobroniła wpuszczać kogokolwiek do zomku pod jej nieobecność. Możecie poczekać no dole. Pół dnia drogi stąd jest zozjazd. Wróćcie jutro pod wieczór. Poni powinna już być.

Dyplomata zagryzł zęby, próbując zapanować nad sobą. Jego dłoń zacisnęła się odruchowo na rękojeści miecza. Oszlo zdołał to zauważyć i przesunął się pół kroku w bok, odsłaniając stojącego za nim kusznika. Reszta mężczyzn czekała w napięciu. Ich naprężone mięśnie drgały w oczekiwaniu na jakiś nagły ruch przeciwnika, oczy wodziły dookoła, serca biły szybciej. Któryś z koni parsknął, inny kłapnął uszami. Drogomor opuścił rękę, lecz wciąż znajdowała się ona blisko oręża.

- Co?! Mam czekać w jakimś zatęchłym zajeździe niczym jakiś marny kupczyzna?! Reprezentuję władzę samego Wielkiego Księcia.

Żądam otwarcia bramy i kwater dla mnie i moich żołnierzy!

- Przykro mi, szlochety ponie, ale rozkazy księżnej są jasne. Nikogo nie wpuszczoć. Roczcie wrócić jutro, bo nic zrobić nie mogę - odparł Oszło, nie bacząc na zdenerwowanie swego rozmówcy i szmer oburzenia wśród stojących po drugiej stronie żołnierzy.

Drogomor zaklął siarczyście. Delikatny podmuch wiatru rozwiął mu włosy i otulił twarz przyjemnym ciepłem, lecz nawet to nie złagodziło jego gniewu. Skierował wzrok wzdłuż masywnych murów, spojrzał na bramę, na most, na basztę, jakby zastanawiał się nad możliwościami szturm. Później znów spojrzał na stojącego w bezruchu kapitana jeszcze nie wrogiej armii, zgrzytnął zębami i przemówił:

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z konsekwencji? Mój pan nie będzie zadowolony z tego, jak zostałem potraktowany.

- Sram na twego pana, wąsaty kiepie - odezwał się szeptem kapitan Oszło, wzbudzając stłumiony chichot stojącego za nim kusznika. Drogomor na szczęście tego nie słyszał.

- Bez urozy, szlochety ponie, ja tylko wykonuję rozkazy swej Poni. Kozoła nie wpuszczoć, to nie wpuszczom, ot co.

- Ot co, ot co - warknął poseł ze złością, naśladowując głos kapitana. Splunął pod jego nogi, posłał mordercze spojrzenie stojącym za nim żołnierzom i zawrócił konia. Po chwili znów się odwrócił i dodał przez zaciśnięte zęby:

- Jeśli jutro twej poni nie będzie na zamku, powrócę tu z całą armią i sam ją wywlokę z komnat, a ciebie każę powiesić na najbliższym drzewie. Zaklinam się na brodę Peruna, jakem Drogomor Grodny - Pierwszy Wśród Dyplomatów.

To powiedziawszy, pogonił konia i ruszył w dół.

Rozdział 8

Ostry zapach czosnku, egzotycznych przypraw i pieczonego mięsiwa wydostawał się z posrebrzanych półmisek i niczym sieć niewidzialnych nici wpadał do nozdrzy siedzących u długiego stołu gości. Dzień zmierzał powoli ku końcowi. To był dobry dzień. Owocny, radosny, beztroski. Czyżby jeden z takich ostatnich?

Teraz zaś był czas uczyty. Sędziwy gospodarz, Iszlo Koztuntz, dał ręką znak i parujące półmiski zaczęły z łoskotem lądować na stole. A czegoż w nich nie było: pieczone kaczkę nadziewane kwaskowatymi jabłkami i posypane z wierzchu płatkami migdałów, perliczki w sosie szafranowym, zajace z grzybami, bażanty, przepiórki. Na koniec wniesiono upieczonego na rożnie dzika, co to trzymał w pysku czerwone jabłko, będące niemym świadkiem jego marnego końca. Stukały miski, skrzypiały zmęczone kości. A później słyhać było jedynie mlaskanie, ciamkanie, siorbanie, bekanie.

- Jedzcie, pijcie, na zdrowie - zachęcał gospodarz, lecz zachęcać nie trzeba było. Poddani Pięknej Pani pałaszowali jak najęci, ogałacając miskę za miską, dzban za dzbanem. I jeszcze im było mało, i jeszcze chcieli więcej.

Wniesiono półmiski z chlebem, tace z serami, marynowane grzybki i pęta kiełbasy. I jeszcze więcej wina, i jeszcze więcej wódki.

- Jedzcie, pijcie, na zdrowie - zachęcał gospodarz, lecz miejsca w brzuchach zaczęło powoli brakować.

Iszlo Koztuntz pochylił się w stronę swej siostrzenicy – Lady Erzsébe. W jego piwnych oczach dojrzeć można było dawną siłę i niezłomność charakteru, choć ciało już dawno poddało się druzgocącemu upływowi czasu. Plecy pochyliły się do ziemi, włosy straciły swą dawną, czarną jak krucze pióra barwę, zmieniając się w nieliczne szaro-białe paski pokrywające pomarszczoną czaszkę. Umięśnione niegdyś ramiona były teraz jedynie kruchymi kośćmi owiniętymi pokrytą licznymi plamami skórą.

– Dochodzą do mnie niepokojące plotki na twój temat, Erzuniu – przemówił cichym głosem.

Na gładkiej twarzyczce władczyni pojawiły się zmarszczki. Wargi oderwały się od siebie, ukazując światu drobne, śnieżnobiałe ząbki i koniuszek języka.

– Jakie plotki, wujaszku?

– No wiesz... ludzie różnie gadają. Mówią o twoich rzekomych, hmm, o twoim okrucieństwie. Wybacz, że mówię to tak bezpośrednio, lecz coraz częściej słyszę te plotki i zaczyna mnie to niepokoić.

– Ludzie zawsze dużo gadają, wujaszku. Chyba w to nie wierzysz?

Niewinny uśmiech Lady Erzsébe samym swym wyglądem zadawał kłam potwornym potwarzom i zdawał się głosić wszem i wobec, że tak delikatna niewiasta, o oczach pięknych i wyrażających ogrom miłości do wszelakiego stworzenia, nie byłaby w stanie skrzywdzić nawet latającej muchy.

– Nie wierzę, kochana. Oczywiście, że nie wierzę. Powtarzam ci tylko, com słyszał. Dlaczego ktoś rozpowiada takie rzeczy?

– Ach, wujaszku, to proste. Nie wszystkim się podoba, że słaba i bezbronna kobieta rządzi samotnie Magyoranem. Są tacy, którzy chcą mnie oczernić, by zagarnąć te ziemie dla siebie. Mam tu na myśli konkretną osobę – Jarogniewa Statecznego, choć powinien zwać się raczej Jarogniewem Okrutnym. To on stoi za tymi nedorzecznymi kalumniami. Och, wujaszku, czasami tak bardzo się boję.

– Nie bój się, kochanie. Wiem, że dasz sobie radę. Jesteś bardzo dzielna. Masz to po swojej matce. Ech, co to była za krasawica.

Mówiłem ci, że kiedyś kochało się w niej pół księstwa, ze mną na czele?

- Setki razy, wujaszku. - Na twarzy Erzsébe pojawił się niewyraźny uśmiezek, ledwie widoczny wśród ogromu cierpienia wypisanego na jej buzi.

- A powiedz mi, duszyczko moja, czemuż to Wielki Książę miałby rozpowiadać takie potworne rzeczy?

- Och, wujaszku, ty nic nie rozumiesz. On się mści za to, że odrzuciłam rękę jego syna. Nie dalej niż rok temu przyjechał do mojego zamku wraz z całym orszakiem i zażądał, bym wyszła za Bolesława. Gdy odmówiłam, wściekł się tak bardzo, że zaczął mi wygrażać i powiedział, iż mnie zniszczy. Od tamtej pory zaczęły pojawiać się te okrutne plotki. Chce, by każdy mnie znienawidził, a wtedy będzie miał pretekst, by zaatakować nasz kraj i obwołać Bolesława jego władcą. To są bardzo źli ludzie, boję się ich.

Tym razem w kącikach oczu Erzsébe pojawiły się rzeczywiste łzy, które po chwili zamieniły się w niewielkie strumyczki płynące leniwie po białych policzkach biednej, bezbronnej niewiasty, jaką w tej chwili zdawała się być Piękna Pani. Lady odwróciła głowę, by mieć pewność, że jej dobroduszny wujaszek zobaczy ogrom jej nieszczęścia.

Iszlo Koztuntz zacisnął pięści.

Gdybym był tylko dwadzieścia lat młodszy - pomyślał - osobiście kazałbym wypluć im te podłe kalumnie.

- Jesteś jeszcze młoda, Erzuniu. Może powinnaś znaleźć sobie męża? Samotnej kobiecie bardzo ciężko jest władać księstwem.

- Och, wujaszku chciałam tego. Paru wysoko urodzonych mężczyzn uderzało do mnie w konkury, lecz żaden z nich nie przypadł mi do gustu. Nikt nie może się równać z moich ukochanym Kazmerem. Nawet nie wiesz, jak mi go brakuje. Cały czas mam w pamięci jego czułe oczy, opiekuńcze dłonie, miłującą twarz. Ach, wujaszku. Nie jestem jeszcze gotowa na nikogo innego. Me serce wciąż płacze nad tą niepowetowaną stratą. Może kiedyś będę

w stanie pokochać innego, lecz nie teraz. Nie teraz. Jeszcze jest na to za wcześnie.

- Za wcześnie? Przecież minęło już bez mała siedem lat, moje serduszko?

- Siedem lat? Och, wujaszku. A mnie się czasem zdaje, że to siedem wieków. Od kiedy go nie ma wśród żywych, moje życie straciło urok. Jak mogłabym pokochać kogoś innego? On był dla mnie wszystkim. Był radością mego życia, słońcem i księżycem, mym sercem, moją drugą połową. Och, wujaszku.

Drobna główka Lady opadła bezwładnie na wychudzoną pierś gospodarza, a z jej ust dobył się cichy i przejmujący szloch. Iszlo objął czule swą siostrzenicę. Był zły na siebie, że przez chwilę zaczął wierzyć w te wszystkie potworne oszczerstwa, które dochodziły do jego siedziby. Teraz, gdy ta słaba istotka wtulała się w niego niczym bezbronny szczeniak szukający opieki, wiedział, że to ona stała się ofiarą podłości tego świata. Jakżeby chciał jej pomóc. Stanąć w jej obronie i narażając swe życie, walczyć o jej cześć. Był jednak tylko słabym starcem stojącym jedną nogą na całopalnym stosie.

Lady Erzsébe z zadowoleniem obserwowała grę emocji wypisaną na twarzy wuja. Lubiła go i za nic w świecie nie chciała, aby dowiedział się o jej „drobnych fanaberiach”, jak czasem nazywała swoje krwawe wybryki. Nie robiła przecież nic złego. Była władczynią tych ziem i wszystko, co znajdowało się w ich granicach, należało do niej. Wszystko, wliczając w to nic niewarte życia jej poddanych, których jedynym obowiązkiem jest służyć swej pani w taki sposób, w jaki ona tego wymaga. Nie rozumiała więc, czemuż niektórzy zważają ją po cichu Mroczną Panią, czemuż jej nienawidzą. Nie rozumiała ukradkowych, pełnych jadu spojrzeń i urywanych szeptów. Rozumiała za to strach, który wzbudza wśród poddanych. Uwielbiała go, syciła się nim się, upajała. Tak samo jak roziskrzonymi spojrzeniami mężczyzn, wodzącymi za jej boskim ciałem, rozbierającymi ją w myślach i pragnącymi, by odkryła choć rąbek sukni.

Jej myśli zostały nagle przerwane przez pojawienie się młodziutkiego chłopca, który stanął dwa kroki przed nią i czekał, aż Lady łaskawie zwróci na niego swą uwagę.

Hm, smakowity kąsek – pomyślała Erzsébe, łaskocząc wzrokiem jego chłopięcą buźkę.

Policzki młodzieńca zapłonęły żarem, w oczach pojawił się strach.

- O co chodzi? – spytała księżna swym anielskim głosem i nawet uśmiechnęła się do niego ciepło, czym wprowadziła chłopaka w jeszcze większą konsternację.

- No bo... przyjechał goniec z zamku i prosi was, najpiękniejsza z pięknych, o pilną audiencję. Podobno to coś ważnego.

Lady zmarszczyła czoło. W sercu poczuła ostre ukłucie niepokoju.

- Zaraz wrócę, wujaszku. Sprawdzę tylko, o co chodzi – rzekła do starca, po czym dała znak Iwanowi, by ten ruszył za nią.

Ledwo wyszli z sali, twarz blondynki zmieniła się nie do poznania. Już nie była niewinną księżniczką, na którą czyha zły książę. Ponownie stała się zimną jak mróz, srogą jak bicz i bezwzględna jak sąd ostateczny władczynią.

- Gdzie on jest? – odezwała się szorstko do służącego, który przeskakiwał nerwowo z jednej nogi na drugą. Trząsał się przy tym nieborak, jakby dostał febry.

- Zaprowadzę was, pani.

Ruszyli szerokim korytarzem do niewielkiej salki, w której czekał wystraszony posłaniec. Pot wprost płynął z jego czoła, a serce dudniło niczym tysiąc galopujących elifentów. Nagle do jego uszu dotarły odgłosy ciężkich kroków, dudniących na korytarzu jak wyrok śmierci. Skrzypnięcie drzwi, zmysłowy zapach perfum i głos – oschły, bezwzględny, straszny:

- Cóż to za pilne wieści, że musiałam przerwać ucztę?

Wziął głęboki oddech, przełknął ślinę i wypluł z siebie potok słów, które powoli układały się w nieprawdopodobną wręcz opowieść o ucieczce Bolesława. Potem zamknął oczy i czekał na pierwszy cios.

Lady Erzsébe nie poruszyła się. Ogrom złych wieści spadł na jej kruche barki i poraził ją niczym potężne uderzenie pioruna. Poczuli się tak, jakby ktoś walnął ją obuchem w głowę. Jej mózg zaatakowało naraz tysiąc myśli, kołowrót lęków, burza słów.

Zmarszczka. Młodość. Krew. Zakłęcie. Ucieczka.

Pojedyncze wyrazy zlewały się ze sobą, tworząc istną kakofonię złości i rozpacz. Z upływem czasu do jej świadomości poczęły docierać kolejne złowróżbne fakty, napełniając jej serce coraz to większym niepokojem.

To nie mogło się stać. To niemożliwe, niemożliwe. A co jeśli... jeśli on dotrze do ojca?

Nagle poczuła w sercu bolesną drzazgę, która z każdą kolejną chwilą zdawała się pęcznić. Strach. Obłąd. Groza. Oczyma wyobraźni ujrzała potężną armię u zboczy lśniącego w promieniach słońca zamku. Jej zamku. Usłyszała w myślach świst tysięcy strzał, wrzask tysięcy gardel wdrapujących się na mury, huk padającej baszty.

O bogowie. Czyż nie ma dla mnie ratunku?

Druga, głęboko schowana cząstka jej duszy wciąż jednak miała nadzieję.

Jestem przecież księżną Erzsébe. Bogowie mają mnie w opiece. Zawsze mieli. On się znajdzie. Musi się znaleźć. Musi!

A co, jeśli się nie znajdzie? Co, jeśli zdoła dotrzeć do Pałacu Wiecznego Pokoju? Co, jeśli...

Nagle świat zawirował. Przed oczami ujrzała tysiące gorejących gwiazd, później oślepiający błysk. Ciemność. Bezmierny ocean ciemności, pustki i nicości. Zemdlała, a jej kruche ciało w ostatniej chwili zostało złapane przez potężne ramiona wiernego Iwana.

Nagle z wszechobecnej ciemności wyłoniła się twarz chłopca. Skądś go znała. Drobną buzią okoloną bujną, płową fryzurą, niebieskie oczęta i skromny uśmiech, iskrzący się na niewinnej twarzyczce. Chwilę później na tej twarzy pojawił się grymas bólu, z oczu pociekły łzy. Usłyszała przerażający wrzask. Tuż obok twarzy

chłopca pojawiła się buzia małej dziewczynki o rudych loczkach. Ona także płakała. Po chwili ujrzała kolejną twarz i kolejną. Znała je wszystkie. Twarze przybierały zdeformowane oblicza, a z ich ust zaczynały wypływać przerażające okrzyki, wrzaski i charkoty. I słowa. Tysiące słów. I nagle cisza. Dziesiątki, setki par oczu jej niedawnych ofiar spoglądały oskarżycielsko na Erzsébe, a ich usta poruszały się w jednym rytmie: „Morderczyni. Potwór. Morderczyni”.

I nagle wszystko się skończyło.

Otworzyła oczy. Trochę czasu minęło, nim uświadomiła sobie, że leży w jakiejś nieznanej sobie komnacie. Była sama.

Nie. Ktoś tu jest.

Delikatnie odwróciła głowę, starając się pokonać okalające ją ciemności. Zadrzała. Blask księżyca oświetlił złowrogą postać mężczyzny siedzącego tuż przy niej. To nie była miła twarz. Zadrzała ponownie, czując, jak jej serce zaczyna coraz szybciej bić. Nagle poczuła na dłoni dotyk suchej skóry. Wzdrygnęła się. Z głębin pamięci wychynęły słowa jej babki, gdy ta opowiadała jej o upiorach. Przypomniła sobie opowieści o wyuzdanych inkubach^[1], które zmuszają kobiety do współżycia.

Nie! Tylko nie to! – krzyknęła jej przestraszona dusza. Ciało chciało się ruszyć, lecz było sparaliżowane.

– Pani, dobrze się czujesz? – usłyszała grobowy głos, dobywający się z ust inkuba.

Zaraz! Przecież demony nie mówią.

Zmusiła się, by spojrzeć na niego. Skądś znała tę twarz. Brzydką, dziobatą mordę o kwadratowej szczęce i garbatym nosie. Mordę, która nie mogłaby być tworem kobiecego łona.

A jednak była.

– Iwan? – Jej dłoń nieśmiało ścisnęła potężną łapę swego wiernego sługi. – Iwan, to ty?

Z ust olbrzyma wydobyło się westchnienie ulgi.

Nagle przypomniała sobie wszystko. Polowanie, ucztę, rozmowę z wujem i...

O bogowie.

- Znaleźli ich? - Jej głos z ledwością przeciskał się przez zaciśnięte gardło. Brzmiał inaczej niż zwykle, tak jakby nie należał do niej.

- Nie, słońce tej ziemi. Jeszcze nie znaleźli, ale to tylko kwestia czasu. Rozesłałem żołnierzy we wszystkie strony, a w szczególności ku granicy z Ziemią Warszucką. Przetraszają każdy kamień, każdy krzak i każdą dziurę. Wzdłuż granicy dodatkowo rozesłałem dziesiątki patroli. Znajdziemy ich, Piękna Pani. Nie mają gdzie się ukryć. A teraz leż spokojnie, musisz odpoczywać. Ja się wszystkim zajmę.

- Obyś miał rację. Wiesz, co się stanie, gdy Bolesław dotrze do ojca? Zdajesz sobie sprawę?

- Zdaję, Gwiazdo Polarna, lecz nie zamartwiaj się tym teraz. Musisz odpocząć, wypaść się, a jutro rano uradzimy, cóż powinniśmy dalej czynić. Wypij to.

Ciepła porcelana zetknęła się z sinymi ustami księżnej, a jej przelyk zaatakowała okropna w smaku ciecz. Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz nagle poczuła, jak powoli odpływa w niebyt. Zamknęła oczy i niebawem zasnęła.

Obudziła się w południe. Świeża, wypoczęta i nadzwyczaj spokojna, tak jakby długi sen przyniósł jej nieoczekiwane rozwiązanie. Tak właśnie było. Lady zdobyła się nawet na lekki uśmiech i westchnienie ulgi. Zaraz jednak ponownie targnęły nią wątpliwości. Zdała sobie sprawę, że plan, który właśnie wykrył się w jej uroczej blond główce, miał pewne mankamenty, pewne niewiadome.

Czy mi się to uda? - zapytała sceptyczna część jej duszy.

Uda się. Tobie wszystko się udaje - natychmiast odpowiedziało serce. Nogi podniosły się z łóżka, a usta zawołały warującą pod drzwiami służbę. Obmyła się, przepłukała usta zimną wodą i założywszy wygodny stój, poszła na dół, by pożegnać się ze swym wujem. Niedługo potem, wraz z piętnastoma najwierniejszymi rękodajnymi, opuściła gościnny zamek Iszlo Koztuntza i ruszyła

szerokim gościńcem, kierując się w stronę granicy z Kriglandastanem.

Droga wiła się w zakrętach niczym ślady stóp pijanego szewca, wracającego z knajpy do domu. Po obu jej stronach, w zaskakująco równych odstępach, rosły obszerne klony o palczastych liściach, poprzątkowane świętymi dębami i wyrzeźbionymi w drewnie twarzami srogich bogów. Gdzeniegdzie pojawiały się niewielkie skupiska chat, lecz ich mieszkańcy zaraz się chowali, widząc złote nici uformowane w kształt kruków lecących pośród czerwieni żołnierskich płaszczy. Jeźdźcy nie zwracali na nich uwagi. Snuli się na końskich siodłach, zamknięci w obrębie własnych myśli. Niektórzy spoglądali z melancholią na wirujące na wietrze złociste liście lub grubą pierzynę chmur, zasłaniającą świecące w oddali słońce, i wciągali nosem przesiąknięte wilgocią powietrze. Inni wiercili się nerwowo w siodłach, spoglądając ukradkiem na swą panią i zastanawiając się, gdzież to ich los rzuci. Jechali w milczeniu. Słyszał było jedynie miarowe stukania podków i plusk pryskających kałuż. Od czasu do czasu powietrze przesywał daleki odgłos dzikiego zwierza lub radosny trel krążącego nad ziemią ptactwa. Niebawem usłyszeli coś jeszcze – monotonny szum wartko płynącej rzeki, dobiegający gdzieś z bliska. Popędzili konie i wnet ujrzeni ciemnobrunatne kłębowisko mokrej masy i budzących trwogę wirów. Nierówne brzegi pełne gęsto rosnącej trzciny łączył wąski drewniany mostek, którego zbutwiałe deski sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły zawalić się pod byle podmuchem wiatru.

Lady dała ręką znak i oddział się zatrzymał. Jadący na przedzie Dravko zeskoczył z konia i ostrożnie wstąpił na most. Po chwili usłyszał niepokojący trzask. Mimo to zrobił kolejny krok, aż nagle jedna z desek załamała się pod jego ciężarem, sprawiając, że uderzył się boleśnie w piszczel. Zaklął siarczyście i zawrócił.

- Nie da rady. Trza poszukać innego mostu lub jakiegoś brodu – odezwał się głosem przypominającym odgłos tnącej drewno piły i zaczął masować pulsujące bólem miejsce.

- To szukajmy - odpowiedziała Erzsébe, po czym spięła boki konia piętami i pierwsza ruszyła wąską ścieżką, która biegła wzdłuż linii brzegu. Nie musiała długo jechać. Tuż za ostrym zakrętem jej oczom ukazała się szeroka tratwa, leniwie kołysząca się na wodzie. Nieco dalej zauważyła okazały budynek zbudowany z grubo ciosanych belek, stojący na kamiennej podmurówce. Z wysokiego komina unosił się kłęb szarego dymu, przynoszący obietnicę sutego jadła. Lady natychmiast skierowała pysk konia w tamtą stronę i ruszyła w takt burczącego brzucha. Po chwili cały oddział znalazł się na brukowanym dziedzińcu, w środku którego stała murowana studnia, a po bokach wznosiły się kamienne rzeźby przedstawiające karykatury strudzonych podróżnych. Całość była schludna. Nic dziwnego. Od kiedy stary most stał się - nie bez pomocy rezolutnego karczmarza - całkowicie nieprzejezdny, a ćwierć mili dalej nie postawiono przeprawy promowej, karczma przeżywała okres rozkwitu.

Jeźdźcy zeszli z koni i przekazali je kłaniającym się w pas pachołkom, którzy odprowadzili je do stojących nieopodal stajni. Sami zaś skierowali się ku szerokim schodom prowadzącym do wejścia.

Księżna otworzyła dwuskrzydłowe drzwi zamaszystym ruchem i wkroczyła do karczmy. Wewnątrz unosił się gęsty dym dobiegający z palącego się kominka oraz smród niemytych ciał, ostrych przypraw i taniego alkoholu. Dziesiątki par oczu natychmiast łypnęło na nią z pożądaniem. Zamarły wszelkie rozmowy, śmiechy i dźwięczące odgłosy stukania łyżek i kufli. Rozejrzała się dookoła. W głębi sali dojrzała wolną ławę. Ruszyła w tamtą stronę, zdając sobie sprawę z wrażenia, jakie zrobiło pojawienie się jej pięknej osoby. Ledwo jednak zrobiła kilka kroków, poczuła, jak czyjaś dłoń zaciska się na jej pośladku.

- Ej, maleńka, gdzie tak pędzisz? Zostań ze mną. Zabawimy się - usłyszała chrapliwy głos. Powoli odwróciła głowę.

Siedzący na brzegu prostokątnej ławy typ pożerał wzrokiem jej ciało. Po pokrytej gęstą szczecią brodzie leniwie ściekała strużka

rdzawej śliny, a pokryty białymi plamami jęzor, wystający spoza szpaleru szerniałych zębów, wykonywał wulgarne ruchy, przeszywając gęste od dymu powietrze. Jego ręka coraz śmieiej eksplorowała ponętny zadek władczyni. Mężczyzna uśmiechnął się zbereźnie, a jego myśli powędrowały ku tajemniczym wzgórkom i okrągłościom stojącej przed nim blondynki. Zastanawiał się właśnie, gdzież by tu odkryć tajemnice jej ponętnego ciała, gdy kątem oka zauważył czyjąś zwalistą sylwetkę przesłaniającą mu światło. Oderwał wzrok od wyglądających niczym obietnica nieskończonych rozkoszy piersi i skierował spojrzenie na łypiącego w jego stronę zbira. Ostatnią rzeczą, którą ujrzał w swoim życiu, były dwa bezwzględne ślepie, świecące się w półmroku oraz okrutny uśmieszek malujący się na najbrzydszej mordzie, jaką kiedykolwiek miał okazję widzieć. Zdołał jeszcze dojrzeć kontur mknącego ku jego głowie nadziaka, gdy jego ostry, zakrzywiony dziób wbił się z ogromną siłą w czubek jego głowy. Rozległ się głośny trzask pękającej czaszki. Grube krople krwi spadły na Lady Erzsébe oraz zdumionych towarzyszy nieboszczyka. Ktoś z boku jęknął, ktoś rozlał piwo. Pięciu towarzyszy nieudolnego adoratora poderwało się z siedzisk, chwyciło leżący pod ręką oręż i zaraz padło pod gradem ciosów, pchnięć i uderzeń złowrogich pomocników Iwana.

Erzsébe starła dwoma palcami strużkę krwi z policzka, po czym wsadziła je do ust i zmysłowo oblizała. Uwielbiała ten smak. Następnie rozejrzała się dookoła sali z zimnym jak lód uśmiechem, szukając następnych amatorów umizgów. Chętnych jednak nie było. Siedzący wzdłuż drewnianych ław mężczyźni i nieliczne kobiety pośpiesznie odwracali wzrok, skupiając się na własnych talerzach, kuflach lub - w przypadku braku jednego i drugiego - na czubkach własnych palców. Erzsébe ruszyła wzdłuż sali, zmysłowo kołysząc biodrami. Nikt nie śmiał się nawet poruszyć. Zatrzymała się przy jednym ze stołów i popatrzyła na grupkę wyglądających na kupców mężczyzn. Chwyciła jednego z nich za podbródek i zmusiła, by ten na nią spojrzał.

- Ty też masz ochotę pomacać mój tyłek? - spytała, uśmiechając się figlarnie.

- Ależ... ależ skąd, pani. Ja...

- Nie chcesz? Czyżby ci się nie podobał? - Głos Lady zabrzmiał ostro niczym sygnał ostrzegawczy.

- Podoba, ba, bardzo mi się podoba... jest pię..., piękny, tylko że ja, ja... eee...

- Wiem, że jest piękny, śmieciu. Jeśli tak ci się podoba, to czemu nie chcesz go dotknąć?

- No bo, no bo...

- No bo co?

Ostre paznokcie księżnej wbiły się w skórę nieboraka.

- Nie śmiem, pani... nie, nie czuję się go godny, by do dotknąć.

- I słusznie, nędzny robaku. - Erzsébe puściła podbródek kupca. Chwyciła w dłoń stojący na stole kufel piwa, uniosła go do góry i zaczęła wylewać jego zawartość na głowę mężczyzny. Ten nawet się nie poruszył.

- Ups. Rozlało mi się. Szkoda takiego dobrego piwa.

Pusty kufel z brzdękiem upadł na stół. Ręka Lady zacisnęła się na gęstej czuprynie biedaka, przyciskając jego twarz do blatu stołu.

- Pij - rozkazała.

Mężczyzna wysunął język i zaczął posłusznie zlizywać rozlane piwo, kalecząc sobie przy okazji język o nieheblowane deski. Erzsébe uśmiechnęła się szeroko.

- A ty, kocmołuchu, czyżbyś nie lubił piwa? - skierowała pytanie do siedzącego obok korpulentnego osobnika wpatrującego się w milczeniu we własne dłonie i dygoczącego, jakby dostał febry.

- Lubię, pani.

- To na co czekasz, gamoniu? Pomóż mu. Wy także. Tylko szybko, by się nic nie zmarnowało. No już, raz-dwa.

Kolejne kufle poprzedziły los poprzednika, część piwa rozlała się na podłogę i trzewiki Pięknej Pani.

- O nie, moje buciki - jęknęła i wskazała na nie dłonią.

Kupiec był na tyle roztropny, by domyślić się, cóż powinien uczynić. Nie zastanawiając się długo, rzucił się do nóg blondynki i zaczął zawzięcie polerować obuwie. Lady była w swoim żywiole.

- Podłoga też jest brudna - rzekła w stronę pozostałych kupców.

Tym razem także obyło się bez protestów. Wszyscy jak na komendę rzucili się na brudne klepisko i zaczęli szorować po nim jęzorami. Lady śmiała się coraz głośniej. Pozostali żołnierze zaraz przyłączyli się do zabawy. Ich ciężkie buciory raz za razem kopały żebra czterech nieboraków, a pięści wirowały w powietrzu, rozdając ciosy na lewo i prawo. W pewnym momencie któryś z nich rozpiął rozporek i wysikał się na głowy kłęczących kupców. Jego towarzysze wybuchnęli śmiechem, prześcigając się w coraz to bardziej wymyślnych kpinach. W końcu Lady się znudziła.

- Wynocha! Wszyscy precz! - krzyknęła, a wirujący tembr jej głosu spowodował istny popłoch. Wszyscy goście zerwali się naraz ze swych miejsc, porzucając niedojedzone porcje mięsa, pajdy chleba, niedopite kufle. Niektórzy przepychali się między sobą, chcąc jak najszybciej dobiec drzwi. Inni potykali się o własne lub czyjeś nogi, a jeszcze inni łapali się za bolące części ciała, gdy te zetknęły się z zaciśniętymi kułakami lub ciężkimi buciorami śmiejących się w głos rękodajnych Pięknej Pani. Nie wszyscy jednak uciekli.

- A ty gdzie, ślicznotko? - tubalny głos Dravko wzniósł się ponad gwar, a jego dłoń zacisnęła się na zwisającym luźno warkocz młodziutkiej dziewczyny o delikatnej, usianej drobniuteńkimi piegami twarzą. - Ty zostaniesz z nami.

Dziewczę zaczęło szlochać, próbując się wyrwać z mocarnych łap żołdaka. Tuż przed nim stanął wysoki mężczyzna, którego bogato zdobiona szata świadczyła o zamożności.

- Puść ją, proszę - odezwał się rzeczowym tonem, jakby dobijał transakcji handlowej. - Zapłacę wam, ile chcecie, tylko nie róbcie krzywdy mojej córce. Proszę.

Odpowiedział mu świst powietrza i potężny cios trzonka topora. Mężczyzna upadł na podłogę, a po brodzie pociekła mu strużka krwi.

Następnie po jego półprzytomnym ciele przebiegły dziesiątki stóp, zdeptując go prawie na śmierć. Przeżył, ale już do końca życia pozostał kaleką.

Uwaga Pięknej Pani skierowała się natomiast ku otyłemu karczmarzowi, stojącemu nieruchomo przy drzwiach prowadzących do kuchni. Przywołała go nieznacznym ruchem palca. Podbiegł natychmiast i zaczął kłaniać się do samej ziemi, stękając przy tym, jakby siedział w wychodku.

- Potrzebujemy komnat, dobrego jadła i najlepszych trunków, jakie masz.

Karczmarz pokiwał skwapliwie głową. Wzdłuż obwisłych policzków pociekły mu dwa równoległe strumyki potu.

- Wszystko, co rozkażecie, pani, wszyściutko. Każę przygotować najlepsze komnaty i tyle jadła i trunków, ile tylko chcecie. Wszystko, czego dusza zapragnie. Wszyściutko.

- Przestań głądzić i zabieraj się do roboty.

Grubas ponownie skłonił się do samej ziemi i ruszył na zaplecze zagonić do pracy dwóch niezbyt rozgarniętych pomagierów. Sam zaś dwoił się i troił, aby spełnić każdą zachciankę budzących trwogę gości. A te nie były zbyt wyszukane. Wystarczyło parę półmisków z parującym gulaszem z królika, kilka bochnów chleba oraz niezliczone dzbany mocnego wina, wyjątkowo nierozcieńczonego wodą, by na twarzach gości pojawiła się pełnia szczęścia. Im jednak było mało. Chcieli jeszcze więcej wina, jeszcze więcej żarcia. Zaraz też obszerną salę wypełniły tubalne krzyki, rubaszne śmiechy i coraz to cichszy szloch młodziutkiej dziewczyny. Brzdękały kufle, skrzypiały krzesła. W pewnej chwili ktoś wyjął drewniane skrzypce i w powietrzu uniosły się dźwięki wulgarnej piosnki. Kilkanaście gardeł ryknęło chórem tak, że Lady zmuszona była zatkać sobie uszy. Nie uciszyła jednak kompanii, a po chwili sama darła się wniebogłose. Nie śpiewała tylko gwałcona przez Iwana dziewczyna i przerażony karczmarz ze swymi coraz to bardziej poobijanymi pomagierami.

Zabawa trwała do samego rana, aż w końcu nawet najzagorzalsi amatorzy hulanki musieli ustąpić miejsca pukającego do ich czaszek snu.

Karczmarz był ledwie żywy. Rozmasował bolącą wargę i rozejrzał się dookoła. Wszędzie wałały się resztki jedzenia, rozbite naczynia, połamane meble. Gdzieś w kącie wałało się także śpiące ciało żołdaka, co to nie miał siły dojść o własnych nogach do ułożonych na górze izb dla gości.

- Ech... co tu zrobić? Trza sprzątnąć - szepnął do siebie ze zrezygnowaniem malującym się w spowitych mgłą oczach. Nagle w kącie sali dojrzał niewyraźny zarys chlipiącej cichutko dziewczyny. Siedziała kompletnie naga, starając się osłonić rękoma intymne części ciała.

Karczmarz westchnął ciężko i ostrożnie ruszył w jej stronę. Prawie zapłakał, gdy z bliska ujrzał ogrom zniszczeń na jej niegdyś urodziwej twarzyczce. Teraz przypominała ona kawał surowego mięsa. Wszędzie pełno było guzów, siniaków, zadrapań. Lewe oko całkowicie przesłonięte było fioletową opuchlizną, a nos majtał się na wszystkie strony, jakby miał zaraz odpaść. Karczmarz odwrócił wzrok, nie mogąc dłużej na to patrzeć.

- Barbarzyńcy - westchnął cicho i zazgrzytał zębami. Uklęknął przed dziewczyną i chwycił ją delikatnie za dłoń.

Ta spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. Miała zaczerwienione oczy, w których brakowało już łez.

- Pić - wyszeptała.

Pogłaskał ją po złocistych włosach i pobiegł do kuchni. Gdy wrócił, przystawił jej do ust napełniony wodą kufel. Piła łapczywie, krztusząc się od czasu do czasu i kaszląc.

- Dziękuję.

Karczmarz przemył jej twarz wilgotną szmatką.

- Już dobrze. Wszystko będzie dobrze, tylko nie płacz - szepnął do niej i otarł z kącika oka samotną łezkę.

Delikatnie chwycił rękę dziewczyny i nieopatrznie odsunął ją w bok. Jego wzrok padł nagle na różowe sutki, sterczące niczym dwie dojrzałe wisienki na najsmaczniejszym torcie świata. Chciał odwrócić twarz, zamknąć oczy, spojrzeć w bok, lecz nie potrafił. Zamiast tego zamarł na moment, zauroczony tym niecodziennym dla niego widokiem. Przełknął ślinę, próbując opanować narastające podniecenie. Nagle spojrzał niżej. Dostrzegł kępkę jasnych włosów, perlących się w promieniach migoczących świateł. W jednej chwili zapomniał o współczuciu, a jego ciałem zawładnęło coś zupełnie innego. Jeszcze się wahał, jeszcze walczył ze sobą. Rozejrzał się dookoła, po czym znów spojrzał na przestraszone dziewczę. Już nie widział walczącej o życie nieboraczki, lecz pozbawioną odzienia dziewczynkę. Słabą i bezbronną.

Oblizwał zbacznie wargi.

- Jeden mniej, jeden więcej. Co za różnica - powiedział sam do siebie i wzruszył ramionami. Chwilę potem jego wargi łapczywie przyssały się do piersi dziewczyny. Rzucił ją na podłogę, rozwarł nogi, wyjął z poplamionych spodni nabrzmiałego penisa i wtargnął z impetem do jej wnętrza.

Dziewczyna nawet nie jęknęła. Zamknęła tylko oczy, modląc się o szybką śmierć. Nie walczyła, nie miała na to siły.

Nastał nowy dzień. Podróżni w markotnych humorach ruszyli w dalszą drogę, zostawiając za sobą obrzyganą karczmę i niezapłacony rachunek. Sprawnie przeprawili się przez rzekę, wstępując tym samym na żyzne ziemie Kriglandastanu. W oddali zamajaczyły góry - srogie, skaliste, pokryte wieczną czapą białego puchu. Ruszyli w drugą stronę szerokim brukowanym traktem, który prowadził wprost do stolicy księstwa.

Po dwóch dniach monotonnej jazdy ujrzeli wreszcie jej potężne mury. Co rusz zmuszeni byli wyprzedzać zmierzające do miasta nieprzebrane tłumy podróżnych, wyładowane towarami wozy, teatralne trupy i sunących powoli chłopów. Ich twarze wyglądały inaczej niż lica poddanych Lady Erzsébe. Nie było w nich lęku, nie

było bólu. Zwyczajne chłopskie ryje, szczerzące zęby lub nucące pod nosem skoczne piosnki.

- Bezczelna hołota - warknęła księżna do jadącego obok Iwana. Nie podobała jej się ta wszechobecna beztroska, lecz cóż miała zrobić?

W końcu dotarli do bramy, która uformowana w łuk i pokryta misternymi płaskorzeźbami onieśmiała swoją wielkością. Strażnicy przepuścili ich bez zbędnych ceregieli, przesuając wzrokiem po zgrabnym ciele jadącej na przedzie blondynki.

Znaleźli się w mieście Arkt, rozciągającym się po obu brzegach szerokiej rzeki Xryny. Trwały tu właśnie ostatnie przygotowania do dwudniowych obchodów ku czci jego patronki - wyuzdanej bogini cielesnych żądz - Mokosz. Święto miało się rozpocząć o zmierzchu, lecz już teraz widać było barwny korowód mieszkańców, licznych gości oraz zmysłowych (czasem mniej) kurtyzan przybyłych z całego kraju. Dla tych ostatnich dwa najbliższe dni będą istnymi żniwami.

Wzdłuż ulic miasta porozstawiano liczne kramy oferujące najróżniejsze towary. Prym wiodły chrupkie obwarzanki, nadziewane miodem rogaliki oraz najwymyślniejsze eliksiry i magiczne talizmany. Dużym powodzeniem cieszyły się także czarodziejskie proszki, mające rzekomo ochronić przed niechcianą ciążą.

Na niewielkich skwerach kłębili się najprzeróżniejsi kuglarze, żonglerzy, połykacze ognia oraz mimowie, wyczyniający akrobatyczne sztuczki ku wielkiej radości tłumnie zebranej gawiedzi. Gdzieniegdzie dostrzec można było strojne damulki przechadzające się dumnie po ulicach i rzucające wytwornym młodzieńcom ukradkowe spojrzenia. Zaraz jednak spuszczały skromnie ślipka, a na ich policzki zakradał się płomienny chochlik. Do czasu. Nim Pani Noc na dobre zawładnie światem, te same skromniutki dziewczęta przemienią się w nienasycone swawolnice, wysycające ze swych męskich ofiar resztki energii. Ku ich wielkiemu zresztą zadowoleniu.

W mniejszych uliczkach, przed piętrowymi kamienicami ze zszarzałych piaskowców, rozsiadły się grupki starszych matron.

Wymieniały się najnowszymi wieściami z kraju i ze świata. Głównie jednak z kraju. Z najbliższej okolicy.

- Widziałam, kumo, na włosne oczęta, jok wychodziła z domu Ojgena - szeptała jedna do drugiej. - A to zbereźnica jodna. Zupełnie jok jej mać. A jok odziona była. O bogowie. Niczym lodacznicą albo i jeszcze gorzej.

- A ten to pijaczyna i łajdak. Zdradza żonę na lewo i prawo. Kanalia jedna, że aż szkoda słów. Ech, cóż za świat, moje drogie. Cóż za świat - dało się słyszeć w innym miejscu narzekania starszej kobieciny, która nie mając własnego życia, poświęcała cały swój czas na szpiegowanie innych.

Gdzieniegdzie przemknęła kareta, z trudem przebijając się przez zatłoczone miasto. Gdzieniegdzie jakiś krewki jegomość, co zbyt wcześnie zaczął oddawać cześć Pereplutowi^[2], począł awanturować się z grupką przechodniów, którzy zawinili jedynie tym, że nie mieli przy sobie paru drobniaków, by go poratować. W innym miejscu pewien równie podchmielony pocziwina zbyt nachalnie domagał się daru bogini Mokosz od przechodzącej niewiasty, skupiając na sobie uwagę ciekawskich gapiów.

W całym tym korowodzie osobliwości nie mogło zabraknąć drobnych złodziejasków, którzy, litując się nad biednymi podróżnymi, chcieli im oszczędzić trudu noszenia ciężkich mieszkań pełnych brzęczących monet. Na razie było ich mało. Większość z nich czekała, aż Pani Noc skryje ich nieczne uczynki pod płaszczem mroku, a duże ilości alkoholu otępią zmysły ich ofiar. Jeden z nich jednak nie chciał czekać. Miał pecha. Zamiast złota znalazł kawałek stali w środku własnej nerki.

- Nie tutaj - syknęła ostrzegawczo Lady Erzsébe, widząc błysk miecza i grymas bólu na twarzy młodego syna ulicy, którego ciało z hukiem upadło na ziemię. - Miarkuj się. Nie jesteśmy u siebie.

- Wybacz, Piękna Pani. Ot, takie przyzwyczajenie. - Dravko wyszczerzył zęby w grymasie triumfu. Zaraz jednak przestraszył się

groźnego spojrzenia swej księżnej i dodał skruszonym głosem: - Łajdak chciał mnie okraść. Bronilem się jeno.

Lady jechała w środku, wodząc ciekawskim wzrokiem na wszystkie strony. Chłoneła całą sobą niezwykłą atmosferę miasta, wsłuchiwała się w dźwięki dochodzącej zewsząd muzyki. Jej uwagę przykuła sporej wielkości klatka zbudowana z solidnych drewnianych pali, wzmacnianych dodatkowo stalą. Po obu jej stronach stało dwóch półnagich wojowników - jeden większy od drugiego.

Rozgrzmiał dźwięk gongu. Ruszyli z impetem na siebie, by zaraz zacząć krążyć dookoła niczym ómy wokół światła. Ciosów było jak na lekarstwo. W końcu jeden z nich - potężnie zbudowany brodac z twarzą będącej wystarczającym argumentem na uzasadnienie tezy o proporcjonalnej zależności siły do tępoty - rzucił się do nóg przeciwnika, chcąc sprowadzić walkę do parteru. Tamten jednak nie dał się zaskoczyć. W porę odskoczył, wyprowadzając jednocześnie mocny podbródkowy. Tępak zachwiał się, raz, drugi, trzeci, lecz nie upadł. Zawodnicy znów poczęli krążyć wokół siebie. Na łuku brwiowym ogolonego na łyso olbrzyma pojawiło się krwawiące rozcięcie. Erzsébe oblizwała wargi. Łysol zaatakował. Objął tępaka w pasie i rzucił go na pręty z taką siłą, że dał się słyszeć trzask. Zaczęła się długa szarpanina, podczas której obydwaj raczyli się krótkimi, niewyrządzającymi większej szkody ciosami.

Lady prychnęła ze wzgardą i ruszyła dalej. Gdy ujechała kilka kroków, usłyszała głośny wrzask tłumu. Nie odwróciła nawet głowy. Straciła zainteresowanie nudną walką, obserwując jakiegoś klauna, który rozśmieszał ludzi głupimi minami. Sama też się uśmiechnęła, ale tylko na chwilę. Była tak pochłonięta opracowywaniem strategii podczas zbliżającej się rozmowy z księciem Olkmundem, że nie zauważyła nawet, gdy dotarli w pobliże imponującej siedziby władcy.

Zbudowany z czerwonej cegły pałac stał na ruinach prastarej świątyni boga sennych koszmarów, którego kult przeminął równie szybko, co jędrność piersi pierwszej żony założyciela miasta. Towarzystwo boga nie było może zbyt fortunne, lecz miejsce do

wzniesienia budowli jak najbardziej. Z niewielkiego wzgórza rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na barwne miasto oraz lśniącą w oddali rzekę. Mściwy bożek długo nie mógł się pogodzić z nowymi lokatorami, zsyłając na nich senne mary. W końcu jednak dał za wygraną. Straszliwe koszmary pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu, wraz ze śmiercią ostatniego kapłana, ustały zupełnie. Pałac zaś pozostał i lśnił chwałą przez kolejne wieki.

Ołkmund Staloręki opierał się o marmurowy parapet i z wysokości pierwszego piętra obserwował poczynania ośmioletniego chłopca. Jego stalowoszare oczy pęczniały ojcowską dumą. *Wykapany tatuś* – pomyślał, gdy chłopiec prawidłowo wykonał zasłonę, zrobił krok do tyłu, po czym zadał kontrujące cięcie w wykroczną nogę przeciwnika. Księżę miał rację. Chłopiec był niezwykle podobny do ojca. Miał te same bujne, kręcone włosy barwy dojrzałego kłosa pszenicy, to samo przenikliwe spojrzenie lekko skośnych oczu, wysokie czoło, wąskie i cienkie usta oraz cofnięty podbródek. I podobnie jak ojciec nie był zbyt urodziwy. Nie musiał. Był przecież następcą tronu, a to powodowało, że już od dziecka ustawiała się przed nim długa kolejka uśmiechających się przymilnie panien. Któraż z nich nie chciałaby zostać prawdziwą księżniczką?

Mały Rajmundek za nic miał ich umizgi. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż wysłuchiwanie płaczących smarkul. Chciał w przyszłości zostać wielkim rycerzem, stanąć na czele potężnej armii i prowadzić ją do szeregu zwycięstw. Najpierw jednak musiał nauczyć się dobrze władać mieczem.

- Wygrałem! - krzyknął rozpromieniony, gdy udało mu się wreszcie trafić swego nauczyciela w pierś.

Księżę zaczął bić brawo. *Mój syn* – pomyślał z dumą i wykrzywił w zachwycie swą twarz – trupioblada, pokrytą niezliczonymi piegami oraz okraszoną gęstym lasem rudych włosów.

I tu się mylił. Rajmund nie był jego synem, lecz o tym wiedziała tylko jego zmarła małżonka.

Zza pleców księcia dotarł głośny stukot podkutych butów, roznoszących się po komnacie niczym uderzenia piorunów. Odwrócił głowę i dojrzał jednego ze swoich osobistych gwardzistów. Żołnierz wyprężył się jak struna, stuknął obcasami i zasalutował, uderzając prawą pięścią w okolice serca.

- Czego? - spytał władca znudzonym głosem, lustrując żołnierza, by sprawdzić, czy ten ma na sobie regulaminowy strój, przystrzyżony zarost oraz nieskazitelnie czyste buty. Książę był bardzo wyczulony na tym punkcie.

- Księżna Magyoranu Lady Erzsébe przybyła do pałacu i prosi Waszą Miłość o audiencję.

- Kto?

Mina władcy mówiła sama za siebie. Wyglądał niczym klasowy maruder z ostatniej ławki świątynnej szkoły wyrwany nieoczekiwanie do odpowiedzi.

- Księżna Magyoranu Lady Erzsébe wraz z towarzyszącym jej orszakiem.

- Jesteś pewien, że to ona?

- Pewności nie mam, Wasza Książęca Mość, bom jej nigdy na oczy nie widział, lecz tak się przedstawiła. A i herb na sztandarze i na ich płaszczach zdaje mi się jednaki z herbem Lady Erzsébe.

Pierwsza fala szoku zaczęła powoli mijać, zmieniając się w konsternację. Na twarzy księcia próżno było szukać najmniejszych oznak entuzjazmu. Skrywała ona raczej niechęć, a nawet odrazę. Pogłoski o krwawych zabawach Mrocznej Pani docierały od dawna do Kriglandastanu. Władca nie do końca w nie wierzył, choć zdawał sobie sprawę, że w każdej plotce jest ziarenko prawdy. Jego niechęć wynikała bardziej z tego, iż kilka lat temu został przez Erzsébe odprawiony z kwitkiem, gdy starał się o jej rękę. Olkmund nie lubił porażek, a już w szczególności takich, o których przez kolejny rok

plotkowała cała służba. To było niczym zadra w jego sercu, a on tak łatwo nie zapominał.

- Czy mam ją wpuścić, Wasza Miłość? - spytał żołnierz, przestępując nieporadnie z nogi na nogę.

- Wpuść, tylko bądź ostrożny. Nie mam pojęcia, cóż ona może kombinować.

Żołnierz zasalutował, strzelił obcasami i wyszedł sprężystym krokiem.

Księżę raz jeszcze rzucił okiem na ćwiczącego na dziedzińcu ośmioletniego chłopca. Przygładził za pomocą śliny odstające na skroniach włosy, poprawił pas i ruszył szerokimi schodami do sali audiencyjnej. Ledwo zdołał usiąść na złotym, bogato zdobionym szlachetnymi kamieniami tronie, a usłyszał uroczysty głos swego szambelana, anonsujący wizytę księżnej Magyoranu.

Powitanie było oschłe, zdawkowe, oficjalne, po czym goście rozeszli się do przygotowanych specjalnie na taką okazję komnat.

Kiedy na kolorowo przystrojonych ulicach miasta Arkt zabrzmiały pierwsze dźwięki trąb wzywające mieszkańców do wzniesienia toastu na cześć bogini Mokosz, w przestronnej sali balowej podano pierwsze danie - pieczone na ruszcie pstrągi, oblane gęstym sosem koperkowym. Lady Erzsébe zajęła zaszczytne miejsce po prawicy gospodarza. Ubrana była w długą czarną suknię z wysokim, sięgającym do połowy uszu kołnierzem, która idealnie podkreślała jej kobiece walory. Zmysłowo odsłonięty dekolt kusił dwoma apetycznie wyglądającymi zaokrągleniami i powodował ukradkowe spojrzenia zauroczonych mężczyzn i zazdrość towarzyszących im niewiast. Między nimi wisiał wykonany ze szczerego złota medalion w kształcie kruka. Niejeden chciałby znaleźć się na jego miejscu.

- Wyglądacie wręcz olśniewająco, pani - odezwał się Olkmund Staloręki, gdy już wszyscy goście zajęli przypisane im miejsca. Na jego twarzy wykwitł krwistoczerwony rumieniec. Księżę Kriglandastanu od zawsze czuł się skrępowany w obecności płci

pięknej. W szczególności tak uroczej płci pięknej, jaką niewątpliwie była Lady Erzsébe.

- Och, dziękuję - odpowiedziała filigranowa blondynka, mrugając zalotnie niebieskimi oczkami i przywołując na twarz najbardziej skromny uśmiech, jaki była w stanie przywołać. Zdawała sobie doskonale sprawę ze swojej urody i skutecznie potrafiła się tym orężem posługiwać. W przeciwieństwie do swojego rozmówcy była samorodnym wirtuozem salonowych gier.

Służba krążyła po sali, wnosząc kolejne dania: pieczone perliczki nadziewane jabłkami z rozmarynem i tymiankiem, przepiórcze jaja oraz kulinarną specjalność tych stron - bycze jądra oblane sosem śmietanowo-czosnkowym, które ponoć dodają mężczyznom wigoru, a u kobiet powodują osłabienie pewnych barier nabytych przez tysiąclecia kulturowego prania mózgów.

Olmund Staloręki siedział na samym skraju obitego złocistym atłasem krzesła, nie wiedząc zbytnio, co począć ze wzrokiem. Wizyta Lady Erzsébe była dla niego niemałym zaskoczeniem, ale jeszcze większym była bijąca od niej uroda. Wyglądała jeszcze piękniej, jeszcze powabniej niż kilka lat temu, gdy ją widział po raz ostatni. Kilka razy chciał się odezwać, lecz zawsze w ostatniej chwili się wycofywał, chcąc dobrać odpowiedniejsze słowa.

Lady nie miała podobnych zmartwień. Popijała małymi łydkami wino i rzucała nieśmiałe spojrzenia w stronę gospodarza, tak by ich oczy od czasu do czasu spotykały się ze sobą.

O bogowie, ale on jest paskudny - myślała za każdym razem, gdy widziała jego twarz. W końcu pochyliła się do niego i zagaiła słodkim głosem:

- Pięknie tu u was, panie. Tak kolorowo i tylu ludzi na ulicach. Muzykanci, żonglerzy, kuglarze. Wprost oczu nie mogłam oderwać od tych wszystkich cudów.

- Tak, to prawda. Zjechały do naszego miasta tłumy z każdego zakątka kraju. Właśnie dziś rozpoczyna się coroczne święto ku czci naszej patronki - bogini Mokosz.

- Och, to cudownie! - krzyknęła z zachwytem Erzsébe, lecz po chwili zamilkła i otworzyła usta w udawanym zdziwieniu. Na jej policzkach zagościł rumieniec wstydu. - Ale przecież Mokosz to bogini...

Księżna zrobiła wielkie oczy i, jak przystało na najskromniejszą dziewczę świata, zasłoniła usta dłonią.

Olmund nie mógł się powstrzymać i roześmiał się szczerze.

- Z czego się śmiejecie, panie? - Erzsébe zmrużyła oczy i spojrzała na niego z udawaną złością. - Czyżbym powiedziała coś nie tak?

- Ależ skąd. Wybaczcie mi. Faktycznie, Mokosz jest boginią cielesnych rozkoszy i tak się złożyło, że to ona jest patronką miasta Arkt. A ma to związek z pewnym przełomowym wydarzeniem z życia młodziutkiej bogini, które miało miejsce nad brzegiem rzeki Xryny. Dokładnie tam, gdzie dziś wznosi się wspaniała świątynia ku jej czci. To taki okazały budynek z połączoną kopułą. Musieliście ją widzieć, jak przejeżdżaliście przez miasto.

- Owszem, widziałam. Sprawia wrażenie ogromnej.

- I taka jest w rzeczywistości. Nie chcę się chwalić, ale jest to największa świątynia na całych ziemiach Pięciu Księstw. Zbudowano ją przed wiekami, choć kiedyś była dużo mniejsza. Dopiero mój dziad kazał zburzyć starą świątynię, a na jej miejsce wybudować nową. Obecnie zjeżdżają do niej pielgrzymi ze wszystkich księstw, a nawet zza zachodniej granicy. Gdybyś miała ochotę, z przyjemnością was po niej oprowadzę.

Lady Erzsébe miała ochotę. Nawet wielką, ale w tym momencie nie mogła być wyuzdaną kobietą o niepohamowanym apetycie seksualnym, lecz nieśmiałym dziewczęciem, którego lico płonęło na każdą wzmiankę o rozkoszach cielesnych. Przeto ponownie spuściła ślipka i odpowiedziała zakłopotanym głosem:

- Och, to bardzo szlachetne z waszej strony, panie, ale chyba... raczej nie. Może innym razem.

Olmund spojrział na nią z wyraźnym rozbawieniem, upajając się widokiem jej płonących z zażenowania policzków i burzy złocistych włosów okalających feeryczne lico.

- A powiedzcie mi, panie, o jakim wydarzeniu z życia tej, hmm, bogini mówiliście?

- Otóż właśnie tutaj Mokosz straciła dziewictwo - odpowiedział prosto z mostu, podpatrując z ukosa jej reakcję.

- Och! To obrzydliwe! - Lady wydała zduszony krzyk, a jej oczy rozbłysły niczym dwie jasno świecące gwiazdy. Olmund był pod coraz większym wrażeniem. Podobnie jak poprzednio jej wuj, Iszlo Koztuntz, tak i on nie mógł wyobrazić sobie, by w potwornych plotkach na temat tej kruchej istoty kryła się choć odrobina prawdy.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz nie zdążył. Jego słowa zagłuszył aplauz towarzyszący pojawieniu się przystrojonego w pawie pióra i chudego jak wysuszony patyk minstrela. Tuż za nim podążała trójka uroczych młódek, które ubrane w śnieżnobiałe, półprzezroczyste suknie uśmiechały się i wesoło machały rękoma. We włosy miały wpięte żółte kwiatki, wyglądające niczym malutkie słoneczniki.

Śpiewak zatrzymał się na środku sali, uklonił z gracją księciu i księżnej, po czym brzdąknął kilkakrotnie w struny lutni, którą trzymał w dłoniach. Rozejrzał się z uśmiechem po sali, przymknął oczy i zaczął grać. Jego palce z delikatnością kochanka poczęły trącać nabrzmiałe struny instrumentu, wydobywając z nich delikatne dźwięki rozczulającej melodii. Po chwili z piersi minstrela wydobył się słodki, kojący głos - na wpół męski, na wpół kobiecy. Iście anielski. Od czasu do czasu łączył się z głosami trójki białych zjaw, tworząc przepiękny kwartet. Wszyscy na sali wstrzymali oddechy, urzeczeni poruszającą pieśnią o miłości, pożądaniu i zdradzie.

- Och, jakież to piękne - wyrwało się Erzsébe, gdy tylko minstrel skończył śpiewać. Jej ręka niby przypadkowo dotknęła szorstkiej dłoni Olmunda, a drobne ciało na krótką chwilę przyłgnęło do dumnego księcia. - Smutna historia, nieprawdaż, mój panie?

- Bardzo smutna - zgodził się Olkmund, lecz ponownie musiał zamilknąć. Minstrel rozpoczął kolejną pieśń. Była ona bardziej skoczna i weselsza od poprzedniej. W komiczny sposób opowiadała o pewnym rycerzu, któremu ciągle towarzyszył pech. Czegokolwiek się nieborak nie dotknął, czegokolwiek by nie zrobił, zawsze musiało się przydarzyć coś złego. Mimo to się nie poddawał. Z niezwykłą pogodą ducha zaczynał wciąż od nowa, wierząc, że okrutny los musi się kiedyś odwrócić.

Lady była zafascynowana. Przez cały czas śmiała się jak małe dziecko, klaskała w dłonie i podskakiwała na krześle. A Olkmund Staloręki był coraz bardziej zauroczony. W jego sercu zaczęły fruwać tysiące motyli, nogi zrobiły się ciężkie niczym głązy, a oczy wprost nie mogły się oderwać od siedzącej obok niego władczyni Magyoranu. Surowy i twardy władca Kriglandastanu powoli zaczynał tracić nad sobą kontrolę.

Minstrel skończył śpiewać. W sali rozległy się gromkie brawa i okrzyki zachwyconej publiczności. Śpiewak z wielką gracją uklonił się na wszystkie strony, gdy nagle poczuł na sobie wzrok obrzydliwego zakapiora, siedzącego wśród żołnierzy Lady. Olbrzym wyszczerzył do niego zęby w grymasie udającym uśmiech, po czym wstał od stołu i zaczął ku niemu iść. W nozdrza śpiewaka uderzył odór śmierci. Iwan zatrzymał się przy nim i ponownie odłonił poźółkłe zęby. Jego masywna pierś znajdowała się na wysokości czubka głowy barda, a jedna ręka zdawała się ważyć więcej niż całe jego ciało.

- Pięknie śpiewasz, chłopcze - przemówił tubalnym głosem. - Czy będziesz tak łaskaw i pożyczysz mi na chwilę lutnię?

Minstrel był łaskaw, nie miał wyboru. Iwan, nie czekając na odpowiedź, chwycił instrument i wyrwał go ze sparaliżowanych dłoni śpiewaka. Obejrzał go pod każdym kątem, po czym brzdąknął kilkakrotnie w strunę niczym małe dziecko biorące do ręki nową zabawkę. Podeszedł do stołu, chwycił w dłoń kielich wypełniony mocnym winem i wychylił go do dna. Beknął. Ponownie spojrzał na lutnię. Jego palce poczęły trącać cienkie struny, wydając

nieprzyjemne dla uszu dźwięki. Grymas rozczarowania na jego twarzy mógłby przestraszyć każdego. Rozejrzał się pobieżnie po stole, aż jego wzrok padł na posrebrzany dzban leżący w zasięgu wielkich jak bochny chleba dłoni. Chwycił go i opróżnił do dna. Tym razem był to słodki, uderzający w głowę miód pitny. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Kolejne dźwięki były zdecydowanie lepsze, lecz dopiero kolejny dzban miodu pozwolił mu osiągnąć pełnię harmonii. Malutka lutnia wyglądała w jego potężnych łapskach niczym szalupa na bezkresnym morzu, a grube palce tylko jakimś cudem potrafiły szarpnąć właściwe struny. Instrument wydał brzdęk, po nim kolejny i kolejny, aż jakimś dziwnym trafem poczęły się one układać w całkiem zgrabną melodię. Ostatni łyk miodu i wewnątrz sali wypełniła istna gama dźwięków. Z każdą kolejną chwilą melodia stawała się coraz piękniejsza. Zamilkły wszelkie rozmowy. Goście z rozdziawionymi ustami poczęli wczuwać się w pełną smutku i bólu muzykę, która docierała wprost do ich serc. Niektórzy przecierali oczy ze zdziwienia, nie wierząc własnym zmysłom. Niczym za sprawą jakichś czarów ogarnęło ich niezwykle wzruszenie. Gdzieniegdzie zaszkliły się oczy, gdzieniegdzie kapnęła łza. A Iwan wciąż grał i grał, nieświadom tego, jakie emocje wywołuje u słuchaczy. Nagle dźwięki lutni ucichły. Cisza zadźwięczała w uszach. Iwan upił kolejny łyk piwa, po czym znów zaczął grać. Jeszcze piękniej i jeszcze smutniej. Zamknął oczy, a z jego piersi począł dobywać się cudowny głos:

Dzisiaj jest ten dzień, co kres mego życia

Ogłasza wobec i wszem.

Już z lochów mnie wodzą, bym szedł na stracenie

I głowę położył na pień.

I widzę mej matki zamglone spojrzenie,

A w oczach jej smutek i łzy.

O matko kochana, ze świata odchodzę

Ponury, smutny i zły.

*A w czarnym kubraku zły kat bez litości
Ręką już daje mi znak.
Więc idę do niego, by łeb swój położyć
I poczuć topora zły smak.*

*I widzę mej dziewczki wesołe spojrzenie,
A przy niej inny już jest.
I czule jej ręka po plecach go głaszcze,
A do mnie uśmiecha się źle.*

*Jeszcze niedawno tak do mnie lgnęła,
Mówiła, że kocha bez tchu.
Dziś po miłości zostało wspomnienie,
Dziś za nic ma moje łzy.*

*Żegnajcie, ludzie, żegnajcie, kochani,
I żegnaj, słońce i noc.
Podłym był człekiem i ludzi mordował
I za to jest dzisiaj mój kres*

*Lecz tego żałuję, że serce me kocha
Wciąż podłą dziewczkę i złą.
Choć wiem, że okrutna na śmierć mnie wydała,
Zapomnieć nie mogę o niej.*

*Żegnajcie, pola, lasy i łąki,
Bogowie, zlitujcie zaś się.
Bo dziś do was idę w hańbie przestrasznej,
A topór mą głowę już tnie.*

Nastąpiła cisza trwała jeszcze długo po tym, jak skończył śpiewać. Wszyscy bez wyjątku patrzyli na niego szeroko otwartymi oczyma,

jakby zastanawiając się, czy nie byli świadkami zbiorowej halucynacji. Kilka niewiast nie wytrzymało i z ich ust wyrwał się stłumiony szloch. I nagle zerwała się burza oklasków, krzyków i prośb o jeszcze jedną pieśń. Iwan nic sobie z nich nie robił. Oddał zawstydzonemu minstrelowi lutnię i wrócił na swoje miejsce, a jego myśli popłynęły ku dawnym czasom, ku dawnej miłości.

Tymczasem na stół wniesiono kolejne potrawy: nadziewane bakłazany, makaron z truflami, rybę w sosie szafranowym, faszerowaną gęś posypaną orzechami oraz niezliczone ilości warzyw i owoców. Stół wprost uginał się pod bogactwem jadła i napitków, a liczna służba wciąż donosiła nowe potrawy. Właśnie wniesiono aromatyczną pieczeń z jelenia. Parującą miskę położono tuż przed nosem gospodarza i jego honorowego gościa, a obok postawiono kolejny półmisek, trochę większy od reszty. Ubrany w zieloną liberię służący uchylił jego wieko, gdy wtem ze środka wyskoczył przystrojony w różnokolorowy, pasiasty płaszcz karzeł. Dzwoneczki przyczepione do jego czapki podzwaniały przy każdym jego ruchu.

Dzyń, dzyń, dzyń.

- Tralala - odpowiedział liliput. Zeskoczył ze stołu, robiąc pełne salto i z pełną gracją ukłonił się Lady Erzsébe. Błazeńska czapka oderwała się od jego głowy i pofrunęła pod sam sufit. I nagle zniknęła, zmieniając się w pięć śnieżnobiałych gołębi. Zewsząd rozległ się pisk zachwytu. Jeden z ptaków - ten największy, o skrzydłach niczym dwa wachlarze - zatoczył szeroki krąg, przysiadł księżnej na ramieniu i począł szeptać jej do ucha słodkie słówka w swym ptasim języku.

- Och, ach - pisnęła Lady.

- Grul, grul, grul - odpowiedział gołąb i pękł niczym mydlana bańka.

Zaraz potem z wąskich ust karła wystrzelił w powietrze złocistopomarańczowy jęzor ognia, liżąc pióra innego z przelatujących gołębi. Ptak zagruchał skrzekliwie i zmienił się

w najprawdziwszego kruka o czarnych piórach i oczach wyrażających głębię tajemnej mądrości.

- Kra, kra - dał się słyszeć jego skrzekliwy głos, powtórzony kilkakrotnie przez echo. Chwilę później ptaszysko przemieniło się w kłęb czerwonego dymu.

- Dzyń, dzyń, dzyń - odpowiedziały mu dzwoneczki przypięte do czapki karła, która w tajemniczy sposób ponownie pojawiła się na jego głowie.

Erzsébe była zachwycona. Szeroki uśmiech zagościł na jej twarzy, a oczy wprost eksplodowały iście dziecięcą radością. Karzeł zniknął w burzy oklasków, zachwytów, okrzyków, a jego miejsce zajęli ubrani na żółto akrobaci, chodzący na szrudłach wokół stołu i żonglujący palącymi się pochodniami. Między nimi przemykała czwórka tancerzy, skacząc, robiąc fikołki, gwiazdy, szpagaty. A później wniesiono tace pełne słodkich rarytasów i znów pojawił się karzeł - tym razem groźny, ponury i w zbroi. Drewniany mieczyk zataczał coraz to szersze kręgi, a udający jego konia służący parskał niczym rasowy ogier i wierzgał nerwowo szyją.

- Gińcie, przekłete nicponie - wydzierał się karzeł raz za razem, aż w końcu zachwiał się, runął z hukiem na podłogę i czmychnął czym prędzej z sali, kręcąc przy tym kuprem niczym pijana kaczką.

Zrobiło się późno. Pełne brzuchy zaczęły sterczeć ku górze, ciężkie głowy coraz częściej opadały na stół, a oczy zaczęły przyklejać się do powiek. Olkmund Staloręki odstawił pusty kielich i zwrócił się do Lady Erzsébe:

- Mam nadzieję, pani, że ucztą wam smakowała? Często po wieczery udaję się, by w samotności rozmyślać nad życiem. Tym razem byłbym niezmiernie rad, gdybyś mi potowarzyszyła.

- To będzie dla mnie zaszczyt, książę. Chętnie orzeźwię się po tak wykwinnym jadle - odparła, zerkając na niego wstydliwie.

Po pobycie w dusznej i gwarnej sali biesiadnej cichy i spokojny ogród wydał im się istnym rajem. Strumień rześkiego powietrza odegnał od nich chęć snu, a bogaty aromat najprzeróżniejszych

kwiatów zaatakował ich nozdrza bogactwem doznań. Ogród pełen był fantastycznych roślin o kształtach i kolorach tak nieprawdopodobnych, że zdawały się one wynikiem eksperymentów szalonego maga. Niektóre rośliny wily się do góry niczym olbrzymie węże lub rozciągały na ziemi na długość kilkunastu kroków. Niektóre wydawały z siebie straszliwe jęki, jakby zaklęto w nich dusze nieszczęśników. Były też takie, co wydzielały nieprawdopodobną gamę zapachów, powodując wybuch śmiechu czy przychodzące zniecka uczucie bezbrzeżnej melancholii.

Olmund szedł wolno z rękoma splecionymi za plecami. On się nie zachwycał ogrodem. On się zachwycał księżną. Filigranowa blondynka z Magyoranu całkowicie zawładnęła jego sercem. Nie mógł wprost oderwać od niej wzroku, nie mógł przestać słuchać radosnego szczebiotu dobywającego się z jej ust. Ust, w których pragnął się zatopić, by spijać ich niezwykłą słodycz.

Zupełnie inne były odczucie przebiegłej Erzsébe. Doskonale zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywierała na księciu. Robiła tak z każdym mężczyzną, od którego czegoś chciała. To był jej dar, to była jej magia. Emanowała czarodziejską energią, która uwalniała się na jej życzenie i docierała do serca ofiary, oplątując je niewidzialną siecią i rozpalając w nim żar bezinteresownej miłości. Mało kto mógł się jej wtedy oprzeć. Erzsébe przez długi czas nie zdawała sobie sprawy ze swojego daru. Dopiero po śmierci męża zaczęła go dostrzegać, ale to Garvulla była tą osobą, która nauczyła ją w pełni go wykorzystywać.

Tym razem nie było to łatwe. Ilekroć księżna spojrzała na śliniący się na jej widok szpetny ryj Olkmunda, tylekroć miała ochotę zatopić w nim czubek sztyletu. Mdlilo ją od udawania słodkiego dziewczęcia. Chciała już wrócić do siebie, zakosztować smaku niewinnej krwi i upajać się przepiękną melodią złożoną z krzyków niewinnych ofiar. Wiedziała jednak, że musi grać dalej. Ochowała więc i achowała za każdym razem, gdy zobaczyła coś ciekawego. A z każdym jej ochem

i achem oczy księcia robiły się coraz bardziej maślane, a twarz promieniowała nieskalanym uczuciem.

- O bogowie, a cóż to za szkaradztwo - krzyknęła w pewnej chwili, zatrzymując się w pół kroku przed rośliną sięgającą jej do pępka i wyglądającą niczym zakrwawiony, pokryty białym śluzem dzban. Na samej górze, wokół szerokiego na trzy stopy otworu, wystawały drobne kolce, przypominające niezwykle ostre zęby. Z wnętrza rośliny dobywał się paskudny smród zgniłego mięsa. Erzsébe aż się skrzywiła.

- To jest dzbanecznik, pani. Radzę zachować ostrożność. Ta roślina lubi mięso. Mój ojciec powiadał mi, że na własne oczy widział, jak odgryzła rękę pewnemu nierozważnemu słudze.

- Och, nie wierzę w to. Wygląda doprawdy okropnie, ale nie chce mi się wierzyć, żeby roślina była w stanie gryźć.

- To niestety prawda. Dzbanecznik żywi się mięsem. Najczęściej są to niewielkie owady zwabione smrodem zgniłego mięsa, lecz zdarzają się także myszy i szczury. A jak ktoś jest na tyle nierozważny, że wkłada tam rękę, to ją najpewniej straci. Poczekaj chwilę, pani, to ci zademonstruję jej umiejętności.

Olkmund odszedł kilkanaście kroków w bok i po chwili wrócił, trzymając w dłoni długi drewniany kij, grubości męskiego przedramienia. Stał z nim tuż przed dzbanecznikiem.

- Popatrz uważnie, pani - zwrócił się do księżnej, po czym wolnym ruchem zaczął wkładać kij do środka. Minęła krótka chwila, gdy lejkowaty otwór zatrzaskał się z ogromną siłą, wydając z siebie głuchy trzask łamanego drewna.

- Ojej. To niesamowite. Nigdy bym nie przypuszczała, że coś takiego może istnieć - zachwyciła się Erzsébe, a wyobraźnia zaczęła jej podsuwać niezliczone możliwości zastosowania dzbanecznika. Rozmarzyła się na samą myśl o włożeniu do niego uśmiechającej przez cały czas gęby swego rozmówcy. Olkmund, widząc roziskrzone spojrzenie Erzsébe, nie przestawał opowiadać.

- Mój ojciec kolekcjonował takie cuda. To akurat sprowadził z dalekich ziem mieszczących się aż za Oceanem Czterech Wiatrów. Rośnie tylko w jednym miejscu, wysoko w górach. Jest to niezwykle rzadka i cenna roślina. Kosztowała niemałą fortunę. A spójrz tutaj, pani. - Książę wskazał ręką na niewielki krzew o lśniących liściach barwy czystego złota, który zdawał się świecić w ciemności niczym tysiące robaczek świętojańskich. - Widziałas kiedyś podobne liście?

- Nie. Są doprawdy niezwykle. Och, one świecą. To jakieś czary?

- To nie czary - roześmiał się książę - one po prostu odbijają światło księżyca i gwiazd. W nocy wydaje się, jakby istotnie świeciły w ciemnościach, lecz niech was nie złudzi ich niewinny wygląd. W rzeczywistości to jedna z najbardziej śmiertelnych roślin na ziemi.

- Śmiertelnych? Jakże to?

- A tak. Raz na dwadzieścia lat roślina kwitnie, a jej kwiat wygląda podobno tak cudownie, że nie sposób oderwać od niego oczu. Lecz w tym pięknie kryje się niezwykła siła. Legenda mówi, że dawno temu żył sobie pewien ogrodnik, który umiłował wszelaką roślinność. Pewnego razu trafił do wspaniałego miasta, o którym mówiono, że pełno jest w nim bajecznych ogrodów, olbrzymich drzew i cudownych, różnokolorowych kwiatów. To, co zobaczył, nie miało jednak nic wspólnego z tymi opowieściami. Ogrody były zaniedbane, pełne chwastów, usychających łądźg i opadających krzewów. Zamiast drzew z ziemi sterczały ogołoczone z liści i powyginane na wszystkie strony kikuty. Ponure i brzydkie. Zlitował się nad nimi ogrodnik i zapragnął przywrócić miastu dawny blask. Chodził więc od domu do domu i proponował swoje usługi, lecz wszędzie zatrząskiwano przed nim drzwiami. Mało tego, mieszkańcy szydzili z niego, bili i opluwali. Pewnego razu zrzucano go ze schodów i zostawiono z połamanymi nogami na pewną śmierć. Leżał tam dwa dni, podczas których nikt się nad nim nie ulitował. Nikt nie dał mu kawałka czerstwego chleba czy choćby kropli wody. Gdy wyzdrowiał, postanowił się zemścić. Jakiś czas później mieszkańcy miasta zaczęli chorować. Nie minęły trzy

dni, gdy większość z nich konała w przerażających bólach. Po tygodniu w całym mieście prócz starego ogrodnika nie było ani jednej żywej duszy. Nawet koty i psy pozdychały. A wiecie czemu, pani? Otóż któregoś nocy mściwy ogrodnik zakradł się do wszystkich studni w mieście i do każdej wsypał po szczypcie wysuszonych kwiatów tej oto rośliny. Taka to moc się w niej kryje.

- Ależ to okropne - westchnęła Lady i tym razem było to zupełnie szczere. Dla niej bezkrwawy zgon nie miał w sobie żadnego uroku.

- Zgadza się, to okropne. Sam nie wiem, ile prawdy jest w tej opowieści, i mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem, chociaż w przyszłym roku przypada dokładnie dwadzieścia lat, od kiedy zakwitła po raz ostatni. Ech - westchnął książę - widzisz, pani, rośliny są jak ludzie. Niektóre, choć z zewnątrz piękne, kryją w sobie niezwykle okrucieństwo, a inne, choć wydają się brzydkie, kryją w sobie uzdrawiające moce.

- Nie znam się na roślinach. Na ludziach tym bardziej. Ale to prawda, że niektórzy z nich są podli. Nawet nie wiesz, książę, jak może czuć się bezbronna niewiasta, gdy wszyscy dookoła chcą ją skrzywdzić. - Erzsébe podeszła do Olkmunda i stanęła naprzeciwko niego, patrząc mu głęboko w oczy. - Pewnie zastanawiacie się, panie, dlaczego tutaj przybyłam? Szczególnie że kiedyś byłam tak głupia i... ech, zapomnijmy o tym.

- Hmm. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiej wizyty, choć nie ukrywam, że niezmiernie się cieszę z naszego spotkania. Cóż więc cię do mnie sprowadziło?

- Strach, Wasza Miłość. Strach przed złymi ludźmi, co są jak te potworne rośliny albo jeszcze gorzej. Bo rośliny robią to, bo muszą, a ludzie z czystej podłości. - Księżna zbliżyła się jeszcze bardziej do Olkmunda, tak że jej piersi otarły się o jego tors. Uśmiechnęła się smutno, po czym powtórzyła zbolalym głosem to samo, co powiedziała swemu wujowi. Opowiedziała o całej podłości Jarogniewa Statecznego i jego równie podłego syna, Bolesława, którzy za wszelką cenę chcą przejąć jej ziemie. W pewnej chwili z jej oczu pociekły

rzewne łyzy wielkości ziaren groch. Wyglądała tak bezbronne, że Olkmund nie miał wyboru, musiał jej uwierzyć.

- Nie miałam się do kogo zwrócić. Tylko tyś jeden jest w stanie mi pomóc. Jesteś taki silny, taki męski. Och, Olkmundzie. - W jednej chwili słodkie niczym dojrzały arbuz wargi Erzsébe znalazły się tuż przy suchych i popękanych ustach władcy Kriglandastanu. Ich ciała zetknęły się ze sobą na krótką chwilę. Księżna chciała się odsunąć, lecz Olkmund przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie. Erzsébe jęknęła cicho, jej ciało zadrżało.

Zaraz się porzygam - przemknęło jej przez myśl, gdy obleśny jęzor księcia wsunął się do wnętrza jej buzi.

- Nie! - Cofnęła nagle twarz, jakby się oparzyła. Jej policzki przybrały ognisty kolor. - Wybacz mi, panie. Ja... ja... och. To tak jakoś samo wyszło. Ja nie powinnam...

Chciała się cofnąć, lecz Olkmund jej nie puścił.

- Cicho, maleńka, cicho - szepnął i ponownie przywarł swymi ustami do jej ust.

- Och - wyrwało się Erzsébe, po czym oboje zatonęli w długim, wilgotnym pocałunku. Ich języki tańczyły namiętnie splecione ze sobą. Olkmund był wniebowzięty, Erzsébe zniesmaczona.

Wielka polityka wymaga ofiar.

Ręce księcia zaczęły krążyć po jej plecach i powoli zniżały swój lot, aż osiągnęły upragniony cel - zgrabny zadek władczyni Magyoranu. Ta nie protestowała, więc coraz mocniej zaczęły badać to miejsce i zagłębiać się pod spodnie warstwy ubrania.

- Weź mnie - usłyszał najmiłsze słowa, które spłynęły na niego niczym strumień chłodnej bryzy w upalny dzień.

Niczego więcej nie pragnął. Podniósł ją, jakby ważyła tyle co worek powietrza, i, nie odrywając od niej swych ust, zaniósł do niewielkiej altanki w głębi ogrodu. To tutaj Olkmund Staloręki przeżywał swe pierwsze miłosne uniesienia. Tutaj skradł pierwszy pocałunek swej ukochanej żonie i tutaj mniemał, że spłodził syna.

Teraz, pierwszy raz od ponad ośmiu lat, znów miał skosztować najsmaczniejszego owocu świata - kobiety.

Położył delikatnie blondynkę na wysadzonej miękkimi poduszkami ławie. Jego ręce błądziły po jej ciele, rozpinając kolejne guziki. Pozwalała mu na to. Był już coraz bliżej. Jeszcze tylko jedna drobna przeszkoda w postaci zwiewnej halki i cudowne, nabrzmiące piersi ukazały się w pełni swej kraszy. Długo się nimi zachwycał. Ich doskonałą krągłością, gracją i jędrnością. Dwa malutkie sutki wprost prosiły się, by ująć je w koniuszki palców, a następnie wziąć do buzi i zachłysnąć się nimi niczym najpyszniejszymi smakołykami. Były słodkie i nabrzmiące. Olkmund ssał je zapamiętane, zapominając o całym świecie, i gdy w końcu nasycił się ich smakiem, zapragnął skosztować tortu. Jego dłonie już poczęły pewne przygotowania, próbując przekopać się przez warstwy ubrań. Piękna czarna suknia zakrywała już tylko niewielkie fragmenty nóg Erzsébe, lecz w końcu i one zostały uwolnione, a odzienie spadło z szelestem na ziemię. Niezgrabne palce Olkmunda dotarły w końcu do celu, muskając miękkie, złociste dywan i zagłębiając się powoli w jej ciało.

Erzsébe była jednak sucha niczym koryto potoku podczas suszy stulecia. Zabiegi Olkmunda przyprawiały ją o mdłości. Zacisnęła swe drobne piąstki i od czasu do czasu wzdychała w udawanej rozkoszy. Wiedziała, że jest to jedyny sposób, by osiągnąć swój cel i ochronić siebie przed gniewem Jarogniewa. Jakaś cząstką jej duszy przeczuwała zbliżającą się wojnę.

Grube paluchy wciąż grzebały we wnętrzu jej ciała, mając za zadanie przygotować ją na nadejście głównego wodza, który od dawna czekał w pełnej gotowości. Nabrzmiwały i wielki jak nigdy dotąd. Efekt był znikomy. *Niech się to już skończy* - pomyślała Lady i postanowiła pomóc swemu pożałowania godnemu kochankowi. Zamknęła oczy i przywołała z pamięci obraz swych niedawnych ofiar. Małego chłopca drżącego przed nią ze strachu, gdy bezzębny kat brutalnie wyciągał go z klatki. Syciła się wspomnieniem grymasu bólu na jego twarzy, gdy żelazne imadło zaciskało się na delikatnej stopie,

powodując niewyobrażalny wręcz ból. Poczwała pierwszą falę podniecenia. Następnie w jej wizji pojawiła się wanna pełna krwi, w której własnoręcznie zanurzała głowę dwunastoletniej dziewczynki, grożąc jej matce, że ją utopi, gdy ta nie spełni jej poleceń. Na samo wspomnienie błagalnych skowytów kobiety zrobiła się wilgotna.

Olmund pęczniał z dumy. Jednym ruchem uwolnił swego członka z krępującego odzienia i delikatnie wsunął go do jej wnętrza.

- O tak, mój kochany - jęknęła Erzsébe, gdy książęcy kutas zagłębiał się w jej łono. Po chwili zdziwiła się i o mało co nie parsknęła śmiechem.

O bogowie. Dziesięcioletni chłopcy mają większe fiuty niż on - pomyślała z rozbawieniem, lecz nie dała tego po sobie poznać.

Nieświadom jej myśli Olmund poruszał rytmicznie biodrami. Nie minęło dużo czasu, nim jego ciałem targnął spazm rozkoszy.

Nareszcie - pomyślała Erzsébe, a jej dusza zaczęła tarzać się ze śmiechu.

- Byłeś cudowny, Olmundzie - skłamała bezczelnie, szukając wargami jego warg.

- Ty też, pani - odpowiedział książę. Bo cóż innego miał odpowiedzieć.

Resztę wieczoru spędzili na długich rozmowach, tuląc się do siebie niczym para zakochanych nastolatków. Zrobiło się ciemno. Nocne powietrze zaczęło drażnić ich ciała dotykiem swych zimnych łap, więc udali się do książęcych komnat, by ponownie spleść się w miłosnym uścisku. Tym razem także nie trwało to długo. Gdy było po wszystkim, Erzsébe wtuliła swe drobne ciało w jego śmierzące potem ramiona i zaczęła czule głaskać go po ryżych włosach. Długi czas trwali w przyjemnym milczeniu, wsłuchując się w bicie własnych serc.

- Nie powinniśmy tego robić, Olmundzie, ale nie żałuję niczego. Nie żałuję. Wiesz, że jesteś dopiero drugim mężczyzną w moim życiu, z którym... no wiesz - skłamała gładko i pocałowała go w porośnięty kępkami włosów tors.

- Nie wiedziałem. Byłaś cudowna, najukochańsza - odpowiedział dumny władca Kriglandastanu, poddając się kojącemu dotykowi jej wilgotnych ust.

- Ty też, mój rycerzu. Czuję się przy tobie tak bezpieczna jak nigdy.

Wtuliła swą główkę w zagłębienie między jego szyją a bark i milczała, a jej oczy od niechcienia głaskały kolorowe freski zdobiące książęcą sypialnię. Oddech Olkmunda zrobił się coraz płytszy. Książę zapadał w drzemkę.

- Chciałabym, aby ta chwila trwała wiecznie - powiedziała głośno i poruszyła się gwałtownie, przywracając go do świata żywych. - Niestety muszę jutro wracać do siebie.

- Już jutro? Czemu tak szybko? Zostań jeszcze parę dni.

- Chciałabym, lecz nie mogę. Obowiązki mnie wzywają. Nie powinnam nawet tu przyjeżdżać, ale coś mnie pchało do ciebie. Jakaś niewidzialna siła. Sama nie wiem, czy to był podszept bogów, czy może samotność. A może strach?

- Żałujesz?

- Nie. Tak. Nie wiem. Spędziłam z tobą najszcześniejsze chwile od wielu lat, ale jutro wszystko się skończy. Znow zaczną się problemy. Ech, czasem żałuję, że jestem księżną. Wolałabym być zwykłą niewiastą, która nie musiałaby się zamartwiać o swoich poddanych. Wolałabym zostać tutaj. Z tobą... na zawsze.

- To zostań.

- Och, Olkmundzie, wiesz, że nie mogę. Już od dawna nie żyję dla siebie, lecz dla swoich poddanych. Dla mego ludu, który jest w wielkim niebezpieczeństwie.

- Niebezpieczeństwie? O czym ty mówisz? - Olkmund podniósł głowę i spojrzał z zainteresowaniem na twarz Erzsébe. Dopiero teraz zaczął docierać do niego ogrom jej strachu.

Księżna wybuchnęła płaczem. Z jej oczu pociekły szerokie strumienie łez, jakby nagle pękła niewidoczna tama.

- Tak bardzo się boję, Olkmundzie. Nawet nie wiesz jak. - Wtuliła swą twarz jeszcze głębiej w niego. Wyglądała niczym małe dziecko, chroniące się przed burzą w ramionach swojej matki.

- Nie bój się, kochana - pocieszał ją Olkmund, głaszcząc czule jej świetliste włosy. - Nie bój się. Nikt cię nie skrzywdzi. Obiecuję ci.

- Och, Olkmundzie, gdyby to było takie proste. Ja czuję... ja wiem, że niedługo ten podły Jarogniew wynajdzie jakiś pretekst, by mnie zaatakować. Nawet nie wiesz, co to za potwór.

- Nie bój się. Ja cię obronię i przed nim, i przed każdym, kto będzie chciał cię skrzywdzić. Nie pozwolę na to nikomu. Rozumiesz?

- Cudowny jesteś, ale jak zamierzasz to uczynić? - Lady spojrzała na swojego kochanka z takim smutkiem, że księciu zaszklily się oczy. Zrobiłby dla niej wszystko, byle tylko znów na jej twarzy zawitał piękny, promienny uśmiech. Uśmiech, w którym się bezgranicznie zakochał.

- Obronię cię. Obiecuję. Przysięgam na wszystkich bogów, że nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. - Głos księcia był silny i stanowczy, a jego ręka zacisnęła się mocno na dłoni Erzsébe, jakby chciała zaakcentować powagę obietnicy. - Wyjdź za mnie, a nikt nawet palcem cię nie tknie.

Tego się nie spodziewała. Poderwała się nagle z łóżka i usiadła, zakrywając kołdrą nagie piersi. Z trudem opanowała wściekłość. Miała wielką ochotę zadusić tego zadufanego w sobie błazna. Chciała wyrwać mu flaki, a jego ciało rozczłonkować i rzucić na pożarcie wilkom.

Zaraz jednak przyszło opamiętanie.

Przecież to nic nie zmieni - pomyślała. - Pozbyłam się Kazmera, pozbędę się i jego. Jestem przecież Lady Erzsébe. Bogowie czuwają nade mną. Zresztą kto powiedział, że do ślubu ma dojść? A może... może...

- Dobrze się czujesz? - spytał Olkmund drżącym głosem.

- Tak... tylko nie mogę uwierzyć we własne szczęście. Oczywiście, że się zgadzam. Jestem... jestem taka szczęśliwa. Pobierzemy się

w sierpniu. Zawsze chciałam wziąć ślub latem, a jutro ogłosimy całemu światu tę radosną nowinę. Och, Olkmundzie... jestem taka szczęśliwa.

Rzuciła się na niego i zalała powodzią wilgotnych pocałunków.

[1] Starosłowiańskie demony męskie współżyjące fizycznie z kobietami.

[2] Starosłowiańskie bóstwo lub demon. Był między innym patronem piwa, miodu, tańca i libacji.

Rozdział 9

Nocne powietrze przeszył głośny tupot żołnierskich buciorów i nerwowy, paniczny wręcz krzyk.

- Zatrzymać ich! Zdrada! Zatrzymać wóz!

Volko pogonił konie, przeklinając w duchu własną głupotę. Żałował, że dał się namówić bratu na ten niedorzeczny plan. Na powrót było jednak za późno.

Brona uniosła się z przeszywającym uszy jazgotem. Chudzielec odwrócił głowę, lecz dojrzał jedynie nieprzeniknione ciemności i oddalający się zarys zamkowej baszty.

- Szybciej, szybciej, głupie szkapy - wydierał się, siejąc ferment wśród obijanych bezlitośnie koni.

Oran zaśmiał się głucho.

- Uspokój się, Volko. Już po wszystkim. Udało nam się, udało.

- Co ty gadasz, psia mać? Jak to nam się udało? Przecież oni już wiedzą. Zalaz nas dogonią, a wtedy... O bogowie, jesteśmy stłaceni, stłaceni.

- Nie dogonią, Volko. Uspokój się. Jak mają nas dogonić, skoro nie mają koni? Ha, ha, ha. Ja żem o wszystko zadbał. O wszystko. Auć.

Grubas syknął z bólu, gdy wóz podskoczył na koleinie i świeża rana otarła się o twardy, skórzany pancerz.

- Jak to? - Chudzielec spojrzał na niego z uwagą i zmarszczył brwi. - Co masz na myśli, mówiąc, że nie mają koni?

- Przecież wiesz, Volko, że w naszej rodzinie to jam jest od myślenia. Jużem wszystko starannie zaplanował. Nim poszliśmy po księcia, to żem wszystkim koniom w stajni ścięgną porozcinał. Teraz tylko na mięso się nadają, a nie do jazdy. Ha, ha, ha. Ma się ten łeb, Volko. Ma się. No przyznaj.

- Nie chcę się wtrącać w rodzinne pogaduszki - odezwał się Bolesław, wychylając głowę spod grubej warstwy starych worków na mąkę - ale chyba się mylisz. Mamy towarzystwo.

Dwaj bracia jednocześnie odwrócili głowy, a ich wargi wykrzywiły się w grymasie strachu.

- O bogowie. Już po nas - jęknął chudzielec, gdy jego wzrok napotkał pędzące w ich stronę sylwetki pochylonych w siodłach żołnierzy, i z jeszcze większą werwą zaczął okładać konie skórzanym rzemieniem.

Wóz pędził jak oszalały, trzeszcząc niemiłosiernie na każdym wyboju. Sprawiał wrażenie, że w każdej chwili gotów jest rozlecieć się w powietrzu na tysiące małych kawałków, posyłając trójkę uciekinierów wprost w objęcia Pani Śmierci.

- Cicho, Volko. Daj mi pomyśleć - odpowiedział grubas, choć ton jego głosu nie był już tak spokojny jak przed chwilą. Na domiar złego rany na jego ramieniu oraz brzuchu coraz mocniej pulsowały, powodując ostry, piekący i rozchodzący się na wszystkie strony ciała ból.

- Nie ma czasu. Złób coś, na miło...

- Kusza! - wydarł się nagle Oran i aż podskoczył w miejscu. - Pod workami z mąką jest kusza, co żem zabrał ją ze starej zbrojowni. Weźcie ją, panie, byle szybko.

Książę nie marnował czasu. Zerwał się z miejsca i jak opętany zaczął wywracać wszystko do góry nogami, aż w końcu jego dłoń trafiła na upragniony kształt. Chwycił broń w trzęsące się dłonie, przyłożył do oka, wstrzymał oddech i wycelował. Nigdy nie był wyborowym strzelcem, a przenikające go ciemności, zdenerwowanie oraz wstrząsy mknącego wozu nie ułatwiały mu zadania. Broń majtała

mu we wszystkie strony, jakby dostała padaczki. W pewnej chwili koło najechało na duży kamień, wóz wydał z siebie ostrzegawczy jazgot i przechylił się niebezpiecznie w lewo. Bolesław zachwiał się i uderzył biodrem o drewnianą poręcz. Przeklął. Broń wypadła mu z ręki i stracił kilka cennych chwil, by ją znaleźć i ponownie przyłożyć do oka.

Jeźdźcy byli coraz bliżej. Już słyhać było ich wściekłe okrzyki, uderzenia batów, stukot kopyt. A może to serca uciekinierów tak głośno waliły?

- Strzelaj! - usłyszał nerwowy krzyk któregoś z braci.

Strzelił. Bełt ze świstem przeszył powietrze i trafił w pysk mknącego na przedzie wierzchowca. Przednie nogi konia ugięły się w kolanach, tylne zawisły na dłuższy czas w powietrzu, a pysk zarył w ziemi. Żołnierz próbował się jeszcze bronić przed upadkiem, lecz nie miał szans. Przekoziołkował w powietrzu nad głową zwierzęcia i rąbnął plecami o podłoże, a z jego gardła dobył się przerażający wrzask, który zaraz zginął wśród skrzypienia wozu, radosnych okrzyków Orana oraz niemilknących lamentów jego brata. Po chwili dołączył do nich głuchy trzask pękających pęcin kolejnego wierzchowca, który nie zdążył ominąć wyrosłej tuż przed nim przeszkody i runął jak długi, zgniatając tułów dosiadającego go jeźdźca.

- Ha, ha, ha, dobrze wam tak, gównozjady - wydarł się grubas i uniół ręce w geście triumfu, po czym zaczął nimi uderzać o uda, śmiejąc się jak szalony.

Volko odetchnął z ulgą. Przedwcześnie. Oto, niczym w starych podaniach z czasów wojny bogów, z gęstego, nieprzeniknionego mroku wyłoniła się sylwetka jeźdźca. Wojownika, demona, czorta? Dosiadając białego jak śnieg ogiera, zdawał się płynąć w powietrzu, a bijąca od niego aura zmroziła krew w żyłach uciekinierów. Wiatr mierzwił końską grzywę, targał połami kropierza, a po wozie roznosił woń strachu, która zaczęła dobywać się z miejsca, w którym siedział blady jak płótno chudzielec.

- O bogowie, już po nas. To jakiś demon. Ratunku.

- Zawrzyj pysk, Volko - zrugął go grubas. Jego dłoń zanurkowała pod stosem worków z mąką i po chwili pojawiła się z powrotem, ściskając pordzewiały miecz. - To też ukradłem z zamku - powiedział, jakby to miało teraz jakieś znaczenie. Próbował powstać, lecz rana na brzuchu mu to uniemożliwiła.

Bolesław wziął od niego miecz i stanął w rozkroku. Starając się utrzymać równowagę i opanować drżenie kończyn, czekał na zbliżającego się żołnierza. Ten zaś był coraz bliżej. Już można było dojrzeć jego wyszczerzone w nienawiści zębiska, usłyszeć chrapliwy oddech, poczuć dobywającą się z końskiego pyska woń. Już zrównał się z wozem. Światło księżyca odbiło się od jego klingi i na krótką chwilę oświetliło zaciśniętą na rękojeści dłoń. Napastnik zamachnął się, lecz ksiązący syn sparował uderzenie. Siła ciosu była tak ogromna, że młodzieniec poczuł piekący ból w ramieniu. Po chwili ujrzał, jak szabla ponownie zmierza w stronę jego głowy.

Już po mnie - pomyślał, lecz w tej samej chwili koło wozu najechało na leżącą w poprzek drogi kłodę. Bolesław zachwiał się i runął jak długi na worki z mąką. To mu uratowało życie. Ostrze świsnęło nad jego głową, ucinając jedynie kępkę kruczoczarnych włosów, i pomknęło w dal. Żołnierz skoczył na wóz, odepchnął się lewą ręką od poręczy, zrobił półobrót i po chwili stał tuż przed próbującym się podnieść Bolesławem. Z bliska wyglądał jeszcze groźniej, jeszcze bardziej przerażająco. Podmuch wiatru zaszeleścił połami jego płaszcza, księżyc odbił się od wąskich źrenic i padł na przeraźliwie bladego Bolesława. Szabla wychynęła zza jego pleców i z zatrważającą prędkością runęła na księcia. Ten zdołał jednak przeturlać się w bok i ostrze zamiast w niego trafiło w worek mąki. W powietrze wzbił się obłok białego pyłu, który na krótką chwilę przesłonił cały świat. Bolesław ponownie spróbował powstać. Kątem oka ujrzał nad sobą wyszczerzone zęby napastnika i zimny błysk stali. Odruchowo uniósł miecz, by zasłonić się przed spodziewanym ciosem. Magyorańczyk krzyknął z samego dna płuc, wkładając w uderzenie

całą moc, lecz nagle jego tułów poleciał w przód, a głowa wyrznięta w barierkę wozu i odbiła się od niej niczym kauczukowa piłka. Szabla wyleciała z dłoni, kark wygiął się pod nienaturalnym kątem, konie stanęły dęba, wóz ostro zahamował, a Volko poczuł piekący ból mięśni, gdyż chwilę wcześniej szarpnął ostro lejcami. Ciało wojownika wypadło z wozu.

Emocje powoli opadały, serca zwalniały, krew stygła. Pani Śmierć oderwała usta od Magyorańczyka. Volko splunął pod nogi i odwrócił się w stronę brata, a z jego ust wydostała się litania żalu, złości i szyderstwa.

- W naszej lodzinie to ja jestem od myślenia, Volko. O wszystko żem zadbał, Volko. Ma się ten łeb, Volko. No przyznaj, ma się ten łeb - zaczął przedrzeźniać brata, machając przy tym rękoma w powietrzu, jakby odganiał się od much. - Gdyby nie ja, to już byś tego pustego łba nie miał, ty zalogumiały tłuściochu.

- Nie marudź, Volko, nie marudź. Wszak widzisz, że wszystko się udało, więc przestań jęczeć - odciął się grubas i zagryzł z bólu zęby. - A teraz jedź już, bo nie ma czasu.

Volko też zagryzł zęby. Nie z bólu - ze wściekłości.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Oran sapał, Bolesław dyszał, Volko jęczał. W końcu książę miał dość braterskich fochów. Odwrócił twarz w stronę Orana i - słusznie podejrzewając, iż to on jest mózgiem całej operacji - zagaił beznamiętnym tonem:

- I co teraz? Macie jakiś plan?

Grubas jakby czekał na to pytanie.

- A jakże. Jużem sobie wszystko obmyślił - zaczął i odruchowo spojrzał na brata, który w tym samym momencie ostentacyjnie westchnął. - Niedługo dojedziem do drogi, co to prowadzi do granicy z Ziemią Warszycką. Pojedziem nią jakiś czas, jednak nie za długo. Później zejdziem, ukryjem gdzieś wóz i wejdziem w las. W ten sposób zmylimy pogoń, a wierzcie mi, że jak Piękna Pani się dowie, że jej zagraliśmy na nosie, to całe wojsko Magyoranu będzie nas szukało. A my udamy się do niewielkiej wsi na skraju gór. Mam tam druha. To

pocziwy chłopina i ma u mnie dług wdzięczności, bom mu onegdaj życie uratował, jak napadli na nas podli zbóje. Ech, długo by o tym opowiadać, ale jak wiecie, nie lubię się przechwalać. Zresztą teraz to nieważne. Otóż Boćko przetrzyma nas jakiś czas, aż się trochę uspokoi i będziemy mogli przekroczyć granicę.

Bolesław zamyślił się, obgryzając nerwowo paznokieć.

- Czy dobrze zrozumiałem, że chcesz iść przez środek lasu?

- A jakże. To jedyne wyjście. Niebawem wszystkie drogi, ścieżki i rzeki będą tak pilnowane, że nawet mysz się nie prześlizgnie. A my ich wykiwamy. Ma się ten łeb, prawda, książę? Przyznajcie sami.

Volko zazgrzytał zębami, książę ugryzł się w palec i syknął z bólu.

- Wszystko brzmi niby dobrze, tylko ten las... Ostatnio nie żyjemy ze sobą za pan brat - powiedział po jakimś czasie, po czym opowiedział bliźniakom o nieprzyjemnym spotkaniu z watahą przeraźliwych basiorów.

Bracia wyraźnie zmarkotnieli.

- Z dwojga złego wolę być zjedzonym przez wilki niż spotkać się oko w oko z tą kłwawą dziwką - wtrącił się Volko. - Nie mamy wybołu. Trza nam zalyzykować.

- Ano trza - zgodził się Oran, chcąc jakoś ułagodzić wściekłość brata. Jego twarz mówiła jednak co innego.

- Niech wam będzie - zrezygnował książę i pokręcił ze smutkiem głową. Po chwili pochylił się w stronę Orana i spojrzał na jego krwawiący brzuch. - Najpierw jednak muszę cię opatrzyć, bo zaraz się cały wykrwawisz i nie będziesz mógł przejść nawet kroku.

- To tylko drobne skaleczenie - odparł grubas, lecz nie oponował, gdy ręce książęcego syna zaczęły rozpinać mu skórzany pancerz, by dotrzeć do krwawiącej rany.

- Miałeś dużo szczęścia. Pancerz uratował ci życie. Gdyby nie on, pewnikiem byś już nie dychał.

- To nie szczęście, książę. To mój wrodzony pomysłuńek - odparł jak zwykle skromny grubasek. - Aua, boli - zawył po chwili, gdy Bolesław szybkim ruchem oderwał przyklejony do rany kawałek

lnianej koszuli, przesiąknięty zaschniętą posoką. Rana nie była groźna, lecz bolała jak cholera. Bolesław polał ją obficie gorzałką, nie zapomniawszy także o przepłukaniu własnego gardła, po czym opatrzył pieczołowicie swojego wybawiciela.

Tymczasem wóz dotarł do rozwidlenia dróg i niebawem wkroczył w mroczne królestwo leśnych mar. Im dalej w nie wjeżdżali, tym bór stawał się bardziej złowieszczy, a serca zbiegów coraz bardziej strwożone. Liche światło księżyca z trudem przedzierało się przez bujne korony drzew i wkrótce cała trójka jechała niemal w całkowitych ciemnościach. Drzewa i krzewy gadały do nich w swoim języku - pełnym trzasków, szumów, skrzypów i jęków. Gdzieś tam słychać było także pełne grozy odgłosy czających się dookoła mieszkańców kniei, tak jakby chcieli oni zaprotestować, że ktoś śmie naruszać granice ich królestwa. Brakowało tylko wycia wilków.

Żaden z uciekinierów się nie odzywał, bojąc się, żeby jeszcze bardziej nie rozgniewać lasu. Nikt też nie kwapił się, by zejść z wozu i wejść głębiej w złowieszczą knieję. Strach przed gniewem Mrocznej Pani okazał się jednak silniejszy.

- Już czas - wyszeptał Oran, na tyle jednak głośno, że ponure słowa dotarły do trójki jego towarzyszy. - Zatrzymaj konie, Volko. Już czas.

Chudzielec z niechęcią szarpnął lejcami. Wóz stanął w miejscu. Wysiedli, rozejrzeli się niepewnie dookoła i zbliżyli mimowolnie do siebie. Jeden z koni nerwowo parsknął, jakby zdał sobie sprawę z nadchodzącej śmierci.

- Wepchnijmy wóz w las i zatrzymajmy ślady. Zanim się ktoś zorientuje, że nie jedziemy drogą, nas tu już dawno nie będzie - rozkazał Oran nieznośnym sprzeciwu głosem, jakby właśnie teraz obudziły się w nim głęboko drzemiące zdolności przywódcze.

Jego brat takich zdolności nie posiadał. Potrafił za to zrządzić, jak niejedna białogłowa, co ostatnimi czasy nader chętnie czynił.

- Pewnie, że nas już dawno nie będzie. A jakże. Pewnikiem będziem już siedzieć w wilczych trzewiach. Ech, po com ja dał się namówić na to szaleństwo. Po co...

- Nie marudź, Volko, nie marudź, tylko rusz ten chudy zad, bo wóz sam tam nie wjedzie. No nie stój tak, tylko mi pomóż.

Volko opanował nerwowe drzenie nóg i posłusznie chwycił za cugle. Po jakimś czasie przykryli pojazd gałęziami, by nikt go z daleka nie wypatrzył, zabrali z niego najpotrzebniejsze klamoty i spojrzeli bezradnie po sobie.

- A co z końmi? - spytał Bolesław.

- Nie mamy wyboru. Puścić ich nie możemy, bo ktoś je znajdzie i odkryje, że uciekamy w pieszo. Tutaj też nie mogą zostać, bo zaczną hałasować, więc trza...

- Chyba nie chcesz ich za... za... - zająkał Volko.

- Muszę - przerwał mu jego brat i nie czekając na odpowiedź, wyjął zza pasa długi nóż i dwoma szybkimi ruchami podciął gardła nieparzystokopytnym.

Dobrotliwe serduszko Volko zawyło z rozpacz, a oczka chudzielca wbiły się w ślepia brata, obdarzając go pełnym wyrzutów spojrzeniem. Konie upadły z hukiem na ziemię, a z ich gardeł zaczęła płynąć gęsta, gorąca krew, która niebawem zabarwiła wszystko na czerwono. Jedynie Bolesław pozostał obojętny, koncentrując się na własnej uldze, tak nieodłącznej przy opróżnianiu pełnego pęcherza.

Ruszyli. A im głębiej wchodzili w bór, tym mrok stawał się większy, aż w końcu nie byli w stanie dojrzeć czubków własnych palców. Szli jednak dzielnie, stopa za stopą, krok za krokiem. W ciszy, w strachu, w skupieniu. Grube pnie zdawały się ruszać, iść ku nim, oplatać gałęziami. Bolesław zacisnął pięści. Gdzieś z boku ujrzał jakiś ruch i natychmiast przypomniał sobie mrozące krew w żyłach historie o złym borowym, co to zsyła ludzi na manowce. Pomyślał o skrywających się w ciemnościach biesach, zaklętych w pniach demonach, zaczarowanych wilkach i zadrzał.

Przestań! – krzyknął w myślach i potrząsnął głową. – *To tylko głupie bajdy. Te stwory nie istnieją.*

By zapomnieć o strachu, próbował pomyśleć o czymś przyjemnym, lecz z każdym głośniejszym traskiem gałęzi, z każdym świstem wiatru porażające strachy coraz głębiej zagnieźdżały się w jego sercu, przerażały duszę, paraliżowały nogi. Nagle uderzył się piszczelem o wystający korzeń, zarył nosem w pień drzewa i runął na ziemię.

– Mam tego dość! – krzyknął nagle na cały głos i zacisnął ze złości pięści. Bracia drgnęli z przerażenia i zamarli w bezruchu.

– Mam tego dość – powtórzył Bolesław, tym razem cicho, jakby przestraszył się, że swym krzykiem zbudził czające się w lesie lichy. Podeszedł ostrożnie do braci i położył im dłonie na ramionach. – To nie ma sensu. Musimy się zatrzymać, bo zabłądzimy w tych ciemnościach i równie dobrze wrócimy do wozu albo wprost pod nogi tej krwawej dziwki. Zatrzymajmy się i poczekajmy do rana.

Oran chwycił się za brodę, rozważając w skupieniu słowa księcia, i już miał zamiar wygłosić przemowę, gdy ubiegł go przestraszony skowyt chudzielca:

– Zatrzymać się? Tu? W tym stłasnym lesie? O bogowie, po co ja się godziłem na to waliactwo. Po co...

– Zamknij się, niedojdo. Księżę ma rację. Niedługo powinno zacząć świtać. Rozłóżmy na ziemi worki po mące i trzymajmy broń w pogotowiu. Może uda nam się zdrzemnąć.

Volko zapłakał.

– To przynajmniej lozpalmy jakieś ognisko. Nie wytrzymam w tej potwolnej ciemności. Boję się.

– Każdy z nas się boi, Volko. Każdy, nawet ja, ale ognia rozpalić nie możemy. Szukają nas żołnierze Pięknej Pani. Jak sądzisz, co zrobią, gdy zobaczą ogień? Nie wiesz, to ci powiem. Złapią nas, obetną kuśki i zrobią sobie z nich kiełbaski. Musimy przeczekać do świtu. To już niedługo, więc przestań marudzić i bierz przykład z brata. Głowa do góry.

Volko pociągnął nosem i mimowolnie przysunął się w pobliże Orana. W trudnych chwilach świadomość bliskości drugiego człowieka każdemu dodaje otuchy.

Rozłożyli na ziemi zabrane z wozu worki i rozsiedli się na nich, opierając się plecami o grube pnie sosen. Okryli się szczelnie płaszczami, podkulili nogi i zamknęli oczy, wsłuchując się w bicie własnych serc. Nagle usłyszeli nad głowami łopot skrzydeł. Poderwali głowy i ujrzeli dwa jasno świecące punkciki, odróżniające się od otaczającej ich ciemności.

- Huh, huh - odezwała się sowa, siadając na pobliskiej gałęzi, by z bezpiecznej odległości obserwować trójkę dziwnych istot.

Volko zadrżał, Oran krzyknął, a Bolesław podrapał się po jądrach.

- Nie bójcie się. To tylko sowa. To pomyślny znak - skłamał młodzieniec, nie chcąc jeszcze bardziej martwić swoich towarzyszy.

Oran próbował zaoponować, lecz ksiązę nie dał mu dojść do głosu i szybko zmienił temat.

- Jeszcze nie podziękowałem wam za uwolnienie. Uratowaliście mi życie. Jestem waszym dłużnikiem.

- E tam, nie ma sprawy - odparł grubas. - Drobnostka.

- Tak, drobnostka - wyjąkał Volko, choć sam nie mógł uwierzyć we własne słowa.

- Dużo ryzykowaliście. Dlaczego?

Bracie odruchowo spojrzeli po sobie, lecz ujrzeli jedynie nieprzeniknioną zasłonę czerni.

- Ta kłwawa suka zabiła naszą ukochaną siostrzyczkę - zaczął Volko. W jego oczach pojawiły się łzy. - Nie mogliśmy tam dłużej zostać. Musieliśmy...

- Widzisz, ksiązę - przerwał mu Oran w połowie zdania - bogowie każdemu z nas przypisali pewną rolę. Niektórzy urodzili się, by całe życie pasać krowy, inni stworzeni są do wojaczki, poezji czy handlu. Mnie zaś bogowie przypisali rolę bohatera. Zawsze żem wiedział, żem do wielkich czynów jest stworzony. Do walki ze złem, pokonywania smoków, ratowania księżniczek. Inaczej być nie może. Mam to

wpisane w księdze życia. Całe życie czekałem na jakiś znak od bogów i oto wreszcie się doczekałem. Oto nadszedł mój czas. Czas Orana – obrońcy maluczkich, wybrańca bogów. Rozumiesz teraz, książę, czemuś został porwany? Byłeś mym znakiem od bogów. Znakiem, że czas porzucić wygodną posadę i zacząć spełniać swoje powołanie.

- Rozumiem – odparł Bolesław, choć ton jego głosu zdawał się wyrażać co innego.

- Huh, huh – zgodziła się także siedząca na drzewie sowa.

Jedynie brat naszego bohatera miał inne zdanie.

- Jeśliś faktycznie wybrańcem bogów, to zacznij już teraz dokonywać tych swoich bohatereskich czynów, lycerzu Olanie, i zabierz mnie jak najszybciej z tego kulewskiego lasu. Nie dość, że zimno tu i stłaszno, to jeszcze jakieś zafajdane lobale po mnie łażą.

- Zabiorę, Volko, zabiorę. Już niedługo – pocieszył go grubas. – Widzisz, nie każdy może być wybrańcem bogów. Ty nie jesteś, bo ciągle marudzisz, ale za to ja jestem, więc nie masz się czego bać. Przy mnie nie zginiesz. Wy, książę, też nie. Zaprowadzę was obu do Ziemi Warszzyckiej, a za rok o tej porze będziemy we trójkę siedzieli w ciepłej karczmie. Ogień będzie wesoło skwierczał w kominku, a my przy beczce miodu będziemy ze śmiechem wspominać dzisiejszą noc. Tak będzie, obaczycie. Jakem Oran.

- Jakem Oran, jakem Oran, pfu – przedrzeźnił go Volko i splunął na ziemię. Chciał jeszcze coś dodać, gdy nagle poczuł, jak coś twardego stuka o jego ramię.

- Masz, Volko, napij się – usłyszał głos księcia. Zaraz też jego skwaszoną minę rozjaśnił pełen niedowierzania uśmiech, który z każdym łykiem gorzałki robił się coraz szerszy.

Humory znacznie im się poprawiły. Mocny płyn przenikał przez trzewia i rozgrzewał ich od środka, powodując przyjemne uczucie spokoju. Nawet las stracił trochę ze swej złowrogiej aury, choć nadal budził w trójce uciekinierów paraliżujący niemal strach.

- Mam jeszcze coś lepszego – rzekł Bolesław, gdy zawartość flaszki stała się wspomnieniem. – Paliliście kiedyś święte zioło?

- Kiedyś zem spalił jedną czalownicę na stosie, ale święta to ona nie była - odpowiedział pogodnie Volko.

- Czarownice to każdy palił. Chodzi mi o święte zioło. Zresztą zaraz się przekonacie.

Bolesław wyjął z kieszeni niewielki woreczek wypełniony kępką wysuszonych liści oraz małą drewnianą fajkę. Uśmiechnął się do siebie na myśl, że nikt nie zabrał mu jego skarbów, i aż zatarł dłonie z wrażenia. Zdrętwiałymi od zimna palcami naładował fijkę, włożył ją do ust i czekał, aż chudzielec upora się z krzesiwem. W końcu zaciągnął się. Krztuszający dym podrażnił mu gardło i, niczym olbrzymia fala zalewająca spokojny brzeg, rozlał się po całych płucach. Księżę odczekał sześć uderzeń serca, po czym powoli wypuścił dym. Kłębiasta chmura wzbiła się w powietrze, roztaczając wokół przyjemny aromat. Zgiął się w pół i kaszlnął kilkakrotnie. Zrobiło mu się słabo. Oczy wypełniły się łzami, policzki zapiekły, płuca zdawały się eksplodować, a krew niemal odpłynęła z twarzy. Musiało upłynąć kilka długich chwil, zanim znów mógł normalnie oddychać. W końcu doszedł do siebie i płynnym ruchem przekazał fajkę oraz palący się patyczek siedzącemu tuż obok chudzielcowi.

- Przyłóż ogień do fajki i zaciągnij się głęboko. Przytrzymaj dym w płucach tyle, ile możesz, potem wypuść. Na początku robi ci się słabo, zaczniesz kasłać, ale po chwili poczujesz się jak nowo narodzony.

Volko kiwnął głową, włożył fajkę między zęby, a w drugą dłoń chwycił palącą się gałązkę i przystawił ją do fiki. Usłyszał cichutkie skwierczenie. Pociągnął mocno, wtłaczając w pierś potężny haust dymu, i odczekał krótką chwilę.

O bogowie, umieram - przemknęło mu przez głowę. Wypuścił szybko dym i zaniósł się niepokohowanym kaszlem.

Ból niemal rozsadził go od wewnątrz. Płuca zdawały się wychodzić przez usta, a tysiące malutkich, lecz niezmiernie ostrych igieł zaczęło wbijać się w jego gardło, jakby jakiś szalony muzyk zrobił sobie z nich organki. Łzy pociekły mu ciurkiem z oczu, spowity

czarną zasłoną świat zawirował dookoła z zawrotną prędkością, fiska wypadła z ręki, a wraz z nią jej zawartość. Każdy wdech zimnego, jesiennego powietrza zdawał się zamarzać mu w płucach. Po chwili nadeszły mdłości. Włożył głowę między kolana i trwał tak w bezruchu przez kilka dłużących się niemiłosiernie chwil, przeklinając w myślach młodego księcia i jego piekielne ziele. Strużki śliny skapywały mu z ust, tworząc na ziemi malutkie bajoro.

- Nie martw się. Zaraz ci przejdzie - pocieszył go Bolesław i podał ponownie nabitą fajkę siedzącemu po drugiej stronie Oranowi.

Mdłości powoli przechodziły. Ból zanikał, a w jego miejsce pojawiło się dziwne uczucie błogości, pomieszane z przyjemnym rozluźnieniem wszystkich zmysłów. Las zaczął się do nich uśmiechać. Trójka przyjaciół zaczęła nagle dostrzegać w ciemnościach kontury drzew i krzewów. Przerazające odgłosy kniei zdawały się być teraz przyjemną dla ucha muzyką, wśród której można było dosłyszeć radosne śpiewy drzew i szept zamieszkujących tu istot. Świat zwolnił, świat nabrał kolorów.

- Huh, huh - odezwała się nagle siedząca wysoko sowa, przypominając im o swojej obecności.

- Huh, huh - odpowiedział Volko.

- Huh, huh - odpowiedział Oran.

- Huh, huh - odpowiedział Bolesław, po czym cała trójka wybuchnęła przeraźliwym śmiechem. Jego echo niosło się po całym lesie, wprawiając w zdziwienie mieszkające w nim stwory.

- Huh, huh - powtórzyła sowa, niezmiernie rada z nawiązania nowych znajomości.

- Huh, huh - odpowiedzieli naraz uciekinierzy. Śmiech zamienił się w niekontrolowany rechot, ten w nieustające rżenie, aż wreszcie w niedający się powstrzymać atak szaleńczego wycia. Cała trójka złapała się za brzuchy i poczęła tarzać po zimnej, pokrytej mchem ziemi. Nie mogli przestać. Łzy ciekły im z oczu, brzuchy rozboleły, a głowy zdawały się ściskane w imadle. Lecz mimo to nikt nie potrafił się opanować. Kolejne wybuchy śmiechu następowały po sobie

niczym wystrzeliwane z katapulty głązy podczas szturmowania zamku. Raz za razem. Trwało to i trwało, aż siedząca na drzewie sowa miała dość. Spojrzała ze zdziwieniem na trójkę szaleńców, wzruszyła skrzydłami i z naburmuszoną miną odleciała w okalające ją ciemności.

- O bogowie, mój brzuch - odezwał się Oran, gdy jakimś cudem zdołał powstrzymać kolejną falę śmiechu. - Chyba mi się rana otworzyła.

- A mnie zalaż czaszka pęknie - poskarżył się Volko, cały czas chichocząc. - Co ty nam dałeś, książę?

- Święte ziele. Już mówiłem - odpowiedział Bolesław, z trudem łapiąc oddech. - A co, chcecie jeszcze po dymku?

Bracia nie odpowiedzieli, więc młodzieniec uznał to za zgodę i ponownie zaczął nabijać fajkę. Duszący dym ponownie wypełnił płuca oraz dusze trójki towarzyszy i sprowadził na nich niezwykle spokój. Już się nie bali ani lasu, ani wilków, ani nawet Mrocznej Pani. Wszystkie problemy zdały się nic nieznaczącymi drobiazgami wobec piękna świata. Tym razem nie było śmiechu, lecz niemal nabożne skupienie. Każdy odpłynął w innym kierunku i pogрузzył się we własnych myślach.

Volko zamknął oczy i wsłuchał się w otaczający go las. Drzewa zdawały się szeptać jego imię.

- Volko, Volko, Volko - słyszał w głowie monotony takt, a w sercu poczuł niezwykle gorąc. Zrazu wydało mu się, że jest lekki niczym piórko i unosi się powoli w powietrzu. Wiatr ucichł, drzewa zamilkły, księżyc przybladł. Nagle coś poczuł - coś niedostrzegalnego, ulotnego, magicznego.

- Etela - wyszeptały jego usta, a serce zaczęło skakać jak oszalałe.

- Tak, to ja, Volko - usłyszał ciepły, kojący głos siostry. - To ja.

Była jeszcze piękniejsza niż za życia. Na jej twarzy malował się niezwykle spokój, usta uśmiechały się promiennie, a oczy lśniły jak

dwa oszlifowane rubiny. Wyglądała niczym najpiękniejsza księżniczka świata, niczym chodząca dobroć, niewysłowione szczęście.

- Nie bój się, braciszku. Jestem przy tobie. Zawsze będę. Nie bój się.

- Etela - wyszeptał Volko. - Moja Etela.

Wyciągnął ku niej dłoń, lecz siedział za daleko. Chciał wstać, lecz nie był w stanie.

Dziewczyna podeszła do niego i położyła mu dłoń na policzku. Poczul dotyk jej aksamitnej skóry i kwiecistą woń włosów oplatającą jego nozdrza niczym pnącze bluszczu i wnikającą do serca, gdzie zmieniała smutek w radość, a strach w niezmacony spokój. Etela uśmiechnęła się do niego pełnią siostrzanej miłości.

- Etela - zawołał, lecz siostra już go nie słyszała. Jej postać zaczęła powoli rozpląwać się w powietrzu.

- Nie bój się, Volko. Jestem przy tobie. Zawsze będę - słyszał jej słabnący głos, aż w końcu zniknęła na dobre. Volko jeszcze przez długi czas wpatrywał się w miejsce, w którym stała, czuł jej dotyk, doznawał jej obecności, aż w końcu zasnął. Szczęśliwy jak nigdy dotąd.

W tym samym czasie Oran przeżywał chwile triumfu. Był pogrążony we własnym świecie. Świecie pełnym złoczyńców, wilkołaków i złych magów. Ktoś przecież musiał z nimi wszystkimi walczyć. Ktoś musiał także ratować bezbronne księżniczki zamknięte na szczycie sięgających do samego nieba wież, przeciwstawiać się hegemonii zła, zdejmować kotki z koron drzew. Któż taki? Głupie pytanie. Wiadomo, że nasz odważny, dzielny i mężny rycerz Oran, siedzący w lśniącej zbroi na rączym i białym jak jego sumienie rumaku. Nikt inny. Już nie był niezdarną kupą tłuszczu, co to potyka się o własne nogi, lecz umięśnionym wojownikiem przypominającym posąg samego boga wojny. Jego długie i lśniące włosy tańczyły w powietrzu wraz z porywami wiatru, a ogorzała od słońca twarz wyrażała pełnię nieskazitelnego piękna oraz skromności. Gdzieś tam mignęła także rachityczna postać jego brata, lecz któżby interesował

się jakimś giermkim, gdy oczy całego świata zwrócone są na prawdziwego bohatera. Na Orana – wybrańca bogów.

Wizje zawładnęły bliźniakami do tego stopnia, że żaden z nich nie dostrzegł trójki dziwnych przybyszów, którzy nieoczekiwanie stanęli parę kroków przed nimi. Sześć niewielkich punkcików zaświeciło nad ich głowami, lecz jedynie Bolesław zdołał je dojrzeć. Zamrugał kilkakrotnie powiekami, by odpędzić zwidy, lecz nic to nie dało. Świejące punkty nadal tam były. Książę wyteżył wzrok i po chwili dojrzał trójkę kuriozalnych istot, patrzących się wprost na niego. Ich wysokie i szczupłe ciała o spiczastych uszach oraz nieproporcjonalnie małych głowach ozdobionych długimi, luźno zwisającymi włosami srebrzystej barwy były pokryte tysiącami drobnych włosków, wydzielających słabą, zielonkawą poświatę. Dwóch z nich trzymało wycelowane w jego stronę łuki.

Stojąca pośrodku istota zrobiła dwa kroki w stronę zdumionego księcia. Do jego nozdrzy dotarł silny zapach lasu. Usta stwora pozostały zamknięte, lecz książę mógłby przysiąc, że dobywa się z nich brzmiały niczym szum liści głos. Pojedyncze zgłoski układały się w słowa, te zaś w całe zdania:

- Ktoś ty jest, czego chcesz? Czemu w las wszedłeś nasz?

Zamknął oczy, potrząsnął głową kilkakrotnie i uszczypnął się boleśnie w ramię.

- Ktoś ty jest, czego chcesz? Czemu w las wszedłeś nasz? – rozległo się naraz wiele innych głosów dochodzących ze wszystkich stron i zlewających się ze sobą w jeden groźny szum.

Bolesław otworzył oczy.

- Co jest? – wyszeptał do siebie, lecz zaraz uśmiechnął się niemrawo, gdy jego wzrok padł na leżący pod nogami woreczek ze świętym zieleń. – Rozumiem. Muszę chyba zmienić dostawcę.

Nagle poczuł, jak coś ostrego wbija się w jego plecy. Ból nie był wyimaginowany, był jak najbardziej realny.

- Ktoś ty jest, czego chcesz? Czemu w las wszedłeś nasz? – zapytał po raz trzeci stwór, a jego głos, brzmiały niczym ostatnie

ostrzeżenie, zjeżył księciu włoski na karku.

- Bo... Bolesław zem jest - powiedział szeptem, po czym poderwał nagle głowę i spojrzał prosto w jarzące się na czerwono ślepia dziwnego przybysza. - Jam jest synem Wielkiego Księcia. Chcę tylko przejść przez ten las i wrócić do domu. Nic mi do was, nic wam do mnie. Idźcie już.

Stwór wydał z siebie nieokreślony dźwięk i zbliżył swą twarz do twarzy księcia, a jego oczy zdawały się świecić jeszcze mocniej. Pociągnął kilkakrotnie nosem i ostrożnie dotknął twarzy Bolesława. Ten drgnął, lecz nie miał odwagi odtrącić dłoni, która coraz śmieiej zaczęła przesuwac się po jego skórze i włosach.

- Ludziem żeś, ludziem jest.

Las zaszumiał złowrogo, kilka stworów gwizdnęło ponuro, po czym zaczęło coś gadać w swoim dziwnym języku.

- Kim jesteście? - zapytał Bolesław, nie mogąc dłużej znieść tych przerażających odgłosów.

- Dobrochoczy^[1] ja i oni są - odpowiedział stwór, zakreślając dłonią krąg. - Las to nasz, nasz to las.

- Nasz to las, las to nasz - odpowiedziały natychmiast inne głosy, dźwięczące mu w uszach niczym dzwony w świątyni Radogosta.

- Dobrochoczy? - Bolesław aż krzyknął ze zdziwienia i jeszcze raz przyjrzał się stojącym dookoła niego istotom. - To niemożliwe. Przecież wy nie istniejecie. Wy... wy istniejecie tylko w ludowych podaniach. Nie. To niemożliwe. Nie wierzę w to. Nie wierzę.

Leśną głuszą wstrząsnął nagle wybuch śmiechu, dobywający się z kilkunastu nieruchomych gardeł.

- Słowa tve dziwią mnie, Bolesławie, co zowiesz się. Jestem ja i oni są. Pójdiesz ty tam, gdzie my. Władca nasz spotka cię. Powiesz mu, kto żeś ty.

Zapach lasu stał się jeszcze mocniejszy, wprost wwiercał się w książęce nozdrza i powodował zawroty głowy. Zamknął oczy, chcąc, by zalewające go wizje zniknęły. Trwał tak w bezruchu przed dłuższy czas, nim odważył się ponownie otworzyć oczy. Gdy to zrobił, zawył

w ciszy. Stwory stały tam, gdzie poprzednio. Tak samo dziwaczne, tak samo groźne i tak samo realne.

- Nigdzie nie pójdę. Dajcie mi spokój. Zostawcie mnie.

- Pójdiesz ty tam, gdzie my. Władca nasz spotka cię. Powiesz mu, kto żeś ty. Wstawaj już, nadszedł czas - powtórzył dziwny przybysz i złapał go za rękę. - Nie bój się i słuchaj mnie. Droga twa bliska jest, władca nasz czeka cię. Chodź, już czas, czas już na nas.

Próbował jeszcze się opierać, lecz istoty były głuche na jego błagania. Trzy pary rąk poderwały go brutalnie z ziemi i chwyciły za ramiona. Nagle usłyszał dochodzący z boku głos Orana:

- Co wam jest, książę? Dobrze się czujecie?

- Ratuju mnie! Ratuju!

Grubas zmarszczył brwi i spojrzał z politowaniem na następcę tronu. Ten zaczął wierzgać jeszcze bardziej, drzeć się jak opętany i ciskać wokół drobinkami śliny, a jego głos z każdą chwilą stawał się bardziej szalony.

- Szaleju się nażarł, biedaczek - powiedział po cichu Oran i westchnął ze współczuciem, po czym odwrócił wzrok, nie zauważając nawet, że ciało księcia lewituje w powietrzu, jakby jakaś tajemna siła trzymała go za ramiona. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Ledwo Oran zdołał przemówić, a już ponownie zatopił się we własnych myślach, pozostawiając księcia sam na sam z własnymi problemami.

- Pomóż mi, Oran! Oni chcą mnie porwać! Pomóż! - wydierał się Bolesław, lecz ten go już nie słyszał. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż gadanie z wariatem. Takie jak choćby ratowanie świata przed całą armią powstałych z ziemi upiórów.

Równie zdziwiony był leśny demon. On także spojrzał na księcia, po czym powiódł wzrokiem dookoła i zmarszczył brwi. A raczej zmarszczyłby, gdyby takowe posiadał.

- Kogo ty mówisz do?

- Oran, Oran, obudź się! - krzyczał książę, ignorując istotę i próbując się wyrwać z obejmujących go ramion.

- Widzę cię, innych nie - powtórzył dobrochoczy z coraz większym zdziwieniem i machnął ręką przed nosem, jakby chciał odgonić uporczywe myśli. - Chodźmy już, nadszedł czas. Droga twa bliska jest. Władca nasz czeka nas. Wrócisz tu szybko znów.

Bolesław chciał jeszcze zaprotestować, lecz ostrze włóczni znów wbiło się w jego skórę, zmuszając go do posłuszeństwa.

- Legokniej zowią mnie, choć imię me inne jest. Za mną rusz, idź tuż-tuż - rzekł dobrochoczy, po czym pierwszy ruszył niewidoczną ścieżką biegnącą wśród leśnej gęstwiny.

Bolesław niechętnie podążył za nim, cały czas czując na plecach złowrogi oddech dzidy, z którą miał nieprzyjemność się zapoznać. Przez dłuższy czas szli w milczeniu, aż wreszcie dotarli do rozległej polanki otoczonej ze wszystkich stron starymi, dostojnymi dębami. Pośrodku stało największe drzewo, jakie młody książę kiedykolwiek widział i jakie kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić. Potężny, szlachetny dąb piał się w górę, jakby chciał swoim wierzchołkiem połaskotać świecące wysoko gwiazdy. Jego pień miał grubość dziesięciu innych pni, a pod rozłożystą koroną mogłyby pomieścić się dwa tuziny rycerzy wraz z ich końmi, giermkami i całym dobytkiem. Mimo późnej pory roku drzewo było w całości pokryte zdrowymi, zielonymi liśćmi.

Zebrała się pod nim spora gromada leśnych istot, wyglądających niemal identycznie. Tylko stojący w samym środku stwór różnił się od nich. Ubrany był w długi złocisty płaszcz z zielonymi obszyciami, który ciągnął się do samej ziemi i przykrywał bosc, sześciopalczaste stopy. Wysoki, usiany różnokolorowymi liśćmi i przeplatany fioletowymi gałązkami wrzosa kapelusz przypominał z oddali spiczastą wieżę mrocznego zamku zamieszkanego przez szalonego maga, a długa rdzawa broda wiła się w skrętach niczym płacze bluszczu i kończyła swój żywot na środku brzucha. Do jej końców przymocowane były malutkie srebrzyste dzwoneczki, które cichutko pobrzękiwały o siebie, wydając skoczne dźwięki. Najbardziej niezwykle były jednak oczy. Idealnie okrągłe ślepie, błyszczące

w mroku poświata zachodzącego słońca i wwiercające się w najbardziej skryte zakamarki duszy młodego księcia.

- Wiitaaj, Boolesławie, szszynuu Jarogniewaa - z zamkniętych ust stwora wydobył się głos - tajemniczy, szeleszczący, świszczący niczym szum lasu podczas wichury. - Jam jest Legoobóór, szszszsz. Król Legoobóór Szszтары. Dawnoom nie szszpootkał szszszaadnego ludziaa. Poodejdz no tuu doo mniece, nie szszroobie ci krzywdy.

Bolesław chciał coś odpowiedzieć, lecz nie był w stanie. Z wahaniem zrobił kilka kroków w przód, aż znalazł się na wyciągnięcie ręki od władcy lasu. Z bliska jego twarz wyglądała niczym oszlifowany marmur najwyższej jakości. Nie było na niej żadnej skazy, żadnej ryski ani nawet najmniejszej zmarszczki. Nie było również żadnych emocji. Okrągłe ślepie króla lasu rozbłysły nagle czerwoną łuną i zatopiły się w oczach człowieka. Bolesława zalała fala gorąca, która odebrała mu dech w piersiach. Poczł się zupełnie nagi, bezbronny niczym dziecko. Wzrok Legobora przenikał zaś przez niego, aż wreszcie dotarł do dna duszy i, niczym nabrzmiały penis penetrujący dziewicze łono, pozbawił Bolesława jego sekretów, oddarł z niewinności. Trwało to ułamek chwili, lecz wrażenie było tak silne, że młodzieńcowi zdawało się, iż oto stoi w przedsionku Nawii, gdzie właśnie trwa sąd nad jego duszą. Nagle usłyszał w głowie znajomy głos:

- Czuję w tobiece olbrzymią moc, szszsz, szszsz, szszsz. Potężną i nieokrzesaną. Nauczyc się naad nią panowaac musiszsz, boo inaszeej onaa szapanuuje nad tobą. Bogowie złoszyli naa twyych barkach looszy szwiata. Nie zawiedz ich. A teraszsz wracaj już do siebie. Zamknij oczy, szzynuu Jarogniewa, i miej się na baczności. Szszszszszszsz.

Bolesław zamknął oczy, a gdy otworzył je ponownie, świtało. Olbrzymi dąb zniknął, a wraz z nim dziwaczne stwory, błyszczące ślepie i tajemniczy król. Promienie słońca rozświetliły leśną gęstwinę i padły na dwójkę braci. Spali smacznie, wtuleni jeden w drugiego, jakby chcieli się wzajemnie ogrzać ciepłem swoich ciał. Ich piersi

poruszały się miarowo w rytm oddechów, a z ust chudzielca wydobywał się odgłos dziesięciu wozów jadących po brukowanych ulicach miasta. Młodzieniec skierował wzrok do przodu, by poszukać jakiegokolwiek dowodu na to, że to, czego był niedawno świadkiem, nie było jedynie wytworem jego wyobraźni. Nagle pisnął z przerażenia.

Pięć kroków przed sobą ujrzał wypełnione błotem bagno - złowieszcze, głębokie, mordercze. Zaraz też zrobiło mu się słabo na samą myśl o gęstej brei wypełniającej mu usta, nos i płuca. Zdał sobie sprawę, że gdyby wczorajszej nocy nie uderzył się boleśnie w piszczel i nie zarył nosem w pień, dzisiaj nie byłoby po nim śladu.

Tuż obok niego przysiadł jakiś ptak i wydał z siebie wesoły trel. Młodzieniec raz jeszcze spojrzął w przód i powoli wstał. Splunął na ziemię, ziewnął szeroko, po czym trącił czubkiem buta żebra śpiących spokojnie braci.

- Już świta - powiedział na głos, widząc, że ci nie kwapią się zbyt do opuszczenia bezpiecznego kokonu nieświadomości. W końcu jednak musieli ulec coraz silniej nacierającym bodźcom zewnętrznym. Niechętnie otworzyli zaspane oczy, które powoli zaczęły przyzwyczajać się do bladego światła i rozróżniały kształty drzew, krzewów i mchów. Strzepnęli chodzące po nich mrówki i bezwiednie spojrzeli w dal.

- O kulwa - wyrwało się chudzielcowi, gdy ujrzał przed sobą błotnistą pułapkę i uświadomił sobie ogrom nieszczęścia, jakie mogło ich spotkać.

- O kurwa - potwierdził jego brat bliźniak, po czym pochylił z szacunkiem głowę, by podziękować bogom za uratowanie życia. Teraz już nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest ich wybrańcem.

Cała trójka spakowała lichego dobytek, po czym ruszyła w dalszą drogę, kierując się ku wschodzącemu słońcu. Droga dłużyła się niemiłosiernie. W powietrzu czuć było nadchodzącą szybkimi krokami Panią Zimę, choć gęsto rosnące drzewa skutecznie zatrzymywały mroźne podmuchy północnego wiatru. Od czasu do czasu

dobroduszne promienie słońca przedzierały się przez rozgałęzione korony drzew, pieszcząc zziębnięte skóry trójki uciekinierów. Zatrzymywali się wtedy i wystawiali twarze ku słońcu, napawając się tym przyjemnym uczuciem. Nie trwało to jednak długo. Coraz więcej ołowianych chmur pojawiało się na niebie, gwarantując naszym bohaterom znojne chwile. W końcu zaczęło padać. Malutkie kropelki deszczu pieściły zielone igły sosen, z rzadka docierając na sam dół. Z każdą chwilą było ich coraz więcej. Łączyły się ze sobą w grupy, tworząc małe wodospady, które coraz celniej trafiały w ciała trójki uciekinierów. Wkrótce każdy z nich był doszczętnie przemoczony. Woda chlupała im w butach, grając przy każdym kroku ponurego marsza, a wełniane płaszcze robiły się coraz cięższe i coraz bardziej utrudniały mozolną wędrówkę. Szli jednak dalej. Niemrawo stawiali kroki i zaciskali zęby, próbując nie zwracać uwagi na otulający ich chłód. Jedynie Oran zdawał się nie przejmować kapryсами Matki Natury. Pogwizdywał sobie wesoło, błędząc myślami w krainie marzeń. Nie zauważył nawet, gdy deszcz przestał padać, a na niebie ponownie zawitał jaśniejący okrąg.

Dotarli na niewielką polankę, która - usiana różowymi kwiatkami i otoczona z trzech stron gęstymi krzakami - idealnie nadawała się na odpoczynek. Zdjęli z siebie przemoknięte płaszcze i położyli je na ziemi, by choć trochę przeschły, a następnie w milczeniu zaczęli raczyć się niewielkimi zapasami, które im zostały. Wybór nie był duży - kilka pęt kiełbasy i zeschnięty placek, który smakował niczym podeszwa. To jednak wystarczyło, żeby uśmiech powrócił na ich lica. Bolesław zamknął oczy i wsłuchał się w otaczające go odgłosy przyrody. Przez cały czas miał wrażenie, że las go obserwuje, jednak nie bał się. Wręcz przeciwnie. Czuł dziwny spokój i radość z chwili, gdy mógł sobie odpocząć na pięknej polance w towarzystwie dwójki tak różniących się od siebie bliźniaków. Znał ich zaledwie dwa dni, lecz już zdołał obdarzyć uczuciem prawdziwej przyjaźni. Bracia także polubili następcę tronu. W niczym nie przypominał im wyniosłych panów, co to traktują innych z góry. Śmiał się i żartował jak jeden ze

swoich. Tylko czasem na jego twarzy pojawiał się wyraz zadumy i smutku. Milkł wtedy i zapatrywał się mglistym wzrokiem w nieokreślony punkt, jakby ktoś ukradł mu duszę. Czasem także kąćki jego oczu zaczynały świecić czerwoną łuną. Trwało to jednak krótko, krócej niż mrugnięcie powiek.

Idylla zmierzała ku końcowi. Ciemnogrnatowe chmury ponownie otuliły niebo złowieszczą pierzyną, przynosząc ze sobą kolejne strumienie padającej z nieba wody. Pośpiesznie nałożyli wilgotne ubrania i ruszyli w dalszą drogę. Szli w milczeniu, nie chcąc tracić sił na próżne słowa. Od czasu do czasu któryś z nich wypowiedział tylko parę zdań i znów pogrążał się we własnych myślach. Zamglone spojrzenia błędziły niemrawo po coraz bardziej nieostrych konturach drzew, nogi coraz częściej plątały się o siebie, a oczy opadały w dół, jakby chciały przykleić się do powiek. Także oddechy stawały się głębsze, przechodząc co chwila w nostalgiczne wzdychanie za ciepłą komnatą i choćby malutkim łyżkiem wina.

- Stójcie. Zaraz zapadnie zmrok. Musimy rozbić obóz - zdecydował w którymś momencie idący na przedzie Oran. Reszta ochoczo go poparła i niebawem tuż obok leniwie płynącego strumyczka stanął prowizoryczny szałas. Niewielki ogień rozświetlił ponury las i dodał otuchy zbiegom. Usiedli jeden przy drugim i racząc się skąpymi zasobami jedzenia, zaczęli dzielić się historiami z własnego życia. Kilka razy nocną głuszę przeszyło głośnie wycie wilków. Milkli wtedy i jeszcze bardziej zbliżali się do siebie, aż w końcu zasnęli niespokojnym snem zbiegów.

Kolejny dzień nie przyniósł nic nowego. Las zdawał się ciągnąć bez końca niczym bezkresny ocean pni, liści, gałęzi i poniewierających się wszędzie szyszek. Monotonię podróży zakłócił im jedynie brunatny dzik. Pojawił się znikąd - wściekły, głodny i olbrzymi, a jego szable tak sobie upodobały kościsty zadek Volko, że ich właściciel gonił go dobre ćwierć mili, nim w końcu chudzielec zdołał wdrapać się na pochylone ku ziemi drzewo, żeby tam poczekać, aż dzik raczy zostawić go w spokoju.

Pod wieczór las stał się rzadszy, jakby mniej straszny. Radośniejszy. Wysokie drzewa ustąpiły miejsca swym młodszym kuzynom. Stateczne dęby, świerki i sosny zostały wyparte przez lipy, graby i klony, aż w końcu podróźni znaleźli się w królestwie posiwiałych brzoź, których pożółkłe liście tworzyły na ziemi puszystą kołdrę. Gdzieniegdzie mignęły im przed oczyma zając, sarna lub jelen, czasem prawie zdeptali skulonego w kulkę jeża lub naruszyli swymi buciorami domostwo ciężko pracujących mrówek. Czasem któryś z nich potknął się o wystające korzenie, czasem siadł na ziemi, mówiąc, że brak mu sił. Zaraz jednak szedł dalej, powłócząc coraz ciężiej nogami i coraz ciężiej oddychając, a jego wzrok patrzył z tęsknotą w przód, wypatrując końca tego przeklętego boru. Musieli jednak spędzić tutaj jeszcze jedną noc, nim wreszcie opuścili mroczne królestwo drzew, wyblakłych liści, nienazartych wilków i leśnych stworów, które z oddali obserwowały poczynania syna Jarogniewa. Teraz mieli się zmierzyć z jeszcze groźniejszymi przeciwnikami – ludźmi.

- Naleszcie – westchnął Volko, gdy w końcu ujrzeli nad sobą nieprzesłonięte gałęziami niebo, będące traktem dla trójki okazałych bocianów udających się w cieplejsze kraje. - Tylko co teraz? Gdzie jest ta twoja wioska?

Oran spojrzał przed siebie, sycąc oczy pofałdowanym, fioletowo-zielonym płaszczem wrzosowiska, zwieńczonego w oddali roślami pagórkami. Jeszcze dalej, schowane za gęstą mgłą, majaczyły niewyraźne kształty gór o rozczapierzonych wierzchołkach pokrytych wieczną czapą śniegu. To za nimi mieściła się ich ziemia obiecana – Księstwo Ziemi Warszyckiej.

- Według mojej rachuby musimy chyba iść w prawo.

- Jak to chyba? Co chcesz powiedzieć, mówiąc „chyba”? No powiedzże coś, ty durny tłuściochu. Czemu milczysz?

Oran wyduł wargi i podrapał się po brodzie. Jego brat stał zaś z czerwoną twarzą i machał zawzięcie rękoma, a z jego ust dobywał się niekończący potok narzekania, złorzeczeń i czarnych myśli.

- Zamknij się wreszcie, ty niedojdo, i daj mi pomyśleć - wydarł się na niego Oran i strzelił dłonią w potylicę.

Volko napiął mięśnie i już miał się na niego rzucić, gdy nagle usłyszał przerażony głos Bolesława:

- Cichajcie. Chyba ktoś jedzie.

Zza zakrętu wyłonił się kilkunastoosobowy oddział żołnierzy Lady Erzsébe.

- O nie. Znaleźli nas. Już po nas. Już po nas...

- Zamknij się! - krzyknęli jednocześnie Oran i Bolesław.

Volko zachlipał i rozejrzał się dookoła przerażonym wzrokiem. Nagle przez jego twarz przebiegł nagły błysk i nim ktokolwiek zdołał się zorientować, on już siedział w gęstych jeżynach, które porastały przydrożny rów. Jego towarzysze spojrzeli ze zdziwieniem po sobie, po czym podążyli jego tropem, próbując zdusić cisnące im się w usta przekleństwa, gdy ostre kolce bez litości wbijały im się w skórę.

Stukot kopyt stawał się coraz głośniejszy. Trójka uciekinierów wstrzymała oddech, lecz odgłosów walących serc nie dało się uciszyć. Któryś z koni parsknął, Volko zamknął oczy i zakrył dłońmi głowę, czując jak po nogach ścieka mu wąska strużka moczu.

Tylko się nie zatrzymujcie. Jedźcie dalej, litości - błagały jego myśli, a ręce drżały niczym kukły prowadzone na sznurku przez aktora.

Żołnierze pojechali dalej.

- Uf. Niewiele brakowało - westchnął Bolesław i powoli podniósł się z ziemi. - Nie możemy tak iść. Musimy poczekać do zmierzchu i wtedy ruszymy, bo w dzień jest zbyt niebezpiecznie.

- O bogowie, po co ja...

- Zamknij się wreszcie, niedojdo - wściekł się w końcu Oran i zdzielił jęczącego brata w potylicę. - Nic się nie stało i nie stanie. Wbij sobie wreszcie do tego pustego łba, że przy mnie nic ci nie grozi. Jam jest wybrańcem bogów.

Volko nic na to nie odpowiedział. Wytarł dyskretnie łzy z oczu i odszedł kilka kroków w bok, by nikt nie zauważył świeżej plamy,

która wyrosła mu na portkach. Dopiero wtedy usiadł na ziemi i zaczął wyciągać tkwiące w nim kolce jeżyn, patrząc od czasu do czasu na brata takim wzrokiem, jakby miał zamiar go zabić. Gdy skończył, wstał i udał się z powrotem do lasu, słysząc, jak Oran pomstuje na swój marny los:

- Sucze pomioty, psia ich mać. Że też musiały rosnąć tu te chędożone jeżyny, z kolcami upierdliwymi jak mój brat niedojda. No nie stójmy tak na widoku, bo znów jakieś cholerstwo przywieje, a wierzcie mi, że nie mam zamiaru ponownie kicać w tych przeklętych krzaczorach niczym jakiś zajac.

- Do zająca to ci daleko, grubasie - krzyknął chudzielec z oddali. Zaraz jednak zrugął się w myślach, obiecując sobie, że więcej nie odezwie się do przeklętego tłuściocha, którego złośliwi bogowie zrobili jego bratem.

W takich oto podłych humorach spędzili resztę dnia, aż wreszcie mrok ponownie zawładnął światem, a trójka uciekinierów ruszyła w dalszą drogę, rozglądając się czujnie na wszystkie strony i nasłuchując niepokojących dźwięków. Właśnie trwał solowy koncert rdzawobrzązowego słowika w akompaniamencie chóru żab i szumu drzew, lecz wędrowcy nie raczyli nawet wsłuchać się w ich tęskne tony. Ich uszy wyszukiwały bliższych im dźwięków ludzkich gardeł lub stukotu końskich kopyt. Gdy się upewnili, że nic im nie grozi, wkroczyli na podmokłe tereny wrzosowiska, kierując się ku dalekim wzgórzom. A im byli dalej, tym ziemia stawała się coraz miększa, utrudniając im marsz. Najgorzej miał Oran, którego stopy wprost się zapadały, lecz jak przystało na przyszłego bohatera pochwalnych pieśni, znosił tę drobną niewygodę z kamienną miną i bez słowa skargi. Nadrabiał za to jego brat, narzekający nieustannie przy każdej możliwej sposobności, a nawet i wtedy, gdy sposobności zabrakło. Czasem zatrzymywali się na chwilę, by dać odpocząć zmęczonym nogom, lecz gdy ponownie ruszali, było jeszcze gorzej. Wypogodziło się. Deszcz przestał siąpić, wiatr jakby zmalął, choć przedtem zdążył jeszcze przegnać z nieba resztę chmur i nad ich głowami pojawiły się

jasno świecące punkciki. Bolesław z zaciekawieniem obserwował śledzący ich z wysoka księżyc, który objawił się światu w pełnej krasie i przypominał mu o magicznym zaklęciu, w którym miał uczestniczyć. Uśmiechnął się nawet pod nosem, próbując wyobrazić sobie wściekłość malującą się na bądź co bądź pięknym licu sprawczyni swej niedoli. Zaraz też przed oczami pojawiły mu się inne obrazy. Westchnął ciężko i próbował odgonić zbereżne myśli, lecz co rusz przed oczami stawały mu powabne piersi Pięknej Pani, jej rozchylone usta, alabastrowa skóra i dywan złocistych loczków kotłujący się na dole.

Przystań - ofukał sam siebie, lecz im bardziej chciał przestać o niej myśleć, tym postać kompletnie nagiej blondynki na dłużej pojawiała się w jego wyobraźni. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać i teraz prócz z zapadającą się ziemią, musiał zмагаć się jeszcze z wybrykami własnego ciała.

W końcu podłoże stało się twardsze i bardziej suche. Gwiazdy już dawno przybladły, gdy trójka przyjaciół dotarła do stromego wzgórza, za którym według słów Orana powinna płynąć rzeka. Już z daleka usłyszeli jej szum, który ginął w monotonnym odgłosie bijących bębnow.

- Co to? - spytał przeraźliwie blady chudzielec i przełknął głośno ślinę.

Oran podrapał się po brodzie i wzruszył ramionami.

- Zaraz obaczmy - odparł i jako pierwszy ruszył w górę.

Gdy dotarli na szczyt, padli na ziemię i ostrożnie wychylili głowy. Pośrodku leniwie płynącej rzeki wznosiła się niewielka wysepka. To stamtąd dochodziło dudnienie bębna oraz ledwie słyszalne dźwięki gwizdawek, które przywodziły na myśl koncert cykad. Jaskrawy blask ogniska oświetlał tańczące sylwetki dziewcząt i odbijał się od ich naoliwionych, odzianych w gwiazdny pył ciał. Ich ruchy były zmysłowe, lekkie niczym powiew wiatru i tak powabne, że oczy obserwujących uciekinierów robiły się coraz większe. Nie tylko zresztą oczy.

Dudnienie bębna stało się szybsze, ruchy zwawsze, szybsze, gwałtowniejsze. Wtem z okalających część wyspy ciemności wyłoniło się pięciu nagich mężczyzn, prowadzonych na smyczy przez słusznych rozmiarów niewiastę. Szli powoli, z głowami skierowanymi ku ziemi i sterczącymi w górę członkami. Bęben zamilkł. Tańczące dziewczyny zamarły na chwilę w bezruchu, po czym skierowały ku nim twarze i zaczęły powoli iść w ich stronę, kołysząc przy tym biodrami niczym w jakimś śnie. Mężczyźni położyli się na zawczasu przygotowanych prześcieradłach i czekali.

Bęben ponownie zakłócił nocną ciszę, dając kapłankom znak. Każda z nich podeszła do swego wybrańca i usiadła na niego, wbijając ich członki we własne lędźwie.

- Ale szczęściarze - rozmarzył się Volko i począł się wiercić na wszystkie strony.

Trójka uciekinierów jeszcze przez dłuższy czas obserwowała toczący się obrządek, lecz w końcu zmęczenie dało o sobie znać. Zasnęli niemal równocześnie, śniąc ten sam sen, w których to oni znajdowali się na wyspie w otoczeniu pięknych niczym wschód słońca niewiast.

Jednak gdy tylko pierwsze promienie słońca padły na ich umęczone twarze, wyrywając ich z krainy snu, a ich oczy spojrzały z utęsknieniem na wyspę w poszukiwaniu nagich bogiń, ich marzenia zostały szybko zweryfikowane. Wśród niedopalonych szczap drewna i kolorowych wstążek wirujących na gałęziach drzew ujrzeli pięciu wybrańców. Leżeli w tych samych miejscach co w nocy - tak samo nadzy, tak samo szczęśliwi, tylko że martwi.

- Na brodę Peruna - wymamrotał Oran. - Czy oni...

Bolesław położył mu dłoń na ramieniu i odwrócił wzrok w drugą stronę.

- Tak. Zostali złożeni w ofierze. Chodźmy stąd. Mam już dosyć trupów.

Oran westchnął ciężko i splunął na ziemię, po czym zdzielił stojącego obok niego brata w twarz. Niezbyt mocno, lecz dotkliwie.

- A to za co? - zapłakał chudzielec głosem maltretowanego szczeniaka.

- Tak na zapas, gdyby znów zebrało ci się na marudzenie. Ruszajmy.

I znów wędrowali krok za krokiem, mila za milą, głodni, zmęczeni, ponurzy. Z rzadka wymieniając słowa, z rzadka się śmiejąc. I tylko ich twarze stawały się dłuższe, oczy smętniejsze, spojrzenia ostrzejsze, a w brzuchach zaczęło burczeć niczym w ulu. Zaraz też zaczęły się między nimi kłótnie, swary, niesnaski i nie wiadomo, czym by się to skończyło, gdyby nagle nie ukazała im się niewielka wieś leżąca nad brzegiem rwącej rzeki.

- To tu! - krzyknął uradowany Oran. Otarł pot z czoła, wznosił ręce do góry i zaczął podskakiwać w miejscu jak szalony tancerz podczas corocznego konkursu tańca.

Wieś składała się z niewielkich chatek z kamiennymi podmurówkami, które zbudowano wzdłuż piaszczystej drogi. Pośrodku znajdował się kwadratowy placyk pełniący funkcję miejskiego rynku. To tam w wolne wieczory zbierały się kumy z sąsiedztwa, by stłumionym głosem podyskutować o innych kumach. Nieco dalej stała niewielka karczma, gdzie ich mężowie przepijali ostatnie ciężko zarobione miedziaki, by w oparach alkoholu ponarzekać na zrzędlive baby i choć na chwilę zapomnieć o swej chłopskiej niedoli.

Volko, Oran i Bolesław zatrzymali się na drugim brzegu rzeki i schowani w gęstych zaroślach czekali, aż zapadnie zmierzch. Z oddali obserwowali zgraję dzieciaków pluskających się w wodzie, śmiejących się i krzyczących beztrosko do siebie. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że oto spędza najpiękniejsze chwile w swoim życiu. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że właśnie spędza jedne z ostatnich chwil w swoim życiu. Między szkrabami pętały się bez celu różnej maści kundle, które nachalnie dopominały się o miskę nadpsutej kaszy lub starą kość. Młodsze zwierzaki łaśliły się do dzieci i patrzyły błagalnymi oczkami, by któreś z nich zechciało pogłaskać je

za uszkiem. Inne kładły się na plecach, czekając, aż czyjaś dłoń zechce zmierzić luźno rosnące włoski pokrywające ich nienasycone brzuchy.

Wieczór nadchodził powolnym krokiem. Uciekinierzy ujrzeli zgarbionych chłopów, którzy wracali w milczeniu z pola. Gdzieś pośród nich Oran dojrzał wysoką sylwetkę swojego przyjaciela, który niósł na plecach okazały worek, co to przygniatało go swym ciężarem. Szeroki niczym miejska brama uśmiech rozjaśnił jego lico, a z płuc wydobyło się głośne westchnienie ulgi.

- To on, ten wysoki i chudy. To Boćko, jak mi bogowie mili. Mówił zem ci, Volko, że wszystko będzie dobrze, a tyś jak zwykle mi nie wierzył. Kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że ja nigdy się nie mylę.

- Lepiej bądź cicho, grubasie, bo zaraz ktoś nas usłyszy - ostrzegł go chudzielec ostrym tonem, jednak w jego oczach także pojawiła się ulga. - Chodźmy do niego.

- No coś ty, Volko. Głupisz. Trza poczekać do zmierzchu, by nikt nas nie widział, bo zaraz znajdzie się jakiś łachmyta, co to za kilka miedziaków gotów nas wydać. Zawrzyj więc pysk i czekaj w spokoju, aż ci dam znać. Przyjdzie wieczór, to sam się udam do Boćka, bo jak cię tylko obaczy, to pomyśli, że to jakieś widmo go nachodzi, i jeszcze narobi rabanu na całą wieś. A tego chyba nie chcemy.

I znów czekali, zdając się na łaskę czasu. A czas, jak to czas, biegł swoim powolnym tempem. Słońce dreptało po widnokregu, deszcz siąpił, wiatr hulał i tylko Volko przestał jęczeć, jakby wreszcie zaufał bratu.

- Na mnie czas - przemówił po jakimś czasie Oran i podniósł z trudem swoje niemałe ciało. - Czekajcie tu na mnie. Niebawem wrócę.

To powiedziawszy, udał się w stronę brzegu, odcumował schowaną w szuwarach łódkę, ulokował się w niej i chwycił leżące na dnie wiosło. Łajba zaprotestowała, wydając z siebie potworne skrzypnięcie, jakby chciała ostrzec bezczelnego intruza, że w każdej chwili może rozlecieć się na drobne kawałki i wrzucić go do zimnej

wody. Na ostrzeżeniu jednak się skończyło. Oran bez większych problemów przeprawił się na drugi brzeg i pewnym krokiem ruszył do chaty przyjaciela, odganiając się nogą od skaczących wokół niego kundli. Jeden zdołał nawet ukąsić grubasa w łydkę, wrywając mu kawałek materiału ze spodni, zaraz jednak poszybował kilka kroków w przód, gdy potężna stopa ulokowała się pod jego ogonem. Gdzieś z boku usłyszał głośny trzask. Stanął w miejscu, wyjął z za pasa nóż i rozejrzał się dookoła.

- To tylko psy - szepnął do siebie i ruszył dalej.

W pobliskim oknie dojrzał jakiś ruch. Przypadł szybko do ściany i znieruchomiał, jednak nic dziwnego się nie wydarzyło.

Uspokój się, Oranie. Nic ci nie grozi. Jesteś wszak wybrańcem bogów.

Przypomniawszy sobie o tym, uniósł dumnie głowę i ruszył dalej pewniejszym krokiem. Niebawem stanął przed skromną chatką i bez zbędnej zwłoki zapukał kołatką do drzwi. Do jego uszu dotarły przytłumione szmery, odgłosy szurania, nerwowe szepty. Drzwi uchyliły się, a przez niewielką szparę wyjrzało czyjeś oko, lustrując go od góry do dołu.

- Ktoś ty? - usłyszał oschły kobiecy głos.

- Zowią mnie Oran. Przyjacielem Boćka żem jest - odpowiedział potulnie i uśmiechnął się niczym łasuch na widok pączka. Po czole spłynęła mu kropelka potu i bezgłośnie padła na ganek. Oko wciąż wlepiało się w niego, co doprowadzało jego serce do coraz szybszego bicia. Nie widział swego przyjaciela przez dziesięć lat i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przez ten czas wiele mogło się wydarzyć. Szczególnie w księstwie Mrocznej Pani, gdzie nieszczęścia padają na ludzi niczym krople deszczu w dżdżysty dzień. Cisza się przedłużała. Oran już miał zamiar ponownie się odezwać, gdy wtem drzwi otworzyły się szerzej, a w przejściu ukazała się wychudzona twarz gospodarza.

Postarzał się nieboraczek - przemknęło Oranowi przez myśl, gdy ujrzał zmęczone życiem i pokryte zmarszczkami lico przyjaciela.

Zielone ślepiea spojrzały na niego z uwagą, usta otwarły się na pół szerokości, a głos, który się z nich wydobył, brzmiał jakby ich właściciel zobaczył ducha.

- Oran? To ty?

- Ano ja. Witaj, Boćko, druhu stary.

Boćko wciąż stał nieruchomo, nie wierząc do końca własnym oczom. Kolejna strużka potu spłynęła po czole Orana i opadła tuż obok poprzedniej. I nagle wąskie, zapadłe usta gospodarza skierowały swe kąciku ku górze, odsłaniając poszczerbione i pokryte żółtym nalotem zęby.

- Oran! - powiedział po raz drugi, tym razem dużo głośniej. Twarz wykrzywiła mu się w szczerym uśmiechu, a w oczach pojawiła się czysta radość, wyrzucając z nich wyraz zdziwienia.

- Ano ja, Boćko. Ano ja - odparł grubas, rozkładając szeroko ręce, by uściskać swego przyjaciela.

Mężczyźni padli sobie w ramiona i trwali tak przez długą chwilę. W końcu twarz gospodarza przybrała odcień purpury.

- Puść, Oran - wykrztusił z siebie. - Duszę się.

Grubas zwolnił uścisk. Z prawego oka pociekła mu ledwo widoczna łezka.

- Wybacz mi, druhu, alem cię bodaj setkę wiosen nie widział - powiedział wzruszonym głosem.

- Ano bez mała setkę, jak nie więcej - odparł uśmiechnięty Boćko. - Toś mi niespodziankę sprawił. Prędzej śmierci bym się spodziewał niż ciebie. No, nie stój tak w progu, ino włącz. A ty, kobito - Boćko zwrócił się do stojącej obok żony - skocz chyżo do kuchni i przygotuj jakąś strawę. Mój druh pewnikiem jest głodny.

- Jam zawsze głodny - zaśmiał się Oran, lecz po chwili spoważniał. Wszedł do chaty, zamknął za sobą drzwi i pochylił się nad uchem przyjaciela. - Nie jestem sam, Boćko. Mój brat i przyjaciel czekają na drugim brzegu. Nie wiedziałem, czyś żyw, więc wolałem sam sprawdzić, a ich tam ostawić.

- Ano żyw jestem. Dzięki bogom jeszcze żyw, choć co to za życie. Ech. A twoi przyjaciele są zawsze mile widziani w mych skromnych progach. Wiele u mnie nie ma, lecz by napełnić bebechy, starczy. Pójdę z tobą, to psy nie będą tak ujadać. Ludzie tu porządni, lecz nie ma co kusić losu. Coś mi się zdaje, żeś wplątał się w jakieś tarapaty. No ale nie ma co mitrzyć czasu. Potem mi wszystko opowiesz, a teraz ruszajmy. Nie każmy im czekać. A ty, babo, więcej jadła przygotuj. Zaraz wracam.

Wyszli z chaty i skierowali się ku rzece. Odnaleźli ukrytą łupinę i przeprawili się na drugi brzeg, gdzie już czekali na nich Volko i Bolesław.

- Poznaj mych druhów - przemówił uroczyście Oran i odruchowo wypiął pierś. - Oto mój brat, niedojda Volko, a ten krasny młodzieniec to mój serdeczny druh, Bolesław, syn Jarogniewa Statecznego i przyszły Wielki Książę Ziemi Warszzyckiej, a z pomocą bogów i jego mężnego wybrańca władca całego zjednoczonego królestwa Pięciu Księstw.

Boćko stanął jak wryty, nie mogąc oderwać spojrzenia od Bolesława. Zrazu nie chciał uwierzyć, że stoi obok syna wielkiego władcy, wystarczył jednak jeden rzut oka na jego cerę i wypielęgnowane dłonie - nawykłe bardziej do trzymania kufla z trunkiem niż do ciężkiej pracy - by niewiarygodna prawda zaczęła przenikać do jego jaźni i niszczyć chwasty wątpliwości. Bolesław wyciągnął do niego dłoń, łamiąc odwieczne konwenanse nakazujące, by wysoko urodzony dotykał chłopca tylko pięścią, batem lub czubkiem buta. Boćko jeszcze się wahał, lecz w końcu się przełamał i uściskał delikatnie prawicę księcia, jakby to była najświętsza relikwia.

- A to mój stary druh, Boćko, com mu onegdaj życie uratował - zakończył zadowolony z siebie grubas, założył ręce na biodra i rozkoszował się wrażeniem, jakie uczynił na oniemiałym przyjacielu.

- Chodźmy już - wtrącił się nagle Volko, który cały trząsał się z zimna, gdyż chwilę wcześniej nieopatrznie wleciał do wody.

Gdy wrócili do chaty, czekała na nich misa parującej kaszy gryczanej z nielicznymi drobnymi kawałkami mięsa oraz pełny dzban stęchłego piwa. Nikt nie narzekał. Szybko opróżnili miski, pochwalili zdolności kulinarne dumnej jak paw gospodyni i przeszli do rozmowy. Zaczął Oran. Przeczesał dłonią grzywkę, rozsiadł się na krześle niczym wielmoża i rozpoczął swą opowieść. A różniła się ona trochę od tej, którą my znamy. I tak dwójka strażników strzegących wejścia na schody zmieniła się w trójkę najgroźniejszych drabów, jakich grubas kiedykolwiek widział. Strażnicy stojący przed komnatą młodego księcia okazali się zaś wcielonymi demonami, mogącymi w pojedynkę pokonać całą armię. Całą armię, lecz nie wybrańca bogów, rozumie się.

- I jak ten czart rzucił się na mnie z olbrzymią halabardą, jużem myślał, że po mnie. W ostatniej chwili żem zrobił unik i ostrze o włos przeleciało mi przed szyją. Rąbnąłem go z pięści w sam nochał, aż padł bez przytomności, i nawet żem nie zauważył drugiego czorta, co mi włócznią brzuch chciał wypatroszyć. Ale nie wiedział, nieborak, z kim ma do czynienia. Nie wiedział. Włócznia tylko mnie drasnęła, co mnie bardziej rozsierzdziło, niż zraniło. Chwyciłem jedną ręką padalca za chabety, podniosłem do samej góry i cisnąłem o ścianę z całej siły, a tej, jak wiesz, mi nie brakuje. Oj, nie brakuje. Ależ się nieborak połamał. He, he, he. Oj, nieprędko powstanie na nogi, Boćko, nieprędko.

Następnie opowiedział o pełnej dramatyzmu ucieczce, pościgu żołnierzy i walce na wozie, w której własnoręcznie powalił trzech wielkich niczym święte dęby żołnierzy, oraz przeprawie przez las, podczas której także wykazał się niebywałym męstwem i odwagą, ratując wszystkich przed utonięciem w bagnie. Gdy tylko któryś z dwójki jego towarzyszy chciał mu przerwać, Oran spoglądał na nich ostrzegawczo i syczał niczym wąż. Rezygnowali zatem, posyłając sobie porozumiewawcze spojrzenia i jednoznaczne uśmiechy, gdy ich towarzysz popuszczał zbyt w wodze fantazji. Boćko też nic nie mówił. Słuchał niesamowitej opowieści z otwartymi ustami i tylko od czasu

do czasu wydawał z siebie krótkie okrzyki zdziwienia lub podziwu, karmiąc przepastną próżność Orana.

- Dobrześta zrobili, żeście tu przyszli - odezwał się gospodarz, gdy Oran wreszcie skończył mówić. - Tu jednakowoż nie możeśta ostać. Prędeż czy później żołdacy, psia ich mać, tu dotrą i lepiej mi nie wiedzieć, co zrobią z nami, gdy was znajdą. Znam jednakowoż dobre miejsce, gdzie możeśta się ukryć. Niedaleko stąd są stare jaskinie. Żyje tam pustelnik. Porządny chłop, ino trochę wariat. On zna tamte ziemie jak nikt inny, a powiadają, że jaskiń tam w bród. Zaprowadzę was doń. On was przechowa, a ja wam jadła będę nosił w nocy, by nikt się nie dowiedział, żeście tu są. Lepiej nie kusić losu.

- Niech bogowie mają cię w opiece, dobry człeku. Wiedz, że nigdy nie zapomnę twej dobroci - odparł ksiązę, skubiąc palcami kruczoczną bródkę, która coraz śmieiej poczynala sobie na jego twarzy.

Ja też nigdy ci nie zapomnę tego lania, tatku, co żeś mi sprawił - pomyślał dziesięcioletni Malik, który przez cały ten czas podsłuchiwał, schowany w niewielkim magazynku. Twarz wykrzywiła mu się w złośliwym uśmiešku, a oczy zaświeciły na samą myśl o tak długo wyczekiwanej zemście. Wreszcie nadszedł moment, o którym marzył od dłuższego czasu. Lepsza okazja może się nie zdarzyć.

Gdy tylko mężczyźni skończyli rozmawiać i opuścili ciepłą chatę, chłopiec wrócił bezszelestnie do swej izby i położył się na sienniku, przykrywając ciepłą pierzyną. Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Wizja krwawej zemsty oraz całej góry łakoci zawładnęła nim bez reszty.

Mężczyźni przemknęli przez śpiącą wieś, minęli pola i ruszyli szeroką ścieżką biegnącą wzdłuż szpaleru drzew, aż dotarli do niewielkiej polanki mieszczącej się u podnóża góry. Dalej ruszyli wydeptaną przez pielgrzymów ścieżką, która pięła się łagodnie w górę i co rusz zakręcała, by ominąć leżące głazy. Niewielkie pastwiska przekształcały się powoli w skupiska rzadko rosnących świerków, a te w krzewy kosodrzewiny. Droga stała się węższa, bardziej stroma i niebezpieczna, aż w końcu rozdzieliła się na dwie

odnogi. Szersza prowadziła ku niewielkiej kapliczce poświęconej bogini Ładzie^[2], lecz oni skręcili w drugą stronę i ruszyli kamiennym zboczem wznoszącym się stromo w górę i ciągnącym się niemal w nieskończoność. W kilku miejscach zmuszeni byli iść na czworaka, łapiąc się wystających nierówności i pomagając sobie nawzajem.

- Daleko jeszcze? - jęknął Volko. Nikt nie raczył mu odpowiedzieć.

Szli jeszcze przez dłuższy czas, walcząc z narastającym znużeniem, aż w końcu idący na przedzie Boćko zatrzymał się i pokazał palcem na sporej wielkości otwór wydrążony w litej skale.

- To ta jaskinia. Podejdźta pod wejście i poczekajta, aż Cyryl Pustelnik do was wyjdzie. Sami nie wchodźta, bo ino go zdenerwujeta. Jakem już rzekł, to prawy człek, ino wariat, a jak się obrazi, wtedy nikt wam nie pomoże. Jo muszę już wracać, a jutro przyniesę wam trochę jadła. Bywajcie.

Uciekinierzy uścisnęli mu po kolei dłoń i poczekali, aż zgarbiona sylwetka zniknie im z oczu, a następnie podeszli pod jaskinię i usiedli przed wejściem, zabijając czas obserwowaniem przebijających się przez mgłę wierzchołków gór.

Boćko pomachał im jeszcze i ostrożnie zszedł ze zbocza, by nazajutrz, jeszcze przed świtem, zacząć kolejny znojny dzień w służbie Pięknej Pani. Nie wiedział nieborak, że będzie to ostatni dzień jego życia. Gdyby wiedział, pewnie zostałby ze swym starym druhem i jego towarzyszami, porzucając zołzowatą żonę i niewdzięcznego bachora, który od urodzenia sprawiał mu same kłopoty.

Cyryl Pustelnik od najmłodszych lat wykazywał się brakiem piątej klepki. W dzieciństwie, zamiast jak większość jego rówieśników hasać beztrudnie po ulicach miasta i wymachiwać w powietrzu drewnianym mieczykiem, on siadał na ziemi i rozmyślał sobie ze wzrokiem utkwionym w niebo. O czym tak myślał, on sam tylko wiedział.

- To tylko taki wiek. Przejdzie mu - próbowali pocieszać się rodzice, lecz lata mijały, a młody Cyryl wciąż tylko rozmyślał. I czytał. Czytał wszystko, co znalazło się w zasięgu jego wzroku: książki, ulotki, ogłoszenia, a nawet szyldy. Gdy tylko zobaczył jakieś literki, zatrzymywał się i stał tak do czasu, aż tajemne znaki nie odsłoniły przed nim wszystkich swych tajemnic. W końcu w mieście zabrakło już ksiąg i napisów, których by nie znał na pamięć. Spakował więc swój dobytek i ruszył na podbój świata. I znów czytał i myślał, czasami spał i jadł - choć to z rzadka, bo szkoda mu było na to czasu. Gdy trafił do jakiejś biblioteki, przebywał w niej do czasu, aż nie pożarł wzrokiem wszystkich wymyślnych zawijasów, układających się we frapujące go słowa. Potem szedł dalej, na poszukiwanie nowych znaków. Aż pewnego dnia nastąpił kres. Po czterech latach spędzonych w dusznych salach największej biblioteki Pięciu Księstw stwierdził, że niczego więcej się nie dowie. Włóczył się jeszcze po świecie przez kilkanaście lat, wrócił nawet na chwilę do domu, lecz po dawnym życiu nie pozostał nawet ślad. Ojciec już nie żył, matka zwariowała, a rodzony brat poszczuł go psami. W końcu był już zmęczony wieczną tułaczką, zmęczony nabytą wiedzą i najróżniejszymi teoriami, które zaczęły mu się mieszać w głowie. Postanowił gdzieś osiąść i po długich poszukiwaniach zaszył się w zatechłej jaskini, mając za przyjaciół jedynie dzikie zwierzęta - istoty o niebo lepsze od jego dwunożnych braci. Przez ostatnie dziesięć lat jego najbliższym towarzyszem stał się dziki niedźwiedź - olbrzymia i groźna bestia, która zaakceptowała dziwnego przybysza i pozwoliła mu zamieszkać w swoim sąsiedztwie. Z biegiem czasu między człowiekiem a zwierzęciem nawiązała się nić porozumienia, by po jakimś czasie przemienić się w prawdziwą przyjaźń. I właśnie tutaj, w tej zapomnianej przez bogów jaskini, Cyryl Pustelnik doznał oświecenia. Odnalazł odpowiedzi na nurtujące go od wielu lat pytania. Odkrył w sobie także magiczny dar, ale to już zupełnie inna historia.

Życie biegło swoim tempem. Dzień wstawał, dzień się kończył, świeciło słońce, padał deszcz, padał śnieg i znów świeciło słońce, i znów padał deszcz. I tak dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. I gdy już mu się wydawało, że nic więcej się w jego życiu nie wydarzy, ujrzał przed swoją jaskinią trójkę dziwnie wyglądających mężczyzn. Z początku wzruszył jedynie ramionami i już chciał skryć się na powrót w swojej zatęchłej twierdzy, by z niemalą satysfakcją wypróbować ich cierpliwość, gdy jakaś tajemna siła kazała mu się zatrzymać. Odwrócił się i raz jeszcze przyjrzał trójce osobników. Dwóch z nich wyglądało całkiem zwyczajnie. Ot, proste chłopskie mordy osadzone na pokraccznych ciałach. Za to najmłodszy z nich... W nim było coś tajemniczego.

Młodzieniec otworzył nagle oczy. Starzec zamarł w bezruchu, a na jego czole pojawiły się dodatkowe zmarszczki. Drobne ciarki przebiegły po skórze jednego i drugiego. Czas zdał się zatrzymać. Ucichł śpiew ptaków, szum drzew i świst wiatru. Ucichł nawet gwizdzący dźwięk dobiegający z półotwartych ust Volko, którego głowa opierała się wygodnie o okazały bebecz brata. Zaczęło za to dudnić serce pustelnika, który wciąż wlepił wzrok w półprzytomnego Bolesława. Księżę otworzył już usta, by przerwać niezręczną ciszę, gdy ubiegł go głos Cyryla, dudniący w jego głowie niczym huk wodospadu.

- Wielką moc wyczuwam w tobie, wielką moc i wielki strach.

Na twarzy Bolesława pojawił się wyraz zdumienia.

Jaką moc? O co im wszystkim chodzi? - pomyślał.

Stary Cyryl zdawał się słyszeć kołaczące się w mózgu księcia wątpliwości.

- Poczujesz, młodzieńcze, ją jeszcze. Czas do tego potrzebny jest. Wiem już, po co żyję wciąż. Czekałem na ciebie. Dwóch zawsze ich jest. Nie mniej, nie więcej. Mistrz i uczeń.

Wyraz zdziwienia przemienił się w najprawdziwszy szok.

- Nie potrzebuję nauki. Potrzebuję przeczekać tylko parę dni w spokoju, by móc wrócić do swego ojca. Tylko tyle.

- Los twój w nie twoich jest rękach. Niebezpieczeństwo blisko jest. Śmierć wyczuwam w nich. - Starcza dłoń wskazała na śpiących w najlepsze bliźniaków. - Lecz w tobie moc jest. Żyw musisz być. Oni nadchodzą.

To powiedziawszy, dał ręką znak Bolesławowi, by ten wszedł za nim w mrok jaskini. Młodzieniec wzruszył ramionami i posłusznie podreptał za nim. Dziesiątki pytań cisnęło mu się na usta, lecz ledwo przekroczył granice jaskini, a jego ciało opatulił gesty mrok, poczuł się przeraźliwie zmęczony. Nie walczył z nadchodzącym snem.

Czarne proroctwo Cyryla miało się niebawem spełnić. W tym samym czasie, gdy spojrzenia dwójki mężczyzn spotkały się ze sobą, mieszkańcy pobliskiej wsi usłyszeli głośny stukot końskich kopyt, wymieszany z groźnymi okrzykami żołnierzy Lady Erzsébe. Oddział dwudziestu przypominających upiory żołdaków wpadł z impetem na niewielki skwerek, wymachując obuchami, kręcąc nad głową potężnymi pałkami i gwiżdżąc zakrzywionymi szablami. Ich dowódca stanął w strzemionach i ryknął tubalnym głosem:

- Poszukujemy trójki zbiegów. Za pomoc w ich ujęciu księżna Erzsébe wyznaczyła pokaźną nagrodę dziesięciu złotych dukatów. Jeśli ktokolwiek widział we wsi jakiegoś obcego, niech natychmiast przemówi. Za pomoc w ucieczce grozi sroga kara.

Odpowiedziała mu cisza, przerywana ujadaniem niesfornego psa, który zamilkł dopiero wtedy, gdy ostry bełt przeszył mu ciało.

- Przeszukać wieś!

Żołnierze zeskoczyli z koni i rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Bezceremonialnie wkraczali do każdej chaty, szopy czy zagrody. Zaglądali w każdy kąt, wywracali beczki z kiszoną kapustą, niszczyli sienniki, łamali stoły, tłukli słoiki z marnymi zapasami zrobionymi na zimę. Szukali także pod kieckami wystraszonych dziewczek, wpychając pod spód swe brudne łapska i ugniatając blade pośladki niczym ciasto na chleb.

Zbiegów jednak nie znaleźli.

- Nie ma ich, komendancie - odezwał się po jakimś czasie wyrośnięty młokos o twarzy zdradzającej zamiłowanie do wszelakich nieprawości. Jego wzrok spoczął na płaczącej w kącie wieśniaczce, a język wysunął się z za szpaleru poczerniałych zębów i wykonał w powietrzu dwa okręgi. - Pewnikiem uciekli ku granicy, a tam już Ivan ich dorwie. Może byśmy się tak tu zatrzymali i odpoczęli ździebko?

Dowódca zgromił go spojrzeniem.

- Konia se zwał, hultaju, a nie byś tylko dziewczki gwałcił. Zresztą jam ją pierwszy obaczył, więc wara. Później tu wrócim, a teraz jedziemy dalej.

To powiedziawszy, splunął ze złością w twarz drżącego sołtysa, schował miecz do pochwy i ruszył przed siebie. Raz jeszcze spojrzał na niewielką wieś, napawając się strachem w oczach jej mieszkańców, i przyspieszył, wsłuchując się w coraz cichsze gdakanie kur. Pozostali żołnierze ruszyli za nim, klnąc pod nosem na czym świat stoi. Szybko przejechali przez wieś i skręcili w lewo, oddalając się od groźnych, niedostępnych gór, gdy nagle ujrzeli samotnego chłopczyka stojącego na środku drogi i machającego w ich stronę. Komendant zatrzymał się tuż przed nim i łypnął na niego srodze.

- A ty czego tu szukasz, nicponiu? Życie ci niemiłe?

Malik nie wydawał się być onieśmielony ani tym bardziej przestraszony. Ukłonił się pokornie i spojrzał dowódcy prosto w oczy.

- Widział zem ich, panie. W nocy. Byli tu. Mój tatko im pomógł. Ukrył ich, a ja wiem gdzie.

- O kim ty mówisz, pętaku?

- O tych, co ich szukacie. Jeden chudy, drugi gruby, a trzeci urodziwy. Na własne oczy zem ich widział jak teraz was.

Twarc dowódcy zrobiła się czerwona z podniecenia. Zeskoczył z konia i chwycił malca za połataną koszulę, stykając swój nos z jego czołem. Do nozdrzy Malika dotarła niezbyt przyjemna woń niestrawionego alkoholu.

- Co żeś powiedział?

- Puśćcie, panie. To boli.

- Gdzieś ich widział? Odpowiadaj prędko.

- W chacie. Mój tatko z nimi gadał, a ja żem wszystko słyssał i wiem, gdzie oni są.

- Jeśli wiesz, to mów!

Uścisk stał się jeszcze mocniejszy.

- Powiem, panie, wszystko powiem, tylko nie ściskajcie tak mocno, bo boli.

Żołnierz niechętnie puścił Malika.

- Wszystko powiem, ale pierwej obiecajcie mi, że dostanę należną nagrodę. - Chłopiec starał się nadać swemu głosowi normalną barwę, choć patrząc w bezwzględne ślepia żołnierza, zaczynał odczuwać narastający strach.

- Jeśli nie kłamiesz, nagroda cię nie ominie. A teraz gadaj, co wiesz, bo zaraz mnie wkurzysz, pędraku, i zamiast nagrody spotkasz się z mą pięścią.

- Dajecie słowo, panie?

- Tak, daję. Gadaj wreszcie, do kurwy nędzy.

- Tatko zabrał ich do jaskini, by przeczekali parę dni. O tam. - Chłopak wyciągnął rękę i wskazał pobliskie pasmo gór. - Zaprowadzę was, panie, jeśli chcecie.

Żołnierz spojrzał ostro na chłopaka, jakby chciał się upewnić, czy ten nie kłamie. Zmarszczył brwi i chwycił go za ucho.

- A czemuż ty mi to mówisz? Czy to aby nie żadna pułapka?

- Nie, panie. Mówię prawdę. Ja... ja... nienawidzę go. On mnie bije, to zły człowiek.

- O kim ty gadasz?

- Mój ojciec. To on im pomógł i zaprowadził do jaskini. To zdrajca. Trza go ukarać. A mnie nagrodzić, bom ja wierny naszej pani. Bardzo wierny.

- Obyś gadał prawdę - odparł żołnierz. Chwycił malca pod pachy i jednym ruchem usadził go w siodle, sam zaś zajął miejsce z tyłu.

Ruchem dłoni dał znak czekającym żołnierzom i cały oddział ruszył szybkim kłusem w kierunku pokazanym przez Malika. Nie zwalniając tempa, minęli wieś i dotarli do ukrytej wśród wysokich drzew ścieżki.

- Zaraz skończy się droga i trza będzie iść pieszo pod górę. O tam, za tym zakrętem. Tam na górze jest jaskinia, gdzie mieszka pustelnik. Tam oni poszli.

Żołnierze zatrzymali się i zeszli z koni. Dwóch z nich zostało ze zwierzętami i małym zdrajcą, a reszta zaczęła się wspinać. Droga była stroma i niebezpieczna, lecz żołnierze dosyć szybko się z nią uporali. Już z daleka ujrzeli dwie leżące na ziemi sylwetki. Błyszcząca stal załśniła im w rękach, a na ustach pojawiły się złośliwe uśmiešky. Byli coraz bliżej. Duży kamień z łoskotem stoczył się góry i walnął idącego na samym końcu żołnierza w głowę. Ten stłumił krzyk i złapał się za bolące miejsce, a jego stopa oderwała się od podłoża i tylko jakimś cudem nie pociągnęła za sobą reszty ciała.

Bolesław drgnął i otworzył gwałtownie oczy. Niewielka drzazga, która tkwiła w jego sercu od ostatniej rozmowy z ojcem, zwiększyła swe rozmiary i ukłuła go boleśnie, wywołując uczucie niepokoju. Podniósł głowę i rozejrzał się dookoła, lecz zdołał dojrzeć jedynie drzemiącego starca, którego głowa opierała się o zimną, wilgotną ścianę, a z jego ust dobywał się przerywany świst, przypominający młodzieńcowi nocne odgłosy wydawane przez chudzielca. Nagle usłyszał coś jeszcze. Coś zupełnie niepasującego do odgłosów górskiej jaskini. Pełen najgorszych przeczuć chwycił leżący obok miecz i wyszedł na zewnątrz.

Jaskrawe promienie wschodzącego słońca poraziły jego źrenice. Zamrugął kilkakrotnie. Gdzieś z boku usłyszał przytłumiony zgrzyt. Odwrócił głowę i zamarł, gdy kilka kroków od siebie dojrzał skradającą się po zboczu sylwetkę odzianego w czerwony płaszcz żołnierza. Ten uśmiechnął się złowrogo i machnął w powietrzu pałąk. Obok niego pojawili się kolejni wojacy, zmierzający prosto ku niemu. Chciał krzyknąć, lecz słowa uwieźły mu w gardle. Chciał się ruszyć, lecz nogi wrosły w podłoże. A tymczasem jeden z żołnierzy już był na

górze i już trzymał podniesiony w górze miecz, by zatopić jego ostrze w brzuchu nieświadomego niebezpieczeństwa Orana. To otrzeźwiło księcia.

- Wstawać - ryknął, ile miał siły w płucach, i w dwóch susach dopadł napastnika, po czym ciął go prosto w brzuch. Przeciwnik nie zdążył się zasłonić. Nie zdążył nawet krzyknąć, nim zawartość jego trzewi wypłynęła wraz z krwią na zewnątrz i padła na skaliste podłoże. Jego ciało zahaczyło o bark swego towarzysza i obydwaj stoczyli się kilka kroków w dół, pociągając za sobą kilkoro następnych żołnierzy.

Grubas otworzył oczy i spojrzał ze zdziwieniem na zakrwawiony czubek książęcego miecza. Trochę czasu minęło, nim w pełni pojął grozę sytuacji.

- O bogowie, już po nas. Dopadli nas - zaczął panikować Volko, patrząc dookoła wielkimi oczami.

- Do jaskini! Szybko! - wydarł się Bolesław co tchu w piersiach i ciął mieczem w wystający łeb poddanego Mroczonej Pani, który jednak zdołał się uchylić, tracąc przy tym równowagę i zwalając się na ziemię tak niefortunnie, że sturlał się po zboczu i nabił na wystający z ziemi kawałek skały. Bolesław dobiegł do śpiącego w najlepsze starca i zaczął nim potrząsać.

- Czy jest tu jakieś inne wyjście? Odpowiadaj, szybko, bo zaraz tu będą!

Cyryl spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem. Już chciał coś odpowiedzieć, lecz właśnie w tej chwili do jaskini wpadło dwóch drabów. Jeden z nich zamachnął się nadziakiem w stronę Volko. Jego brat w ostatniej chwili popchnął chudzielca na ścianę tak, że śmiertelna broń przeleciała z gwizdem nad jego głową i uderzyła z wielką mocą w ścianę. Rozległ się huk, zadrżały skały, żołnierz się zachwiał. Oran wykorzystał moment, jednym susem dopadł śmiałka i powalił go na ziemię mocnym uderzeniem pięści. Drugi z żołnierzy zamachnął się na niego dwuręcznym toporem, lecz młody książę zdołał zablokować cios, którego siła była tak wielka, że o mało nie

urwała mu ręki. Broń rozpadła się na kawałki, młodzieniec krzyknął z bólu, a napastnik uśmiechnął się szyderczo i ponowił atak. Topór przeciął nieruchome powietrze, gwizdnął złowieszczo i nagle opadł z brzdękiem, a tuż za nim bezwładne ciało jego właściciela, trafione z boku zdobycznym nadziakiem przez chudzielca.

- W nogi! - krzyknął Oran.

Nie musiał drugi raz powtarzać. Dwójka towarzyszy podążyła za nim we wszechogarniającą ciemność. Musieli się śpieszyć, bo z tyłu już było słychać narastający tupot buciorów. Pogoń była coraz bliżej. Wystające z sufitu ostre końce stalaktytów boleśnie kłuły ciała uciekinierów, lecz żaden z nich nie zwracał na to uwagi. Mrok stał się tak gęsty, że z trudnością mogli dojrzeć własne stopy. Czasem któryś z nich się potknął, lecz zaraz wstawał i biegł dalej - ku wyjściu, ku wolności.

Wyjścia jednak nie było.

W pewnym momencie biegnący na przodzie Bolesław wyrznął czołem w kamienną ścianę. Krzyknął z bólu, a po chwili poczuł na sobie spocone cielsko chudzielca, który odbił się od niego niczym kauczukowa piłka i wpadł na sapiącego okrutnie Orana.

- Ślepy tunel. To już koniec - odezwał się młody książę ponurym głosem. Poprawił grzywkę, chwycił oburącz sprawny miecz, który jakimś cudem znalazł się w jego dłoni, i stanął w rozkroku, czekając na przeciwników. Chciał jeszcze coś powiedzieć przed śmiercią, podziękować bliźniakom, dodać im otuchy, lecz język miał jak z waty.

Po chwili ujrzeli migotliwy blask pochodni, który rozświetlił złowrogie sylwetki poddanych Mrocznej Pani.

- Nie chcę umierać - zachlipał Volko, lecz dzielnie stanął obok swego towarzysza, by w zapomnianej przez bogów jaskini pożegnać się z życiem. W ręku trzymał zboczony krwią nadziak, który wyrwał z rąk powalonego przez Orana żołnierza. Grubas stanął po prawej stronie młodego księcia. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości, a zdobyczny topór wywinął w powietrzu kołowrotka.

Bolesław zamknął oczy i wypuścił powietrze z ust.

- Staaaać! - rozległ się donośny głos, który odbił się kilkakrotnie echem i napełnił serca zbiegów przerażeniem.

Żołnierze zwolnili kroku. Na czoło wysunął się dowódca - mąż średniej budowy ciała o dosyć poczciwej twarzy, lecz skażonej okrucieństwem duszy.

- Poddajcie się, to ocalicie życie - zwrócił się do trójki uciekinierów, niewyraźnie wymawiając każde słowo.

- Sam się poddaj, padalcu. Wolę umrzeć tu niż w lochach tej kłwawej kulwy, któlej służysz - odparł piskliwym głosem Volko i, niczym bełt wystrzelony z kuszy, rzucił się w stronę dowódcy. Widok jego wściekłej twarzy mógłby przerazić niejednego, lecz stary wiarus był zbyt doświadczony, by dać się zwieść. Odczekał ze spokojem, aż chudzielec znajdzie się w zasięgu jego miecza, i jednym wprawnym ruchem ręki ciął go w pierś.

Trysnęła krew. Volko zrobił jeszcze dwa kroki, po czym zwałił się na ziemię.

- Ty skurwysynu - wysyczał Oran, zaciskając zęby. Ruszył w stronę uśmiechającego się lodowato żołnierza. W oczach miał łzy. Tuż przy nim szedł Bolesław, zaciskając mocno dłoń na rękojeści.

Przed nimi stał mur doświadczonych wojaków o bezwzględnych spojrzeniach i zaciekłych minach. Czekali w spokoju.

- Młodego chcę mieć żywcem - rozkazał dowódca.

- Po moim trupie - odparł Bolesław i rzucił się na stojącego z brzegu żołnierza, kierując miecz prosto w jego głowę. W ostatniej chwili skręcił rękę i ostrze trafiło w nieodsłonięte udo, zwalając przeciwnika z nóg. Miecz obrał kolejny cel i nim jego ofiara zdołała wykonać zasłonę, trafił ją prosto w prawy bok, przecinając lichego pancerz, skórę i zatrzymując się na kości. Książę wyrwał ostrze z ciała i ruszył na dowódcę. Parł do przodu niczym rozjuszony dzik, zagryzając zęby i wywijając bronią na wszystkie strony. Zdołał powalić jeszcze dwóch przeciwników, gdy nagle poczuł ostry ból, a przed oczyma zaświeciły mu tysiące gwiazd.

Oran wciąż walczył, lecz jego powolne ciosy nie trafiały celu. Żołnierze zaczęli kpić z niego, robiąc uniki, szturchając go i popychając na wszystkie strony, jakby był ich zabawką. W końcu znudziło im się i potężna pałka wylądowała na jego potylicy. Zachwiał się, upuścił broń i padł na ziemię tuż obok swego brata, dzielnego niedojdy Volko.

Zaległa cisza, przerywana monotonnym stukaniem kapiącej wody i ciężkimi oddechami mężczyzn.

- Niech któryś sprawdzi, czy gnojek dycha - rozkazał dowódca, wycierając zakrwawiony miecz o ubranie Orana i przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Jeden z żołnierzy pochylił się nad Bolesławem i przyłożył ucho do jego piersi. Po chwili spojrzał na komendanta i pokręcił przecząco głową.

- A pies to jebał. Mówiłem, kurwa, że ma być żywy. Który to zrobił?

Mężczyźni spojrzeli po sobie z niepewnymi minami.

- Ja... myślał żem, że straci tylko przytomność, a to kruche takie i delikatnie, że psia mać - odparł krępy mężczyzna o szerokich barach i twarzy przypominającej pysk buldoga. - Wybacz, komendancie.

- Nie przede mną będziesz się tłumaczył, jeno przed Piękną Panią. A teraz nie stój jak to ciele, tylko zetnij mu łeb. Piękna Pani musi mieć dowód, że szczeniak nie żyje, a całego ciała nie będziem tachać.

Żołnierz zacisnął zęby, przełknął ślinę i podniósł leżący pod nogami topór. Następnie uniósł broń do góry, by spełnić rozkaz dowódcy. Topór zawisł w powietrzu, by po chwili runąć w dół. Niedane mu było jednak zetknąć się z książęcą szyją. Nie zdążył. Potężna, włochata i zakończona ostrymi pazurami łapa rozdarła zatęchłe powietrze i trafiła żołnierza w twarz, zdzierając z niego skórę i wyłupując oczy. Rozległ się przeraźliwy ryk, spotęgowany przez echo jaskini. Mężczyźni zadrżeli ze strachu, gdy monstrualny niedźwiedź wpadł na nich z impetem. Gigantyczne łapska zwały ich

z nóg niczym papierowe kukły, a ostre zęby rozrywały ich na strzępy. Niedźwiedź ponownie zaryczał i rzucił się na oniemiałego dowódcę. Ten nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Umięśnione szczęki kłapnęły mu tuż przed nosem. Komendant zdołał jeszcze poczuć przeraźliwą woń dobiegającą z paszczy potwora, nim trafiony jego łapą wzbił się w powietrze, poszybował niczym liść i padł pięć kroków dalej, wprost na wystający z ziemi stalagmit.

Niedźwiedź opadł na cztery łapy i ryknął raz jeszcze, wprawiając w drżenie ściany. Rozejrzał się na boki. Wszędzie wały się leżące w nieładzie świeże połączenie smakowitego mięska. Zrobił kilka kroków w przód i zatrzymał swój pysk tuż przy Cyrylu, który właśnie się przed nim pojawił. Ręka starca z czułością podrapała bestię za uchem, mierzwiąc mu kudłatą sierść.

- Dobry misio - rzekł do niego starzec. - Dziękuję.

[1] Pozytywny demon leśny, opiekował się pokrzywdzonymi oraz karał nieuczciwych.

[2] Słowiańska bogini miłości, płodności i wegetacji.

Rozdział 10

- Znowu to samo - powiedział zniechęconym głosem bombardier Blinkos, kręcąc zawzięcie korbą topornego kołowrotu. - Mam nadzieję, że to już ostatnie miasto.

Jego kompan, bombardier Gwarkus, splunął na ziemię i spojrzał na krótsze ramię dźwigni, które właśnie osiągnęło swą maksymalną wysokość.

- Obawiam się, że nie - odpowiedział, po czym przesunął wzrok w dal - wprost na grube mury oblężonego miasta Horkas.

Jego dalsze słowa zagłuszył huk opadającej skrzyni z ołowiem, świst wystrzelonego gązdu i jęk zawodu dobywający się z gardeł żołnierzy obsługujących trebusz.

- Jak celujecie, sucze syny?! Zaraz wasze jajca każę wystrzelić z procy, jak nie zaczniecie lepiej celować! - wydarł się stojący w oddali dziesiątnik, lecz dwójka bombardierów zdawała się nie słyszeć jego wiecznych złorzeczeń, przekleństw i grózb.

- Czemu tak uważasz? Podbiliśmy już cały kontynent. Zostało tylko to jedno miasto. Gdzież byśmy mogli dalej pójść? - zapytał Blinkos, otrzepując spodnie z wszędobylskiego piasku.

- Za ocean, przyjacielu. Za Ocean Czterech Wiatrów.

Blinkos roześmiał się w głos.

- Bujdy pleciesz jak nic. Za ocean, ha, ha, ha.

- Śmieć się, śmieć. Niebawem sam się przekonasz, że mam rację. Rzeknę ci w tajemnicy - Gwarkus ściszył głos i pochylił się w stronę

przyjaciela - iż nie tak dawno temu podsłuchałem rozmowę naszego setnika z dwoma znaczniejszymi zakonnikami. Całkiem przypadkiem zresztą, bo jak sam wiesz, nie lubię wtrącać się w nie swoje sprawy. Ale tak się jakoś złożyło, że dziesiętnik wysłał mnie do namiotu dowodzenia, bym zameldował o uszkodzeniu trebusza. Czekałem pokornie w przedsionku, aż tamci skończą gadać, i co nieco do mych uszu doleciało. Ot, choćby to, że prawdziwa wojna dopiero się zacznie.

- Jak to się zacznie, do kurwy nędzy? - zdenerwował się Blinkos, który stopniowo zaczynał wierzyć w słowa przyjaciela. - Chyba sobie kpisz. Od ponad dziesięciu lat tkwimy tu, pośrodku niczego, z dala od naszych domów i rodzin. Wiesz, kiedy ostatni raz widziałem swoją żonę? Pięć, kurwa, lat temu. I to tylko dlatego, że setnik się spił i łaskawie zgodził się dać mi urlop. A dzieciaka to żem na oczy nie widział i nawet nie wiem, czy jest do mnie podobny, a ty mi tu wyskakujesz, że wojna się dopiero zaczyna?

- Nie oburzaj się na mnie, przyjacielu, bom ja ci tylko powiadam, co wiem, i wierzaj mi, że też mi się to nie podoba. Ale cóż zrobić, służba nie drużba, jak to się powiada w mych stronach. Zresztą co się dziwujesz? Wojna trwa i trwać będzie dopóty, dopóki każdy jeden łachmyta na świecie nie pozna miłosierdzia Szymona Maga. Jesteśmy armią Boga i walka w jego imię to nasz święty obowiązek.

- Walczyć, ciągle walczyć. Mam już dosyć tej przeklętej wojny. Ileż można walczyć? I w imię czego? Wprzódy uczą nas o miłosierdziu, kochaniu bliźniego, nastawianiu drugiego policzka, a jednocześnie rozkazują mordować z zimną krwią. Gdzież tu logika, Gwarkusie? Gdzież tu logika?

- Nie bluźnij - oburzył się Gwarkus i skarcił swego rozmówcę ostrym spojrzeniem. - Widocznie tak musi być. Nie tobie jest oceniać decyzje Pana naszego Szymona Maga i jego wiernego sługi, Eutylianusa. A poza tym to zabijamy wrogów naszej wiary. To nie są ludzie, tylko bezbożne psy, które nie zasługują na dar życia.

- A co z miłością bliźniego? - nie dawał za wygraną Blinkos, obserwując z ukosa kolejny wzbijający się w niebo pocisk, który wystrzelony ze stojącej obok maszyny upodobił się w locie do spadającej gwiazdy, by po chwili łupnąć dobrych kilkadziesiąt kroków od celu.

- To nie ma nic do rzeczy. Ten, kto nie wyznaje jedynej słusznej wiary, nie jest naszym bliźnim, tylko nędznym robakiem, którego trzeba zgnieść. Naszym wrogiem.

- Ciekawe, czy byś tak samo mówił, gdybyś sam mieszkał w tym mieście? Albo ktoś z twojej rodziny.

- A co to ma do rzeczy? - zdenerwował się Gwarkus. Jego twarz zrobiła się czerwona z gniewu, a oczy, gdyby mogły, z pewnością zabiłyby swego rozmówcę samym spojrzeniem. - Dobrze wiesz, że każdy z nich miał okazję się poddać. Gdyby chcieli, to by opuścili to miasto grzechu i udali się w miłościwe ramiona naszego Pana, Szymona. Ale oni tego nie zrobili. Odrzucili wyciągniętą przez nas dłoń, więc teraz muszą zginąć. Dziwię się, że tego nie rozumiesz, Blinkosie. I na twoim miejscu nie mówiłbym takich rzeczy głośno. Ciesz się, że znam cię od lat, bo inaczej...

- Inaczej co?

- Zamiast tracić czas na głupie gadanie, powinieneś się lepiej pomodlić, bo jak widzę, twoja wiara pozostawia wiele do życzenia.

Ich budząca się do życia sprzeczka została nagle brutalnie przerwana.

- A wam co, do kurwy nędzy, na pogaduszki się zebrało?!

Kipiące wściekłością ślepią budzącego powszechną pogardę dowódcy łupnęły na nich z odległości pięciu kroków, a z okalanych czarną szczeciną ust wydostały się kropelki śliny oraz całe potoki najwymyślniejszych przekleństw. Na swoje szczęście bombardierzy usłyszeli jedynie końcówkę.

- ...nieroby zafajdane. Na romanse przyjdzie czas później, a teraz kręcić kołem, psie syny, bo każę wybatożyć. Na pogaduszki im się zebrało, wielbłądzie gówna.

- Tak jest, panie dziesiątniku - odpowiedzieli pokornie i ponownie chwycili w dłoń drewniane gałki ciężkiej korby, by w pełnej zgodzie spowodować uniesienie w górę metalowej skrzyni. Żaden z nich się więcej nie odezwał. Jedynie bombardier Gwarkus raczył co jakiś czas swego kompana pełnym jadu spojrzeniem i mamrotał do siebie niezrozumiałe słowa, których Blinkos miał szczęście nie słyszeć.

- Mam, kurwa, nadzieję, że tak jest! - odkrzyknął jeszcze dziesiątnik i odszedł, kręcąc tyłkiem na wszystkie strony niczym człapiąca po wodzie kaczką.

Chrzęst zwalnianego mechanizmu rozniósł się po okolicy. Olbrzymia skała poleciała w kierunku oblężonego miasta, by wbić się w jego grube mury. W powietrze uniosła się chmura kurzu i stłumiona garść kpin, dochodząca z gardeł obrońców. Dwaj bombardierzy, wraz z pozostałą załogą obsługującą trebusz, natychmiast chwycili kolejny pocisk, by zamocować go w procy. Kolejny strzał był równie celny, lecz mury nadal pozostały całe.

- Spójrz, Gwarkusie - szepnął Blinkos do obrażonego towarzysza broni, z którym od ponad sześciu lat dzielił żołnierską niedolę. - Coś się tam dzieje.

Gwarkus nie odpowiedział, jednak jego wzrok podążył za spojrzeniem kolegi i po chwili zatrzymał się na nienaturalnie wyprostowanych sylwetkach trójki rycerzy, którzy zmierzali właśnie do namiotu zajmowanego przez Wielkiego Mistrza Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga - Rosmunda Nadsaka. Ich nieskazitelnie białe płaszcze z wyszytymi na plecach złotymi błyskawicami miały się na wietrze, przyciągając zaciekawione, pełne zarówno strachu, jak i zazdrości spojrzenia licznych żołnierzy kręcących się po obozie.

- Aż ciarki mnie przechodzą, jak widzę te ich napuszone ryje - odezwał się bombardier Blinkos, sunąc wzrokiem za zakonnikami. Jeden z nich o mało nie staranował młodego chłopaka, co to niósł beczkę wina do namiotu Wielkiego Mistrza.

Urażone uczucia religijne nie pozwoliły Gwarkusowi się z nim zgodzić, choć w głębi duszy podzielał zdanie swego towarzysza.

- Mój szwagier mi opowiadał - kontynuował Blinkos, łapiąc w płuca przesiąknięte kurzem powietrze - że aby stać się zakonnikiem, trzeba przejść liczne testy i próby, z których tylko nieliczni wychodzą z życiem. A gdy już się to uda, to na samym końcu trzeba własnoręcznie pozbawić życia całą swoją rodzinę i najbliższych przyjaciół. Wyobrażasz to sobie, przyjacielu?

-Bujdy pleciesz - odparł Gwarkus, zapominając o tym, że chwilę temu obiecał sobie nie wdawać się więcej w teologiczne rozważania ze swoim kompanem. - Niby po co miałiby to robić?

- Jak to po co? By udowodnić swoją lojalność i ślepe posłuszeństwo. A czyż sam Szymon nie powiedział do swoich uczniów: „Nie lękajcie się opuścić swych bliskich, swe rodziny i przyjaciół, by podążać za głosem Boga”?

- Powiedział, ale na pewno nie miał na myśli mordowania.

- On nie, ale niektórzy tak interpretują jego słowa. Sam wiesz, ile...

- Bujdy pleciesz - oburzył się po raz kolejny Gwarkus, choć tym razem w jego głosie słyhać było akord wątpliwości. - A poza tym nie stój jak ten kołek, tylko podaj mi trochę wody, bo mi w gardle zaschło.

Blinkos podniósł z ziemi skórzany bukłak i podszedł do przyjaciela. Począł, aż ten zaspokoi swoje pragnienie, po czym jeszcze bardziej zbliżył się do niego i ściszył głos do szeptu.

- To nie są bujdy, przyjacielu. Patrzyłeś się kiedyś któremuś z nich w oczy? Ja tak i wierzaj mi, że nie chciałbym tego powtórzyć. Już wolałbym wsadzić rękę do ognia albo przespać się z własną teściową, a wierz mi, że gdybyś ją ujrzał, to byś zrozumiał, o czym gadam. Zresztą co tam oczy. Wystarczy spojrzeć, co ci cali rycerze wyprawiają w zdobytych miastach. Te rzezie, masakry... czy to normalne?

- Robią to, co muszą. Choć faktycznie strach bierze człowieka, jak się na nich patrzy. Z drugiej strony to muszą tacy być, bo wrogów

wiary nie brakuje, a tych trzeba tępić jak szkodniki. Ja tam nic do nich nie mam, a nawet gdybym miał, to bym o tym głośno nie mówił. A teraz chwytaj korbę, bo znów lezie ten wąsaty kiep.

Mężczyźni ponownie napięli mięśnie, ich twarze wygięły się w udawanym grymasie nadludzkiego wysiłku, a z ust wydobyły się głośne jęki, lecz gdy tylko wzrok dziesiętnika poszybował w bok, powrócili do przerwanej rozmowy.

- Pies jebał zakonników. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Powiadam ci tylko, co wiem. Ot chociażby to, że ponoć składają śluby czystości, a jak tylko im się jakaś dziewczka napatoczy, to nie ma siły, by odpuścili. Choć po prawdzie, to częściej je przymusem biorą. Nie bądź naiwny, Gwarkusie, to nie są dobrzy ludzie.

- Nie jestem naiwny, tylko ci nie wierzę. A zresztą jeśli nawet popełniają drobne grzeszki, to któż z nas jest bez winy? Należy im się trochę rozrywki za to, co robią dla wiary. Bez nich nie wygralibyśmy tylu wojen.

- A co prawda, to prawda. Zakon ma swoich szpiegów w każdym zakątku ziemi. Zastanawia mnie tylko, czego oni chcą. I po co właściwie istnieją?

- Jak to po co? Istnieją, by walczyć z bluźniercami, co swymi plugawymi jęzorami zadają kłam prawdzie objawionej. Po to istnieją.

- Tak, tak. Też o tym słyszałem. Tylko mi nie mów, że w to wierzysz.

- Wierzę, a co miałbym nie wierzyć. Skoroś taki mądry, to powiedz mi, co ty o tym myślisz. Albo lepiej nic nie mów. Już mam dosyć słuchania tych twoich teorii spiskowych. Powiadam ci, że kiedyś ktoś utnie ci ten kaprawy jęzor i wówczas wspomnisz moje słowa. A wtedy będzie już za późno.

Mężczyźni nagle zamilkli, widząc nad sobą złowrogi cień, który powoli rósł i rósł, aż w końcu zmienił się w człowieka z krwi i kości. I gniewu - wiecznego gniewu, który właśnie został skierowany na dwójkę bombardierów, beztrosko roztrzásających tajemnice działalności zakonu.

- A wy dwaj znowu tu romansujecie? Czy wy aby mi tu, kurwa, czegoś nie knujecie? Co, gołąbeczki jebane? Odpowiadajcie, jak pytam.

- Ależ skąd, panie dziesiątniku. My się tylko zastanawiamy, jakie wieści przywożą posłowie zakonni Wielkiemu Mistrzowi. Czyżby jakaś nowa wojna wisiała w powietrzu? Pan dziesiątnik coś o tym wie? - spytał Blinkos z miną niewiniątka.

- Ty, Blinkos, za dużo myślisz. Zdecydowanie za dużo, a to jest niebezpiecznie. Skup się lepiej na tym, by dobrze celować, bo jak na razie ci to nie wychodzi. A myślenie zostaw mądrzejszym od siebie.

- Tak jest, panie dziesiątniku. Postaram się, choć to pewnie wina przemęczenia. Może by pan dziesiątnik zgodził się dać mi króciutki urlop? Odpocznę sobie i od razu głupie myśli wylecą mi z głowy.

- Kpisz sobie ze mnie, durniu?! Urlopu mu się zachciewa, ha, ha, ha. Ty się lepiej módl, żebym ja ciebie do kompanii karnej nie wysłał, a nie mi tu z urlopami wyskakujesz. No już dosyć tego opierdalania. Brać się do roboty, sucza wasza macierz, bo zaraz inaczej pogadamy. Za bardzo się tu z wami cackam, darmozjady chędożone, ale to się zmieni. Oj, zmieni się, zmieni.

Władca Świata Eutychnianus I Bogobojny nie spodziewał się gości o tej porze. Właśnie ze starannością klasztornego skryby eksplorował ponętne ciało ciemnoskórej niewolnicy, gdy jego ciężka praca została zakłócona przez pojawienie się służącego.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - syknął cesarz, nie racząc przerwać swego zajęcia.

Czarnoskóra piękność wyszczerzyła zęby z uciechy.

- Wybacz, Władco Świata, że śmiem ci przeszkadzać, lecz kazałeś mi natychmiast zawiadomić cię, gdy przybędzie Wielki Mistrz.

- Ech... że też on nigdy nie ma wyczucia chwili. Każ mu nalać wina, zaraz go przyjmę - odparł władca z goryczą w głosie. Powiódł zawiedzionym spojrzeniem po kuszącym ciele dziewczyny i klepnął ją

w pośladek, aż rozległ się charakterystyczny plask. Następnie wstał z ogromnego łoża i nałożył na siebie krótkie spodnie z farbowanego jedwabiu zakończone złotymi obszyciami oraz niezwykle cienką, niemal przezroczystą szatę o bufiastych rękawach. Jeszcze raz spojrzął na swą najnowszą zdobycz, prężącą się w łożu niczym wygłodniała kocica, puścił do niej oczko i z żalem wymalowanym na twarzy wyszedł zająć się monotonną sztuką rządzenia.

Rosmund Nadsak nie był świadom krzywdy, jaką wyrządził swemu władcy. A nawet gdyby był, to z pewnością nie czułby z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Siedział nieruchomo na miękkiej poduszce wypełnionej wielbłądzą wełną, popijał drobnymi łyčzkami wyśmienite wino z cesarskich zapasów i patrzył na kolekcję przepięknych mieczy i tarcz, które leżały porozrzucane bezładnie na pokrytej grubym futrem ziemi. Czekał w spokoju, choć w jego głowie aż huczało od najróżniejszych myśli.

- Bądź pochwalony, Władco Świata - powiedział na widok wchodzącego cesarza, ograniczając się do lekkiego skinięcia głową. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Skądże znowu - skłamał Eutychnianus, posyłając mu w myślach wiązkę niedających się przytoczyć przekleństw. - Właśnie modliłem się za pomyślność naszej świętej misji, gdy powiadomiono mnie o twym przybyciu. Coś się stało?

Wilki Mistrz podrapał się po brodzie, upił łyk wina i uśmiechnął się drapieźnie.

- Wybacz raz jeszcze, że ci przeszkodziłem w rozmowie z Bogiem, lecz wrócili moi szpiedzy zza oceanu. Przynoszą wieści.

Cesarz w jednej chwili zapomniał o powabnych kształtach swej najnowszej niewolnicy i podniósł brwi w geście pytania.

- I?

- I teraz poszli spać - zażartował poważny zazwyczaj zakonnik i roześmiał się rubasznie. - A tak na poważnie, wszystko idzie po naszej myśli. Jest nawet lepiej, niż moglibyśmy przypuszczać. Wojna w Pięciu Księstwach jest już przesądzona. Wybuchnie na wiosnę.

- Pewne to?

- Tak pewne jak to, że właśnie z tobą rozmawiam. Mało tego. Okazało się, że po stronie tej obłąkanej psychopatki opowiedział się sam Olkmund Staloręki - władca drugiego największego księstwa Pięciu Księstw. Nie wiem, w jaki sposób ona to zrobiła, ale teraz ten dureń chodzi dumny jak paw i ogłasza wszem i wobec ich zaręczyny. Dla nas oznacza to jedno - ichnia wojna będzie długa i bardzo krwawa. Moi szpiedzy przywieźli także listy od naszego drogiego brata Hamila al-Kataraja. Zresztą sam przeczytaj, bo już jęzor mnie boli od tego mielenia.

To powiedziawszy, Rosmund Nadsak wyjął z kieszeni pogiętą kartkę papieru i podał ją cesarzowi. Ten zaczął czytać, a z każdym kolejnym zdaniem jego twarz wyraźnie łagodniała.

- Doskonale. Otóż to. A to drań. Niech go licho kopnie - komentował od czasu do czasu czytane rewelacje, aż wreszcie skończył i uśmiechnął się szczerze do zakonnika. - No, no, no, szczwana bestyja z tego twojego braciszka. Ładnie się tam urządził. Teraz pozostaje nam tylko cierpliwie czekać do wiosny. No i zdobyć to przekłete Horkas, bo, na miłość boską, mam już dość tego namiotu, tej cholernej pustyni i tego wszędobylskiego piasku.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Władco Świata. - Wielki Mistrz zamarkował ukłon z udawaną nonszalancją i uśmiechnął się zawadiacko. - Musisz się tylko uzbroić w cierpliwość. Zapowiadam ci, że nie będzie to trwało długo. Nie minie tydzień, a miasto Horkas padnie u twych stóp i będziesz jedynym władcą Dolnego i Górnego Rheandru.

- Jesteś pewien?

- Na tym świecie tylko śmierć i miłość naszego Pana są pewne - odparł zakonnik poważnym tonem, lecz po krótkiej chwili mrugnął porozumiewawczo i dodał znacznie weselszym głosem: - I to, że za tydzień miasto Horkas padnie.

Cesarskie usta wygięły się ku górze w szczerym uśmiechu, a jego twarz odmłodziła o kilka lat, tak jakby władca zrzucił z serca wielki

ciężar. Wielki Mistrz za to jakby spochmurniał. Zmarszczył brwi, a na jego czole pojawiły się drobne zmarszczki. Wziął głęboki oddech i, patrząc się cesarzowi prosto w oczy, oznajmił złowieszczym tonem:

- To na tyle dobrych wieści. Pojawiły się też pewne komplikacje.

- To znaczy? - Wielki Mistrz jeszcze bardziej spochmurniał.

- Bolesław uciekł z zamku Erzsébe i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

Cesarz wzruszył ramionami.

- I cóż z tego? Już nie jest nam potrzebny. Zrobił to, co do niego należało. Sam przecież mówiłeś, że wojna na pewno wybuchnie, więc czym się martwić? Nawet jeśli szczeniak przeżyje i wróci do pałacu ojca, wątpię, by ten przełknął taką zniewagę i wybaczył tej, jak jej jest... Erzsébe. Cóż zatem może nam grozić?

- Widzisz, Władco Świata, z początku też tak myślałem i nie przejmowałem się tym zanadto. Jednak całkiem niedawno odbyłem ciekawą rozmowę z jednym z naszym braci, który pracuje w archiwum zakonu. Słyszałeś kiedyś o zwojach z Arkadabuzi?

Cesarz pokręcił głową.

- Nie dziwi mnie to. To jedna z większych tajemnic zakonu.

Wielki Mistrz nagle zamilkł, patrząc z uwagą na półnagię niewolnika, który nachylił się nad nim, by dolać mu wina.

- Nie obawiaj się. Przy nim możesz mówić spokojnie - uspokoił go cesarz, po czym spojrzął na niewolnika i wyszczerzył w uśmiechu zęby. - No, czarnuszk, pokaż Wielkiemu Mistrzowi ozorek.

Służący posłusznie otworzył buzię, w której dojrzeć można było kilka wybitych zębów i ucięty u nasady kikut języka. Cesarz zaczął trząść się ze śmiechu i uderzać dłońmi o własne uda.

- A teraz pokaż, jak się całujesz z dziewczkami. Ha, ha, ha, dobre. Odezwał się kiedyś bez pytania, czarci syn, więc kazałem mu obciąć ten jęzor. No zmykaj już, bo zaraz każę ci obciąć coś innego, ha, ha, ha. No, ale kontynuuj, Rosmundzie, bo coś ważnego chciałeś mi rzec.

Mistrz uśmiechnął się smutno i kontynuował:

- Kilka wieków temu kilkunastu naszych braci dotarło do ruin pewnego miasta, mieszczącego się w delcie rzeki Rheandr. Odkryli tam pieczarę, w której znajdowały się bardzo stare zwoje, zapisane tajemniczym językiem. Okazało się, że było to pismo Hrewów - starożytnego plemienia potężnych magów i wieszczów. W zwojach tych opisane były dzieje świata - zarówno przeszłe, jak i przyszłe.

Cesarska ręka zawisała w powietrzu między jego udem a brodą, w którą chciał się podrapać. Usta pozostały otwarte i wyglądały niczym podniesiona brama miasta podczas defilady zwycięzców. A oczy? W nich pojawiło się nieskrywane zdumienie.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteście w posiadaniu przepowiedni? Znacie przyszłość?

Wielki Mistrz odczekał kilka chwil, by podkreślić ważność kolejnych słów.

- Owszem. Jesteśmy w ich posiadaniu. Trzeba ci jednak wiedzieć, że każda przepowiednia jest jak rzeka. Jeśli nic się nie dzieje, płynie w swoim korycie i dociera tam, gdzie zamierza. Wystarczy jednak zbudować tamy, zmienić bieg koryta, a powstanie nowa rzeka, którą możemy odpowiednio formować i skierować do punktu, tak jak nam odpowiada. Dopiero niedawno się tego nauczyliśmy i teraz potrafimy to wykorzystywać.

Cesarz zamyślił się.

- Rozumiem, że mówisz mi to w pewnym celu. Co zwoje mówią o Bolesławie?

- Wystarczająco dużo, by zrobić wszystko, co w naszej mocy, by gnojek zginął.

Zaległa grobowa cisza. Żaden z rozmówców się nie odezwał. Obaj bładzili myślami przy tajemniczym młodzieńcu z odległego kraju, który mógł pokrzyżować im przygotowywane od wielu lat plany. Żaden także nie zwrócił uwagi na pewnego mankruta, który kucał w odległości kilkunastu kroków od nich. Jego dłonie zawzięcie ścierały kurze z imponującej kolekcji broni, a oczy co rusz posyłały dwóm z trzech najpotężniejszych osób na świecie ukradkowe

spojrzenia. Gdyby tylko symonici nie byli tak pochłonięci rozmową o spiskach, zdradach i tajemniczych przepowiedniach, z pewnością zauważyliby, że te oczy nie mogą należeć do mankruta. Zbyt wiele było w nich życia, zbyt wiele ciekawości i blasku.

Świat pogrążył się w mroku. Świat kipiał, świat żył, świat płakał. Płakał nad setkami uwieczonych w obleżonym mieście dzieci, na których głowy raz po razie lądowały śmiercionośne głązy, jadowite węże, skorpiony, pająki i strzały. Świat trochę ucichł, lecz wciąż świszczwał, gwizdał i jęczał, zagłuszany przez huk rozkazów, łomot spadających pocisków, gwar rozmów, pijackich śpiewów i westchnień rozkoszy splecionych w miłosnym szale kurew, które nieodłącznie podążają za każdą armią świata. Także armią Boga.

Ich duchowy przywódca, Wielki Kapłan Baziliskus, klęczał przed wykonanym ze szczerego złota ołtarzem, pogrążony w żarliwej modlitwie. Z jego ust raz za razem wydobywały się bliżej niescharakteryzowane jęki, a chudym ciałem wstrząsały drgawki. Tuż koło niego klęczała mała dziewczynka o bujnych lokach koloru ognia i trupiobladej cerze, znaczonej gdzieniegdzie drobnymi piegami. Ona także się modliła, choć w zupełnej ciszy.

Nagle ciało Wielkiego Kapłana wygięło się do tyłu, a w szeroko otwartych oczach pojawił się czerwony blask. Dziewczynka spuściła z pokorą głowę. Wiedziała, co ją czeka, i była na to gotowa.

Baziliskus podszedł do niewielkiego stolika i wziął w dłoń zakończony metalowymi wstawkami bat. Jego dłoń uniosła się w górę, chwyciła dziewczynkę za podbródek i skierowała jej głowę do góry, zmuszając, by spojrzała na niego. Zadrzała.

- Czy chcesz zostać służebnicą Pana? - usłyszała dudniący w głowie głos, który rozchodził się po jej ciele niczym chłodna fala.

Pokiwała skwapliwie głową. Chciała.

Kapłan wziął ją za rękę i poprowadził na drugą stronę namiotu, gdzie delikatnym ruchem zsunął z niej przewiewną koszulę,

odślaniając wychudzone i poprzecinane krwawymi pręgami plecy. Następnie przywiązał jej nadgarstki do stojącego samotnie słupa z poprzeczną belką tak, że wraz z nogami tworzyły literę Y.

- Tylko najczystsze sercem osoby mogą służyć panu. Czy jesteś na to gotowa, córko?

- Tak, ojcze - odpowiedziała dziewczynka i zacisnęła mocno zęby. Pot spływał jej po karku cienkimi strużkami, a krew boleśnie pulsowała na skroni, powodując głośne łupanie w całej czaszce. Kapłan wziął zamach. Ostro zakończony bat przeciął parne powietrze i wylądował z łoskotem na kościstych plecach. Zafira nawet nie jęknęła. Z zamkniętymi oczyma modliła się do swojego boga, Szymona Maga, oddając mu w ofierze własny ból i własne cierpienie. Kolejne razy zaczęły spadać na nią niczym krople jesiennego deszczu na ziemię. Na bladych, zrytych jak uprawne pole plecach tańczyły strużki krwi, by po chwili połączyć się ze sobą, tworząc czerwone potoki spływające wzdłuż kręgosłupa.

- Panie mój, Boże miłosierny, przyjmij tę niewielką ofiarę, jaką ci składam z mego bólu. Jam jest Twoją służebnicą... Jam jest Twoją służebnicą... Panie mój, Boże miłosierny, Tobie się oddaję i chociaż idę ciemną doliną, wiem, żeś zawsze przy mnie... Jam jest Twoją służebnicą... - Usta dziewczynki poruszały się w bezgłośnej modlitwie, podczas gdy bat raz po razie chłostał jej delikatną skórę.

Zemdlała. Kapłan uderzył ją jeszcze dwukrotnie, po czym odłożył narzędzie chłosty, chwycił leżące na ziemi wiadro z brudną wodą i wylał jego zawartość na poranione plecy. Woda spłynęła po skórze, mieszając się ze strużkami krwi. Zafira odzyskała przytomność i cicho jęknęła. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiezek. Kapłan pogłaskał ją czule po rudych, zwisających w nieładzie włosach i jednym ruchem przeciął krępujące węzły. Zachwiała się, lecz nie upadła. Pokornie klęknęła u stóp namiestnika Szymona i z namaszczeniem ucałowała mu stopy.

- Dziękuję, ojcze - szepnęła.

Plecy piekły ją niemiłosiernie, lecz nie płakała. Wiedziała, że musi cierpieć, by bólem udowodnić swą wiarę.

- Wstań, córko - rzekł kapłan, podając jej pomocną dłoń. Ich oczy ponownie się spotkały, co przyprawiło ją o ciarki.

- Czy jesteś gotowa złożyć naszemu panu najcenniejszą ofiarę, córko?

- Tak, ojcie. Jestem gotowa - odparła bez wahania.

- Czy jesteś gotowa powierzyć mu bezgranicznie swe ciało i swą duszę, córko?

- Tak, ojcie. Jestem gotowa.

- Rozbierz się.

Brudne, przesiąknięte krwią i potem skrawki odzienia wylądowały na ziemi. Zafira stanęła przed kapłanem w takim stanie, w jakim przyszła na świat - naga, drżąca i bezbronna. I tylko jej oczy były suche, pełne wiary i nadziei. Całkowicie poddała się woli Boga. Nie czuła zatem, jak jej nogi niosą ją do złocistego ołtarza, nie widziała stojących po jego obu stronach alabastrowych figurek obejmujących się aniołków, nie zachłysnęła się krztuszącym dymem palących się kadzideł. Dopiero gdy jej plecy zetknęły się z zimną ławą, a oczy spoczęły na stojącym z boku mężczyźnie, zaczęła coś czuć. Strach i odwagę, ból i rozkosz, żal i radość. Mężczyzna zbliżył się do ławy z lubieżnym uśmiechem błakającym się na wąskich, nieszczerych ustach i spojrzeniem utkwionym w odsłonięte łono dziewczynki. Szybkim ruchem ściągnął z siebie żółtą, ściśle przylegającą do ciała szatę, odsłaniając naprężonego, buzującego chucią członka. Jego wąskie i złe oczy nie mogły oderwać się od jej sekretów, a szpetna twarz wykrzywiła się w wyrazie niepojętego szczęścia.

- Czy jesteś gotowa poświęcić swoje nieskalane ciało, by udowodnić oddanie naszej wierze, córko? - spytał Baziliskus.

- Tak, ojcie, jestem gotowa.

Mężczyzna zacharczał i oblizał lubieżnie wargi.

Dziewczynka nie płakała. Z zamkniętymi oczyma pograżyła się w cichej modlitwie, podczas gdy nabrzmiały członek penetrował jej

dziewicze łono. Czuła pulsujący w całym ciele ból, lecz jej dusza z każdym ruchem mężczyzny stawała się coraz lżejsza, a serce czystsze. Czas zdawał się płynąć swoim powolnym tempem. Mężczyzna dyszał coraz głośniejsze, Zafira coraz żarliwiej wznosiła modły. Jej dusza opuściła obolałe ciało i wzniosła się do góry, by poczuć ciepłe promienie miłosierdzia. Nie była obecna, gdy młodszy kapłan wydał z siebie odgłos przypominający wojenny krzyk barkudzkiego wojownika, a jego twarz zaiskrzyła się światłem tysiąca słońc. Dopiero gdy donośny głos Wielkiego Kapłana sprowadził ją na powrót do bolącej ziemskiej powłoki, dziewczynka otworzyła oczy.

Nadal leżała na twardej ławce. Ujrzała nad sobą dobrotliwą twarz Baziliskusa i poczuła, jak jego aksamitnie miękka dłoń głaszcze ją po włosach.

- Jestem z ciebie dumny, Zafiro. Twoja ofiara została przyjęta - przemówił Wielki Kapłan uroczystym tonem. - W twym ciele zakiełkowało ziarno miłosierdzia. Od teraz jesteś służebnicą Pana.

Uśmiechnęła się. W jednej chwili cały ból, cały żal i smutek wyparowały z niej, a ich miejsce zajął krystaliczny spokój. Urodziła się na nowo. Jako Zafira - służebnica Pana.

- Dziękuję, ojczy - odparła słabym głosem. Z jej oczu poleciały grube niczym ziarna grochu łzy. Łzy szczęścia, łzy dumy.

Od teraz jesteś służebnicą Pana. Od teraz jesteś służebnicą Pana.

Słowa Wielkiego Kapłana dźwięczały w głowie Zafiry niczym nieustająca pieśń. Rozkoszowała się nimi, pławiła, powtarzając raz za razem, aż w głowie miała tylko to jedno, jakże cudowne zdanie.

Od teraz jesteś służebnicą Pana.

Dziewczynka uśmiechnęła się do siebie, odsłaniając poranione dłoń, i przekręciła się na drugi bok. Leżała na niewygodnym posłaniu w towarzystwie własnych myśli. Była szczęśliwa. Oto przecież stała się służebnicą Pana, znalazła swój nowy dom. Od chwili złożenia ofiary poczuła nad sobą niewidzialne skrzydła opatrności -

bezbarwną tkaninę, która otuliła jej stroskaną duszę, zapewniając ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, że nie jest już sama na tym świecie. Wiedziała, że ma po co żyć.

Po jakimś czasie znów się przekręciła, tym razem na plecy. Zapomniała już o wzniosłych słowach Wielkiego Kapłana i teraz jej myśli stały się mniej wzniosłe, a bardziej praktyczne, codzienne. Pojawiła się w nich walka - walka z samą sobą, walka z własnym ciałem, z pełnym pęcherzem. I jak to zawsze bywa w takich przypadkach, ciepło i wygoda przegrały walkę z Matką Naturą. Wstała, nałożyła buty i ruszyła ku wyjściu.

Księżyc uśmiechnął się do niej radośnie, oświetlając otaczające zewsząd piaski pustyni. Chłodne powietrze uderzyło ją w twarz, przynosząc ulgę. Uniosła twarz do góry i spojrzała w gwiazdy, starając się usłyszeć głos Boga, którego obecność czuła głęboko w sercu. Jej usta zaczęły poruszać się w cichej modlitwie, a nogi same ją niosły do przodu.

- Saliha.

Nic nie słyszała, szła dalej. Głos stał się bardziej donośny, bliższy.

- Saliha! Zatrzymaj się.

Zafira nie zareagowała. Nagle ktoś złapał ją za ramię. Pisnęła, wyrwała się i rzuciła do ucieczki. Na próżno - czyjeś ramiona pochwyciły ją i nie chciały puścić.

- Nie krzycz, Saliho. To ja, Achud.

Krzyknęła. Mężczyzna zatkał jej usta dłonią.

- Nie krzycz. Nie zrobię ci krzywdy. To ja Achud, przyjaciel Masmara. Pamiętasz mnie?

Pokręciła głową, szarpiąc i kopiąc na przemian trzymającego ją intruza.

- Uspokój się. Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko z tobą chwilkę porozmawiać, a potem pójdiesz, gdzie będziesz chciała. Teraz powoli zabiorę dłoń, a ty nie będziesz krzyczała. Zgoda?

Przytaknęła niemrawo. Mężczyzna powoli zabrał dłoń i odwrócił ją, by mogła na niego spojrzeć. Wzdrygnęła się, gdy w bladym świetle

księżycyca dojrzała jego zdeformowaną czaszkę, pełną krwawych otarć, ran i zagłębień. Czaszkę, jaką mogli mieć tylko mankruci. Spojrzała mu głęboko w oczy. Dojrzała w nich życie. To z pewnością nie były oczy mankruta.

Ramiona mężczyzny nadal obejmowały ją w pasie. Poczwała, jak wali mu serce.

- Saliho! To ja, Achud. Przyjaciół twego brata Masmara. Poznajesz mnie?

Ponownie pokręciła głową, choć gdzieś w najgłębszych zakamarkach jej mózgu odezwały się malutkie dzwoneczki, wybijające cichutko melodię złożoną z ukrytych głęboko wspomnień. Jej lazururowe oczęta gapiły się na nieznaną jej twarz.

Nieznaną? Czy aby na pewno?

- Nie znam cię. I nie nazywam się Saliha. Jam jest Zafira, służebnicą Pana. Zostaw mnie, bo zacznę krzyczeć.

W jej głowie wciąż dźwięczały trzy tajemnicze słowa: Saliha, Masmar, Achud.

Kim ja jestem? - przemknęło jej przez myśl, lecz po chwili zawstydziała się przed samą sobą. *Jestem służebnicą Pana* - powtórzyła w myślach słowa Wielkiego Kapłana.

- Nazywasz się Saliha - usłyszała spokojny głos mankruta, przenikający przez grubą zasłonę jej wiary. - A ja jestem przyjacielem twego brata Masmara. Nie bój się mnie. Nie zrobię ci krzywdy.

- Zostaw mnie. Jestem Zafira, służebnica Pana - wyjąkała niepewnie, jakby sama powoli przestawała w to wierzyć. Trzy tajemnicze imiona tańczyły w jej głowie coraz szybciej i szybciej. Oczami wyobraźni ujrzała samą siebie obok wysokiego i szczupłego mężczyzny, ubranego w wojskowy mundur. Mężczyzna miał przyjemną twarz. Dobrą i wesołą. Biło od niego ciepło i miłość. Miłość do swojej siostry, do... Salihy.

Tylko najczystsze duchem i sercem osoby mogą służyć Panu. Czy jesteś na to gotowa, córko? Od teraz jesteś służebnicą Pana... służebnicą Pana...

Kim ja jestem?

Nagle targnął nią niepohamowany szloch. Grube, gorące łzy zaczęły ciec ciurkiem po obu policzkach i padać na jej stopy. Silne ramiona mężczyzny chwyciły ją i przyciągnęły do siebie. Poczwała zapach potu i rytmiczne bicie serca. Poczwała ciepło i miłość, jakiej nie czwała od dawna. W jednej chwili przypomniała sobie bolesne uderzenia bata tnące jej delikatną skórę oraz chudą postać Wielkiego Kapłana, patrzącego na nią z przyprawiającym o ciarki uśmiechem. Przypomniała sobie jego straszliwe ślepie, które wprost przenikały do najskrytszych zakamarków jej duszy. To już nie były oczy pełne miłości i współczucia. To były oczy, w których czało się zło. Zło w najczystszej postaci.

Od teraz jesteś służebnicą Pana... służebnicą Pana... – bębniły w jej głowie słowa kapłana. Po chwili ujrwała siebie, jak lewała nago na twardej, zimnej ławie, podczas gdy...

Bolesny szloch ponownie wyrwał się z jej piersi.

– *Ćśśś*. Nie płacz, Saliho. Jestem przy tobie. Zaopiekuję się tobą. Już się nie musisz bać – słyswała kojący głos Achuda, docierający do jej duszy i wypierający ziarno posłuszeństwa, zasiane przez Wielkiego Kapłana, który powoli zaczął się jej jawić jako istny demon.

Jeszcze raz spojrzwała na stojącego przed nią mężczyznę. Znajome rysy twarzy, wysokie czoło, wystające kości policzkowe, wyrazisty podbródek i oczy – bystre, łagodne oczy, w których czało się dobro i miłość.

Nagle wszystko sobie przypomniała. Swoją mamę, ojca, braci... i umorusane krwią potwory, które z imieniem Szymona Maga na ustach pastwiły się nad jej ukochaną rodziną. Lawina wspomnień zalała jej małą główkę, wywołując istne morze łez.

Oni wszyscy nie żyją.

Przypomniała sobie także Achuda. Kiedyś często go widywała, gdy przychodził w odwiedziny do jej brata. Zawsze miał dla niej dobre słowo, bawił się z nią, opowiadał bajki i nieraz przynosił jakiś smakołyk. Bardzo go lubiła.

- Achud...

Mankrut aż drgnął ze wzruszenia. Jemu także pociekły dwie malutkie łezki, które szybko wyparowały z ogorzałych od słońca policzków.

- Tak, to ja, Saliho. To ja. Już się nie musisz bać. Zabiorę cię stąd. Zabiorę daleko od tego całego zła. Uciekniemy razem. Tylko musisz mi zaufać, a obiecuję, że nie będziesz się więcej bała. Zaopiekuję się tobą, przyrzekam. Chcesz tego?

Dziewczynka kiwnęła leciutko głową. Wierzchem dłoni wytarła mokrą od płaczu twarz.

- Teraz posłuchaj mnie uważnie, bo nie mamy wiele czasu. Musimy stąd uciec. Jutro w nocy. Rozumiesz?

Ponownie pokiwała głową.

- To dobrze. Spotkamy się jutro o północy nad rzeką. Zapamiętaj. Jutro o północy nad rzeką. Przyjdiesz?

- Tak. Przyjdę.

Achud uśmiechnął się do niej.

- Będę na ciebie czekał. A teraz muszę już iść. Pamiętaj, Saliho, jutro o północy nad rzeką. Bądź gotowa.

To powiedziawszy, mężczyzna musnął wargami jej czoło, po czym wtopił się w mrok nocy.

Ponownie została sama. Bała się. Stała tak kilka długich chwil, po czym rozejrzała się trwożnie na wszystkie strony i, nie niepokojona przez nikogo, udała się w stronę rzeki, by tam ułożyć sobie wszystko w głowie. Usiadła nad porośniętym trzciną brzegiem i zaczęła wsłuchiwać się w jednostajny szum płynącej wody. Musiałaby znacznie wyteńczyć wzrok, by w zalegającej mgłę móc dojrzeć drugi brzeg. Nie zrobiła jednak tego. Miała ważniejsze sprawy na głowie niż podziwianie niewątpliwego piękna przyrody, kryjącego się w tym spokojnym niegdyś zakątku świata. Wspomnienia z poprzedniego życia wróciły do niej jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, a obrazy pojawiające się w jej głowie stawały się coraz bardziej wyraźne. Ujrzała niską i dobrotliwą postać swojej ukochanej matki, poważną

twarz ojca, który patrzył na nią z ogromem niewysłowionej miłości, a także swych starszych braci – Salira i Masmara. Przypomniała sobie także Achuda. Kiedyś wyglądał inaczej. Był młodszy i lepiej odżywiony. Miał przystojną twarz okoloną gęstymi, czarnymi niczym krucze pióra włosami i starannie przyciętą bródką. Tylko jego oczy pozostały takie same – duże, piwne i okraszone gęstą szczeciną brwi. To były oczy, w których każda dziewczyna mogłaby się zakochać do utraty tchu. Co jakiś czas w jej głowie pojawiała się także rachityczna postać Wielkiego Kapłana, opowiadającego jej o jedynym i prawdziwym Bogu. Bogu pełnym miłości, której jednak próżno było szukać wśród jego wyznawców.

Od teraz jesteś służebnicą Pana – wciąż słyszała te słowa, lecz już nie z taką mocą jak poprzednio. I za każdym razem czuła nieprzyjemne ciarki przechodzące po jej poranionych plecach. Już nie była Zafirą, służebnicą Pana. Znow miała na imię Saliha i była malutką, wylęknioną dziewczynką, która za wszelką ceną musiała uciec z tego przeklętego miejsca.

Poranna szarość przeradzała się stopniowo w jasność dnia. Słońce coraz odważniej wychylało się z za widnokręgu, ogrzewając wyziębioną ziemię i odsłaniając jej tajemnice. Gwar dochodzący z pobliskiego obozowiska stawał się coraz głośniejszy. Słysząc było monotonne dudnienie bębnow, wściekły śpiew bawolich rogów, skrzypienie naciąganych lin, wykrzykiwane rozkazy oraz siarczyste przekleństwa setnika, oceniającego szkody po nocnej wycieczce obrońców z Horkas. W niebo ponownie wzbiły się tysiące świszczących skał, padających z hukiem na krwawiące miasto. Tysiące wyznawców jednego Boga ruszyły na mury w jeszcze jednej nieudanej próbie szturm. A między nimi chodziła koścista starucha, składając na lewo i prawo zimne pocałunki śmierci. Żywi nie mogli jej dostrzec, lecz ona tam była. Była i zbierała krwawe żniwo.

Saliha nie baczyła na zawieruchy wstrząsające światem, nie słyszała odgłosów wojny i nie czuła wszechobecnego kurzu. Siedziała nieruchomo nad brzegiem rzeki, wpatrzona w rwącą wodę. Czekala

niecierpliwie, aż słońce łaskawie zechce udać się na spoczynek i zwolnić miejsce Pani Nocy. Ono jednak nic sobie nie robiło z dąsów malutkiej dziewczynki. Siedziało na swym gorejącym tronie i z niewzruszoną miną obserwowało śmierć obrońców miasta Horkas.

Chciała tu zostać do nocy, by uciec na drugi koniec świata z przyjacielem jej brata. Chciała, lecz nie mogła. Dokuczający jej od poprzedniego wieczora głód nasilił się tak bardzo, że na niczym innym nie mogła się skoncentrować. W końcu wstała i ruszyła do kuchni, modląc się, by nie napotkać na swej drodze Wielkiego Kapłana lub któregoś z jego przeklętych pomagierów. Modlitwy okazały się skuteczne, choć nawet ona nie była pewna, do kogo je adresowała. Czy do starych bogów, do których wiarę i cześć wysłała wraz z mlekiem matki oraz tysiącami lat tradycji swojego nieistniejącego już narodu? Czy może do Szymona Maga, którego jeszcze wczoraj była wierną służebnicą? Saliha nie miała siły się nad tym zastanawiać. Modlitwy kierowała bezosobowo. Ktoś musiał jej przecież wysłuchać.

W końcu dotarła do kuchni, gdzie zdołała zaspokoić głód oraz niepostrzeżenie schować kilka kawałków placka na nocną ucieczkę. Przez cały czas miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, więc postanowiła ukryć się w jakimś niebudzącym podejrzeń miejscu, by w spokoju przeczekać do wieczora. Po krótkim namyśle zdecydowała się na niewielką kapliczkę, mieszczącą się nieopodal namiotu Baziliskusa. Obecność świeżo poślubionej służebnicy w Domu Bożym była jak najbardziej uzasadniona.

Wewnątrz panował półmrok, rozświetlony jedynie przez blask sześciu świec z wosku pszczelego, umieszczonych w dwóch posrebrzanych świecznikach, które stały po obu stronach gipsowego popiersia Szymona Maga. Nieco dalej znajdował się niski ołtarz wykonany z hebanowego drewna. Jego trzy części były gęsto pokryte scenami z życia założyciela Zakonu Najświętszego Serca – świętego Krerdoza – oraz jego męczeńskiej śmierci z rąk podłych heretyków, oddających cześć Jezusowi z Nazaretu. W rzeczywistości Mistrz

Krerdoz umarł z powodu dokuczliwej biegunki, która zmogła go podczas nieudanej kampanii wymierzonej przeciwko bluźniercom. Dla późniejszych teologów i braci zakonnych taka śmierć byłaby jednak niegodna wielkiego orędownika nowego porządku. Któż by bowiem chciał się modlić przed ołtarzem przedstawiającym siedzącego na wychodku świętego? Tak więc, według wszystkich kronik religijnych, Wielki Mistrz Kredoz nie umarł, siedząc na sraczu, lecz z mieczem w dłoni, podczas walki za wiarę z przeważającym liczebnie wrogiem.

Saliha usiadła na twardej drewnianej ławie i złożyła ręce jak do modlitwy. Nie modliła się jednak, nie potrafiła. Siedziała nieruchomo z zamkniętymi oczami, aż w końcu poddała się dobrotliwemu działaniu snu. Zbudził ją dopiero przeciągły dźwięk trąb wzywających na mszę oraz odgłos kroków, szurania ławami i stłumionych rozmów wiernych. Chwilę później w kaplicy pojawił się kapłan. Ubrany w białą-złotą szatę z szerokim kapturem nałożonym na głowę majestatycznym krokiem ruszył do ołtarza, a z jego ust wypłynęły ciche słowa modlitwy. Zaraz też inni dołączyli do niego i w kaplicy dało się słyszeć nabożne słowa kierowane ku ziemskiej towarzysze Szymona Maga - zaklętej w Helenę Enoidzie. Kapłan doszedł do ołtarza, odwrócił się i szybkim ruchem zsunął z głowy kaptur. Zabłyśły jego podłe oczy, zaśniła słoniowa kość zębów. Chuda dłoń uniosła się ku górze, a spojrzenie omiotło siedzące w rzędzie owieczki. Uśmiechnął się zbereźnie, gdy zdołał wśród nich dojrzeć małą dziewczynką o ognistych włosach. Saliha zadrżała i pośpiesznie spuściła wzrok, udając całkowicie pogrążoną w modlitwie. Nie chciała patrzeć na jego twarz, nie chciała pamiętać o wczorajszym dniu. Nie chciała tu być, lecz wyjść teraz nie mogła.

Gdy tylko msza dobiegła końca, opuściła kapliczkę i udała się na brzeg rzeki, by tam w spokoju przeczekać do północy. Na szczęście nikt nie zauważył jej nieobecności. Resztę dnia spędziła, obserwując ekwilibrystyczne popisy ptaków o rozłożystych skrzydłach i mocnych, prostych dziobach, które niczym rzucone z wysoka kamienie leciały prostopadle w stronę tafli wody, by w ostatniej chwili skręcić

gwałtownie pod kątem prostym i odlecieć z trzymaną w pysku rybą. Gdzieś z daleka dochodziły ją stłumione odgłosami wojny słowa psalmu, które powodowały u niej mdłości. Z każdą chwilą coraz bardziej nienawidziła tej dziwnej religii, która, głosząc miłość bliźniego, tak bardzo go krzywdziła. Tęskniła za domem, za rodzicami... i za Achudem.

Tuż przed zmierzchem usłyszała tupot stóp zbliżający się nieuchronnie w jej stronę. Serce zabiło jej szybciej. W ostatniej chwili zdołała uskoczyć w mętną wodę Rheandru i skryć się za gęstą zasłoną porastającej brzeg trzciny. Postać opasłego setnika człapiącego z brzydką jak koński zad mankrutką zmroziła jej krew w żyłach. Ci jednak zajęci byli sobą. Wzrok żołnierza nie docierał dalej niż do zwiewnych szat niewolnicy, które powoli opadały na ziemię, odsłaniając tłuste, blade i pokryte licznymi plamkami ciało. Mankrutka nie protestowała. Z beznamiętnym wzrokiem skierowanym w bliżej nieokreślony punkt znajdujący się ponad jej głową spełniała wszystkie polecenia żołnierza, wydając jedynie stłumione jęki i pochrząkiwania. Nie wyglądało to bynajmniej na romantyczną miłość opiewaną słodkim głosem przez minstrela, który czasem odwiedzał rodzinne miasto Salihi i wprowadzał ją w krainę cudownych marzeń o pięknej królownie i dzielnym rycerzu. Nie było tu poezji, uczucia ani piękna. Była tylko dzika, niepohamowana żądza oraz bezwolne posłuszeństwo. Saliha zamknęła oczy. W pewnej chwili poczuła, jak coś oślizgłego ociera się o jej łydkę. Z trudem stłumiła cisnący się na usta krzyk i zacisnęła zęby. Tuż przy dnie dojrzała podłużny kształt długości ramienia dorosłego mężczyzny, lawirujący między szuwarami. Wzdrygnęła się, a słone łzy pociekły jej z oczu i zmieszały z zimną taflą wody.

Opasły setnik gestem dłoni rozkazał niewolnicy, by ta stanęła na czworakach i bezceremonialnie zatopił się w jej wnętrzu. Saliha ujrzała zza zielonej zasłony jego obleśną, puciołowatą mordę, pokrytą śladami po niezaleczonej chorobie skóry, i przekrwione ślepią, patrzące bez wyrazu w jej kierunku. Skuliła się jeszcze bardziej, tak

że ponad powierzchnię wody wystawała tylko jej drobna twarzyczka. Nagle poczuła piekący ból. Ostre zębiska wodnego potwora zacisnęły się na jej udzie. Krzyknęła, w ostatniej chwili zasłaniając usta dłonią. Setnik coraz szybciej poruszał biodrami. Jego twarz pokryła warstewka potu, a z ust wydobywały się coraz głośniejsze posapywania. Węgorz ponownie otarł się o skórę Salihy, drażniąc jej poranione od bata plecy. Miała już dość. Czuła przeraźliwe zimno, a jej całe ciało promieniowało nieznośnym bólem. Dodatkowo złapał ją nagły skurcz łydki, doprowadzając niemal do omdlenia.

- Boże, pomóż mi - wyszeptała zsiniałymi ustami.

Znów usłyszała niepokojący szum rybich łusek. Bezlitosny węgorz przepłynął między jej nogami, by ponownie zagłębić w niej ostre zębiska i odpłynąć z trzymanym triumfalnie kawałkiem pośladka. Tym razem nie zdołała się powstrzymać. Głośny okrzyk bólu wyrwał się jej z gardła, zlewając się z jeszcze głośniejszym rykiem żołnierza, którego ciało wygięło się gwałtownie do tyłu, a twarz przybrała odcień dojrzałego pomidora. Saliha zapłakała bezgłośnie, łapiąc się za pogryzione miejsce, setnik otarł pot z czoła, mankrutka nawet nie drgnęła.

Niech to już się skończy.

Żołnierz się nie śpieszył. Powoli podniósł swe opasłe cielsko i trzymając ręką zsunięte do połowy ud spodnie, ruszył w stronę brzegu. Zatrzymał się tuż nad głową Salihy.

O Boże, zaraz mnie dojrzy - pomyślała ze strachem. Nabrała w płuca powietrza i zanurzyła głowę w chłodnej kipieli. Po chwili usłyszała nad sobą szum uderzającej o tafle cieczy i poczuła charakterystyczny zapach moczu. Wzdrygnęła się. Gdzieś z boku usłyszała złowrogi szelest trzciny. Węgorz ludojad znów nadpływał.

Żołnierz wreszcie skończył. Podciągnął spodnie i gwizdząc skoczną melodię, wrócił do swojej towarzyszki. Wypowiedział kilka niezrozumiałych słów, po czym zaczął oddalać się w kierunku obozowiska. Saliha podniosła głowę i łapczywie zaczerpnęła powietrza. Następnie z niemałym trudem wyczłapała się na brzeg.

Zdołała dojrzeć jeszcze znikającą w oddali mankrutkę, która podążała kilka kroków za swym panem i władcą, po czym runęła bezwładnie na ziemię. Skurcz łydki się nasilił, a chłód stał się jeszcze bardziej dotkliwy. Dodatkowo poczuła wstrząsające ją mdłości. Żołądek niemal wywrócił się na drugą stronę i wyrzucił z siebie całą swą zawartość. Dziewczynka miała wrażenie, że wraz nią wypłuwa własne płuca. Zamknęła oczy i pomyślała o ciepłym kocu oraz o miękkim kącie do spania. Pomyślała o pobliskim namiocie, do którego zapragnęła wrócić. Chciała się podnieść, lecz nie była w stanie. Ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

- O Boże jedyny i miłosierny, wybacz mi, że zwątpiłam w Ciebie. Jam jest Twoją służebnicą. Teraz i na zawsze.

Sine usta Zafiry poruszały się niemrawo, wypowiadając ciche słowa modlitwy, w której zatopiła się bezgranicznie. W końcu poczuła znajomy promyk ciepła, tłący się nieśmiało w głębi jej serca. Z każdą chwilą stawał się on coraz większy, aż w końcu przestała odczuwać zimno i ból. Skurcz łydki ustąpił tak nagle, jak się zaczął. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się do siebie, ponownie czując nad sobą opiekuńcze skrzydła Szymona Maga. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, były dobiegające z oddali przekleństwa setnika oraz cichy pisk mankrutki.

Zasnęła kamiennym snem. Snem, którego nic nie było w stanie przerwać. Ani promienie zachodzącego słońca padające na jej twarz, ani niemilknące odgłosy obłączenia, ani szum rzeki czy też cykanie owadów. Ani nawet złowrogi syk postrachu pustyni, który zaciekawiony nieznanym mu zapachem postanowił wygrzebać się z piasku i podpełznąć w jej stronę. Rozwidlony język dotknął brody dziewczyny, smakując kropelki zastygłych wymiocin i potu.

- Ssssssssss - przemówił w swym węzowym języku.

Dziewczynka odpowiedziała głośnym chrapnięciem. Targane złym snem ciało drgnęło mimowolnie, wprawiając węża w przerażenie. Zaatakował błyskawicznie. Długie, umieszczone na przedzie pysku zęby wbiły się głęboko w jej przedramię, jad wniknął do krwi.

Ona nic jednak nie poczuła. Wciąż błędziła w sennych marach.

- Musisz umrzeć, by narodzić się na nowo - usłyszała w głowie głos Wielkiego Kapłana. - Dopiero wtedy staniesz się prawdziwą służebnicą Pana.

Przez krótką chwilę ujrzała jego gorejące na czerwono oczy, wwiercające się w jej duszę, poczuła promyk ciepła, ból, chłód, radość, żal. Potem już nic nie czuła.

Tymczasem za murami obleżonego miasta rozległ się nerwowy głos:

- Stój! Hasło?

Mężczyzna w ciężkiej zbroi płytowej zatrzymał się w pół kroku i uniósł ręce do góry.

- Nie wygłupiaj się, Uardzaju. To tylko ja...

- Coś za ja? Mów hasło!

Słowa wartownika zlały się ze zgrzytem wyjmowanego miecza, który po chwili zetknął się z szyją mężczyzny. Ten cofnął się o krok i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Szum morza, błysk stali.

- Głośniej! Nic nie słyszę.

- Szum morza, błysk stali - powtórzył, tym razem głośno i wyraźnie.

Miecz opadł, lecz nadal drgał w gęstym od emocji powietrzu, a jego właściciel starał się przeniknąć otaczający go mrok.

- Ktoś ty i czego tu szukasz?

- Czyś ty szaleju się najadł, do licha? To ja, Morgnus.

Światło księżyca odbiło się od srebrzystej klingi i padło na pociągłą twarz przybysza. Usta wartownika spowił wyraz ulgi.

- Wybacz mi, druhu - powiedział z wyraźną ulgą, wsuwając miecz z powrotem do pochwy. - Przez tych przeklętych symonitów mam zszargane nerwy. Od dwóch dni nawet oka nie zmrużyłem, psia ich mać. Co cię do nas sprowadza?

- Przysłała mnie setnik. Mam sprawdzić, jak się macie i czy czegoś wam nie brakuje.

- Czy czegoś nam nie brakuje? Ha, ha, ha! - Uardżaj zatrząsł się ze śmiechu, choć nie było w nim krzty radości. - Czy nam czegoś nie brakuje? On chyba se, kurwa, kpi, patafian jeden? Nam wszystkiego brakuje. Snu, jadła, wody, nie wspominając już o czymś mocniejszym. A ten się, kurwa, pyta. Posrać z żalu się można.

- Cóż zrobić, przyjacielu - odparł filozoficznie Morgnus. - Takie nastały czasy. Cieszymy się, że jeszcze dupy mamy na właściwym miejscu.

Uardżaj klepnął przyjaciela w ramię i obaj zanieśli się nerwowym śmiechem. Po chwili dołączył do nich drugi z wartowników, który do tej pory ukrywał się w mroku, mierząc w przybysza z kuszy.

Gdy śmiech już ucichł, wchłonięty przez dobiegające z oddali śpiewy oblegających, Morgnus rozejrzał się dookoła i spytał poważniejszym tonem:

- Tylko we dwójkę tu siedzicie? A gdzie reszta warty?

- Za twoimi plecami - odezwał się znudzony głos, dobywający się z piersi średniego wzrostu żołnierza, ubranego w pokrytą rdzą kolczugę. Obok niego stanął najmłodszy z wartowników - wypucowany glancus o twarzy gładkiej niczym pupcia niemowlęcia i z lekkim puszkim na górnej wardze.

- Widzę, że się za nami stęskniłeś, Morgnusi.

- Szczególnie za tobą, Raphanie. Chciałem sprawdzić, czy wszystko u was w porządku, i podzielić się dobrymi nowinami.

Mężczyźni zbliżyli się z zaciekawieniem do przybysza.

- Dziś rano doszły do nas wieści, że cesarz tych przeklętych jednobogów wyciągnął kopyta, niech jego dusza cierpi katusze po wieki. Ich żołnierze są dezorientowani, bo nie wiedzą, czyich rozkazów słuchać. Jedni popierają głównego kapłana, inni swoich dowódców, a jeszcze inni patrzą, co robi mistrz tego przeklętego zakonu, który nawet wśród nich samych wzbudza strach. Kilka plemion już się zbuntowało i porzuciło pole walki, a inne patrzą na

siebie wilkiem i zaczynają skakać sobie do gardeł. A to oznacza, że niebawem znowu będziemy wolni.

- Pewne to? - spytał któryś z wartowników.

- Ano tak pewne, że nasz król, niech bogowie mu błogosławią, urządził dziś ucztę dla uczczenia tych znakomitych wieści. Niestety zbyt maluczki jestem, by zasiąść z wielkimi panami, ale za to udało mi się podwędzić kilka gąsiorów. Tak żem sobie pomyślał, że nie wypada mi pić samemu, więc skoczę i obaczę, co słyhać u mych ulubionych kompanów, ale widzę, żeście na służbie. Szkoda, ale cóż zrobić. Wpadnijcie do mnie nad ranem, to może coś dla was zostanie.

To powiedziawszy, Morgnus pomachał im na pożegnanie i zaczął się oddalać. Nie uszedł za daleko, gdy dogonił go głos Raphana:

- Ej, druhu mój dobry, poczekaj ździebełko. Gdzie ci tak śpieszno? Morgnus uśmiechnął się do siebie i powoli odwrócił głowę.

- Ano śpieszno, śpieszno. Obowiązki wzywają. Później jeszcze do was wpadnę... Jak będę w stanie. He, he, he.

- A może byś tak, przyjacielu złoty, przyniósł nam dzbanuszek gorzałki? Tkwimy tu z dala od ludzi, o suchych pyskach jak jakieś psy. Nie odmówisz nam chyba tej drobnej przyjemności? Co, przyjacielu?

Morgnus zrobił krok do przodu i delikatnie pokręcił głową.

- Wiesz, że tobie to bym nawet własnej żony nie odmówił, gdybym takową posiadał, ale gorzałki wam nie mogę przynieść. Setnik by mnie za jaja kazał powiesić na najbliższym słupie, gdyby się tylko dowiedział. Sam wiesz, jaki on jest uczulony na tym punkcie.

- A od kiedy to żeś się taki strachliwy zrobił? Czyż nie pamiętasz, jakem ci życie uratował pod Korglilitami? A ty mi dzbanuszka gorzałki żałujesz? - Głos Raphana zmienił barwę z błagalnej na pretensjonalną, a jego oczy niemo atakowały przyjaciela wyrzutami sumienia.

- Zrozum mnie, nie mogę.

- E tam, nie możesz. Możesz. Sam żeś mówił, że wielcy panowie uczują, więc nikt się nie dowie. I jakże to, oni się obżerają i piją w najlepsze, a my tu musimy za nich rzycie nadstawiać. Ejże,

przyjacielu, okaż nam serce i przynieść chociaż jeden gąsiorek. No nie daj się prosić.

Morgnus jeszcze przez chwilę próbował się opierać, lecz w końcu uległ pod wpływem wzmożonych ataków zjednoczonych w wspólnych celu wartowników. Pokręcił głową, machnął dłonią w geście rezygnacji, po czym westchnął w udawanej rozpacz.

- No niech wam będzie. Ale jak ktoś się dowie, to sami będziecie się tłumaczyć.

- Tak jest - odpowiedzieli strażnicy niemal równocześnie, a ich oczy rozbłysły nieskrywanym szczęściem.

- No to czekajcie. Zaraz do was wrócę.

Odwrócił się na pięcie i zniknął z zasięgu ich wzroku, mrużąc coś pod nosem. Na jego twarzy błąkał się jednak triumfalny uśmiezek, a ręce samoczynnie pocierały się o siebie. Wrócił po dłuższej chwili, niosąc w rękach sporej wielkości dzbanuszek, z którego roztaczał się ostry zapach spirytusu.

- Jakby co, to mnie tu w ogóle nie było - rzekł w stronę wartowników, po czym podał Uardżajowi trunek. Ten pokiwał ochoczo głową, chwycił naczynie i z pazernością żebraka rzucającego się na kawałek chleba zatopił w nim swe usta.

- Mocne - powiedział, podkreślając swe słowa głośnym beknięciem i podał dzbanek dalej.

- Mam nadzieję, że wam smakuje - powiedział Morgnus po jakimś czasie, patrząc całej czwórce po kolei w oczy. Ich spojrzenia wciąż były pełne życia, lecz zdrajca już widział idącą w ich stronę śmierć. Słyszał szelest szat, czuł zapach starych kości, widział błysk kosy.

Raphan jako pierwszy poczuł silny skurcz żołądka. Skulił się i opierając jedną ręką o ziemię, spojrzał w oczy swego przyjaciela. Błysk zrozumienia przebiegł mu po twarzy.

- Dlaczego? - zdołał wykrztusić, nim z jego ust pociekła strużka śliny.

- W imię religii, przyjacielu - odparł Morgnus.

Nagle usłyszał dochodzący zza jego pleców szmer. Jednym ruchem wyciągnął krótki sztylet przytwierdzony do lewego przedramienia, odwrócił głowę i wykonał rzut. Ostrze przekoziółkowało w powietrzu i wbiło się wprost w tchawicę Uardzaja. Ten zdołał jeszcze zrobić dwa kroki, po czym padł na ziemię, wprost pod nogi brata Zakonu Najświętszego Serca. Kilkaset metrów dalej rozległ się głośny huk, a grube mury miasta drgnęły ostrzegawczo. Morgnus wyciągnął poręczny miecz i odbił zbyt powolne pchnięcie najmłodszego z wartowników. Miecz opadł z brzdękiem koło jego stóp, glancus upuścił broń, spojrzął z żalem na Morgnusa, po czym złapał się za brzuch i skulił z bólu. Chwilę później ostrze zdrajcy trafiło go w szyję, odcinając głowę od reszty ciała. Zakonnik obejrzał się za siebie w poszukiwaniu czwartego z wartowników, ten jednak był już niegroźny. Leżał skulony na ziemi, a z jego pyska toczyła się gęsta biała piana.

Morgnus splunął na niego, kopnął go w twarz i spokojnym krokiem ruszył w stronę Uardzaja. Klęknął przy nim, zaśmiał się pogardliwie i zerwał przytroczony do jego skórzanego pasa pęk kluczy.

- Nawet cię zdołałem polubić, chociaż głupiś był jak mój sandał. A teraz pożegnaj się z życiem.

- Ty... ty... zdra...

Z gardła zdrajcy dobył się chrapliwy śmiech. Zakonnik poklepał policzki umierającego i powoli przeciął mu gardło, pławiąc się jego komicznymi wierzgnięciami i bólem czającym się w gasnących oczach. Gdy już nasycił swą perwersyjną naturę, wstał, otrzepał głowę z piasku i rozejrzał się dookoła. Nie zauważył niczego niepokojącego, więc chwycił ciała leżących wartowników za nogi, przeciągnął je pod mury i przykrył zawczasu przygotowanym płótnem, by z daleka wyglądały jak kawałki skał. Następnie podszedł do zamkniętej furtki o grubych żelaznych prętach, wsadził odpowiedni klucz w zamek, przekręcił go, po czym pchnął ciężkie drzwi. Rozległ się głośny zgrzyt dawno nieoliwionych zawiasów, który

zatonął we wszechotaczającej wojennej wrzawie. Pewnie wkroczył do niewielkiego pomieszczenia pełnego starych rupieci i zapalił wiszącą przy wejściu pochodnię, a następnie podszedł do przeciwległej ściany. Odsunął na bok starą, pogryzioną przez korniki szafę, odsłaniając królestwo kurzu i pajęczych sieci. Prawą dłonią zaczął przesuwać po chropowatej powierzchni ściany, aż natknął się na to, czego szukał. Jeden kamień znacznie wystawał ponad inne. Morgnus uśmiechnął się do siebie i otarł pot z czoła. Przyłożył dłonie do kamienia i pchnął go delikatnie. Z początku nic się nie stało. Pchnął raz jeszcze, wkładając w to całą swoją siłę. Kamień zaczął się powoli przesuwać do tyłu, aż zrównał się z innymi. Jeszcze jeden nacisk i rozległ się suchy, metaliczny dźwięk zwalnianej zapadni. Zakonnik odwrócił się przez lewy bark i napał całym ciałem na pokrytą pleśnią ścianę. Jego ruchy były szybkie i pewne, jakby doskonale wiedział, co robić. Mimo to odetchnął głęboko, gdy ściana zaczęła się powoli cofać, odsłaniając wąskie wejście do ukrytego korytarza. Wsadził do środka palącą się pochodnię, następnie całą głowę i rozejrzał się dookoła.

Korytarz był niezwykle wąski, ciemny, przesiąknięty zapachem zgnilizny. Morgnus z niemałym trudem precyzyjnie przesuwał swe ciało przez otwór, kalecząc sobie boleśnie ramię i bark oraz rozrywając płaszcz w dwóch miejscach. Pochylił głowę i zrobił trzy kroki do przodu, później kolejne trzy i następne. Co chwila przystawał i nadstawiał uszu, chcąc się upewnić, czy nikt za nim nie podąża. Dopiero po kilkudziesięciu krokach ruszył raźniej przed siebie, lecz niebawem musiał zwolnić, pochylić się, aż w końcu opadł na czworaka. Dłonie i kolana zapadały się w miękkim, coraz bardziej śmierdzącym podłożu, które niebawem zmieniło się w mętną breję. W pewnej chwili poczuł mocne mrowienie na skórze głowy. Wzdrygnął się, stłumił krzyk i nerwowym ruchem strząsnął z siebie pajaka wielkości pięści dorosłego mężczyzny. Prawdziwego mężczyzny, a nie tych zniewieściałych chłopciaków, którzy coraz częściej zapełniają wielkie miasta, paradując w wąziutkich portkach, odgarniając niesforną grzywkę ruchem swych wyglancowanych twarzących się

piskliwym głósikiem na wszechobecny brak tolerancji. Zaraz potem Morgnus usłyszał ciche parskanie szczurów, które zaczęły go otaczać. Kilka z nich przemknęło po jego dłoniach, kilka wskoczyło na plecy, powędrowało na nieosłoniętą szyję i zatopiło w niej swe kły. On jednak szedł dalej, mrużąc oczy, zaciskając zęby i wstrzymując oddech. I tylko z jego ust zaczęły wypływać pojedyncze słowa, które stopniowo przeradzały się w błagalną modlitwę.

- Święty Szymonie Magu, wcielony Mesjaszu, Mistrzu, Chrystusie i Zbawicielu Ludzkości, prowadź nas ku Światłu, nauczaj i wyzwalaj ze wszelkiego mroku, uwalniaj ze wszelkiej ciemności, wyzwalaj z grzechu winopilstwa, uwalniaj od grzechu mięsożerstwa, uwalniaj od żądzy zabijania ludzi i zwierząt! Prowadź nas ku obmyciu ze wszelkich grzechów naszych, uwalniaj od drogi upadku, a prowadź ku zbawieniu duszy i życiu w Niebiosach Boga! Amen!

Gdy wreszcie poczuł delikatny ruch powietrza, wiedział, że jest już blisko. Ziemia stała się twardsza, tunel szerszy i wyższy, tak że wreszcie mógł się wyprostować. Niebawem dotarł do rozległej pieczary, na końcu której dojrzał niewyraźny zarys wznoszącej się do samego nieba drabiny. Odetchnął z ulgą i otrzepał włosy z wszędobylskiego kurzu i robactwa, po czym zaczął się wspinać. Zardzewiałe szczeble skrzypiały na każdym kroku, grożąc zawaleniem, i faktycznie w pewnym momencie poczuł, jak jego ciało się osuwa. W ostatniej chwili zdołał się uratować i na krótki moment zawisł w powietrzu, trzymając się drabiny jedną ręką. Zmiał w ustach przekleństwo, lecz zaraz spojrzał w górę i zły humor natychmiast wyparował. Tuż nad sobą dojrzał świecące na niebie gwiazdy. Miliardy błyszczących punkcików pobudzających od wieków umysły uczonych i wyobraźnię poetów. Morgnus bynajmniej nie był ani jednym, ani tym bardziej drugim, lecz jego radość zapełniłaby niejedną odę. Pokonał kilkanaście ostatnich szczebli, po czym ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zahukał jak sowa.

Czyhający nieopodal rycerze zakonu zamarli w bezruchu.

- Słyszeliście? - spytał jeden z nich, lecz zaraz zamilkł, napotykając surowy wzrok dowódcy.

W powietrzu ponownie rozległo się hukanie sowy. Tym razem głośniejsze, dłuższe i wyraźniejsze.

- To on.

Kilkanaście zakapturzonych postaci powyłaziło z pobliskich krzaków i otoczyło starą studnię stojącą na środku dziedzińca zrujnowanej przez czas świątyni jednego z zapomnianych już bogów. Czekali z założonymi rękoma, a wiatr rozwiewał ich czarne płaszcze, muskał zawieszane przez plecy szable, owiewał gotowe do strzału kusze. Targnął też włosami wyłaniającego się z dołu brata Ligon, który jeszcze niedawno kazał zwać się Morgnusem. Zdrajca przywołał ich ręką i, ograniczając się do zdawkowych przywitań, zaczął wydawać rozkazy.

Niebawem zapomniany przez wszystkich bóg znów mógł się cieszyć spokojem, a oddział zakonników powoli przesunął się ku oblężonemu miastu. Żaden z nich się nie odezwał, żaden o nic nie pytał ani nie narzekał, nawet wtedy, gdy zwabione hałasem szczury zaczęły hasać między nimi, podgryzając koniuszki palców. Wreszcie dotarli do końca. Brat Ligon dał znak innym, by się zatrzymali, a sam podszedł do furtki i wychylił przez nią głowę.

Zalała go fala świeżego, nadmorskiego powietrza. Rozejrzał się dookoła, szukając czegoś, co zaalarmowałoby jego czujność, lecz nic takiego nie dojrzał. Dziedziniec wyglądał tak samo, jak go zostawił - pełen porzrzuconych głazów i ukruszonych kawałków murów. Zobaczył także ciała zamordowanych przez siebie przyjaciół, leżące w pośmiertnej zgodzie. To sprawiło, że poczuł ulgę. Raz jeszcze rozejrzał się wokół i wrócił do swych braci.

Odmówili na głos krótką modlitwę, spojrzeli po sobie, sprawdzili kusze, nałożyli kaptury i wyszli. Ich czarne płaszcze niemal całkowicie zlały się z otaczającą ich ciemnością, a oddechy współgrały z szumem płynącej nieopodal rzeki.

Dwa równoległe położone do siebie mury ciągnęły się na przestrzeni wielu mil, okalając miasto z trzech stron. Co jakiś czas wystawały z niej cylindryczne baszty, jednak po wschodniej stronie stały one w znacznym oddaleniu od siebie. Tam zewnętrzne mury sąsiadowały z szeroką rzeką Rheandr, która stanowiła naturalną, trudną do przebycia fosę. Mężczyźni szybko pokonali tę część i znaleźli się przed lepiej bronioną narożną basztą, która w majestatyczny sposób górowała nad okolicą. Ligon dał znak podążającym za nim wojownikom, by się zatrzymali.

- Przygotujcie kusze - rozkazał szeptem i wyszedł z cienia.

Światło księżycy padło na jego sylwetkę. Drobne ziarenka wirującego w powietrzu piasku znalazły drogę do jego ust i zgrzytnęły między zębami. Splunął, zrobił pięć kroków do przodu, gdy wtem usłyszał groźne zawołanie czujnego wartownika:

- Stój! Podaj hasło!

- Szum morza, błysk stali - wymamrotał pod nosem i podniósł w górę zaciśniętą pięść.

Gdzieś z boku rozległ się dźwięk naciąganej kuszy, zgrzyt stali, nerwowe chrząknięcie, szuranie stóp. Przed Ligonem pojawiło się dwóch kolejnych żołnierzy, których palce nerwowo drgały na spustach, a oczy wlepiały się w niego niczym w nogi nadobnej dziewczki.

- Ani kroku dalej, bo zginiesz! Podaj hasło!

- Głusi żeście. Przecież z'em mówił wyraźnie. Szum morza, błysk stali. A teraz opuśćcie, do kurwy nędzy, te żelastwa, bo wiadomości od króla przesyłam.

- Mów.

- Władca nasz, król Xergos XV, ma dosyć rządzenia bandą takich świńskich odbytów jak wy i rezygnuje z urzędu. Niebawem.

Cztery ostatnie słowa brata Ligonu zwały się ze świstem mknących strzał, odgłosem łamanych kości, jękiem bólu. Trzy ciała padły na ziemię, trzy brzeszczoty dumnie dygnęły, po czym znieruchomiały, sycąc się krwią swych ofiar. A potem zaczęło się piekło. Tupot stóp,

urywane krzyki, głośne przekleństwa, zgrzyt stali, jęk ofiar i cisza. Przerazająca, krótkotrwała cisza, zakłócana jedynie stukotem kapiących z szabli kropel krwi. I znowu kroki, szybkie oddechy, szeptem wypowiedane słowa, krzyki, jęki, cisza. I dźwięk rogu – obrońcy odkryli ich obecność.

Ruszyli biegiem, ile sił w nogach, ile tchu w płucach. Obok nich śmigały strzały, padały krzyki, dudniły bębny. Coraz bardziej zbliżali się do najwyższej z wież, która wznosiła się nad główną bramą miasta. Już widzieli zarys ciężkiej żelaznej furty zamykanej broną i chronioną od zewnątrz barbakanem oraz zwodzonym mostem. Ligon przyśpieszył. Odrzucił kaptur, ścisnął mocniej miecz i wyrwał ku formującemu szyk obronny nieprzyjacielowi.

– W imię Boga jedynego, naprzód, bracia! – wydarł się na całe gardło.

Na wprost niego leciała pędząca ze świstem strzała. W ostatniej chwili zdołał się uchylić i biegł dalej. Wciąż biegł, podczas gdy kilkoro jego towarzyszy leżało w kałuży własnej krwi. Pot spływał mu po czole, derce dudniło niczym kowalski miecz, krew pulsowała w czaszce, a miecz drgał w powietrzu, nie mogąc doczekać się kolejnych ofiar. Był coraz bliżej. Kolejna strzała mignęła mu tuż koło szyi. Poczul nagły pęd powietrza, usłyszał krótki świst, a zaraz po nim odgłos upadku kolejnego z jego braci.

Był już czterdzieści kroków od celu. Za sobą słyszał tupot swoich towarzyszy, przed sobą zgrzyt wysuwanych mieczy, jęk naciąganych korb, pogardliwy śmiech.

Trzydzieści kroków.

Zdołał już dojrzeć wyniosłą twarz stojącego przed nim horkańczyka, który nie odrywał od niego wzroku. Żołnierz uśmiechał się arogancko w jego stronę, rzucając mu nieme wyzwanie.

Zetrę ci ten uśmiezek z mordy – obiecał sobie w myślach Ligon i przyśpieszył.

Dwadzieścia kroków.

Nagle poczuł piekący ból w okolicach lewego barku. Kątem oka zobaczył wystający promień bełtu. Biegł dalej.

Piętnaście kroków.

Wyraźnie ujrzał cztery złowrogie ostrza halabard skierowane w jego stronę.

Bądź błogosławiony, Szymonie, i mniej nas w swojej opiece.

Zwolnił. Przerzucił miecz do drogiej dłoni, wyciągnął tkwiący przy nadgarstku sztylet i rzucił nim w stojącego najbliżej wroga. Nóż przekoziółkował w powietrzu i wbił się w prawe oko wroga wiary. Mężczyzna zatoczył się i padł nieruchomo na ziemię, a powietrze przecinał już kolejny sztylet, obierając sobie za cel jego towarzysza. Arogancki uśmiezek w jednej chwili został zastąpiony przez potworny wyraz bólu i zaskoczenia. Czterech następnych wartowników padło pod celnymi strzałami braci Ligon, którzy w pełnym biegu zdołali ich trafić z podręcznych kusz. Zakonnicy odrzucili bezużyteczną broń i wyciągnęli zakrzywione jednosieczne szable. Zrównali się z biegnącym na przedzie Ligonem i rzucili się na obrońców z furią w oczach i imieniem Szymona Maga na ustach. Zabrzęczała stal, zawirowały iskry. Horkańczycy próbowali stawiać opór, lecz, mimo że byli w przewadze liczebnej, nie mogli się równać z doskonale wyszkolonymi zakonnikami.

Ligon ciął w szyję kolejnego przeciwnika. Kątem oka ujrzał olbrzymi miecz, mknący w jego stronę z zawrotną prędkością. Zasłonił się w ostatniej chwili, lecz siła ciosu sprawiła, że poczuł drętwienie całego ramienia i piekący ból w miejscu, gdzie trafiła go strzała. Zacisnął zęby. Przeciwnik dojrzał chwilę słabości w jego oczach i natarł z furią, zadając raz po razie piekielnie mocne ciosy. Zakonnik musiał się cofać. Przewyższający go o głowę horkańczyk wciąż napierał. Ligon poczuł bijącą od niego wściekłość, determinację i złość za miesiące spędzone w oblężonym mieście. Próbował spojrzeć mu w oczy, lecz nic nie zdołał dojrzeć, twarz tamtego zasłaniała bowiem przyłbica, przypominająca psi pysk. Każde uderzenie olbrzyma było wyprowadzone z niezwykłą mocą. Ligon słabł coraz

bardziej, z trudem bronił kolejne spadające na niego ciosy. Zasłaniał się i robił uniki instynktownie, czując za każdym razem pęd powietrza przed twarzą i słysząc ostry gwizd miecza. A ten za każdym razem był coraz bliżej. Kilkakrotnie zetknął się z pancerzem, kilkakrotnie odebrał mu dech, rozciął skórę na policzku, lecz jak do tej pory krzywdy wielkiej nie wyrządził. To jednak wystarczyło, aby zakonnik poczuł trudy tego morderczego pojedynku. Był jednak niezwykle doświadczonym wojownikiem. Zdawał sobie sprawę, że noszący na sobie ciężką zbroję olbrzym musi w końcu stracić siły. Musiał tylko wytrzymać jego nieustający napór. Tylko i aż zarazem.

Ziemia poczerwieniała od krwi, Pani Śmierć zawyła z rozkoszy, Ligon poczuł kolejne trafienie. Podczas gdy on walczył o życie, reszta jego braci wycięła w pień pozostałych wartowników. Nie cieszyli się jednak, kolejni żołnierze z miasta Horkas już bowiem biegli w ich stronę. Czasu było coraz mniej, horkańczyków coraz więcej.

- Otworzyć bramę! - Dobywający się z gardła któregoś z zakonników głos niknął w ogólnym tumultcie, lecz był na tyle donośny, by trójka braci dopadła do mocarnego koła i zaczęła nim kręcić, jakby od tego zależało ich własne życie. Po prawdzie tak właśnie było. Żelazna brona zaczęła podnosić się do góry. Powoli, bardzo powoli. Zbyt powoli.

Olbrzym słabł. Jego ruchy stały się wolniejsze, ciosy słabsze, bardziej przewidywalne. Ligon także ledwo trzymał się na nogach. Ból rannego barku promieniował na całe ciało, pot zalewał mu oczy, miecz coraz bardziej ciążył w dłoni. Kątem oka zobaczył dwóch horkańczyków, biegnących w jego stronę, i zdał sobie sprawę, że zostało mu mało czasu. Musiał natychmiast skończyć tę szaleńczą walkę. Zachwiał się, potknął, oparł dłonią o ziemię i czekał, dyskretnie obserwując przeciwnika. Nie zawiódł się. Czujący smak zwycięstwa horkańczyk rzucił się na niego z furią, uniósł miecz i ciął w nastawiony kark. Już słyszał trzask łamanych kości, już słyszał jęk agonii, świętował zwycięstwo, gdy nagle poczuł ból w prawym oku. Zaraz też zalała go krew - lepka, gorąca krew, która spływała po nim

coraz szerszym strumieniem, zasłaniając mu świat. Upuścił miecz i uniósł dłoń do twarzy. Poczuł zimny dotyk whitego w oko sztyletu. Próbował go wyrwać, lecz zabrakło mu czasu. Potężne cięcie miecza ścięło mu głowę, która potoczyła się kilka kroków w przód, odbiła od pustej beczki po smole i zatrzymała w niewielkim zagłębieniu, by tam gnić przez kilka miesięcy.

Ligon otarł pot z czoła i po chwili znów był w ferworze walki. Znów ciął, rąbał, pchał, zastawiał i zabijał. Dwie kolejne dusze zostały zapisane na jego koncie, lecz z tyłu nadbiegało kilkanaście nowych ciał. Świeżych, wypoczętych, wkurwionych.

Wycofał się, zrównując z resztą braci, którzy z kamiennymi minami czekali na biegnących w ich stronę wyznawców fałszywych bóstw. Było ich coraz więcej. Pierwsi już dopadli zakonników. Ponownie zabręczczała stal uderzana o stal. Cios za cios, blok za blok, oko za oko. Brona uniosła się na tyle, by bracia zakonni zdołali się przez nią przedostać. Wbiegli do barbakanu i sprawnie uformowali szczyk obronny, ochraniając dwóch braci, którzy natychmiast przypadli do kolejnej korby powodującej unoszenie się żelaznej kraty, i dwóch następnych, opuszczających zwodzony most.

Tłum wrogich żołnierzy gęstniał przed nimi, lecz tylko pierwsze szeregi mogły walczyć. Za każdego martwego horkańczyka zjawiało się czworo następnych. Symonici tracili siły. Zewsząd padały zabójcze ciosy, ręce odpadały od korpusów, głowy toczyły się po bruku, krew płynęła szerokim strumieniem, Pani Śmierć ledwo co zdążała z pocałunkami.

W końcu żelazna krata znalazła się na górze, a most zwodzony opadł z głuchym stukotem. Miasto stanęło otworem. Rozległ się przeraźliwy wrzask. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy żądnych krwi symonitów stojących z drugiej strony mostu tylko na to czekały. Z przerażającym rykiem wdarły się do środka, siejąc śmierć, pożogę i spustoszenie. Zaczęła się rzeź.

W tym samym czasie, gdy brat Ligon z zimną krwią mordował swoich niedawnych przyjaciół, niewielka łupina mijała stojącą na wschodnim murze cylindryczną basztę. Bystry prąd rzucał łódką na wszystkie strony, lecz ta dzielnie brnęła przed siebie. Minęła ciągnący się wzdłuż rzeki mur i wraz z jej biegiem ostro skręciła w prawo. Nieopodal wody Rheandru połączyły się z lewym dopływem, by wspólnie wpłynąć do oceanu. Mężczyzna płynął blisko prawego brzegu, mijając niewielką wysepkę porośniętą w całości chaszczami, po czym odbił gwałtownie w lewo, kierując się w stronę niewielkiego zalewu. Nurt zwolnił. Po obu stronach pojawiły się gęste zielone szuwary oraz niesłychana ilość trzciny i tataraku. Achud wyteżył wzrok, przeczesując oświetlony gwiazdami mrok w poszukiwaniu ruin starej świątyni. Nie pamiętał dokładnie, w którym miejscu stała, lecz jakby ktoś poprosił go, by ją opisał, nawet by się nie zająknął. Był przecież synem przemytnika i jako chłopiec często pływał tędy z ojcem, gdy ten starał się niepostrzeżenie dostać do starego portu, do którego nawet miejska straż bała się zapuszczać po zmroku. Achud dobrze pamiętał jego ciemne i wąskie uliczki, śmierdzące alkoholem ladacznice obłapujące go na każdym kroku oraz szemranych zbirów, przy których jego ojciec wydawał się najjaśniejszym panem. Pamiętał także, jak wymykali się celnikom, uciekając niewielkim stateczkiem w zbawiennych objęciach Pani Nocy - najwierniejszej kochanki każdego przemytnika. Lecz nawet mrok nie zdołał ich uchronić, gdy któreś nocy natknęli się na duży oddział straży morskiej. Ktoś ich wtedy zdradził. Ojca powieszono na miejscu, Achudowi przypadł znacznie gorszy los. Trafił do ciężkiego obozu pracy, gdzie zakuty w żelazne obejmy musiał pracować przy wybieraniu szlamu z portowego dna. Każdego dnia bezlitośni strażnicy smagali jego młode ciało batem, zmuszając go do nadludzkiego wysiłku. Dzień po dniu, przez pięć długich lat. Lat głodu, bólu i cierpienia. Gdy w końcu udało mu się uciec z niewoli, obiecał sobie, że już nigdy więcej nie postawi nogi w tym przeklętym mieście. Dziś miał złamać tę obietnicę. Nie miał wyboru.

W końcu dostrzegł pocałowaną przez upływ czasu wapienną ścianę zrujnowanej świątyni, której białe niegdyś ściany kontrastowały z okalającą ją ciemnością. Zaczął jeszcze energiczniej wiosłować, kierując łódkę bliżej brzegu. W oddali, schowany wśród gęstej roślinności, mienił się niewielki przesmyk, który niczym obrażone dziecko postanowił pójść własną drogą, zostawiając płynącą na wprost matkę rzekę. Achud skręcił w tamtą stronę i niebawem łódka wpłynęła w sam środek roślinnej gęstwiny. Nagle otarła spodem o dno, wydając z siebie wściekły zgrzyt. Odepchnął się wiosłem od dna, lecz to nic nie pomogło. Łódka utknęła na dobre, więc wszedł do wody, by ją wypchnąć. Jego stopy zapadały się w miękkim mule, a ostre liście kaleczyły mu łydki. Nie zwracał na to uwagi. W końcu ponownie wskoczył do środka. Łódka niebezpiecznie się przechyliła i tylko jakimś cudem zdołała utrzymać się na powierzchni wody. Głowa Salihy uderzyła z hukiem o burtę. Dziewczynka otworzyła oczy i spojrzała na walczącego z siłami natury mężczyznę. Czuła mdłości i ból całego ciała.

- Gdzie ja jestem? - spytała cichym głosem.

Achud drgnął, oderwał od nogi nabrzmiałą pijawkę, która, nie zważając na dramatyzm chwili, postanowiła zrobić sobie ucztę z jego świeżej krwi, i pochylił się nad siostrą swego przyjaciela.

- Jesteś bezpieczna, Saliho. Już ci nic nie grozi. Uciekamy stąd. Uciekamy daleko.

Uśmiechnęła się niemrawo.

- Nie przyszłaś na nasze spotkanie - kontynuował niedoszły mankrut. - Bałem się, że zmieniłaś zdanie lub coś złego ci się stało. Już miałem wracać, gdy w ostatniej chwili znalazłem cię leżącą bez przytomności na brzegu. Ukąsił cię wąż, lecz wyssałem z ciebie jad i modliłem się do naszych bogów o twoje zdrowie. A oni, jak widać, mnie wysłuchali. Jak się czujesz? Saliho? Powiedz coś.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Znów zapadła w kamienny sen, trzęsąc się z zimna jak galareta. Achud opatulił ją kocem i powrócił do wiosłowania, podczas gdy szalupa z mozołem przedzierała się

przez gąszcz roślinności, szukając wejścia do przesmyku. Zaraz też ponownie utknęła na płyciźnie.

- Nikt mi nie będzie mówił, że nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki - szepnął do siebie, przypominając sobie stare przemytnicze przysłowie, i zaczął powoli iść. Wreszcie ujrzał niewielką odnogę ukrytą wśród roślinności tak, że pozorny obserwator nie byłby w stanie jej dostrzec. Odetchnął z ulgą i skierował łódkę w tamtą stronę. Po jakimś czasie przesmyk zrobił się na tyle szeroki, że znów mógł usiąść w szalupie i pozbyć się wszechobecnego robactwa. Nurt przyspieszył, więc mógł trochę odpocząć. Był wykończony. Mięśnie ramion bolały go od wysiłku, na dłoniach pojawiły się pęczniejące odciski, a nogi były całe w drobnych ranach. Mimo to był szczęśliwy. Czuł ulgę, bo oto znów odzyskał kontrolę nad swym życiem, a także szczęście, bo udało mu się odnaleźć Salihę, którą obiecał się opiekować, gdyby coś stało się jej bratu. Spojrzał w dal i zdołał dojrzeć w słabym świetle księżyca zarys miejskiego muru. Podpłynął jeszcze kawałek, po czym wciągnął łódkę na brzeg. Saliha wciąż spała, więc by nie tracić czasu, przerzucił ją przez ramię i ruszył w kierunku miasta, brodząc w sięgającym do połowy łydek mule. Saliha jęknęła cichutko przez sen. Achud wyszedł z wody, dotarł do muru i zaczął iść wzdłuż niego, kierując się w stronę portu. Przesuwał dłonią po ceglach na wysokości piersi, uważnie licząc kroki.

Dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto...

Szedł dalej.

Gdy liczba kroków przekroczyła drugą setkę, zaczął się niepokoić, przy trzeciej był już wkurwiony, lecz nagle doznał olśnienia.

- Przecież wtedy byłem dużo niższy - powiedział na głos i puknął się w czoło.

Położył dziewczynkę na ziemi i raz jeszcze pokonał tę samą drogę, tym razem szurając dłonią na wysokości pępka. W końcu trafił na niewielką przerwę między ceglami. Poczł wielką ulgę. Ukucnął i zaczął energicznie odsuwać leżące bez zaprawy kamienie, aż

powstał wystarczający otwór, by mógł się przez niego przecisnąć. Dopiero wtedy wrócił po Salihę.

- Obudź się - szepnął i uderzył ją kilkakrotnie w policzek.

Dziewczynka nie zareagowała. Wciąż była pogrążona w głębokim śnie. Achud chwycił ją za ramię i zaczął nią bezceremonialnie potrząsać.

- Obudź się! Saliho! Obudź się.

Otworzyła oczy.

- To ja, Achud, obudź się.

- Nazywam się Zafira i jestem służebnicą Pana - odparła beznamiętnym tonem.

- O nie. Znowu to samo - przeraził się Achud, a jego serce otuliła czarna pierzyna zwątpienia.

Gdzieś poza murami miasta usłyszał głośnie, nerwowe krzyki.

- Obudź się, Saliho! - powiedział ostrzejszym tonem, lecz dziewczynka wciąż gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie do końca wiedziała, gdzie się znajduje. Była cała blada, z trudem łapała oddech, a jej oczy wydzielały dziwny, czerwony blask.

- Jestem słu....

- Gównu, nie służebnica Pana - zdenerwował się Achud. - Nazywasz się Saliha. To był tylko zły sen. Zły sen. Rozumiesz?

Dziewczynka nie odpowiedziała. Tylko rysy jej twarzy jakby trochę złagodniały, a oczy odrobinę przyblakły. Spojrzała na Achuda ze zdumieniem.

- To był zły sen, Saliho. Musisz się obudzić, musimy uciekać. Obudź się.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Miała piękne, śnieżnobiałe zęby.

- Masz drożdżówki?

- Co? Jakie drożdżówki? Obudź się wreszcie. Musimy uciekać.

- Takie zwykłe, z serem.

- Nie mam żadnych drożdżówek. Posłuchaj mnie. Musisz się obudzić. - Achud zacisnął zęby i dwukrotnie uderzył ją otwartą dłonią

w policzek. Rozległy się głośne plaski, a po obu stronach niewinnej twarzyczki pojawiły się czerwone ślady, subtelnie komponujące się z kolorem jej włosów.

- Przepraszam - powiedział cicho. - To dla twojego dobra. Musisz wrócić do mnie. Nazywasz się Saliha, a ja jestem Achud, przyjaciel twojego brata Masmara. Miałaś zły sen, z którego się teraz obudzisz. Słyszysz mnie?

Umięśnione dłonie mężczyzny zaczęły boleśnie tarmosić jej ciało. Już miał zamiar wyrzucić z siebie stek najohydniejszych przekleństw, gdy nagle spostrzegł zmianę w jej rysach. Stały się łagodniejsze, bardziej przyjazne. Także jej oczy utraciły wcześniejszą żarzącą się postać.

- Czemu mnie uderzyłeś, Achudzie?

Nie wiedział, czy powinien zapłonąć ze wstydu, czy krzyknąć pod niebiosa w wyrazie niepomiernej ulgi. Pochylił swe usta ku jej czołu i złożył na nim mocny pocałunek.

- Przepraszam cię, Saliho. Musiałem to zrobić, byś się wreszcie obudziła. Musisz wstać i pójść ze mną. Dasz radę?

Pokiwała głową i powoli się podniosła. Podała mu miękką dłoń, którą z radością uściskał.

- Musimy się pośpieszyć. Szturm się zaczął.

Jego słowa potwierdził dochodzący z miasta ryk tysięcy gardeł. Brama została zdobyta. Nie tracąc więcej czasu, precyzyjnie przeszli przez otwór w murze i wkroczyli na teren ogarniętego chaosem miasta. Tuż przed nimi znajdowała się ściana zbutwiałej szopy. Minęli ją i podążyli w stronę starego portu, którego budynki rysowały się w ciemnościach. Zgiełk stawał się coraz głośniejszy, łuna ognia bliższa, wyższa, coraz bardziej niebezpieczna. Gdzieś widać już było bijące ku niebu smugi dymu, czuli jego woń. Biegli najszybciej, jak potrafili, wpadając od czasu do czasu na przerażonych mieszkańców miasta lub potykając się o leżące na ziemi przeszkody. Zewsząd rozlegały się nerwowe krzyki, bluzgi, potępieńcze wycia:

- Uciekać! Z drogi! Ratunku!

Achud zdołał dojrzeć w oddali złowrogie płaszcze braci Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga, pędzących na koniach i tnących mieczami gdzie popadnie. Kobiety, dzieci i starcy - wszyscy bez wyjątku byli ich wrogami.

Niedoszły mankrut z byłą służebnicą Pana wmieszali się w uciekającą ciżbę i razem z nią dotarli do starego portu, pełnego rozpadających się budynków, ciemnych zakamarków i podejrzanych spelun. Wszędzie cuchnęło brudem, pleśnią, szczynami i ludzkim strachem. Wszechobecnym, paraliżującym strachem emanującym z setek przerażonych ludzi, którzy szukali ucieczki przed hordą rozwydrzonych wrogów. Każdy z nich miał nadzieję, że uda mu się przeżyć, choć ich los już dawno został przesądzony.

W końcu dotarli do pierwszych wyrobów statkopodobnych. Przed trapami toczyła się regularna bitwa między chcącym dostać się na pokład tłumem a broniącymi do niego dostępu marynarzami, którzy cięli szablami każdego, nie bacząc na krzyk zrozpaczonych ojców, lament matek, płacz dzieci. Achud pociągnął Salihę dalej. Rozglądał się bacznie po porcie, aż jego wzrok natrafił na wiekową kogę stojącą na samym końcu nabrzeża. Wzdłuż jej burty biegł pomalowany czarną farbą napis: „Zemsta Azdora”. Począł przepychać się w jego stronę, torując sobie drogę łokciami. Co chwilę słyszał niezbyt miłe dla ucha wiązanki, w których oberwało się nawet jego bogu ducha winnej rodzicielce, która od kilkunastu lat leżała zakopana w ziemi, obojętna na zawieruchy targające światem.

Załoga kogi czyniła ostatnie przygotowania przed opuszczeniem przystani. Wejścia na trap broniło trzech złowrogo wyglądających marynarzy. Każdy z nich trzymał w ręku pokaźny topór, którym skutecznie odstraszał napierający tłum. Pod ich stopami utworzyła się całkiem spora kałuża krwi, wśród której tułały się pouncinane kawałki ludzkiego ciała: dłonie, uszy, a nawet całe głowy. Za nimi stało czterech posępnych łuczników, mierząc do każdego, kto śmiał się zbyt blisko zbliżyć do trapu.

Achud chwycił mocniej dziewczynkę za rękę i przepchał się do przodu. Małe, kaprawe ślepiec jednego z marynarzy spojrzały na niego z wyraźnym ostrzeżeniem, a ostrze topora zbliżyło się do jego szyi.

- Ani kroku dalej! - wysyczał mężczyzna głosem, w którym próżno by szukać choćby najmniejszej iskierki miłosierdzia. - Wracaj, skąd przyszedłeś.

- Jam jest Achud, syn Glilgorda Płaskonosy. Mój stary pływał z waszym kapitanem przez szmat czasu. Wpuście mnie, przyjacielu.

- A ja jestem synem samego Xergosa XV i mam w dupie, kim ty jesteś. Zjeżdżaj stąd, póki dobry - odwarknął marynarz, odsłaniając kilka pożółkłych zębów, które mu się jeszcze ostały.

- Chować trap! - rozległ się donośny krzyk dochodzący z pokładu. Trójka marynarzy zaczęła się powoli cofać.

- Poczekajcie! - krzyknął Achud i wyjął za pazuchy pobrękującą sakiewkę wypełnioną w całości złotymi monetami, które zawczasu zdołał ukraść z namiotu Eutykianusa I Bogobożnego. - Mam złoto. Zapłacę za podróż.

Marynarze zatrzymali się w pół kroku i spojrzeli po sobie.

- Złoto, powiadasz? - rzekł jeden z nich z chytrym błyskiem w oku. - A ile tego chowasz?

- Całą sakiewkę. Wystarczy na podróż.

Mężczyzna zawahał się przez chwilę. Zmrużył oczy i wsłuchał się w cudowną melodię brzęczących monet.

- Zaczekaj - powiedział w końcu do Achuda, po czym zawołał kapitana.

Czas zdał się stać w miejscu. Ludzie wokół krzyczeli jak opętani, płakali, błagali, grozili. Wielu z nich wskakiwało do wody, by w niej znaleźć ucieczkę od niechybnej śmierci. Ogień zaczął powoli docierać do portu, a wraz z nim budzący największą trwogę rycerze w białych płaszczach, na których widniały złociste błyskawice. W pewnej chwili Achud poczuł, jak ktoś z tyłu zaczyna na niego napierać. Odwrócił głowę i ujrzał ociekającego potem grubasa, który starał się zepchnąć go do wody.

- Nie pchaj się! - krzyknął w jego stronę.

Grubas poczerwieniał na twarzy i wymamrotał kilka niewyraźnych słów, starając się odciągnąć uwagę Achuda od małego złodziejaska, który właśnie zaciskał rękę na jego sakiewce. Zrobił to jednak zbyt nerwowo, zbyt pazernie i Achud poczuł lekkie szarpnięcie. Nie zastanawiając się długo, zdzielił chłopaka łokciem w twarz. Ten zachwiał się, zrobił dwa kroki w tył i runął na ziemię, potykając się o trupa młodej kobiety, która trzymała w ręku drącego się niemowlaka.

W ręku grubasa pojawił się nagle błyszczący nóż.

- Uważaj! - krzyknęła przerażona Saliha.

Bandzior zamachnął się na Achuda. Ten w ostatniej chwili zdołał uskoczyć, wpadając na pilnującego trapu marynarza. Obrócił się wokół własnej osi i kopnął zaskoczzonego napastnika w nos, a następnie poprawił celnym kopnięciem w krocze. Grubas upadł na kolana i skulił się z bólu. Kolejne kopnięcie trafiło go prosto w szczękę, wybijając naraz cztery zęby, które wraz z potokiem krwi wyleciały na ziemię. Tymczasem jego młodociany pomocnik próbował wymknąć się niepostrzeżenie. Achud chwycił go za kark, podniósł z ziemi i cisnął do wody. Zdołał jeszcze usłyszeć rozpaczliwe krzyki wołające o pomoc, nim potężna fala porwała ciało złodzieja i rzuciła nim o burzę.

Na trapie pojawił się kapitan. Achud musiał wysoko zadrzeć głowę, by dojrzeć jego ogorzałą od słońca twarz pokrytą w całości licznymi zmarszczkami oraz bliznami. Siwe, sięgające do ramion włosy tańczyły w nerwowych podrygach wiatru, oplątując co rusz wychudzoną szyję. Długi nos wyglądał niczym przyczepiona do śnieżnego bałwana marchew, a oczy zdradzały dziesiątki lat życia na marginesie prawa. Kapitan spojrzał beznamiętnie na Achuda i wykrzywił usta w drapieźnym grymasie, który bardziej przypominał agonię torturowanego jeńca niż uśmiech.

- Słyszałem, że masz złoto - rzekł chrapliwym głosem.

- Jestem Achud, syn Glilgorda Płaskonosy. Pamiętasz mnie? - spytał niedoszły mankrut z nadzieją w głosie. Kiedyś jego ojciec uratował życie kapitanowi Zemsty Azdora i teraz liczył na to, że stary przemytnik spłaci swój dług.

Mylił się. Kapitan zrobił krok do przodu i splunął brunatną mazią pod nogi uciekinierów.

- Nie mam czasu na pogaduszki. Masz złoto czy nie?

Jego gniewny głos nie wróżył niczego dobrego. Achud westchnął z rozpaczą. Podniósł sakiewkę do góry, zatrzęsął nią, a następnie wyjął jedną z monet i rzucił kapitanowi. Ten chwycił ją w locie i przyłożył do oka, a na koniec chwycił między zęby i ugryzł. Wynik musiał być satysfakcjonujący, na jego twarzy wykwitł bowiem chciwy uśmiezek.

Gdzieś za nimi rozległ się stukot końskich kopyt i wrzask zarzynanych mieszaińców. Achud wstrzymał oddech, czekając na decyzję człowieka, który trzymał w garści jego żywot.

- Zgoda, wchodź.

Odetchnął z ulgą i wkroczył na pokład. Zaraz za nim ruszyła Saliha, stawiając drobne kroczki, lecz gdy tylko jej stopa zetknęła się ze skrzypiącymi deskami, kapitan zagroził jej drogę. Odwrócił twarz w stronę Achuda i wykrztusił, powoli wymawiając każde słowo:

- Ty płacisz złotem. Dla niej już nie starczy.

Umieśniona, pokryta tatuażami dłoń zacisnęła się na drobnej rączce dziewczynki. Stojący z tyłu marynarz wydał z siebie odgłos przypominający rechot żaby i popchnął dziewczynkę tak, że się przewróciła.

- Zostaw ją! - krzyknął Achud. Rzucił się wściekle na mężczyznę, lecz nie zdążył nawet go dotknąć, gdy poczuł bolesne uderzenie z tyłu zdeformowanej czaszki. Grube niczym pnie baobabu łapy przewróciły go na wilgotne deski, a czyjeś kolana przygniotły mu pierś. Na drgającej krtani poczuł nieprzyjemny dotyk ostrza.

- Nie zabiję cię tylko na wzgląd na twego ojca - wycedził kapitan, nie spuszczaając z niego bezwzględných oczu. - Jeśli jednak raz

jeszcze podniesiesz rękę na któregoś z moich ludzi, każę tobą nakarmić rekiny. Zrozumiałeś, gnojku?

Achud pokiwał drogą.

- Nie mam czasu na głupie zabawy - ciągnął dalej kapitan - decyduj się szybko. Chcesz płynąć, to płyn, ale ona zostaje.

- Weź ją, proszę. To dużo złota.

- Kobiątka na pokładzie przynosi pecha. Nie zaryzykuję życia moich marynarzy dla jakiejś dziewczki. Decyduj się, bo nie ma czasu.

Jakby na potwierdzenie jego słów wrzask dochodzący z miasta stał się jeszcze głośniejszy. Rycerze Zakonu Najświętszego Serca zbierali swoje krwawe żniwo, tnąc mieczami gdzie popadnie. Za nimi podążały hordy żądnych krwi i bogactw barbarzyńców, którzy z imieniem Szymona Maga na ustach mścili się za tygodnie spędzone pośród piasków pustyni. Powiew śmierci powoli docierał do starego portu.

- Nie zostawię jej. Nie mogę.

- Twój wybór. Tak czy inaczej złoto nie będzie ci potrzebne.

Przyciskający Achuda do pokładu marynarz wyrwał mu sakiewkę i podał kapitanowi. Ten chwycił ją pazernie w dłonie, a jego twarz przybrała wyraz małego dziecka, które dostało pierwszą w życiu zabawkę.

- Wyrzućcie te ścierwa do wody i się zwijamy - rozkazał.

Marynarze ochoczo zabrali się do wypełniania tego rozkazu. Chwycili Achuda za ręce i nogi i już mieli rzucić go do wody, gdy nagle rozległ się błagalny skowyt rudowłosej dziewczynki:

- Stójcie, błagam. - Saliha poderwała się z miejsca i rzuciła do nóg kapitana. - Proszę cię, nie wyrzucaj nas. Nie możemy tam wrócić.

Kapitan zawahał się przez chwilę. Spojrzał na jej drobną twarzyczkę i załzawione oczy, w których widział tyle bólu, że aż się przeląkł. Gdzieś z najdalszych zakamarków pamięci wyłonił się obraz podobnej dziewczynki, która wtulała się w niego i skubała paluszkami czarną niegdyś brodę. Obraz jego kochanej córeczki, która zmarła przed laty na dżumę.

- Kapitanie, musimy odpływać - rozległ się dobiegający z wysokości krzyk któregoś z majtków.

- Błagam cię - łkała dziewczynka, widząc, że opór starego wilka morskiego powoli słabnie. Spojrzała na niego takim wzrokiem, że serce mężczyzny musiało ulec.

- Zgoda. Ale ubierzesz się jak mężczyzna i nie będziesz wychodziła na pokład, by bogowie cię nie widzieli. A ty - przemytnik zwrócił się do mankruta - będziesz pracował. Ręk na pokładzie nigdy za wiele.

- Dziękuję.

- Tylko mi tu więcej nie podskakuj - odpowiedział kapitan, po czym odwrócił się do załogi i wydał rozkaz wypłynięcia.

Nie musiał tego powtarzać. Załoga już od dawna na to czekała, obserwując z niepokojem krwawe sceny rozgrywające się tuż przed nimi. Każdy wiedział, co ma robić, i nie minęło wiele czasu, nim statek odbił od nabrzeża i poszybował w dal po błękitnych wodach Oceanu Czterech Wiatrów. Ku nowemu życiu. Ku swemu przeznaczeniu.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 1

Pani Zima nie miała litości. Owego roku nadeszła wyjątkowo wcześnie, otulając świat swym mrozącym oddechem. Strudzona ziemia pokryła się grubą warstwą śnieżnego puchu, który niczym wizyta teściowej zapowiadała długi okres posuchy i nieszczęść. Świat pogrążył się w ponurej wegetacji. Wygłodniałe zwierzęta snuły się w bezsilnej nadziei na znalezienie chociażby najędzniejszych ochłapów, walcząc zaciekle o każdy kęs. Inne tylko czekały, aż jakaś naiwna ofiara napatoczy się pod ich ospałe pyski, napełniając opustoszałe żołądki świeżą porcją mięsa. I tylko mądrzejsze istoty odleciały w cieplejsze kraje lub zapadły w długi sen, nic sobie nie robiąc z przewrotności Pani Zimy. Spokojnie pochrapując, czekały, aby zbudzić się w lepszych czasach. Lecz nawet one nie mogły czuć się bezpiecznie.

Sroga zima dawała się we znaki także ludziom. Ileż przekleństw, ileż zaklinania i złorzeczeń wypowiedano pod jej adresem, tego nikt nie był w stanie zliczyć. Ta jednak nic sobie nie robiła z udręki maluczkich. Wręcz przeciwnie, każda ludzka łza była dla niej promyczkiem radości. Z każdym złym słowem jeszcze bardziej starała się dokuczyć tym głupim istotom, zsyłając na nich kolejne porcje śnieżnych zadym, mrozące krew w żyłach wiatry i temperaturę, jakiej dawno już nie odczuwano. To był jednak tylko przedsmak prawdziwego piekła. Piekła, jakie mogą ludziom zgotować jedynie

inni ludzie. Wojna, bo to o niej szemrano w najdalszych zakątkach Pięciu Księstw, zbliżała się nieubłagalnie.

Zimny podmuch północnego wiatru targnął kruczoczarnymi włosami mężczyzny, który brnął przez sięgające mu do połowy łydek zaspy śniegu. Mimo mroźnej nocy ubrany był jedynie w ciemnogrnatowy jedwabny płaszcz, na plecach którego siedem wyszytych gwiazd otaczało złocisty księżyc. Śnieg złowrogo skrzypiał pod okutymi w skórzane sandały stopami, zagłuszając cichy świst oddechu. Z ust wylatywały kłęby gęstej pary, lecz mężczyzna nie czuł zimna. Wewnętrzny ogień wiary ogrzewał go od środka, rozlewając na całe ciało przyjemny żar.

Zatrzymał się nad samym brzegiem oceanu. Spienione bałwany zalały mu kostki stóp. Wyteżył wzrok, starając się przeniknąć wszechotaczającą czernią, lecz zdołał dojrzeć jedynie świetlisty baldachim złożony z tryliardów gwiazd odbijających się w pofałdowanej wodzie.

Gdzie oni są? – pomyślał i ponownie wypłynął wzrokiem w bezkresny przestwór oceanu. I tym razem bez skutku. Nie bacząc na szalejący żywioł, zrobił krok do przodu, złączył nogi, wznosił ręce do góry i, zadzierając wysoko głowę, oczyścił mózg z wszelakich myśli.

– Otwórz mi oczy, Panie – odezwał się gardłowym głosem, który pomknął ku górze i rozproszył się w powietrzu, zagłuszany przez kanonadę fal i wściekły ryk wiatru.

Po chwili poczuł, jak jego dusza opuszcza powoli ciało i wraz z parującym oddechem wzbija się do góry niczym ptak. Wyżej, coraz wyżej. Otworzył oczy. Daleko w dole dojrzał jakąś postać w błazeńskim płaszczu, która, stojąc do połowy łydek w lodowatej wodzie, gapiała się w nocne niebo. Dopiero po chwili dotarło do niego, że patrzy na swoją ziemską powłokę.

Dusza Hamila al-Kataraja westchnęła z goryczą i poleciała dalej. Zostawiła daleko w tyle pokrytą śniegiem ziemię i zagłębiała się coraz bardziej w bezkresny ocean. A im dalej była od ciała, tym czuła

większy opór, jakby jakaś niewidzialna siła ciągnęła ją z powrotem. Każda kolejna chwila wiązała się z piekielnym niepokojem, że nie zdoła powrócić i zostanie skazana na wieczną tułaczkę. Mimo to brnęła dalej. Brnęła, bo wiedziała, że Szymon Mag tego od niej wymaga. Ślizgała się po powietrznych prądach, opierała się sile wiatru, walczyła z własnym bólem i omiatała wzrokiem kłębiącą się poniżej kipieli. Aż osiągnęła kres. Dalej lecieć nie mogła. I gdy już jęknęła niemo z bólu, gdy już miała zawrócić, by ponownie zespolić się ze swą czasową powłoką, ujrzała to, czego szukała. Malutką kropeczkę różniącą się nieznacznie barwą od ciemnogrnatowej toni. Spięła się i zmusiła, by podfrunąć jeszcze bliżej, obserwując, jak ten niewielki punkcik zmienia się stopniowo w trójmasztową dromonę z dwoma rzędami napędzanych siłą niewolników wiosł. Nagle się przeraziła. Znoszony przez silny prąd statek kierował się wprost na usianą podwodnymi skałami płyciznę.

Rozbiją się jak nic - pomyślała dusza mężczyzny, po czym z szybkością wiejącego wiatru poszybowała z powrotem w stronę brzegu. Błyskawicznie pokonała dzielącą ich odległość i wniknęła przez półprzymknięte usta starca.

Ciało Hamila al-Kataraja wygięło się w łuk i runęło jak długie wprost do przeraźliwie zimnej wody. Jego żołądkiem wstrząsnęły torsje. Wyrzucił z siebie niestrawione resztki pokarmu, otarł usta rąbkiem płaszcza i powoli wstał. Zakręciło mu się w głowie. Przeraźliwie ostre igły zaczęły rozrywać jego ciało na niewidoczne kawałki, a czaszka zdawała się wręcz eksplodować tęnym bólem. Starał się uspokoić oddech i skoncentrować umysł na modlitwie, lecz zdołał jedynie wyszeptać kilka słów, które miały wznieść się pod niebiosa i dotrzeć do uszu Jedyne Boga. Wstał, lecz zaraz jego nogi ugięły się pod nim tak, że musiał oprzeć się ręką o kamieniste dno, raniąc sobie nasadę dłoni. Ostre powietrze wnikało przez jego płuca, wywołując uczucie zamarzania od środka. Nagle gdzieś w najdalszych zakamarkach własnego ciała poczuł leciutki płomyk ciepła. Zamknął oczy i skierował na niego całą siłę woli. Poczuł, jak płomień z każdą

chwilą przybiera na sile, wypierając ból tysięcy szpil. Serce ponownie zaczęło bić zwyczajnym rytmem i pompować krew w zmarzniętym ciele. Mężczyzna odzyskał kontrolę nad oddechem, przestał czuć chłód, a wspomnienia pozacielesnej wędrówki wypełniły mu myśli.

Muszę ich uratować - przemknęło mu przez głowę, lecz był jeszcze bardzo słaby. Wzniósł ręce do nieba i pogrążył się w niemej modlitwie, czując, jak miłosierne ramiona Szymona Maga na powrót obejmują jego wątłe ciało i dają mu niezbędną siłę. W bladym świetle księżycy jego pociągła twarz mieniła się tysiącem barw. Wyciągnął dłonie w kierunku statku, złączył razem nadgarstki i skoncentrował wszystkie myśli na wewnętrznym płomieniu. Chwilę potem poczuł, jak niewidzialna moc przesuwana się wraz z krwią i płynie wartko ku półotwartej przestrzeni między jego dłońmi. Zrazu pojawiła się tam malutka, ledwo dostrzegalna kropka światła, która szybko zaczęła nadymać się niczym olbrzymi balon napełniany powietrzem, aż w końcu przybrała postać świecącej kuli. Brat Hamil trwał w całkowitym bezruchu, nie bacząc ani na hulający wiatr, ani na spienione bałwany fal, ani na targający połami jego płaszcza wichur. Czekał, aż blask jego mocy dotrze do zagubionego okrętu i wskaże mu właściwą drogę.

Jako pierwszy dojrzał go stojący na samym dziobie dwudziestojednoletni brat Dybort, który ostatnie śluby zakonne złożył niespełna pół roku temu. Jeszcze nie do końca otrząsnął się po ciężkich próbach, jakie przejść musi każdy nowicjusz marzący o zakonnym płaszczu, a ponownie musiał stanąć przed wielkim dylematem wiary. Zakłócić spokój słynącego z porywczego charakteru brata Hunolda czy udać, że niczego nie widzi? W końcu po trwającej dłuższą chwilę batalii poczucie obowiązku zwyciężyło nad zalewającym go strachem i postanowił zaryzykować zdrowie w imię wyższego celu. Zdrętwiałymi od zimna dłońmi chwycił drewnianą pałkę i rąbnął nią trzykrotnie w olbrzymi gong.

Złowrogi dźwięk wzbił się ponad monotony rytm bębna wyznaczający nieszczęsnym niewolnikom tempo wiosłowania i dotarł

do walczącego z torsjami brata Hunolda.

Stary zakonnik westchnął z rozpaczą.

- Co za lichy? - wyszeptał zachrypniętym głosem i zacisnął boleśnie pięści. To nie był jego najlepszy dzień. Po prawdzie to od początku podróży miał kiepski humor, którego bynajmniej nie poprawiał przenikający go ziąb, szalejący wiatr i chyboczący na wszystkie strony kadłub, który jęczał przy każdej fali niczym konający w męczarniach starzec.

Jakby tego było mało, jego żołądek od kilku dni grał żałobnego marsza, nie pozwalając mu nawet na chwilową ulgę. I gdy wreszcie Hunold zaczął pogrążyć się w zbawiennych ramionach snu, do jego uszu dotarł dźwięk przeklętego gongu.

- Oby to było coś ważnego, bo w przeciwnym razie wszarzewi nogi z dupy powyrywam - szepnął ponuro i wstał. Nagły przechył statku rzucił go w bok, tak że prawym barkiem rąbnął w stojącą na środku pokładu skrzynię. Wyrzucił z siebie wiązaną najohydniejszych przekleństw i, ostrożnie stawiając kroki, ruszył w stronę dziobu z niechybnym zamiarem wrzucenia gówniarza do wody.

- Bracie Hunoldzie, bracie Hunoldzie - dobiegł go skrzekliwy pisk młodego zakonnika. - Spójrzcie tam, ino chyżo.

- Zawrzyj pysk, świński pomioście - przywitał go Hunold z właściwą sobie uprzejmością. - Życie ci niemiłe, że mi rzyć zawracasz?

- Wybacz, bracie Hunoldzie - odezwał się trwożnie brat Dybort, szykując się mimowolnie na niemiłe spotkanie z twardą pięścią swojego przełożonego. - Ale racz spojrzeć tam, na prawo.

Hunold splunął na wilgotne deski dromony i skierował wzrok w kierunku wyciągniętej dłoni młodzieńca. Na jego twarzy zebrały się ciężkie chmury.

- Rozum ci odjęło, szczeniaku. Toż ty myślisz, że ja, psiakrew, gwiazd w życiu nie widział? Zaraz sam je ujrzysz, jak cię huknę w ten durnowaty łeb. I co tak gały wytrzeszczasz? Gadajże, po jaką cholere

żeś mnie tu wzywał, wymoczku chędożony? Ino chyżo, pókim jeszcze dobry.

- Wybacz mi, bracie Hunoldzie, ale pomyślałem... eee..., bo ten... spójrz, widzisz tę jasno świecącą... eee... no... ten... gwiazda tam jest...

- Może byś się tak, kurwa, przestał jąkać jak jakiś pastuch. Jesteś bratem zakonnym czy nie?

- No... jestem?

- To gadajże, jak na brata przystało. - Brat Hunold westchnął ciężko i spojrzał z wyrzutem ku niewzruszonemu niebu. - Ech, kogo oni teraz przyjmują do naszych szeregów. Za moich czasów trzeba było się wykazać chociaż odrobiną inteligencji. Na psy schodzi nasz zakon, na psy. Widzisz to, Panie, i nie grzmisz. - Zaraz ponownie skierował swe rozeźlone ślepia na strwożonego Dyborta. - No co tak gały wytrzeszczasz, niedojdo jedna. Gadajże, co masz do powiedzenia, i żeby to było coś ważnego, psia twoja mać, bo inaczej do morza cię łącno wrzucę, by ryby nakarmić twym ściervem.

Młodzieniec przełknął nerwowo ślinę, starając się ułożyć sobie w głowie jakieś poprawne zdanie, by się ponownie nie narazić się na gniew przełożonego.

- Widzisz, bracie, tę gwiazdę? Ona pojawiła się przed chwilą. Jest taka jasna... może to... eee..., znak od naszego Pana, byśmy nie zabłądzili w tym mroku lub nie wpadli na jakąś skałę. Ponoć ich tu bez liku.

- Znak od Pana, ha, ha, ha. Sam żeś znakiem od Pana, że kretynów nie brakuje na tej ziemi. Czyś ty za dużo bajek się nie nasłuchał? Znaku mu się, kurwa, zachciewa. - Brat Hunold ponownie splunął na pokład, lecz po chwili opanował narastające zirytowanie i spojrzał przenikliwie w wystraszone oczy Dyborta. - I mówisz, że pojawiła się przed chwilą? - spytał przyjaźniejszym tonem.

- Jako żywo, bracie Hunoldzie, jako żywo - zapewnił gorliwie młodzieniec rad, że starszy zakonnik na chwilę się uspokoił.

- Hmm, może tyś nie taki głupi, na jakiego wyglądasz - zadumał się zakonnik i jeszcze raz spojrzął w kierunku jasno świecącego punktu. Jego gęste, krzaczaste brwi powędrowały w górę, a na czole pojawiły się zmarszczki, zwiastujące proces intensywnego myślenia. - Śmigaj mi chyżo do bębniarza, niech przestanie walić w ten talerz. Aż mi łeb pęka od tego dudnienia. Każ też zwinąć żagle i dać świetlne znaki, by pozostałe statki tu przyplłynęły. Poczekamy na nie i razem uradzimy, co czynić. Na co jeszcze czekasz, śmigaj chyżo.

- Tak jest - usłużnie odpowiedział Dybort i ruszył biegiem, by wypełnić rozkazy. Był rad, że wciąż ma całe kości.

Po chwili na pokładzie zaległa dziwna cisza, przerywana jedynie chlupotem fal o burtę okrętu i nielicznymi pokrzykiwaniami marynarzy. Siedzący pod pokładem niewolnicy mogli na chwilę odetchnąć od wytężonej pracy i napić się po małym łyeczku zatęchłej wody. Wciąż jednak byli narażeni na bolesne uderzenie bata trzymanego w dłoni przez okutego w skórzany kozuch nadzorcę, który przechadzał się wolnym krokiem wzdłuż dolnego pokładu i obdarowywał więźniów pełnymi wyższości spojrzeniami.

Zaczęło padać. Drobne płatki śniegu tańczyły w porywach mroźnego wiatru, wywołując potoki złorzeczeń dobywających się z pękających ust brata Hunolda.

Przynajmniej jest cicho - pomyślał zakonnik, lecz po chwili zaklął siarczyście, gdy kojącą ciszę gwałtownie przerwała kanonada bębna.

A niech to lichu. I po co mi to było? Mogłem wszak zostać zwyczajnym klechą i siedzieć w ciepłej celi, popijać słodkie wino, a nie włączyć się po barbarzyńskich krajach na tej przeklętej łajbie. Ech, zakonu mi się zachciało, psia mać. Głupiec z ciebie, Hunoldzie, parszywy głupiec.

To pomyślawszy, otulił się jeszcze ciaśniej płaszczem i ruszył po chybotliwych deskach, by skryć się przed coraz większymi opadami. Kilka razy odbił się boleśnie od wystających desek, a z każdym kolejnym uderzeniem jego nastrój ulegał pogorszeniu. Postanowił zatem udać się pod pokład, by wyładować na kimś potężny strumień

furii, który niemal rozsadzał go od środka. I jak na złość nikogo nie znalazł. Zacisnął pięść i rąbnął z całej siły w drewnianą ścianę. To nie był dobry pomysł. Rozległ się głuchy huk, a zaraz po nim stek wymyślnych przekleństw, którymi brat Hunold obdarzył swą głupotę. Pięść rozboleła go jak siedem diabłów. I nagle, gdy już się wydawało, że może być tylko gorzej, szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło. Tuż obok niego rozwarły się niewielkie drzwi. Wyszedł z nich wymizerowany nowicjusz, który, spojrzawszy przelotnie na Hunolda, uśmiechnął się do niego. Jeszcze nie wiedział nieborak, że szczęśliwy los właśnie się od niego odwrócił.

- No i czego szczerzysz kły, jakbym był jakąś nadobną dziewczką? - ryknął na niego Hunold, dając wreszcie upust kłębiącej się w nim złości. - Czy ja ci, kurwa, wyglądam na dziewczkę? Zaraz ci zetrę ten uśmieszek z twojej paskudnej gęby, tak że mnie popamiętasz do końca życia.

Młodziutki nowicjusz spuścił pokornie głowę, wymamrotał niewyraźne przeprosiny i starał się wyminąć stojącego w przejściu Hunolda. Zrobił to jednak tak nieudolnie, że niechcący potrącił go barkiem. Następnie, jak gdyby nigdy nic, ruszył przed siebie, ale zdążył zrobić tylko dwa kroki, gdy poczuł na ramieniu ciężką rękę zakonnika.

Twarz Hunolda przybrała ciemnoczerwony odcień, zęby zacisnęły się ze zgrzytem, a oczy zapłonęły dziką, nieujarzmioną furią. Chłopak był młody, więc nie dostrzegł zbliżającego się ku niemu żywiołu. Wciąż stał z głupawym wyrazem twarzy, gdy potężna pięść wylądowała na jego nosie. Otworzył szeroko oczy, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że znalazł się w poważnych opałach. Hunold zaś w swoim stylu zaczął wyjaśniać chłopakowi hierarchię panującą na statku, przyklejając mu raz po razie kułak do żołądka. Chłopak skulił się z bólu. Po chwili poczuł kolejne uderzenie, tym razem w twarz. I jeszcze jedno. Słone łzy zaczęły płynąć po ogorzałym policzku i mieszać z krwią kapiącą ze złamanego nosa. Brat Hunold wreszcie

się uśmiechnął. Zadał jeszcze dwa uderzenia i, niezmiernie rad ze skrzętnie spełnionego obowiązku, udał się na pokład.

Wiatr ucichł, dając wytchnienie strudzonemu okrętowi i uszom brata Hunolda. Jego oczy przenikały mrok nocy w poszukiwaniu reszty statków. I niebawem je dojrzały. Pruły przez fale niczym morskie potwory, a na ich pokładach uwijali się marynarze przywodzący na myśl pracowite mrówki. Zaraz też skończyła się cisza. Wiatr zaczął świszczeć z jeszcze większą mocą, jakby chciał pokazać ludziom ich nikłość wobec potęgi natury, bębny zaczęły dudnić, oficerowie drzeć mordy, a brat Hunold złorzeczyć na swój marny los. Trzy dromony stuknęły się burtami i stanęły obok siebie.

Narada trwała krótko. Inni także zauważyli świecący w oddali ogień, niesłusznie upatrując w nim znaku od Boga. Czymkolwiek by on zresztą nie był, to tam postanowiono skierować wzmocnione dzioby okrętów. Dowódcy wrócili na swoje okręty, które po chwili ruszyły, obierając nowy kierunek. Każdy z nich miał gotowe dary dla nieświadomych ich wizyty mieszkańców Breslang. „Melchior” wiozł stal, „Kacper” – dym, a „Baltazar” – ból.

Dla Hamila al-Kataraja czas zatrzymał się w miejscu. Jego myśli zespoliły się z Bogiem i dopiero bliski odgłos orających ocean wioseł spowodował, że powrócił na ziemię. Świecąca kula zniknęła w jednym momencie. Mag otworzył oczy, a jego wyglądająca niczym kamienna rzeźba twarz przybrała swój zwyczajny wygląd.

Gęste zmarszczki okalające twarz i szyję mężczyzny świadczyły o tym, że większość życia ma już za sobą. Mimo to wyglądał młodziej niż niejeden mąż, który dopiero zaczynał raczkować, gdy Hamil al-Kataraj poznawał kolejne arkana czarnoksięskiej sztuki. Na jego głowie nie było widać ani jednego siwego włosa, a szczupła sylwetka przeżyła się prosto niczym widoczna w tle wieża. Oczy także były niezwykle – biła z nich potężna moc, której nie mógł się oprzeć nawet sam Brurgrund Moźnowładca. Spowijała go również aura

niedostępności, odstrasżająca wszelakie typy pragnące się z nim zbyt spoufalić. Brat Hamil bynajmniej nie należał do tych lekkoduchów, którzy, racząc innych zabawnymi anegdotkami, stawiają w karczmie kolejne kufle wina i wyginają ciało w rytm modnych dźwięków tamburynów.

Starzec opuścił ręce i skierował wzrok na zbliżającą się do niego ławicę szalup. Dojrzał siedzących w nich braci zakonnych, którzy – okuci w lekkie zbroje, na które nałożone mieli białe płaszcze z wyszytymi złocistymi błyskawicami – kulili się z zimna. Niemrawy uśmiech pojawił się na poważnych zazwyczaj ustach, a z piersi wydobył się syk wypuszczanego powoli powietrza.

- Widzę tylko trzy statki, gdzie reszta? - odezwał się z wyrzutem, gdy symonici wyłonili się już z łódek i ze zdziwionymi minami otoczyli tajemniczego mężczyznę.

Jeden z nich podszedł do niego i spojrzał mu hardo w twarz.

- A tyś to kto?

Hamil zmarszczył brwi. Już miał nauczyć śmiałka moresu, gdy ubiegła go w tym mocarna pięść brata Hunolda, która wylądowała z hukiem na pyskatej twarzy.

- Wybaczcie mu, bracie Hamilu. Głupie to i harde, i miejsca swego w szeregu nie zna. Ale ja już nauczę szczeniaka pokory. Moja w tym głowa.

By jeszcze bardziej podkreślić swoje słowa, ciężki bucior Hunolda oderwał się od ziemi i wylądował na brzuchu młokosa. Ten krzyknął, stęknął i skulił się z bólu.

- Ech, ta dzisiejsza młodzież. Harde to, pyskate i za grosz szacunku do znaczniejszych od siebie nie ma. Na psy schodzi nasz zakon, na psy.

Hamil al-Kataraj pokiwał głową. On także ubolewał nad współczesnym rozpasaniem obyczajów i uważał, że do niczego dobrego to nie zaprowadzi. Spiorunował wzrokiem jęczącego rycerza i odwrócił swą twarz w stronę Hunolda.

- Jak cię zowią?

- Brat Hunold. Z rozkazu mistrza Rosmunda dowodzę tymi obszczymurami do czasu, aż tę pogańską ziemię zaszczyci sam seneszał. - Hunold zamilkł na chwilę i raz jeszcze rąbnął w twarz bezczelnego młokosa, tym razem dla własnej przyjemności. - Podczas rejsu trafiliśmy na straszliwy sztorm, który porozrzucił naszą flotę po całym oceanie lub, nie daj Boże, ją zdziesiątkował. Nie wiem, gdzie jest reszta, lecz jestem święcie przekonany, że Szymon Mag ma ich w swej opiece. Może powinniśmy ukryć statki i poczekać na nich kilka dni? Powinni niebawem tu przypłynąć.

- Nie ma na to czasu. Wczoraj zaczęły się obchody przesilenia zimowego. To jedno z największych świąt tych pogańskich wieprzy. Przekonałem księcia, aby rozesłał większość wojska do domów, by spędzili je razem z rodzinami. Jutro już zaczną wracać, więc musimy zająć pałac dzisiejszej nocy.

- Jak rozkażecie, bracie Hamilu.

- Tak, właśnie tak. A teraz każ im się podzielić na dwie grupy. Pierwsza pójdzie za mną do pałacu. Drugą wy będziecie dowodzić. Udacie się do koszar, by rozprawić się z tymi, którzy zostali. Nie jest ich wielu i pewnie teraz śpią, lecz i tak bądźcie ostrożni. Koszary znajdują się za tamtymi stajniami - to te jednopiętrowe budynki z czerwonej cegły. Upewnijcie się tylko, że nikt stamtąd nie uszedł. Jak skończycie, przybywajcie do pałacu. Powinien być już w naszych rękach. Jeśli wszystko jasne, to ruszajmy, niebawem zacznie świtać. I niech Szymon Mag ma nas w opiece.

Świat zatonął w szaleństwie zimy. Grube płatki śniegu spadały ukosem z nieba i oblepiały srogie twarze mężczyzn idących ku majaczącej w oddali budowli. Szli zbici w ciasną gromadę, skuleni, zmarznięci, przemoczeni. Z ich ust buchały kłęby pary, końcówki palców drętwiały, zęby zgrzytały, nogi drżały, a z nosów zaczęły spływać potoki kataru. Wiatr szalał coraz bardziej i niczym cyrkowy

zwierz, co to zerwał się z uprząży i teraz chce się zemścić za lata niewoli, zmieniał ich drogę w piekło.

I nagle wszystko ucichło. Tak jakby całe to szaleństwo miało za cel skrycie ich w bieli zamieci. Gdźieniegdzie jeszcze wirowały płatki śniegu, lecz były one pojedyncze, łagodne, niegroźne, wręcz malownicze. Symonici minęli kutą żelazem i pilnowaną przez cztery bezgłowe trupy bramę i weszli do pałacu. Niebawem skąpany w nocnej ciszy zamek księcia Breslangu nawiedził odgłos setek ostrożnie stawianych stóp. Idący na samym czele pochodu Hamil al-Kataraj sprawnie przeskoczył nad dwoma leżącymi na ziemi wartownikami, minął otwarte drzwi i znalazł się w ciasnym przedsionku, gdzie, opierając się swobodnie o ścianę i trzymając w ustach wykałaczkę, czekał na niego zdradziecki dowódca księżęcej gwardii.

- Droga wolna - szepnął i wypiął dumnie pierś, a jego ślepie zabłyśły blaskiem pazerności. - Zrobiłem, co do mnie należało, teraz oczekuję reszty zapłaty.

Mag zbliżył się do mężczyzny na tyle blisko, że ten poczuł dobywającą się z jego ust nieświeżą woń mięsa, czosnku i jakiejś egzotycznej przyprawy.

- Niech Pan nasz Szymon Mag ma cię w swojej opiece - powiedział, patrząc żołnierzowi prosto w oczy, po czym gwałtownym ruchem chwycił jego szyję i zacisnął na niej swoją dłoń. - Bo na moją opiekę nie masz co liczyć.

Nacisk stał się mocniejszy. W piwne oczy mężczyzny wkradł się strach. Chytry uśmieszek, który nie tak dawno temu wypełniał jego drapieżne lico, teraz zastygł niczym zimna lawa. Krew odpłynęła mu z twarzy, upodabniając go do upiora.

- Dlaczego? - wyjąkał cienkim głosem.

- Brzydzą się zdrajcami - odparł Hamil al-Kataraj na tyle głośno, by stojący koło niego bracia dobrze usłyszeli jego słowa. Następnie jedną ręką podniósł mężczyznę dwie stopy nad ziemię, po czym, nie spuszczając z niego wzroku, zacisnął dłoń jeszcze mocniej. Żołnierz

zamachał nogami w powietrzu. Z jego ust wydobył się nieartykułowany charkot, a po brodzie pociekła strużka gęstej śliny. Złapał oburącz za przedramię Hamila, próbując wyswobodzić się z silnego uchwytu, lecz bez skutku. Zaczął wierzgać jak wyjęta z wody ryba, charczeć, jęczeć, błagać spojrzeniem swych niebieskich oczu, które powoli zachodziły mgłą. Jego ruchy także stawały się wolniejsze, łagodniejsze, bardziej niemrawe, aż w końcu znieruchomiał. Skóra zrobiła się sina, z ust pociekła ślina, serce przestało bić. Moment przed agonią zdało mu się, że widzi zakapturzoną zjawę w czarnej szacie, która zbliżała się powoli w jego stronę. Ujrzał błysk kosa, poczuł odór nieświeżości i nieprzyjemny dotyk suchych ust.

Hamil cofnął dłoń i poprawił poły płaszcza. Ciało żołnierza upadło głucho na posadzkę tuż obok jego stóp.

- Idziemy - odezwał się starzec i oddział ruszył wzdłuż szerokiego korytarza, po którego obu stronach stały misternie wykonane oblicza tutejszego panteonu, a na ścianach wisiały liczne malowidła, płaskorzeźby i reliefy przedstawiające sceny z legendarnej wojny bogów. Po chwili zatrzymali się przed ciężkimi, odlanymi z brązu i pokrytymi w całości roślinnymi ornamentami dwuskrzydłowymi drzwiami. Brat Hamil szarpnął za klamkę i jako pierwszy wkroczył do obszernej sali tronowej.

W pomieszczeniu unosił się zapach kadzideł, przepychu i dawno minionej chwały. Starzec ruszył raźnie przed siebie. Tuż za nim podążali pozostali bracia, których wojskowe buciory głucho dudniły na marmurowej posadzce. Z góry spoglądały na intruzów surowe twarze dawnych władców, tak jakby chciały wyrazić swój sprzeciw wobec ich niecnym zamiarów. Ci jednak nic sobie nie robili z gniewu umarłych. Szli wyprostowani, dumni, natchnieni, tłamsząc majestat wnętrza, podkreślany przez kunsztownie wykonane porfirowe kolumny, które ciągnęły się wysoko w górę. Całości dopełniało blade światło księżyca, które, wpadając przez kolorowe witraże, tworzyło wręcz bajkową scenerię dla nadchodzących wydarzeń.

Nagle tupot stóp ucichł. Zamilkło echo. Brat Hamil zadrżał. Staął. Zakonnicy stanęli. Czas stanął. Staął, by po chwili wyrwać do przodu niczym opadający z wysoka kamień.

- A więc to prawda z końca sali dobiegł schorowany głos księcia Breslangu - Brurgrunda Moźnowładcy, który siedział w półmroku na wykonanym ze szczerego złota, srebra oraz drogocennych kamieni tronie. Jego wątłe ciało ledwo co zajmowało połowę siedziska. Mlecznobiałe włosy opadały swobodnie na ramiona, a oczy patrzyły smutno na tego, który go właśnie zdradził. W dłoni trzymał skierowany do ziemi miecz, który zdawał się ważyć więcej niż on sam. Książę wstał z widocznym trudem i skrzywił się z bólu. - Dochodziły mnie słuchy, że potajemnie oddajesz cześć jakiemuś słabemu bożkowi, lecz nigdy nie przypuszczałem, że posuniesz się do zdrady. I to w stosunku do mnie, com jak syna cię traktował.

Chwilowe osłupienie, w które popadł stary mag, ustępowało, zmieniając się w niedowierzanie, złość, furję, aż w końcu w nienawiść. Zaraz też w mglistych oczach pojawił się błysk triumfu, a wąskie usta wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu.

- I po co tyle patosu w twych słowach, starcze? Jesteś zbyt ograniczony, by wszystko zrozumieć. Zresztą teraz to nie ma znaczenia. Twój czas dobiegł końca. Niebawem nastanie nowa era, królestwo Szymona Maga, ale ty już tego nie doczekasz. Zabić go!

Kilku z zakonników uniosło w górę miecze i ruszyło w kierunku tronu. Ich kroki głucho dudniły na posadzce i odbijały się echem od ścian, a nienawiść bijąca z bezwzględnych oczu zdawała się wypełniać całe pomieszczenie. Nie uszli jednak zbyt wiele. Ich pochód został zniecka przerwany przez tuzin brzęczących w gęstym od emocji powietrzu strzał, które ze skutecznością królewskiego kata pozbawiły ich życia. Jednego po drugim. Nagle ściany wokół zebranych na środku sali zakonników ożyły. Zza szerokich kolumn powychodzili zakuci w stal rycerze. Niektórzy trzymali wycelowane w najeźdźców kusze, inni mieli w rękach nagie, gotowe do krwawych zniw miecze, włócznie lub halabardy.

Książę uniósł dłoń. Z drzwi mieszczących się za jego plecami wybiegło stu gwardzistów – srogich, olbrzymich, milczących. Stu kolejnych wybiegło z drugiej strony, odcinając wrogom drogę ucieczki.

Twarze symonitów zmieniły się nie do poznania. Nie było już na nich takiej pychy, arogancji i pogardy. Było za to zdziwienie, złość, a u niektórych nawet strach. Zbili się w ciasny krąg, zasłonili tarczami i czekali nieruchomo ze skierowanymi do przodu mieczami. Wyglądali przy tym jak olbrzymia kula najeżona stalowymi prętami lub gigantyczny jeź z łysiną na górze. Tylko ich oczy biegały nerwowo od jednego końca sali do drugiego, a mięśnie drżały, gotowe w każdej chwili odeprzeć spodziewany atak.

– Myślałeś, że tak łatwo ci się uda? Może i jestem stary i schorowany, ale oczy i uszy nadal mam sprawne – odezwał się Brurgrund Moźnowładca, napawając się tą chwilą triumfu. – Każ im rzucić broń, to może wam darujemy życie.

– To ci nic nie da – odparł jego były doradca. – Twoje dni, jak i dni twojego księstwa, są już dawno policzone. Możesz nas zabić, ale po nas przyjdą następni. Nie przeciwstawicie się potędze Szymona Maga. Im szybciej poddacie się jego woli, tym będzie lepiej dla was.

– Woli kogo? Tego niby-bożka, co był taką ofermą, że własnej żony musiał szukać w burdelu? Ha, ha, ha. Ty głupcze, wolałbym już oddawać cześć własnemu stolcowi niż jemu!

Bluźnierczy język księcia ciął stojących w bezruchu symonitów mocniej niż najostrzejszy oręż.

– Zapłacisz mi za tę zniewagę, głupcze – ryknął płonący gniewem brat Hamil. – Na nich! W imię Boga jedynego.

– W imię Boga, w imię Szymona – ryknęło sto gardzieli. Sto mieczy zafalowało w górze, sto serc zaczęło bić w jednym rytmie – rytmie świętej wojny. Sto stóp oderwało się od ziemi, zaraz po nich drugie sto. I jeszcze jedna, inna, krucha, zwiędła, niosąca w przód starcze ciało chichoczącej pod nosem kobiety. Pani Śmierć – ona też tam była.

W powietrze wleciał grad strzał. Jedna z nich przemknęła przez nieszczęsny parawan tarcz i wbiła się głęboko w bark żadnego krwi Hamila al-Kataraja, który właśnie miał zamiar wystrzelić magiczną kulą w stronę księcia. Sędziwy zdrajca zachwiał się na nogach, złapał za drgający promień i próbował go wyciągnąć, gdy wtem trafiony został kolejnym bełtem. Biegący za nim zakonnicy napierali na niego. Próbował jeszcze walczyć, lecz nie dał rady i zwałił się na ziemię, a po jego ciele przebiegło kilkanaście stóp. Czuł, że umiera, więc zamknął oczy i pogrążył się w cichej modlitwie. Nie widział zatem, jak jego bracia padają pod gradem breslangowskiej stali, nie słyszał ich krzyków, charkotu, przekleństw. Nie był świadkiem bohaterskiej śmierci brata Dyborta, który jako pierwszy wyrwał się z szeregu i rzucił na dwa razy wyższego od siebie gwardzistę. Młody zakonnik dopadł przeciwnika w trzech krokach i ciął z góry w zakuty hełmem łeb. Nie trafił. Doświadczony wojak zrobił unik i rąbnął go krawędzią tarczy prosto w czoło, a następnym pchnięciem prosto w serce posłał go do królestwa swego Boga. A może do piekła? Tego nikt nie wie, nawet żona waszego uniżonego narratora, co jej się zdaje, że na wszystkie pytania zna odpowiedź.

Brat Hamil stanął na rozdrożu światów. Jego współwyznawcy jeszcze się bronili, lecz z każdą chwilą gwardziści zdobywali miążdzącą przewagę. Tarcza dźwięczała o tarczę, miecz o miecz. Wspaniałe rzeźby pokryły się strugami krwi. Wszędzie słychać było ciężkie oddechy, tupot butów i jęki rannych.

Zmrożony śnieg skrzypiał przeciągle pod ciężkimi buciorami żołnierzy, wybijając nierówne takty ostrożnego marszu. Tuż obok dowodzącego oddziałem brata Hunolda zerwała się do lotu para wystraszonych kruków, które niezadowolone z powodu przerwanych zalotów zaskrzeczały złośliwie nad jego głową i poszybowały w swoją stronę. Gdzieś w oddali rozległo się nerwowe parskanie trzymanyh w stajni koni. Wzmógł się wiatr, strasząc mężczyzn nawrotem

śnieżnej zadymki, lecz zaraz zamilkł, poprzestając jedynie na otuleniu ich nieprzyjemnym chłodem. Dowodzący brat Hunold dał znak ręką, a sam ostrożnie podszedł do drewnianych drzwi. Przyłożył ucho do szorstkiego drewna i zamarł w bezruchu, starając się wyłowić jakiś dźwięk.

Nic, kompletna cisza. Nawet chrapania nie było słyhać.

Zakonnik zmarszczył brwi.

Nie podoba mi się tutaj - pomyślał, czując w sercu ukłucie niepokoju. Rozejrzał się dookoła i raz jeszcze przystawił ucho do drzwi, gdy wtem zza jego pleców rozległ się tubalny głos:

- Co się tak skradasz jak ślepy kocur podczas rui?

Stojący w niewielkim oddaleniu od niego bracia zamarli w bezruchu. Sam dowódca też wyglądał na skonsternowanego. Jego dłoń zbliżyła się do pasa i zacisnęła na rękojeści miecza. Napiął wszystkie mięśnie, próbując wyłowić uchem jakiś szmer, gdy tuż obok jego twarzy przeleciała śnieżna kula. Druga trafiła go prosto w nos, wywołując w oddali salwę śmiechu.

- Może wyszynku szukają, nieboraki jedne. Toż widać z daleka, że do gorzałki to oni pierwsi - zakpił jakiś głos, mówiący w ich języku. Kolejne śnieżki zaczęły nadlatywać z trzech stron naraz, coraz częściej trafiając celu.

Nagle drzwi do koszar gwałtownie się otworzyły, a w przejściu pojawiła się uśmiechnięta od ucha do ucha twarz odzianego w biały płaszcz rycerza. Hunold skądś go znał.

- Co tak gały wytrzeszczasz? - odezwał się nieznajomy. - Ileż można na was czekać?

- Brat Switun? - wydukał niepewnie Hunold, a jego twarz zaczęła przypominać komiczną maskę, jakby jej właściciel ujrzał samego Wielkiego Mistrza ubranego w różowy fartuszek i tańczącego na śniegu w rytm ptasiego trelu.

- A któż inny mógłby ci rzyć uratować, bracie Hunoldzie. Jam to żyw i w pełnej krasie. - Switun ukłonił się szarmancko, udając, że zdejmuje przy tym okrycie głowy, jak to niegdyś podpatrzył w teatrze.

- Co... ty tu robisz?

- Jakem już rzekł, rzyć ci ratuję, przyjacielu. I także niezmiernie rad jestem, że w zdrowiu cię widzę, choć minę masz, braciszku, nietęgą. Oj, nietęgą. - Z gardła zakonnika wydostał się rubaszny śmiech.

- Zaraz sam będziesz musiał własną rzyć ratować, jak mi się chyżo nie wytłumaczysz. Ostatni raz pytam: jak się tu znaleźliście i gdzie książęce wojska? - spytał groźnie Hunold.

- Zaraz ci wszystko opowiem, tylko się tak nie nerwuj, braciszku, bo to ponoć niezdrowo. Otóż podczas rejsu trafiliśmy na wyjątkowo silne wiatry, które zniosły nas około dziesięciu mil na zachód. Trafiliśmy do jakiejś zatęchłej rybackiej wioski, gdzie psy dupami szczekają, a kury trzyma się na łańcuchach. Tam dobrzy ludzie, nie bez małej zachęty z naszej strony, łaskawie wskazali nam drogę do zamku. Swoją drogą, cóż to za dziwna kraina, bracie Hunoldzie. Wyobraźcie sobie, że wszędzie...

- Do rzeczy - wszedł mu w słowo Hunold, który był człowiekiem konkretnym i nieskorym do słuchania przydługich tyrad.

- Właśnie zmierzam do rzeczy. No więc ruszyliśmy w kierunku zamku. Nie mieliśmy pojęcia, co stało się z innymi okrętami, i, szczerze mówiąc, sądziliśmy, że nim dotrzemy do zamku, może być po bitwie. Strasznie nas to zmartwiło, sam bowiem dobrze wiesz...

- Ostrzegam cię - warknął Hunold.

- Tak, tak. Już zmierzam do sedna. Otóż zdziwiliśmy się wielce, gdy okazało się, że my pierwsi tu dotarliśmy. Kazałem rozejrzeć się braciom po okolicy, a innym wypatrywać pozostałych okrętów, modląc się, by Pan nasz Szymon Mag skierował je na dobrą drogę. Przy okazji złapaliśmy kilka języków. Zrazu nie chcieli nic mówić, ale potem zaczęli śpiewać jeden za drugim. Otóż - Switun zrobił krótką pauzę, wpatrując się głęboko w oczy swojego rozmówcy - otóż ktoś nas zdradził, bracie Hunoldzie.

Mocny podmuch wiatru targnął włosami rozmówców i poniósł ostatnie słowa po okolicy. Urażone kruki ponownie dały wyraz swej

złości i zaskrzeczały nerwowo. Brat Hunold zgrzytnął zębami.

- Zdradził? Ale kto?

- Tego niestety nie udało mi się dowiedzieć, choć wierz mi, że gdyby wiedzieli, powiedzieliby nam. Brat Ademar - Switun wskazał na olbrzymiej postury zakonnika, który stał trochę z boku i dłubał beztrosko w nosie - ma na to swoje sposoby. Całkiem skuteczne, choć patrzeć na nie nie sposób. Tak czy inaczej, ten ich ksiązę spodziewał się was, to znaczy nas. Rozstawił wokół koszar kuszników, którzy mieli was z zaskoczenia powybić. Reszta żołnierzy czekała w środku, gotowa do walki. Pomyślałem sobie: co to, to nie. Nikt nie będzie zastawiał pułapki na mojego drogiego druha Hunolda, który za uratowanie życia niechybnie podaruje mi nowy hełm. No więc... na czym to ja skończyłem? Ach tak. Kazałem braciom zlikwidować kuszników, jednego po drugim. A później podeszliśmy cichutko do koszar. Jeńcy grzecznie zdradzili mi hasło, więc zapukaliśmy w drzwi według znaku. Nie spodziewali się bynajmniej ataku. Szykowali psubraty pułapkę, to mieli pułapkę, ha, ha, ha. Byli kompletnie zaskoczeni. Gdybyś tylko widział ich zbaraniałe mordy, gdy zamiast swoich ujrzeli nas. Bezcenny widok. Stali pokornie jak te owieczki, podczas gdy my siekliśmy ich bez umiaru. Nawet się specjalnie nie bronili. Tylko jeden brat poniósł chwalebłą śmierć za wiarę. Działo się to dziś wieczorem, więc postanowiliśmy trochę odpocząć, ogrzać się i zaczekać na was. Ale coś mało was tutaj widzę. Gdzie reszta?

Brat Hunold poblądł w jednej chwili.

- Reszta... poszła na zamek. Jeśli tu się nas spodziewali, to... - Nagle wszystko stało się jasne. - Wszyscy za mną.

Brat Switun chciał jeszcze o coś spytać, lecz widząc przerażenie na twarzy swego rozmówcy, w lot pojął sytuację.

- Do zamku! Biegiem! - krzyknął w ciemność koszar i ruszył za oddalającym się Hunoldem.

W sali tronowej walka powoli dobiegała końca. Tylko garstka braci Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga jeszcze się broniła, odpierając zaciekle ataki przeważającego liczebnie przeciwnika. Marmurowa posadzka była skąpana we krwi. Wszędzie walały się ciała, poucinane kończyny i leżące bezładnie miecze, hełmy, tarcze. Powietrze pachniało śmiercią. Gdzeniegdzie wśród brzdęku stali i ciężkiego sapania słychać było ciche słowa modlitwy, wypowiedane przez zakonników szykujących się do spotkania ze swym Bogiem lub szepty bresłańczyków proszących Welesa, by otworzył przed nimi bramy Podziemnej Krainy. Inni krzyczeli, chcąc dodać sobie i swym towarzyszom animuszu. Dwa różne języki mieszały się ze sobą, lecz sens słów był taki sam.

Brurgrund Moźnowładca patrzył ze spokojem na rozgrywającą się przed nim rzeź. W jego oczach nie było litości, nie było też smutku ni bólu. W jego oczach czaiła się jedynie obojętność. I tylko gdy zerkał na leżące ciało swego niedawnego doradcy, przez twarz starca przebiegał nerwowy skurcz, jakby nie do końca chciał się pogodzić ze zdradą tego, którego traktował jak syna.

Już tylko tuzin braci zakonnych był w stanie odpierać zaciekle ataki gwardzistów. Uformowani w czworokąt bronili się do końca, choć wiedzieli, że niebawem przyjdzie im rozliczyć się z życiowych wyborów. Wiedzieli, że zginą, lecz nim to się stanie, chcieli zabrać ze sobą jak najwięcej pogańskich dusz, by ułagodzić gniew ich Boga, którego właśnie zawiedli.

I nagle w całym tym szaleństwie, zgiełku i wrzawie pod wysoki sufit wzniósł się jeszcze jeden dźwięk. Szaleńczy, obłąkany śmiech Brurgrunda Moźnowładcy. Śmiech stawał się coraz głośniejszy, wypełniał wręcz całą salę, zagłuszając nawet łomot dwuskrzydłowych drzwi, które uderzyły z impetem o ścianę. I nagle się urwał. Tak jak urwała się przewaga bresłańczyków.

Oddział brata Hunolda wpadł z impetem do sali tronowej i niczym stado szarańczy zaczął niszczyć wszystko, co znalazło się w zasięgu ich mieczy. Zdezorientowanych bresłańczyków zalał deszcz pchnięć,

cięć i uderzeń. Nim zorientowali się, co się dzieje, połowa z nich już pukała do bram podziemnego świata. Reszta próbowała stawić czoła nieoczekiwanej chmarze wrogów, lecz ich miecze coraz rzadziej trafiały celu. Coraz ciężej się wznosiły i coraz wolniej opadały. Zapłon gwardzistów osłabł, wyparty przez rozpacz i poczucie niechybnej klęski. Niektórzy chcieli się poddać, lecz wrogowie nie znali litości. Opór wobec armii Boga bezwzględnie wymagał zapłaty krwią.

Księżę zamknął oczy, nie chcąc oglądać śmierci swoich poddanych. Zdał sobie sprawę, że oto przegrał najważniejszą bitwę swego życia. Zrezygnowany usiadł na złotym tronie i spokojnie czekał na śmierć. Ta już się zbliżała w osobie obryzganego krwią wiarusa. Zakonnik, chwiejąc się lekko na nogach, zbliżył się do księcia i zamachnął kilkakrotnie w powietrzu mieczem. Uśmiechnął się, lecz nie był to miły dla oka uśmiech. Zatrzymał się tuż przed władcą i spojrzał mu prosto w oczy. Spodziewał się ujrzeć w nich strach, lecz dojrzał jedynie znudzenie i obojętność. Dla Brurgrunda Moźnowładcy życie zakończyło się osiem lat temu, wraz ze śmiercią swojej ukochanej żony. Od tamtego czasu przestał żyć – wegetował jedynie, zatopiony w skorupie własnego bólu. Teraz, gdy Pani Śmierć stanęła tuż przed nim i kierując na niego swe zimne, bezduszne ślepie, pochyliła swą pomarszczoną twarz w kierunku jego ust, gdy zimne jak lód wargi zetknęły się z jego skórą, Brurgrund Moźnowładca lekko się uśmiechnął. Myślami był już ze swoją żoną i swym synem w Wiecznie Zielonej Krainie. Nie zamknął oczu, gdy barbarzyńca zza oceanu wziął szeroki zamach, nie usłyszał jego pełnych jadu słów i nie poczuł bólu, gdy miecz wbił się w głąb jego piersi i przebił słabo bijące serce. Nic nie poczuł.

Bitwa dobiegła końca. W komnacie zapadła przeraźliwa cisza, przerywana jedynie jazgotem rannych, ciężkimi oddechami zwycięzców oraz miarowym kapaniem krwi z czerwonych ostrzy mieczy. Jedynie śmiertelnie ranni słyszeli dodatkowo zgrzytanie kości idącej ku nim kostuchy. Ta szła nieśpiesznie, rozglądając się na

wszystkie strony i rozmyślając, na czyich ustach złożyć kolejny pocałunek.

I nagle ten ponury taniec śmierci został przerwany przez małego chłopca, którego blada, delikatna jak letni powiew wiatru twarzyczka wyglądała w tym miejscu jak promyk wolności w celi śmierci. Nie zważając na surowe oblicza ludzkich bestii, nie zważając na mocnego kuksańca, który wylądował na jego brzuchu, ruszył biegiem w stronę tronu, potknął się o leżące ciało któregoś z gwardzistów, lecz zaraz wstał i biegł dalej, przebierając pośpiesznie krótkimi nóżkami.

- Dziadku, dziadku! - darł się wniebogłosy. - Dziadku, dziadku, nie odchodź.

Dotarł do siedzącego bez życia księcia i wtulił w niego swą okraszoną jasnymi włosami twarzyczkę.

- To nie dziadziuś, to trupek - odezwał się jeden z braci, wzbudzając wokół salwę śmiechu.

Zakonnik podszedł do niego, chwycił za tyłek i szyję, uniósł w górę i trzymając na wyciągniętych rękach, rozejrzał się z dumą dookoła. Wyszczrzył zęby, zawył do sufitu i nagle spuścił chłopca na własne kolano, łamiąc mu kręgosłup. Następnie, martwego już, chwycił za kostki u nóg, zakręcił kilka razy w koło i rzucił z całej siły na przeciwległą ścianę.

- No już dosyć tej zabawy - wydarł się brat Hunold, obserwując, jak na głowę martwego wnuka Brurgrunda spada ciężki obraz w złotej ramie. - Uprzątnijcie ten bałagan, spalcie ciała, spętajcie jeńców i postawcie strażę przed bramą. Nikt nie może wejść ani wyjść bez mojego pozwolenia. No nie stać tak, tylko do roboty. Ruchy, ruchy.

Gdy Hunold kończył mówić, dusza Hamila al-Kataraja ponownie opuściła ciało. Wzniosła się pod pokryty przemyślnymi freskami sufit i spojrzała w dół na leżące pod nim ciała poległych. Nie czuła żalu ni smutku. Po chwili poleciała dalej. Przemknęła przez grube mury, minęła sterczącą kopułę i wleciała w przezroczyście chmury. Była szczęśliwa, bo oto jej ziemską wędrówkę właśnie miała się zakończyć. Ostatni raz spojrzała na dół, coraz bardziej obojętna na losy ziemskiej

zawieruchy, i z lekkością piórka poszybowała na spotkanie z Bogiem Jedynym. Nie doleciała. Jakaś siła ciągnęła ją w dół. Dopiero po dłuższej chwili dusza zrozumiała, że jej ziemski misja jeszcze się nie skończyła.

Widocznie Bóg ma dla mnie jeszcze jakieś zadanie – pomyślała i z niechęcią zaczęła opadać. Ponownie znalazła się w obryzganej krwią sali tronowej, po czym wróciła do starczego ciała – swego ziemskiego więzienia. Hamil al-Kataraj zasnął.

Obudził się po trzech dniach. Leżał w niewielkiej, przytulnej komnacie o ścianach pokrytych gobelinami przedstawiającymi sielskie krajobrazy breslangowskiej wsi. Obok łoża znajdował się drewniany stolik, na którym, ku jego niepomiernej radości, stał dzban z wodą. Starzec podniósł się i upił dwa łyki. Czuł się wyjątkowo dobrze. Oprócz niewielkiego pieczenia w okolicy prawej piersi nic mu nie dolegało. Wydostał się spod grubej warstwy pierzyny i siadł ostrożnie na łożu. Zakręciło mu się w głowie.

– Gdzie ja jestem? – zapytał cicho, lecz nie dostał żadnej odpowiedzi.

Spojrzał na swoje ciało i zobaczył stertę bandażu owiniętych wokół torsu i prawego uda. Poczuł bijący od nich smród medykamentów i środków odkażających, ujrzał plamy skrzepniętej krwi. Spróbował powoli wstać, lecz po raz kolejny zakręciło mu się w głowie.

Nic nie pamiętam – pomyślał ponuro i mrugnął kilkakrotnie powiekami.

Ponownie chciał wstać, gdy nagle w drzwiach komnaty stanął młody, na oko dwudziestoletni mężczyzna. Ubrany był w prostą ciemnobrązową szatę uszytą z owczej wełny. Jego przystojna twarz zdobiona była starannie przyciętą bródką i niewielkim filuternym wąsikiem. I tylko fryzura, z gęstą grzywką przysłaniającą niemal w całości lewe oko, nie pasowała do reszty i nadawała mu nieco krotchwilnego wyglądu. Moda jednak rządzi się swoimi prawami.

Młodzieniec zatrzymał się w pół kroku i wybałuszył ślepią na siedzącego brata Hamila.

- To cud - odezwał się dźwięcznym głosem i ruszył niepewnie w kierunku starca, jakby nie do końca wierzył własnym oczom. - Chwała niech będzie Szymonowi. To cud, istny cud.

Hamil zmarszczył brwi i spojrzał na niego z ukosa.

- A tyś kto?

- Nazywam się Munir, bracie Hamilu. Jestem do twych usług. - Młodzieniec wykonał głęboki ukłon, mamrocząc pod nosem dziękczynne słowa modlitwy. - Opiekuję się tobą od trzech dni. Zostałeś ciężko ranny i wszyscy martwiliśmy się o twoje zdrowie. Jak się czujesz? Czy coś cię boli? Tak bardzo się martwiliśmy, że...

- Gdzie ja jestem? - zapytał Hamil oschłym tonem, ignorując pytania młokosa. W jakiś sposób chłopak działał mu na nerwy.

- Na zamku w Breslangu, panie. Znaleźliśmy cię wśród rannych i przenieśliśmy tutaj. Zostałeś ciężko...

- Ćśśś - warknął mag i spojrzał za okno, jakby tam chciał znaleźć potwierdzenie słów Munira. Jedynymi rzeczami, jakie ujrzał, były drobne płatki śniegu wirujące w powietrzu i pokryte białym puchem bezlistne gałęzie drzew. Starał się coś sobie przypomnieć, lecz trafił jedynie na czarną dziurę niewiedzy. Zmarszczył brwi, starając się skupić, lecz bez skutku.

- Bracie Hamilu, dobrze się czujesz?

- Dobrze, tylko nic nie pamiętam. Opowiedz mi o wszystkim, co tu się działo.

Młodzieniec w prostych słowach, bez zbędnych popisów oratorskich tak charakterystycznych dla pisarzy młodego pokolenia, streścił Hamilowi ostatnie wydarzenia. Z każdym jego słowem pamięć powoli wypełniała pustkę w mózgu starca, aż w końcu światło wspomnień oślepiło go swym blaskiem.

- Kto tu jest najstarszy rangą? - przerwał młodzieńcowi w połowie zdania.

- Brat Hunold.

- Prowadź do niego.

Młodzieniec spojrział na zakonnika karcącym wzrokiem.

- Ależ, bracie Hamilu, tak się nie godzi. Jesteście jeszcze bardzo chorzy i powinniście odpoczywać. Ledwo żeście się śmierci wywinęli, a już chcecie chodzić. Toż to nie do pomyślenia. Toż to...

- Ćśśś! - Starzec po raz kolejny musiał przerwać jego słowotok. - O tym, co będę robił, to ja decyduję, więc przestań wreszcie kłapać ozorem i prowadź mnie do brata Hunolda.

Młodzieniec wzruszył ramionami, zakręcił oczyma, lecz nic więcej nie powiedział. Pochylił się nad starcem i pomógł mu wstać, po czym poprowadził go szerokim korytarzem wprost do gabinetu zajmowanego obecnie przez brata Hunolda.

Gospodarz bynajmniej nie spodziewał się wizyty. Siedział w książęcym gabinecie, skupiony na pisaniu listu do Wielkiego Mistrza, i dopiero odgłos kroków w korytarzu wyrwał go z zadumy nad zawiłymi kwestiami ortografii oraz wprowadził w zwyczajny dla niego humor. Podły humor. Skrzypiące drzwi rozwarły się z impetem, a w przejściu stanął niewyraźny kształt. Na czerstwym obliczu brata Hunolda zawitał grymas zdziwienia, gdy tylko uświadomił sobie, z kim ma przyjemność. Zmiał w ustach przekleństwo, po czym wstał nieśpiesznie zza biurka i siląc się, by przywołać na twarz szczerzy uśmiech, wznosił ręce do góry w teatralnym geście. Brat Hunold nie cieszył się bynajmniej z tej wizyty. W ciągu trzech ostatnich dni to na jego barkach spoczywał słodki ciężar dowodzenia i ta sytuacja nader mu odpowiadała. Teraz zaś obawiał się, że ponownie będzie musiał wypełniać czyjeś rozkazy. On, który bystrością umysłu przewyższa samego Wielkiego Mistrza, a zdolnościami przywódczymi nawet cesarza. On, który - gdyby nie parszywe urodzenie z nieprawego łoża - z pewnością już dawno temu wspiąłby się na same wyżyny zakonnej hierarchii. Tak, brat Hunold z pewnością miał wysokie mniemanie o sobie.

- Bracie Hamilu - odezwał się, próbując zamaskować gorycz rozczarowania - modliłem się o twoje zdrowie i Pan Bóg mnie

wysłuchał. Niech będą mu dzięki.

- Tak, tak. Już to dzisiaj słyszałem - odparł starzec i, nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się wygodnie na drewnianym krześle stojącym po drugiej stronie biurka.

- Może wina się napijesz? - zapytał usłużnie Hunold i sięgnął po stojący obok niego na wpół pusty dzban z czerwonym kurdulańskim.

Starzec pokręcił głową.

- Nie piję alkoholu - odparł. - To trucizna dla ciała i więzienie dla duszy.

Brat Hunold musiał odczekać dłuższą chwilę, nim treść tych słów w pełni do niego dotarła, lecz nawet wtedy nie mógł uwierzyć własnym uszom. Spojrzał bacznie na starca, szukając w jego twarzy choćby najmniejszego dowodu na to, że ten stroi sobie z niego żarty. Niczego takiego nie znalazł. Twarz maga była taka jak zwykle - sroga i poważna. Ręka Hunolda zamarła w bezruchu kilka długości kciuka nad dzbanem, a w sercu pojawiła się czarna rozpacz.

Psiakrew. Toż to jakiś nawiedzony fanatyk... gorzej. To abstynent.

Uświadomienie sobie tej gorzkiej prawdy zalało serce Hunolda najczarniejszą rozpaczą, lecz starał się nie dać tego po sobie poznać. Kiedyś słyszał o bandzie idiotów wstrzymujących się od wszelakich używek, lecz do tej pory uważał ich za równie realne stwory co elfy lub smoki. Teraz jego światopogląd uległ znacznemu poszerzeniu, choć zakonnik wiele by dał, by móc żyć jak dawniej, w błogiej nieświadomości.

Zaległa niezręczna cisza. Dwie pary oczu patrzyły na siebie w powadze i skupieniu. Powietrze aż zgęstniało od emocji, a cisza zdawała się wręcz eksplodować swoją namacalnością. Nawet wiejący na zewnątrz wiatr zmałał, przestał świszcząć przez nieszczelne okno. Czas jakby zatrzymał się w miejscu, a wraz z nim cały wszechświat. I nagle w tym nierealnym wręcz milczeniu rozległ się jeden dźwięk. Cicha, niemal niesłyszalna nuta dobywająca się z wnętrza starszego zakonnika. Brat Hamil pierdnął. A nie było to byle jakie

pierdnięcie. Było to pierdnięcie, które mogłoby wstrząsnąć światem w posadach, a już na pewno wstrząsnęło nozdrzami brata Hunolda.

- Co się stało z mieszkańcami zamku? - spytał starzec, udając, że nic się nie stało.

- Siedzą w lochach i czekają na transport - odparł Hunold, udając, że nic nie poczuł. - Usłyszeli, że będą mieli zaszczyt stać się niewolnikami miłościwie nam panującego Eutygianusa I Bogobojnego. Paru z nich ta informacja wyraźnienie nie przypadła do gustu, więc musieliśmy dla przykładu skrócić ich o głowę. Reszta już nie protestowała, a nawet wyraziła szczerą chęć współpracy. Trafiliśmy także na ambasadora Jarogniewa Statecznego. Moi ludzie właśnie go przesłuchują.

- To dobrze. Kiedy mamy spodziewać się posiłków?

- Nie wiem. Operacją dowodził brat Albert, ale jego statek zaginął na morzu. Ja nie zostałem wtajemniczony i czekam teraz na rozkazy od Wielkiego Mistrza. Właśnie kończyłem pisać do niego list, który każę niezwłocznie wysłać... chyba że rozkażesz inaczej.

- Rób, co uważasz za stosowne. Ja swoją misję już skończyłem - odparł Hamil ku niezmiernej radości swego rozmówcy. - Prosiłbym cię jednak o drobną przysługę.

- Cokolwiek zechcesz - odparł Hunold, a przez jego twarz przebiegł nagły skurcz. Sędziwy mag musiał to zauważyć, uśmiechnął się bowiem ciepło w jego stronę i podniósł do góry prawą dłoń w pokojowym geście.

- Nie musisz się obawiać. To tylko drobnostka - uspokoił go. - Chodź za mną. Coś ci pokażę.

Hunold niechętnie wstał z krzesła i ruszył za starszym zakonikiem. Szli pogrążonym w półmroku korytarzem, aż dotarli do kameralnej biblioteczki sąsiadującej z izbą, w której nie tak dawno temu leżał Hamil al-Kataraj. Starzec podszedł do jednego z zawalonych opasłymi tomami regałów i przesunął palcem po ich grzbietach, wyraźnie czegoś szukając.

- Tu jest - powiedział sam do siebie, po czym wyciągnął oprawioną w jagnięcą skórę księgę, a w powstałą szczelinę włożył drugą dłoń. Nagłym ruchem pociągnął za ukrytą z tyłu dźwignię. Rozległ się głuchy trzask zwalnianego mechanizmu. Starzec, krzywiąc się z bólu, napał zdrowym barkiem na regał, który zaczął się powoli przesuwac, odsłaniając wejście do tajemnego pomieszczenia.

- Ożeż ty - wymknęło się Hunoldowi.

Starzec nie odpowiedział. Przecisnął się przez powstałą szparę i zapalił wiszącą u ściany pochodnię, po czym dał znak towarzyszowi, by ten ruszył za nim. Znaleźli się w niewielkim korytarzu o ścianach obitych skórami dzikich zwierząt, który doprowadził ich do niskiej furtki znajdującej się na samym jego końcu. Starzec wyjął z kieszeni klucz, wsadził go do dziurki, przekręcił zamek i nacisnął klamkę. Mężczyźni musieli schylić głowy, by nie uderzyć się w nisko osadzoną framugę. Po chwili znaleźli się u szczytu niezwykle stromych schodów prowadzących w dół. Ruszyli nimi, szorując dłońmi po chropowatej ścianie i oświetlając sobie drogę migotliwym blaskiem pochodni. Hamil co jakiś czas musiał się podpierać, czując, jak krew boleśnie pulsuje po niezagojonych ranach, lecz gdy tylko Hunold próbował mu pomóc, odpychał jego dłoń i warczał jak pies.

Doszli do kolejnych drzwi, które były o wiele solidniejsze. Starzec ponownie znalazł odpowiedni klucz i po chwili mężczyźni wkroczyli do obszernej, skąpanej w mroku sali. Unosił się w niej zapach stęchlizny, staroci i tajemnej wiedzy.

- Co to za miejsce? - spytał brat Hunold nabożnym głosem, jakby nie chciał zbudzić czających się w ciemności stworów.

- Przekłete - odparł krótko Hamil i skierował się do stojącej na samym środku wysokiej, wykonanej z czerwonego piaskowca rzeźby, która przedstawiała trójgłowego smoka z olbrzymimi pyskami skierowanymi w stronę sufitu. Przystawił płonącą pochodnię do pokrytego łuskami ogona i nagle ze znajdujących się wysoko ponad jego głową paszczy wytrysnęły gejzery ognia, rozświetlając całe wnętrze migotliwym błyskiem, którego blask potęgowały osadzone

w suficie zwierciadła. Hunold zadarł do góry głowę i z rozdziawionymi ustami obserwował zmysłowy taniec płomieni buchających z misternie wyrzeźbionych smoczyczych pysków. Nie mógł nadziwić się finezji i niezwykłej grze światła. Rozejrzał się dookoła. Wzdłuż ścian stały sięgające aż do sufitu toporne regały, uginające się pod ciężarem najcenniejszych ksiąg, manuskryptów i map sprowadzonych z każdego zakątka świata. Przebogata kolekcja tajemnej wiedzy, dla której wielu dałoby sobie odciąć rękę, by choć trochę uszczknąć z nieprzebranej świątyni mądrości. Znajdowały się tu często jedyne egzemplarze dzieł największych uczonych, legendarnych magów, sławnych medyków, astronomów, wieszczów, proroków i wszelakich poszukiwaczy prawdy, ale także wyklętych przez kościół oszcerców, potwornych bluźnierców i najgorszych z nich wszystkich – zwyrodnialców parających się czarną magią.

- To przeklęte miejsce, bracie Hunoldzie – powtórzył Hamil al-Kataraj cichym głosem, który w tym miejscu przypominał huk wodospadu. Jego oczy pały fanatyzmem i złością. – Pełne bluźnierstw przeciwko Bogu. Pełne grzechu i pychy tych, którzy ośmielają się poszukiwać prawdy poza Szymonem Magiem. To gniazdo szatana, które trzeba wypłenić ogniem.

- Chcesz spalić te wszystkie księgi? – domyślił się Hunold, któremu nagle ulżyło. Podążając za sędziwym zakonnikiem, spodziewał się czegoś znacznie gorszego. Pokręconego labiryntu, w którym skrywa się bestia, zamurowanej żywcem niewiernej żony któregoś z wielmożów, której dusza mściła się na żyjących, czy choćby zamieniającego spojrzeniem w kamień bazyliuszka, domagającego się codziennej daniny z ciała nieskalanych niewiast. Na swoje szczęście niczego takiego nie znalazł. Tylko księgi. Tysiące, setki tysięcy nikomu niepotrzebnych kartek pergaminu i papieru, zapisanych przez jakichś szaleńców. Bo któż o zdrowych zmysłach marnuje swój cenny czas na spisywanie wytworów chorego umysłu, gdy wokół tyle się dzieje. Z pewnością nikt o zdrowych zmysłach.

- To nasz obowiązek wobec Boga i świętej wojny z armią szatana. Tylko Święte Pismo daje odpowiedź na wszelkie pytania. Tak, musimy to spalić. Wszystko co do jednej najmniejszej kartki. Zostawmy tylko mapy. One są niegroźne i mogą się przydać.

- Tak uczynię, bracie. Tak uczynię - odparł sumiennie Hunold, po czym podszedł do jednego z regałów i wziął w dłoń pierwszy z brzegu egzemplarz. - Dee... reveee... revolutibibus - próbował odczytać zapisany złotymi literami tytuł, po czym prychnął ze wzgardą. - Cóż za barbarzyńskie pismo. Język sobie można połamać.

- Barbarzyński język, barbarzyński lud i barbarzyńskie pismo - zgodził się z nim starzec - ale to się wkrótce zmieni. Światło miłosierdzia Pana naszego Szymona Maga prędzej czy później dotrze do tych pogańskich dusz.

Mag podszedł do swojego towarzysza i wziął do ręki trzymaną przez tamtego księgę.

- „De revolutionibus orbium coelestium”^[1] - przeczytał płynnie. - To akurat w innym języku, ale też barbarzyńskim. Dziwną księgę wybrałeś, bracie Hunoldzie, ale tu są tylko takie. W tej akurat napisano, że to Ziemia krąży wokół Słońca, a nie odwrotnie. I podobno są tacy, co wierzą w te brednie.

- Nie może być - odparł Hunold, zastanawiając się, czy powinien wybuchnąć śmiechem, czy wyrazić najszczerze zdziwienie. Wybrał opcję pośrednią.

- A jednak tak jest. Doprawdy barbarzyński to lud i kompletnie zidiociały. Ale to nie wszystko. Nie dalej niż rok temu księcia Brurgrunda odwiedził pewien samozwańczy filozof, co to twierdził, że ludzie pochodzą od małp. No ale dosyć już tego gadania, późno się zrobiło. Zajmij się tym, bracie, jak najszybciej, by Pana naszego te kalumnie dłużej w oczy nie raziły. A teraz bywaj z Bogiem.

Brat Hunold rozglądał się jeszcze przez chwilę, po czym ruszył jego śladem, zastanawiając się nad ludzką głupotą.

Następnego dnia na zamkowym dziecińcu zapłonęło siedem stosów, w których bezpowrotnie spłonęła wiedza wielu pokoleń

poszukiwaczy prawdy. Zostały po niej jedynie popioły.

[1] „O obrotach sfer niebieskich” - dzieło Mikołaja Kopernika.

Rozdział 2

Różne odcienie trawy zlewały się z czerwienią porastających łąkę maków i błękitem płynącego leniwie strumyczka. Lekki wietrzyk delikatnie muskał odkryte ramiona Bolesława, sprawiając miłe dla skóry wrażenie. Było ciepło, lecz nie gorąco. Idealnie. Gdzieś z boku dochodził radosny chichot bawiących się dziewcząt, zmieszany z łopotem ptasich skrzydeł i leniwym pomrukiwaniem leżącego obok psa.

Młodzieniec leżał oparty o pień rozłożystej lipy, która zdawała się rosnąć w tym miejscu tylko po to, by chronić go przed prażącym słońcem. Liście kojąco szumiały mu nad głową, wprawiając jego ciało w przyjemny stan pomiędzy snem a jawą. Był szczęśliwy, chyba najszczęśliwszy w całym swoim dotychczasowym życiu. Trapiące go uprzednio problemy przysły niczym mydlana bańka, zalewając jego serce niezmaconym spokojem.

Nagle usłyszał dochodzący z oddali tupot leniwych kroków. Otworzył powoli prawe oko i dojrzał wśród jasnej przezroczystości powietrza zgarbioną sylwetkę staruszki, tuptającą w jego stronę. Miała dobrą twarz, która emanowała życzliwością i niewysłowioną miłością. Srebrzyste włosy były niedbale związane w kucyk tak, że dwa drobne kosmyki wirowały na czole wraz z każdym podmuchem wiatru. Babulinka uśmiechała się do niego serdecznie, odsłaniając równe zęby. Jej oczy patrzyły na młodzieńca z niezwykłą czułością. Było w nich coś znajomego.

Staruszka ukucnęła, wyciągnęła dłoń i chwyciła go delikatnie za ramię.

- Witaj, łobuziaku. - Jej głos brzmiał był niczym anielska pieśń. Miękki i pełen duchowości.

- Babcia? - zapytał niepewnie Bolesław, jakby nie do końca ufał swoim zmysłom. Ostatni raz widział staruszkę, gdy był małym chłopcem, lecz nawet teraz doskonale pamiętał towarzyszący jej stale zapach zsiadłego mleka i kruche dłonie głaszczące go po główce. Pamiętał, jak opowiadała mu przed snem przedziwne historie o bogach, duchach i zjawach, po których czasem nie mógł zasnąć, i jak stawała w jego obronie, gdy tylko coś przeszkrobał. A zdarzało się to nader często. Wyblakłe wspomnienia pojawiały się w jego głowie, lecz gdzieś obok nich kryła się jakaś nieszczęśliwa tajemnica. Jakaś ponura myśl, która coraz głośniej pukała do jego świadomości. Po chwili już wiedział. - Babciu... przecież ty nie żyjesz? - ni to spytał, ni to stwierdził, jękając się przy tym niczym ktoś, kto w dzieciństwie upadł na głowę.

- Tak, wnuczku. Ja nie żyję.

- To... to znaczy, że ja ... też umarłem?

Starowinka pokręciła głową.

- Ty żyjesz. Twoja ziemską drogę jeszcze się nie skończyła.

- W takim razie gdzie jestem?

- Znajdujesz się w Nawii, w Wiecznej Krainie, lecz nie zostaniesz tutaj długo. Masz do wypełnienia misję.

Bolesław zmarszczył czoło, próbując poukładać sobie wszystko w głowie.

- Jaką misję?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Sam musisz odkryć własne ścieżki. Chciałam tylko, byś wiedział, że cię bardzo kocham i zawsze jestem przy tobie. A teraz już wracaj. Nie powinno cię tu być.

Postać staruszki zaczęła stopniowo znikać, lecz Bolesław wciąż czuł jej rękę trzymającą go za ramię.

- Babciu, zaczekaj chwilę! - krzyknął, choć z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Babcia nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko do niego, po czym całkowicie zlała się z otaczającą bezbarwnością powietrza.

Jej ręka nadal szturchała go w ramię. Mocniej, coraz mocniej.

- Wstawaj! - usłyszał szorstki głos, który bynajmniej nie był ani anielski, ani pełen miłości. Z pewnością też nie należał do jego babci.

Próbował go zignorować i nacieszyć się wspaniałą aurą przyrody, lecz i ona powoli zanikała. Świat tracił kolory, jasność ustępowała ciemności, ciepło wilgotności. Miękkie posłanie z bujnej trawy zmieniło się w twardą ziemię, a szum lipy w monotony odgłos kapania kropli wody i coraz bardziej natarczywy głos:

- Wstawaj! Dnia szkoda.

Nagle rozległ się przerażający ryk, który wypełnił całą przestrzeń, odbił się od ścian i kilkakrotnie zwielokrotniony echem wbił się klinem w głowę Bolesława.

Ten jednak wciąż leżał, próbując zignorować napierające na niego bodźce. A te stawały się coraz bardziej uciążliwe. Zimny nochal niedźwiedzia zetknął się z twarzą młodzieńca, przynosząc ze sobą odór, jakiego nie powstydziliby się nawet nasza dobra znajoma - Jej Przeszpetność Garvulla.

- Idźcie precz - wycedził Bolesław, po czym przewrócił się na drugi bok i skulił niczym dziecko.

Niedźwiedź wciąż napierał pyskiem, coraz nachalniej domagając się pieśczoć.

Młody książę próbował go zignorować, lecz wiedział, że jego walka skazana jest na porażkę. Wstał zatem, przetarł oczy, ziewnął szeroko i zatopił swą dłoń w zmierzwioną sierść bestii. Zwierz wydał z siebie przeciągły pomruk rozkoszy i przeciągnął jęzorem po twarzy Bolesława. To przechyliło szalę rozpaczy. Książę poderwał się nagle z ziemi, wydał z siebie jęk odrazy i zaczął wycierać twarz rękawem, jakby chciał zetrzeć z siebie skórę. Potem przeciągnął się szeroko

i rozejrzał dookoła. Pod nogami dojrzał drewnianą miskę wypełnioną ziemistą breją, którą Cyryl Pustelnik szumnie zwał pożywną zupą.

- Masz, jedz. Zdrowieć musisz.

Zjadł, beknął, niemal zwymiotował.

Niedźwiedź kolejny raz wypełnił przestrzeń jaskini dudniącym w uszach rykiem, jakby chciał wyrazić swój sprzeciw lub swoją aprobatę. Nigdy nie wiadomo, jakie myśli kłębią się w tym futrzastym łbie.

- I ty przeciwko mnie - odezwał się do niego Bolesław. Zwierzak jednak nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił się i wyszedł z zatechłej groty.

- Siadaj - usłyszał szorstki głos Cyryla. Głos, który zaczynał stopniowo doprowadzać go jeśli nie do szaleństwa, to przynajmniej do lekkiego obłądu. - Oczy zamknij. Twoim sprzymierzeńcem jest moc i potężnym sprzymierzeńcem jest ona. Odnajdź ją.

Bolesław westchnął ciężko.

- Próbowałem już z tysiąc razy, lecz nie potrafię tak siedzieć nieruchomo jak wasza pustelność i o niczym nie myśleć. Gdy tylko to robię, to zaraz zaczynam myśleć o niemyśleniu i zamiast dar, czuję jedną wielką rzyć. Zresztą może go po prostu nie posiadam? Może powinniście poszukać sobie innego ucznia, którego będziecie gnębić wraz z tym kudłatym czartem, a mnie pozwolicie wrócić do pałacu mego ojca?

- Moc jest w tobie wielka, dotrzeć do niej musisz. Ona tam jest, w sercu, głęboko. - Kościsty paluch starca wbił się boleśnie w pierś młodzieńca. - Nie marudź, oczy zamknij, mózg oczyść, iskry szukaj.

Bolesław chciał jeszcze zaprotestować, lecz poczuł na sobie ostrzegawcze spojrzenie. Wzdrygnął się, zmarszczył czoło i zamknął oczy. Musiało upłynąć trochę czasu, nim skupił się na swoim wnętrzu, wsłuchując w monotony stukot kropel wody spadających z wysoka. Oddychał miarowo. Wciągał stęchłe powietrze nosem i wypuszczał ustami, trwając w całkowitym bezruchu. Głowa zrobiła się ciężka, ciało lekkie niczym piórko, świat stawał się rozmazany, jakby powoli

znikał. Rozluźnił ciało i wsłuchał się w ciszę własnej duszy. Jedyłą jednak rzeczą, którą czuł, była przewlekła pustka. Iskry żadnej nie znalazł.

- Do rzyci z tą całą medytacją. To nie ma sensu. Mogę tak sobie siedzieć do usranej śmierci i nic - warknął.

Gdy wyszedł na zewnątrz, jego oczy zalała fala oślepiającej bieli. Był piękny słoneczny dzień. Pograżony w bieli świat wydawał się niezmaconą oazą spokoju. Puszyste fałdy śniegu pokryły całą okolicę, zatapiając świat w mroźnej martwocie. Bolesław zmrużył oczy, rozejrzał się dookoła i wciągnął nosem świeże górskie powietrze. Pachniało wolnością. Poczuł coś jeszcze, jakąś niedostrzegalną różnicę panującą na zewnątrz, tak jakby właśnie opuścił bezpieczną przystań i na powrót znalazł się w pełnym niebezpieczeństwie światła. Porywisty północny wiatr przenikał przez skromną dzianinę, powodując przenikliwe uczucie chłodu. Zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się przed stromą granią wznoszącą się na wysokość ponad stu stóp. Nie tracąc czasu, chwycił się rękoma wystających kawałków skał i wsunął prawą stopę w naturalne zagłębienie. Następnie zaczął się powoli wspinać, starając się dotrzeć na szczyt. Zgrabiące dłonie raz za razem zaciskały się na kolejnej nierówności. Znał je wszystkie na pamięć. Wiatr hulał coraz mocniej, kłując jego ciało małymi igiełkami, lecz młodzieniec dzielnie brnął w górę, zaciskając mocno zęby. W końcu dotarł do celu. Przystanął na chwilę, napawając się niezwykłym widokiem górskich szczytów, które wznosiły się dookoła niego niczym wyniosłe pomniki potęgi natury. Wypuścił powoli powietrze z płuc i zrobił kilka kroków w sięgającej do kolan zaspie. Zaraz jednak musiał się zatrzymać, gdyż dotarł nad samą krawędź przepaści. Przed sobą miał już tylko bezdenną pustkę, która miała go obietnicą szybkiej śmierci. Przez krótką chwilę rozważał, czy aby nie zakończyć swego cierpienia jednym skokiem, zaraz jednak roześmiał się w głos. Gdzieś w górze mignął mu znajomy kształt szybującego ku obłokom orła. Pomachał mu radośnie, odwrócił się, poszedł w drugą stronę i usiadł na zimnej skale. Jego nogi

przeszywały bez celu mroźne powietrze, a oczy napawały się okrutnym pięknem Pani Zimy. Gdzieś w dole dojrzał znajomą sylwetkę niedźwiedzia, który włóczył się po niewidocznych ścieżkach w poszukiwaniu pokarmu.

Syn Jarogniewa nie był już tym samym niesfornym młodzieńcem co kiedyś. Niczym paskudna poczwarka, która przemienia się w pięknego motyla, zmienił się nie do poznania. Młodzieńczy tłuszcz zastygł w twarde jak stal mięśnie, sprawiając wrażenie wyrzeźbionych dłutem artysty. Rysy twarzy stały się bardziej męskie, kanciaste, podkreślone dodatkowo drobnym jeszcze zarostem, który zaczął się nieśmiało pojawiać na wychudzonych i ogorzałych od słońca policzkach. W oczach, niegdyś skorych jedynie do psikusów i podziwiania zaokrąglonych kształtów białek, pojawiła się ukryta mądrość i zaduma, a także niedostrzegalna aura majestatu. Wprawne oko mogłoby dojrzeć coś jeszcze – malutkie punkciki jarzące się czerwonym blaskiem w kącikach jego oczu.

Dni spędzone w jaskini zlewały się ze sobą, podobne niczym dwa płatki śniegu. Bolesław nie miał pojęcia, ile czasu minęło, odkąd poważnie ranny zbudził się w zatęchłej grocie. Rany powoli się goiły, a on nabierał sił i umiejętności niezbędnych do tego, by przetrwać w tych surowych warunkach. Uczył się walczyć, polować i odczytywać znaki przyrody. Słuchał przydługich tyrad starca o dalekich krajach, poznawał ich języki i zwyczaje. Wspomnienia z minionego życia zaczęły powoli blednąć, jakby były jedynie snem. Powoli zapominał o świecie. Świat nie zapomniał jednak o nim.

Już miał wstać, by ogrzać się przy płomieniach palącego się w jaskini ogniska, gdy nagle coś ujrzał. Błysk, świetlny refleks, poruszający się w jego stronę punkt. Dwa punkty, trzy, cztery, dziesięć. Coraz większe, coraz realniejsze. Ludzie. Żołnierze. Poddani Pięknej Pani.

- No i skończyło się medytowanie - szepnął w stronę własnych butów.

Myśl o samobójstwie ponownie zaświtała mu w głowie, lecz odgonił ją równie szybko co poprzednio. Później przyszły rozpacz, złość, bezsilność i strach. Coraz większe, coraz bardziej chimeryczne.

Żołnierze zbliżali się w jego stronę. Stawali się więksi, bardziej groźniejsi.

- Nie stój tak. Uciekaj - usłyszał swój własny głos.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, pokonał drogę powrotną, wpadł do jaskini, pochylił się nad śpiącym starcem i zaczął go boleśnie szarpać.

- Znaleźli nas, mistrzu! Wstawaj! Znaleźli nas.

Jeśli jednak myślał, że Cyryl poderwie się z ziemi, by stawić czoło zagrożeniu, mylił się. I to bardzo. Starzec nawet się nie poruszył. Dalej chrapał w najlepsze i mamrotał coś przez sen. Bolesław zaczął jeszcze mocniej nim potrząsać.

- Wstawaj, mistrzu, znaleźli nas! Żołnierze Erzsébe idą tutaj! Musimy się bronić!

Mędrzec otworzył jedno oko.

- Wstawaj! Nie ma czasu! Znaleźli nas. Musimy się ratować! - krzyk młodzieńca stawał się coraz bardziej natarczywy, niekontrolowany, pełen strachu.

Mędrzec otworzył drugie oko. Bolesława zalała krew.

- A więc stało się - odezwał się w końcu starzec. Jego twarz nie wyrażała jednak żadnych emocji. Była spokojna jak tafla jeziora podczas bezwietrznej pogody. A przecież powinna się choć trochę przestraszyć na myśl o tuzinie żądnych krwi bestii, które podążały w ich stronę. Powinna się wygiąć, zblednąć, krzyknąć. A tu nic. I nie wiadomo było, czy to z powodu stalowych nerwów, jakie miał pustelnik, czy z powodu szaleństwa.

Nadrabiał za to Bolesław. Błady, trzęsący się i krzyczący na swego mistrza piskliwym głosem:

- Wstawaj, mistrzu! Musimy uciekać. Uciekać albo walczyć.

- Walczyć lub nie walczyć, oto jest pytanie - odparł starzec, cytując słowa pewnego mieszkającego w dalekim kraju wieszca,

w którym się niegdyś zaczytywał. Wciąż siedział w tej samej pozycji. Był spokojny, jakby znajdował się przy suto zastawionym stole, a nie w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Uśmiechnął się jeszcze, prychnął niczym klacz i nagle zastygł w bezruchu. W bezdennych oczach pojawił się wreszcie strach.

Cyryl otworzył szeroko buzię, pokręcił szyją, rozluźniając mięśnie karku, i zamachał kilkakrotnie rękoma. Następnie spojrzał na Bolesława z pretensją i niedowierzaniem, jakby ten zmienił się nagle w soczysty kawałek szynki.

- Czekasz na co? W nogi!

Chwilę później pozostał po nim jedynie niewielki obłoczek kurzu i cichnący odgłos pośpiesznie przebieranych odnóży.

Skrzypienie śniegu stawało się coraz bliższe. Żołnierze Pięknej Pani wdrapali się na grań i stanęli przed wejściem do jaskini. Ich krwistoczerwone płaszcze kontrastowały z niewinną bielą puchu, a z ust wydostawały się szarawe kłęby pary. Refleksy świetlne odbijały się od nagiej stali i wyszczerzonych z podniecenia zębisk.

- Ślady stóp. Byli tu przed chwilą, psubraty. Są w jaskini.

Wtem górską ciszę przerwał potężny ryk. Dobył się jakby z wnętrza ziemi, zabrzmiał niczym wojenny okrzyk samego Peruna i zmroził krew w żyłach poddanych Mrocznej Pani. Zaraz też dał się słyszeć świst powietrza, dźwięk haratanej skóry, potworny krzyk bólu. W powietrze wzniósł się zapach wilgotnego futra i woń padliny, dobywająca się z paszczy niedźwiedzia.

Żołnierze cofnęli się nagle. Kilku z nich straciło równowagę i stoczyło się po zboczu niczym duże głazy. Inni spojrzeli bezradnie po sobie i zadrżeli ze strachu. A niedźwiedź wciąż ryczał, stojąc na dwóch łapach, kłapiąc zębiskami i młócąc wokół zakończoną ostrymi pazurami łapą. Nagle opadł na czworaka, spiął mięśnie, zaszurał tylną stopą i skoczył na stojącego najbliżej żołnierza, wgryzając się zębami w jego krtań. Pani Śmierć uśmiechnęła się do siebie i zachichotała pod nosem niczym panna młoda podczas pierwszej nocy.

Niedźwiedź wciąż pastwił się nad próbującym wyrwać się nieszczęśnikiem, plując wokół śliną i kawałkami mięsa. Z tyłu usłyszał jakiś dźwięk, więc szybko odwrócił pysk. I wtedy poczuł ból. W jego ciało wbił się podręczny toporek. Niedźwiedź ryknął, rzucił trzymaną w zębach dłoń i skoczył na śmiałka, przygniatając go swym cielskiem. Kolejne ostrza już były w powietrzu, wbijały się w niego, tłukąc gdzie popadnie. Dwie brzęczące strzały przecięły powietrze, zagłębiając się w gęstwinę futra. Dwie kolejne już były w drodze. Jedna odbiła się z brzdękiem od skał, wzbijając w górę drobinki pyłu, druga trafiła go w udo. Niedźwiedź opadł na cztery łapy i wycofał się do jaskini. Ponownie zawył, lecz tym razem z bólu i bezsilnej złości.

Żołnierze zaczęli dochodzić do siebie. Kilku z nich przeszło nad zmasakrowanymi ciałami swych kamratów i zatrzymało się przed wejściem. Łypnęli na siebie porozumiewawczo, pokiwali głowami i ścisnęli mocniej oręż. Następnie ruszyli w przód, by niczym mityczni bohaterowie ludowych bajań stawić czoło ziejącej ogniem bestii. I tak jak większość z tych idiotów – przeliczyli się z własnymi siłami. Ostre pazury rozerwały jednemu z nich połowę twarzy, potężna noga wyrzuciła drugiego w powietrze, a trzeci trafił pod dwa szeregi zębisk. Żadne chwały ślepia w jednej chwili straciły całą hardość, a nawykłe do przekleństw usta wydały z siebie inny dźwięk – przeraźliwy wrzask bólu, po którym nastąpiła chwilowa cisza. I ponownie w powietrze wzbilo się kilka strzał, znacząc swój cel coraz szerszym strumieniem krwi, która wypływała z rannego zwierza i wraz z ludzką juchą tworzyła szeroką, bystro płynącą rzekę. Niedźwiedź raz jeszcze próbował się zerwać, lecz zabrakło mu siły. Żołnierze podeszli do niego, a ostrza ich broni zaczęły spadać na olbrzymie ciało niczym plaga dzumy na bezbronne wsie. Kolejny ryk wstrząsnął grota i odbił się od szorstkich ścian. Tragiczny, żałobny, obwieszczający światu śmierć.

Bolesław zdołał dogonić Cyryla i teraz biegł tuż za nim – w mroczny głąb jaskini. Nagle starzec zahamował, tak że księżę wpadł lekko na niego, wpychając go na ścianę. Po chwili uświadomił

sobie, że oto znajduje się w tym samym miejscu, w którym ostatnią walkę stoczyli jego dwaj plebejscy przyjaciele – Volko i Oran. Ta myśl sprawiła, że ogarnęła go złość.

– Nie poddam się tak łatwo – rzekł, stanął w rozkroku i ścisnął mocniej rękojeść miecza.

Gdzieś z boku usłyszał cichy szelest, szuranie stóp, szyderczy chichot. Odwrócił twarz, chcąc pożegnać się z pustelnikiem, lecz ten nagle zniknął. Wyparował, zapadł się pod ziemię.

– Mistrzu? Gdzie jesteście?

Czuł jego obecność, słyszał świszczący głos, odgłos drapania po brodzie.

– Mistrzu asceto?

– A kuku! Znajdź mnie.

– Gdzie jesteś?

– Tutaj.

– Gdzie?

– Ciebie obok. Znajdź mnie.

Z tyłu dobiegały coraz głośniejsze odgłosy żołnierskich buciorów, krzyki, rozkazy, dyszenie.

– Mistrzu, mistrzu...

Nagle Bolesław poczuł, jak ktoś lub coś łapie go za rękę, ciągnie w przód. Uderzył o coś. Poczuł nagły chłód. Miał wrażenie, jakby jakaś gęsta, bezwonna substancja oblepiała jego ciało. Jakby zanurzał się w lodowatej smole. I nagle upadł, rąbnął ciałem o ziemię.

– Wstawaj.

Cyryl chwycił go za nadgarstek i pomógł mu wstać.

– Co to było? Gdzie jesteśmy?

– Starych magów to jaskinia, barierami magicznymi chroniona. To jedna z nich była. Przejście jak ściana wyglądająca. A teraz się rusz. Czasu mamy mało.

– Że co? Jaka bariera?

– Na gadanie czasu szkoda. Rusz się. Iść musimy tam, gdzie...

Starzec zamilkł w pół słowa, nagle bowiem górską głuszę zakłócił potężny odgłos. Ryk umierającego niedźwiedzia.

- Nie... tylko nie on.

Bolesław chciał coś powiedzieć, lecz wiedział, że żadne słowa nie będą w stanie ukoić smutku Cyryła. Żadne słowa nie będą odpowiednie. Położył mu delikatnie dłoń na ramieniu i milczał. W smutku, zadumie, bezsilności.

Za sobą usłyszał stłumione szmery, które niosły się wśród wąskich korytarzy, zwielokrotniane echem. Szmery zmieniły się w nerwowe głosy, te w krzyki, aż w końcu w całej jaskini słyhać było jedynie ponure zawodzenie. Zawodzenie, jakie mogło być wytworem tylko kobiecych ust. Suchych, plugawych, porowatych, śmierdzących i skrywających pocerniałe - na wpół zgniłe, na wpół ułamane - zęby. A tylko jedna kobieta w całych Pięciu Księstwach miała takie usta. Garvulla - tak, to o niej mowa.

- Cichajcie. Oni tu są.

Wiedźma zamknęła oczy, rozpostarła ręce na boki i, pociągając nosem niczym bezdomny kundel, zaczęła obracać się wokół własnej osi. Nagle zamarła w bezruchu, a w kącikach jej oczu rozbłyły czerwone punkciki.

- Moc wyczuwam, moc wielką, moc złą. Tu coś jest. Tędy poszli.

Nagle ruszyła do przodu, roztrącając stojących bezradnie żołnierzy. Każdy z nich był twardym mężczyzną, nawykłym do bólu, śmierci i głodu. Ich serca nie znały lęku, oczy widziały rzeczy, których nawet opisać nie sposób, lecz nozdrza musiały ulec zatrwającej gamie najohydniejszych woni, w jakie przyobleczona była Garvulla.

- Faj - wymknęło się naraz z kilku gardeł. Ta jednak nic sobie nie robiła ze stłumionych jęków, grymasów, ostentacyjnych i pełnych wymówek odgłosów wymiotowania. Podeszła do ściany i... nagle zniknęła. Smród jednak pozostał.

Bolesław także go poczuł. Zaatakował jego powonienie niczym śmiercionośny sztorm, podrażnił nozdrza, odebrał dech. Za sobą usłyszał coś jakby plusk wody. Odwrócił głowę i dojrzał, jak

wznosząca się za nim ściana ulega odkształceniu. Nie zwlekając ani chwili dłużej, chwycił starca za rękę i zmusił do biegu.

- Tutaj są. Chodźcie!

Przyśpieszył, bojąc się ponownie odwrócić. Biegł, jak najszybciej potrafił. Biegł bez tchu, poganiając co chwilę starca, który z trudem dotrzymywał mu kroku. Przed sobą ujrzał białe światło, poczuł wiatr, świeże powietrze. Pokonali ostatnie kilkaset kroków i zatrzymali się nad skrajem przepaści.

Daleko w dole zamajaczyła wzburzona tafla otoczonego ze wszystkich stron jeziora, do którego wpadał z wysoka górski potok. Ciarki przebiegły po ciele Bolesława, a włosy chciały stanąć dęba, lecz stwierdziły, że są za długie na tak ekwilibrystyczne popis.

- I co teraz? - zapytał młodzieniec głosem, w którym trwoga mieszała się z resztkami nadziei, a nadzieja z dużą dawką przerażenia.

Starzec, który już zdołał wrócić do siebie po tragicznej śmierci swego futrzastego przyjaciela, wskazał dłonią na wylot jaskini.

- Za mną idź. W dół nie patrz.

Nagle Bolesław usłyszał nad głową dziwny szmer. Coś skoczyło mu na kark i boleśnie wbiło w niego pazury. Krzyknął. Nad uchem usłyszał cichy syk:

- Gdzie mój sssskarb?

Upuścił miecz. Chwycił obiema rękami tajemniczą istotę i rzucił nią mocno o ziemię.

Ni człowiek, ni zwierz wylądował na czterech łapach. Wyglądał jak ucieleśnienie zła. Mała, chuda istota o śliskiej, brązowej skórze, nielicznych cienkich włosach, odstających uszach i wielkich, bladych ślepiach. Ślepiach, które pały czystą chciwością.

- Gdzie mój sssskarb? Mój sssskarb. Mój sssskarb.

- Na brodę Peruna, cóż to za szkaradztwo - wrzasnęła książęcy syn i kopnął stwora z całej siły. Ten poszybował kilka kroków, odbił się od ściany i ponownie sprężył do skoku.

- Oddaj mój sssskarb. Mój sssskarb.

Bolesław schylił się, podniósł z ziemi miecz i zamachnął się nim w jego stronę.

- Zostaw go - powstrzymał go nagle głos pustelnika.

Spojrzał na niego ze zdziwieniem. Stwór ponownie zasyczał i warknął jak pies. Zaczął biec, po czym oderwał się od ziemi i skoczył na młodzieńca, wczepiając się pazurami w jego tors.

- Mój sssskarb, mój sssskarb, mój sssskarb.

Starzec chwycił go za szyję i odwrócił w swoją stronę.

- Twego skarbu nie mamy. Idź w tył. Ci, co za nami idą, skarb twój posiadają.

Oczy stwora zapłonęły dziwnym blaskiem.

- Mój sssssssssssssssskarb, mój sssssskarb - wysyczał i bezszelestnie zniknął w głębi korytarza.

- Mój sssssssssssssssskarb, mój sssssskarb - zdołało jeszcze odpowiedzieć echo jaskini, po czym znów słychać było jedynie smętne jęki wiatru zawodzącego z sobie tylko znanego powodu.

Bolesław potrząsnął głową, jakby nie był pewien, czy to, czego przed chwilą był świadkiem, działo się naprawdę. Nagle odwrócił głowę i momentalnie otrzeźwiał.

Cyryl stanął nad samą krawędzią. Tuż za otworem biegła szeroka na dwie stopy skalna półka. Wąska, śliska i piekielnie niebezpieczna. Innej drogi nie było.

- Za mną idź - powtórzył pustelnik. Wystawił jedną nogę przez wylot jaskini i przesunął ją, szorując podszwą po skutym lodem kamieniu. Prawą ręką przytrzymał się krawędzi, a lewą błądził po skale w poszukiwaniu jakiegokolwiek nierówności. Ostrożnie poruszył drugą nogą, przystawiając ją do pierwszej, uspokoił oddech i z nosem szorującym po skalnej ścianie zaczął się powoli przesuwać. Każdy nieopatrzny ruch mógł w jednej chwili zakończyć się upadkiem z dużej wysokości, wprost w kojące ramiona śmierci.

Bolesław wychylił głowę z jaskini i aż się wzdrygnął, gdy ujrzał swego mistrza tańczącego ze śmiercią.

Danse macabre - pomyślała jego dusza.

To samobójstwo – odpowiedział mózg.

Strach paraliżował mu ruchy. Serce biło głośno i szybko, niczym bęben wyznaczający galernikom tempo wiosłowania. Nagle usłyszał zdławiony krzyk dobiegający z za jego pleców i znajomy już głos:

– Oddaj mój skarb. Mój sssssskarb. Daj go.

– A paszoł won! – odkrzyknął inny głos. Coś upadło na ziemię, ktoś jęknął, ktoś przeklął, ktoś warknął.

– To przypadkiem nie twój synalek, jędzo? – spytał któryś z żołnierzy Mrocznej Pani, trącając butem wierzgającego stwora.

Kolejne słowa zagłuszył donośny pisk przerażającej istoty i podły śmiech dobywający się z paru gardeł naraz.

Bolesław otrząsnął się. Zdał sobie sprawę, że pogoń jest już coraz bliżej. Wychylił się z jamy i ostrożnie postawił jedną stopę na nierównej półce. Za nią podążyła druga.

Chyba oszalałem – przemknęło mu przez głowę.

Próbował przypomnieć sobie nauki mistrza i po chwili kłębiący się w nim strach stopniowo ulatywał z jego ciała. Ogarnął go spokój. Koncentrował się jedynie na powolnym przestawianiu nóg i rąk. Nie słyszał zatem krzyków dobywających się z tyłu, chichotu rozbudzonych nietoperzy, szumu wodospadu ani coraz bliższych odgłosów stawianych kroków. Nie słyszał także lecącej ku niemu strzały aż do chwili, gdy ta boleśnie otarła się o jego skroń.

I nagle Ją poczuł. Tę, której bezskutecznie szukał od wielu tygodni. Tę, która schowana głęboko w jego wnętrzu nie chciała do tej pory dać o sobie znać. Tę, w którą zaczął już wątpić. Malutką, niewidoczną, tajemniczą iskrę magii. Pojawiła się znienacka, ukłuła go swą namacalnością i nie pytając o pozwolenie, przeniknęła przez wszystkie tamy, bariery i osiadła na wskazującym palcu prawej dłoni. Wystrzeliła. Sama, z własnej, nieistniejącej woli. A z każdą chwilą rosła, pęczniała, wzdymała się jak balon i stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Aż w końcu, przybrawszy postać dorodnego jabłka, wgryzła się w serce poddanego Pięknej Pani, który właśnie szykował się od oddania kolejnego strzału.

- Nie może być - wyszeptała trwoźnie Garvulla. - Nie może...

- Do kroćset czortów - wyszeptał Bolesław.

- Pośpiesz się! - krzyknął Cyryl Pustelnik, który właśnie zakończył swą wspinaczkę.

Bolesław rzucił okiem na swój palec, później na spadające ciało żołnierza i raz jeszcze na palec. Wyglądał on normalnie. Palec, Bolesław bowiem daleki był od normalności.

- Idźże. Nie stój tak jak osioł ten.

Ruszył. Powoli, ostrożnie stawiając stopy i starając się skoncentrować jedynie na drodze. Ale jakże to zrobić, gdy przez głowę przelatują naraz tysiące myśli. Znowu usłyszał świst strzały, jednak tym razem uderzyła ona ładnych kilkanaście kroków od celu. Palce zaczęły drętwieć mu z zimna, więc przyśpieszył kroku.

- Tutaj - usłyszał dobiegający z góry głos. Zadarł głowę i ujrzał nad sobą spokojną twarz Cyryla. Nigdy nie przypuszczał, że ten widok mógłby być drogi jego sercu. Próbował zacisnąć palce na wyrzeźbionym przez wodę i wiatr skalnym stopniu, lecz nie był w stanie nawet ich zgąć. Gdzieś z boku mignął rozłożysty kształt. Odwrócił głowę, lecz nie dojrzał niczego niezwykłego. Próbował wyciszyć umysł, gdy kształt powrócił, przybierając postać wielkiego białoszarego orła, który leciał wprost na niego. Iskra znowu buzowała, schowana gdzieś głęboko w książących trzewiach. Orzeł był coraz bliżej. Jego biały łeb z ostrym dziobem koloru słońca przyprawił młodzieńca o dreszcze. W ostatniej chwili ptaszysko postanowiło zmienić kierunek i poszybować w bezmierną otchłań nieba. Książę odetchnął z ulgą. Zamknął oczy i wyciszył umysł, tak jak uczył go jego mentor - Cyryl Pustelnik. Oczyma duszy zobaczył kłębiącą się tuż pod skórą iskrę magii. Za pomocą myśli sprawił, że stała się ona większa, coraz większa, aż jej ciepło rozlało się po całym ciele. Chłód przestał mu dokuczać. Nie tracąc więcej czasu, złapał się wystającej nierówności i krok po kroku zaczął się wspinać na wierzchołek góry. Udało mu się. Z trudnością złapał haust mroźnego powietrza i kucnął tuż obok starca. Rozejrzał się dookoła, dochodząc powoli do siebie.

Wokół niego rozciągał się wspaniały widok pokrytych śniegiem górskich szczytów, które lśniły w promieniach zimowego słońca. Bolesław zamknął na chwilę oczy, rozkoszując się spokojem i odpoczywając po morderczej ucieczce. Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, targając jego włosami na wszystkie strony i skuwając skórę drobnymi igłami. Nie czuł zimna, tylko nieprzyjemne uczucie, jakby chodziło po nim tysiąc stonóg.

Nagle usłyszał nad głową łopot skrzydeł. Odwrócił głowę i zamarł. Tuż przed nim przysiadł znajomy orzeł. Ptaszysko przechyliło lekko w bok swój zakończony długim dziobem pysk i zamarło w bezruchu, a jego żółto-czarne ślepia zdawały się wysysać z zewnątrz całe światło. Gapiły się na młodzieńca w taki sposób, że ten poczuł nagłe dreszcze biegnące wzdłuż kręgosłupa. Miał wrażenie, jakby wzrok orła przenikał do jego duszy, parzył ją, mroził, wysysał życie.

Nagle świat zawirował. Bolesław poczuł, że spada. Próbował otworzyć oczy, lecz nie mógł. Zalała go czerni. Kłębiąca się wewnątrz iskra magii zanikła nagle, jakby pod wpływem podmuchu olbrzyma, i pozostawiła po sobie zimną pustkę. Przerażliwy chłód targnął jego ciałem.

- Chłopcze, chłopcze, z tobą co? - gdzieś w oddali usłyszał znajomy głos. Przytłumiony i pełen strachu. Chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł otworzyć ust. I nagle poczuł przeraźliwy odór, który odebrał mu dech. Tlen przestał dopływać do jego mózgu, czaszka niemal eksplodowała i zdawało mu się, że w trzewiach zaczyna wykluwać się olbrzymi gad. Po brodzie Bolesława zaczęła ciec strużka śliny, która wraz z potokiem krwi i piany wyglądała jak spieniona rzeka po apokalipsie. Jego ciało zaczęło drzeć w konwulsjach, a potworny ból, który rozprzestrzenił się na wszystkie członki, z każdą chwilą narastał.

- Walcz! Nie poddawaj się!

Kruche ręce starca chwyciły go za głowę.

Próbował się ruszyć, lecz jego kończyny były jak z waty - słabe, bezwładne i miękkie. Po raz nie wiadomo który ostatnimi czasy

wydało mu się, że umiera. Nie miał już sił, by walczyć.

I nagle wszystko się skończyło. Bolesław przestał spadać, ból odstąpił, świat zwolnił, aż w końcu zupełnie się zatrzymał. Uczucie strachu minęło, wyparte przez chłód. Przerażliwy, niemal śmiertelny chłód dosięgający każdego zakamarka jego ciała. Młody książę wciągnął haust powietrza. Było mroźne i krystalicznie czyste. Pachniało górami. Otworzył oczy. Jasne promienie słońca padły mu na twarz, oślepiając go na chwilę. Wysoko nad głową ujrzał śmigający radośnie obłoczek, nasuwający mu na myśl chmurę dymu wypuszczaną z fajki jego ojca.

- Co się stało? Gdzie orzeł? - spytał słabym głosem. Jego twarz niemal wtopiła się w leżący dookoła śnieg.

- Jaki orzeł?

- Orzeł. Był tutaj. Siedział przede mną i gapił się na mnie. Później źle się poczułem. Spadałem...

Starzec chwycił go za brodę i spojrzał mu głęboko w oczy. Bolesław znów poczuł, jak jego dusza jest odzierana ze swych tajemnic, lecz to uczucie trwało krócej niż brzdęk tłuczonego szkła. Nagle stał się senny. Głowa zrobiła się ciężka, oddech płytki, a powieki przykleiły się do skóry i nie chciały się podnieść.

- Nie śpij. Iść musimy - szorstki głos Cyryła docierał do niego jak zza grubej kotary. Próbował go zignorować, lecz ten wciąż nacierał, nie pozwalał mu odpocząć. Był jak wrzód na dupie, jak bezsenna noc.

Bolesław otworzył nagle oczy. Senność prysła, uczucie chłodu wróciło.

- Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

- Już dobrze. Twój dar zabić cię chciał. Błogosławieństwem on jest, ale i przekleństwem. Silny jesteś, nie dałeś się. Wstawaj teraz, iść musimy.

Bolesław podniósł się z trudem i spojrzał dookoła. W oddali ujrzał znajomy kształt skały, która przypominała mu potężną maczugę trzymaną w dłoni przez garbatego wojownika. Obok niej znajdowała się jej młodsza siostra, która pod wpływem kaprysów Matki Ziemi

wyglądała niczym wyrośnięty niemowlak z piersiami jak u dorodnej dziewczki. Za nimi wzbijał się w niebo spiczasty wierzchołek Góry Odrodzenia, za którą znajdował się jego dom.

- Chodźmy - powiedział, prawie krzyknął i, nie czekając na starca, ruszył w dół, brnąc w sięgającym do połowy łydek śniegu.

Pani Noc ponownie skryła świat w czerni swego płaszcza, lecz nawet ona nie zdołała go zatrzymać. Migoczące w górze gwiazdy przytłaczały niebo swą ilością, a błyszczące oblicze księżyca uśmiechało się do wędrowców w milczeniu. Z czego on się tak cały czas cieszy? Napił się czy co? Uciekinierzy stopniowo zacierali w dół, aż znaleźli się w wąskiej dolinie otoczonej ze wszystkich stron stromymi zboczami, na których jakimś cudem zdołały wyrosnąć niewielkie iglaste krzewy. W oddali słyszeli stłumione dźwięki przyrody. Gdzieś zakrakało ptaszysko, gdzieś rytmicznie kapiała woda. Nad nimi ponuro zawodził wiatr, jakby chciał wylać z siebie wszystkie żale ludzkości, a w dole skrzypiał śnieg. Pewnie wiedział, że już niedługo przemieni się w zwykłą wodę i chciał jak najdłużej pozostać na kartach powieści. Droga była jednostajna i monotonna. Górskie szczyty otaczały ich ze wszystkich stron, potęgując uczucie przygnębienia. Szli miarowym tempem. Kilka razy musieli się wspinać po niewidocznych ścieżkach lub brnąć w głębokim śniegu, a wtedy każdy krok kosztował ich bardzo wiele wysiłku. Nie myśleli jednak o opanowującym ich zmęczeniu. Cel dodawał im sił. Nawet się nie zorientowali, gdy gęsty mrok zaczął się stopniowo przemieniać w poranną szarugę, a ta w nowy dzień. Szli dalej i dopiero w południe zdecydowali się na krótki odpoczynek. Usiedli na niewielkiej polance, radując się ciepłymi promieniami słońca padającymi na ich strudzone twarze. Zaraz jednak ruszyli dalej. Skąd brali na to siły, tego nawet oni nie wiedzieli. Czy to była magia, czy zwykły strach?

Krajobraz ulegał powolnej metamorfozie. Skalne, sięgające chmur i pokryte wieczną czapą śniegu szczyty ustępowały łagodniejszym wzniesieniom. Gdzieś z boku leniwie płynął górski potok, który później przemieni się w rwącą rzekę. Czasem w górze mignęła im

przed oczami skacząca kozica, innym razem ujrzeni rdzawe futro rysia lub innego zwierza. I tylko raz, gdzieś w oddali, dał się zauważyć ślad ludzkiej obecności. Szara smuga dymu wzbijała się z niewielkiej chatenki zbudowanej pośród niczego i rozplywała po bezkresnym niebie.

Pod wieczór zaczął padać deszcz ze śniegiem. Zmęczeni uciekinierzy ostatkiem sił zdołali doczłapać się do schowanej między skałami groty. Była ciasna, niska i wilgotna, lecz przynajmniej dawała schronienie przed złośliwością Pani Zimy. Z radością zatopili się w jej wnętrzu, rozpalili niewielki ogień i po krótkiej chwili pogrążyli się w płytkim, niespokojnym śnie.

Pierwszy przebudził się Bolesław. Był zmarznięty i głodny. Tak głodny, że obudziło go przeciągłe burczenie dochodzące z trzewi bohatera jego snu. Tak głodny, że marzył nawet o śmierdzącej ziemi i stęchlizną zupie, którą przyrządzał mu starzec. Lecz nawet tego szkaradztwa niedane mu było skosztować. Podniósł powoli swe umęczone ciało i najciszej, jak potrafił, udał się do wyjścia.

Pierwszą rzeczą, którą poczuł, była wiosna. Drugą – odór cebuli, potu i alkoholu. Parę kroków przed sobą ujrzał tajemniczego mężczyznę w białym, sięgającym do samej ziemi płaszczu, na wierzchu którego widniała wyszyta złocistą nicią błyskawica. Mężczyzna uśmiechał się do niego radośnie, choć jego oczy były zimne jak otaczający go śnieg.

- No wreszcie się obudziłeś, synu Jarogniewa. Cały świat cię szuka, a ty sobie drzemki urządzasz.

- Ktoś ty? - odezwał się hardo, choć serce niemal wyskoczyło mu z piersi. W przybyszu było coś niepokojącego. Coś, co sprawiało, że nogi się pod nim ugięły, a po skórze przeszły ciarki.

- Jestem solą tej ziemi.

- Kim?

- Jestem światłem świata. Moje imię nic ci nie powie, więc pozwól, że je pominę. Zresztą to nie ja chcę z tobą rozmawiać, tylko ktoś znacznie ważniejszy od skromnego sługi bożego, który stoi przed

tobą. Racz zatem udać się ze mną po dobroci. Konie już czekają. A o swego sędziwego przyjaciela się nie bój. Poradzi sobie, tak jak to robił przez długie lata. Ruszajmy, synu Jarogniewa, szkoda czasu.

Młody książę mrugnął kilkakrotnie powiekami, zastanawiając się, czy nadal śni. Coś mu jednak mówiło, że to nie sen. Przyjrzał się baczniej niezwyklemu przybyszowi i odparł równie podniosłym co on tonem:

- Czuję się niezwykle zaszczycony, że moja skromna osoba cieszy się takim zainteresowaniem. Mam jednak inne plany, więc jeśli twój zleceniodawca chce koniecznie zamienić ze mną kilka słów, zmuszony będzie pofatygować się osobiście do pałacu mego ojca. Tam właśnie kieruję swe kroki. A teraz wybacz mi, panie, lecz znużyła mnie ta rozmowa. Racz być tak miły i zejść sprzed mego oblicza, bym mógł w spokoju oddać mocz.

Mężczyzna zarechotał chrapliwie.

- Źle mnie zrozumiałeś, książę. Ja cię nie pytam, czy zechcesz łaskawie mi towarzyszyć. Ja ci rozkazuję.

Tajemniczy przybysz wsadził dwa palce do ust i gwizdnął przeciągle. Dźwięk wypełnił całą kotlinę i jeszcze przez długi czas dźwięczał w uszach młodzieńca. Nagle wokół niego pojawił się tuzin złowrogich mężów, ubranych w takie same płaszcze jak jego rozmówca. Żaden z nich się nie uśmiechał. Część trzymała w dłoniach wycelowane w niego kusze, część ścisnęła ostentacyjnie rękojeści mieczy, a wszyscy bez wyjątku razili go pełnymi pogardy spojrzeniami.

- Mam nadzieję, że okażesz się rozsądny i nie będziesz sprawiał problemów, synu Jarogniewa.

Książę rozejrzał się dookoła niepewnym wzrokiem. Tysiące myśli kotłowały się w jego głowie, jednak żadna z nich nie podsunęła mu rozsądnego rozwiązania. Wręcz przeciwnie - im dłużej się zastanawiał, tym bardziej zdawał sobie sprawę z beznadziejności swego położenia. Ledwo jakimś cudem zdołał się wyrwać z jednej niewoli, a już ponownie znalazł się w opałach.

Ja to chyba nie mam szczęścia - pomyślał z niespotykanym u siebie czarnowidztwem.

Nagle tuż pod skórą poczuł delikatne muśnięcie pulsującej iskry. Świadomość jej obecności poprawiła mu trochę humor, nie na tyle jednak, by wygonić z głowy ponure myśli.

- Mam jakiś wybór? - spytał dowódcy oddziału, jakby to w nim chciał znaleźć oparcie i odpowiedź.

- Masz - odparł tamten lekkim tonem, nie chcąc zawieść pokładanego w nim zaufania. - Zawsze możemy cię pobić i związać jak psa.

Kilku mężczyzn zaśmiało się szyderczo.

Iskra stawała się większa, coraz natarczywiej dawała znać o swojej obecności. Bolesław wprost czuł, jak nieprzebrana fala magii kotłuje mu się pod powierzchnią skóry, czekając tylko na jego znak. Przypominała wezbraną rzekę powstrzymywaną przez słabnącą tamę. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Czuł, że nie ma nad nią żadnej kontroli.

Świat zwolnił. Ucichł śpiew ptaków, szelest drzew i świst wiatru. Serce młodzieńca biło w spowolnionym rytmie. Cyk... cyk... cyk... Oddech stał się płytki. Książę powiódł wzrokiem po twarzach rycerzy. Widział ich niezwykle wyraźnie, tak jakby stał tuż przed nimi. Każda zmarszczka, skaza, blizna czy każdy pieprzyk jawiły mu się z niezwykłą ostrością. Patrzące groźnie oczy odkrywały przed nim swoje najgłębsze tajemnice - nawet te, o których istnieniu nie wiedzieli ich właściciele. Były jak otwarta księga, w której mógł do woli czytać.

Poczuł olbrzymią pychę i aurę autorytetu bijącą od dowódcy oddziału i zamaskowany aroganckim uśmiechem strach, dobywający się z serca rudowłosego młodzika o orlim nosie i nikłych niczym sumienie polityka barkach. Poczuł fanatyzm i rządę krwi dobywające się z wysokiego rycerza o wyłupiastych oczach i szerokich ustach, które przywodziły na myśl żabę. Jego rozszerzone nozdrza i nerwowe ruchy świadczyły o tym, że aż się pali, by sprać kogoś po pysku. Tuż

obok stał, podpierając się mieczem, niższy o głowę i sporo starszy zakonnik, w którym Bolesław wyczuł kłębiące się wątpliwości i tęsknotę za ciepłym pocałunkiem żony. Z boku mierzył do niego z kuszy zarośnięty niczym tysiącletni bór drągał, który tylko czekał na nieopatrzny ruch Bolesława. Jego palec wskazujący wykonywał niecierpliwe ruchy na spuście, jakby dostał padaczki, a wzrok aż parzył nienawiścią.

Cisza stawała się coraz bardziej namacalna, a rycerze byli coraz bardziej niecierpliwi. Ktoś chrząknął znacząco, ktoś inny stuknął mieczem o tarczę. Ktoś też posłał w świat produkty uboczne układu trawienia i zaśmiał się chełpliwie.

- Nie bądź głupcem, książe. Nie zmuszaj mnie, bym cię związał i potraktował jak jakiegoś zbója. Nie próbuj też zgrywać bohatera. Nic ci to nie da.

Bolesław bynajmniej nie zamierzał zgrywać bohatera. Samo tak wyszło. Tama wstrzymująca iskrę pękła tak nagle, że nie zdążył się zorientować, kiedy z jego dłoni wyleciały trzy śmiertelne pociski. Kierowały się wprost ku najbardziej niebezpiecznym przeciwnikom. Pierwszy zginął zabowaty. Żarząca się czerwienią kula trafiła go w pierś, przebiła zbroję, skórę, mięśnie i zatrzymała się na sercu, wypalając w nim dziurę wielkości jabłka. Zaraz po nim padli dowódca i zarośnięty drągał. Żaden z nich nie zdążył nawet krzyknąć. Pozostali rycerze stanęli jak wryci, nie wiedząc, co się dzieje. Dopiero zgrzyt zwalnianego spustu kuszy trzymanej w drżących rękach przez rudowłosego młodzika wyrwał ich z transu bezwładności. Strzała poleciała wysoko w powietrze i upadła bezwładnie kilka metrów przed roztrzęsionym młokosem. Reszta zebrała się w sobie i nim w dalekiej krainie pewien staruszek zdołał wykrztusić dwa słowa, cztery strzały pędziły w stronę Bolesława. Młody książe widział je jak na dłoni. Czas zdał się płynąć innym tempem, a strzały leciały ku niemu z prędkością kulawego zająca. Ze stoickim spokojem zdołał się odchylić tak, że minęły go w bezpiecznej odległości i odbiły się z łoskotem od skał. Tymczasem z jego dłoni wyleciały kolejne pociski,

które zaraz zebrały śmiertelne żniwo wśród zaskoczonych wrogów. Pozostali zakonnicy natychmiast ruszyli z impetem. W ich rękach zaśniła stal. Gdzieś wysoko nad nimi zatoczył koło popielaty sęp, czekając cierpliwie na nadchodzącą ucztę.

Pierwszy dopadł księcia łysiejący wojownik o szerokich barach i wyszczerzonych w nienawiści ustach. Ciął z góry, celując w szyję młodzieńca, lecz stal przeszła tylko pachnące nadchodzącą wiosną powietrze. Bolesław odchylił się w bok i nim napastnik zebrał się do kolejnego ciosu, jego pięść wylądowała na kartoflanym nosie symonity, a ręka przechwyciła oręż. Kątem oka zobaczył zbliżający się w swoją stronę miecz, więc chwycił barczystego łysola za ramię i obrócił nim o dziewięćdziesiąt stopni. Po chwili puścił opadające ciało z wystającym z piersi mieczem, przeturlał się w bok, zaszedł napastnika od tyłu i jednym ruchem skrzył mu kark. Wyjął mu broń z ręki i ciął nim dwóch kolejnych symonitów, którzy nie zdążyli się zasłonić.

Napastnicy nacierali coraz bardziej. Siekali mieczami dookoła Bolesława z żarliwością wyposzczonego koguta rzucającego się na jedyną kurę we wsi. Żaden z ciosów nie dosięgnął jednak celu. Księżę blokował, zastawiał i unikał pchnięć z niezwykłą łatwością, jakby brał udział w karczemnej potańcówce. W końcu na placu boju pozostało tylko trzech przeciwników. Jednym z nich był przestraszony rudzielec, który do tej pory starał się trzymać jak najdalej od strefy walki, na tyle jednak blisko, by nikt nie posądził go o tchórzostwo. Teraz to już nie miało większego znaczenia. Dwójka jego towarzyszy niemal równocześnie zatopiła się w mroku niewiadomego, zostawiając go sam na sam z oszalałym księciem i własnym strachem.

- Nie zabijaj mnie, błagam - zaskomlał, upuszczając oręż i klękając z rękoma złożonymi jak do modlitwy.

Bolesław nie miał jednak litości. W jego zakrytych białą mgłą oczach grzmiały potężne błyskawice, a pięść zacisnęła się z całej siły na rękojeści pokrytego ściekającą posoką miecza. Oddychał szybko przez zaciśnięte zęby, nie panując nad zalewającą go złością. Czuł się

niezwykle silny, potężny i głodny. Głodny krwi swych wrogów. Z bezwzględną miną zbliżył się do brata zakonnego, wyczuwając charakterystyczną woń moczu i ekskrementów. Stał tuż przed nim. Jego twarz skierowała się ku słońcu i wydobyła z siebie przeciągły krzyk, jęk, zwierzęcy ryk:

- Auuuuuuuuuuuuu!

- Boże mój, tyś jest moją opoką. Wysłuchaj głosu twego sługi...

Bóg nie słyszał młodzieńczego zakonnika, Pani Śmierć owszem. Już biegła w jego stronę, radosna i straszliwa zarazem. Już stanęła tuż obok, przeciągnęła palcem po bladej skórze, zrobiła dzióbek i czekała na to, co zrobi syn Wielkiego Księcia. A ten się nie śpieszył. Podszedł do trzęsącej się ofiary i chwycił ją lewą ręką za szyję.

- Oszczędź mnie, błagam...

Gorejące czerwonym blaskiem ślepie Bolesława wpiły się w oczy rudzielca, a jego rozczapierzona dłoń cofnęła się, by nagle wystrzelić z całej siły w pierś symonity.

- Auuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu - zawył po raz drugi.

Ciało zakonnika upadło tuż koło jego stóp.

Gęsta mgła zaczęła powoli opadać z jego oczu. Bolesław zachwiał się i runął na ziemię. Chciał się podnieść, lecz nie mógł, nie miał już sił. Nie miał sił na nic. Chciał tylko leżeć, spać, wpaść w niebyt, przestać istnieć. Ostatkiem woli spojrzał na własną dłoń, lecz nawet widok ludzkiego serca, wyrwanego żywcem z piersi rudzielca, nie zrobił na nim wrażenia. Było mu wszystko jedno. Zasnął.

Gdy się obudził, było już ciemno. Leżał w niewielkiej grocie w towarzystwie odoru wilgoci, pleśni i stęchlizny. Dopiero gdy jego oczy przyzwyczały się do wszechogarniającej czerni, zdołał dostrzec sylwetkę swego mistrza. Cyryl Pustelnik siedział dwa kroki od niego i wpatrywał się w młodzieńca zaszepionym wzrokiem. Jego twarz wyglądała niczym wykuta w skale i tylko brwi to podnosiły się, to opadały. A pod nimi, w zmrużonych oczach, czaił się prawdziwy strach.

Starzec nie był świadomy wydarzeń, które rozegrały się tego ranka. Był wtedy pogrążony w niezwykle realnym śnie o beztroskich czasach, gdy pluskał się ze swym bratem w niewielkiej sadzawce na terenie rozległych ogrodów swego ojca. Czasach, gdy nie zadawał egzystencjalnych pytań, na które musiał później przez długie lata szukać odpowiedzi. Czasach tak dawnych, że czasem sam nie był pewien, czy one kiedykolwiek istniały. Jak by nie było, nawet przerażający krzyk jego ucznia nie zdołał go wyrwać z kojących objęć snu, a jedynie lekko zakłócił obcowanie z zamierzchną przeszłością. Obudził się dopiero wtedy, gdy zbłąkany kret pomylił jego długą brodę ze swym legowiskiem i zaczął boleśnie drapać skrywającą się pod włosami skórę. Złapał wtedy zwierzaka za kark i, nie bacząc na ostre zęby wbijające mu się w dłoń, postawił go na ziemi. Kret czym prędzej czmychnął w pozajaskiniową przedwiosenność, a po chwili jego śladem podążył ponad stuletni mędrzec.

Uśmiechnął się do siebie, gdy radosne promienie słońca padły na jego bladą twarz. Zamrugał kilkakrotnie powiekami, chcąc przyzwycząić oczy do jaskrawego światła. Nozdrza z lubością wciągnęły zapach budzącego się po zimowym śnie świata. Czas Pani Zimy w szybkim tempie dobiegał końca, choć ta jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Z walecznością ранnego niedźwiedzia stawiała opór nadchodzącej wiosnie, choć jej walka była z góry przegrana. Jak co roku, od początku świata. Jak co roku, aż do końca świata.

Cyryl zrobił krok w przód. Był zadowolony, spokojny, wyspany. I nagle ten nieczęsty mu stan ducha rozwiął się niczym dym z komina pod wpływem szalejącej wichury.

To chyba zły sen – pomyślał z niedowierzaniem, po czym uszczypnął się w boleśnie w przedramię.

Nie, to nie był sen. Widok, który ukazał się jego oczom, był jak najbardziej prawdziwy. I zaręczam, iż nie był to widok przyjemny. Gdzieś z oddali doszło go nerwowe parskanie koni, zagłuszając na chwilę stukot jego serca. Usłyszał coś jeszcze – płytki, urywany

oddech. Arystokratyczny oddech. Gałki jego oczu bezwiednie skierowały się w tamtą stronę i padły na znajomy kształt.

- Bolesław?

Zrobił kilka kroków, zachwiał się, upadł, wstał i znów upadł. Przyczłapał się do Bolesława i nachylił nad nim, szukając oznak życia. Potem odetchnął z ulgą.

I wtem to zobaczył. Zakrwawiony kawałek mięsa rozpostarty na książęcej dłoni. Serce. Ludzkie serce. Pokrwawione serce, jeszcze ciepłe, lecz już nieruchome. Dwa odrębne wątki połączyły się w jedną całość i nagle starcem wstrząsnęły potworne mdłości.

A teraz siedział oparty o nierówną ścianę jaskini i patrzył niewidzącym wzrokiem na księcia.

- Co się tak we mnie wpatrujecie, mistrzu pustelniku, jakbyście jakąś strzygę ujrzeli?

Starzec wciąż milczał.

- Ależ ja jestem głodny - kontynuował młodzieniec, nie zdając sobie sprawy z kołowrotu myśli przelewającego się przez głowę Cyryla. - Zjadłbym nawet konia z ogonem, nie mówiąc już o kopytach. Te lubię najbardziej. Ech, cóż ja gadam. Zjadłbym nawet tę paskudną breję, którą mnie karmiliście przez ostatnie tysiąc lat. Macie może jakąś miseczkę, mistrzuniu? Chociażby malutką? Cokolwiek?

Starzec nie odpowiedział. Nawet się nie poruszył. Tylko jego brwi nieznacznie powędrowały do góry.

- A cóż wy, mistrzu asceto, tacy markotni? Stało się coś? A może wyście się na mnie obrazili? Nie mam pojęcia za co, lecz z wami to nigdy nic nie wiadomo. Może coś powiecie? Żyjecie w ogóle?

Brwi opadły.

- Ech, co za człek. Człowiek tu z sercem jak na dłoni chce pogadać, a ten nic, tylko wlepia we mnie swoje ślepie, aż mnie ciarki przechodzą... No nic, pójdę się przejść. Może coś upoluję do jedzenia, bo mi bebechy zaraz wyskoczą z tego głodu. Czuję, jakbym nie jadł od narodzin swego syna, którego zresztą nie posiadam... chociaż kto wie, kto wie.

To powiedziawszy, Bolesław wygramolił się z jaskini. Zaraz jednak stanął.

Kolejne chwile jego życia były jak obrazy w kalejdoskopie. Rozczłonkowane trupy, szok, krew na ziemi, krew na rękach, wystraszony wzrok Cyryla, ciemność, jasność. Amnezja. Głos starca dobiegający z daleka, uderzenie pioruna, chłód. Znów mrok, znów jasność. Chłód, gorąc. I tak w koło Macieju przez nie wiadomo jak długi czas.

I w końcu się obudził. Leżał w tej samej jaskini co poprzednio, w towarzystwie Cyryla. Starzec, jak to starzec, smacznie sobie pochrapywał, gwizdząc przez nos i machając rękoma, jakby odganiał się od natarczywej muchy. Bolesław spojrzał na niego z politowaniem i nagle wspomnienia wróciły. Wszystkie co do jednego. Przypomniał sobie srogą twarz cudzoziemskiego żołnierza w białym płaszczu, krótką rozmowę, jego kamratów, walkę, rzeź, rudzielca, serce. Przypomniał sobie wszystko i nagle poczuł nieznane mu uczucie – strach przed samym sobą. Nie chciał już dłużej siedzieć. Nie mógł.

- Niech to szlag! - krzyknął głośno i chwycił starca jak worek mąki, przerzucił przez ramię i wyniósł z jaskini. Starzał się nie patrzeć na krwawe skutki własnego szału, tylko czym prędzej przebierać nogami, by uciec jak najdalej. Gdzieś z boku zahukała sowa, przypominając mu o bohaterskich bliźniakach, którzy poświęcili dla niego swe życia. Pomyślał także o ojcu, o matce, przyjaciółach. A później już o niczym nie myślał. Nie miał siły. Po prostu szedł wąskim wąwozem otoczonym zboczami gór, z rzadka porośniętymi drobnymi krzewami. Kilka razy się zachwiał, czując, jak z każdym krokiem ciało starca waży coraz więcej. W końcu nie wytrzymał i cisnął swym mistrzem, wrzucając go w pobliską zaspę śniegu.

Cyryl zacharczał, stęknął, jęknął i otworzył oczy. Wymamrotał coś niewyraźnie i spojrzał na Bolesława. Zmarszczki na jego czole zafalowały, jakby próbowały na nowo odnaleźć swoje miejsce na wiekowej twarzy. Brwi uniosły się i opadły, usta rozwarły, by wypluć

z siebie nieprzystającą do majestatu mędrca wiązanę, lecz zaraz zamknęły się, ograniczając się jedynie do krótkiego syku.

Cyryl łypnął jeszcze złowrogo w stronę młodzieńca, wstał, otrzepał spodnie ze śniegu i ponownie spiorunował Bolesława jeszcze bardziej morderczym spojrzeniem. Potem ruszył zanim.

Pod wieczór ujrzeli kolejny ślad ludzkiej bytności – niewielką chatkę stojącą na otoczonej lasem łączce. Ruszyli w tamtą stronę, mając nadzieję, że znajdą tam ciepłą izdebkę i kawałek podłogi do spania. Im jednak byli bliżej, tym czuli większy niepokój. Powietrze zdawało się stawać coraz gęstsze, nieruchome, utrudniające oddychanie.

- Nie podoba mi się tutaj – szepnął syn Wielkiego Księcia, lecz starzec go zignorował. Wciąż boczył się na niego, że ten śmiał w taki sposób potraktować jego wymagający nabożnego szacunku majestat.

Podeszli jeszcze bliżej. Chatka wyglądała niczym istna ruina, która tylko jakimś cudem zdołała oprzeć się niszczycielskiej sile natury. Dwadzieścia kroków przed nią stała kamienna studnia, otoczona kilkoma wystruganymi w drewnie rzeźbami. Bolesław zatrzymał się przed jedną z nich i aż musiał się cofnąć na widok upiornej twarzy z powykrzywianymi rysami, włosami z wijących się żmij oraz najprawdziwszymi gałkami ludzkich oczu włożonych w zagłębienia. Coś pod jego stopą trzasnęło. Spojrzał w dół i ujrzął ludzką czaszkę. Kilkanaście ludzkich czaszek, wśród których dojrzeć można było całe szkielety. Zrobiło mu się słabo. Odwrócił się w stronę starca i spojrzał na niego, dając mu głową znak, by jak najszybciej stąd uciekli. Wydało mu się, że z chaty dobiega go jakiś złowrogi szept. Zaczął biec, byle jak najdalej od przeklętej łąki. Ulżyło mu, gdy tuż za sobą usłyszał charakterystyczny odgłos sapania starca, który starał się dotrzymać mu kroku. Przyśpieszył jeszcze bardziej, a zwolnił dopiero, gdy przeklęta łąka zniknęła z zasięgu ich wzroku. Powietrze znów stało się przejrzyste i lekkie, a strach krępujący ich ruchy minął bezpowrotnie. Ani słowem nie wspomnieli o dziwnym

uczuciu, które kłębiło się w nich pośród przerażających rzeźb. Są rzeczy, o których nie powinno się głośno mówić.

W końcu znaleźli odpowiednie miejsce na nocleg. Zbudowali prowizoryczny szałas, rozpalili niewielkie ognisko i udali się spać.

Długi dzień nareszcie dobiegł końca, lecz był on niczym w porównaniu z tym, co miała przynieść przyszłość.

Rozdział 3

Żaden człowiek nie jest w stanie oprzeć się potędze bogów. Wystarczy, że któryś z nich splunie, a tysiące domostw unosi się z bystrym nurtem. Wystarczy, że któryś chuchnie, a całe wsie zostają spustoszone, rozwiane na cztery wiatry. Gdy bóg tupnie – wszystkie plemiona drżą ze strachu. Inny z fajki palonej popiół na ziemię strzepnie, pokrywając kurzem całe krainy, a wyspy w niszczącym ogniu pograży, gdy nieopatrznie żar mu z niej spadnie. Jakże jedna mała łupinka mogłaby się oprzeć ich niszczycielskiej sile? Jakże kilkoro śmiałków mogłoby mierzyć się z potęgą bogów? Nie mieli szans. A jednak walczyli.

Dziesiątki rąk, dziesiątki nóg za wszelką cenę próbowały utrzymać statek na powierzchni szalejącej wody. Maszty już dawno zostały połamane, a wielu dzielnych marynarzy złożyło swe życia w ofierze, lądując w oceanie. Bogowie jednak bywają nienasyceń. Chcą więcej. Chcą wszystkiego. Ich ubrana w czarną suknię koścista oblubienica przechadzała się ze spokojem po rozkołysanym pokładzie, składając na zsiniałych wargach suche pocałunki. Nie miała litości. Z pokorą spełniała krwawe kaprysy swych władców, którzy z uśmiechem na twarzach obserwowali z usianych trwogą tronów łapczywą walkę o życie. Dziwili się przy tym ogromnie. *Czegóż ci śmiertelnicy tak bardzo się trzymają? Cierpienia, głodu i bólu? Po cóż oni chcą żyć w tej nędzy i płaczu?*

Potężne fale kołysały koga na wszystkie strony, jakby ta była małym kawałkiem drewna wrzuconym przez jakiegoś szkraba do miski wirującej wody. Wysoko nad nią trwała prawdziwa kanonada grzmotów, huków i błyskawic. Wiatr to przyśpieszał, to zwalniał, dając złudną nadzieję na spokój, i znów przyśpieszał. Jeszcze bardziej, jeszcze mocniej. Dziesiątki gardeł wyszeptywały tysiące słów, prosząc wszystkich znanych bogów o zmiłowanie. Ci jednak byli głusi na ich prośby.

- Bogowie nie chcą modłów. Bogowie żądają ofiar - ryknął nagle Tachiw, postawny mężczyzna o barach szerokich niczym miejska brama, będący na statku pierwszym oficerem. Jego głos przedarł się przez świst wiatru, szum fal oraz huk piorunów i dotarł do uszu bujnie zarośniętego marynarza, którego ręce kurczliwie trzymały się kikuta po złamanym maszcie, a nos szorował po szorstkich deskach pokładu. - Wiedzą, że chcieliśmy ich oszukać. Musimy ich przebłagać. Dziewczyna musi zginąć. Tylko wtedy nam odpuszczą.

- To na co czekamy? Zgładźmy plugawą zarazę - zgodził się z nim zarośnięty. - Winniśmy to wcześniej zrobić.

Równocześnie ruszyli w stronę pomieszczeń dla załogi. Pokład pod nimi kołysał się na wszystkie strony, więc co chwila musieli się czegoś trzymać. W pewnym momencie duży strumień wody niemal zmiotł ich z powierzchni pokładu. Mężczyźni rąbnęli z hukiem o drewnianą burtę. Kolejna fala już nadchodziła. Statek przechylił się niebezpiecznie na prawą stronę, balansując na samej krawędzi, i tylko jakimś cudem zdołał się utrzymać na tafli wody. I nagle wystrzelił w powietrze niczym olbrzymia pchła, by po chwili zatopić pysk w zimnej otchłani. Pierwszy oficer kątem oka ujrzał dwóch majtków wpadających do wody. Topielcy zaczęli młócić rękoma, drąc się wniebogłosy o pomoc. Ratunek jednak nie nadszedł. Każdy samotnie musiał toczyć nierówną walkę z własnym przeznaczeniem. Zaraz też Tachiw znalazł się dwiema nogami poza burtą. W ostatniej chwili jego dłonie zacisnęły się na majtającej we wszystkie strony

linie i zawisł w powietrzu, z ciałem targanym niczym dawno już zdmuchnięta bandera.

- Trzymaj się. Już idę! - krzyknął jego kamrat, po czym chwiejnym krokiem ruszył mu na ratunek.

Wiatr ucichł, pograżając świat w chwilowym bezruchu, jakby bogowie ciekawi byli dalszych wydarzeń. Tylko wzburzone fale wciąż wściekle waliły o kruchą burtę statku.

Dłonie oficera zaczęły słabnąć. Lina boleśnie wbijała mu się w skórę, powodując krwawe otarcia. Tracił siły z każdym wdechem przesiąkniętego morską solą powietrza.

- Pomooocy! - zdołał jeszcze krzyknąć, po czym silny podmuch wiatru porwał jego ciało, które boleśnie uderzyło o nadbudówkę. Usłyszał trzask własnych kości, będący preludium do pulsującego bólu. Przymknął powieki i zawył niczym ranny łoś. Po chwili zamilkł.

- Żyjesz? - usłyszał wypowiedane z oddali słowa.

Otworzył oczy i ujrzał pochylającego się nad sobą towarzysza morskich wojaży. Stary wilk morski trzymał go za zakrwawioną głowę, starając się przekrzyczeć gniew bogów.

- Żyję - odparł, zbierając się w sobie. - Pomóż mi wstać. Musimy zgładzić tę przeklętą dziewczkę, bo inaczej wszyscy tu zginiemy.

Daleko na górze Ojciec Wiatrów przetarł gwiazdziste oczy ze zdumienia. Siedzący obok niego Pan Burzy uśmiechnął się radośnie. Posłał w niebo tysiące grzmotów, by mogli lepiej widzieć rozgrywający się dramat. Jeden z nich nieopatrznie trafił w taflę wody, parę kroków od statku.

- Uważaj - syknął wiatrorządny i wypuścił powietrze z ust.

Koga przechyliła się na lewą burtę.

- To przestań dmuchać - zdenerwował się gromowładny bożek. - Ciekawy jestem, co zrobią.

- Jak sobie życzysz - odparł Ojciec Wiatrów i ponownie wstrzymał oddech.

A może ich wcale nie było?

Dwójka mężczyzn raz jeszcze ruszyła pod pokład. Pokonała kilka ostatnich schodków i znalazła się przed skromną kajutą, zajmowaną przez sprawczynię ich nieszczęścia. Tachiw wyciągnął przypięty do lewej łydki sztylet i spojrzał na swego kompana. Jego skryta w mroku twarz pałała bezwzględna wiarą we własne czyny. Jedno oko miał całe zalane krwią, która strużką wyciekała z rozbitego łuku brwiowego. Rozerwana koszula odsłaniała kolejne zadrapania, a masywna pierś unosiła się z każdym łapczywym oddechem. Zakręciło mu się w głowie, więc oparł się o swego towarzysza.

- Dobrze się czujesz? - spytał wilk morski. On także wyglądał jak siedem nieszczęść. Rozwichrzone włosy, sterczące każdy w inną stronę, fioletowy guz na środku czoła, zmatowiałe źrenice i ziemista cera świadczyły o porządnym sponiewieraniu.

- Tak - odparł Tachiw. - Skończmy to wreszcie.

Otworzyli drzwi. Statek kolejny raz się przechylił, powodując, że Tachiw wpadł z impetem na krążący po kajucie stolik.

- Do kroćset! - ryknął z wściekłością. Nagle jego wzrok padł na skuloną w kącie rudowłosą dziewczynkę. Siedziała w samym rogu kajuty, ubrana w męskie spodnie i płócienną koszulę, lecz najwyraźniej to przebranie nie zdołało oszukać bogów.

- Tu jesteś, ty mała dziwko! - wysyczał, zbliżając się w jej stronę z trzymanym w ręku nożem. - Sprowadziłaś na nas gniew bogów, musisz zginąć.

- Zabij ją! - próbował pośpieszyć go czający się z tyłu wilk morski. - Nie ma czasu!

Jakby na potwierdzenie tych słów, mocny przechył targnął statkiem. Mężczyźni zatoczyli się jak pijani. Tachiw jedną ręką oparł się o ścianę. Nóż wypadł z jego dłoni, więc musiał się pochylić, by go podnieść. Natrafił jednak na pustkę.

- Szybciej! - krzyczał stojący z tyłu marynarz i nerwowo podrygiwał nogami. - Zabij ją, zanim bogowie zabiją nas.

Tachiw wciąż błędził ręką po omacku, aż w końcu ponownie poczuł w dłoni przyjemny ciężar stali. Zacisnął mocno dłoń i ze

wściekłą miną ruszył w stronę płaczącej cicho dziewczynki o włosach koloru ognia.

Saliha drżała z zimna i przerażenia. Nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Jej ciałem targały torsje, a w brzuchu kotłowały się tysiące węży. W ostatniej chwili dojrzała przez załzawione oczy wykrzywioną w złości twarz. Starła się uciec, lecz nie miała gdzie. Zamknęła oczy, szykując się na śmierć, gdy nagle usłyszała znajomy głos:

- Zostawcie ją!

To był Achud.

Stary wilk morski, z zadziwiającą jak na jego wiek szybkością, odwrócił się i ciął nożem na wysokości szyi intruza. Ten jednak był jeszcze szybszy. Zablockował cios ramieniem, a drugą ręką huknął przeciwnika w twarz. Mężczyzna zachwiał się, wpadając na Tachiwa. Po chwili znów stał na nogach i ponownie zaatakował, rzucając się na mankruta. Achud zatrzymał go krótkim kopnięciem w brzuch, a po chwili doskoczył do niego i huknął z całej siły czołem w nos, poprawiając dla pewności uderzeniem łokcia w szczękę. Wilk morski padł na ziemię i zadławił się własną krwią. Achud wygiął szyję w obie strony, splótł dłonie i strzelił palcami.

- Zostaw dziewczynę w spokoju - powiedział do drugiego z napastników, lecz Tachiw go nie posłuchał. Nie zwlekając ani chwili, rzucił się na łkającą cicho dziewczynkę, chcąc złożyć jej życie w ofierze wściekłym bogom. Nóż nieubłaganie zbliżał się do jej gardła.

Zasłoniła twarz rękoma i zacisnęła powieki. Bała się. Tak bardzo się bała. Nagle zdawało jej się, że poczuła lekki powiew wiatru w okolicach szyi. Otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Widziała tylko wykrzywioną w upiornym grymasie twarz mordercy. Nic więcej. Nie widziała ani Achuda, ani noża, ani też stojącej obok Tachiwa kościstej kobieciny w czarnej sukni. Tej ostatniej zresztą nikt nie widział. Ona jednak tam była. Spojrzała po kolei na każdego z osobna i zaśpiewała, bezgłośnie poruszając bezzębnymi ustami.

- Siedzi świnia pod schodami, liczy zęby za zębami, tego szkoda, tego szkoda, wyrzucimy tego smroda. - Jej palec co sylabę wskazywał na nieświadomą niczego osobę, aż zatrzymał się na Tachiwie. Pani Śmierć uniosła swą kosę wysoko w górę i po chwili upuściła ją z impetem, wprost na szyję marynarza. Ten poczuł ostre ukłucie bólu. Obejrzał się za siebie i spojrzał zdumionym wzrokiem na stojącego tuż za nim Achuda. Po chwili dojrzał także trzymany przez niego nóż. Krew powoli skapywała z jego ostrza. Kap, kap, kap. Marynarz chciał wstać, lecz nie był w stanie. Jego świat zaczął powoli pogrążyć się w ciemności. Wszystko stawało się niewyraźne, aż w końcu została tylko pustka.

Pani Śmierć spojrzała baczniej na leżącą obok dziewczynkę i wydeła swe suche wargi. Już miała ponownie unieść kosę, gdy nieoczekiwanie zmieniła zdanie. Przesunęła tylko spiczastym paznokciem po bladej i rozdygotanej twarzyczce, odwróciła się i spojrzała prosto w oczy stojącego obok Achuda.

Nagle spieniona morda ogromnej fali uderzyła w burtę kogi. Statek prześlizgał się na jej grzbiecie kilkaset swych długości, wzbijając się od czasu do czasu w powietrze niczym morski skoczek. W końcu opadł bokiem. Wilgotne czeluści oceanu porwały go w swe objęcia, by po chwili wypluć niczym wpół przetrawione resztki. Niszczycielska siła wody zmiotła wszystko i wszystkich z pokładu i wdarła się w najbardziej niedostępne miejsca. Bogom widocznie było mało. Gdzieś wysoko świetlisty grzmot rozpoczął swoją podróż, by po krótszej niż oddech nosorożca chwili uderzyć w sam środek Zemsty Azdora. Statek chrząknął, mruknął, krzyknął i rozdzielił się na dwie niemal równe części. Dziób od razu pogrążył się w głębinie, by po chwili zaryć nosem w mulistym dnie. Tylna część jeszcze przez jakiś czas próbowała bronić własnego bytu, lecz ona również uległa sile żywiołu.

A bogowie się śmiali.

Gwałtowna burza, która przetoczyła przez okolice, zostawiła po sobie zniszczone szalasy, poprzewracane drzewa, kilka połamanych kości, parę ciał i... nową miłość. Miłość, której jednak niedane będzie się ziścić.

Syn wodza jednej z wiosek Archipelagu Kamiennego Wdechu siedział pod wielką palmą, trzymając w objęciach płaczącą ze strachu Zuri. Dziewczę wtulało się łapczywie w jego ramiona, jakby tam miało znaleźć spokój. Wiatr świstał im nad głowami, a grube krople deszczu przenikały przez korony drzew, padając na dwójkę młodych istot. Boipello nic sobie nie robił z kapryśków natury. Był szczęśliwy. Dla niego ta chwila mogłaby trwać całą wieczność.

- Cichutko. Już nie płacz - przemawiał z czułością do dziewczyny.

Podkochiwał się w niej od momentu, gdy ujrzał ją któregoś upalnego dnia, jak pluskała się radośnie w morzu w otoczeniu swych koleżanek. Od tamtej chwili śledził ukradkiem jej ruchy, a z każdym dniem uczucie przybierało na sile. Młoda Zuri stała się jego obsesją. I jego nieszczęściem. Chłopiec wiedział, że za niespełna trzy księżyce wkroczy w dorosły wiek i pojmie sobie żonę. Nie będzie nią jednak upragniona Zuri, lecz ktoś inny. Boipello znał już matkę swych przyszłych dzieci i bynajmniej ta wiedza nie sprawiała, że świat wydawał mu się wspaniały. Wręcz przeciwnie. Zawsze ilekroć widział jej obłe kształty, przypominające bardziej spuchniętą poczwara niż ludzką istotę, chciało mu się wyć do księżycy aż do utraty tchu. Codziennie modlił się do bogów o zlitowanie, lecz ci jak zwykle mieli ważniejsze sprawy na głowie. A czas biegł nieubłagane. Szpetna Belina o nogach większych od pni baobabu, głowie potężnej jak słoneczna tarcza i brzuchu, który zdawał się pochłoniąć zalaną przed wiekami połowę wyspy, odliczała dni do ślubu. Za dnia wodziła za swym przyszłym mężem spragnionym wzrokiem. Nocą też nie dawała mu spokoju, nawiedzając go w przerażających koszmarach, z których chłopak nie raz budził się z wrzaskiem, cały mokry od potu. Boipello groził, prosił i błagał ojca, by ten zmienił swą decyzję, lecz na próżno.

Honor rodu, słowo wodza i tuzin owiec posagu znaczyły więcej niż szczęście pierworodnego.

Teraz to wszystko nie miało znaczenia. Chłopiec zapomniał na chwilę o swej ponurej przyszłości, delektując się aksamitnym dotykiem skóry pięknej Zuri, która drżała wtulona w jego ramiona. Jego dłoń czule pieściła przypominające gliniane węże włosy o barwie sukni Pani Nocy, a oczy od czasu do czasu spoglądały na dorodne półkule, poruszające się w rytm oddechu ich właścicielki. Z lubością przyglądał się jej niewielkiemu noskowi, wysokiemu czołu, kościstym policzkom i nieskazitelnie czarnej skórze, na której widział wilgotne ślady łez.

Zuri uśmiechnęła się do niego nieśmiało, odsłaniając krwistoczerwone przerwy w uzębieniu. Wyglądała tak pięknie i tak dorośle. Jeszcze miała w pamięci potworny ból, gdy plemienny szaman wyrywał jej cztery siekacze podczas uroczystej ceremonii wkroczenia w świat dorosłych. A miało to miejsce dwa tygodnie temu, w pierwszą pełnię księżyca po jej pierwszym krwawieniu. Rany jeszcze się nie zagoiły i nawet najłżejszy podmuch wiatru przeszywał jej dziąsła niczym setka wbijających się igieł, lecz dziewczyna była z tego dumna. Stała się pełnoprawną kobietą, gotową do zamążpójścia.

Tylko kto mnie zechce? Taką kościstą brzydulę i do tego biedną jak krowa pastucha?

Wiatr ucichł. Nastąpiła cisza. Bezwzględna, upajająca i całkowita cisza, która zdawała się wchłaniać cały świat. Nawet zazwyczaj rozgadane ptactwo pochowało się w swoich dziuplach i nie śmiało zakłócać jej bezsensowną paplaniną. Kobiety też umilkły. Tak, to była wyjątkowa cisza.

Dwoje zakochanych trwało w bezruchu, delektując się własną bliskością. Dla nich świat mógłby się skończyć. Zuri zasnęła, oddychając miarowo, z głową opartą na umięśnionym torsie Boipello. Chłopiec bał się poruszyć. Bał się nawet zasnąć, by nie obudzić się z pustymi ramionami i niemłą perspektywą rychłego ślubu

z narzeczoną rodem z najstraszliwszych koszmarów. Dla niego czas stanął w miejscu. Nie obchodziło go, że reszta współplemieńców zaczęła ciężką harówkę nad naprawianiem zniszczeń po kichnięciu bogów. Wiedział, że powinien im pomóc, lecz nie mógł się do tego zmusić. Było mu tak dobrze.

- Witaj, gołowasio - usłyszał nagle harmonijny głos dziewczyny.

Ich spojrzenia spotkały się na krótką, pełną zmysłowości chwilę. W powietrzu zaiskrzyło.

- Witaj, szparozębna - odpowiedział chłopak i jeszcze mocniej ją objął.

- Nie musisz mnie tak ścisnąć. Burza już się skończyła. Ale... dziękuję.

Chłopak niechętnie zwolnił uścisk.

- Za co?

- Za to... że byłeś przy mnie. Zawsze bałam się burzy. Bez ciebie... - nagle urwała, jakby nie chcąc powiedzieć za wiele.

- Przy mnie nie musisz się niczego obawiać. Obronię cię przed wszystkim.

- Tylko tak mówisz - odparła Zuri i powoli podniosła się z ziemi.

Wyglądała wspaniale. Smukła figura, długie, patykowate nogi, płaski brzuch i kościsty tułów zwieńczony dwoma stromymi pagórkami. Niezbyt wielkimi, choć kryjącymi tajemnice wielkiej rozkoszy. Dla reszty współplemieńców była brzydulą, lecz chłopak widział w niej nieziemską piękność. Nigdy nie podzielał zamiłowania swoich braci do obłych kształtów i zwalistych sylwetek zwiastujących urodzaj i bogactwo. On wolał chude dziewczyny. On wolał Zuri.

- Mówię, jak jest.

- Ciekawe, czy to samo mówisz swojej narzeczonej.

Boipello prychnął ze wzgardą.

- Tej tłustej krowie? W życiu. Nawet nie wiesz, jak ja jej nie cierpię.

Zuri spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie wierzę ci. Przecież Belina jest najpiękniejszą dziewczyną we wsi.

- Ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną we wsi - odpowiedział od razu, szukając po omacku jej dłoni. - Najpiękniejszą dziewczyną na wyspie, a może i na świecie.

W tej chwili ponętna Zuri powinna spuścić skromnie ślipka, a jej policzki powinny zaróżowić się ze wstydu. Tak się jednak nie stało. Policzki pozostały takimi, jakimi były od chwili urodzenia. Nawet gdyby chciały spąsowieć, to i tak nie potrafiły tego zrobić. Były zbyt czarne. Oczka, owszem, wlepiły się bezradnie w ziemię, lecz nie ze wstydu. Ze złości. Pojawiły się w nich łzy i świetliste błyskawice, podobne do tych, które przed paroma chwilami przesywały ciemnogrnatowe niebo.

Dziewczyna była wściekła.

- Jesteś okrutny! - krzyknęła i uderzyła chłopca z całej siły w twarz.

Boipello złapał ją za rękę i przycisnął do siebie.

- Co ci się stało? Czemu mnie uderzyłaś? Zuri, co ci jest?

Dziewczyna zaczęła płakać.

- Nienawidzę cię - łkała między jednym oddechem a drugim. - Nienawidzę.

- Ale Zuri? Co ja takiego zrobiłem? Ja tylko chciałem powiedzieć, że... że cię...

- Zamknij się! Nienawidzę cię! Jesteś taki jak reszta. Śmiejesz się i drwisz ze mnie! Nienawidzę cię, nienawidzę, nienawidzę!

Jej ręce zaczęły młócić tors nic nierozumiejącego chłopaka, zostawiając na skórze piekące ślady. Boipello był coraz bardziej zdziwiony.

O co jej może chodzić? Przecież przed chwilą prawie wyznałem jej miłość. Co zrobiłem nie tak? - bił się z własnymi myślami, chcąc poznać odpowiedzi na pytania, na które odpowiedzi znaleźć nie mógł. Myśli kobiet bowiem więcej tajemnic kryją niż początki wszechświata. W końcu postanowił zdać się na zew natury i, nie bacząc na

konsekwencje, przysunął twarz dziewczyny do swych warg i zamknął jej usta głębokim pocałunkiem.

Czasem wystarczy tak niewiele. Dziewczyna zamilkła. Zatopiła się doszczętnie w spełnieniu własnych marzeń i tylko od czasu do czasu wydawała z siebie pomruki zadowolenia, niczym malutki kocurek poddający się ciepłemu dotykowi delikatnej dłoni swego karmiciela. Była jak zaczarowana. Upajała się tą chwilą. Jej język coraz gwałtowniej splatał się z językiem Boipello, a nos rozkoszował się zapachem mężczyzny. Gdzieś tam w dole poczuła przyjemne mrowienie. Chciała więcej. Chciała go mieć tu i teraz. A później niech się dzieje, co chce. Będą ją mogli nawet wygnać z wioski. Co z tego? I tak nienawidzi swego życia.

Przyjemne mrowienie między nogami cały czas narastało. Przysunęła swe biodra do pęczniejącej męskości swego ukochanego.

- Weź mnie - szepnęła mu do uszka, przygryzając zmysłowo jego małżowinę.

Boipello niczego więcej nie pragnął. Jego ręce delikatnie zjechały w dół, zatrzymując się na kościstych pośladkach, a nabrzmiała męskość kipiała z nadmiaru chęci. Już miał ją rzucić na ziemię i zatopić się w jej wnętrzu, gdy w ostatniej chwili zdołał opanować własną chuć.

Odsunął ją delikatnie i pokręcił głową.

- Nie mogę, Zuri. Dla twojego dobra.

- Ty świnió...

- Przestań, proszę cię. Wiedz, że nikogo tak nie pragnę jak ciebie, ale nie możemy tego zrobić. Gdy się wyda, żeś straciła wianek przed ślubem, wygonią cię z wioski albo nawet ukamienują. A tego bym nie zniósł.

Pokochała go jeszcze bardziej. Wtuliła w niego swą twarz, lecz zaraz uświadomiła sobie, do czego niemal doszło. Zawstydziała się. Odepchnęła od siebie ukochanego i czym prędzej czmychnęła w stronę szumiącego nieopodal oceanu. Biegła bez tchu po grząskiej ziemi, słysząc goniący ją głos niedoszęłego kochanka. Nie obejrzała się

za siebie, tylko pędziła dalej, niczym wiatr. Krok za krokiem, aż do utraty tchu. Mijała coraz rzadziej rosnące palmy i wbiegła na piaszczystą plażę. Wszędzie widziała porozrzucane przez szaleństwo bogów liście, gałęzie oraz powykrzywiane na wszystkie strony konary. Nic ją to nie obchodziło. Cały świat przestał mieć znaczenie. Liczył się tylko Boipello. Szczęście mieszało się z bólem, radość ze zwątpieniem, a gorycz z nadzieją. Wciąż czuła na sobie dotyk jego silnych dłoni i słodki smak ust, słyszała jego miłe słowa, pamiętała pełne uwielbienia spojrzenie maślanych oczu jej miłości.

To wszystko działa się naprawdę. Pocałował mnie.

Chciała skoczyć wysoko w powietrze i wydrzeć się z radości na całe gardło, lecz zamiast tego biegła dalej. W pewnym momencie potknęła się o leżący kamień i runęła na ziemię, ale po chwili znów biegła. Znów chciała krzyknąć, lecz tym razem z bólu. Zdała sobie sprawę, że jej szczęście okraszone jest cierpieniem. Nie była głupia. Wiedziała, że Boipello był przyrzeczony innej i nigdy nie będzie im dane być razem. Zaczęła płakać.

Pochłonięta własnymi myślami nie zauważyła nawet, kiedy znalazła się do pasa w wodzie. Przez chwilę rozważała, czy nie pójść dalej i nie zniknąć na zawsze w morderczych czeluściach oceanu, lecz zabrakło jej odwagi. Zamiast tego zanurzyła się w zimnej wodzie, by obmyć twarz z łez i pożądania.

- Muszę wracać - szepnęła do siebie, uświadamiając sobie, że nie było jej w domu od rana. Jej matka z pewnością szaleje ze złości.

Niechętnie ruszyła w kierunku wsi, lecz zdołała zrobić raptem kilkanaście kroków, gdy jej wzrok padł na podłużny kształt leżący w oddali. Zatrzymała się na chwilę i wyteńczyła wzrok, po czym ruszyła powoli w tamtą stronę. Tajemniczy kształt przybrał postać ludzkiego ciała ubranego w dziwaczny strój. Wiedziona wrodzoną ciekawością złapała go za ramiona i delikatnie odwróciła. Ledwo skończyła, jej oczy zrobiły się szerokie niczym paszcza wieloryba, a z ust wypłynął nieartykułowany dźwięk, wyrażający największe zdumienie.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Gęste włosy koloru ognia spływały bezładnie po dziewczęcej twarzyczce o delikatnych rysach i lekko zadartym nosku. Istota wyglądała prawie jak człowiek... tylko jej skóra. Była taka dziwna... taka biała.

- Co to jest? - powiedziała na głos i rozejrzała się trwożliwie na wszystkie strony. Żałowała, że nie ma z nią Boipello. On był mądry i z pewnością powiedziałby jej, co czynić. Raz jeszcze przyjrzała się leżącej na wznak istocie i zadrżała.

- Nie - wyszeptała, uświadamiając sobie, że to któraś z bogiń zesłała ze świętej góry, by pokarać ją za próbę uwiedzenia Boipello. Zaraz jednak złękła się własnej próżności. Bogowie prędzej nasłaliby na nią dzikiego zwierza, razili piorunem lub zrzucili na nią skałę. Po chwili przypominała sobie przedziwne opowieści o żyjących w dalekich krainach ludziach, których ciała przybierają różne kolory. Raz są blade niczym drogocenne perły, innym razem czerwone, brązowe, a nawet zielone, gdy zjedzą coś niestrawnego. Nigdy jednak nie słyszała o drobnych kawałkach błota, które wnikają w skórę ludzi i powodują, że ta wygląda, jakby była poplamiona.

Nagle zarwał się wiatr. Z oddalonego o kilkaset kroków drzewa poszybował w powietrze palmowy listek i opadł tuż pod stopy leżącej istoty.

- To znak - szepnęła Zuri i zmrużyła oczka. Zupełnie nie wiedziała, co bogowie chcą jej przez to powiedzieć. Wzruszyła ramionami i postanowiła udać się do wsi, by powiadomić kogoś ze starszyny o swym znalezisku. Wstała i zrobiła nawet kilka kroków, gdy nagle się zatrzymała. Wróciła do nieprzytomnej dziewczynki i przyłożyła ucho do jej piersi, by się upewnić, czy ta żyje. Nagle wstała, a jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Wiedziała już, co uczyni. A plan, który właśnie wykrystalizował się w jej umyśle, faktycznie był znakomity. Ciemnogrnatowe chmury zalegające od dłuższego czasu w jej sercu przewiał wichur nadziei. Raz jeszcze upewniła się, że tajemnicza istota śpi, i, zapominając o wszelkich troskach, pobiegła co sił do wioski. Serce biło jej jak szalone, a myśli szybowyły ku

obłokom i tworzyły wspaniałe wizje, w których widziała siebie otoczoną wianuszkami roześmianych dzieci, siedzącą obok swego męża – Boipello. Minęła pierwsze chaty zrobione z drewnianych tyczek wbitych w ziemię oraz przeplecionych mniejszymi gałęziami i, nie bacząc na pogardliwe spojrzenia współplemieńców, skierowała swe kroki na skraj wsi, gdzie w pozornym nieładzie mieściły się domostwa najuboższych mieszkańców. Tu nikt nie dbał o nowe liście na dachach czy o porządek przed chatą. Teraz to i tak nie miało większego znaczenia. Cała osada wyglądała podobnie.

Zuri przeskoczyła leżącą na ścieżce kłodę, modląc się, by nie spotkać na swej drodze własnej matki. Na próżno. Już z daleka usłyszała jej wściekły głos, wznoszący się ponad całą okolicę i uderzający w jej uszy niczym karząca ręka sprawiedliwości.

– Tu jesteś, przekłeta maszkaro! A gdzie to się podziewałaś cały dzień?! Chodźże tu do mnie, ino chyżo. Żebyś nie musiała sama iść do ciebie, bo wtedy pożałujesz, żeś się urodziła!

Zuri nie zatrzymała się. Biegła dalej, nie zaszczycając nawet wzrokiem kipiącej wściekłości rodzicielki. *Już i tak mi się dostanie* – pomyślała, wruszając ramionami. – *Jedna różga mniej, jedna więcej, co za różnica.*

Kobieta spojrzała na nią pełnym niedowierzania wzrokiem. Bezradnie rozłożyła ręce i posłała w świat plugawą wiązanę, wywlekając na wierzch największe tajemnice rodziny.

– Ty przekłeta bękarco, ja ci dam mnie ignorować. Poczekaj tylko, a ci nogi z tej kościstej rzyci powyrywam. Gdyby twój ojciec widział, co z ciebie wyrosło, to by ze wstydu bał się umrzeć. Niewdzięczna suka zrodzona z kurwy. Ty... – Nagle zamilkła, jakby uświadomiła sobie sens własnych słów. Speszonym wzrokiem powiodła dookoła, lecz na szczęście jej słowa nie wzbudziły u nikogo najmniejszego zainteresowania. A już na pewno nie u córki, która właśnie dojrzała przygarbioną sylwetkę swojego brata.

– Futuraha! Futuraha – wydarła się Zuri jego stronę i jeszcze bardziej przyśpieszyła. Po chwili dojrzała jego szczerze oczy i otwartą

ze zdumienia szczękę.

- O, znalazłaś się - odkrzyknął wzywany. - Lepiej biegnij do matuli, zanim jeszcze nie jest za późno. Wściekła się jak diabli.

- Już jest za późno - odparła, pogodzona z losem. Pokonała dzielącą ich odległość, stanęła zziębnięta przed bratem i zaczęła mu coś tłumaczyć, wymachując przy tym rękoma niczym wzbijający się do lotu ptak. Po chwili ściszyła głos, gdy zobaczyła skierowane na siebie ciekawskie spojrzenia sąsiadów.

- Zuri, nie mam czasu na głupoty. Sama obacz, co się tu wyprawia. Huk roboty. Biegnij pomóc matce, później pogadamy.

- To ważna sprawa. Wysłuchaj mnie przez chwilę, a nie pożałujesz.

Futuraha nie wydawał się w pełni przekonany. Wydał żałośnie wargi, rozłożył ręce na boki, po czym odwrócił się plecami do siostry, ignorując jej dalsze błagania. Ta jednak nie zrezygnowała. Podbiegła do niego i pociągnęła go ostro za ramię. Wybrała dobry moment, z tyłu bowiem leciał ku jej plecom długi kij, trzymany przez żądną sprawiedliwości matkę. Zuri nie raz miała wątpliwą przyjemność się z nim zapoznać.

- Ty nieposłuszna pokrako! - krzyknęła jej matka i ponownie wycelowała narzędzie wychowawcze wprost w kościsty zadek dziewczki. Ta jednak ze zręcznością ministranta zbierającego tacę uchyliła się i uciekła z zasięgu rażenia.

- Futuraha, chodź ze mną. Proszę cię! - zdołała krzyknąć z bezpiecznego oddalenia i złożyła dłonie jak do modlitwy. Chciała nawet klęknąć, lecz nie pozwoliła jej na to jej rodzicielka, która już szła ku niej - kipiąca gniewem, ogarnięta szałem, przyobleczona matczynym prawem do łojenia skóry. A wraz z nią nadchodził bambusowy kij, który zataczał w powietrzu coraz to szybsze kółka.

- Poczekaj, jeszcze cię dorwę! A ty na co czekasz? Przyrowadź mi ją tutaj! Też chcesz oberwać?

Futuraha stanął bezradnie pomiędzy szalejącą ze wściekłości matką a ogarniętą jakimś dziwnym szałem siostrą. Rozejrzał się

dookoła, jakby chciał znaleźć pomoc u sąsiadów, lecz nikt nie zwracał uwagi na toczący się koło nich dramat młodzieńca i jego na wpół obłąkanej siostry. Każdy zajęty był naprawianiem szkód po straszliwej wichurze. Część cerowała liściaste dachy, część próbowała złapać biegające w kółko kury, część uprzątała walające się wszędzie gałęzie. Gdzieniegdzie pętała się goła i wiecznie rozwrzeszczana dziatwa, pilnowana przez surowe oczy siedzących beczynnie staruszek. Wiatr ponownie zaczął straszyć swym niszczycielskim oddechem, zrywając dopiero co naprawione dachy, rozwiewając włosy, śmiejąc się z nieszczęścia bezbronnych istot. A w środku tego całego oblędu stał rozdarty wewnętrznie Futuraha.

- Sprawdzę, co ją opętało, matulu, i zaraz wrócę - zwrócił się do starszej kobiety i, nie czekając na odpowiedź, ruszył biegiem za Zuri.

Kobieta zaczęła znów krzyżeć, lecz on już jej nie słuchał. Zachowanie siostry wyraźnie go zaniepokoiło, ale też wzbudziło ciekawość. Zuri często była nieznośna, krnąbrna i oporna, lecz teraz... teraz działo się coś innego. Dość szybko ją dogonił i złapał za doń. Z oddali ponownie dobiegł ich skrzeczący głos matki, który został zaraz zagłuszony przez rozgorączkowaną paplaninę Zuri.

- Zwolnij, nic nie rozumiem - próbował ostudzić jej zapał, lecz niebawem i jego oczka zaświeciły się z podniecenia i chciwości.

Przystanęli na chwilę, by upewnić się, że nikt ich nie śledzi, i po chwili ruszyli dalej. Na plażę, do leżącej bez przytomności kolorowej dziewczynki o ognistych włosach i dziwnym kolorze skóry. Ostatnią część drogi pokonali biegiem, jakby ścigali się z wiatrem i ze sobą.

Pierwszy podbiegł do Salihy Futuraha. Pochylił się nad nią i zaczął ją delikatnie badać, jakby bał się, że ta zaraz pęknie niczym rybi pęcherz. Na koniec wysunął język i spróbował jej skóry. Była ciepła i słona.

- To białoludź - przemówił tonem człowieka wszystkowiedzącego.
- No nie stój tak. Złap ją za rękę i mi pomóż. Nie może tu zostać, bo ktoś ją nam ukradnie. Przenieśmy ją do naszej kryjówki nad zatoką.

- A jak ją potem...

- Cichaj, głupia. Bądź cicho, bo jeszcze ktoś nas podsłucha. Ja się wszystkim zajmę. No podnoś ją.

Podnieśli wspólnie dziewczynkę i zaczęli nieść w stronę bulgoczącego oceanu. Kilka razy się potknęli, dwa razy ją upuścili, lecz na ich szczęście bladokóra nie odzyskała przytomności. Wiatr znów przyśpieszył, targając rudymi lokami na wszystkie strony. Jego świst grał na złowieszczą nutę w uszach rodzeństwa, jakby chciał ich przed czymś ostrzec. Ci jednak słyszeli tylko przepiękny dźwięk monet.

W końcu dobrnęli do celu. Ułożyli Salihę w niewielkim, wydrążonym przez szalejące żywioły zapadlisku skalnym, przykryli liśćmi figowymi i spojrzeli z zadowoleniem po sobie.

- Pilnuj jej - rozkazał Futuraha i ruszył w stronę wioski.

Kiedy jakiś czas później stanął przed wejściem do własnej chatki, nie był już taki pewny siebie. Nabrał w płuca kilka haustów powietrza i wszedł na ugiętych nogach do środka. Wyglądał niczym pewien dumny szewc, co to niegdyś wkraczał do jamy bazyliuszka jedynie z kawałkiem odbijającej obraz szyby. To, co go przywitało, było jednak znacznie gorsze od zamieniającej spojrzeniem w kamień bestii.

- Tu jesteś, ty leniwy wieprzu. Gdzieś się podziewał cały dzień?

Na bujanym, zajmującym ponad połowę głównej izby fotelu siedziała czarnoskóra kobieta. Wielka kobieta. Ogromna, monstrialna, groźna i piekielnie wkurzona. Gigantyczne nozdrza drgały w niekontrolowanych konwulsjach, a wąskie, złe oczy rzucały gromy w kierunku stojącego nieporadnie małżonka. Potężna dłoń zacisnęła się na dorodnym grejpfrucie, wykonała zamach i cisnęła go w sam nos mężczyzny.

- Auć. Wybacz, ma piękna żono. Wyglądasz dziś przepięknie. Niczym zachód słońca, niczym czerwonawa zorza na...

- Milcz! Mam wybaczyć? Cóż ty sobie wyobrażasz? Każdy pracuje w pocie czoła, a ty znikasz sobie z tym przeklętym bachorem. - Tym razem w zasięgu ręki kobiety znalazła się drewniana miska, która

podążyła tym samym torem co uprzednio grejpfrut. Futuraha zdążył się uchylić.

Nkosazana miała prawo czuć się nieszczęśliwa. Niecałe pięć lat temu była najpiękniejszą kobietą we wsi. Olbrzymie zwały tłuszczu zdobiły jej pełne ciało, wabiąc pełne pożądania spojrzenia najdzielniejszych wojowników. Jej jedna noga ważyła tyle co czterdzieści gwiazd, a okazałego brzucha mógłby jej pozazdrościć niejeden hipopotam. Niestety dobre czasy się skończyły. Jej pierwszy mąż zginął w paszczy olbrzymiej anakondy, a Nkosazana, zgodnie z wolą szamana, musiała wyjść za jego brata – nic niewartego nicponia, którego jedyną rozrywką było patrzenie się na zachody słońca i układanie do nich ckliwych poematów. A przecież ona musiała jeść. Z miesiąca na miesiąc jej piękne ciało traciło na urodzie. Brzuch stawał się mniejszy, tłuszcz znikał, aż któregoś dnia stała się tragedia. Niegdyś pełna Nkosazana dojrzała czubki palców u stóp. Świat się dla niej zawalił. Od tamtej chwili rzadko kiedy opuszczała niewielką chatę, a jedynym jej zajęciem było uprzykrzanie życia sprawcy swego nieszczęścia – temu nic niewartemu obibokowi.

- No i co tak stoisz jak jakieś ciele? Głodnam. Przynieś coś do jedzenia. Cóż z ciebie za pożytek? Twój brat to był mężczyzna, a tyś mu dzidy nawet niegodny nosić. No i po co ci ten koc? Gdzie ty się właściwie wybierasz, gamoniu?

- Idę na połów, blasku księżyca. Kilka rybek ci złowić. Burza ławicę przywiodła.

Jej twarz na chwilę złagodniała.

- Lepiej dla ciebie, by tak było, choć ty nawet w kałuży nie potrafiłbyś niczego złapać, ślamazaro jedna. No nie stój tak, tylko zmiataj. I nie waż mi się wrócić z gołymi rękoma, bo w chlewie będziesz spać do końca księżyca.

- Tak, jaśniejąca zorzo – odpowiedział Futuraha. Chwycił dwa podgniłe banany oraz jedną pomarańczę i ukrył je przed nachalnym spojrzeniem Nkosazany. W końcu udało mu się wyrwać z domowego piekła. Odetchnął z ulgą i ruszył z powrotem ku plaży, przemykając

ukradkiem przed kipiącą z wściekłości matką. Nie chciał trafić z deszczu pod wodospad.

Gdy obudziła się po raz pierwszy, ujrzała ciemność, później półmrok, a na końcu siedzącego tuż przed nią demona.

Może to tylko sen – pomyślała Saliha. Spróbowała poruszyć ręką, lecz poczuła jedynie mocny ból w nadgarstku.

Sny przecież nie bolą – przemknęło jej przez głowę.

Starła się skoncentrować. Ostatnią rzeczą, którą widziała przed całkowitym mrokiem, była wykrzywiona z bólu twarz marynarza. Mężczyzna chciał ją chyba zabić. Później poczuła strumień zimna i ostre igły wbijające jej się w płuca. A dalej nic. Niebyt, próżnia, pustka.

Ja umarłam. Trafiłam do piekła – uświadomiła sobie Saliha. Przerazająca wizja zdawała jej się jedynym wytłumaczeniem.

Okrągłe ślepia demona spoczęły na jej twarzy. Po jej ciele przebiegły ciarki, poczuła strach. Demon wstał i podszedł do niej. Nachylił się tak, że z bliska spojrzała w przekrwione ślepia istoty. Jego twarz przypominała buzię młodej dziewczynki.

Może ja wcale nie umarłam – przemknęło jej przez głowę, lecz wtedy demon uśmiechnął się do niej, ukazując puste przestrzenie w miejscach, gdzie powinny być zęby.

Jednak umarłam – stwierdziła ze smutkiem i przypomniała sobie przeraźliwe opisy mąk wieczystych, którymi raczył ją swego czasu Wielki Kapłan Basiliskus. Świadomość, że trafiła do pokutnicy, nie poprawiła jej samopoczucia. Przymknęła powieki, spodziewając się uderzenia ze strony demona, lecz poczuła tylko delikatny dotyk dłoni na policzku. Ponownie otworzyła oczy i spojrzała w ziejące złem ślepia potwora.

Tylko że one nie były takie złe. Zamiast podłości ujrzała w nich radość, bijące szczęście.

Zło jest podstępne – przypomniała sobie słowa namiestnika Boga.
- *Zło przybiera różne formy. Nie daj się zwieść podszeptom szatana. Będzie cię kusił i mamił, aby zawładnąć twą duszą. Jedyne gorliwa modlitwa do Pana naszego, Szymona Maga, może cię uratować, córko.*

Demon przyłożył do jej czoła zwilżoną szmatkę. Z jego ust wydobywały się dziwne dźwięki, które przypominały cmokanie i mlaskanie. Po chwili doszły nieporadne ruchy rękoma, jakby chciał jej coś przekazać. Saliha nic jednak nie rozumiała. Leżała nieruchomo, wsłuchując się w dochodzący z oddali monotony szum wody, i wdychała przesiąknięte zapachem morza powietrze.

Gdy obudziła się po raz drugi, ujrzała siedzącą tuż przy niej młodą, czarnoskórą dziewczynkę. Była ona całkiem ładna, ale tylko do momentu, w którym się uśmiechnęła. Później czar prysł.

- Kim jesteś? – wyszeptała słabym głosem.

Czarnoskóra spojrzała na nią z obawą. Cmoknęła coś, wzruszyła ramionami i podała jej banana.

Nagle Saliha bardziej wyczuła, niż usłyszała, obecność kogoś jeszcze. Spojrzała w bok i zobaczyła młodego mężczyznę. Było w nim jakieś podobieństwo do siedzącej obok dziewczynki. Młodzieniec uśmiechnął się do niej, odsłaniając śnieżnobiałe zęby, a jego usta zaczęły wydawać dziwne dźwięki. Leniwie poruszyła prawą nogą, próbując wstać, lecz była zbyt słaba. Po chwili znów zasnęła.

Gdy obudziła się po raz trzeci, obok dwójki znajomych stała trzecia osoba. Z pewnego siebie sposobu bycia i wykwintnych szat, które miała na sobie, Saliha wywnioskowała, że musiała być kimś znacznym. Mężczyzna wymachiwał rękoma na wszystkie strony i wydawał z siebie znajome mlaski i cmokania. Od czasu do czasu mierzył ją wzrokiem i ponownie gestykulował. Jego grdyka ruszała się niczym tłusta dżdżownica, a chudy i wysoko zadarty nos to zwężał się, to rozszerzał. W mężczyźnie było coś niepokojącego, coś złego. Drapieżna sylwetka, ostre rysy twarzy, wysunięty podbródek

i kościste ręce będące w nieustannym ruchu nadawały mu iście demonicznego wyglądu. Saliha zadrżała.

Tajemniczy przybysz zamilkł. Przeszył Zuri i jej brata pełnym wściekłości spojrzeniem i splunął ze wzgardą pod nogi. Sięgnął dłonią do kieszeni obszernej szaty koloru indygo i wyciągnął z niej niewielki woreczek. Ponownie obrzucił rodzeństwo lodowatym spojrzeniem, dodał do woreczka kilka szlachetnych kamieni z drugiej kieszeni i rzucił im, tak jak psom rzuca się kość. Następnie chwycił leżącą Salihę za ramię i mocnym szarpnięciem zmusił ją, by wstała.

Zuri z istną żądzą w oczach złapała skórzaną sakwę i drżącą z podniecenia ręką wyciągnęła jeden ze szlachetnych kamyczków. Jej oczy świeciły niczym dwa słońca. Podniosła skarby wysoko, chcąc przyjrzeć się z bliska swemu nowemu życiu. Przez dłuższą chwilę napawała się wspaniałymi kolorami, jakie kamyczek wydzielał w słabym świetle księżyca. Nigdy nie widziała takiego bogactwa, a co dopiero mówić o jego posiadaniu. Już nie była chudą, brzydką biedaczką, którą każdy pogardzał. Jej los właśnie się odmienił, a wizja małżeństwa z dzielnym Boipello stała się nad wyraz realna.

Futuraha również wyglądał na zachwyconego. Na grubych, mięsistych ustach błąkał się szeroki uśmiech, a w głowie rodził się chytry plan. Wreszcie pozbędzie się jędzowatej żony i zacznie nowe życie. Życie pełne wygod i bogactwa, a przede wszystkim spokoju. Zaczne życie prawdziwego poety.

Radość rodzeństwa była ogromna. Smutek Salihy tym większy. W ślicznych, lazurowych oczkach zalśniły łzy. Nie płakała, choć zdała sobie sprawę, że właśnie została sprzedana w niewolę.

- Żegnajcie - odezwał się w ciamkającym języku okrutny kupiec o imieniu Abazi, szarpiąc delikatne ciało Salihy. Jego twarz była ponura i sroga, choć w duchu pokładał się ze śmiechu.

Jeszcze raz spojrzął na piejące z zachwyty rodzeństwo i dłużej już nie mógł się powstrzymać przed wyszczerzeniem zębów. Odszedł kilkanaście kroków i wyrzucił resztę bezwartościowych szkiełek daleko przed siebie. A wraz z nimi marzenia o lepszym życiu dla

dwójki starganych przez los wieśniaków, którzy cały czas byli przekonani o ich wielkiej wartości.

Saliha chciała się wyrwać, lecz mężczyzna zdzielił ją pięścią w brzuch, aż straciła na chwilę oddech.

- Puść mnie, błagam - krzyczała, lecz jedyną odpowiedzią był drugi, jeszcze mocniejszy cios, który ostatecznie zamknął jej usta. Zrezygnowanym krokiem ruszyła przed siebie, ciągnięta niczym ciele do zagrody, aż doszła do ukrytej za zatoczką niewielkiej łódki. Tam czekało na nią dwóch kolejnych mężczyzn. Związali jej ręce skórzanym rzemykiem, który boleśnie wbijał jej się w skórę. Następnie założyli jej na głowę cuchnący zgniłymi rybami worek i odbili od brzegu. Saliha siedziała spokojnie, wsłuchując się w plusk wioseł, przerywany głośnymi odgłosami ciamkania, mlaskania i częstymi wybuchami śmiechu. Nie mając nic innego do roboty, zamknęła oczy, starając się nie myśleć o swoim losie. Zemdląca.

Gdy obudziła się po raz czwarty, poczuła mocne promienie słońca, bezlitośnie chłozzące jej bladą, pokrytą drobnymi piegami skórę. Wełniany worek utrudniał oddychanie, a rany na nadgarstkach piekły niczym tysiąc batów. Poczowała, że łódka zwalnia, odbija się od czegoś, staje. Usłyszała gwar dziwacznej mowy, dzwonki, brzęczenie kajdan, tupot stóp. Jakieś ręce podniosły ją do góry i postawiły na stabilnym podłożu. Zakręciło jej się w głowie, lecz nie upadła. Ktoś przytrzymał ją za plecy, a ktoś inny odsłonił głowę. Wreszcie mogła normalnie oddychać.

Znajdowała się w ruchliwym porcie, na drewnianym pomoście, którego kraniec zniknął daleko w morzu. Wzdłuż niego kołysały się na falach setki mniejszych lub większych łódek, kryp i łajb. Nieco dalej znajdował się drugi pirs, znacznie szerszy i masywniejszy, do którego zacumowano większe jednostki: różnego rodzaju galery napędzane siłą zniewolonych pechowców, kutry rybackie i świecące golizną masztowce różnej maści, różnego kształtu i przeznaczenia. Pośród nich, niczym olbrzym górujący nad osadą karłów, wznosił się największy okręt, jaki Saliha widziała w swoim krótkim życiu. Potężny

i majestatyczny, z czterema wznoszącymi się wysoko masztami i banderą, której widok spowodował u niej przyśpieszone bicie serca.

- Zakon Najświętszego Serca - szepnęła do siebie i aż zadrżała.

Z pokładu dochodziły odgłosy bębna i stłumione przez wiatr okrzyki. Dziesiątki ludzi nerwowo krzątały się po pokładzie. Przed nim stał mniejszy statek, który wkrótce wyprowadzi kolosa z portu na otwarte wody.

Świst bata i ostry ból pleców przerwał jej rozmyślenia. Chciwy Abazi szturchnął ją w ramię, dając znak, by ruszyła. Za sobą czuła oddech jego kompanów, którzy od czasu do czasu smagali jej skórę ognistym językiem bicia lub bezceremonialnie macali ją po tyłku. A wszystko wśród przyprawiających ją o mdłości mlasków, cmoków i rubasznego śmiechu.

Szybko minęli port z charakterystycznymi dla tego miejsca podejrzanymi spelunkami, zamtuzami i równie szemranym towarzystwem. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. W końcu znaleźli się w lepszej dzielnicy, gdzie bogato zdobione fasady dwupiętrowych kamienic świadczyły o zamożności ich mieszkańców. Saliha z rozdziawioną buzią przyglądała się korowodowi bogatych kupców, odzianych w obszerne szaty wszystkich kolorów świata, i równie strojnym damulkom, prężącym się dumnie niczym kurtyzany wieczorową porą. Wśród nich przemknął od czasu do czasu jakiś drący się wniebogłosy berbec, prowadzony za uzdę wielbłąd lub bezdomny kocur szukający w śmietnikach resztek jedzenia. Zdołała dojrzeć także kilkoro spętanych nieszczęśników, przebijających bez nadziei nogami wśród gniewnych pokrzykiwań handlarzy. Wszyscy szli w tę samą stronę co ona - na targ niewolników.

Nagle aż krzyknęła z podziwu. Parędziesiąt kroków przed sobą ujrzała niezwykle zwierzę. Miało olbrzymi korpus, cztery kolumnowe kończyny, uszy przypominające olbrzymie latawce, dwa ostre niczym sztylety kły i wijącego się na wszystkie strony węża, wyrastającego z samego środka pyska. Siedzący na jego grzbiecie chłopiec wyglądał równie dziwaczne. Ubrany w kraciaste spodnie w kolorach czerni

i bieli, kanarkową kamizelkę, która ściśle opinała jego ciało, i krwistoczerwony czepek przypominający wielbłądzi placek wyglądał niczym błazen, który niegdyś odwiedził rynek miasta Arkt. W nosie, uszach i wargach wyrostka tkwiły przeróżne kolczyki wykonane ze szczerego złota i kości przypominające kły potwora. Siedział sztywno ze wzrokiem utkwionym w kłębiącą się na dole ludzką masę, która pośpiesznie uskakiwała na bok. Nagle bestia zaryczała tak, że rudowłosej dziewczynce zdało się, iż za chwilę wszystkie budynki w mieście zawałą się niczym domki z trzcin. Stała w miejscu i zakryła głowę dłońmi, lecz zamiast kamieni poleciał na nią bat. Tym razem to ona zawyla i drgnęła jak poparzona. Ruszyła dalej, słysząc w powietrzu świst kolejnego uderzenia.

Po chwili skręcili w bok i dalszą drogę pokonali, przeciskając się z trudem przez różnokolorową ciżbę bogato odzianych mężczyzn prowadzących przed sobą struchlałych ze strachu nieboraków. Wszędzie słyhać było gniewne pomrukiwania oraz świszczące w powietrzu baty. Prowadzący Salihę mężczyźni zatrzymali się przed bramą i zamienili kilka słów z karłowatym jegomościem o piskliwym, sepleniącym głosie. Następnie ruszyli dalej, by zatrzymać się w ciasnej przestrzeni ogrodzonej ze wszystkich stron drewnianą palisadą.

Znaleźli się na największym w tej części świata targu niewolników - miejscu, gdzie każdego dnia setki struchlałych ze strachu mężczyzn, kobiet i dzieci zmieniało swoich właścicieli niczym kępkę pietruszki lub worki mąki. Saliha z drżącym sercem czekała na swoją kolej. Przed sobą miała drewniany podest, na którym właśnie stała młoda niewiasta o egzotycznej urodzie i dumnym spojrzeniu. Zaraz jednak w jej oczach zalśniły łzy, gdy jej wykwintne szaty zostały brutalnie zerwane, a drobne ciało oddarte ze swych tajemnic.

Przyszła kolej na Salihę. Bolesne uderzenie bata zdławiło w zanadrzu wszelki opór. Posłusznie zsunęła strzępy spodni oraz równie zniszczoną koszulę i stanęła przed setką ludzi tak, jak się urodziła. Naga i płacząca. Chude nogi drżały w rytm ponurych myśli,

po plecach płynęła strużka potu, a sine usta bezgłośnie błagały o litość.

Potulnie spełniała polecenia stojącego nad nią olbrzyma. Nie wstydziła się. Już nie. Zamiast tego zaczęła wodzić wzrokiem po siedzących za drewnianym podestem kupcach. Obłeśne mordy śliniące się na jej widok mieszały się z pogardliwymi spojrzeniami wykwintnych damulek o wiecznie nadętych twarzach i znudzonych minach. Nagle jej wzrok zatrzymał się na pewnym mężczyźnie, patrzącym niewidzącym wzrokiem w jakiś punkt, znajdujący się wysoko ponad jej głową. Było w nim coś, co przykuło jej uwagę. Starła się skupić, lecz prócz wytwornych szat oraz ostrych rysów twarzy, które przywodziły jej na myśl barbarzyńskich wojowników, których widziała w obozie symonitów, nie zauważyła niczego niezwykłego. Mężczyzna musiał wyczuć, że stał się nagle obiektem jej zainteresowania, spojrzał bowiem na nią z uwagą. Zaraz jednak stracił zainteresowanie i ponownie zapatrzył się w bliżej nieokreślony punkt.

Prowadzący licytację olbrzym rozwarł usta Salihy, by pokazać zebranym jej śnieżnobiałe zęby. Jego ostry niczym brzytwa głos dudnił bez przerwy nad jej uchem, przygotowując ją o ból głowy. Saliha jeszcze raz spojrzała na tajemniczego mężczyznę i nagle dotarło do niej, czemu to właśnie na niego zwróciła uwagę. Z szyi mężczyzny zwisał długi, lśniący w promieniach słońca naszyjnik. Błyskawica. Symbol wiary. Symbol wyznawców Szymona Maga.

Nie myślała, co robi. Jej nogi samoczynnie złączyły się ze sobą, ręce i twarz uniosły w górę, ku przezroczystemu niebu, a z ust wypłynęły słowa modlitwy, które poszybowały po okolicy i dotarły do najdalszych szeregów:

- Panie mój, to ja, służebnica Twoja. W imię Twoje cierpienia znoszę, bo wiem, żeś mnie nie opuścił. Tobie oddaję me serce, me lęki i zbolełe ciało.

Stojący nad nią olbrzym zmarszczył brwi i rąbnął ją w ucho. Upadła, ale zaraz znów stała, znów się modliła.

- Boże jedyny to ja, Twoja służebnica. Nie lękam się bólu, zła i cierpienia, bo wiem, żeś ty jest przy mnie. Obejmij mnie swym miłosierdziem i napełnij serce odwagą, bym z godnością znosiła przeciwności losu, którymi obarczyłeś swą córkę.

Jakaś matrona rzuciła w nią ogryzkiem, ostry bat rozciął jej plecy, lecz ona tego nie czuła. Jej wzrok przenikał szydercze mordy i łowił każdy grymas siedzącego w oddali symonity.

A licytacja trwała w najlepsze. Siedzący w pierwszym rzędzie i mający na sobie więcej złotych bransoletek niż włosów starzec uniósł dłoń i krzyknął bajońską kwotę. Zaraz jednak został przebity przez srogo wyglądającą matronę o twarzy tak czarnej, że Pani Noc wyglądała przy niej na albinoskę. Starzec nie ustępował, kobieta kontrowała, Abazi zacierał ręce. Kolejne smagnięcie bata przerwało na chwilę modły.

Ostatnie słowo należało do starca. Czarnoskóra kobieta spojrzała na niego wściekłym wzrokiem, splunęła pod siebie i przecząco pokręciła głową. Prowadzący licytację olbrzym uniósł w górę misternie rzeźbioną pałkę z drewna sandałowego i ostatni raz powiódł wzrokiem po publice. Już miał nią trzasnąć o drewniany stół, przesądzając tym samym o losie dziewczynki, gdy nagle poderwał się mężczyzna z symbolem Szymona. Powiedział tylko jedno słowo, lecz to wystarczyło. Wszystkie spojrzenia skupiły się na nim. Nawet prowadzący jakby zamarł, by po krótkiej chwili z łomotem opuścić pałkę.

Licytacja dobiegła końca. Saliha odetchnęła bezgłośnie. Abazi mało nie zeszczął się ze szczęścia.

Dwóch rozebranych do pasa drabów natychmiast podbiegło do Salihy. Chwycili ją za ręce i powiedli do niewielkiego, cuchnącego fekaliami pomieszczenia. Żelazne obejmy wystające ze ściany zamknęły się z brzdękiem na jej chudych przegubach. Któryś ze strażników podał jej kubek z wodą, inny pomacał ją po piersiach, a jeszcze inny kopnął w żebra i z uśmiechem na twarzy obserwował, jak się kuli z bólu. Dziewczynka rozejrzała się trwożliwie dookoła.

Obok niej płakała ciężarna kobieta o wygolonej do łysa czaszce, a nieco dalej zakrwawiona dziewczyna o pięknych, migdałowych oczach pomstowała do niebios na swój los. Kolejne dwie pustym wzrokiem gapiły się w poplamioną podłogę, w którą wsiąknęły niezliczone tryliardy łez, i szeptały do siebie niezrozumiałe słowa.

Musiała zasnąć, bo gdy ponownie otworzyła oczy, po kobietach nie było śladu. Dwóch odzianych w skórzane przepaski mężczyzn podeszło do niej i zmusiło ją, by wstała. Przykryli jej nagość szarym kocem i, nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem, poprowadzili tym samym korytarzem, którym tu przyszła.

Stare warstwy niebieskiej niegdyś farby już dawno odpadły, zostawiając po sobie jedynie niewielkie wysepki. Pleśń zgarniała coraz to nowe tereny, roztaczając wokół niezdrową woń. Najgorszy był jednak zapach strachu i bólu, który wypełniał całe pomieszczenie, odbierając niewolnikom resztki nadziei. Ciężkie kajdany dźwięczały ponuro, gdy chude nóżki Salihi niezdarnie pokonywały wąską przestrzeń korytarza. Przed sobą widziała tylko pokryte starymi bliznami oliwkowe plecy prowadzącego ją mężczyzny. Za sobą czuła wbijające się w nią ostrze włóczni.

Wtem usłyszała znajomy głos:

- Saliha!

Świst bicia, trzask, krzyk.

- Saliha!

Odwróciła głowę i go ujrzała.

- Achud - krzyknęła, lecz jej głos uwiązł w gardle, a na zewnątrz wydostał się tylko stłumiony jęk. - Achud...

- Saliho - powtórzył niedoszły mankrut i, nie bacząc na spadające na niego ciosy, zrobił w jej stronę krok. Zaraz jednak został powstrzymany przez umięśnioną dłoń potężnego draba o twarzy wyglądającej, jakby przeszła przez trzewia bestii i została raz jeszcze uformowana rękoma niewidomego starca.

Achud wyglądał niewiele lepiej. Na całym ciele miał świeże blizny po chłoście, a pod oczyma dwa fioletowe, nabrzmiałe krwią kręgi.

Zakrwawiony nos sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar w każdej chwili opuścić swego właściciela. Idący za nim nadzorca ponownie zamachnął się batem, który z wielką siłą spadł na plecy nieszczęśnika. Ponownie krzyknął.

Łzy napłynęły do oczu dziewczynki, lecz pohamowała płacz. Zacisnęła w bezsilnej złości swe małe piąstki i zwolniła kroku, nabijając się na ostrze włóczni. Oczy zaszły jej czerwoną mgłą, a z ust samoczynnie wypłynęły słowa:

- Chwała Szymonowi. Nie lękaj się, Achudzie. Pan nas zbawi i pozwoli ukończyć misję. Dotrzemy do Pięciu Księstw.

Korytarz się skończył i Saliha ponownie znalazła się na ruchliwej ulicy. Słońce niedawno zaszło za horyzont, pozwalając Pani Nocy skryć świat w mroku własnych niegodziwości. A wraz z nią na ulice wyszli jej nieodrodni wojownicy: złodzieje, kurwy i szulerzy. Uczciwi ludzie w pośpiechu wracali do domostw, wymieniając się przy tym krzywymi spojrzeniami lub potokami uprzejmych pozdrowień.

- No gdzie leziesz, kurewski pomocie? - darł się tęgi jegomość, któremu jakiś młodzieniec nieopatrznie nadepnął na stopę.

- Do twojej starej, ty otyła pokrako - odpowiedział z równym wdziękiem chłopak, zaszczycając swego ziomka morderczym spojrzeniem.

Z nisko umieszczonych dachów wychylały się znudzone twarze nieletnich synów ulicy, którzy pluli dla zabawy na głowy przyjezdnych lub wylewali na nich pomyje.

- Oż ty oberwańcu jeden! Ty zakało zasrana! Czekał, zaraz cię dorwę - krzyczał kupiec z dalekiego kraju, na którego nieskazitelnie białą szatę spadła zawartość nocnika. Winnego jednak już nie było. Ze zwinnością dzikiego kocura czmychnął po dachach, pozostawiając za sobą tylko odgłos chrapliwego śmiechu.

Gdzieś z boku przemknął osioł pchany wściekle przez swojego właściciela. Zaraz po nim wyłonił się oddział uzbrojonych w długie włócznie żołnierzy. W ich stronę także poleciały najróżniejsze odpadki, lecz nauczeni długoletnim doświadczeniem wojownicy nie

zwracali na to uwagi. Tylko najmłodszy z nich ponuro kręcił nosem, ku uciechu otaczającej go dziatwy.

- Ej, żołnierzu, ale masz długą dzidę. Ciekawe, czy umiesz się nią posługiwać - podłapała jakaś szemrana niewiasta i podkasła przed nim poplamioną suknię. Policzki młodzieńca zapłonęły żywym ogniem. Spuścił głowę i szedł dalej.

Saliha wraz z eskortą przeszła przez pusty o tej porze plac targowy, minęła pokrytą czerwonym piaskowcem siedzibę władz miejskich i skręciła w wąską ulicę. Tu ruch był mniejszy. Wysokie palmy tworzyły zwarty szpaler, poprzetykany świecącymi się latarniami. Śpieszący się tłum zniknął, pozostawiając uczucie pustki. I tylko od czasu do czasu jakiś kocur przemknął przed ich nogami w poszukiwaniu wieczornych harców. Ulica zaczęła więc się łagodnie w górę, aż nagle skręciła w lewo i zmieniła swój charakter. Piętrowe kamienice zostały zastąpione przez przepastne ogrody okalające obszerne wille najznacniejszych mieszkańców miasta. Przeszli jeszcze kilkaset kroków, nim dotarli do celu. Przed wykutą z żelaza bramą, pokrytą siecią starannie wyrzeźbionych ornamentów, stało dwóch znudzonych strażników. Prowadzący Salihę mężczyźni pokłonili się im i poszli dalej, wzdłuż zakończonego stalowymi kolcami ogrodzenia. Zatrzymali się przed niewielką furtką przeznaczoną dla służby i niewolników. Przed nią również stała warta. Ich srogie spojrzenia przemknęły po kroczącej w środku dziewczynce. Jeden z nich musiał powiedzieć coś zabawnego, bo po chwili obydwaj zatoczyli się ze śmiechu. Saliha nie zareagowała. Zrezygnowana i wystraszona stawiała kolejne kroki na żwirowej ścieżce, aż doszła do wąskich drzwi wykonanych z nieheblowanych desek. Jeden ze strażników nacisnął mosiężną klamkę i wepchnął ją do środka. Odbiła się od ściany. Natychmiast załała ją fala mroku i duszności. Ktoś zapalił pochodnię i zobaczyła, że znajduje się w wąskim korytarzu o ścianach pokrytych pleśnią i brudem. Ponure myśli przelewały się jej w głowie, każda gorsza od poprzedniej. Sekretny zamtuż dla wysoko urodzonej klienteli, sala tortur, tajne laboratorium szalonego

maga przeprowadzającego eksperymenty na ludziach, a może zwyczajne, śmierdzące lochy, pełne olbrzymich, wiecznie głodnych szczurów. Gdy doszła do końca korytarza, była pewna, że stanie się śniadaniem dla żyjącej w katakumbach bestii, zaraz jednak znalazła się w sowniej oświetlonej sali i myśl o zamtuzie ponownie zajęła pierwszeństwo. Gdzieś z boku usłyszała chrapliwy oddech. Odwróciła twarz i ujrzała starszego mężczyznę, niosącego na plecach dużych rozmiarów garb.

- Chodź za mną - odezwał się skrzeczącym głosem, w którym słychać było zmęczenie życiem. Następnie, nie czekając na jej reakcję, ruszył w głąb pomieszczenia, przebierając pocieszenie patykowatymi nóżkami. Zatrzymał się dopiero przed szerokimi, wijącymi się jak potargany lok schodami, lecz zamiast pójść w górę, skręcił w kolejny korytarz, prowadzący do rozległych ogrodów.

Salihę zaatakowała cała gama najróżniejszych zapachów. Tym jednak, co najbardziej przykuło jej uwagę, była ściana pionowo spadającej wody. Dopiero po chwili dojrzała znajomą postać swojego nowego właściciela. Mężczyzna w połowie leżał, a w połowie siedział na rozpostartym między dwoma palmami hamaku. Jedna z jego rąk bezustannie kursowała od leżącej na brzuchu miski z orzeszkami ziemnymi do pokrytych szorstką szczecina ust. W pewnej chwili kończyła zawisała w powietrzu, jakby nie była pewna, czego jej właściciel od niej oczekuje. Mężczyzna zmrużył oczy, przełknął przeżutą miazgę i dał znak swej niewolnicy, by się zbliżyła. Sam zaś podniósł się do pozycji siedzącej z obiema nogami beztrąsko przeszywającymi powietrze.

- Niech się zbliży - przemówił w języku, który Saliha doskonale znała.

Dziewczynka zrobiła kilka kroków i stanęła przed nim niczym nieporadny szkrab oczekujący nagany od srogiego ojca. Zmusiła się, by spojrzeć nieśmiało na swojego pana, napotykając jego świdrujące spojrzenie. Krępująca chwila zdawała się trwać w nieskończoność.

- Kim ona jest? - Głos mężczyzny brzmiał twardo, sucho, śmiertelnie poważnie.

- Kim jest kto? - odparła pytaniem na pytanie i zmarszczyła ze zdziwienia czoło.

- Kim ona jest? - Głos stał się ostrzejszy. Saliha wyczuła w nim skrywającą się tuż przy powierzchni groźbę.

- Twą niewolnicą, panie - odparła, słusznie odgadując, że mężczyźnie chodzi o nią.

Jej pan uśmiechnął się delikatnie. Ostre rysy twarzy na moment złagodniały, lecz w oczach wciąż skrywał się jad. Też chciała się uśmiechnąć, lecz zamiast tego jej twarz ułożyła się w żalospną kulkę.

- Jak jej na imię?

Nie była pewna.

- Saliha, panie - odparła bez przekonania.

Drapieżca zdawał się nie dostrzec zawahania w jej głosie.

- Saliha - powtórzył z rozmysłem, wkładając sobie do ust kolejnego orzeszka. - A skąd ona jest?

- Z miasta Arkt, panie.

- Z miasta Arkt? Nigdy o nim nie słyzałem. Gdzie ono jest?

- Już nie ma. Zostało zniszczone, ale kiedyś mieściło się w górnym brzegu rzeki Rheandr.

- Rzeka Rheandr? Długa droga przed nią była. Co ona robi tak daleko od domu?

Saliha przełknęła ślinę.

- Miasto Arkt nie jest już moim domem. To siedlisko grzechu i rozpusty spotkała zasłużona kara.

Tym razem to czoło mężczyzny pokryły fałdy.

- Co ona tutaj robi? - powtórzył pytanie.

No właśnie. Co ja tutaj robię? - pomyślała niewolnica, próbując wyczytać cokolwiek z niewzruszonej twarzy bogacza. Na oko miał coś koło czterdziestu wiosen. Jasnopolielate wygolone po bokach włosy kontrastowały z zabarwioną na czarno i uformowaną w osty kolec

brodą, której koniec zbiegał się z mostkiem, oraz ciemnymi, prawie czarnymi oczami. Oczami, w których czał się mrok.

- Stoję przed tobą, panie, i proszę o litość. Statek, którym miałam się dostać za ocean, trafił na sztorm, który posłał mnie w te rejony. I tylko miłosierdziu Jedynego Boga, Szymona Maga, zawdzięczam, że jeszcze żyję. Zostałam jednak sprzedana w niewolę.

Twarz bogacza nawet nie drgnęła.

- Szymona jakiego?

- Szymona Maga. Miłosiernego, Wszechpotężnego Boga Jedynego - powtórzyła, patrząc bez lęku w przebiegłe oczy swojego właściciela. Zaraz jednak schyliła głowę, nie mogąc dłużej znieść jego zimnego spojrzenia. Zacisnęła piąstki, czując, jak skrew buzuje jej w skroni. Bała się, lecz chciała to ukryć. Kolejne słowa wypowiedziała głośno, wyraźnie, z nieskrywaną dumą. - Jam jest Jego służebnicą.

- Ona jest moją służebnicą - poprawił ją mężczyzna. - I niech o tym nie zapomni.

Promyk nadziei lekko przygasł, lecz wciąż się tlił.

- Jestem twą niewolnicą, panie, lecz me serce i ma dusza należą tylko i wyłącznie do Boga Jedynego, w którego opiekę się oddaję i który twymi rękoma zdecyduje o mym dalszym losie.

Mężczyzna nie wydawał się poruszony jej pełnymi poezji słowami. Wciąż wwiercał w nią świdrujące, pełne wyższości spojrzenie, tak charakterystyczne dla tych, którzy jednym ruchem palca mogą zdecydować o czyimś życiu lub śmierci. Czarne chmury wątpliwości napęłniły jej malutkie serce, a po płomieniu nadziei pozostała jedynie słabo tłąca się iskierka. Wycofać się jednak nie mogła.

Może się pomyliłam? - pomyślała. - *Może to nie był naszyjnik z piorunem, tylko jakiś podobny.*

- Niech opowie mi o swym Bogu - zażądał mężczyzna, nieświadom jej wątpliwości.

- To nie tylko mój Bóg, panie. To Bóg wszystkich ludzi, także wasz. Nie do wszystkich jednak dotarło Jego słowo. Jeszcze nie do wszystkich, ale to się zmieni dzięki niestrudzonym wysiłkom Jego

najwierniejszego sługi – Wielkiego Kapłana Baziliskusa. To na jego polecenie miałam się udać za ocean z pewną misją. Widocznie jednak Szymon Miłosierny zmienił ścieżki mego losu i postanowił, że stanę się twą niewolnicą, panie. Nic nie dzieje się bez Jego woli.

Mężczyzna wytarł opuszki palców o jaskrawoczerwone spodnie i ziewnął, szeroko otwierając usta. Dziewczynce zdawało się, że kilka jego zębów było wykonanych ze złota.

– Niech mi opowie, po co płynęła za ocean i czy była sama?

– Nie byłam sama. Płynął ze mną pewien mężczyzna. Achud – to jego imię. On także przeżył sztorm i trafił do tego miasta jako niewolnik. Widziałam go przez chwilę na targu, jak go prowadzili.

Kolejne przenikliwie spojrzenie mężczyzny przeszło małą kłamczuszkę. Poczowała się taka bezbronna. Miała nieodparte wrażenie, że została przejrzana, a bezustanny potok pytań ma na celu upokorzenie jej i zabranie ostatnich resztek nadziei.

– Po co płynęła za ocean?

– Mieliliśmy udać się do Kriglandastanu z tajną misją.

– Jaka to misja?

– Wybacz, panie, ale tego nie mogę zdradzić. To tajemnica.

Mężczyzna zmarszczył czoło i łypnął na nią gniewnie.

– Czy ona zdaje sobie sprawę, że teraz należy do mnie i że mogę kazać ją torturować? Niech odpowiada na pytania i mnie nie złości, bo zaczynam tracić cierpliwość.

Saliha poczuła, jak nogi się pod nią uginają, i tylko jakimś cudem udało jej się zachować pozycję pionową. Przełknęła ślinę.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie, lecz mimo to nie mogę ci zdradzić mych sekretów. Może i masz władzę nad moim ciałem, lecz tylko Bogu służę i służyć mu będę po kres moich dni – to powiedziawszy, pokornie schyliła głowę i dodała najbardziej potulnym tonem, na jaki było ją stać: – Wybacz mi, panie. Zabij mnie, jeśli zechcesz, lecz nie wymagaj ode mnie zdradzenia sekretów, od których zależeć może przyszłość ludzkości. Już dawno złożyłam swe życie Bogu i jeśli potrzeba, umrę z godnością w Jego imieniu.

Mężczyzna ponownie zatopił w niej swoje drapieżne spojrzenie, usilnie zastanawiając się nad jej słowami. Saliha spuściła wzrok. Jej serce biło w szalonym tempie. Nadzieja mieszała się ze strachem, a ten paraliżował całe jej ciało, od palców stóp do czubka języka. Ślina nie chciała przejść przez zaciśnięty przełyk i kłębiła się w ustach, a kropelki potu powoli spływały wzdłuż kręgosłupa. Dziewczynka bezwolnie zaczęła modlić się w duchu do Szymona Maga, lecz były to tylko puste słowa. Już jakiś czas temu straciła swą wiarę i teraz bała się, że spotyka ją za to kara.

Drapieżca wypuścił powoli powietrze, wziął do ręki kilka tłustych orzeszków, wsadził je do ust i pogryzł, dokładnie przeżuając. Nastąpiła cisza. Wlokąca się w nieskończoność, bezosobowa cisza, napełniająca serce dziewczynki grozą, nadzieją i strachem. Bogacz jakby odczytywał kołowrót myśli kręcących się w jej głowie. Patrzył na nią ponuro, nieśpiesznie podjadając orzeszki, aż miska zaświeciła dnem.

- Niech ją zabierze i zamknie w komnacie. Później się zastanowię, co z nią zrobić - słowa te skierował do stojącego przez cały czas z boku garbusa, który natychmiast chwycił dziewczynkę za ramię i wyprowadził z sali.

Ostatnie dni nie należały do najszcześniejszych w życiu Achuda. Choć gdyby się nad tym trochę zastanowić, można by powiedzieć, że do najszcześniejszych nie należało ostatnie kilkanaście lat w jego życiu. Ostatnie dni były jednak wyjątkowo paskudne, nawet jak na niego.

A zaczęło się całkiem dobrze.

Straszliwy sztorm, który pogrążył większość załogi statku w kipiących wściekłością odmętach oceanu, okazał mu swą szcudrość. Pozostawił jedynie kilka niegroźnych siniaków i lekko skrzywoną kostkę. Posłał mu także kawałek drewna, dzięki któremu udało mu się dotrzeć do brzegu. Radość Achuda nie trwała krótko.

Nie zdążył nawet nacieszyć się delikatnym dotykiem piasku pod swoimi stopami, gdy coś mocnego uderzyło go w tył głowy.

Gdy odzyskał przytomność, leżał w jakimś śmierdzącym łajnem pomieszczeniu. Ręce i nogi związane miał grubym konopnym sznurem. Nie wiedział, gdzie się znajduje ani co go czeka i ta nieświadomość bynajmniej nie poprawiała mu humoru. Wręcz przeciwnie. Podejrzewał, że ci, którzy go związali, nie staną się jego nowymi przyjaciółmi. Jeszcze nie do końca udało mu się rozważyć wszystkie prawdopodobne scenariusze jego dalszych losów, gdy do ciasnej izby, w której był przytrzymywany, weszło dwóch drabów. I jak słusznie się domyślił, nie zaczęli zabiegać o jego przychyłność. Z niewysłowioną wręcz radością poczęstowali go serią kopnięć i sprawdzili na nim twardość własnych pięści. A śmiali się przy tym niczym dwaj nicponie obmyślający jakiegoś psikusa nielubianemu koledze. Na koniec wśród coraz głośniejszych śmiechów i obcobrzmiących krzyków, najpewniej obelg, oddali na niego mocz i zostawili sam na sam z czarnymi myślami i rozsadzającym ciało bólem. Achud popadł w odrętwienie. Próbował zasnąć, lecz nim to się stało, oprawcy wrócili. A wraz z nimi dwójka równie paskudnych typów. I znów ból ciosów targnął jego ciałem. Czemu? Tego nikt nie wiedział, choć szerokie uśmiechy na twarzach oprawców mogłyby świadczyć o tym, że traktowali jego cierpienie jako świetną zabawę. W końcu bicie ustało. Jeden z nowych zarzucił go sobie na ramię i ruszył w kierunku czekających na nich wielbłądów.

Achud dosyć szybko zdał sobie sprawę ze swojego losu. Podobnie jak siostra jego najlepszego przyjaciela trafił na targ niewolników. Ból, rezygnacja oraz wysoka gorączka, która zawładnęła jego ciałem, spowodowały, że kolejne chwile jego życia składały się z niekompletnych urywków. Jawa mieszała się z ułudą, prawda z fałszem, życie ze śmiercią. Do samego końca nie był przekonany, czy rudowłosa dziewczynka, z którą rozmawiał w przeraźliwie wąskim i śmierdzącym korytarzu, była Salihą, czy tylko kolejną senną marą. Jediną rzeczą, która była realna, był ból – przeraźliwy, druzgocący

i odzierający go z resztek człowieczeństwa. Później nawet i on zniknął, a on sam stracił kontakt z rzeczywistością. Nie pamiętał, gdy stał na drewnianym podeście w otoczeniu kpiących z niego ludzi o twarzach wyrażających jedynie pogardę, nie pamiętał momentu licytacji i współczującego spojrzenia prowadzącego go osobnika, gdy został sprzedany słynącemu z okrucieństwa właścicielowi pobliskich kamieniołomów. Nie czuł także kolejnych razów spadających na jego ciało, kopnięć, szturchnięć, kuksańców. Nic nie czuł.

Następnego dnia gorączka nieznacznie spadła. Z samego rana wsadzono go do ciasnej klatki i zawieziono do jego nowego domu – dusznego baraku zajmowanego przez podobnych do siebie nieszczęśników. Achud słyszał w głowie szyderczy chichot bogów, którzy kolejny raz z niego zakpili. Bo jakże inaczej nazwać to, że co rusz darowywali mu wolność i co rusz ją zabierali?

Ledwo co zdołał położyć się na wąskiej pryczy – musiał ją dzielić z pewnym osobnikiem, którego całe ciało pokryte było wydzielającymi woń zgniłego mięsa wrzodami – a znów poczuł pieśczętę drewnianej pałki lokującej się między jego żebrami. Kazano mu wstać i udać się do znajdujących się na uboczu biur właściciela tego zapomnianego przez bogów miejsca. Wprowadzono go do ciasnej klatki, której jedynym meblowaniem był drewniany, odrapany stół i trzy chybotliwe krzesła.

W środku stało dwóch mężczyzn, a trzeci – najpewniej właściciel kamieniołomów – bujał się na krześle i wodził oczyma po trzymanej w dłoni kartce papieru.

– Zabieraj tego śmiecia i wynoś mi się stąd – warknął w stronę stojącego z boku garbusa, gdy tylko Achud pojawił się w drzwiach. – I tak wiele pożytku bym z niego nie miał. A, i powiedz swemu panu, że ma u mnie dług. Odbiorę go w swoim czasie.

Garbus nie raczył odpowiedzieć. Skłonił niedbale głowę, obdarzył Achuda pogardliwym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na jego czaszce, i pchnął go w stronę wyjścia.

Mocny podmuch wiatru musnął goliznę czaszki niedosłego mankruta, jakby chciał mu przypomnieć, że to on stoi za jego niedolą. Gdzieś z boku dało się słyszeć miarowe trzaski, zmieszane z potępieńczym wyciem i głośnymi krzykami. Znienacka pojawiło się dwóch drabów. Achud poczuł zimny dotyk metalowych obejm, zatraskujących się na jego przegubach.

- Tam idź!

Odwrócił głowę, napotykał surowe spojrzenie garbusa, który wskazał ręką w prawą stronę. Podążył za nią wzrokiem i ruszył. Z początku pomyślał, że mu się przywidziało. Zamrugnął kilkakrotnie powiekami, lecz gdy ponownie spojrzął w tamtą stronę, już miał pewność. Do powozu zaprzęgniętych było pięciu okazałych niewolników.

Potężne mięśnie ludzkich koni pociągowych napięły się. Wóz skrzypnął, jęknął i ruszył. Achud przez chwilę obserwował perlący się na poranionych od bata plecach pot, zastanawiając się, czy i jemu taki los jest gotowany. Nie zdziwiłby się, gdyby tak istotnie było. Kto jak kto, ale on w czepku się nie narodził.

Co jakiś czas obserwował mijane po drodze powozy, oddziały zbrojnych, karawany kupców, a nawet jedną teatralną trupę, co to składała się z trzech niewątpliwej urody niewiast i jednego starca, który siedział na koźle i pogrywał na drewnianej fujarce skoczną melodyjkę. Po obu stronach drogi ciągnęły się tereny kamieniołomów. Od czasu do czasu Achud napotykał wzrokiem skulone sylwetki niewolników, kradnących górą jej skarby. Czasem też przemknęła wśród nich napuszczona sylwetka nadzorcy wymachującego batem, jakby odganiał się od much. Czasem kogoś zdzielił, czasem kopnął, a czasem tylko pouczył ojcowskim spojrzeniem. Po jakimś czasie skały ustąpiły miejsca bezkresnym połaciom pól uprawnych i niewielkim chłopskim chatkom. Achud zamknął oczy i musiał zasnąć, bo gdy ponownie je otworzył, znajdował się w mieście.

Zmierzchało. Ulice pustoszały. Chowano kramy, zamykano sklepy, prawi ludzie wracali do domostw. W ich miejsce zaczęły pojawiać się

synowie i córki nocy. Powóz nagle skręcił w boczną uliczkę, wzdłuż której w równych odstępach rosły smukłe palmy. Jeszcze tylko kilka zakrętów i byli na miejscu. Świeżo mianowany niewolnik rozejrzał się na wszystkie strony i już chciał rozprostować nogi, gdy nagle poczuł mocne szarpnięcie. Upadł na ziemię, tuż koło jednego z ciężko sapiących ludzkich koni. Garbaty warknął coś do niego. Domyślił się, że ma za nim iść. Żelazne obejmy ciągnęły jego ciało w dół, nogi ugiwały się, świat kręcił, serce dudniło, a myśli układały się w najczarniejsze scenariusze. Kazano mu stanąć. Przekroczył drewnianą furtkę, później został wepchnięty do ciemnego korytarza, którym doszedł do kolejnego i kolejnego, aż w końcu znalazł się w przestronnym holu, który zaprowadził go do obszernego gabinetu o ścianach wyłożonych upstrzonymi setkami kolorów tapiseriami.

- Niech się zbliży.

Zrobił trzy kroki i stanął przed końcem topornego biurka, wykonanego z mahoni. Po jego drugiej stronie siedział, rozparty niczym wielmoża, na oko czterdziestoletni mąż o surowej, przypominającej jastrzębi pysk twarzy, lodowatych oczach i zakończonej ostrym kolcem brodzie.

Z tyłu usłyszał jakieś niepokojące dźwięki. Odwrócił głowę i o mało co nie przewrócił się z wrażenia.

- Saliha! - krzyknął i rzucił się w stronę siostry swego przyjaciela, gdy nagle został w brutalny sposób przywołany do porządku przez dwóch czarnoskórych olbrzymów.

- Niech nie robi gwałtownych ruchów. Ma mówić prawdę i tylko prawdę. Czy zrozumiał?

Wstał, wytarł krew z nosa i przytaknął. Saliha zaczęła wierzgać nogami, lecz i ona została szybko utemperowana.

- Skąd zna tę dziewczynę?

W zakamarkach jego pamięci zadźwięczały malutkie struny.

Zmarszczył brwi i wyteżył pamięć. Jastrząb wciąż chłostał go spojrzeniem, Saliha łkała. Kropelka potu bezgłośnie upadła na podłogę. Kolczastobrody zaczął nerwowo bębnić palcami o blat

biurka. Jeden z olbrzymów chrząknął znacząco. Achud przełknął ślinę. Wiedział, że ma coraz mniej czasu. Tylko że żadne słowo nie chciało mu przyjść na język. W głowie miał kompletną pustkę.

Niewidzialne struny zaczęły grać coraz żywiej, głośniej.

Chwała Szymonowi. Nie lękaj się, Achudzie. Pan nas zbawi i pozwoli ukończyć misję. Dotrzemy do Pięciu Księstw.

Oczy bogacza się zwięziły. Uniósł do góry lewą dłoń. Jeden z olbrzymów ruszył w stronę Achuda, który poczuł na karku oddech śmierci. Czas mu się kończył, musiał zaryzykować.

- Ogłuchł? - usłyszał nagle kipiący groźbą straszliwych męczarni wrzask. - Lepiej niech odpowiada i mówi prawdę, bo inaczej oboje każę poćwiartować i nakarmić nimi lwy. Skąd ją zna?

Pojedyncze nutki ułożyły się w melodię. Już wiedział, co powinien mówić.

- To Zafira, służebnica Pana. Jam jest Achud, Jego wierny sługa. Razem Mu służymy, by nieść słowa Szymona poza krańce świata.

- Jesteś pewny, że jej imię to Zafira?

Coś w głosie mężczyzny go ostrzegło.

- Jej imię to Saliha, choć wstępując w szeregi sług bożych, przyjęła inne - Zafira.

- Co tu robią? I niech nie kłamie. Już i tak go nie lubię, więc niech mnie nie denerwuje!

- Płynęliśmy do Pięciu Księstw, gdy trafiliśmy na sztorm.

- Po co tam płynęli?

- Mieliśmy nieść dobrą nowinę i przygotowywać ludzi do nadejścia królestwa bożego.

- Co się stało z jego czaszką?

- Zmiażdżyła się pod wpływem słońca i wielbłądziej skóry. Miałem zostać bezwolnym niewolnikiem, mankrutem, lecz Bóg Wszechpotężny miał wobec mnie inne plany i oddał mnie pod opiekę Wielkiego Kapłana, którego sługą się stałem.

- Czyli jest szpiegiem - stwierdził zjadliwie bogacz, a na jego ustach pojawił się złowrogi uśmieszek. Jedną z dłoni chwycił sztywną

brodę i zaczął nią machinalnie pocierać. – Czy on wie, co spotyka szpiegów?

– Nie jestem szpiegiem, panie – pośpiesznie zapewnił Achud, nie potrafiąc ukryć narastającego drżenia nóg. – Razem z Salihą zostaliśmy wysłani przez Wielkiego Kapłana za ocean. Jak już mówiłem, napotkaliśmy sztorm i tylko jakimś cudem udało nam się przeżyć.

– Jakimś cudem to jeszcze nie kazałem nim nakarmić lwów – odparł mężczyzna.

Serce Achuda zaczęło walić niczym kowalski miech, krople potu leniwie spływały mu po karku, a powietrze zdawało się być gęściejsze od smoły. Milczenie się przedłużało. Niewolnik zaczął się zastanawiać, czy lwy od razu rzucą się na niego, czy będą powoli delektować się każdym kęskiem. Stojąca z tyłu Saliha również drżała. Starła się coś odczytać z twarzy ich pana, lecz ta wciąż była nieprzenikniona. Tylko oczy przeskakiwały z jednej osoby na drugą.

W końcu zapadł wyrok. Nie taki, jakiego mogły spodziewać się wygłodniałe lwy.

– Wierzę im – odezwał się władcym głosem kolczastobrody, a na jego twarzy pojawił się niemal serdeczny uśmiech. – Wierzę im – powtórzył głośniej i upił łyk soku ze stojącego obok kufla. – Teraz niech idą odpocząć, a jutro z samego świtu wsiądą na statek i popłyną do Pięciu Księstw. Tam znajdą karawanę kupców, z którą zabiorą się, gdzie będą chcieli. Dam im odpowiednie listy polecające i trochę złota na podróż. Teraz niech idą. I niech Szymon Mag ma ich w swojej opiece.

Achud chciał coś powiedzieć, lecz nie znalazł właściwych słów. Stał więc z wytrzeszczonymi ślepiami i otwartą szczęką, trawiąc powoli ostatnie słowa tajemniczego mężczyzny. Jeszcze nie do końca docierały one do niego. Saliha także odetchnęła z ulgą. Po jej policzkach ściekały pojedyncze łzy.

– Niech już idą, bo zmienię zdanie – zdenerwował się bogacz. – A jak kiedyś spotkają Wielkiego Mistrza Rosmunda, niech przekażą

mu pozdrowienia od brata Jacqwina i zapewnią o wiecznej lojalności.

Achudowi zakręciło się w głowie. Niewidoczne struny w jego mózgu znów dały o sobie znać. Zaczęły grać jak szalone, układając się w pieśń zwycięstwa.

Pieć Księstw, Bolesław, przepowiednia, wojna – co jakiś czas rozbrzmiewały w niej te słowa, które onegdaj podsłuchał podczas licznych narad Władcy Świata z Wielkim Mistrzem. Uśmiechnął się, wypiął dumnie pierś i chwycił w objęcia chlapiącą Saliwę.

Pieśń nadziei dudniła w jego głowie. Już wiedział, czemu bogowie go tu zesłali. Zrozumiał ich intencje, choć na wybaczenie jeszcze się nie zdobył.

Rozdział 4

Wreszcie nadeszła. Pachnąca, promienna, roziskrzona i przez tak długi czas wyczekiwana. Ubrana w zieloną, upstrzoną tysiącami kwiatów sukienkę radośnie podrygiwała, nucąc pod nosem wesołą piosnkę. A gdzie doszła, tam grube pokłady śnieżnego puchu topniały niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Powietrze wokół wirowało w radosnym oczekiwaniu, a delikatne łodygi przebiśniegów poczęły z nieśmiałością spoglądać ku niebu, jakby nie były pewne, czy to już nadszedł ich czas.

Wiosna!

Nie wyglądała jednak tak samo jak w minionych latach. Na młodzieńczej, tryskającej energią twarzy malowały się troska, smutek, strach i niepewność. Wianek, który od wieków zdobił jej pszeniczne włosy, teraz był nijaki, rozwichrzony, kwiaty powiędłe. Także zielony badyłek, który trzymała w odzianej w czerwoną rękawiczkę dłoni, wyglądał jak osiem nieszczęść. A baranek? No właśnie. Co się stało z bieżącym przed nią barankiem, tego nikt nie wiedział. Czy to zdechł, czy został skradziony, a może – i to wydaje się najbardziej prawdopodobne – skończył jako główne danie na którejś z licznych wojennych uczt?

Wojna!

To straszne słowo brzmiało w każdym zakątku Pięciu Księstw, odmieniane przez wszystkie przypadki i rodzaje. I nieodmiennie niosło za sobą strach, płacz i lament. Ale także nadzieję na wieczną

sławę i nieprzebrane łupy. Przygotowania do niej szły pełną parą. Ciężko sapały kowalskie miechy, głucho dudniły młotki, a wojsko... wojsko się bawiło.

Prostokątny dziedziniec Pałacu Wiecznego Pokoju pękał w szwach. Wszędzie słyhać było podniecony gwar setek ludzi, brzdęk stali, śpiew podchmielonego żołdactwa. Dawni towarzysze broni znów mogli razem zasiąść do stołu.

- Za chwałę! Za honor! Za księcia! - wznosiły się uroczyste toasty. Z każdym kolejnym coraz głośniejsze i jakby mniej wyraźne.

Wracały stare wspomnienia, wracały niewygasłe spory. I znów brzęczała stal o stal, lecz tym razem w potyczkach na śmierć i życie.

Oczekiwanie na rozkaz wymarszu było wręcz namacalne, lecz cały czas z najdalszych rubieży krainy przybywali nowi poddani. Matki opłakiwały wyjazd synów. Żony rzucały się mężom na szyję, by w towarzystwie gorących jak lawa pocałunków zapewnić, że będą na nich czekały. A dziatwa, jak to dziatwa, biegała z drewnianymi mieczykami po pokrytych roztopami placach i udawała bohaterów wiecznych pieśni. Czasem tylko jakaś córka nie chciała puścić ojcowskiego płaszcza, jakby zdawała sobie sprawę, że może go widzieć po raz ostatni. Wojna bywa okrutna, przekłeta bładź.

Z zachodnich części księstwa przybyli zaprawieni w bojach rycerze, rzucając wokół srogimi spojrzeniami. A wśród nich jednooki Jeremiasz - postrach Helmundów, bohater legend, wierszy i podań. I tylko jedna osoba większy lęk wzbudzała - Drazdan, zmartwychwstały olbrzym. Gruba blizna, ciągnąca się od skroni aż do żuchwy, straszyla swoją świeżością, a oczy patrzyły tępo i bez wyrazu. I tylko dźwięk imienia „Bolesław” potrafił go wyrwać z milczącej zadumy. Zaraz jednak znów popadał w melancholijny nastrój, gładząc swój olbrzymi topór i cierpliwie czekając na czas zemsty.

Przybyli także okuci w grube futra górale - nieustępliwi, twardzi, ponurzy. Pierwsi do zwady i pierwsi do trunków. A przepić górala to nie lada wyczyn, o czym niejeden śmiałek zdołał się przekonać.

Liczne beczki wina, miodu i gorzałek znikwały w ich przepastnych gardłach, a rano... rano chcieli więcej.

Także radośnie usposobieni mieszkańcy pobliskich równin stawili się w komplecie. Dla nich wojna to przygoda. A że czasem któryś z nich zginie, straci nogę lub rękę... Co tam? Tylko głupcy martwią się na zapas. A póki żyją, niech trwa zabawa.

- Niech żyje życie! Niech zdechnie śmierć! Gdzie jest gorzałka? Gorzałki dajcie nam! - krzyczeli wniebogłosey i biegali w kółko, jakby najedli się szaleju. Ich radosne piski wprowadzały chaos i dezorganizację, lecz niezwykła pogoda ducha rozpowszechniała się po całym obozie niczym epidemia szaleństwa.

I tylko księcia Ichnuzji Vrongruna Kalekiego brakowało do kompletu. On jednak jechał. Krok za krokiem, mila za milą, karczma za karczmą. A z każdą kolejną gospodą nawet jego koniowi coraz bardziej plątały się kopyta. Towarzyszący mu żołnierze też nie byli gorsi. Ich apetyt na wszelakiego rodzaju trunki, truneczki i napitki był wręcz legendarny, gardła nienasycone. Wszak i oni byli nieodrodnymi synami gór. Jechali powoli, statecznie, dumnie, mając świadomość, że bez nich wojna zacząć się nie może. Długi i tłusty wąż odzianych w kanarkowe kropierze koni ciągnął się jak okiem sięgnąć. Siedzący na nich wojownicy, odziani w zbroje oraz uzbrojeni w kopie i miecze, starali się wyglądać dostojnie, majestatycznie, jakby chcieli ogłosić wszem i wobec, że to oni będą tymi, którzy przechylą losy tej wojny.

W końcu w zasięgu ich wzroku zamajaczyła majestatyczna bryła Pałacu Wiecznego Pokoju. Poprawili zbroje, zaczesali wąsy, unieśli tarcze i zaintonowali wspólnie w zespólną wojenną pieśń:

*Ojczyzna bez żołnierza to jak bez miecza kat,
Więc biorą kwiat młodzieży od wielu, wielu lat.
A gdy znad chudych koni chłopięca tryska krew,
W salonach twierdz i zamków wesoły słychać śpiew:*

Niech żyje wojna!

*Muzyczka marsza rżnie.
Wojna!
Dukaty sypią się.
Wroga bij w imię bogów,
Za cudzą chwałę oddaj młode życie swe!*

*Na placu boga wojny trębacze w trąby dmą,
To wódz Księstwa Ichnuzji przegląda armię swą.
A gdy ktoś kwiatki głupie na grobie złoży twym,
To ty, nieznany trupie, zaśpiewaj razem z nim:*

*Niech żyje wojna!
Muzyczka marsza rżnie.
Wojna!
Dukaty sypią się.
Wroga bij w imię bogów,
Za cudzą chwałę oddaj młode życie swe!*

*Po śmierci ci wykopią wygodny wspólny grób,
Wesoło jest tam, chłopie - co krok to inny trup.
A gdy cię uczuć fala w miłosny popchnie szął,
To z siostrą z lazaretu zabitą będziesz spał.*

*Niech żyje wojna!
Muzyczka marsza rżnie.
Wojna!
Dukaty sypią się.
Wroga bij w imię bogów,
Za cudzą kieszeń oddaj młode życie swe! ^[1]*

Tłum zgęstniał wzdłuż trasy ich przemarszu. Każdy mieszkaniec chciał na własne oczy zobaczyć wiernego sojusznika Wielkiego

Księcia – jedyne go, który w tych ciężkich czasach postanowił spełnić swój obowiązek i poprzeć seniora Pięciu Księstw.

– To on, to on – zewsząd słyhać było podniecone głosy, wskazujące na jadącego na czele pochodu męzczyznę niezmiernie urody. A trzeba przyznać, że było co podziwiać. Smukła i umięśniona sylwetka dumnie sterczała na bielszym niż śnieg ogierze. Na szerokie ramiona opadały swobodnie długie kasztanowe włosy, a ich końcówki wirowały w takt wiatru, wraz ze sterczącą, idealnie podciętą bródką koloru nasyconej czerni. A twarz? Takiej twarzy nawet bogowie by się nie powstydzili. Czarująca, uwodzicielska, stanowcza i niezwykle szlachetna. Oczy wielkie jak dwa oceany, patrzące z miłością na otaczającą gawieź. Usta mięsiste, czerwone jak maki, a mimo to męskie, stworzone tak do pocałunków, jak do bitewnej wrzawy. Wysokie czoło, wyraźne kości policzkowe i smukły nos idealnie komponujący się z resztą. A całość dopełniała lśniąca w popołudniowym słońcu zbroja, pięknie zdobiona tarcza i wykuty przed wiekami miecz. Jeśli nie tak ma wyglądać prawdziwy książę, to jak?

Gdzeniegdzie jakaś niewiasta niemal straciła zmysły, druga zemdląca, a jeszcze inna z pogardą spojrzała na czerstwy ryj swego małżonka, klnąc pod nosem na jego szpetotę.

– Ach, och. O bogowie, jakież on cudny! – krzyknę młode dziewczę i rzuciło pod końskie kopyta garść uschniętych płatków róż.

– Zostaw go, wywłoko jedna! Mój ci on, mój! – darła się druga, próbując wyrwać z jej głowy kępkę cienkich jak ludzkie życie włosów.

Jadący tuż koło swego giermka książę uśmiechał się ciepło do wiwatującej gawiedzi. Jego kary koń wyszczerzył radośnie żółtawe zębiska, a niezawodny wiatr targnął skrawkiem kropierza. Po chwili jeździec minął misternie zdobioną bramę i znalazł się na dziedzińcu. Tam już czekał na niego Wielki Książę Ziemi Warszzyckiej wraz z towarzyszącym mu orszakiem najdzielniejszych rycerzy i pięknych – a czasem mniej pięknych – dam dworu. A obok nich kłębił się tabun ciekawskiego pospólstwa.

I znów zewsząd rozległy się pełne uwielbienia ochy i achy... achy i ochy, i burza oklasków, wiwatów, toastów.

Księżę zsiadł z konia i zbliżył się do Jarogniewa. Władcy padli sobie w ramiona.

A wokół rozległ się... jeden wielki jęk zawodu.

- Jak to? Toż to nie on! - krzyczała pewna bladolica, która jeszcze kilka chwil temu przysięgła oddać własną cnotę Vrongrundowi Kalekiemu. Myślała nieszczęsna, że jest nim jadący dostojnie ideał męskiej urody.

- Oż głupia ty! - krzyknęła zrozpaczona cnota, uświadamiając sobie jej błąd. - Cóż mi teraz czynić?

Księżęcy giermek klęknął przed władcą Ziemi Warszzyckiej. Z bliska jego twarz zdawała się jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej natchniona boskim oddechem. Promienie słońca padły na jego lazurowe oczy, podkreślając ich szlachectwo oraz niezłomność, musnęły gładkie czoło, pocałowały wargi.

Vrongrund Kaleki pozdrowił księżną i odwrócił się w stronę Wielkiego Księcia. Mały, chudy człowieczek o twarzy tak pospolitej, że powinien być lichym szewcem, a nie wielkim władcą.

- Poznaj mego giermka - dzielnego Domagoja, nieodrodnego syna swego ojca, co to stracił życie w walce z Helmundami. - Wskazał głową na zdobywcę niewieścich serc, który przyklęknął na jedno kolano, by oddać hołd seniorowi.

Thum poczuł się zawiedziony.

Jarogniew podał rękę młodzieńcowi i pomógł mu wstać. Następnie zrobił kilka kroków do przodu i, ogarnawszy spojrzeniem kwiat rycerstwa Ichnuzji, rozpoczął swoją przemowę.

- O nie. Zaczyna się - jęknął któryś ze stojących gwardzistów, przeczuwając najgorsze. Jego przeczucie się nie sprawdziło. Było jeszcze gorzej.

Wielki Księżę od jakiegoś czasu polubił długie i kwieciste przemowy. A ta była wyjątkowo długa, wyjątkowo kwiecista i wyjątkowo nudna. Tak nudna, że nie wiadomo, czy nawet on sam

byłby w stanie wysłuchać jej do końca, gdyby nie oratorski szal, w który popadł. Zaczęła się zwyczajnie – od tego, co każdemu dziecku opowiada się już w kołysce. Od początków zjednoczonego królestwa. Później nadszedł czas na wspomnienie mitycznego Lecha – który wbrew niektórym kronikarzom ani nie miał brata bliźniaka, ani tym bardziej nie zamierzał skraść księżyca – jego potomków, aż w końcu Wielki Książę doszedł do protoplasty swego rodu. Wspomniał także – a jakże – o niechlubnym testamencie Bolesława Prostonosego, który kilka wieków temu rozdzielił królestwo na rzecz swoich synów, po czym gładko przeszedł do przyczyn wybuchu najnowszej wojny. Mówił i mówił, i mówił, a słowa, które wypadały z jego ust, były tak podniosłe, kwieciste i skomplikowane, że nawet najwięksi badacze języka drapali się po brodzie. I gdy już szeroko ziewający słuchacze myśleli, że przemowa dobiegnie końca, Wielki Książę zaczął wychwalać zalety poszczególnych rycerzy: ich dokonania przeszłe, jak i przyszłe. Nie miał w tym umiaru, ku coraz większej rozpaczli obecnych. Nawet świecące wysoko na początku przemowy słońce miało dosyć i z ulgą zwolniło miejsce gwiazdom i księżycowi. A książę mówił... i mówił, i mówił. I gdyby nie coraz większe skręty kiszek w jego brzuchu, możliwe, że przemawiałby aż do końca wojny.

A później była uczta. I to jaka uczta. Stół dosłownie uginał się od frykasów, rarytasów tłustych, mniej tłustych, zbyt tłustych. Były pieczone dziki, kaczki nadziewane jabłkami, bażanty, perliczki, przepiórcze jaja, smażone pstrągi, karpie, węgorze, różnego rodzaju kasze, bigosy, pierogi nadziewane wszystkim i niczym. I oczywiście przeróżne piwa, wódki i wina. Wszystko pyszne i w olbrzymich ilościach. A w jedzeniu nikt nie znał miary. Wszak to może być ostatnia uczta w ich życiu, więc folgowali sobie za wsze czasy, aż brzuchy im pęczniały, a żołądki wołały o litość. Mimo to nadal jedli i pili, i radowali się. I tylko książęca para siedziała markotna, zamieniając z innymi jedynie kilka słów. Oni nie potrafili się cieszyć, tęsknili za synem.

Po uczcie nadszedł czas na rozrywkę. Po pokazie akrobatów, czterdziestej ósmej edycji tańca z dwórkami i popisach połykaczy ognia, po walkach karłów, wyścigu ślimaków i pokazach mimów na salę wszedł sędziwy mężczyzna, podpierający się drewnianą laską. Rozejrzał się dyskretnie po sali i, nie wzbudzając żadnego zainteresowania, udał się do stojącego na uboczu stolika. Usiadł. Jadł mało, pił dużo. Nikogo nie pytał, nikt się go o nic nie pytał. Milczał. I tylko od czasu do czasu zerkał w stronę Wielkiego Księcia, jakby coś od niego chciał. Jego głowa kiwała się leniwie, oczy czasem przyklejały do powiek, lecz za każdym razem, gdy już miał zasnąć, budził go gwar toczącej się rozpusty.

A uczta trwała w najlepsze. Co mniej wytrwali walili się pod stół, zamroczeni winem, piwem lub gorzałką. Krew zrobiła się gorętsza i coraz częściej gwardziści zmuszeni byli rozdzielać zbyt krewkich jegomościów. Mimo to czasem ktoś kogoś grzotnął, wyleciał zęb, trysnęła krew. Większość jednak bawiła się w najlepsze. Strojne damulki spuszczały skromnie ślipka, pozwalając się adorować. A amatorów umizgów było co niemiara. Ileż nowych romansów zrodziło się tej nocy, tego nikt nie zliczył. Bogini Mokosz zacierała ręce. Ona nie potrzebowała ofiar z krowich serc, palonych kadzideł, świec, pęków kwiatów. Rozłożone uda dwórki więcej znaczyły dla niej niż śpiewy odzianych w białe szaty kapłanów. Taką boginię kocha rycerska brać i niech schowa się ten cały Szymon Mag ze swymi dyrdymałami.

Niech żyje miłość, taniec i śpiew!

Noc robiła się starsza, głowy cięższe, brzuchy bardziej napęczniałe. A im wciąż było mało. W końcu Wielki Książę rzucił na ziemię ostatnią, obgryzioną do białości kość, wytarł usta rękawem i wstał. Wstał też siedzący samotnie starzec. Ominął stojących z wypiętymi piersiami gwardzistów, kopnął jakiegoś zapijaczonego giermka i po chwili znalazł się tuż przed władcą. Uśmiechnął się lekko.

- Uważajcie, Wasza Miłość! - usłyszał dochodzący z boku, ostrzegawczy krzyk. Kątem oka ujrzał wygiętą strachem twarz jednego z gwardzistów, którego miecz wysunął się szybko z pochwy, zrobił zamaszysty półokrąg i zatrzymał się, dotykając szyi starca.

- To starzec z równin. Uważajcie na niego - usłyszał drugi, młodszy, lecz równie przerażony głos. - To ponoć niesłychany szermierz, a nawet i mag. Zabijcie go.

Kilku kolejnych gwardzistów otoczyło szczerze księcia. Starzec uniósł powoli ręce w górę i uśmiechnął się szyderczo. Miał zadziwiająco kompletne zęby jak na swój wiek.

- Ze starcem z równin to cię widocznie twa mać zrobiła, bękarcie chędożony. A ty opuść to żelastwo, bom humoru na krotoczwilę nie mam. Z księciem trza mi się rozmówić.

Młodzian zgrzytnął zębami, wyjął miecz i już miał zamiar rąbnąć bezczelnego starca płazem, gdy powstrzymała go uniesiona w górę dłoń władcy.

- Stać! A ty, Sulimirze, miarkuj słowa. Nie każdy wie, że lubujesz się w tych swoich przebierankach. Żebyś ty kiedyś głowy nie stracił przez tę hardość i cięty język.

- Wybaczcie swemu wiernemu słudze, wasza wspaniałość, alem dopiero co do pałacu wrócił i czasu na przebranie mi brakło. Nie chciałem wam przeszkadzać podczas uczyty i czekałem w spokoju, aż od stołu wstaniecie. Dłużej jednak czekać nie mogę. Wieści ważne przynoszę, więc rozkażcie z łaski swojej schować broń tym amatorom. Za starca z równin mnie wziąć, ha, ha, ha. Tego jeszcze nie było.

Twarz rzekomego bękarta legendarnego przywódcy asasynów zrobiła się purpurowa. W jego oczach zapłonęły tysiące iskier. Zmiał cisnącą się na usta wiązanekę najgorszych obelg, schował miecz i pokornie spuścił głowę. Wolał nie narażać się potężnemu szpiegowi.

Księżę pokręcił z dezaprobatą głową, wyrócił oczyma i dał znak szpiegowi, by ten ruszył za nim. Niebawem znaleźli się w książęcych ogrodach, wciągając z rozkoszą wczesnowiosenne powietrze. Pani Zima powolnym krokiem zmierzała do krainy zapomnienia i jedynie

od czasu do czasu przypominała światu o swej obecności, racząc go mroźnymi podmuchami wiatru. Dwójka konspiratorów otuliła się szczelnie płaszczami i zbliżyła do siebie.

- Czego się dowiedziałeś? - spytał Jarogniew Stateczny, gdy już rozsiedli się wygodnie na drewnianej ławce, stojącej pod wiekowym dębem i w wystarczającym stopniu nasycili się wszechobecną ciszą. Tak różną od gwarnej sali, gdzie odbywała się uczta.

- Niejednokrotnie narażając zdrowie i życie, udało mi się, Wasza Mi...

- Sulimirze, proszę cię. Jesteśmy tutaj sami, więc daruj sobie te oratorskie popisy. Do rzeczy.

- Wybaczcie, książę, to takie przyzwyczajenie. Będę się streszczał, jak tylko potrafię. A wiedzcie, że jeśli coś sobie postanowię, to nie ma takiej siły, aby... no dobrze, już dobrze. Otóż, mówiąc wprost, Olkmund Staloręki zebrał potężną armię. Oprócz rycerstwa z Kriglandastanu znalazło się w niej wielu najemników ze wschodu, a także kilka dzikich hord z dalekich stepów oraz wszelkiego rodzaju awanturników i szubrawców szukających przygód. Erzsébe ma mniejsze siły, lecz nie można jej lekceważyć. Obydwie armie mają się spotkać na Równinach Szeptu, na granicy trzech księstw, i tam czekać na walną bitwę lub wtargnąć z grabieżą na nasze ziemie, by nas zmusić do konfrontacji. Są bardzo pewni siebie. Zbyt pewni jak na mój gust. Olkmund starał się wysłać tu szpiega, lecz dzięki mojej wnikliwości, sprytowi i nieza...

- Sulimirze!

- A tak, tak. Wybaczcie, książę, taki nawyk. Olkmund nie zna naszych sił i święcie wierzy, że będzie miał dużą przewagę. Zresztą uważa się za najlepszego stratega w historii Pięciu Księstw. Ta pycha powinna go zgubić. Jeśli chcecie znać zdanie waszego wiernego sługi, to uważam, że nie powinniśmy wyprowadzać go z błędu. Przyjmijmy bitwę na Równinach Szeptu i dopiero wtedy okaże się, kto ile jest wart.

- Równiny Szeptu? Czy to nie tam kilkadziesiąt lat temu mój dziadek pokonał cesarza Helmundów?

- Właśnie tam, Wasza Miłość. Tym razem będzie podobnie, tylko przeciwnik inny. A żeby jeszcze bardziej przechylić szalę na naszą korzyść, pozwoliłem sobie przekupić kilku barbarzyńskich władcyków. Brzdęk złota jest dla nich ważniejszy niż honor. W odpowiednim momencie zaatakują tyły Olkmunda, wzbudzając tam panikę i chaos, a nam dając okazję do zaatakowania z przodu. Jak sami widzicie, o wynik nie ma co się obawiać, mając mnie przy swoim boku. Prędeż wyrwałbym sobie flaki i zrobił z nich naszyjnik, niż pozwolił sobie na jakiś błąd.

Książę zamyślił się, głaszcząc ręką napęczniały brzuch.

- Niechaj tak się stanie. Niechaj bitwa rozstrzygnie o dalszych losach królestwa. Jestem na to gotów. Wiadomo coś o Breslangu?

Sulimir stracił pewność siebie. Wskazujący palec prawej dłoni zaczął nerwowo bębnić o jego udo, a wzrok błędził po gwiazdzistym niebie.

- Niestety, Wasza Miłość. Jedna wielka pustka. Wszystkie próby zebrania jakichkolwiek informacji skończyły się tragicznie. Także poselstwa odbijają się od bramy miasta niczym wezbrane fale od skał. Słyszałem plotki, że Brurgrund Moźnowładca nie żyje, ale to tylko plotki. Nie wiadomo, ile jest w nich prawdy.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz nagle zmienił zdanie, czekając na to, co powie władca. Wielki Książę westchnął, ziewnął i rozejrzał się dookoła. Błady, jakby schorowany księżyc przesłonił gnające po niebie chmury. Wzrok księcia musnął zatopione w mroku pnie - zbyt pobieżnie jednak, by dojrzeć wśród nich przytulającą się do drzew zakapturzoną postać - i ponownie spoczął na twarzy Sulimira. Pod słuchujący osobnik w kapturze znieruchomiał i wyteżył uszy, by wśród wściekłego wycia wiatru wyłowić interesujące go informacje.

- Zostawmy Breslang w spokoju. Później się nim zajmiemy. A teraz idę spać. Ty też się wyśpij, Sulimirze, bo jutro czeka nas ciężki dzień.

Pierwszy Wśród Szpiegów nie poruszył się.

- Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć, książę.

Jarogniew zatrzymał się w pół kroku. Poczłł niepokój spowodowany nieznaną nutą w głosie szpiega.

- Mów.

Sulimir zawahał się na moment.

- Chodzi o waszego syna. Otóż, hmm, mam pewne podejrzenia, że chłopak może jeszcze żyć.

Zaczęło padać. Wielki Książę zastygł w bezruchu niczym lodowa góra i tylko miarowe ruchy jego brzucha świadczyły o tym, że jest człowiekiem z krwi i tłuszczu. Sulimir przełknął ślinę i kontynuował:

- Otóż dowiedziałem się, że parę miesięcy temu udało mu się uciec z zamku Erzsébe, gdzie był przetrzymywany z jej tylko wiadomych względów. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Uciekł jednak, a pomogło mu dwóch chłopów, których siostra została zmaltretowana na śmierć na rozkaz tej dziwki. Prawdopodobnie zrobili to z zemsty. Oszukali strażników i wykorzystując to, że większość żołnierzy wraz z księżną była na polowaniu, uciekli w nocy z zamku. Jechali w stronę naszej granicy, lecz w pewnym momencie porzucili wóz i weszli do lasu. Później udało im się znaleźć schronienie w niewielkiej wsi, lecz ktoś ich zdradził i musieli uciekać w pobliskie góry. Dalej nic o nich nie wiadomo. Wiadomo tylko, że ta dziwka wpadła we wściekłość i obiecała sporą nagrodę za ich głowy. Bolesława szuka cała armia Magyoranu i jak do tej pory go nie znaleźli.

- On żyje - odezwał się po dłuższej chwili Jarogniew. W jego głosie było tak wielkie przekonanie, że nawet podsłuchujący ich osobnik nie miał co do tego żadnych wątpliwości. - Mój syn żyje, wiem o tym.

Po tych słowach książę odwrócił się i poniosł swój rozdygotany bebecł wprost do książęcych sypialni.

Pierwszy Wśród Szpiegów posiedział jeszcze kilka chwil i również postanowił wrócić do pałacu. Przemierzył puste o tej porze korytarze,

otworzył drewniane drzwi i wkroczył do zajmowanej przez siebie komnaty. Porzucił starcze łachmany, zdjął sztuczną brodę, perukę i worki pod oczy, obmył twarz z gumowych zmarszczek i walnął się jak długi na łóżku. Zasnąć jednak nie mógł. Zmieszana z dużą ilością alkoholu krew zaczęła kipieć w jego żyłach, odganiając poprzednie znużenie. Sulimir wstał, ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Bogini Mokosz i od niego zażądała ofiary.

Ulice pogrążone były we śnie. Gdziekolwiek tylko słyhać było stłumione odgłosy podchmielonych żołdaków lub zachęcające wołania liczących na ostatni zarobek kurew. Zbyt lichych jak na jego gust. W ciemnym rogu kilku zbójów pastwiło się nad swą ofiarą. Drewniane pałki lądowały na młodzieńczym ciele, pięści stykały się z nosem, a buty co rusz zatapiały swe czubki w okolicach żeber. Kilka domostw dalej stateczna mężatka daremnie czekała na bitego, masując podbite oko. Pełen namiętnych słów list jeszcze pachniał różanymi płatkami, gnieciony wściekle przez spocone dłonie zdradzanego męża.

Sulimir skręcił w lewo i ruszył w poprzek zajmowanej przez żołnierzy części miasta. Jego buty wydawały głucho odgłosy. Mijał kolejne domostwa, aż zatrzymał się przed tym właściwym. Jeszcze tylko wystarczyło pogrzebać przy zamku i drzwi stanęły otworem.

W chacie panował zaduch. Z odległego kąta rozlegał się miarowy odgłos chrapania. Mężczyzna zdjął buty i płaszcz, a następnie stanął przed skrzypiącym łóżem. Na jego twarzy wykwitł sprośny uśmiezek, gdy promień księżycy padł na apetyczną buźkę smacznie śpiącej blondynki. Nie zastanawiając się długo, zrzucił z siebie odzienie i wsunął się do rozgrzanej ciepłym kobiecego ciała pościeli. Przez chwilę wsłuchiwał się w świszczący oddech ponętnej niewiasty, podziwiał delikatność jej rysów i wdychał rozkoszny zapach puszystych włosów. Czule pogłaskał ją po policzku, uciekając myślami do zamierzchłej przeszłości. Przed oczyma stanęła mu drobna postać młodziutkiej dziewczyny o identycznych włosach opadających kaskadami na kruche ramiona. W kącikach oczu mężczyzny pojawiły się drobniutkie świeczki. Odegnął bolesne wspomnienia daleko

w głąb siebie i skoncentrował się na terażniejszości. Jeszcze przez jakiś czas obserwował śpiącą piękność, aż w końcu odsunął puchową kołdrę, zerkając na ukryte poniżej dary natury. Jego ręka z pewnym nabożeństwem dotknęła apetycznej krągłości i zatrzymała się na niej. Powoli rozpiął guziki i sterczące do góry piersi ukazały się w pełnej krasie. Przez długi czas chłonał ten wspaniały widok, aż w końcu zapragnął więcej. Chciał poczuć ich aksamitną miękkość, chciał zatopić się w ich rozkosznej zmysłowości. Bo czyż jest coś wspanialszego niż dorodny cyc? Jest – dwa dorodne cyce, byle tylko były młode, jędrne i pachnące. A takimi właśnie były piersi nieświadomej delikatnych pieszczot białogłowy. Dłoń szpiega zaczęła zataczać powolne kręgi, omijając na razie najwrażliwsze miejsca. Po chwili przysunął do nich swą twarz i z zapalem poznającego świat szkraba zaczął muskać po nich językiem. Smakowały niewysłowioną rozkoszą. Z każdą chwilą zbliżał się coraz bliżej do zaróżowionych zwieńczeń kolistych wież.

- Dziś już nie pracuję – usłyszał delikatny głos dochodzący z niewieścich ust. Sprzedajnych ust.

- Mrrrrrrr – odpowiedział, nie przerywając swych pieszczot. W końcu oderwał się od dorodnych piersi i nagłym ruchem zerwał z blondynki nocną suknię.

- Przestań! Dziś nieczynne! Jak tu w ogóle wszedłeś? Wynoś się, bo zacznę krzyczeć!

Mężczyzna, zamiast odpowiedzieć, zatkał jej usta długim, gwałtownym pocałunkiem. Już nie był delikatny. Silne ręce zaczęły mocno ścisnąć jej delikatne ciało, a język gwałtownie wdzierał się do najgłębszych zakamarków gardła. Zęby od czasu do czasu zaciskały się boleśnie na jej wargach.

- To ja, Sulimir. Zapłacę podwójnie.

Pazernie zlizwał krew z jej rozciętych ust, rozszerzył nogi i z wigorem wyposzczonego buhaja zatopił się w wilgoci jej łona. Dziewczyna chciała zaprotestować, lecz zatkał jej usta dłonią i zaczął rytmicznie poruszać miednicą. Szybko i ostro, niemal brutalnie.

Blondynka chciała się wyrwać, lecz im dłużej to trwało, tym jej opór słabł, aż w końcu poddała się zupełnie woli mężczyzny, wydając z siebie coraz głośniejsze jęki rozkoszy. Gdy skończył, rzucił na stół garść monet, włożył spodnie i wyszedł.

Grube krople deszczu zaczęły spadać mu na głowę, bębnić o parapety, tworzyć kałuże. Nie zwracał na to uwagi. Na nic nie zwracał uwagi. A może gdyby przestał myśleć o ponętnej blondynce z dawnych lat, gdyby rozejrzał się dookoła, losy miasta potoczyłyby się inaczej? A może gdyby zachował zwyczajną czujność i dojrzał sunącą po drugiej stronie ulicy postać, ubraną w czarny płaszcz z obszernym kapturem nałożonym na głowę, tysiące mieszkańców nie straciłyby życia? A może gdyby... można tak gdybać w nieskończoność, lecz fakty pozostaną faktami.

Osobnik w kapturze w porę dostrzegł zbliżającego się z naprzeciwka Sulimira, uskoczył za róg i przywarł plecami do mokrych murów. Odczekał, aż postać Pierwszego Wśród Szpiegów zleje się z mrokiem nocy i ruszył dalej, klucząc wąskimi zaułkami, pobocznymi uliczkami i nieoświetlonymi skwerkami. Tu prawdopodobieństwo spotkania gwardzistów było mniejsze. Większe zaś było ryzyko stracenia całego dobytku, kilku zębów, a nawet życia. Nikt mu jednak nie stanął na drodze i niebawem dotarł do samotnej chatki. Kiedyś mieszkał w niej kat, lecz całkiem niedawno ponury małodobry przekonał się, jak to jest znaleźć się po drugiej stronie toporczego żeleźca.

Zakapturzony stanął przed wejściem i zapukał kilkakrotnie według umówionego hasła. Odrapane, pachnące starością drzwi uchyliły się, a przez niewielką szparę wyjrzała chytra, porośnięta gęstą szczeciną twarz.

- Czego?

- Najlepsze żołędzie rosną za oceanem. - Wydobywający się z kaptura głos brzmiał niezwykle miękko, niemal niewieście.

Drzwi uchyliły się szerzej, a na wąsatej twarzy gospodarza zawitał wąski uśmiech.

- Burgunda lubi tylko od tyłu - odparł wąsacz, wypuszczając z ust śmierdzące cebulą powietrze. - Spodziewałem się was wcześniej, bracie Al...

- Ćśśś - syknął przybysz. - Tylko bez imion. Nie mam wiele czasu na czczą gadaninę. Przyrowadź mi konia.

Wąsaty ze zrezygnowaniem pokręcił głową i poszedł do stojącej na uboczu szopy.

- Tylko bez imion, tylko bez imion - mruzczał przy tym pod nosem, walcząc z rosnącą irytacją. Od kilku miesięcy sterczał w tej zapyziałej chacie, za towarzystwo mając jedynie durnego kocura i kilka wygłodniałych pcheł. Tęsknił za zwykłą rozmową, za odrobiną towarzystwa czy choćby drobnym gestem przyjaźni. Zamiast tego trafił na jakiegoś zarozumiałego kogucika, który nawet spojrzeć na niego nie raczył. - Nadęty osioł, psia jego mać.

Po chwili wrócił, prowadząc za uzdę karej maści ogiera o nikłym wzroście, lecz ogromnej wytrzymałości. W sam raz na długą podróż.

- Czy zechcecie coś zjeść przed podróżą, bracie? - spytał usłużnie, podając zakapturzonemu przybyszowi cugle. Wciąż miał nadzieję na choćby krótką rozmowę. Tym większą, że w jego umyśle zrodziły się uzasadnione wątpliwości odnośnie do płci przybysza.

Ten nawet nie raczył mu odpowiedzieć. Wskoczył na konia i pognał hen daleko, pozostawiając po sobie jedynie obłoczek kurzu i zawiedzione nadzieje.

- A jedź se do wszystkich czortów, ty chędożona przez wielbłąda dziwko! - krzyknął wąsacz, otrzepując drobinki kurzu z połatanej kamizelki. - Jak dla mnie możesz zdechnąć z głodu.

Brat tylko-bez-imion nie słyszał jego utyskiwań. Zresztą nawet gdyby dotarły one do jego uszu, pewnie by je zignorował. Raz po razie poganiał konia mocnymi uderzeniami bata, kierując go na południowy wschód, wprost ku granicy z Breslangiem. Wiedział, że los tej części świata zależy w dużej mierze od niego. Czuł nad sobą opiekuńcze skrzydła Szymona Maga. Czuł je przez cały czas, gdy niejednokrotnie narażając własne życie, szpiegował tajne rozmowy Jarogniewa

Statecznego i jego zaufanych. Teraz jego misja była bliska końca. Pozostało tylko podzielić się z braćmi zdobytymi informacjami, a oni już zrobią z nich użytek. Ku chwale miłosiernego Szymona oczywiście.

Słońce już dawno zadomowiło się na ziemskim suficie, ogrzewając wychłodzoną przed długie miesiące ziemię. Z białej pierzyny śnieżnego puchu pozostały zaledwie niewielkie kępki, kłębiące się w ocienionych miejscach i wyglądające niczym resztki włosów na czaszce sędziwego starca. Wiał ciepły wietrzyk, który przynosił ze sobą wspaniały zapach wiosny. W takie dni nawet zbliżająca się szybkimi krokami wojna wydawała się nie taka straszna.

Tuż przed zmierzchem zmęczony wędrowiec dotarł do niewielkiego zagajnika porośniętego smukłymi sosnami. Chwilę później skręcił w wąską błotnistą ścieżkę, którą dojechał do chylącego się ze starości młyna. Budynek sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili miał zamiar zwalić się na ziemię. Wciąż jednak stał dumnie, nie bacząc na targające nim wiatry i wiecznie nienażarte korniki. I tylko spróchniały pysk skierował lekko ku ziemi, igrając z prawami fizyki. Mieszkańcy okolicznej wsi powiadali, że nawet dzielny rycerz don Apsik, który swego czasu wziął go za potwora, nie zdołał zwalić młyna z fundamentów. A miał – powiadali – chłop siły co niemiara.

Osobnik w kapturze zeskoczył z konia i, prowadząc go za uzdę, rozglądał się na wszystkie strony. Gdzieś nad jego głową rozlegał się miarowy stukot dzięcioła, szukającego życiodajnych soków wewnątrz wysokiej sosny. Nieco niżej kolczasty jeź zdziwił się srodze, gdy tuż przed jego łęgowiskiem wyrosła dziwna istota i mało co nie przygniotła go swymi kopytami. Jeź schował się czym prędzej w gęstwinie i odprowadził ją pełnym wyrzutów spojrzeniem. A że ślepy był biedaczek, na niewiele mu się to zdało. Ani koń, ani człowiek nie zwrócili na niego uwagi. Szli ostrożnie obok siebie, kierując się ku poniszczonej szopie, co to stała obok młyna. Suche gałęzie głucho trzeszczały pod nimi, jakby przechodził tędy cały oddział. Nagle

wędrowiec stanął w miejscu. Zdawało mu się, że gdzieś w pobliżu usłyszał niepasujący do reszty dźwięk. Nadstawił uszu, lecz po chwili ruszył dalej. Dźwięk znów się pojawił, a zaraz po nim gardłowy krzyk, niosący za sobą obietnicę szybkiej śmierci:

- Zatrzymaj się i zdejmij kaptur!

Tuż obok lewej skroni przybysza śmignęła strzała i wbiła się z hukiem w pobliski pień.

A niech to lichu - przeklął w duchu brat tylko-bez-imion, nie mogąc sobie darować, że w tak dziecinny sposób dał się wciągnąć w pułapkę. Posłusznie stanął w miejscu i powolnym ruchem odsłonił lico. Było one okraszone sięgającymi do połowy ucha brązowymi włosami, krzywym noskiem i bystrych oczyma, patrzącymi nieruchomo w przód. Niezwykle ostre rysy twarzy i wystająca zuchwa nie pasowały do delikatnej skóry pokrytej drobnymi piegami. Czego by zresztą nie mówić o tej twarzy, jedno od razu rzucało się w oczy. Była to niewieścia twarz.

- A niech mnie tysiąc pierunów w rzyć rąbnie - zaklął nieznajomy z łukiem. - Kogóż to moje starcze oczy widzą? Czeka tam na mnie, dziewucho, zaraz zleżę.

Adelina nigdzie się nie wybierała. Próbowwała usilnie przypomnieć sobie, skąd zna ten głos. Na wszelki wypadek mocniej ścisnęła rękojeść sztyletu.

Po chwili usłyszała głośny tupot. Nie namyślając się długo, schowała sztylet z powrotem, a w jego miejsce wyciągnęła lekką, nieznacznie zakrzywioną szablę, którą potrafiła posługiwać się nie gorzej niż niejeden mąż. Zwolniła oddech, szykując się na walkę, lecz gdy tylko ujrzała zbliżającego się do niej mężczyznę, wnet zapomniała o swych obawach.

- Wujku Yves! - krzyknęła i ruszyła biegiem w jego stronę. Po drodze opuściła broń i rzuciła się mężczyźnie na szyję niczym mała dziewczynka witająca wracającego z długiej podróży ojca. - Cóż za niespodzianka. To naprawdę ty?

- A któż by inny! Puść mnie, mała zaraz, bo zaraz się uduszę - wykrztusił brat Yves. Postawił ją na ziemi i z trudem skrywając wzruszenie, ucałował w oba policzki.

- Jakże się cieszę, wujaszku, że cię widzę - ćwierkało radośnie dziewczę, w niczym nie przypominając podstępnego szpiega, udającego jedną z kirańskich dziwek. - Och, aż mi się nie chce wierzyć w to szczęście. Dobrze wyglądasz. Widać służba ci służy.

- Ty też wyglądasz niegorzej, mało zaraz. A toś mi niespodziankę urządziła. No patrzaj, jakież ten świat mały, że nawet tutaj, w tej pogańskiej krainie, się spotykamy. Każdego bym się tutaj spodziewał, ale nie ciebie.

- Ja też się ciebie nie spodziewałam, wujaszku. Co ty w ogóle tutaj robisz? Przecież służyłeś daleko stąd.

- Służyłem, służyłem, lecz od tamtej pory wiele się zmieniło. Widocznie Pan nasz Szymon Mag i Wielki Mistrz uznali, że bardziej się przydam na tej heretyckiej ziemi. A ty nie miałaś być w Kiraniu?

- Właśnie stamtąd jadę. Przynoszę ważne wieści. Co się stało z bratem Lipodem, który zawsze tu na mnie czekał?

- A, z nim... Kilka dni temu wyłowiono go z rzeki. Miał poderżnięte gardło. Z tego, co udało nam się dowiedzieć, zaczął wdawać się w jakieś szachrajstwa z tutejszymi mendami i widocznie naraził się kilkorgu ludziom. Na szczęście nie ma to nic wspólnego z naszą sprawą, czego się z początku obawialiśmy. Brat Hunold kazał mi go zastąpić i oto jestem. No ale to wszystko może poczekać. Wejźmy do środka. Tam mi wszystko opowiesz, zjesz coś, napijesz się i powspominamy rodzinne strony. Wyglądasz, jakbyś kilka nocy nie spała. Nawet nie wiesz, jakżeś mnie uradowała. Z pięć lat się nie widzieliśmy. Bez mała, jak nie lepiej. Ostatnim razem chyba na weselu twojej siostry... och, co to było za wesele. No ale nie stój tak. Chodźmy, bo tu wiatr wieje i mnie zaraz w plecach zacznie łupać.

- Dokładnie sześć i pół roku się nie widzieliśmy, wujaszku - odparła poważnie Adelina. - Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym usiąść z tobą i pogadać, lecz nie ma czasu. Trzeba jak najszybciej

dostarczyć wiadomość Wielkiemu Mistrzowi. To sprawa życia i śmierci.

- Mistrz Rosmund został za oceanem. Podobno niektóre prowincje na południu zaczęły się buntować i musiał osobiście przywrócić porządek. Naszą armią tutaj dowodzi jego brat - Kwizdyń Gładkolicy. Niebawem ma także przyplłynąć jakiś zaufany naszego drogiego cesarza, ale szczegółów nie znam. Zresztą to nie jest teraz najistotniejsze. Opowiadaj, co to za wieści przynosisz, że nawet nie masz czasu napić się wina z dawno niewidzianym wujem.

Adelina w prostych słowach zrelacjonowała wujowi, czego się dowiedziała w mieście Kirań, a im dłużej mówiła, tym twarz starszego mężczyzny stawała się coraz bardziej spięta.

- A więc zaczyna się - przemówił, gdy tylko jego siostrzenica skończyła. - Dobrze się spisałaś. Jestem z ciebie dumny. Faktycznie nie mamy wiele czasu. Odprowadź mnie, proszę, do tamtej szopy. Trzymam tam wypoczętego konia, gotowego do drogi. Niebawem wyruszę, a ty odpocznij sobie, dziecko, najedz się i wyśpij. Wyglądasz, jakbyś całą noc tańcowała ze śmiercią. Tam w młynie masz wygodne posłanie. Później przybywaj do Breslangu. Może jeszcze uda nam się wspominać dawne czasy.

- Nie mogę się doczekać, wujaszku. A masz może jakieś wieści o moim ojcu?

Brat Yves zatrzymał się w pół kroku i położył dłoń na jej ramieniu. Spojrzał na nią smutnym wzrokiem, pod wpływem którego uśmiech zamarł na niewieścich ustach.

- Twój ojciec nie żyje, Adelino. Został męczennikiem, oddając swe życie za wiarę - wypowiedział spokojnym głosem słowa, które zamroziły dziewczynie serce.

- Jak to się stało? - zdołała tylko spytać, z trudem powstrzymując zbierające się w kącikach oczu łzy.

- Zginął z mieczem w dłoni, w mieście Horkas. Wraz z grupką dzielnych braci przeniknął niepostrzeżenie poza miejskie mury i otworzył główną bramę, by nasze wojska mogły dostać się do

środku. Powinnaś być z niego dumna. Zginął jak bohater i teraz najpewniej uśmiecha się do ciebie z niebiańskiego raju.

- Niech Pan ma go w swojej opiece - szepnęła Adelina. Zacisnęła mocno pięści tak, że długie paznokcie rozcięły skórę dłoni. Jej serce owładnęły dwa przeciwstawne nurty uczuć - żal i ulga. Z jednej strony ubolewała nad śmiercią swego ojca, to dzięki niemu bowiem poznała miłosierdzie Szymona Maga. Z drugiej zaś strony czuła ulgę, że wreszcie się od niego uwolniła. Już nie będzie musiała niczego mu udowadniać i za wszelką cenę zabiegać o jego przychyłność. Już nie będzie widziała w jego oczach pogardy i żalu o to, że śmiała urodzić się z kuciapką zamiast z penisem. To piętno odeszło wraz z jej ojcem - srogim i wymagającym rodzicem, który nigdy nie okazał jej miłości i zrozumienia.

Dotarli do szopy. Do ich nozdrzy dotarł zapach świeżego siana, pomieszany z odorem końskich odchodów. Brat Yves pośpiesznie osiodłał siwego rumaka i, nie tracąc cennego czasu, wyprowadził go na zewnątrz. Przytulił mocno siostrzenicę do piersi, ucałował jej blade policzki, po czym wskoczył na siodło i uderzył boki konia piętami.

- Bywaj, Adelino. Niech Bóg cię prowadzi. - Nie odwrócił się, nie mogąc znieść smutku na twarzy swej ukochanej siostrzenicy.

- I ciebie też, wujaszku. I ciebie też.

Dopiero gdy pochyłona w siodle sylwetka mężczyzny zniknęła z zasięgu jej wzroku, Adelina usiadła na błotnistej ziemi, schowała twarz w dłoniach i zapadła się w oceanie własnych myśli.

Brat Yves jechał przez całą noc i cały dzień. Trzy razy został zatrzymany przez oddziały żołnierzy Wielkiego Księcia i za każdym razem pokazywał specjalny glejt z pieczęcią władcy. Dokument był tak dobrze podrobiony, że nikt nie nabrał najmniejszych podejrzeń co do ich autentyczności. Pod wieczór dotarł do celu - niewielkiej wioski umiejscowionej tuż za granicą księstwa. Z daleka wyglądała jak zwykła osada. Kilkanaście drewnianych chat usadowionych wzdłuż urodzajnych pól, zatechła karczma, kilka szop i sfera wiecznie ujadających kundli. Pośrodku, na czymś w rodzaju głównego placu,

wznosiła się kamienna rzeźba przedstawiająca jakieś pogańskie bóstwo. Dopiero baczniejszy obserwator mógłby zauważyć istotne różnice. Rzeźba była pokryta zaschniętą plwociną, zaschniętym i zwierzęcym łajnem. Na pobliskich placach, zajętych zazwyczaj przez hałastrę rozwydrzonych bachorów, siedzieli grupkami dobrze odżywieni mężczyźni. Rozmawiali głośno, popijając tanie wino. Nie wyglądali bynajmniej na chłopów. Raczej na znudzonych żołnierzy, co to czekają na nowe rozkazy. Gdzieniegdzie na ulicy dojrzeć można było plamki zaschniętej krwi, a nawet kilka uciętych kończyn, które niegdyś należały do poprzednich mieszkańców osady. Psów też było mniej, a jak już się jakiś napatoczył, to zaraz kulił ogon i uciekał w las, jakby wyczuwał w powietrzu złe wibracje. Tylko wszędobylskie ptactwo nic sobie nie robiło z czyhającego zła, drąc ryje jak dawniej.

Brat Yves skierował konia ku największej chałupie, zajmowanej niegdyś przez sołtysa. Jak słusznie przypuszczał, zastał tam Kwizdynia Gładkoliciego, który siedział na rozchybotanym fotelu wykonanym ze zniszczonej przez korniki dębiny. Rodzony brat Wielkiego Mistrza trzymał w ręku sfatygowaną księgę w czerwonej oprawie i przysuwał ją raz po razie do palącej się świecy. Przystojna, arystokratyczna twarz o delikatnych rysach i zniewalającym uśmiechu zupełnie nie pasowała do ponurej sławy, która się za nim ciągnęła. Sławy, przed którą drżeli nie tylko wrogowie. Tuż koło niego, przy drewnianym stole, siedziało trzech braci i gapiło się bezmyślnie na czubki własnych palców. Nic nie mówili, bojąc się przeszkodzić Kwizdyniowi w lekturze. Dopiero tupot ciężkich butów i odgłos otwieranych drzwi wyrwał ich z bezmyślnego ośpienia.

- A tyś to kto? - odezwał się brat Hunold z typową dla siebie kurtuazją. - No nie stój tak jak ten baran w oborze, tylko włącz i zamknij drzwi, bo zimno leci.

Jego towarzysze zaśmiali się nieśmiało. Brat Yves nawet nie zwrócił na nich uwagi. Wszedł głębiej i zatrzymał się przed seneszalem.

- Ekhem - kaszlnął głośno.

Dowódca najeźdźczej armii niechętnie odłożył księgę i łypnął okiem w górę. Jego twarz przez chwilę wyrażała irytację, zaraz jednak rysy wyraźnie zmiękły, oczy złagodniały, a wargi ułożyły się w całkiem serdeczny uśmiech.

- Witajcie, bracie Yvesie. Wchodźcie, wchodźcie i rozgośćcie się. A wy, huncwoty jedne, nie stójcie tak, tylko wina nalejcie szlachetnemu gościowi. No jazda, jazda, psie syny.

Brat Hunold stracił rezon. Jego twarz zrobiła się blada, pociągła, potulna jak u zbesztanego szczeniaka. Zdołał jeszcze przekląć w myślach swój parszywy jęzor, przez który już nieraz znalazł się w opałach, i potulnie popędził po stojący na niewielkiej szafce dzban wina.

- Wybaczcie mi, bracie. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia - odezwał się, podając napełniony kufel przybyszowi. Chciał jeszcze coś dodać, lecz zamilkł pod wpływem przenikliwego spojrzenia Yvesa.

- Wybaczam - odparł łaskawie Yves i wykonał ręką gest, jakby odganiał się od natarczywej muchy. - A teraz zmykaj stąd, chłoptasiu, bo mężczyźni muszą porozmawiać. Zajmij się mym koniem i zrób to starannie, bo inaczej zamienisz się z nim miejscami. No zmiataj już. A, i powiedz reszcie, żeby się gotowała do drogi. Jutro rano ruszamy na wojnę.

Hunold z pokorą spuścił wzrok i ugryzł się w język. Dobrze zrobił, brat Yves znany był w zakonie ze swego nieprzejednania i lepiej było nie wchodzić mu w drogę. Kwizdyń zaśmiał się, widząc jego minę, i odprowadził go wzrokiem.

- To dobry człek - odezwał się, gdy drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. - Bardzo oddany naszej sprawie, tylko czasem język ma zbyt niewyparzony.

- Jak jeszcze raz śmie mnie obrazić, to sam mu go wyrwę i rzucę psom na pożarcie. No ale teraz ważniejsze sprawy mamy na głowie niż jakiś chędożony przez wielbłąda prostak. Przynoszę ważne wieści od naszego szpiega z miasta Kirań. Najpierw jednak pozwól, bracie

seneszału, że jeszcze sobie naleję tego wina. Gnałem tu bez wytchnienia i aż mi się twarz wygina z pragnienia.

Kwizdyń Gładkolicy okazał dość zrozumienia i cierpliwości, by uczynić zadość tej malutkiej prośbie. Czekał cierpliwie, a gdy wreszcie Yves zaczął mówić, jego twarz nawet się nie poruszyła. Dopiero gdy Yves skończył, Kwizdyń zamrugał kilkakrotnie powiekami, przeciągnął się i przemówił:

- Nareszcie, bo już się zaczynałem niepokoić, że to tak długo trwa. Jesteśmy co prawda podzieleni na kilka grup i dobrze ukryci, lecz tylko czekać, aż ktoś zwróci uwagę na kilkanaście wsi pełnych obco wyglądających mężów. Co prawda tym o zbyt ciemnej skórze zabroniłem wychodzić za dnia, a kilku nawet dla przykładu kazałem skrócić o głowę, lecz sam wiesz, jak to bywa. Nigdy nie wiadomo, jakie licho czai się na tej heretyckiej ziemi. Zaraz wyślę stosowne rozkazy i roześlę gońców, a ty, bracie Yvesie, odpocznij sobie. Każę ci przygotować kwaterę.

Takiego poranka nie pamiętał nawet najstarszy mieszkaniec Pięciu Księstw. I to bynajmniej nie z powodu pogody, bo ta kapryśna jest niczym młoda dzierlatka. Tym razem jednak posłusznie ugięła się przed wolą możnowładców, zsyłając na ziemię przyjemny wiaterek, który przynosił radość i zapach kwiatów. Na niebie, jak kraj długi i szeroki, nie uświadczyło się ani jednej chmurki. Po białym, jeszcze nie tak dawno wszechobecnym puchu zostało już tylko wspomnienie. Jedynie błotniste drogi świadczyły o czasach minionej klęski. Kwiatki coraz śmielej wzbijały się do nieba, by z radością oczekiwać na zapyłające je owady, a zwierzęta budziły się z długiego snu, kręcąc dookoła zaciekawionymi pyszczkami. Nawet mieszkające w dalekich krainach ptaszyska coraz poważniej myślały o powrocie. A ludzie... ci także nie próżnowali. Chłopi otrząsnęli się wreszcie z długiego letargu i w pocie czoła zabrali się do roboty. A tej było w huk: rozwalone pod ciężarem śniegu dachy, połamane płoty, zavalone

drogi, zniszczone szopy - Pani Zima doprawdy nie miała litości. A wszystko wśród burczeń wychudzonych brzuchów i niewieścich szlochów za siłą wcielonymi do wojska synami.

W wielkich miastach także wrzało. Przeciągłe wycie trąb, miarowe bicie bębnow i wszechobecne pokrzykiwania zdenerwowanych dowódców świadczyły dobitnie o jednym - wojna była tuż-tuż! Z obu stron podzielonego królestwa, wśród wiwatów, fanfar i oklasków, maszerowały potężne armie. W górę wzbijały się kolorowe sztandary, lśniły zbroje, miecze, topory. Tarcze cichutko pobrzękiwały w rytm końskich kopyt, a rycerze rozdawali uśmiechy na lewo i prawo. Za jeźdźcami w równych szeregach maszerowali piechurzy. Chłopskie mordy zlewały się ze sobą w jeden wielki organizm, a ze skwaszonych ust wydobywał się dźwięk wojennych pieśni.

- Niech żyje książę Jarogniew! Niech żyje przyszły król! - krzyczały podekscytowane tłumy, radując się w duchu, że to nie im przyszło tak teraz maszerować.

- Za chwałę, za sławę, za bogactwo! Niech żyje książę Olkmund! Niech żyje przyszły król - krzyczały inne tłumy w innym miejscu.

I tylko w stolicy Magyoranu cisza jak makiem zasiał. Piękna Pani jeszcze spała, a nikt, kto miał choć trochę oleju w głowie, nie śmiał jej obudzić. Dopiero gdy słońce zaległo wysoko na niebie, Lady Erzsébe raczyła wstać. Na ustach wciąż miała cierpki smak krwi, a w uszach brzmiała jej wspaniała melodia złożona z pisków, jęków i płaczów swojej ostatniej ofiary. To była udana noc. Wciąż miała przed oczyma błagalne spojrzenie małego chłopca, gdy rozżarzone żelazo zbliżało się do jego wątłego boku. I te jego maślane oczka, wyglądające niczym dwa dojrzałe winogrona. Ileż w nich było strachu, ileż nadziei, ileż łez.

Lady spojrzała leniwie na stojący obok jej łóżka stolik i uśmiechnęła się pod nosem na widok pamiątek po nocnych harcach. Dwie zamknięte w słoiku gałki oczne w niczym nie przypominały chłopięcych ślipek małego Malika, który, spodziewając się nagrody za

wydanie rodziców, znalazł jedynie strach, ból i śmierć. Przeciągnęła się zmysłowo i wstała. Nałożyła na wierzch zawczasu przygotowane odzienie i wyszła z komnaty. Na jej nieskazitelnym obliczu wałęsał się pogodny uśmiech. Chwilę później pojawiła się jej wierna suczka Timra, która, ubrana jedynie w skórzaną obrozę, potulnie klęknęła u stóp pani, czekając na rozkazy. Księżna zmierzwiła jej włoski, po czym leniwym ruchem starła resztkę snu z kącików swych oczu i uśmiechnęła się promiennie.

- Wszyscy gotowi? - spytała głosem, w którym nowy dzień walczył z resztką minionego snu.

- Tak, pani. Wszyscy czekają już tylko na was.

- Niech czekają. Muszą znać własne miejsce, ha, ha, ha. A ty, maleńka, przygotuj swej pańci miednicę z ciepłą wodą, a potem przyjdź mi umyć plecki.

Uważny Czytelnik mógłby teraz zmarszczyć brwi i zdziwić się srodze, zastając Piękną Panią w tak doskonałym nastroju. Czyż nie powinna ona być zła, wściekła, zrozpaczona? Czyż nie straciła jedynej szansy na wieczną młodość i urodę? Czyż nie jest zmuszona dzielić łożę z przyprawiającym ją o mdłości głupcem, który jako jedyny może ochronić ją przed przegraniem wojny? Czyż niepodzielne panowanie nie stoi na skraju przepaści? Jakże to tak? Z czego ona się tak cieszy, raduje? Dlaczego?

Na to pytanie tylko Lady znała odpowiedź. Ona i jej powierniczka - brzydka jak stolec, śmierdząca jak latryna, sprytna jak sroka - Jej Szpetność Garvulla. Wiedźma odwiedziła ją któregoś wieczoru, a jej pełne nadziei słowa stopiły lód w sercu władczyni.

- Widocznie tak musiało być, Piękna Pani. To bogowie wyznaczają ścieżki życia naszego, a my, zwykli śmiertelnicy, niegodniśmy zrozumieć ich planów. Nawet ty - najpiękniejsza z pięknych i najmądrzejsza z mądrych, dałaś się przez chwilę zwieść, popadając w niesłuszną rozpacz. A przecież lepiej dla nas nie mogło się ułożyć.

- I ty mi mówisz, że wszystko jest dobrze? - wybuchnęła wtedy Erzsébe, zalewając blade ze zgryzoty policzki strumieniami gorzkich

łez. – A gdzie moja młodość? Gdzie krew z książęcego rodu? Gdzie zakłęcie? A wojna? Jak przegramy, będzie po mnie. Jak wygramy, będę zmuszona do końca życia znosić tego przeklętego Olkmunda. Z nim może nie pójdź tak łatwo jak z Kazmerem. Ponoć własnemu ojcu pomógł przenieść się na tamten świat, nie mogąc doczekać się władzy.

Garvulla złapała delikatną dłoń swej podopiecznej i zbliżyła swą pokrytą zaropiałymi strupami twarz w jej stronę. Przerazający odór dotarł do arystokratycznego noska, lecz księżna była zbyt wzburzona, by zwrócić na to uwagę.

– Nie wolno ci wątpić w bogów, o pani. Czyż nie raz nie udowodnili, że mają cię w opiece? Nie powinnaś się zamartwiać, miałam bowiem sen. Proroczy sen, piękny sen. Sama bogini Nyja mnie w nim odwiedziła i zapewniła, żebyś nie traciła wiary. Jesteś jej córką. O zakłęcie się nie bój. Bolesław nie żyje, lecz pozostał jeszcze jeden potomek dawnych króli. Jego krew jest młodsza. Silniejsza. To Rajmund – pierworodny Olkmunda. On da ci wieczną urodę. Tako mi rzekła bogini Nyja.

Od tamtej pamiętnej rozmowy filigranowa blondynka znów poczuła radość i cel. Krew poczęła żywiej krążyć w jej żyłach, a tabuny służących mogły odetchnąć z ulgą. Lady Erzsébe nie była już kipiącą wciekłością, okrutną i krwiożerczą władczynią. Na powrót stała się zwykłą okrutną i krwiożerczą władczynią. Niby niewielka różnica, lecz jakże znacząca.

Na zewnątrz zaczął siąpić leniwy deszcz. Drobne krople wody powoli spadały na ziemię, a wiejący ze wschodu wiatr nagał ciemnognatowe chmury, zwiastując dalsze załamanie pogody. Mimo to dziedziniec na zamku Pięknej Pani tętnił życiem. Chmary służących ganiały z kąta w kąt, sprawiając wrażenie bardzo zajętych. Konie niecierpliwie drobiły w miejscu, dźwigając na plecach znudzonych żołnierzy. Wszyscy czekali na księżną.

Ta jednak się nie śpieszyła. Właśnie kończyła pałaszować kukurydziany placek, delektując się delikatnymi mięsionkami

wilgotnych ust Timry na swoich stopach. Później na chwilę zeszła do swych ukochanych lochów, by napawać się strachem zamkniętych w klatkach nieszczęśników. I dopiero wtedy była gotowa.

Armia Magyoranu wreszcie ruszyła. Jakże się jednak różnił ten pochód od tych w innych częściach podzielonego królestwa. Nie było wiwatów, oklasków ani zbiorowych modłów o pomyślność. Większość mieszkańców pochowała się głęboko we własnych norach, bojąc się wyściubić na zewnątrz choćby czubek nosa. I tylko wioskowy głupek towarzyszył im z boku, machając rękoma i śpiewając sobie tylko znaną piosenkę. Nie trwało to zbyt długo. Potężny cios pałąk rozłupał mu głowę i po wioskowym głupku została tylko plama krwi i kawałek mięsa.

- Tylko niech ci takie wygłupy nie przyjdą do głowy, jak spotkamy się z mym wujem - odezwała się księżna do zadowolonego z siebie Dravko.

Drab pokornie kiwnął głową i podniósł do góry broń, chcąc z bliska przyjrzeć się plamce krwi na jej czubku. Niektórzy powiadali, że jucha głupków pełna jest sadzy, lecz to tylko zwykłe brednie. Dravko właśnie się o tym przekonał.

Im dłużej jechali, tym humor księżnej stawał się coraz gorszy. Przyczyna była jedna - Olkmund Staloręki. Na samo wspomnienie jego trupiobladej twarzy i wyłupiastych ślepi, którymi pożerał jej ponętne ciało, Erzsébe chciało się wymiotować. Widmo łóżkowych igraszek z kimś, kto nie drży przed nią ze strachu, wydawała jej się porównywalna do kopulacji z jeżem.

Armia mozolnie posuwała się do przodu, brnęła przez zabłocone drogi, szerokie gościńce oraz leśne ścieżki. Przemykała przez pola, mijała wsie i osady. Ponad dwustu ubranych w czerwone płaszcze jeźdźców dumnie sterczało w końskich siodłach. Za nimi, krok za krokiem, szło siedem setek pieszych, wybijając ciężkimi buciorami monotony rytm wojny. Ogorzałe od słońca chłopskie mordy pyszniły się pod niedopasowanymi hełmami. Część z nich ledwo odrosła od ziemi. Ci z odwagą patrzyli przed siebie i dumnie nieśli pordzewiałe

brygantyny, długie łuki i ciężkie pawęże. Byli też mądrzejsi, którzy wystarczająco długo chodzili po świecie, by zdać sobie sprawę z upiorności wojny. Ci ze spuszczonego wzrokiem pokonywali ciągnące się w nieskończoność mile, bezwiednie trzymając długie włócznie i dębowe tarcze z namalowanymi na nich herbami Pięknej Pani. A za nimi ciągnęły się tabuny wozów z prowiantem, tłumy służących, szewców, kowali i nieodłączne oddziały zdezelowanych kurew, liczących na szybki zarobek.

Po drodze armia księżnej połączyła się z chorągwią Iszlo Koztuntza. Wątle ciało starego szlachcica z trudem utrzymywało się w siodle, lecz mężczyzna z początku nie chciał słyszeć o powrocie.

- Twój honor, Erzuniu, jest dla mnie wszystkim. Nie będę siedzieć beczynnie na mym kościstym zadku, wiedząc, że te dranie chcą zagarnąć twoje dziedzictwo - odpowiadał na jej usilne nalegania. W końcu jednak dał za wygraną i z zaciętą miną powrócił do swej siedziby, zostawiwszy uprzednio kwiat swego rycerstwa.

Armia Magyoranu ruszyła dalej. I znów wędrowali przez bezdroża, wsie i niewielkie miasteczka, a gdzie się nie znaleźli, tam pojawiał się strach. Gdzieniedzie zgwałcili kilka trupów, zabili rodziców kilku szkrabów, spalili jedną czy dwie chałupy, lecz mimo to przemarsz przebiegał spokojnie. Piękna Pani nie pozwalała zbyt folgować zbrodniczym zamiłowanym swym rękodajnym. Na to przyjdzie czas po wojnie.

Trzeciego dnia dotarli do celu. Przed nimi ciągnęły się nieprzebrane połacie trawy, poprzepłatane jedynie niewielkimi krzakami i pojedynczo rosnącymi drzewami. W paru miejscach przecinał je kręty strumyczek, który niebawem znów zamieni się w wysuszone koryto pełne piasku i żwiru. Pośrodku tej zielonej pustyni stał niegdyś święty dąb, pod którym w każdą pełnię księżyca składano Perunowi sute dary. Teraz został po nim jedynie osmolony kikut, sterczący z ziemi niczym gniew boga, któremu nie przypadły do gustu ofiary z piwa, ziarna i suszonych owoców. On wymagał krwi.

Krwi tych, co zaraz tu przybędą, by wypłenić jego imię z kronik i zastąpić go imieniem brodatego starca - przybłądy zza oceanu.

Ledwo znaleźli odpowiednie miejsce na rozbiście obozu, ledwo zaczęli rozkulbaczać konie, wyładowywać wozy, stawiać namioty, do Lady Erzsébe przybiegł zdyszany zwiadowca. Niedługo później ujrzeli pierwsze szeregi olbrzymiej, sojuszniczej armii. Siedmiuset zaprawionych w bojach rycerzy, ponad dwa razy tyle strzelców oraz tarczowników, kilka oddziałów zdyscyplinowanych najemników, a także budzące grozę nawet we własnych szeregach dzikie hordy zza zachodniej granicy. A na ich czele jechał nie kto inny, tylko sam książę Olkmund - kochanek z piekła rodem, lecz strateg znakomity. Jego lśniaca zbroja połyskiwała w promieniach zachodzącego słońca, a u końskiego boku wisiał misternie zdobiony miecz.

Przynajmniej ten jest długi - pomyślała kwaśno Piękna Pani, po czym przybrawszy najśrodszy wyraz twarzy, rzuciła mu się na szyję.

- Och, Olkmundzie, nawet nie wiesz, jak bardzo się za tobą stęskniłam. Och, ach...

Cienkie, okraszone trzydniowym zarostem wargi władcy wykrzywiły się w pokraczonym grymasie, mającym zapewne być namiętym uśmiechem.

- Przybyłem, by cię bronić, ukochana - odparł uroczystym tonem, wykonując przy tym odpowiedni do tej wiekopomnej chwili ukłon. Chciał wyglądać wytwornie. Nie wyglądał.

Co za dureń - przemknęło Erzsébe przez głowę, lecz za nic w świecie nie dała tego po sobie poznać. Wręcz przeciwnie. Na zewnątrz promieniowała nieskazitelną miłością i tak wielką radością, że Olkmundowi aż zaświeciły się oczka ze wzruszenia.

Ta wzruszająca chwila rodem z miłosnych pieśni została nieoczekiwanie przerwana przez pojawienie się zakurzonego jeźdźcy. Mężczyzna zatrzymał konia kilka kroków przed parą władców. Dopiero z bliska można było zobaczyć, w jak kiepskim jest stanie. Strużki potu ściekały mu z czoła, mieszając się z kropelkami krwi. W lewym boku tkwiło ułamane drzewce strzały. Mężczyzna starał się

coś powiedzieć, lecz z ust wydobywał się jedynie nieartykułowany charkot.

Natychmiast kilku żołnierzy podbiegło do niego i ostrożnie zsunęło go z konia.

- Wielki... Wielki Książę... armia... nadchodzą. Są... są dwa... dwa dni drogi. Odkryli mnie, alem... alem im zwiął - wykrztusił wreszcie, po czym bezwładnie osunął się na ziemię i umarł, spełniwszy swój ostatni obowiązek.

- Dwa dni drogi - powtórzył zamyślony Olkmund, nie spuszczając wzroku z ponętnie uwydatnionych wzgórków, rysujących się pod skórzaną kurtką Erzsébe. Już sama myśl, że niebawem ponownie przyssie się do nich swymi ustami, doprowadzała go do szaleństwa. - To dobrze. Bardzo dobrze. Będziemy mieli sporo czasu, by przyszykować się do bitwy.

Kiedy dwa arystokratyczne języki splotły się ze sobą w miłosnym tańcu, armia Wielkiego Księcia właśnie rozbijała obóz na noc. W tym samym czasie jednakże inne wydarzenie na zawsze zmieniło oblicze tej ziemi. Oto sam Kwizdyń Gładkolicy niepostrzeżenie wkroczył na tereny Księstwa Warszzyńskiego. A armia jego była olbrzymia. Długie szeregi ubranych w białe płaszcze zakonników w milczeniu posuwały się do przodu. A za nimi wlekli się z mozołem ponurzy Achajowie, muskularni Brkudzi, nikłego wzrostu Gontarowie i innego tałajstwa zastępy nieprzebrane. Wszyscy oni nie tak dawno temu przepłynęli Ocean Czterech Wiatrów, by ponownie stanąć do walki za wiarę. Który to już raz? Nie zabrakło także magów ubranych w ciemnoniebieskie płaszcze z wyszytymi na plecach półksiężycami. Było ich niewielu, lecz każdy z nich wart był więcej niż dziesięciu najlepszych rycerzy. Nie potrafili co prawda ani zsyłać deszczy ognistych, ani rozkazywać wiatrom i piorunom, ani ludzi w zwierzęta zamieniać, a trupów do życia przywracać. Nie. To tylko bogowie potrafią, a kto inaczej sądzi, ten bajdurzeń za dużo się nasłuchał.

Przed głównym trzonem armii jechała stuosobowa awangarda, przypominająca z daleka olbrzymią karawanę kupców helmundzkich. A wśród niej sam Hamil al-Kataraj w swych gwiazdzistych szatach oraz wysokim kapeluszem z pawim piórem wystającym z czubka. Nieruchome ciało tkwiło na siodle niczym pal wbity w ziemię, a niewidzialna dusza szybowiała po całej okolicy w poszukiwaniu tych, którzy śmieli za dużo zobaczyć. I nie pomogły ni krzyki, ni prośby. Nikt nie mógł ostać się z życiem, by wieść o pojawieniu się olbrzymiej armii zbyt wcześnie nie dotarła do niepowołanych uszu.

Słońce powoli żegnało się z niebem, świecąc nisko nad ziemią czerwoną łuną, przypominającą policzki nieśmiałego dziewczęcia, które napotkało badawczy wzrok swego wyśnionego adoratora. Przed nimi wiła się wzburzona rzeka, oswojona przez szeroki kamienny most. Tuż za nim wznosił się dom podróżnych, poświęcony bogu gościnności – Radogostowi. Zbudowane z czerwonej cegły mury wyglądały na takie, które wielu zawieruchom potrafiły się oprzeć. Gdziejgdzie musiały pogodzić się z niszczycielskim wpływem czasu, lecz mimo to wciąż trwały, dając schronienie strudzonym wędrowcom. Drewniana brama była otwarta na oścież. Symonici wjechali gęsiego i zatrzymali się przed naturalnej wielkości posągiem galopującego konia. Brat Hamil obdarzył go pogardliwym spojrzeniem. Siedzący obok niego zakonnik wyciągnął miecz, gdy wtem wyrósł przed nimi sędziwy kapłan. Miał łagodną twarz o życzliwych oczach i wiecznie uśmiechniętych ustach. A jego głos wirował w powietrzu niczym przecudna melodia.

– Witajcie, podróżni, w naszych skromnych progach. Wielu was widzę, lecz Radogost dla każdego serce swe otworzy. Spocznijcie, proszę, na noc, a gościnne ramiona boga sny wam miłe ześlą.

Na szczęście tylko kilkoro rycerzy znało język Pięciu Księstw, bo w przeciwnym razie głośny rechot, które się chwilę później rozległ, zmieniłby się w istną nawałnicę rżenia i zrywania boków. Jeden z braci z prawdziwą rozkoszą odmówił starcowi i nie chcąc pozostać mu dłużnym, zaproponował gościnę na najbliższym drzewie. Zrobił

mu nawet ciasnawy kołnierzyk z lnianej liny, którym owinął wychudzoną szyję kapłana. Trójka młodych akolitów patrzyła ze strachem w oczach na dyndające ciało ich opiekuna. Mieli nieprzeparowane uczucie, że zaraz podzielią jego los. Ten jednak spłatał im figla i pozostawił ich przy życiu. Tylko jak tu żyć, gdy ręce odcięte, a nogi złamane? Krzyczeć także nie mogli, języków wszak nie mieli.

Pałac Wiecznego Pokoju wyglądał niczym miasto dotknięte epidemią dżumy. Ruchliwe zazwyczaj korytarze świeciły pustką, a wewnętrzny dziedziniec straszył wręcz namacalną ciszą. Nikt nie krzyczał, nikt nie biegał ani nie ćwiczył fechtunku pod okiem surowych nauczycieli. Część nielicznej służby krzątała się z kąta w kąt, opieszale wykonując swe obowiązki. Inni leżeli brzuchami do góry, rozkoszując się rzadkimi chwilami błogiego lenistwa, lub dobrani w pary oddawali się namiętej służbie bogini Mokosz. Ci, którzy dopiero co poszukiwali swego szczęścia, wymieniali ze sobą stęsknione spojrzenia i pełne zawstydzenia uśmiešky, by w końcu, wśród grubiańskich żarcików, docinek i końskich zalotów, przełamać wrodzoną nieśmiałość. Matka Natura nie lubi próżni. Gdy jedni ruszają umierać, drudzy muszą się rodzić.

Tylko sędziwy Baw Oqrth siedział we własnej komnacie ze wzrokiem bezmyślnie wpatrzonym w sufit. Bolesny kolec niepokoju zalegał głęboko w jego sercu, docierał do duszy i pęczył z każdą chwilą, tak jakby starzec przewidywał nadchodzące niebezpieczeństwo.

- Jezu Chryste, tyś przyszedł na świat, by zbawić nas ode złego. Nie pozwól zatem, by nasi wrogowie zniweczyli twe wielkie dzieło. Jezu Chryste, obroń tę pocziwą ziemię przed zarazą, która nadchodzi. Przed ogniem błyskawicy.

Baw Oqrth nawet nie czuł, że zbliża się niebezpieczeństwo. On wiedział. Czuł jedynie zapach świeżej krwi, odór śmierci i swąd nienawiści bijący od symonitów skierowany do tych, którzy śmieli nie

wyznawać ich wiary. Wiary w plugawego starca, który w podstępny sposób chciał wymazać z kronik i ludzkich serc prawdziwego Syna Bożego – Jezusa z Nazaretu.

Baw Oqrth oczami duszy widział zbliżające się do Pałacu Wiecznego Pokoju białe płaszcze z wyszytymi na nich złocistymi błyskawicami. Budzące lęk płaszcze. Złe płaszcze. Takie same płaszcze, jakie i on sam kiedyś nosił. W dawnych czasach, gdy pokonywał kolejne stopnie zakonnej hierarchii, mordując, paląc i gwałcąc opornych wobec Armii Boga. W czasach, gdy święcie wierzył, że Szymon Mag jest prawdziwym, jedynym i wszechpotężnym Bogiem, a nie zręcznym manipulatorem.

Teraz, siedząc w odległym kraju, wiedział, że zaraz przyjdzie mu zmierzyć się z bolesną przeszłością i zapłacić za swą zdradę. Nie żałował.

Gdzieś w dali usłyszał jakieś dźwięki, tupot stóp, łomotanie w drzwi. Ktoś krzyknął, ktoś wrzasnął.

- Zaczyna się - powiedział szeptem sam do siebie, jakby już wiedział, że za chwilę stanie oko w oko ze swoim zaprzysięgłym wrogiem.

Zza okna powiało chłodem. Gęsia skórka oblaźła jego ciało niczym tysiące malutkich mrówek szukających wyjścia z mrowiska. Serce zaczęło łomotać, jakby chciało przebić się przez pomarszczoną skórę i uciec jak najdalej stąd. Przeżegnał się.

Nagle drzwi zostały wyrwane z futryny, a w powstałym po nich otworze pojawiła się kipiąca fanatyzmem twarz z dawnych czasów. W grafitowo-szarych oczach dojrzał błysk triumfu.

- A więc tutaj się ukrywasz, zdrajco - wysyczał Hamil al-Kataraj, podchodząc do niego na wyciągnięcie ręki. - Długo cię szukaliśmy.

Baw Oqrth nie spuścił wzroku. Przez kilka długich chwil dwaj starcy patrzyli na siebie. Jeden z nienawiścią, drugi z bólem. Jeden z uśmiechem zwycięzcy, drugi poważny niczym głaz. Gdzieś w dali słychać było coraz głośniejsze krzyki. Do komnaty zaczęli wbiegać kolejni żołnierze, lecz zaraz zatrzymywali się w miejscu, widząc brata

Hamila w pełnej skupienia pozie. Cisza się przeciągała, jakby żaden ze starców nie wiedział, co ma powiedzieć. A przecież nie widzieli się przez tak długi czas. Przez większość swego życia. I któż by pomyślał, że niegdyś byli nierozłączni? Kto by pomyślał, że niegdyś wyszli z tego samego łona?

- A więc jednak to prawda - powiedział Baw Oqrth, choć nie wiadomo, czy te słowa kierował do siebie, czy do stojącego naprzeciwko zakonnika.

Jego rodzony brat splunął na podłogę. Przeciągły charkot wyrwał się z wykrzywionych ust.

- Wybacz, że nie uściskam cię, Hamilu, lecz twój widok nie sprawia mi radości - kontynuował mędrzec spokojnym głosem. - Jak widzę, nadal służysz temu samozwańczemu bożkowi i tej kurwie, Helenie, którą pojął za żonę. Ilu dziś zabiłeś niewinnych, braciszku?

W oczach zakonnika strzeliły błyskawice.

- Jeszcze żadnego. Ty będziesz pierwszy, zdrajco.

- Nie boję się ciebie, was - odparł buńczucznie czcigodny Baw Oqrth. Jego ręka ze stoickim spokojem sięgnęła po stojący z boku kielich i przystawiła go do popękanych ust. Druga niepostrzeżenie wrzuciła doń malutką kapsułkę, która wydała z siebie cichutki syk. Mędrzec upił dużego łyka. - Bądź przeklęty, Hamilu al-Kataraj. Ty, cały zakon i banda twych krwiożerczych psów - powiedział, patrząc bez strachu w zimne oczy swego brata.

Po chwili w kącikach jego ust pojawiła się biała piana, która wkrótce zalała całe usta. Nim stojący naprzeciwko mag uświadomił sobie, co się dzieje, kruche ciało starca opadło bezwładnie na ziemię.

Czcigodny Baw Oqrth umarł w pokoju, a wraz z nim przepadły wszystkie jego tajemnice. Hamil jeszcze przez dłuższy czas stał w miejscu ze wzrokiem utkwionym w ciało swego brata. Zimne, niewzruszone oczy stopniowo wypełniał szal, który wkrótce zawładnął nim do reszty i objawił się w postaci steku najwymyślniejszych obelg, przekleństw i złorzeczeń. Szczupłe ciało zdawało się rosnąć, nadymać, jakby zaraz miało pęknąć. Z ust symonity wyłonił się

przeciągły krzyk, a jego dłonie zacisnęły się z całej siły na szyi stojącego tuż obok niego żołnierza.

- Czemuście go nie powstrzymali, zdradzieckie psy? - wysyczał i zacisnął dłonie.

Twarz żołnierza zrobiła się nagle czerwona, oczy niemal wyszły z orbit. Wojownik zacharczał, stęknął, zadrżał, po czym padł nieżywy. Hamil odwrócił się powoli i spojrzał na stojącego za nim zakonnika o podbródku układającym się w dwa przypominające półdupki wałki tłuszczu. Ruszył ku niemu, lecz zadkobrody był szybszy. Wyrwał w stronę otwartych drzwi, obijając się boleśnie o stojącą w rogu szafę i popychając kilku innych współwyznawców, którzy zaraz podążyli za nim. Hamil al-Kataraj pozostał sam na sam z ciałem swego dawno niewidzianego brata oraz własną nienawiścią.

Tymczasem w pozostałych częściach stolicy rozgrywała się istna rzeź. Znikomy opór, jaki stawili nieliczni w mieście żołnierze, słabł z każdą chwilą. Hordy bestialskich symonitów przelewały się wyludnionymi ulicami, zbierając ponure żniwa. Krew lała się strumieniami. Krzyki umierających zlewały się z okrzykami triumfu. Wszędzie walały się zmasakrowane ciała ofiar, wymieszane z wołającymi o pomoc mieszkańcami. Niektórzy walczyli do końca, chcąc zginąć z bronią w ręku. Inni klękali przez tajemniczymi przybyszami i błagali ich o litość. Tej jednak nie było. Jeszcze inni próbowali uciekać, lecz dokąd? Rzesze rozwścieczonych napastników były dosłownie wszędzie - na każdym placu, na każdej ulicy i w każdym domu. Kolejni zaś wpadali z impetem przez główną bramę, która niegdyś opierała się szturmom wielu armii.

- Nie, proszę, nie! - krzyczała przestraszona dwunastolatka na widok zbliżającego się ku niej olbrzyma o płaskim czole i biegnącej przez cały policzek bliźnie. Żołnierz nie odpowiedział. Potężna niczym bochen chleba pięść rąbnęła ją w szczękę, powalając na ziemię. Druga dłoń zdarła z niej czerwoną suknię, przystrojoną w niedawno zerwane przebiśniegi. Dziewczyna próbowała się opierać, lecz

żołnierz ponownie ją zdzielił i, nie bacząc na stłumione jęki, zaczął rytmicznie gwałcić.

- Pośpiesz się! - krzyknął do niego któryś z kompanów, lecz ten go nie słyszał. Poruszył jeszcze kilkakrotnie biodrami, aż z nabrzmiałego penisa pociekł strumień gorącej cieczy. Brkud krzyknął z rozkoszy i powoli podniósł swe muskularne cielsko. Natychmiast do leżącej dziewczynki przyskoczył kolejny żołnierz, by zaspokoić swe zwierzęce żądze.

- Wara! - warknął olbrzym, wyszczerzając ku niemu poszczerbione zębiska. - Moja ona. Znajdź se inną.

Niepocieszony żołdak przeszył go nienawistnym spojrzeniem, klnąc w myślach na barbarzyńskie plemię żywiące się ponoć ludzkim mięsem, i poszedł szukać innej ofiary. Długo to nie trwało. Zdobyte miasto wprost roilo się od kobiet. Jego uwagę przykuła biegnąca wprost ku niemu bogato wyposażona brunetka o zalanej łzami i krwią twarzy. W ręku trzymała drącego się wniebogłosy niemowlaka. Żołnierz wyszczerzył zęby w podnieceniu, lecz po chwili jego uśmiech zamienił się w pełny smutku grymas, gdy pędzącą kobietę dosięgnęła zabójcza strzała. Jeszcze większa rozpacz ogarnęła go, gdy nagle do jego uszu dotarł przebijający się przez wrzawę odgłos trąby, wzywający żołnierzy do zaprzestania mordów.

Na najwyższej wieży Pałacu Wiecznego Pokoju zawisła nowa chorągiew. Nie był to jednak potężny piorun, jak można by przypuszczać, lecz trójgłowy orzeł trzymający w pysku królewska koronę, jabłko i strzałę - herb Olkmunda Stalorękiego.

[1] Zaadaptowany do realiów powieści tekst piosenki autorstwa Lucjana Szenwalda: „Niech żyje wojna”, śpiewanej m.in. przez Stanisława Grzesiuka.

Rozdział 5

Pani Noc już dawno spowiła świat w czerni swego stroju. Świecący nad głową dwójki strudzonych wędrowców księżyc z łatwością przenikał przez огоłocone z liści korony drzew, dając odrobinę światła. Gdzieś w górze przycupnęła złowieszcza sowa.

- Huh, huh - ryknęła swym sowim altem.

Bolesław wzdrygnął się. Już kiedyś słyszał podobny odgłos. Całkiem niedawno, lecz jakby w innym życiu.

- Huh, huh - powtórzyło ptaszysko, wlepiając w niego swe olbrzymie ślepie.

- Idź precz - odpowiedział jej Bolesław, lecz sowa nawet nie myślała ruszać się z wygodnej gałęzi. Wciąż wgapiała się w młodzieńca, jakby chciała mu coś powiedzieć. - Głupie ptaszysko - warknął dziedzic książęcej mitry na tyle głośno, że jego słowa przedarły się przez zasłonę snu i dotarły do uszu Cyryla.

Starzec łypnął wzrokiem na księcia, łypnął wzrokiem na ptaka, ziewnął szeroko i przemówił beztrosko:

- Idzie ktoś.

Bolesław poczuł w trzewiach kotłowanie tysięcy robaków. Zadrzał, chrząknął i zacisnął dłoń na zdobionej rękojeści leżącego pod jego nogami miecza. Jego serce przyspieszyło, a stłumiona wewnątrz iskra magii ponownie rozbłysła niewidocznym światłem. Nadstawił uszu, lecz prócz świstu wiatru, trzasku gałęzi i nieśmiałych zalotów nocnego ptactwa nic więcej nie słyszał.

Jednak ktoś szedł w ich stronę.

Uszy młodzieńca wyłowiły niepasujące do reszty dźwięki. Bolesław spojrział z niepokojem na twarz siedzącego starca, szukając w niej odpowiedzi. Nic jednak nie znalazł. Mędrzec wyglądał tak jak zwykle – na wpół niemrawo, na wpół obłąkanie. Bolesław jeszcze mocniej ścisnął rękojeść miecza i spiął mięśnie niczym polujący drapieżnik, który szykuje się do nagłego zrywu. Był czujny, ale też zmęczony. Dość miał ciągłego strachu, ciągłej ucieczki, tajemnic, walk i daru, nad którym nie mógł zapanować. Chciał wrócić do domu i na powrót zacząć wieść swoje dawne, pełne hulanki życie. Bez troskie życie.

- Jesteś pewien, mistrzu anachoreto? – szepnął w stronę Cyryla.

Starzec nie raczył mu odpowiedzieć. Nie raczył się nawet zdziwić ani przestraszyć, jakby wizyta nieproszonych gości w samym środku leśnej głuszy, i do tego w nocy, była czymś zwyczajnym.

Odgłosy kroków stały się wyraźne. Bolesław ponownie spojrział na swego mistrza, który z kamienną twarzą przyglądał się ziemi tkwiącej pod swoimi paznokciami. Jego spokój coraz bardziej denerwował młodzieńca, który naraz przypomniał sobie, jak tamten smacznie drzemał, podczas gdy rękodajni Krwawej Pani z zimną krwią mordowali jego przyjaciół – Volko i Orana. Albo jak medytował, gdy oddział żołdaków wspinał się po zboczu, wprost do ich jaskini.

On musi mieć coś nie tak z głową – westchnął w myślach i jeszcze mocniej ścisnął swój oręż. Iskra przybrała na sile, pulsując tuż przy powierzchni skóry. Wytężył wzrok, lecz prócz nieprzeniknionej ciemności i niewyraźnych kształtów drzew nic więcej dojrzeć nie zdołał.

Nagle kroki ucichły. Bolesław wstrzymał oddech, Cyryl wysmarkał nos we własny rękaw. Gdzieś z boku jęknęły smagane przez wiatr drzewa, a wysoko nad ich głowami ponownie zahukała sowa. Czego ona tak ciągle ryczy?

Czyjeś ręce odgarnęły ścianę z gałęzi, w utworzonej przerwie błysnęły śnieżnobiałe zęby. Zaraz po nich pojawiła się ludzka głowa.

Bolesław przytknął do niej czubek miecza.

- Stój! - powiedział zdecydowanym głosem, podkreślając słowa nieznacznym ruchem ręki. - Ktoś ty?

Nieznajoma twarz wykrzywiła się w niewinnym uśmiechu.

- Nie zabijaj. My przyjaciele - odpowiedział nocny intruz, z trudem wymawiając słowa. W jego mowie brzmiał wyraźnie obcy akcent. Bolesław ponownie zmierzył go wzrokiem, lecz nie doszukał się w nim czyhającego niebezpieczeństwa. Mężczyzna wyglądał niczym uosobienie łagodności. Tylko ta jego czaszka... sprawiała wrażenie, jakby przejechał po niej tabun koni, kilka wozów, a na koniec ktoś zrobił sobie z niej bębenek.

- Czego tu szukasz? - zapytał młody książę, nie opuszczając broni. Przez cały czas był czujny i tylko iskra magii jakby się uspokoiła i czmychnęła w bezcielesność duszy.

- Ciebie, synu Jarogniewa - odparł Achud takim tonem, jakby odpowiedź na to pytanie zdawała się czymś oczywistym.

Brwi Bolesława uniosły się w górę, a ręka trzymająca miecz bezwiednie drgnęła, powodując nieznaczące rozcięcie na szyi przybysza.

- Skąd wiesz, kim jestem?

- Trudno cię pomylić z kimś innym, książę. Twoja sława cię wyprzedza.

Bolesław prychnął i wywrócił oczami.

- Ktoś jest z tobą? - zapytał.

- Saliha, moja przyjaciółka... to znaczy siostra mojego przyjaciela, który zginął. Opiekuję się nią. To dobre dziecko.

Tym razem to Saliha prychnęła, słysząc, jak Achud nazywa ją dzieckiem.

- Jestem... - zaczęła, lecz ostrzegawczy syk Bolesława skutecznie stłumił jej dziewczęco-kobiece fanaberie.

Miecz księcia wciąż drgał przed gardłem Achuda, a w jego mózgu rozpoczęła się kanonada pytań i wątpliwości. Nie wiedział, czy powinien od razu pchnąć intruza w gardło i ruszyć w dalszą drogę,

czy może zadać kilka pytań i dopiero później pchnąć. Wybrał drugą opcję. Niechętnie opuścił miecz i odsunął się kawałek w bok. Przybysz uśmiechnął się do niego, po czym wszedł przez niewielki otwór imitujący drzwi. Tuż za nim przecisnęła się mała dziewczynka o zaciśniętej, niemal obrażonej minie. Nawet w nocnym półmroku jej włosy wydawały się żywym ogniem.

- Mówcie prędko, kim jesteście i czego ode mnie chcecie. I ostrzegam was, zrobicie jeden niepotrzebny ruch, a przyrzekam na wszystkie bóstwa, że żywi stąd nie wyjdziecie. Mam już dość ciągłych zagadek, nieproszonych gości, tajemnic i tym podobnych rzeczy.

Achud puścił groźbę mimo uszu. Rozejrzał się leniwie po ciasnym szałasie, musnął wzrokiem nieobecnego duchem Cyryla i przykucnął tuż obok niego. Następnie wyjął z podręcznego worka pęto kiełbasy oraz bochen chleba, podzielił je na kilka części i poczęstował obecnych, wkładając własną porcję do buzi.

- W takim razie będę musiał zacząć od początku - odezwał się, żując pokarm i poprawiając ułożenie nóg, by dać im odpocząć po trudach długiej wędrówki.

A początek tej opowieści znajdował się setki lat w tył - w czasach, gdy na świat przyszedł niejaki Szymon, zwany później Magiem. Bolesław słyszał tę opowieść u swego nauczyciela Baw Oqrtha, jednak różniła się ona szczegółami od tej opowiadanej ustami mężczyzny o zdeformowanej czaszce. Szczegóły bywały nieraz tak wielkie, że syn Jarogniewa zastanawiał się, skąd ta rozbieżność się bierze. Nie przerywał jednak tajemniczemu przybyszowi, zostawiając ewentualne pytania na później. Achud zaś gładko przeszedł do czasów współczesnych. Pokrótce opisał stosunki panujące w obozie symonitów oraz cichą, lecz cały czas narastającą walkę między stronnictwami Wielkiego Kapłana a cesarzem i zakonem. Mówił krótkimi zdaniami, często robiąc przerwy na znalezienie odpowiedniego słowa. Niejednokrotnie załamywał mu się głos ze wzruszenia, a szorstkie dłonie zaciskały się w pięść. Od czasu do czasu milknął, a wtedy z pomocą przychodziła mu dziewczynka,

której delikatny głos dźwięczał na tym pustkowiu niczym anielska trąbka. Czasem przez jej twarz przebiegł nienaturalny skurcz, jakby przykre wspomnienia parzyły jej duszę. I tylko raz jej oczy zaświeciły się dziwnym, czerwonym blaskiem, który jednak zniknął tak szybko, że nikt nie zdołał go dojrzeć. Bolesław był zbyt zaaferowany tysiącami słów wypowiedzianymi przez Achuda. Straszliwymi, wręcz apokaliptycznymi słowami, z których każde zasiewało w jego sercu coraz większe ziarno. Tylko Cyryl Pustelnik oraz siedząca w pobliżu sowa zdawali się niewzruszeni, jakby w ogóle nie interesowała ich opowieść o podbitych miastach, rzekach krwi i fanatycznych wyznawcach Jedyneho Boga. A Achud wkrótce przeszedł do sedna. Do przebiegłego planu wymyślonemu przez Wielkiego Mistrza, który zakładał wywołanie wojny domowej w Pięciu Księstwach w celu ich łatwiejszego podboju. Opowiedział o tajemniczym bracie Hamilu, który od dawna knuł spisek w dalekim księstwie Breslang, oraz o zaplanowanym porwaniu księcia, które miało być - i było - kluczowym etapem planu.

- Lady Erzsébe o niczym nie ma pojęcia - powiedział na koniec słabszym głosem, jakby długa przemowa odebrała mu resztki sił. - To ponoć wyjątkowo naiwna kobietka, który łatwo daje się manipulować. Trzeba tylko wiedzieć, jak ją podejść, a w tym Zakon Najświętszego Serca ma wprawę. Sytuację skomplikowała tylko twoja ucieczka, książę. Musisz jak najszybciej dotrzeć do ojca i powstrzymać wybuch wojny, jeśli jeszcze nie jest za późno. Wiedz, że symonicy nie spoczną, póki cię nie znajdą, a jeśli nam się to udało, to im też powinno.

Jeszcze niespełna pół roku temu Bolesław roześmiałyby się w twarz, słysząc te słowa. Posłałby też swego rozmówcę do tysiąca diabłów albo nawet jeszcze dalej. Teraz tylko się zadumał i zmrużył oczy. Złowieszcze słowa wciąż brzmiały w jego uszach, powodując, że każdy z tysiąca robaków w jego brzuchu wydał liczne potomstwo. Osobne elementy układanki zaczęły się nagle układać w jedną, niezwykle skomplikowaną mozaikę. Ponownie powędrował wspomnieniami do dawnych czasów. Do lat dzieciństwa spędzonego

w pałacu swego ojca, do sędziwego Baw Oqrtha, który od niepamiętnych czasów starał się go przed czymś ostrzec. Do dnia, w którym został przez ojca wygnany.

Nagle aż się zakrztusił śliną i drgnął. Jego twarz naszała krwią.

- Lingwen... to on - wyszeptał struchlałym głosem. Przed oczyma stanęła mu postać przyjaciela z nie tak dawnych lat. Przyjaciela, który od zawsze sprowadzał go na złą drogę. Bolesław widział wyraźnie jego piegowatą twarz, wysokie czoło, dwa wystające z przodu zęby, długą szyję i... złoty naszyjnik w kształcie błyskawicy, który z niej zwisał i który Lingwen nieudolnie starał się ukrywać. Kolejne obrazy zaczęły pojawiać się w jego głowie niczym w kalejdoskopie: niezliczone popijawy, burdy, burdele, porwanie, surowa i jednocześnie niezwykle piękna twarz Erzsébe, Volko, Oran, ucieczka, leśne stwory, wieś, Boćko, jaskinia, niedźwiedź, ponowna ucieczka, kolejna jaskinia, oddział ubranych na biało rycerzy, walka... Znowu widział ją wyraźnie. Chwila po chwili, cios po ciosie. Każdy szczegół, ulotny moment, każdą śmierć. Widział siebie, jak wypuszcza z dłoni śmiertelne pociski, strzały mknące tuż koło jego głowy, własne uniki, zdumione mordy przeciwników i na końcu młodego zakonnika, który błagał go o litość chwilę przed tym, gdy rozczapierzona dłoń Bolesława przebiła mu zbroję i wyrwała bijące jeszcze serce.

- Kim ja jestem?

Hukanie sowy. Jakieś inne, głośnie, terazniejsze.

Kryjąca się w sercu Bolesława iskra zaczęła skakać jak szalona, aż nagle wydostała się na zewnątrz i padła w dogasające ognisko. Po chwili dobiegł stamtąd głośny syk, brzmący niczym ostrzeżenie węża. W górę wzbił się perlisty snop iskier. Syk stał się tak głośny, że zebrani zmuszeni byli zatkać sobie uszy, co jednak na niewiele się zdało. Piskliwy dźwięk przenikał wprost do ich czaszek, powodując przejmujący ból. I nagle nastąpił głośny wybuch, brzmący w leśnej głuszy niczym gniew samego Peruna. A po nim nastąpiła cisza. Wirujące iskry zaczęły bezwładnie opadać na głowy siedzących. Bolesław złapał się za piekącą dłoń, Saliha wpatrywała się

z niedowierzaniem w ognisko, Achud wpatrywał się w Cyryła, a starzec... jak to starzec – smacznie sobie drzemał. I tylko sowa gdzieś zniknęła, jakby miała już dosyć tych hałasów.

Twarz młodzieńca przybrała na powrót poważny, wyraźnie zatroskany wyraz. Na jego czole wykwitło kilkanaście zmarszczek, nadając mu dostojności i powagi. Westchnął głęboko, wyprostował lewą nogę i podrapał się po brodzie. Następnie spojrzał Achudowi głęboko w oczy i przemówił, gładząc dawno niemyte włosy:

- Musimy jak najszybciej dotrzeć do pałacu mego ojca. Nie mamy czasu do stracenia.

- Obawiam się, że na podróż do miasta Kirań może być za późno. Po pierwsze, twego ojca może tam nie być. Miał wyruszyć na wojnę, gdy tylko pierwsze śniegi stopnieją. Po drugie... twojego miasta też już może nie być.

W niewielkim szałasie, pośród setek ogołoconych z liści drzew, zmarzniętych krzewów i powoli budzących się do życia zwierząt, zaległa przejmująca cisza. Nawet Cyryl Pustelnik przestał chrapać. Otworzył oczy i spojrzał się na Achuda, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Co masz na myśli? – wyjąkał Bolesław, a robaki w jego brzuchu ponownie się zakotłowały.

Achud odpowiedział niemal natychmiast:

- Symonici mieli poczekać kilka dni, aż wasz ojciec wraz z całą armią oddali się od miasta, i wtedy je zaatakować. Puste i niebronione.

- To przecież niemożliwe! – krzyknął Bolesław nie swoim głosem. Jego twarz przybrała barwę topniejącego śniegu. - By zdobyć Kirań, potrzeba sporej armii. Nawet jeśli całe wojsko mego ojca wyruszy na wojnę, zostaną przecież mieszkańcy, straż miejska. No i potężne, grube mury, których nie sposób przełamać. I jak, do licha, oni zdołają ukryć tak wielką armię? Przecież to niemożliwe. Ktoś z pewnością ich dostrzeże i doniesie memu ojcu. To, o czym mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

Robaki w brzuchu były innego zdania.

- Wierz mi, książę, że nie takie miasta jak Kirań padały łupem symonitów - kontynuował Achud, ignorując nagły wybuch księcia. - A co do ich armii, to już ci mówiłem, że czeka w ukryciu na granicy z Breslangiem i oczekuje na rozkazy. Zakon ma w swoich szeregach setki świetnie wyszkolonych szpiegów, którzy na bieżąco przekazują dowództwu najnowsze wieści. Jeśli chcesz uratować swój kraj, musisz znaleźć ojca, a jego w Kiraniu najpewniej nie ma. To wszystko, co miałem ci do przekazania. Teraz los świata jest w twoich rękach. Ja już dopełniłem swego przeznaczenia.

Młodzieniec chwycił w dłoń kosmyk przetłuszczonych włosów i zaczął go gładzić. Starał się pozbierać myśli, rozbite niczym rzucona z dużą siłą waza. Saliha starała się dojrzeć coś w jego oczach, lecz siedziała za daleko. Achud, chcąc ukryć zmieszanie, chwycił leżący obok bukłak z zatęchłą wodą i przyłożył sobie do ust. Naczynie było puste, lecz przynajmniej nie musiał znosić świdrującego spojrzenia młodego księcia. A Cyryl... no cóż... wiadomo, co robił.

Wyruszyli nad ranem, po przegadanej nocy. Okuci w ciepłe szaty wędrowali krok za krokiem po leśnych bezdrożach. W powietrzu coraz bardziej czuć było wiosnę. Przesycone zapachem zielonych igieł powietrze wwierało się w ich nozdrza, powodując coraz to większy niepokój. Wiosna wszak nie kojarzyła im się teraz z ciepłem i budzącym się do życia światem. Oni czuli tylko upływający w zawrotnym tempie czas. Czas, którego mieli bardzo niewiele. Tylko Saliha zdawała się nie podzielać grobowej atmosfery swych towarzyszy. Szła z przodu, nucąc czasem pod nosem lub pogwizdując wesołe melodyjki. Zawsze jednak milkła, gdy ktoś się do niej zbliżał. Czasem też znikwała na dłużej i błędziła po leśnych gęstwinach ze wzrokiem utkwionym w runo, tak jakby czegoś szukała.

Pod wieczór dotarli do rozstaju dróg. Tuż obok gościńca wznosiła się niewielka karczma, lecz podróżni roztropnie ominęli ją szerokim łukiem. Dopiero gdy Pani Noc w pełni swej kraszy objawiła światu czerń swego oblicza, natrafili na dogodne miejsce na postój.

Wyglądało niczym ruiny prastarej świątyni nieznanego w dzisiejszych czasach bóstwa. I zapewne nią kiedyś było. Zresztą cokolwiek by tam dawniej nie stało, w porównaniu z niewielkim szałasem, w którym spędzili poprzednią noc, zdawało się być istnym pałacem. To nic, że zamiast dachu ziała kompletna pustka, poprzątykana jedynie spleśniałymi palami, które sprawiały wrażenie, że zaraz runą na głowy. To nic, że trzy z czterech ścian dawno uległy zniszczeniu. Została tylko jedna, która w żaden sposób nie chroniła ich przed wiejącym z północy wiatrem. Mimo tych drobnych niedogodności, było to dobre miejsce na nocleg.

Noc, o dziwo, minęła spokojnie. Mężczyźni spali jak zabici i nawet wściekły świst wichru, jęki drzew, wycie wilków, hukanie sowy oraz dochodzący z oddali śmiech borowego nie zdołały ich obudzić. Tylko Saliha nie spała. Leżała z otwartymi oczami, czekając, aż leśną głuszę nawiedzi dodatkowo odgłos ludzkiego chrapania. Wtedy wstała i najciszej, jak potrafiła, oddaliła się od obozowiska. Szła pewnie, szybko, jakby ktoś ją prowadził. Nagle się zatrzymała. Roziskrzona czerwoną luną oczka zaczęły przeczesywać leśne runo. Widocznie szczęście się do niej uśmiechnęło, kąciki ust poderwały się bowiem do góry niczym wzbierające do lotu ptactwo, a ponurą twarz rozświetliła biel szczerzących się zębów.

- Tutaj jesteście - szepnęła do siebie i pochyliła się nad czerwono-czarnymi grzybkami wielkości jej małego palca, które rosły w cieniu ułamanego przez wiatr pnia starego grabu. Ukucnęła, po czym zaczęła ostrożnie zrywać grzybki i układać je na wierzchu lnianej chusteczki. Gdy już zebrała ich sporą garść, zawinęła rogi szmatki i wsadziła ją głęboko do kieszeni. Potem wróciła do obozu i położyła się spać.

Wyruszyli jeszcze przed świtem. I znów mozolnie pokonywali świat. Krok za krokiem, mila za milą, w ciszy, powadze, skupieniu. W południe ostatecznie pożegnali się z leśnym królestwem i dotarli do drogi, która doprowadziła ich do niewielkiej osady. Widok bawiących się wesoło dzieci, odpoczywających starców oraz radośnie tańczących

smug dymu bijących z imitujących komin otworów sprawił, że postanowili zawitać do wsi.

Wieczorem, gdy ogień wesoło podskakiwał, wzbijając w górę jaskrawoczerwony pióropusz iskier, wszyscy z uśmiechem na ustach wspominali wesołego gospodarza i jego gadatliwą żonę, od których udało im się kupić tłuściutką kurę i niewielki gliniany kociołek. Dwójka młodych mężczyzn z burczącymi brzuchami i cieknącą po ich brodach ślinką obserwowała uwijającą się przy kolacji Salihę. Dziewczynka sprawiała wrażenie rozluźnionej. Nuciała pod nosem, uśmiechała się do siebie, poprawiała raz za razem niesforną grzywkę, która zasłaniała jej oko. To były jednak pozory. Niebieskie ślepka krążyły bezustannie od jednej twarzy do drugiej, niewielkie paluszki prawej dłoni kruszyły tajemnicze grzybki, które wpadały do gotującej się stawy, a druga dłoń trzymała kijek, którym raz po razie mieszała zupę. W powietrzu rozchodziła się coraz bardziej intensywna woń rosołu.

- Długo jeszcze? - usłyszała niecierpliwy głos Achuda. Drgnęła zaskoczona. Ręka trzymająca patyk zawadziła o gliniany kociołek, który pochylił się niebezpiecznie. Saliha w ostatniej chwili uratowała go przed upadkiem.

- Dobrze się czujesz? - spytał Bolesław, patrząc na nią z niepokojem. Na swoje nieszczęście był tak pochłonięty oczekiwaniem na zbliżający się posiłek, że nie dostrzegł czerwonych snopów bijących z jej oczu.

- Tak. Nic mi nie jest. Tylko... tylko mi się w głowie zakręciło - odparła i machnęła lekceważąco dłonią. Pomieszała jeszcze kilkakrotnie zupę, po czym schyliła się po leżącą obok jej stóp miskę i nalała do niej zupy. Uśmiechnęła się jakoś sztucznie, podeszła do siedzącego Bolesława i podała mu naczynie. Patrzyła w dół, chcąc skryć iskrzące się oczy.

- Zjedzcie wszystko, panie. Wszyściutko, do dna.

Achud zmarszczył brwi. Ogarnęło go jakieś dziwne przeczucie. Przez ostatni czas dosyć dobrze poznał rudowłosą siostrę swego

przyjaciela i wiedział, że coś z nią jest nie tak. Jej głos był inny. Brzmiał jak wtedy, gdy...

Poderwał się błyskawicznie, złapał ją za rękę i spojrzał głęboko w oczy. To, co w nich ujrzał, zmroziło mu serce.

Nieświadomy niczego Bolesław chwycił miskę oburącz i przystawił ją do ust, delektując się ciepłem płynącej przez gardło cieczy.

- Stój! - krzyknął Achud, lecz było za późno. Spora porcja płynu znalazła się we wnętrzu księżęcego brzucha, a drobinki trucizny już mknęły krwiobiegiem, rozprawdzając się po całym ciele.

Iskra fanatyzmu w oczach Zafiry zmieniła się w istny pożar. Bolesław patrzył się to na nią, to na Achuda. Nic nie rozumiał. Gdzieś wysoko nad ich głowami przeleciał klucz wracających z dalekich krajów bocianów. Koło nich zarechotała żaba, która jakimś cudem znalazła się tak daleko od własnego bajorka.

- Saliho - jęknął przerażony Achud. - Co z tobą?

- Jam nie Saliha, jam Zafira, służebnica Pana - wycedziła rudowłosa dziewczynka. Nagle wyrwała się Achudowi i wyciągnęła schowany w spodniach i pobłyskujący w promieniach księżyca sztylet. Nie bacząc na przerażone wołanie mankruta, rzuciła się z impetem na Bolesława.

Księżę nadal nic nie rozumiał. Odruchowo chciał się zasłonić, lecz nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Jego ciało było sparaliżowane. Trucizna zaczęła działać.

Nóż zbliżał się do jego szyi w zawrotnym tempie. Migawki z krótkiego życia zaczęły przewijać mu się przed oczyma. Zdołał jeszcze usłyszeć przeraźliwy pisk dziewczyny i ujrzeć naładowane nieziemską nienawiścią ślepie, które przypominały dwa żarzące się ogniska. Później zamknął oczy, szykując się na śmierć.

Nóż trafił prosto w serce. Ostry, bezlitosny i śmiertelny. Narząd pompujący krew syknął cicho i zaprzestał dalszej współpracy. Saliha wyciągnęła ostrze, by zadać drugie pchnięcie. Strugi krwi trysnęły niczym przerażająca fontanna, ochlapując wszystko dookoła.

Bolesław poczuł jej słodkawy smak na koniuszku języka. Bólu żadnego nie poczuł, tylko absolutny spokój. Usłyszał krzyk Achuda i pełny nienawiści wrzask dziewczynki. Coś ciążyło mu na kolanach.

Jakaż dziwna jest śmierć - zdołał jeszcze pomyśleć, po czym powoli otworzył oczy. Spodziewał się ujrzeć pełne miłości oblicze swej babci, lecz dojrzał jedynie bezwładne ciało swego mistrza.

To Cyryl Pustelnik umierał. W ostatniej chwili zasłonił młodzieńca własną pierś, składając ofiarę z własnego życia. Ofiarę na poczet wielkich czynów, które syn Jarogniewa miał dokonać w przyszłości. Starzec jęknął, wyciągnął ku Bolesławowi dłoń, jakby chciał mu coś jeszcze przekazać, lecz nie był w stanie. Życie uciekało z niego w zastraszającym tempie. Uśmiechnął się lekko. Jego twarz była spokojna niczym niezmacona tafla wody podczas bezwietrznej nocy. Dwa oddechy później światło życia starego pustelnika zgasło na zawsze.

Wiatr świsnął z potężną siłą, wprawiając świat w ruch. Skrzypnęły gałęzie, zaszumiały drzewa, zakumkała żaba.

- Jam jest służebnicą Pana - krzyknęła Zafira i, widząc otwarte oczy Bolesława, ponownie rzuciła się do ataku. Ogarnęła ją furia. Całą swą uwagę skupiła na sparaliżowanym przez działanie trucizny synu Wielkiego Księcia. Jakże ona go nienawidziła. Tego przekłętego heretyka, czciciela nieistniejących bożków, obrazę Szymona. Zaślepiąca żądzą mordu nie zauważyła biegnącego ku niej Achuda, który w ostatniej chwili powalił ją na ziemię i przygniótł własnym ciężarem. Zakrwawiony oręż upadł tuż koło nich.

- Saliho - wyjęczał mankrut, patrząc z przerażeniem na jej zdeformowane fanatyzmem oblicze. W niczym nie przypominała teraz słodkiego dziewczęcia, które znał i które pokochał prawdziwą braterską miłością. - Saliho! Obudź się! Proszę.

Dziewczynka wykrzywiła twarz w potwornym grymasie.

- Ty głupcze. Nigdy nie byłam Salihą. Jam jest Zafira, służebnica Pana. Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? Jesteś głupcem. Już dawno cię przejrzałam.

Nagle dziewczynka chwyciła Achuda za szyję i zacisnęła na niej dłoń. Mężczyzna próbował się wyrwać, lecz uścisk był zbyt mocny. Zaczęło brakować mu tchu. Oczy niemal wyszły z orbit, twarz zrobiła się sina, a z kącików ust zaczęła spływać ślina. Próbował się jeszcze bronić, lecz dłonie dziewczynki były niczym dwa imadła, nic nie mogło ich rozerwać.

- Od początku wiedziałam, że należysz do tej heretyckiej bandy chrześcijan, i wiem, kto cię wysłał. Czy wy jesteście naprawdę tak głupi, że uważacie tego gnojka za bożego syna? Wy idioci. Myślisz, że tylko wy macie szpiegów? Jesteś głupcem. Ręce Wielkiego Kapłana sięgają dalej, niż się tobie może wydawać. Dalej niż ręce tego łajdaka, cesarza Eutygianusa, który oby szezł w męczarniach. Najpierw zabiję ciebie, potem tego pyszałka. Nikt nas nie powstrzyma. Nikt, nikt, nikt!

Z każdym słowem dziewczynki twarz Achuda stawała się coraz bardziej sina. Jeszcze walczył, jeszcze próbował się wyrwać, lecz jaskrawy blask płynący z oczu Salihy pozbawiał go sił. Stracił przytomność.

- Ty durniu - wysyczała dziewczynka i odrzuciła jego ciało, jakby ważył tyle co noworodek.

Wstała i całą swoją uwagę zwróciła na Bolesława. Ten zaś wciąż nie mógł się ruszyć. I tylko patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Nikt nie jest w stanie nas powstrzymać - wycedziła z wykrzywioną twarzą pełną nienawiści wyłaniającą się wprost z otchłani jej duszy. - Myślałeś, że ci się uda przeciwstawić potędze jedyne go Boga, Szymona Maga? Za kogo ty się uważasz, plugawcu? Ty śmieciu! Ty zarozumiały robaku!

Bolesław chciał splunąć, lecz nie mógł i niewielka strużka śliny pociekła mu po brodzie.

- Jesteś tylko marnym robakiem, którego należy zgnieść - kontynuowała Zafira. Chwyciła leżący sztylet i powolnym krokiem zaczęła się zbliżać w jego stronę. - Nasz Pan jest miłosierny, lecz na

jego miłosierdzie trzeba zasłużyć. Módl się do niego, a odpuści ci twe winy i przyjmie do swego królestwa. Jeśli jeszcze nie jest za późno.

Po czole młodzieńca spłynęła kropla potu i bezgłośnie opadła na jego stopę. I nagle poczuł znajome ciepło dochodzące z głębi brzucha. Iskra magii przybierała na sile. Czuł, jak wypełnia całe jego jestestwo i powoli rozpuszcza paraliżującą go truciznę. Poruszył najpierw palcem u lewej stopy, później wykonał delikatny ruch prawą dłonią. Z każdą chwilą czuł się coraz silniejszy. Krępujące go niewidzialne węzły pękły bezgłośnie, uwalniając go z oparów paraliżujących grzybów.

Nieświadoma niczego Saliha zbliżyła się do niego na wyciągnięcie ręki. Spojrzała ze wzgardą w książęcą twarz, splunęła na nią i z całej siły wbiła czubek ostrza w jego pierś. A raczej chciała wbić, książę był bowiem szybszy. W samą porę złapał jej nadgarstek lewą ręką, a prawą huknął w szczękę. Rudowłosa główka odskoczyła do tyłu, a w świecących na czerwono oczach pojawił się błysk zdziwienia. Książę doskoczył do leżącego nieopodal miecza i bez chwili wahania wbił jego czubek w pierś Zafiry.

- Hasta la vista, zdiro - wycedził, patrząc na ostatnie chwilę życia dziewczynki. Zdawał sobie sprawę, że nikt go nie słyszy, lecz zawsze w tak dramatycznych i podniosłych dla historii chwilach wymaga się od głównego bohatera jakichś słów. Prostych, może niezbyt rzutkich - ważne, żeby wpadały w ucho. Nasz dzielny Bolesław spełnił to wymaganie i z czystym sumieniem obserwował, jak krucha pierś dziewczynki przestaje się poruszać.

Księżyc schował się za kłębiastą chmurą, przypominającą olbrzymią ośmiornicę. Wzmógł się wiatr, powodując u Bolesława gęsią skórę. Nieopodal zaszumiały drzewa, wysoko w górze zakrakał kruk.

- Wody - wyszeptał Achud, który właśnie odzyskał przytomność. Mężczyzna z trudem łapał życiodajne powietrze przez opuchnięte usta. Jego ogorzała od słońca skóra przypominała teraz biały mundur z czerwonymi pagonami na szyi. Próbował się podnieść, lecz starczyło

mu sił tylko na uniesienie głowy. Bolesław odwrócił się od trupa rudowłosego dziewczęcia i podszedł do niego, czując się tak, jakby był bohaterem jakiegoś sennego koszmaru. Bolała go głowa, chciało mu się pić, a oczy same się zamykały. Robaki w jego trzewiach znów dały o sobie znać, urządzając wielki bal. Księżę zdołał jeszcze chwycić leżący obok niego bukłak wody, napić się kilka łyków i podać go Achudowi, gdy nagle świat wokół niego zawirował w zawrotnym tempie, a światło księżyca odpłynęło poza obręb świadomości. Zemdlął.

Gdy się obudził, był już dzień. Wiejący wiatr przegonił chmury, a świecące wysoko nad ich głowami słońce spowiło świat w rozkosznym cieple. Achud stał koło niego, dyskretnie ocierając ciekącą mu po policzku łzę.

- To była dobra dziewczyna - odezwał się, widząc nieprzejednane spojrzenie, jakim Bolesław obdarzył trupa ognistowłosej Salihy. Po śmierci jej młodziutka twarzyczka wyglądała tak spokojnie i pięknie, jakby była alabastrową rzeźbą z wizerunkiem anioła, wykutą przez największego z mistrzów.

Wspomnienia wieczornych wydarzeń szybko wypełniły pustkę w głowie księcia. Prychnął wzgardliwie.

- Nie osądzaj jej zbyt surowo - bronił dziewczynki niedoszły mankrut. - Ona nie była sobą. Została opętana przez Wielkiego Kapłana. Ten diabeł rzucił na nią urok. Nie była sobą. Nie była. - Ostatnie słowa z trudem przeniknęły przez usta Achuda. Starał się zapanować nad zalewającym go smutkiem, lecz nie był w stanie. Czuł się winny, że do tego wszystkiego dopuścił. Zawiódł ją. Zawiódł jej brata.

Bolesław nie odpowiedział. On miał własną żalobę, własny ból. Z kamienną twarzą stanął nad ciałem Cyryla Pustelnika. Jego myśli powędrowały do chwil, które razem przeżyli. Wspólnie spędzony czas wydawał się wiecznością, choć w rzeczywistości trwał tylko kilka miesięcy. To fakt, że starzec nieraz bywał nieznośny, złośliwy i szydrczy... lecz mimo to był jego prawdziwym przyjacielem. Jednym

z niewielu, jakich miał. A teraz... teraz nie żył. Tak samo jak Volko, tak samo jak Oran. Oni też poświęcili dla niego swe życia.

Tylko po co? Czy jestem tego wart? - myślał. - Czemu wszyscy wokół mnie umierają, a ja wciąż żyję? Czemu?

- To się musi skończyć! - powiedział na głos, przerywając tym samym niezręczną ciszę. - Nie pozwolę, by ich śmierć poszła na marne! Nigdy!

Achud odruchowo kiwnął głową. Słuchał, lecz nie słyszał.

Resztę dnia spędzili na przygotowywaniu stosu całopalnego i wyprawieniu dwójki towarzyszy na tamten świat. Do wiecznie zielonego pastwiska rządzonego twardą ręką przez Welesa i jego towarzyszkę Nyję? Do niebiańskich pałaców Elohima i Enoidy lub dymiącego siarką i gorącą smołą piekła? A może po prostu w niebyt? Na to pytanie nikt nie jest w stanie nam odpowiedzieć. Dopiero gdy bóg księżycowej tarczy zajął nad nimi miejsce Swaroga, a blask światła zniknął w półmroku Pani Nocy, dwójka ludzkich tułaczy wyruszyła w dalszą drogę. Wędrowali szybkim krokiem, by nadrobić stracony czas. W milczeniu, smutku i powadze. Nad ranem szli nadal. Mijali pola, łąki, niewielkie zagajniki i wniesienia, brnęli w piasku i błocie, przedzierali się przez gęstwiny krzewów, aż w końcu ujrzeni mającą w oddali, sterczącą samotnie skałę o wyglądzie przypominającym męskie przyrodzenie. Wyglądała dość nienaturalnie, tak jakby została tutaj przeniesiona z innego miejsca. Może tak faktycznie było?

Bolesław zatrzymał się i wskazał na nią dłonią.

- Za tą skałą rozciąga się Ziemia Warszzyńska - przemówił pierwszy raz od początku podróży.

Achud ograniczył się do lekkiego kiwnięcia głową i ruszył dalej. Chciał jak najszybciej znaleźć się przed obliczem Wielkiego Księcia. Szczególnie teraz, gdy ponownie przekonał się, że macki symonitów sięgają naprawdę daleko.

Bez żadnych przeszkód pokonali drogę do skały i nim świat spowił się w przedwieczornej szarudze, ich stopy dotknęły ziemi obiecanej.

Bolesław wciągnął do płuc spory haust powietrza. Pachniało wiosną, pachniało domem. Ukucnął, by wziąć do ręki garść własnego dziedzictwa, i uśmiechnął się smutno do siebie.

To mój kraj. Nie pozwolę go skrzywdzić – postanowił sobie w myślach.

I nagle usłyszeli tętent koni. Nim się zorientowali, skąd dochodzi, zostali otoczeni przez oddział żołnierzy, ubranych w czarno-złote barwy jego ojca. Jeźdźców było przynajmniej dwudziestu – dobrze uzbrojonych, o surowych, powłóczyстых spojrzeniach, hardych twarzach, drapieżnych ruchach. W słońcu zabłysła naga stal. Zostali otoczeni.

– Kto wy?!

Młodzieniec uśmiechnął się szeroko i odetchnął pełną piersią. Wzniósł oczy do nieba. Zapragnął głośno krzyczeć, tupać i śmiać się niczym wariat, lecz stwierdził, że nie przystoi to przyszłemu Wielkiemu Księciu. Zamiast tego poprawił fryzurę i przemówił dumnym głosem:

– Jam jest Bolesław, syn Jarogniewa Statecznego. Witajcie.

Jeśli jednak myślał, że żołnierze padną na kolana lub przynajmniej rzucą mu się w ramiona, srodze się pomylił. Dowódca spojrzał na niego kpiąco, a po chwili wybuchnął gromkim śmiechem. Zawtórowała mu połowa oddziału. Druga popatrzyła na włóczęgów z odrazą w oczach, nie zaszczycając ich nawet dawką kpin.

– Tak. A jam sam Wielki Książę, psia twoja mać – odparł dowódca o twarzy przypominającej pełnię księżyca. – Nie mam czasu na głupie żarty. Mówcie, kim jesteście, albo będę zmuszony was aresztować i zabrać do najbliższej twierdzy, a tam już wiedzą, jak wyciągnąć informacje z takich gagatków jak wy.

Bolesław wpierw osłupiał. Zaraz jednak doszedł do siebie i już miał zamiar wyrzucić żołdakowi porcję przekleństw, gróźb i próśb, gdy nagle ubiegł go znajomy głos, dobiegający z prawej strony:

– A niech mnie tysiąc piorunów w rzyć strzeli. A niech mnie dobra Matka Ziemia zeżre żywcem na surowo. A niech mnie, toż on prawdę

gada! Toż to nie kto inny jak sam książę Bolesław. Jak mi bogowie mili. Jakem sławetny Berorg herbu Szreniawa, syn Hipolita, pogromcy wrogów. Witaj, książę, witaj, przyjacielu.

Bolesław odwrócił głowę i ujrzał szpetną twarz przyjaciela z dawnych, lepszych czasów. Wyglądał on trochę inaczej niż kiedyś – był wyższy, szczuplejszy, bardziej męski, lecz równie brzydki. Tak brzydki, że nie dałoby się go z nikim pomylić. Płaski nos, wklęsłe oczy, szorstka broda, ziemista cera i cienkie włosy kontrastowały jednak ze szlachetnymi oczyma i płynącym z samego serca uśmiechem.

- Berorg - szepnął książę, jakby jeszcze nie do końca wierzył w to spotkanie. - Berorg! - Tym razem jego krzyk poniósł się po całej okolicy, a na twarzy księcia wykwitł uśmiech tak wielki, jak stąd do królestwa symonitów.

Przyjaciele padli sobie w ramiona.

- Niech żyje książę, niech żyje Bolesław! - wyrwało się z piersi któregoś z żołnierzy.

- Niech żyje, niech żyje, niech żyje! - zawtórowało mu dwadzieścia gardeł. Po chwili żołnierze niczym zgrana orkiestra zeskoczyli z koni, otoczyli cudem odnalezionego księcia, przyklękli na jedno kolano i z szacunkiem pochyłili przed nim głowy.

- Wybaczcie, panie - powiedział skruszony dowódca.

Bolesław go nie słyszał. Jego słowa zagłuszało dudnienie arystokratycznego serca, wybijającego radosny takt. Przyjrzał się promiennej mordzie swego przyjaciela, która przypominała lico bohatera szemranych opowieści z miejskich zaułków, i wybuchnął nagle gromkim śmiechem.

- Berorg, przyjacielu... Berorg - powtarzał w kółko, jakby znał tylko te dwa słowa.

- Niech żyje książę, niech żyje Bolesław! - wtórowali mu żołnierze i przyłączali się po kolei do beztróskiego śmiechu.

Gdy już emocje opadły, łzy zostały powstrzymane (prawdziwi mężczyźni wszak nie płaczą, a jak już, to w ukryciu), a setki

niewypowiedzianych pytań zawisły w powietrzu, nadszedł czas powrotu do rzeczywistości. A ta bynajmniej nie rysowała się różowo.

- Muszę jak najszybciej dotrzeć do mego ojca. Gdzie on jest? - spytał Bolesław dowodzącego oddziałem woja, zwanego Budzimirem.

Ten wydał wargi i podrapał się po brodzie.

- Hmm. Z tego, co mi wiadomo, Wielki Książę wyruszył wraz z całą armią na wojnę. Kierował się na zachód ku Równinom Szeptu, ale gdzie dokładnie teraz jest, to nie mam pojęcia. Trzeba by się spytać kogoś znaczniejszego niż prosty wojak, jakim jestem. Ja tylko wykonuję rozkazy, a do polityki się nie wtrącam. Każą bić, to biję, każą kochać, to kocham, a jak...

- Dobrze, już dobrze - uciszył go książę. - Macie jakieś wieści o Kiraniu?

Żołnierze spojrzeli po sobie, a na ich żołnierskich mordach wykwitł wyraz zdziwienia.

- O Kiraniu? Nic nie wiem. A co miałyby się z nim dziać?

Bolesław wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Budzimir pokręcił głową i już chciał o coś zapytać, lecz nagle zrezygnował. Zamiast tego wypiął dumnie pierś i odezwał się do księcia:

- Jeśli tylko rozkażecie, panie, to ruszymy z tobą, gdzie tylko zechcecie. To niebezpieczne strony, pełno zbójów chowa się po lasach, więc obstawa wam się przyda. Wielki Książę wyruszył nie tak dawno, więc niebawem powinniśmy go dogonić. Będę tylko musiał wysłać gońca do twierdzy, by nikt nie pomyślał, że stary Budzimir czmychnął przed bitwą jak zając do lasu. Co to, to nie. Jeszcze by mnie powiesili na najbliższym drzewie. Nie to, że boję się śmierci, ale jaki to wstyd dla diatwy. A moja stara to już by doszczętnie sfiksowała, choć i teraz wariactwa ująć jej nie można.

Bolesław uśmiechnął się, bo uśmiechnąć się wypadało.

- Przyjmuję ofertę. Wyruszymy natychmiast. Każcie też wysłać kogoś do miasta Kirań. Trzeba ostrzec mieszkańców przed grożącym im niebezpieczeństwem. Niech patrolują okolicę i zwracają baczną uwagę na wszystkich podejrzanych, którzy będą się kręcić przy

murach. A najlepiej niech zamkną bramy do powrotu mego ojca i nie wpuszczają tam nikogo.

I znów na czerstwych żołnierskich ryjach pojawiło się zdziwienie. I znów spojrzeli po sobie, na księcia i znów po sobie. Nikt się jednak nie odezwał. Budzimir przywołał do siebie stojącego z boku Broniwuja – żołnierza o poważnej twarzy poprzecinanej kilkoma znacznymi bliznami – i zamienił z nim kilka słów. Mężczyzna kiwnął głową i wskoczył na konia, po czym pognał na złamanie karku w kierunku stolicy.

Reszta oddziału ruszyła niebawem. Dość szybko ustalono, że armia Ziemi Warszzyckiej opuściła stolicę zaledwie dwa dni temu i wlokła się na miejsce krwawej jatki niczym stado ślimaków zdążających na śmierć. Na tyle wolno, że oddział Bolesława mógł z czystym sumieniem spędzić noc w wygodnej karczmie, wyjątkowo pustej jak na tę porę roku. Ciepłe łóżko, prawie czysta pościel i obfite jedło były dla młodego księcia jak spełnienie marzeń. I tylko nieopuszczający go frasunek o losy swego kraju nie pozwolił mu docenić uroku tej nocy – możliwe, że ostatniej tak spokojnej w jego życiu.

Mocne wino dźwięczało w głowie mężczyzn wraz z taktami śpiewanej przez Berorga nostalgicznej pieśni. Opowiadała ona o dzielnym woju, który, uciekwszy z niewoli, przedzierał się przez odległe krainy, by wrócić do ukochanej żony i diatwy. Gdy ostatnie nuty zginęły w brzdęku miedzianych kufli, a fala wzruszenia opadła z twardych żołnierskich serc, Budzimir spojrzął na księcia i zadał nurtującego wszystkich pytanie:

- Czy to faktycznie Krwawa Pani stała za waszym porwaniem, książę?

Nasycona wyskokowymi trunkami błękitna krew Bolesława zaczęła żywiej krążyć w jego ciele. Oporny na wcześniejsze pytania język nabrał pod jej wpływem giętkości i elastyczności. Słowa poczęły spływać z jego ust niczym krople wody ze zmoczonego kota i z lekkością godną najlepszego minstrela układały się w niesamowitą

opowieść. Tak niesamowitą, że wprawiła ona w zdumienie nawet poczciwego Zbyszka z Maciejowic, który od czasu, gdy wychędożył w jedną noc dwie siostry, ich matkę i matkę ich matki, uważał, że nic go już nie zadziwi. Mylił się. Nawet przebiegły karczmarz, który postawił na stole kolejną misę parującej stawy, stanął w miejscu i z otwartą gębą przysłuchiwał się niewiarygodnym przygodom syna Jarogniewa. A ten żonglował słowami niczym wytrawny akrobata, doprowadzając wszystkich do duchowego szczytowania. Pomiął kilka szczegółów, kilka podkoloryzował, ale któż tego nie robi.

Gdy skończył, nastąpiła cisza. Krótka, dźwięcząca w uszach cisza, która zaraz potem przeobraziła się w głośny jazgot, przypominający harmider corocznego jarmarku, który odbywał się w mieście Kirań w dzień zrównania dnia z nocą. Każdy chciał o coś spytać, coś dodać lub czemuś zaprzeczyć. W końcu Budzimir musiał huknąć pięścią w stół, by towarzystwo na chwilę zamilkło. Bolesław roztropnie skorzystał z okazji i zadał kilka pytań odnośnie do wydarzeń, jakie rozegrały się po jego porwaniu. Z początku nikt mu nie odpowiedział. Chwilę później nie mógł rozróżnić poszczególnych słów w bezładnej paplaninie dwudziestu gęb. Dowódca znów musiał użyć swego autorytetu, by uciszyć wojaków. Sam w prostych słowach streścił księciu ostatnie wydarzenia, wyrażając przy tym parę osobistych uwag co do zbliżającej się wojny.

A później było już tylko picie, śpiew i przyjacielskie mordobicie.

Nastał nowy dzień. Na niebie nie widać było żadnego, nawet najdrobniejszego obłoku, który by swym kłębiastym cielskiem przysłonił radośnie świecące słońce. Ciepłe promyki padały na zatopioną w nieśmiałej zieleni ziemię, dając życie lgnącym do góry roślinom. Po hałdach śniegu zostało tylko wspomnienie. Wiosna zaatakowała pełną parą, przeganiając srogą zimę w najdalsze zakątki zapomnienia.

Wyruszyli skoro świt. Nabrzmiące głowy kołysały się bezwiednie w rytm końskich kopyt, a napuchnięte oczy zamykały się co chwila, żądając jeszcze kilku chwil snu. Wypoczęte konie w pocie czoła

przebierały kopytami, dzielnie znosząc spadające na ich skórę baty. Nie skarżyły się na swój los... nie umiały.

Nieco dalej nieco inny koń zaczął ciężko sapać. Dosiadający go Broniwuj doprawdy nie znał litości. Raz po razie uderzał jego grzbiet krótkimi uderzeniami bata, by wykrzesać ze zwierzaka jeszcze więcej sił. Sam jeździec też ledwo widział na oczy, lecz odganiał sen z powiek, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Nim się zorientował, światło dnia zaczęło stopniowo blaknąć, aż w końcu zupełnie ustąpiło postępującym ciemnościom. On jednak wciąż gnał, nie bacząc ani na zmęczenie, ani na zimny wiatr, ani na pobliskie wycie wilków, które rozlegało się ze wszystkich stron. Jego umysł zaprzętał niepokój o losy miasta Kirań. To tam zostawił swoją brzemienną żonę oraz trójkę radosnych szkrabów. Myśl, że mogłoby im grozić jakieś niebezpieczeństwo, powodowała niespożyty przyrost sił u dzielnego żołnierza.

W końcu opuścił złowieszczy las i niebawem dotarł do niewielkiej rzeczki płynącej między dwoma pagórkami. Znał te okolice dość dobrze, więc wiedział, że od miasta Kirań dzieli go już naprawdę niewiele. Mimo to zszedł z konia i pozwolił swojemu rumakowi na ugaszenie pragnienia oraz krótką chwilę wytchnienia. Nabrał lodowatej wody w dłoń i chlusnął sobie w twarz, by odpędzić napierający sen. Na niewiele się to zdało, więc po chwili znów siedział w siodle i z półotwartymi oczyma podążał dalej.

- Jeszcze tylko jedno wzgórze i niebawem ujrzymy mury miasta - powiedział ni to do siebie, ni to do konia. W pewnym momencie zwierzak zwolnił kroku, strzygnął uszami i zarżał cichutko, jakby coś wyczuł.

- Co tobie? - spytał Broniwuj i poklepał go pieszczotliwie po szyi.
- Już niedługo, wytrzymaj.

Po chwili już wspinał się po łagodnym zboczu pokrytym kępkami ciemnożółtej trawy oraz nielicznymi, marnymi krzewami. A im był

wyżej, tym coraz większy niepokój ogarniał jego serce, tak jakby coś przeczuwał. Ostatnie kilkadziesiąt kroków było bardziej strome. Pokonał je pieszo, prowadząc konia za uzdę i wciągając w płuca poranne powietrze. W końcu dotarł na szczyt. Gdzieś daleko po swojej lewej stronie ujrzał czerwoną lunę wschodzącego słońca, które okraszało świat cudownym blaskiem. Nie to jednak zwróciło jego uwagę, lecz znacznie jaśniejsze płomienie ognia, targające pobliskim miastem oraz kłęb siwego dymu panoszący się nad całą okolicą.

- O bogowie... - westchnął i opadł ciężko na kolana. Jego ciałem targnęły mdłości, a z czoła pociekła jedna, osamotniona kropla potu.

Stojący obok koń zarżał chrapliwie, po czym trącił go ostrzegawczo pyskiem. Broniwuj poderwał się z ziemi i zrobił kilka kroków w przód, słysząc coraz głośniejsze bicie własnego serca. Po chwili usłyszał coś jeszcze - głośnie krzyki trójki jeźdźców ubranych w zielone barwy księcia Olkmunda. Zmierzali wprost na niego, a w ich rękach błyszczały zakrzywione szable. Doświadczony wojak nie zastanawiał się długo. Błyskawicznie wskoczył na konia, wyjął swój miecz i ruszył ku nim na złamanie karku. Wiedział, że ma małe szanse w starciu z trójką przeciwników, lecz się nad tym nie zastanawiał. Jego oczy zaszyły niewidzialną mgiełką szалу i rozpacz. Nim się zorientował, głowa pierwszego z napastników upadła głucho na ziemię, a lśniący miecz Broniwuja zabarwił się na czerwono i wciąż łaknął nowej porcji krwi.

Broniwuj zawrócił i natarł z impetem na kolejnego przeciwnika. Dopiero gdy się zbliżył na długość konia, ujrzał jego wykrzywione w nienawiści usta oraz ciemną, niemal kwadratową twarz w całości pokrytą upiornymi tatuażami. To z pewnością nie była twarz mieszkańca Pięciu Księstw.

Mężczyźni skrzyżowali oręż. Rozległ się metaliczny dźwięk i krzyk napastnika, którego broń wyleciała w powietrze wraz z trzymającą ją dłonią. Z boku usłyszał jakiś hałas. Pochylił się do przodu, wręcz złożył, czując nad głową pęd powietrza. Jednoręki zaczął się drzeć jak opętany, trzymając drugą dłonią krwawiący kikut, lecz nikt nie

zwracał na niego uwagi. Broniwuj skupił się na trzecim z napastników – wysokim zbirze o skośnych, złych oczach, łypiących na niego spod rogatego hełmu. Cudzoziemiec zaatakował, zasypując Broniwuja serią cięć, pchnięć i zwodów. Wszystkie jednak przesywały powietrze lub lądowały na tarczy. Broniwuj próbował się odgryzać, lecz zaczynało brakować mu siły. Jego ciosy były wolne, przewidywalne i zbyt słabe, by zagrozić przeciwnikowi. Nagle pomyślał o palącym się mieście, o swojej żonie, dzieciach, przyjaciółach. To dodało mu energii. Zacisnął zęby i ruszył do szaleńczego ataku, stawiając wszystko na jedną kartę. Nie interesowało go, czy przeżyje, czy nie. Liczyła się tylko zemsta, a ta, jak wiadomo, każdemu może dodać nadludzkich sił. Koń prychnął, a z jego nozdrzy buchnęła chmura pary. Trzasnęła gałąź.

– Giń, chuju! – krzyknął Broniwuj i zadał przerażające cięcie z góry. Włożył w nie całą moc. Przeciwnik zdołał się jeszcze zasłonić, lecz siła ciosu była tak duża, że roztrzaskała tarczę na pół i powaliła „chuja” na ziemię. Broniwuj zeskoczył z konia i ruszył na niego z impetem. Z całej siły kopnął go w twarz, po czym zatopił miecz w jego brzuchu, przecinając cienki, wykonany z utwardzanej skóry pancerz. Wyciągnął miecz i zachwiał się. Kątem oka dojrzał w oddali kontur uciekającego napastnika, któremu wcześniej odrąbał dłoń. Zmierzał on wprost do miasta, wzbijając w powietrze tumany gęstego kurzu. Broniwuj splunął w jego stronę, zdjął hełm i wytarł pot z czoła. Światło gwiazd odbiło się od zaczerwienionej klingi i zafalowało.

Koń ponownie prychnął.

– I co teraz? – zapytał Broniwuj sam siebie.

Wiedział, że ma mało czasu. Jednoręki niebawem zaalarmuje resztę wrogów, którzy ruszą na niego większą siłą. Nie mógł się jednak przemóc, by odjechać od palącego się miasta, porzucić uwięzionych w nim bliskich. Wciąż miał nadzieję, wciąż czuł, że oni żyją. Jego wewnętrzne rozważania ponownie zakłócił koń, który głośno zarżał, chcąc zwrócić uwagę swego pana na nowe

niebezpieczeństwo. Broniwuj spojrział w dół zbocza i ujrzał kilkunastu jeźdźców podążających w jego stronę. To pomogło mu podjąć decyzję.

Po chwili Broniwuj znów galopował po zboczu, omijając palące się miasto. W jego oczach nie było łez, lecz serce miał rozdarte, pęknięte na pół.

Rozbity na Równinach Szeptu obóz armii warszyckiej przypominał miasteczko w godzinach wieczornych. Las łopoczących na wietrze namiotów rozciągał się poza granice wzroku, imitując mieszczańskie domostwa. Przed nimi, samotnie lub w niewielkich grupkach, kręcili się chwaccy żołnierze. Niemal w nabożnym skupieniu ostrzyli miecze, czyścili żeleźce toporów, oliwili kusze, sprawdzali naciąg łuczniczych cięciw, cerowali nogawice lub najzwyczajniej w świecie drzemali. Inni stali dookoła sędziwego dębu, który jakimś boskim zrządzeniem rósł w pobliżu namiotu Wielkiego Księcia, i składali modły samemu Perunowi. Kolejni woleli świętować ku czci Perepluta, wznosząc bojowe toasty kielichami napełnionymi winem, piwem i gorzałką.

- Trza żyć, póki życie jest! - krzyczeli zamieszkujący rozległe równiny chwaci, tańcząc wokół palących się wzdłuż i wszerz ognisk. Ich radosne okrzyki wzbijały się pod samo niebo i docierały nawet do ciągnącego się hen daleko obozu wrogiej armii.

Inni grali w kości, stawiając w puli przyszłe łupy, które mieli nadzieję zgarnąć. Niejeden dorobił się niemałej fortuny, choć jak na razie wciąż był biedny niczym świątynny szczur.

A cóż takiego porabiał ich wódz? Otóż Wielki Książę siedział w wielkim namiocie w otoczeniu swych najbliższych doradców. Przed nimi na okrągłym wypolerowanym stole stały małe drewniane figurki imitujące oddziały dwóch armii. Trwała narada bojowa.

- Panie mój, przyszły królu, pozwól zabrać głos swemu wiernemu słudze, który nie raz stawał w obliczu wroga - odezwał się Pierwszy Wśród Szpiegów, Sulimir, któremu udzielił się podniosły nastrój.

Wielki Książę uśmiechnął się ciepło na widok jego pocziwej twarzy i łaskawie przyzwolił.

- Nadeszła dla nas wiekopomna chwila. Chwila, w której nasze dzielne wojska zetrą się w polu z tchórzliwymi psami. To będzie sądny dzień. Dzień naszej chwały. Lecz nim święte trąby ogłoszą wszem i wobec nasze zwycięstwo, musimy uradzić, co czynić. Nie znam się na wojaczce tak jak niektórzy z was, lecz wiem jedno. Trzeba najpierw zetrzeć w pył odziały tej krwawej dziwki. To najslabszy punkt przeciwnika. Jej przydupasy, bo żołnierzami nazwać ich nie można, umieją jedynie tłamsić słabych i bezbronnych. W starciu z naszymi dzielnymi wojskami nie będą mieli szans. Wykorzystajmy to i uderzmy na nich na samym początku. Bez trudu przełamamy ich szyki i zyskami przewagę na skrzydle.

- Dobrze prawi - zgodził się z nim Chociemir Slava, przeczesując dłonią swe kruczoczarne włosy. - Tak właśnie trza zrobić. Olkmund, widząc, co się dzieje, będzie zmuszony posłać jej posiłki. W przeciwnym razie zaistnieje groźba, że zostanie otoczony, a do tego nie będzie chciał dopuścić. To będzie naszą szansą. Ciężka jazda na widok zbliżających się wojsk Olkmunda dokona pozorowanej ucieczki. Jego rycerstwo będzie musiało ruszyć w pogoń, a wtedy do akcji wkroczą stojące tutaj - dowódca Gwardii Książęcej wskazał palcem stojące na stole figurki - odziały pikinierów i strzelców. Zatrzymają one impet pogoni, a w tym czasie nasi ciężcy zawrócą i runą na tych psów. Dodatkowo tu będzie stacjonowała nasza lekka jazda, która w odpowiedniej chwili zaatakuje ich z drugiej strony. Wrogowie zostaną wzięci w kleszcze i rozniesieni w puch. Ich drugie skrzydło będzie zapewne składać się z najemników i różnej maści awanturników, którzy, widząc naszą przewagę, prawdopodobnie czmychną szybciej, niż tu przybyli. W odwodach będziemy mieli jeszcze chorągwie z Ichnuzji, które wyślemy w zależności od sytuacji lub gdyby ich najemnicy okazali się zbyt głupi, by się ratować.

- Wszystko brzmi bardzo pięknie, tylko ciekawi mnie, czy Olkmund pozwoli nam rozegrać tę partię według naszych reguł -

powątpiewał Dalibor Sieciech. – Cokolwiek by o nim nie mówić, na wojaczce zna się jak mało kto.

– Dlatego zdaje sobie sprawę z naszej przewagi – odpowiedział mu Sulimir. – Nie kwestionuję jego zdolności przywódczych, jednakże Olkmund jest przede wszystkim niezwykle próżny i zbyt ufa własnym możliwościom. Dlatego to z pewnością jego wojska zajmą centralne miejsce, a reszta stanie na skrzydłach. Poza tym jego jasność umysłu w ostatnich miesiącach została znacznie osłabiona przez, ekhem, miłość do sami wiecie kogo. Zrobi wszystko, by jej zaimponować i uchronić ją przed niebezpieczeństwem.

– Zgadza się. Miłość niejednego człowieka doprowadziła do upadku – wtrącił się Dalibor Sieciech, patrząc znacząco na młodego kapitana.

Kilkoro mężczyzn zarechotało pod nosem. Jedyne księżę Ichnuzji zdawał się nie podzielać entuzjazmu pozostałych i kręcił smętnie nosem. W końcu nie wytrzymał i wybuchnął gniewem, obdarzając zebranych wściekłymi spojrzeniami.

– Do kroćset uderzeń piorunów! Stoję tutaj z wami jako wasz przyjaciel i sojusznik, a co w zamian mam? Niewdzięczność i pogardę, na którą nie mogę sobie pozwolić. – Chuda pięść grzmotnęła z całą siłą w stół, aż drobne figurki żołnierzy rozsypały się bezładnie, część spadła na ziemię. – Moje wojska słyną z waleczności i serca do walki. Nie przybyliśmy tutaj po to, by stać i czekać, aż inni wygrają tę wojnę.

Nastąpiła chwila konsternacji. Zebrani, zaskoczeni nagłym wybuchem Vrongrunda, spoglądali z niepokojem to na jednego władcę, to na drugiego. Wielki Księżę się nie poruszył. Patrzył chłodnym wzrokiem na leżącą na stole makietę Równin Szeptu i tylko drgania jego powiek świadczyły o zdenerwowaniu. Vrongrund Kaleki telepał się za to, jakby właśnie dostał ataku padaczki. I jak zwykle w takich chwilach nerwową atmosferę uratował niezastąpiony Sulimir, który uśmiechnął się ciepło do władcy Ichnuzji i przemówił przyjacielskim tonem:

- Wybaczcie mi, Wasza Książęca Mość, lecz wasze pretensje są nieuzasadnione. Wszak wiadomo, że to synowie Ichnuzji stanowią kwiat rycerstwa Pięciu Księstw i równie dzielnych mężów trudno szukać w innych zakątkach świata. Nie umniejszam wam także serca do walki. Wszak każdy wie, że jesteście pierwsi na bitewnym polu. I dlatego właśnie popieram plan szlachetnego Chociemira. Powinniście uderzyć jako ostatni, by skruszyć opór przeciwnika i ostatecznie przechylić szalę zwycięstwa na naszą korzyść. Czyż na deser nie zostawia się najlepszego? - Sulimir przerwał na moment, obserwując znikający z twarzy gniew. - Jeśli jednak uważacie, książę, że dzieje wam się dyshonor, to raczcie nam przedstawić lepszy plan. Wasza mądrość jest powszechnie znana, więc chętnie was wysłuchamy.

Książę Ichnuzji uśmiechnął się szczerze, słysząc te słowa, będące balsamem dla jego próżności.

- No niech wam będzie - powiedział ugodowo. - Jeśli to posłuży się naszej wspólnej sprawie, jestem gotów się poświęcić.

Nie wszyscy jednak byli jednomyślni.

- Ja uważam, że ciężką jazdę powinniśmy od razu wysłać w centrum, by przełamać ich szyki - wtrącił się Drogomor Grodny - Pierwszy Wśród Dyplomatów. - Później uderzymy jednocześnie z dwóch stron, by ich zmiażdżyć za pierwszym razem. Mamy przewagę liczebną, więc ją wykorzystajmy.

- Jak ustawią przeciw nam włóczników i strzelców, to rozbiją naszą szarżę wcześniej, niż dotrze ona celu - zaproponował Znamir Zbytny, kręcąc z niesmakiem głową. - Wybaczcie, szlachetny Drogomorze, lecz tu już nie trzeba dyplomaty, lecz strategów, a z was taki strateg jak z koziej dupy trąbka. Raczcie się więc nie odzywać i prowadzenie wojny zostawcie innym.

Kilkoro mężczyzn zarechotało, kilkoro spojrzało uważnie na dyplomatę, obserwując, jak tamtemu zwięzają się ślepia, a grdyka to unosi się, to opada. Drogomor już miał na końcu języka ostrą ripostę, gdy nagle jego twarz stężała, a wzrok padł na stojącą w półmroku

sylwetkę. Dobiegające ze stojącego na stole kaganka światło padało od czasu do czasu na nieruchomą twarz intruza. Nieznajomy musiał wyczuć skierowane na siebie spojrzenie, wyłonił się bowiem z ciemności i odezwał nad wyraz opanowanym głosem:

- Wybaczcie, że wam przeszkadzam, szlachetni panowie, ale wasz plan zupełnie nie pasuje do zaistniałych realiów. Powiem wprost, można go potłuc o kant rzyci.

Wszystkie oczy skierowały się w jego stronę.

- A tyś kto, do licha? - warknął Wielki Książę, wściekły, że ktoś śmiało niepostrzeżenie przemknął się do namiotu i zakłócić wojenne obrady. - Straż, do mnie!

Obcy zrobił kolejny krok w przód. Trójka żołnierzy natychmiast rzuciła się w jego stronę, chcąc powalić intruza, lecz już po chwili leżała bezradnie na ziemi. Zebrani zamarli.

- Ktoś ty? - powtórzył władca Ziemi Warszzyckiej. Jego twarz zrobiła się sina ze wściekłości, a oczy zaszły krwią. Prawa dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza, muśniętej przez drgające światło kaganka.

- Twój syn, ojczy - Bolesław starał się zapanować nad własnym głosem.

Młodzieniec zrobił kilka kolejnych kroków i stanął tuż przed obliczem zdumionego ojca. Wyglądał inaczej, niż tamten go pamiętał - był szerszy w barkach, wyższy i bardziej umięśniony. Długie włosy spływały kaskadami po żylastej szyi, a na twarzy rysował się męski zarost, okalający usta, podbródek i ogorzałe od słońca policzki. Jego głos też się zmienił - był niższy i pewniejszy siebie. To nie był zagubiony chłopak myślący tylko o hulankach i swawolach. Przed Wielkim Księciem stał dumny młodzieniec, na którego licu widać było cienie straszliwych wydarzeń. Tylko drapieżne oczy koloru brąz pozostały takie same. Wciąż tliła się w nich życzliwość pomieszana ze złośliwych chochlikiem. I dopiero po bliższym przyjrzeniu można było odkryć czający się głęboko smutek oraz prawie niezauważalną czerwoną iskierkę. Karmazynowy, ściśle opięty żakiet z wysokim

kołnierzem, który Bolesław dostał w darze od swego druha Berorga, dopełniał niezwykłego wyglądu.

Młodzieniec spojrzał swemu ojcu głęboko w oczy i próbował opanować narastające w nim wzruszenie.

- Synu... - wymruczał Jarogniew, nie będąc przekonany, czy stojąca przed nim postać jest jego synem, czy zjawą. - Synu... to ty?

Młodzieniec nagle zapomniał o swym szlachebnym rodowodzie, męskiej dumie i etykiecie. Nie bacząc na nic, rzucił się w objęcia dawno niewidzianego ojca i niczym małe dziecko wtulił swą twarz w jego tłuste ramiona. Po policzkach pociekły mu łzy.

- Ojczy, ojczy... wybac mi - jęczał, przytulając się do ojcowskiej piersi.

Jarogniew nie pozostał mu dłużny. Tulił syna całą swą ojcowską miłością, aż Bolesławowi zabrakło tchu. Odsunął się kawałek od ojca i spojrzał w surowe oblicze księżęcej twarzy. Oblicze, na którym wzruszenie mieszało się z niepojętym szczęściem.

- Wróciłem, ojczy - szepnął Bolesław i na powrót przytulił się do ojca.

Setki pytań, tysiące słów kołatały się w księżęcym gardle, lecz żadne z nich nie znalazły ujścia. Wielki Książę był zbyt wzruszony, by cokolwiek powiedzieć. Pozostali mężczyźni wybałuszali oczy, patrząc na zaginionego młodzieńca, który nieoczekiwanie pojawił się w namiocie, tak jakby wyrósł wprost z ziemskiej otchłani. Drogomor zapomniał o urazie i znieruchomiał z ręką zawieszoną w połowie drogi do pasa. Złotowłosy kapitan uśmiechnął się nieśmiało. Sulimir rozejrzał się po namiocie, szukając ukrytych wrogów, a książę Ichnuzji spojrzał znacząco w głąb własnego kielicha, zastanawiając się, czy za dużo nie wypił.

Napięcie powoli zmieniało się w radość. Cisza, która powstała przed chwilą, urwała się tak nagle, jakby nad spokojną ziemią zawisła burzowa chmura składająca się z milionów pytań. Wszyscy naraz chcieli wiedzieć, co się działo z jedynym dziedzicem księżęcej mitry. Ten zaś stał spokojnie i czekał, aż wiatr rozsądku przewieje

narastający gwar. W końcu się doczekał. Zapadła jako taka cisza. Zebrani pochylili się w stronę młodzieńca i w napięciu czekali, aż ten łaskawie usadowi się na krześle i rozpocznie swą opowieść.

Bolesław się nie śpieszył. Spojrzał po twarzach mężczyzn, zatrzymując na każdym wzrok, i powoli, niczym pająk plotący sieć pajęczyn, zaczął swą historię. Po kolei, lecz omijając niektóre szczegóły, opisał swoje losy od momentu, gdy w tak niechlubny sposób zmuszony był opuścić rodzinne strony i udać się na wygnanie do wuja Jarnasza. Nie wspomniał tylko o swoim darze, który tak nagle mu się objawił i nad którym zapanować nie umiał, oraz o namiętnych chwilach spędzonych z prowodyrką jego porwania. O pewnych rzeczach nie wypada mówić. Następnie przez długi czas wyjaśniał zebranym teologiczne aspekty dziwacznej wiary w jednego Boga i misternie uknuty spisek, mający na celu podbój Pięciu Księstw. A im dłużej mówił, tym twarze zebranych stawały się coraz bardziej zszarzałe.

Gdy skończył, zaległa pełna zdziwienia i niedowierzania cisza. Długa i niesforna cisza, która wręcz dźwięczała w uszach. Kilkoro mężczyzn w jednej chwili chwyciło za dzbany wina i zatopiło w nich swe usta, jakby tam szukali ratunku. Inni patrzyli tępo na młodzieńca i tylko lichy wie, co działo się w ich głowach.

- Synu, czy jesteś tego wszystkiego pewien? - przemówił w końcu Wielki Książę, który jako pierwszy ochłonął i teraz spoglądał na syna z nieskrywaną troską. - Wiem, że stała ci się wielka krzywda. Zostałeś porwany, przetrzymywany wbrew własnej woli i bogowie tylko wiedzą, przez co jeszcze musiałeś przejść. Ale to, o czym nam opowiadasz, nie mieści mi się w głowie. To nie ma sensu. Mówisz o rzekomym spisku i jakiejś armii, której nikt na oczy nie widział. Nie ganię cię, chcę tylko zrozumieć, co takiego zrobiła ci ta Mroczna Dziwka, że straciłeś kontakt z rzeczywistością. Wierz mi, że nie puszcę jej tego płazem i niebawem odpłaci ona za swoje zbrodnie i torturowanie mego syna. Nasza zemsta ją osiągnie.

- No z tymi torturami to... zbyt mocne słowa - odparł Bolesław, wspominając perwersyjną noc, gdy Lady Erzsébe odwiedziła go w więziennej komnacie. Na samą myśl o tym policzki młodego księcia przybrały kolor dojrzałego jabłka, a na ustach pojawił się tajemniczy półuśmiech. Trwał jednak krócej niż mrugnięcie powiek. - To fakt, że porwała się na mnie i nie powinno jej to ujść płazem, jednak... uważam, że ważniejsze od zemsty są losy całego księstwa, całego królestwa. Zemsta może poczekać, a wierz mi, drogi ojcze, że sam z przyjemnością wyrwałbym to lodowate serce z jej piersi. Dadzą bogowie, przyjdzie na to czas. Teraz są ważniejsze sprawy niż zemsta. Cóż nam po niej, gdy królestwo zaleje fala krwiożerczych fanatyków. Jak wtedy spojrzymy w oczy naszych przodków w Wiecznie Zielonej Krainie? Jak się wytłumaczymy dawnym królom, że woleliśmy myśleć o prywatnie, zatapiając cały kraj w szaleństwie? A bogowie? Czy oni nam wybaczą, jeśli ich świątynie zostaną zrównane z ziemią, a na ich zgliszczach wyrosną wizerunki przeklętego starca z długą brodą? Nie! Nie mogę do tego dopuścić. Wy nie możecie... - Bolesław przerwał i potoczył wzrokiem po twarzach obecnych. Jego twarz płonęła, a głos to rósł, to cichł. Już od dawna nie siedział, tylko przemierzał namiot drobnymi kroczkami, machając przy tym rękoma. Wyglądał niczym nawiedzony wieszcz, przepowiadający ponurą przyszłość. Przyszłość, która niechybnie stanie się faktem, jeśli teraz, w tym miejscu nie przekona siedzących przy stole mężczyzn do swych racji.

- Cóż więc proponujesz, panie? - spytał Pierwszy Wśród Szpiegów, którego umysł był tak nawykły do najohydniejszych spisków, że jako jedyny uwierzył w opowieść Bolesława.

- Proponuję wysłać posłańców do obozu Olkmunda i jasno przedstawić mu sytuację. Sam do niego pojedę. To roztropny człek, tylko z tego, co się dowiedziałem, opętany przez wdzięki Mrocznej Pani. Zaproponujmy mu trzydniowy rozejm, a w tym czasie roześlijmy szpiegów na wszystkie strony. - Bolesław nagle przerwał, a gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał inaczej. - Jest jeszcze jedna rzecz,

o której wam nie powiedziałem. Otóż... otóż możliwe, że miasto Kirań zostało zdobyte.

Ci, którzy powoli zaczęli przekonywać się do słów młodzieńca, zmienili swoje zdanie. Przez krótką chwilę nikt nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Mężczyźni jakby zamarli. Zaraz potem rozległ się gwar godny miejskiego targowiska.

- To niemożliwe!

- To bujdy!

- Wybaczcie, książę, ale w to nawet ja nie uwierzę.

- Dość! - ryknął nagle Jarogniew Stateczny, uderzając pięścią w stół, aż jedna noga lekko się ułamała.

Nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Słyszeć było tylko przyspieszone oddechy i dochodzący z zewnątrz gwar wojskowego obozowiska. Wielki Książę już miał zamiar zabrać głos, by pogrążyć nadzieję swego syna głęboko pod ziemią, gdy wtem do namiotu wpadł kolejny intruz. Był to nie kto inny, tylko nasz dzielny Broniwuj. Jego twarz zdobiły liczne sińce i świeże blizny, a ubranie było w wielu miejscach przedziurawione i poplamione zakrzepłą juchą. Oddychał ciężko, ledwo stał.

- Kirań... Kirań zdobyty - wycedził i runął jak długi, wprost pod stopy Wielkiego Księcia.

Wieczór powoli przemieniał się w noc. Słońce po ciężkiej pracy chyliło się za horyzont, by podobnie jak większość istot udać się na zasłużony odpoczynek. Przedtem jednak zatrzymało się nad krawędzią ziemi, zalewając świat czerwono-pomarańczową poświatą, która powodowała pełne zachwyty i wzdychania u co wrażliwszych osobników damskich, a nawet i męskich. Jednym z nich bynajmniej nie był książę Kriglandastanu - Olkmund Staloręki. Jego opanował zachwyty nad innym cudem natury. Cudem, którym wczorajszej nocy mógł się sycić do woli.

Ach, co to była za noc – wzdychał w myślach, delektując się wspomnieniem zaróżowionych sutków pięknej księżnej. Jeszcze raz przeżywał w myślach cudny smak jej ust, niebiański dotyk aksamitnej, mlecznobiałej skóry, zapach puszystych włosów. I tę niebywałą rozkosz, gdy zatopił w jej wilgotnym wnętrzu swą nabrzmiałą męskość. Dobrze pamiętał wygłodniały wyraz jej oczu, barwę głosu, gdy krzyczała mu do ucha niedające się powtórzyć słowa. Jej jęki i wzdychania, gdy gwałtownie się w niej poruszał. I nic go nie obchodziło, że jego rozkosz wiązała się ze śmiercią wielu dzielnych wojowników. Nieważne, że niebawem matki zaczną opłakiwać synów, synowie ojców, a żony mężów. Dla księżnej Magyoranu mógłby zrobić wszystko. Mógłby zabić i mógłby zginać.

Olmund zamknął na chwilę oczy i od razu w ciemności pojawiła się świetlista postać damy jego serca. Jak zawsze powabna, oiekająca kobiecością, zmysłowa. I tak jak ją ostatnio widział – ubrana jedynie w powietrze i własny wdzięk. Pewna część księżęcego ciała natychmiast zareagowała, wypychając mu spodnie.

Niech ten dzień się już skończy – pomyślał, nie mogąc doczekać się kolejnej upojnej nocy.

Tym razem jego życzenie nie miało się spełnić.

– Panie, przybyli posłowie od Wielkiego Księcia – rozległ się niski dźwięk dobywający się z ust pokracznego żołnierza, który stanął dwa kroki przed księciem.

– Co... mówiłeś coś? – spytał Olmund, wyrwany brutalnie z krainy marzeń. Na widok szpetnej mordy żołnierza jego czoło przybrało groźny wyraz. *To niemożliwe, żeby ci sami bogowie stworzyli coś tak wspaniałego jak moja pani i coś takiego jak ta tutaj maskara* – zdążył jeszcze pomyśleć, nim żołnierz odezwał się po raz wtóry.

– Panie, dobrze się czujecie?

– Mówiłeś coś?

– Tak, panie. Wybaczcie, że wam przeszkadzam, lecz przybyli posłowie od Wielkiego Księcia.

- A... posłowie. - Tym razem głos władcy zabrzmiał zwyczajnie, czyli szorstko i nieprzyjemnie. - A czegoż oni mogą chcieć? Może więcej mieczy? Widocznie te dwa, które im posłałem przed południem, nie wystarczą. He, he, he - zaśmiał się z własnego żartu książę. Żołnierz mu zawtórował - tak wydało mu się bezpiecznie.

- Nie wiem, panie - odezwał się, gdy książęce usta wróciły do poprzedniego położenia.

- Czego nie wiesz?

- Nie wiem, czego oni mogą chcieć.

- A, no tak. Hmm - zamyślił się Olkmund, u którego ciekawość walczyła z miłosną żądzą, a interesy księstwa z interesem własnego interesu.

Żołnierz zaczął się niecierpliwić. Zmienił punkt ciężkości z lewej nogi na prawą, później ponownie z prawej na lewą, aż w końcu stanął w lekkim rozkroku. Cisza przedłużała się, jednak wojak nie śmiał przeszkodzić swemu władcy w podejmowaniu decyzji.

- Przekaż im, że teraz nie mam czasu - zdecydował w końcu. - Porozmawiam z nimi jutro. Na polu bitwy.

- Jak rozkażecie, panie - wymruczał żołnierz, po czym ponownie zmienił punkt ciężkości na jedną z nóg i chrząknął z zakłopotaniem.

- Coś jeszcze? - warknął Olkmund i spiorunował go spojrzeniem.

- Tak, wasza miłość. Otóż... eee... powinniście wiedzieć, że to nie są zwykli posłowie.

- Przestań mi tutaj beczeć jak baran i mów po ludzku - zdenerwował się władca. - Jak to niezwykli? Mają trzy nogi i cztery ręce czy może, jak ty, rzyć w miejscu twarzy?

Ponownie krótki śmiech. Tym razem jednostronny.

- Nie, wasza wspaniałość. Przybył Bolesław, syn Wielkiego Księcia - wyrecytował nieborak jednym tchem i odetchnął z ulgą, jakby rzucił z serca wielki ciężar.

Olkmund wybałuszył ślepie.

- Co?! Żarty sobie ze mnie stroisz?!

- Nie, panie. Nie śmiałbym.

- Nie wątpię, że byś nie śmiał. Chcesz mi zatem powiedzieć, że zaginiony syn Jarogniewa Statecznego przybył do mojego obozu i prosi mnie o audiencję? Czy dobrze zrozumiałem?

- Tak, panie. Tak właśnie jest.

W jednej chwili Olkmund zapomniał o idealnie kształtnych piersiach swej kochanki, o jej cudownych nogach, słodkich ustach, mięsistych wargach, pachnących wiosną włosach i tych drugich włoskach - pachnących obietnicą niebiańskich rozkoszy. W tej samej chwili przestał być śliniącym się na widok cycków młokosem, a na powrót stał się mężem stanu - takim, jakiego w tej chwili potrzebowali jego poddani.

Gdy pojawił się w obszernym, sterczącym samotnie na niewielkim wzniesieniu namiocie, posłowie już czekali. Bez trudu poznał syna Jarogniewa Statecznego, od którego aż biła aura dostojności. Aż dziw bierze, gdy się pomyśli, w jakim stanie był nasz bohater na początku tej opowieści. No cóż... ludzie się zmieniają.

- Jak na nieboszczyka wyglądasz całkiem zdrowo, książę - zadrwił Olkmund. Stanął kilka kroków przed synem Jarogniewa i posłał mu ironiczne, pełne nienawiści spojrzenie.

- Pogłoski o mojej śmierci są stanowczo przesadzone, choć wiem, że wielu ludzi ubolewa z tego powodu - sparował Bolesław, siląc się na przyjacielski uśmiech, który jednak nie wywołał zamierzonego efektu.

- Nie dziwię im się. Czego ode mnie chcesz? Twój ojciec cię przysłał?

- Nie. Przyszedłem z własnej woli. Mam nadzieję, że zechcesz na chwilę zapomnieć o antagonizmach i raczysz mnie wysłuchać.

- Wysłuchać cię? Sądzę, że jest na to za późno.

- Na rozmowę nigdy nie jest za późno.

- Doprawdy nie wiem, czego ode mnie możesz chcieć... - wycedził ze złością Olkmund. - To raczej z Lady Erzsébe powinieneś pomówić, a nie ze mną.

- Z nią już uciałem sobie pogawędkę... jakiś czas temu. Teraz przychodzę do was, książę. Proszę cię tylko, byś mnie wysłuchał, a potem sam zdecydujesz, co czynić. Nie wymagam chyba zbyt wiele?

Olmund prychnął.

- Rozumiem, że Lady nie przyjęła twoich przeprosin i teraz postanowiłeś zwrócić się do mnie? - zakpił.

Tym razem to młodzieniec wyglądał na zdziwionego. Nabrał powietrze w usta i wydał policzki, tak że wyglądały one jak dwie bańki napełnione wodą. Po chwili wypuścił z nich powietrze i zapytał zdziwiony:

- Przeprosin?

- Tak, przeprosin - wybuchnął Olmund. - Przeprosin za te ohydne kalumnie, które wraz z ojcem, Jarogniewem Otyłym, rozpowiadaliście na jej temat. Sam dobrze wiesz, o co mi chodzi. I nie próbuj zaprzeczać. Dobrze was znam - ciebie i twego ojca.

- Niczego nie próbuję, lecz powinieneś poznać opinię obu stron, a nie tylko jednej. Lady Erzsébe jest niewątpliwie piękną niewiastą i nie dziwię się, że zawróciła ci w głowie, lecz nie wszystko jest takim, jakim się wydaje. Wiedźcie, że...

- Milcz! - ryknął nagle Olmund. Jego oczy zapłonęły żądzą morderstwa, lecz w jakiś sposób zdołał się opanować. Tylko prawa ręka bezwolnie skierowała się ku wiszącej u pasa broni. - Jak śmiesz do mnie przychodzić i obrażać tę niewinną, cudną istotę, która nawet muchy nie potrafiłaby skrzywdzić? Dobrze wiem, że chcecie zagarnąć jej ziemie dla siebie, ale wam się to nie uda. Nie, póki ja żyję. A teraz wynoś się. Rozmowa skończona.

- Sądzę, że powinieneś nasamprzód mnie wysłuchać, a później osądzać - rzekł Bolesław. Jego słowa trafiły jednak w próżnię. Olmund był nieugięty.

- Na to jest już za późno. Odejdź stąd, póki możesz. I nie nadwyreżaj mojej cierpliwości, bo każę cię pasami oćwiczyć i powiesić na najbliższym drzewie. I za nic będę miał, żeś poseł.

Bolesław westchnął zrezygnowany. Nie przypuszczał, że władca Kriglandastanu okaże się takim głupcem.

- Ona cię okłamuje, wasza miłość. Wysłuchaj mnie, proszę - spróbował raz jeszcze przemówić Olkmundowi do rozsądku, lecz było to niczym proszenie kurtyzany, by ponownie stała się dziewicą.

- Won! - ryknął Olkmund Staloręki zwierzęcym głosem. Jego kwadratowa szczeka wykrzywiła się w groteskowy sposób, sprawiając, że wyglądała niczym pysk rozjuszzonej niedźwiedzicy broniącej swych małych.

Bolesław nie zląkł się.

- Popęlniasz błąd - syknął, mierząc go pełnym smutku spojrzeniem. - Oślepią cię miłość i nie chcesz dojrzeć drugiego końca kija. Opamiętaj się, póki czas.

- Straż! Wyprowadzić ich stąd i wyrzucić na zgniły pysk!

- Popęlniasz błąd - powtórzył Bolesław, lecz nagle zamilkł, gdy ujrzał pięciu wartowników z halabardami skierowanymi ostrzami w swoją stronę. Jedna z nich dźgnęła go w plecy, zmuszając do zrobienia kroku w przód. Zdążył jeszcze odwrócić głowę i pełnym wściekłości głosem krzyknął w stronę księcia Kriglandastanu:

- Jesteś głupcem! Bardziej interesuje cię to znamię w kształcie krzyża, które ta dziwka ma na wewnętrznym prawym udzie, niż losy własnego kraju.

Ostatnie słowa Bolesława zamurowały Olkmunda. Jego przed chwilą czerwona ze złości twarz w jednej chwili zmieniła kolor na trupioblady. Oczy zwężyły się do drobnych szparek, a uniesiona do góry ręka zawisała nieruchomo w powietrzu.

- Stójcie - rozkazał strażnikom nie swoim głosem.

Strażnicy stanęli.

- Dziwisz się zapewne, skąd wiem o tym znamieniu - przemówił Bolesław, chcąc wykorzystać dogodny moment. - Otóż miałem okazję przyjrzeć mu się na własne oczy i wierz mi, że nie z własnej woli.

- Łżesz! - krzyknął Olkmund. W jego głosie nie było już takiej pewności jak przed kilkoma chwilami.

Strażnicy zamarli w niepewności. Nadal trzymali uniesione w stronę posłów ostrza broni. Bolesław zmierzył ich ostrzegawczym spojrzeniem i wydał z siebie krótki dźwięk, przypominający syk węża.

- Mówię prawdę. Sam widziałem to znamię. Widziałem wszystko, co kryje się pod jej szatami, i wierz mi, że sam się o to nie prosiłem. To ona mnie kazała porwać i to ona mnie zniewoliła, a potem zgwałciła.

- Nie wierzę ci. Nie mam pojęcia, skąd wiesz o tym znamieniu, lecz to o niczym nie świadczy - powiedział Olkmund na pozór spokojnie. W jego głosie czaiła się jednak dostrzegalna groźba.

- A jednak. Mogę ci zdradzić także inne szczegóły, których nie powinienem znać. Ot choćby opisać ze szczegółami zamek Magyoranu, potworne malowidła wiszące na korytarzach, wyschniętą fontannę na środku izby tronowej, stojącą na dziedzińcu szubienicę. Byłem tam i mogę to udowodnić. Każ wziąć na języki kogoś ze świty Lady Erzsébe, a przekonasz się, że mówię prawdę. Jest jeszcze jej osobista służąca, młoda dziewczynka chodząca w obroży niczym jakaś suka. Po prawdzie to jest suką swej pani i robi takie rzeczy, o których byś nawet nie pomyślał. Ma plecy całe w bliznach i ucięty jeden z palców u lewej stopy. Łatwo to sprawdzić. Zresztą myślisz, że gdybym kłamał, przyszedłbym tutaj i ryzykował własnym życiem? Po co? By błagać ze strachu o pokój? Nie bądźmy śmieszni. Sam widziałeś, jaką potężną armią dysponuje mój ojciec. - Młodzieniec zrobił krótką przerwę na złapanie oddechu, po czym ponownie wystrzelił setkami słów w coraz bardziej stropionego adwersarza: - Wiadomo wszak, żeś znakomitym wodzem, i nikt nie umniejsza twojej sławy wojownika, lecz nawet najznakomitsi wodzowie mogą czasem ulec przeważającej sile wroga. Czy narazisz swe księstwo na ryzyko porażki, czy może lepiej poświęcisz mi kilka chwil i wysłuchasz, co mam do powiedzenia? Obydwaj możemy na tym skorzystać. A jeśli cię nie przekonam, to możesz mnie nawet zabić. Nie zależy mi na życiu. Nie na takim, jakie może nas niebawem czekać.

Książę Kriglandastanu wciąż dygotał ze wściekłości. Długie paznokcie zaciśniętych w pięść palców wbijały się mocno w jego skórę, a zęby aż zgrzytały, ocierając się o siebie. Opanował jednak swój gniew i przemówił, powoli wymawiając słowa:

- Niech ci będzie. Mów, czego chcesz, tylko się streszczaj. Nie zamierzam spędzić całej nocy na wysłuchiwaniu bzdur.

Bolesław starał się nie okazać ulgi. Rozluźnił spięte mięśnie i uspokoił oddech. Zastanawia się, od czego powinien zacząć, lecz miał mętlik w głowie. Tym bardziej że cały czas czuł na sobie przenikające go spojrzenie pary stalowoszarych oczu.

- Nie przybyłem do was, książę, szukać sprawiedliwości, zemsty czy błagać o pokój - zaczął, starannie dobierając słowa. - To, co się stało, jest teraz najmniej ważne. Każdy z nas padł ofiarą intryg i knucia. Mamy dużo poważniejszy problem, o którym chciałbym ci powiedzieć. To jest prawdziwy cel mej wizyty.

- Czy powiesz mi wreszcie, o co ci chodzi, czy będziesz się bawił ze mną jak kot z myszą? - zdenerwował się Olkmund. - Mam mało czasu, obowiązki mnie wzywają.

- Płynie w nas ta sama krew - kontynuował niezrażony Bolesław, puszczając słowa rozmówcy mimo uszu. - Niegdyś byliśmy jak bracia, wspieraliśmy się nawzajem, a teraz stajemy do bratobójczej walki. Jesteśmy...

- Zaczynam tracić cierpliwość - ostrzegł Olkmund. - A co do wojny, to twój ojciec ją rozpętał, nie ja.

- Och, to nie ma znaczenia. Mój ojciec miał po temu swoje powody, ale nie o tym chciałem mówić. Przez całe tysiąclecia żaden zewnętrzny wróg nie zdołał nas pokonać. Byliśmy silni, a teraz? Teraz skaczymy sobie do gardeł niczym sfora wygłodniałych kundli. Nasi wrogowie tylko czekają, aż się pozagryzamy, a wtedy będą mogli rozszarpać nasze truchła i zająć ziemię naszych praojców. Oto właśnie im chodzi. To oni stoją za tym wszystkim. Zastawili na nas pułapkę i tylko od was, książę, zależy, czy w nią wpadniemy.

Te dziwaczne słowa zainteresowały Olkmunda na tyle, że po raz pierwszy od początku tej niezapowiedzianej wizyty zadumał się na dłużej. Schował w kąt ledwo tłumione emocje i wreszcie ruszył głową – tą właściwą, ulokowaną na szyi.

- Chcesz powiedzieć, że komuś zależy na naszej wojnie? Komuś z zewnątrz?

- Dokładnie tak. I nie tylko zależy na wojnie, ale jeszcze nas umiejętnie do niej poprowadził. Księżna Erzsébe była tylko pionkiem w jego rękach. Niezdającym sobie z niczego sprawy pionkiem.

- Czyżbyś miał na myśli Helmundów? – spytał Olkmund z pewnym powątpiewaniem.

- Nie. Kogoś znacznie groźniejszego. Słyszałeś kiedyś, książę, o Szymonie Magu i jego wyznawcach?

Olkmund pokiwał głową. Imię Jedyne Boga nie raz obito mu się o uszy, była to jednak wiedza powierzchowna. Książę Kriglandastanu nigdy nie przejawiał nadmiernej fascynacji barbarzyńską kulturą, a wszystko, co obce, uważał za niewarte uwagi.

- Owszem, słyszałem. Słyszałem także o pewnym hardym następcy tronu, który do tego stopnia nadwyreżył mą cierpliwość, że kazałem go powiesić na najbliższym drzewie. Coś ci to mówi?

Młodzieniec ponownie puścił groźbę mimo uszu i znów wyruszył w słowną podróż po odległych czasach, dalekich krainach i bliskich im spiskach. Dwoił się i troił, aby nadać zdaniom odpowiednią nutkę dramatyzmu. Co rusz robił krótkie pauzy, zmieniał tembr głosu, przyśpieszał i zwalniał. Wczuł się do tego stopnia, że nie widział coraz bardziej zniecierpliwionej miny Olkmunda. Starszy władca kręcił oczyma, wzdychał ciężko i parskał wargami. Stojący tuż za nim strażnicy lekko się uśmiechali. Tylko sir Drazdan pozostał nieporuszony. Stał prosto jak dąb, patrząc spode łba na wrogich wojów. W jego oczach czaiła się tęsknota za swym ukochanym toporem, który musiał zostawić przed namiotem. Jednak nawet bez broni był szalenie niebezpieczny.

W końcu młodzieniec skończył. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Bolesław otarł rękawem pot z czoła i wstrzymał oddech, oczekując z niecierpliwością na reakcję Olkmunda. I się jej doczekał. Twarz księcia Kriglandastanu stężała, a oczy zrobiły się wielkie niczym dwa dukaty. Światelko nadziei zaświeciło w sercu młodzieńca.

Na próżno.

- I ty chcesz, bym w to uwierzył? - warknął władca drugiego najpotężniejszego księstwa dawnego królestwa. - W życiu nie słyszałem większych bzdur. Do tej pory myślałem, żeś wraz z twym ojcem wymyślił to całe porwanie, by mieć pretekst do wszczęcia wojny. Teraz widzę, żeś postradał zmysły. A może strach was obleciał na widok mego wojska i na poczekaniu wymyśliliście tę bajeczkę? To bardzo możliwe. Wszak nie raz wasi przodkowie pokazywali, że za nic mają honor i męstwo. A teraz won z mych oczu. Już zbyt dużo czasu zmitrężyłem na te bzdury.

- O honorze prawisz? - wściekł się Bolesław, któremu oczy nagle zasły czerwoną mgłą. Iskra daru zaczęła wyrwać się na zewnątrz i młodzieniec bał się, że lada chwila straci nad nią kontrolę. A wtedy... wtedy jeno bogowie wiedzą, co się może stać. - Ty, który dla tej krwiożerczej dziwki narażasz na szwank życie tysięcy poddanych, śmiesz mi mówić o honorze. Ty... - W ostatniej chwili młodzieniec ugryzł się w język i jakimś cudem zdołał opanować rozlewającą się w nim rzekę złości. Wiedział, że gdyby powiedział o jedno słowo za dużo, gdyby wspomniał o pogłoskach dotyczących nie do końca naturalnej śmierci ojca Olkmunda, cały jego wysiłek poszedłby na marne. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęły. Iskra jakby trochę się uspokoiła, lecz nadal była bliska eksplozji.

- Skończyłem rozmowę - wycedził chłodno Olkmund. - Straż! Wyprowadzić ich poza obszar obozu. Jak będą czegoś próbowali, zabijcie ich.

Bolesław ciężko westchnął. Krople potu perliły się na jego czole, a serce biło ponury takt uciekającej nadziei. Ostatniej nadziei na ratunek.

- Jak sobie chcesz. Wiedz tylko, że to ty w pełni poniesiesz odpowiedzialność za to, co się wydarzy. Osądzi cię historia i nasi przodkowie w wiecznie zielonej Nawii.

Strażnicy już pochwycili go za ręce. Ostrze halabardy ponownie dotknęło jego krzyża.

Wybaczcie mi bogowie, próbowałem - pomyślał Bolesław. Nagle czerwona mgła zasnuła mu oczy, a iskra magii wyrwała się z cielesnych okowów. Już miała uformować się w śmiercionośny pocisk, gdy Bolesław usłyszał tubalny głos swego przyjaciela, Drazdana:

- Breslang! Tam szukajcie wroga!

Przez krótką chwilę wszyscy znieruchomieli, zaskoczeni olbrzymią siłą głosu dobywającego się z ust przypominającego koszmar olbrzyma. Tylko Bolesław nie stracił rezonu. Wyrwał się strażnikom i przypadł w dwóch krokach do Olkmunda.

- On ma rację. Czy nie zastanowiło cię, co się teraz dzieje z Breslangiem? Mniemam, iż wysłałeś do Brurgrunda Moźnowładcy posłów, by pozyskać go na swoją stronę. Co się z nimi stało? Wrócili z odpowiedzią czy może zaginęli? Odpowiedz mi.

Olkmund zawahał się. Po jego twarzy przemknęły ledwo widoczne chmurki wątpliwości. Dwóch strażników natychmiast rzuciło się na młodzieńca, lecz nim zdążyli go dopaść, dosięgnęły ich długie ręce Drazdana.

- Stójcie! - krzyknął Olkmund, widząc, że zaraz dojdzie do bójki. Jeden z wartowników wstał z ziemi i otarł lecącą z nosa krew. Spojrzał z nienawiścią na olbrzyma i podniósł upuszczoną broń. Nie śmiał się jednak sprzeciwić rozkazowi swego władcy.

- Co wiesz o Breslangu? - spytał księżę Kriglandastanu. Na jego twarzy widać było znużenie przedłużającą się audiencją, lecz ciekawość zwyciężyła.

- Czy mówi ci coś nazwisko Hamil al-Kataraj?

- Nic mi nie mówi. Czy ma on jakiś związek z księciem Brurgrundem?

- Owszem, ma. Jest to wysoko postawiony członek Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga - elity wśród symonitów. Przybył na dwór w Breslangu tuż przed śmiercią żony Brurgrunda i w ciągu paru lat stał się najbardziej zaufanym doradcą księcia. Według szpiegów mego ojca to on faktycznie zarządza od wielu lat księstwem, dbając o interesy symonitów i przygotowując grunt pod przyszłą inwazję. Nie wiadomo, czy Brurgrund jeszcze żyje, lecz przypuszczam, że nie. Ważniejsze jest, że w Breslangu ukrywa się armia Szymona, która tylko czeka, aż się nawzajem powybijamy. - Bolesław zawiesił na chwilę głos. - Proszę was tylko o kilka dni zwłoki, książę. To niewiele w porównaniu z życiem tysięcy ludzi. Przynajmniej, że to nie żaden podstęp z naszej strony.

Olmund wciąż milczał, patrząc z wyraźną niechęcią na młodzieńca.

- Nie chciałem ci tego wcześniej mówić, lecz ich inwazja już się zaczęła - kontynuował młodzieniec. - Wczoraj dotarły do nas wieści, że gdy tylko wojska mego ojca opuściły Kirań, miasto zostało zdobyte. Moje miasto, stolica Ziemi Warszzyckiej. Wyślij tam gońców, a sam się przekonasz, że mówię prawdę. W przeciwnym razie będziesz miał na rękach krew tysięcy niewinnych ludzi, a pamięć o naszych bogach na zawsze przeminie, pokonana przez jakiegoś słabego bożka. Trzy dni, tylko o tyle cię proszę. - Głos młodzieńca przybrał błagalny ton, a oczy wlepiły się z nadzieją w zimne ślepia Olkmunda.

- Mam takie wrażenie, że starasz się mydląc mi oczy, by zyskać na czasie - odezwał się po krótkiej chwili Olmund. - A jeśli rzeczywiście Kirań został zdobyty, to nie jest to mój problem. Wręcz przeciwnie, to wspaniała nowina. Oby tylko była prawdziwa.

- Niestety to prawda. Jednak nie powinieneś się cieszyć. Twoje ziemie prędzej czy później spotka ten sam los. I tylko my możemy ci pomóc, a ty nam. Daję ci książęce słowo honoru, że to wszystko prawda - zapewnił skwapliwie młodzieniec, kładąc prawicę na sercu.

- Słowo honoru! - Olmund roześmiał się. - Wybacz, ale to za mało.

- Jeśli ci to nie wystarczy, weź mnie jako zakładnika. Możesz mnie związać, więzić, głodzić, a nawet zabić. Cokolwiek, lecz, na miłość bogów, uwierz mi. Wyślij żołnierzy lub szpiegów, niech udowodnią, że mówię prawdę. Tylko od twojej decyzji zależy los nas wszystkich. Pomyśl o twym synu, który może niebawem stać się czyimś niewolnikiem. Takiego losu dla niego pragniesz?

Kolejny raz w obszernym namiocie, na środku którego leżała niedźwiedzia skóra, a w kątach znajdowały się stojaki z ozdobną bronią, zapadła pełna napięcia cisza. Bolesław zacisnął zęby i w pełnym skupieniu czekał na reakcję księcia. Żołnierze wciąż trzymali wymierzone w posłów halabardy i w skupieniu przysłuchiwali się rozmowie możliwych tego świata. Ich twarze pozostały niewzruszone, jednak oczy z niepokojem przeskakiwały od jednego księcia do drugiego. Ciężkie oddechy mieszały się ze sobą, zwiększając duchotę w pomieszczeniu. I tylko Drazdan zdawał się całkowicie obojętny. Wpatrywał się w swego podopiecznego z miłością, dziękując bogom za jego ocalenie.

Bolesław odwiedził go wczorajszej nocy, gdy zmęczony całodziennymi przygotowaniem do bitwy olbrzym zamierzał wreszcie położyć się spać. W pierwszej chwili Drazdan pomyślał, że trawiąca go po ranie gorączka ponownie zaatakowała jego zmysł wzroku. Później spojrzał na trzymany w ręku pusty kielich po mocnym kurdulańskim i błysk zrozumienia rozjaśnił jego czoło.

Mocne to wino - pomyślał, lecz nagle dziwaczna zjawia rzuciła się na niego z impetem, wytrąciła naczynie z dłoni i zamknęła w mocarnym uścisku.

- Witaj, przyjacielu - zawołał Bolesław, uświadamiając samozwańczemu rycerzowi, że to nie sen ani zjawia.

Wróćmy jednak do Olkmunda. Otóż władca Kriglandastanu splótł ręce za plecami i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Myślał. Myślała także Piękna Pani, która właśnie zbliżała się do jego namiotu. Ubrana była w sięgającą do ziemi białą suknię z falbankami, która

podkreślała jej smukłą kibić, a jej stopy zdobiły złociste pantofelki, które z trudem brnęły przez zabłoconą ziemię.

Biel będzie idealna – pomyślała ze śmiechem kilka chwil temu, gdy jej osobista służka pomagała jej się ubrać. – *To przecież kolor niewinności, a czyż jest bardziej niewinne dziewczę ode mnie? Chyba nie.*

Jej wyśmienity humor zaczął jednak wyparowywać z każdym kolejnym krokiem, który przybliżał ją do swego rycerza w nie tak lśniącej zbroi. Rycerza, który w coraz większym stopniu przyprawiał ją o mdłości. Lady musiała wzbijać się na wyżyny swych aktorskich umiejętności, by ukryć rosnącą w niej odrazę. Za każdym razem, gdy jego sine usta zbliżały się do jej warg, czuła odruchy wymiotne. Za każdym razem, gdy jego oślizgły jęzor wślizgiwał się niczym robal w jej delikatne usta, czuła, jakby ktoś przesunął rozżarzoną żelazem po jej plecach. A gdy jego paskudne dłonie rozchyłały jej mlecznobiałe uda, by wsunąć między nie marną imitację męskiego przyrodzenia, czuła, jakby kąpała się w wannie pełnej odchodów. Nienawidziła wspólnych chwil, lecz nie miała wyboru. Wiedziała, że ten błazen, wyglądający jak skrzyżowanie wystraszonej żaby ze srającym kotem, jest jej jedyną nadzieją na przetrwanie.

Piękna Pani minęła strażników stojących przed namiotem Olkmunda. Uśmiechnęła się do nich wdzięcznie, poprawiła ostatni raz fryzurę i, przybierając słodką minę bezbronnej księżniczki, wkroczyła w półmrok namiotu.

Już z dala rozpoznała chrapliwy głos swego kochanka od siedmiu boleści. Tym razem brzmiał prawie po męsku. Nie jak w momentach, gdy, siląc się na czułość, szeptał jej niewyszukane komplementy, które opiewały jej nieziemską urodę. Nagle usłyszała podekscytowany głos innego mężczyzny – głos, który niemal zmroził jej krew w żyłach.

Nie, to niemożliwe – uspokoiła się i odważnie ruszyła przed siebie, kołysząc przy tym biodrami. Wyglądała niczym istna bogini albo raczej femme fatale.

- Witaj, Olkmundzie - zapiszczała wdzięcznie. - Nie wiedziałam, że masz gości.

- Owszem, mam - odparł Olkmund, przypatrując się uważnie jej twarzy. - Jeden z nich mówi, że cię zna.

- Doprawdy? - odrzekła Piękna Pani, trzepocząc fluternie rzęsami okrywającymi błękitne niczym bezchmurne niebo oczka. Gdzieś głęboko w sercu zaczęła odczuwać rosnący niepokój.

Stojący tyłem do niej mężczyzna odwrócił się.

Lady zadrżała. W jednej chwili oblał ją zimny pot. Krew odpłynęła jej z twarzy, a serce zamarło w bezruchu. Wtem poczuła na sobie przenikliwe spojrzenia sześciu par oczu. Próbowwała zapanować nad sobą, lecz nagle ziemia zakręciła się pod jej stopami, a w namiocie zabrakło powietrza.

- Duszno mi - wyszeptała, po czym runęła bezwładnie na ziemię.

- Chyba zobaczyła ducha - zakpił Bolesław, lecz szybko umilkł, ujrawszy upiorny wyraz twarzy Olkmunda.

- Zanieście ją do jej komnaty - rozkazał książę Kriglandastanu po naprawdę długiej chwili. Jego głos brzmiał tak, jakby przed chwilą zjadł kilogram szpinaku i popił krwią zdechłego szczura. Zaraz potem odwrócił się do Bolesława i powiedział to, na co ten tak bardzo czekał: - Masz trzy dni, książę. Jeśli okaże się, że kłamiesz, zginiesz w męczarniach.

Rozdział 6

Był słoneczny dzień. Jeden z tych, o jakich się marzy podczas długich miesięcy zimowej udręki. Wiosna w pełni swej krasy przechadzała się po rozdygotanej krainie, rozdając na lewo i prawo utkane z kwiatów buziaki. A mimo to nikt się nie cieszył. Nikt nie wystawiał twarzy do nieba w oczekiwaniu na delikatny pocałunek słonecznych promieni. Nikt nie skakał do góry, nie śpiewał, nie tańczył, nie śmiał się. Cudowny zapach wiosny zakłócał strach, gniew i niepokój.

- Do kroćset piekieł - ryknął Kwizdyń Gładkolicy.

Kilkoro żołnierzy skuliło się w sobie. Inni niemal przestali oddychać. Tylko siwowłosa giermek jęknął z bólu, gdy ciężka pięść seneszala wylądowała na jego splocie słonecznym.

- A ty gdzie mi się tu pętasz pod nogami, kurwi synu? Won stąd! - zrugął go zakonnik, po czym powiódł wzrokiem dookoła. I wreszcie na jego twarzy pojawiła się namiastka uśmiechu.

Z obłoku kurzu, który wzbił się na dziedzińcu i niczym wielka peleryna zatopił świat w krztuszącej duszności, wyłonił się samotny jeździec. Koń, na którym siedział, nieporadnie przebierał kopytami, co rusz się potykając. Z jego pyska biły kłęby pary oraz strużki białej piany. Sam jeździec nie wyglądał lepiej - widać było, że długa droga za nim. Mimo to starał się wyglądać dumnie i dostojnie, jak przystało na brata najświętszego z zakonów. Podjechał nieśpiesznie do Kwizdynia, obdarzając przy okazji kilku niezbyt rozgarniętych symonitów pieścizotliwym dotykiem bata, i zeskoczył z końskiego

grzbietu. Oddychał ciężko, słał się na nogach, ledwo widział na oczy, lecz błysk w jego oczach świadczył o tym, że nie na darmo znosił wszelakie trudy i niewygody.

Stojący na placu mężczyźni przełamali strach przed bratem Kwizdyniem i ostrożnie otoczyli przybyłego, by usłyszeć najnowsze wieści. Brat Hunold podał mu bukłak z wodą, który ten opróżnił w kilku łykach. Wytarł usta rękawem, splunął na ziemię i pozdrowił gestem seneszala.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał Kwizdyń Gładkolicy, wyginając nerwowo palce u dłoni.

- A jakże - odparł zapytany takim tonem, jakby odpowiedź na tak oczywiste pytanie uwłaczała jego godności. - Wieści nie są zbyt...

- Nie tutaj - przerwał mu ostro dowódca najeźdźczej armii. - Chodź za mną. Tam spokojnie porozmawiamy, bo już nie mogę patrzeć na te pijackie ryje.

Pijackie ryje nie kryły rozczarowania i wydobyły z siebie jeden wielki jęk zawodu. Niektóre spojrzały po sobie z wyraźnym rozczarowaniem, lecz żaden nie zdobył się na jakikolwiek protest. Tylko stojący z boku Yves pokręcił sceptycznie głową i westchnął ciężko. Zaraz jednak ponownie skierował wzrok na wbite na pal ciało czcigodnego Baw Oqrtha, obserwując z zaciekawieniem, jak dwa kruki kłóć się ze sobą o pierwszeństwo wydlubania drugiego oka.

- Smacznego - szepnął w ich kierunku i udał się za potrzebą.

Kwizdyń Gładkolicy wraz z nowo przybyłym bratem Kritzem przemierzyli dziedziniec, minęli grube dębowe drzwi i ruszyli schodami w górę. Żaden z nich nie wypowiedział ani jednego słowa. Seneszał sprawnie pokonywał kolejne stopnie, nie bacząc na dochodzące z tyłu sapanie spoconego szpiega. W końcu znaleźli się na miejscu. Kwizdyń otworzył drzwi i wkroczył do zajmowanego niegdyś przez Wielkiego Księcia gabinetu.

Obecnie pomieszczenie wyglądało inaczej. Zniknęły olejne obrazy, drogocenne rzeźby i stosy najróżniejszych ksiąg. Zostało tylko

toporne biurko, na którego blacie leżała rozłożona mapa Pięciu Księstw.

Seneszał wskazał Kritzowi krzesło, a sam zajął miejsce na wygodnym fotelu obitym skórą hipopotama. Założył nogę na nogę, przeczesał dłonią włosy i spojrzał znacząco na rozmówcę.

- Mam nadzieję, że to dobre wieści - odezwał się suchym tonem. - Bo złych mam ostatnio na pęczki. Mój kochany braciszek, oby szczeł w płomieniach, poinformował mnie dziś, że wstrzymuje dalsze dostawy wojska i sprzętu. Podobno w jednej z naszych najnowszych prowincji zaczął się bunt i musiał tam wysłać siły porządkowe. I to moim, kurwa, kosztem. Oznacza to, ni mniej, ni więcej, że zostaliśmy z tym, co tutaj mamy. Czyli z tą bandą obszczymurów i piwożłopów, którzy jedynie palić, gwałcić i mordować bezbronnych potrafią. Jest też kilku rycerzy zakonu, ale to tylko kropla w morzu naszych potrzeb. No ale nie o tym chciałem rozmawiać. Mówicie, co za wieści przynosicie.

Brat Kritz zagryzł wargi i odczekał kilka dłużeńych się chwil, nim odważył się zabrać głos.

- To tylko plotki, bracie seneszalu. Nic pewnego, jednak w obozie tego grubego poganina każdy o tym trąbi.

- O czym?

- O Bolesławie, jego synu. Ponoć się odnalazł.

Brat Kwizdyń zazgrzytał zębami.

- Co to znaczy „ponoć”?

- To znaczy, że go na oczy nie widział, lecz ludziska tak powiadają. Po mojemu to prawda. Ponoć pojawił się w namiocie Wielkiego Księcia podczas wojennej narady. Tak nagle, jakby wyrósł spod ziemi. A wygląda niczym sam bóg wojny. To znaczy wygląda strasznie. Jest wysoki, szczupły, lecz potężny, a jego oczy goreją blaskiem. Ludziska powiadają, że ma moc, choć w to bym nie wierzył. Sam wiesz, bracie, jak ludziska potrafią gadać. A w szczególności te heretyckie ścierwa. Wystarczy, że czegoś nie rozumieją, a już upatrują w tym działania sił nadprzyrodzonych. Ech, dużo czasu

upłynie, nim wyplewimy z ich głów te zabobony. Ogniem i mieczem. No ale wracając do tematu, ten cały Bolesław udał się z poselstwem do księcia Olkmunda. O czym gadali, nie wiem. Wiem tylko, że ustalili trzydniowy rozejm, a Olkmund kazał ponadto wysłać swych szpiegów na wszystkie strony. Do Kirania i Breslangu także. A to oznacza, ni mniej, ni więcej, że prawdopodobnie zostaliśmy, no ten... rozpracowali nasz plan po prostu.

W miarę jak kolejne słowa spływały z ust szpiega, oczy brata Kwizdynia stawały się coraz mniejsze. W końcu przypominały dwa ziarenka maku. Twarz także nie zdołała oprzeć się apokaliptycznym wieściom i w jednej chwili postarzała się o dziesięć lat. I tylko usta pozostały niezmienione, jakby nie były pewne, czy wykrzywić się ze strachu, czy uśmiechnąć do złej gry.

- Wiedziałem, że ten przeklęty młokos sprawi nam problemy - odezwał się po jakimś czasie. - Sprowadź do mnie natychmiast brata Yvesa oraz Hamila al-Kataraja. Mamy mało czasu. Musimy niebawem wyruszyć.

- Jak rozkażesz, bracie seneszalu - odparł szpieg. Powoli podniósł swe umęczone, wyglądające jak dorodny pączek ciało, kiwnął równie okrągłą głową, odwrócił się i rąbnął czołem w otwierane z zewnątrz drzwi. Przeklął siarczyście, a jego złość została dodatkowo spotęgowana przez rubaszny śmiech Kwizdynia, którego ta sytuacja nader rozbawiła. Zaraz jednak seneszał spoważniał i łypnął srodze na młodego gwardzistę, który właśnie pojawił się w drzwiach. Ten zaś wydusił niemrawe przeprosiny i zapomniawszy nawet o zwyczajowym salucie, zaczął kwokać niczym kokoszka na wiejskim targu.

- Szł... szłapaliśmy dwóch szpiegów, bracie Kwizdynie. Kręszili się blisko murów i na... nasze strasze ich zau..... zobaczyli.

Była to pierwsza pozytywna wiadomość tego parszywego dnia. Smętne usta Kwizdynia rozjaśnił drapieżny uśmiech.

- Prowadź do nich - rozkazał krótko i na temat.

Dopiero teraz gwardzista posłusznie zasalutował, odwrócił się i zniknął za drzwiami. Dwaj zakonnicy ruszyli za nim. Znaleźli się

w długim, przyciemnionym korytarzu o białych ścianach pokrytych licznymi krwawymi plamami. W paru miejscach na ciemnozielonym dywanie widać było nieuprzątnięte części ludzkich ciał - wyraźny dowód masakry, która odbyła się tutaj kilka dni temu. Mężczyźni nie zwrócili na to uwagi. Szli szybkim krokiem, aż dotarli do marmurowych schodów prowadzących wprost do obszernej sali. Tutaj panorama była jeszcze bardziej makabryczna. Krwawe smugi ciągnęły się po marmurowej posadzce, na której tułały się kawałki rozbitego gipsu, marmuru, szkła i alabastru. Pełne malarskiego kunsztu portrety dawnych królów zostały pocięte na kawałki, a ich strzępy zwisały bezładnie ze ścian, świadcząc o upadku królewskiego rodu. Gdzieś leżała czyjaś noga, ręka, odcięte ucho, kawałek nosa, a nawet damska pierś z odgryzionym sutkiem. A wśród nich porozrzucane w nieładzie gołe miecze, złamane tarcze, kawałki zbroi, damskiego odzienia.

- A niech to! - krzyknął z niesmakiem Kwizdyń Gładkolicy, gdy jego stopa zahaczyła o leżącą na ziemi pustą beczkę po winie. - Niech ktoś, do tysiąca piekieł, uprzątnie ten bałagan. Przejść się nie da.

Stojący żołnierze natychmiast zerwali się z miejsc, słysząc głos dowódcy. Wyprężyli piersi i zaszalutowali, przykładając pięści do serca.

- Tak jest, bracie seneszału - odpowiedzieli jednych chórem. Jednak gdy tylko Kwizdyń zniknął z zasięgu ich wzroku, powrócili do swoich zajęć. Część położyła się na umorusanej posadzce, część wyjęła karty, a jeszcze inni wyciągnęli schowane bukłaki, by ponownie uraczyć się wyśmienitymi trunkami, w które nie tak dawno temu obfitowały piwnice pałacu. Zbyt wyśmienitymi jak na ich chamskie gardła.

Brat Kwizdyń wraz z idącym na przedzie żołnierzem oraz podążającym z tyłu Kritzem wyszli na obszerny dziedziniec. To tutaj w dawnych czasach odbywały się wspaniałe turnieje rycerskie, o których opowiadano z wypiekami na twarzy przez kilka następnych pokoleń. Pamięć jednak swoimi chadza ścieżkami i kto wie, czy za sto

lat ktoś jeszcze wspomni o dzielnym Zatopcu Białym, który siał strach wśród najdzielniejszych rycerzy Pięciu Księstw? Albo o karłowatym Rochu z Myślenic, co to, jak wieść niesie, pojawił się swego czasu w pordzewiałej zbroi, aby stanąć w szranki z kwiatem rycerstwa, i od razu zyskał miłość gminu, gdy w pierwszej gonitwie skruszył kopię na niecieszącym się sympatią plebsu zarozumiałym, nadętym jak balon i olbrzymim niczym główny posąg Peruna Makwardzie Mocarnym? Ech... cóż to były za czasy.

Obecnie dziedziniec w niczym nie przypominał minionej chwały. Ledwo dowodzący zwycięską armią brat Kwizdyń pojawił się na nim, w jego nozdrza uderzył smród spalonych ciał, wymieszany z odorem szczyń, kału i wymiocin. Wszędzie dookoła leżeli upojeni niedawnym zwycięstwem wojacy, wylegując się w wiosennych promieniach słońca. Ktoś śpiewał, ktoś tańczył, ktoś rzygał. Nie zabrakło także drobnych utarczek i porządnego mordobicia – wiadomo wszak, że gdzie gorzałki wiele, tam i krew gorętsza. Gdzieś z boku mignął rudy kocur. Zatrzymał się na chwilę, przekręcił swój drobny pyszczek i łypnął pionowymi szparkami na brata Kritza. Szukał nieborak swej pani, lecz jej już dawno wśród żywych nie było.

- Trzeba tu zrobić porządek – mruknął zniesmaczony Kwizdyń i pokręcił nosem. - I niech ta swołocz się ruszy. Bitwa już dawno się skończyła, a ci nadal świętują, psia ich mać. Co za bydło. Gdybym zamiast nich miał braci zakonnych, nawet przez chwilę nie obawiałbym się o wynik bitwy. A tak... ci wszarze jedynie chlać i gwałcić umieją. I takich to mi mój kochany braciszek przysyła psubratów i żąda, bym podbił Pięć Księstw. Ech, to ci los.

Gdy to mówił, leżący żołdacy zauważyli jego obecność. Dziedziniec w jednej chwili opustoszał. Pozostały tylko nadpalone trupy kobiet, dzieci i nielicznych mężczyzn, którzy zostali w pałacu. Gdzieniegdzie leżeli także pijani symonici, którzy nie byli w stanie uciec przed gniewem zakonnika. A wśród nich grasowały wszystkożerne szczury upajające się przeraźliwym smrodem i wszędobylskim żarciem. Jeden właśnie przemykał po stopie

uwalonego we własnych rzygowinach dziesiętnika. Zwierzak zatrzymał się nagle i poruszył kilkakrotnie przypominającym małą kropkę nosem. Nagle pisnął i zerwał się do ucieczki, jakby ktoś przypalał go pochodnią.

Trójka symonitów znalazła się przy krętych wąskich schodach, wykutych nieudolnie w wapiennej skale.

- Gdzie ty mnie prowadzisz? - warknął Kwizdyń do struchlałego żołnierza.

- Na dole, panie, są lochy - odparł żołnierz i ostrożnie postawił prawą nogę na nawierzchni. - Trza uważać, bo szlisko jak diabli. A i poręcz ledwo się trzyma.

Brat Kwizdyń zmiął w ustach przekleństwo, natomiast idący na końcu Kritz przyjrzał się uważnie ścieżce. Na jego twarzy pojawił się psotny uśmieszek, tak jakby właśnie wpadł na kolejny diabelski pomysł.

Schody ciągnęły się w nieskończoność. Mężczyźni stawiali ostrożnie stopy, posuwając się powoli, jakby schodzili do samych piekieł. W rzeczywistości to, co znajdowało się u kresu ich drogi, było gorsze od piekielnych czeluści. Gorsze od wszystkiego, z czym do tej pory zetknął się Kwizdyń Gładkolicy. Gorsze nawet od jego teściowej, co już było wyróżnieniem samym w sobie - takiej bowiem hetery jak matka jego zmarłej przy połogu żony próżno szukać nawet wśród najgorszych koszmarów świata.

Im dłużej schodzili, tym czuć było w powietrzu coraz bardziej namacalny ból. Ból, strach, brak nadziei i górujący nad wszystkim zapach hulającej śmierci. Nawet idący z tyłu Kritz poczuł się niepewnie. Zdawało mu się, że słyszy dobiegające z dołu wycie potępionych dusz, lecz to tylko wiatr tak smętnie zawodził. Prowadzący żołnierz zwolnił i rozejrzał się niepewnie dookoła. On też coś słyszał, lecz za nic w świecie nie chciał okazać krępującego go strachu. Jedynie dowódca szedł niewzruszenie, klnąc w myślach swego brata i bandę piwożłopów, z którymi miał podbić Pięć Księstw. Nim się zorientował, stanął przed wykutym w skale otworem, który

prowadził do przesiąkniętych wilgocią lochów. Tutaj smród był jeszcze ostrzejszy, niemal zwalający z nóg. Od czasu do czasu z głębi groty dało się słyszeć nieludzki krzyk przetrzymywanych tam ofiar, które karmione bólem i własnymi łzami pokornie czekały na śmierć. Jedni resztkami nadziei wznosili modły do głuchych jak pień bogów, większość jednak już dawno pozbyła się złudzeń. Wiedzieli, że tutaj przyjdzie im pożegnać się z tym okrutnym światem. Ci nie szukali wsparcia sił nadprzyrodzonych, gardzili podstępnyymi bożkami i zdrażliwymi dolami, które już dawno temu odwróciły się od nich.

Kwizdyń Gładkolicy odetchnął z ulgą i wytarł kropelki potu z czoła.

- Witaj, bracie Kwizdynie - usłyszał nagle wypowiedane z wielką gracją słowa.

Przed wejściem do lochu stał, niedbale opierając się plecami o ścianę, potężnie wyglądający mężczyzna o przystojnej twarzy w kolorze sukni Pani Nocy. Nighurd Qatz - niezrównany Mistrz Zadawania Bólu i Cierpienia - wykonał zamaszysty ukłon, szorując wyimaginowaną czapkę po jak najbardziej realnej ziemi.

- Niezwykłem rad, iż me oczy widzą cię w szczęściu i zdrowiu. Widać, łaska naszego umiłowanego Boga ogarnia cię całym majestatem i prowadzi po grząskiej ścieżce w walce z bezbożnikami.

Usta Kwizdynia wygięły się w uśmiech. Uśmiechnęły się także jego oczy, co już samo w sobie było czymś niezwykłym.

- Ja także się cieszę, niemiłosiwy Nighurdzie, że cię widzę. Zacząłeś już przesłuchanie?

- Nie śmiałbym, bracie seneszalu. Postanowiłem poczekać na ciebie, byś na własne oczy ujrzał cud przemiany niemowy w śpiewaka. Cieszę się, że mi w tym potowarzyszysz, sam bowiem dobrze wiesz, jak uwielbiam mieć publiczność chwalać me niezwykle talenty. Mam nadzieję, iż jesteś gotowy na niezwykle spektakl. Główni aktorzy niecierpliwie czekają, aż me wprawne dłonie zajmą się nimi i zaprezentują niezwykle trudną sztukę wyrafinowanych pieszczot.

Kwizdyń roześmiał się serdecznie, zapominając na chwilę o swym parszywym nastroju. Niezmiernie lubił tego budzącego powszechną trwogę mężczyznę o posturze olbrzyma, twarzy kochanka, oczach dziecka i języku poety. Zresztą nie dało się go nie lubić... chyba że było się jedną z ofiar jego talentów.

- Uważaj tylko, by Wielki Kapłan nie dowiedział się o twych przechwałkach. Wiesz dobrze, jak nie lubi on próżności - zaśmiał się brat Wielkiego Mistrza.

- A pies go jebał - odpowiedział czarnoskóry olbrzym, tak jednak, by te słowa dotarły jedynie do uszu seneszała.

Rozmawiając, mężczyźni zagłębiali się w mrok jaskini. Z każdym krokiem smród był coraz większy. Przesiąknięte wilgocią i oparami trujących pleśni powietrze chlastało ich po twarzach niczym powiew samej śmierci. Po obu stronach wykutego korytarza mieściły się niewielkie cele, w których siedziały ludzkie strzępy, przykute grubymi łańcuchami do ścian. Ich matowe spojrzenia przesuwwały się z nadzieją po twarzach idących mężczyzn, bezzębne usta wymawiały bezgłośnie błagania, a rachityczne dłonie układały się w gesty modlitwy. Bez skutku. Brat Kwizdyń nawet na nich nie spojrzał. Korytarz skreślił gwałtownie w lewo i poprowadził do obszernej sali oświetlonej lichymi pochodniami. Tam siedziała reszta skazańców, przesuwając otępiętymi oczyma po podłodze w poszukiwaniu pożywnych robaków. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na przybyszów. Żaden oprócz dwójki siedzących na uboczu mężczyzn, którzy wyglądali inaczej niż ich bracia w nieszczęściu. Byli w miarę czysti i odżywieni, a ich zęby szokowały swoją kompletnością.

- A otóż i ci szczęśliwcy, którzy zaraz będą mieli zaszczyt poznać talenty samego Nighurda Qatza - przedstawił ich Mistrz Tortur z olśniewającym uśmiechem na twarzy.

Brat Kwizdyń spojrzał na jeńców z pogardą. Pierwszy z mężczyzn mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Wodził przerażonym spojrzeniem po zebranych, jakby oczekiwał od nich ratunku. Wokół niego zebrała się spora kałuża moczu, rozsiewając wokół chmurkę pary i ostrą woń.

- Z tym nie będzie problemu. Nawet go jeszcze nie ruszyłem, a już zaczął śpiewać. Nie wiem tylko o czym, nie znam bowiem tej pogańskiej mowy. Posłałem po tłumacza, powinien być lada chwila. Z tym drugim czeka nas więcej krotchwili. - Wzrok kata padł na drugiego z więźniów, który wyglądał, jakby był co najmniej dwa razy starszy od swego towarzysza. Liczne blizny, umięśnione ramiona i butne spojrzenie świadczyły o tym, że w swym życiu nie raz musiał stawiać czoła przeciwnościom losu. - Ma się za hardego, co mnie niezmiernie cieszy. Wiesz wszak, jak uwielbiam wyzwania. Żywię tylko nadzieję, że nie odpuści zbyt szybko, jak to miało miejsce z tym śmierdzielem, cośmy go przesłuchiwali parę dni temu. Kopał, gryzł i groził za trzech, a jak tylko poczuł dotyk mojej ślicznotki, puściły mu zwieracze i zaczął śpiewać niczym dworski minstrel. Ech, powiadam ci, bracie Kwizdynie, mało już na świecie prawdziwych mężczyzn. Niedługo zwykła woda i kawałek szmaty wystarczą, by się wszystkiego dowiedzieć, a mój kunszt będzie musiał pójść w zapomnienie. Cóż zrobić? No ale dość mielenia jęzorem, pora wziąć się do roboty. Dajcie mi no tego rzezimieszka. Tego hardego. Niech no rzucę nań okiem.

Dopiero teraz brat Kwizdyń ujrzał dwóch wyłaniających się z mroku młodzieńców. Odziani byli w ciągnące się po ziemi czarne szaty ze złotymi obszyciami, przykrótkimi rękawami i obszernymi kapturami zwisającymi swobodnie na plecach.

- A otóż i moi uczniowie - oświadczył z dumą Nighurd. - Kuno i Bruno, bracia. Tylko nie pytaj, który jest który, bo tego to nawet oni nie wiedzą.

Młodzieńcy jednocześnie schylili głowy przed zakonnikiem i płynnymi ruchami podeszli w stronę więźniów. Ich ruchy były idealnie zsynchronizowane. Wyglądali niczym para wysłanników piekła kołyszających się nad ziemią. Bez żadnego słowa odkuli nieszczęśnika od ściany. Ten zaczął nagle wierzgać kończynami niczym wściekła klacz. Rozczapierzone dłonie zaczęły młócić w powietrzu i tylko jakimś cudem nie trafiły któregoś z braci. Kuno,

a może Bruno, chwycił jeńca za kark, a kciuk drugiej dłoni wbił mu u nasady karku. Więzień momentalnie znieruchomiał, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu. Drugi z braci wykręcił mu rękę i przyprowadził do swego nauczyciela. Sam zaś stanął wyprężony niczym struna harfy w oczekiwaniu na ruch batuty.

- Przywiążcie go tam - rozkazał Nighurd i wskazał ręką na drewnianą ławę stojącą kilka kroków od niego.

Bliźniacy sprawnie spełnili jego polecenie. Gdy tylko skończyli, do grupki symonitów dołączył kolejny mężczyzna - bardziej rudy niż rdzawy kocur, który przemknął między nogami zebranych, nie mogąc się wciąż pogodzić ze zniknięciem swojej pani.

- O, już jest - odezwał się Mistrz Tortur, dając mężczyźnie znak, by się zbliżył. - To nasz tłumacz, Burg jakiś tam. To Grvall, a jak wiesz, ich imion nikt o zdrowych zmysłach nie jest w stanie wymówić.

Mężczyzna uklonił się do samej ziemi, a jego policzki zapłonęły żywym ogniem. Widocznie nie spodziewał się spotkać samego seneszala w tym zapomnianym przez wszystkich miejscu.

Zakonnik kiwnął mu lekko głową, po czym zwrócił się do Mistrza Bólu:

- Czyńcie swą powinność, kacie - rozkazał. - Spytajcie się go wprzód, kim jest i co robił pod murami pałacu.

Tłumacz podszedł do unieruchomionego jeńca, uśmiechnął się do niego z wyrozumiałością, a nawet z odrobiną współczucia i przetłumaczył mu słowa zakonnika. Więzień wyszczerzył tylko zęby i splunął mu prosto w twarz.

Pogodną zazwyczaj twarz Nighurda Qatza rozjaśnił jeszcze bardziej promienny uśmiech.

- Uwielbiam takich - odezwał się dźwięcznym głosem. - Niestety nie mam tutaj swoich ukochanych zabaweczek, lecz i bez nich potrafię się obyć. Widzisz, bracie Kwizdynie, przypalić rozżarzoną żelastwą, obciąć paluszek, rozerwać ścięgienka, wbić drzazgę w jąderka lub pod paznokietek to każdy zbir potrafi. Byle jeden rzeźnik. Prawdziwa sztuka wymaga finezji. Tamte metody i owszem,

bywają skuteczne, lecz prawdziwy artysta nimi gardzi. Ja wolę bardziej wyrafinowane metody, takie jak choćby to małe zwierzątko. Niby niepozorny szczurek, lecz jak się przestraszy, to potrafi być dosyć upiorny. No, chłopcze, podaj mi, proszę ja ciebie, tego futrzaczka, a drugi niech skoczy po pochodnię i garnek. No chyżo, chyżo, bo nasz szacowny gość nie może się już doczekać.

Ledwo kat skończył mówić, Kuno, a może Bruno, podał mu lniany worek, wewnątrz którego coś się ruszało. Stojący nieopodal Bruno, a może Kuno, przyniósł zaś stalowy garnek i palącą się pochodnię. Z niewinną miną stanął tuż przed skazańcem i jakby niechcący przytknął ją do ciała więźnia. Po chwili rozległ się odgłos skwierczenia, a smród jaskini wypełnił się dodatkowo odorem palącej się skóry. Więzień nawet nie drgnął. Zacisnął tylko zęby i zamknął powieki.

- Chłopcze, chłopcze - skarcił swego ucznia mistrz. - Nie bądź brutalny. Ot, barbarzyńca jeden. Trochę więcej finezji. Czyż niczegoś się nie nauczył od sławetnego Nighurda Qatza?

Chłopak natychmiast odsunął palącą się pochodnię i wbił wzrok w ziemię, przybierając zawstydzoną minę. Kąciki jego ust jednak nieznacznie skierowały się ku górze. Jego brat bliźniak spojrzał na niego z zazdrością. Też go rączka swędziała, żeby przypalić komuś skórę albo choćby ząbka jakiegoś wybić.

- Ech, ta młodzież - jęknął Mistrz Tortur, karcąc ich obu wzrokiem. - Człek chce ich czegoś nauczyć, a ci swoje, jak jacyś wiejscy oprawcy. Powiadam ci, bracie Kwizdynie, długa i wyboista jest droga od rzemieślnika do artysty. Ale młodzi są, może się kiedyś wyrobiją. Już moja w tym rzecz. Byle tylko wrogowie wiary byli, coby mieli na kim praktykować.

Mówiąc to, zagłębił swą prawicę w worek, z którego zaraz wyciągnął szczura - olbrzyma. Brat Kwizdyń odsunął się z odrazą i splunął na podłogę. Po chwili zmusił się, by łypnąć wzrokiem na paskudnego zwierzaka, którego jednolicie szare futro w paru miejscach ustępowało świeżym strupom i niezagojonym ranom.

Szczur musiał wyczuć, że stał się obiektem ogólnego zainteresowania. Parsknął gniewnie i zaczął wierzcąc na wszystkie strony, kłusząc w powietrzu ostrymi niczym szpilki zębiskami. Zakończona długimi pazurami łapa wbiła się boleśnie w dłoń kata, rozcinając skórę. Uśmiechnął się mistrz promiennie, rozkoszując się uczuciem bólu. Uwielbiał to. Uwielbiał zadawać cierpienie innym i uwielbiał sam je odczuwać.

- Ładny, nieprawdaż? - spytał retorycznie i włożył gryzonia do metalowego garnka. Spojrzał głęboko unieruchomionemu więźniowi w oczy, pogłaskał go czule po policzku i położył na jego brzuchu garnek spodem do góry. Następnie wyjął z kieszeni czarne pudełko z różnej wielkości igłami. Wybrał cztery z nich, chwycił je w grube palce i z zadziwiającą zgrabnością wbił jeńcowi pod paznokcie. Ból był okropny, lecz więzień nawet nie krzyknął. Zacisnął tylko zęby i ponownie splunął, choć tym razem flegma zamiast na symonicie wylądowała na jego czole.

- Te igiełki to tak tylko dla urozmaicenia przedstawienia - wytłumaczył się kat, zwracając się bezpośrednio do Kwizdynia. - Z reguły unikam takich metod, lecz dziś jakowaś mnie chęćka na nie naszła. Ot, taka drobna fanaberia. Malutkie igiełki wszak jeszcze nikomu krzywdy wielkiej nie uczyniły.

Tymczasem uwięziony w stalowym naczyniu szczur zaczął drapać skórę więźnia. Zrazu lekko, niemal pieszczośliwie. Nighurd Qatz dał głową znać jednemu ze swych uczniów. Bruno, a może Kuno - któżby ich tam odróżnił - z jawną radością przyłożył do garnka palącą się pochodnię. Stalowa powierzchnia zaczęła się powoli nagrzewać. Szczur kwiknął ostrzegawczo, jakby przeczuwał zbliżające się katusze. Temperatura wewnątrz z każdym ruchem jego łap stawała się coraz wyższa, a gorące ścianki naczynia zaczęły parzyć uwięzionego gryzonia. Jego pazury zaczęły nerwowo orać skórę więźnia, a ostre zęby zatapiać się w ciele, wrywając malutkie kawałki. Temperatura cały czas wzrastała. Więzień zamknął oczy i zacisnął mocno zęby, starając się nie myśleć o cierpieniu. Nie było to

możliwe. Przerażliwy ból wręcz rozsadał go od środka, rozlewał się na całe ciało i docierał nawet do bezcielesnej duszy. Och, cóż to był za ból. Straszliwy, porażający, nienasycony i cholernie bezlitosny. A to był dopiero początek.

Pochodnia wciąż lizała teraz już czerwoną od gorąca powierzchnię naczynia. Szczur wierzgał i wierzgał. Chciał uciec jak najdalej od gorąca, więc drapał i gryzł człowiecze ciało, bo tam była jedyna droga ucieczki. Miękką tkankę z łatwością ulegała bezlitosnym zębiskom, a krew tryskała na wszystkie strony. Już udało mu się schować kawałek pyska. Drążył dalej – tam było lepiej, chłodniej, bezpieczniej. Tunel do wolności powiększał się z każdą chwilą. Zwierz odgryzał kawałek ciała za kawałkiem. Jego ogon odbijał się od rozżarzonego garnka, powodując coraz szybsze ruchy zębów i pazurów. Panika narastała. Jeniec krzyknął. Kuno i Bruno wygięli usta w szerokim uśmiechu, a jeden z nich, niby przypadkiem, trącił wbite pod paznokcie igły. Brat Kritz zamknął oczy, przywiązany do ściany młodzieniec zaczął szlochać. Szczur odgryzł kolejny kawałek ciała skazańca, powiększając dziurę w jego brzuchu. Ten zaś otworzył szeroko usta, jakby chłodne powietrze jaskini mogło mu ulżyć. W kącikach jego ust leniwie płynęły strumyczki śliny i skapywały na brudną podłogę, mieszając się ze świeżym moczem i kałem. W końcu jeniec nie wytrzymał. Z jego gardła wydobył się przeraźliwy wrzask, który wprowadził Mistrza Tortur i jego uczniów w prawdziwą euforię.

– Litości, błagam, litości. Wszystko wam powiem, wszystko...

Kat pokręcił z dezaprobatą głową. Odczekał jeszcze kilka dłużeńych się więźniowi w nieskończoność chwili, po czym chwycił Bruna albo Kuna za nadgarstek i pociągnął jego rękę do góry. Wyraz rozczarowania zagościł na twarzy ucznia. Mistrz szybkim ruchem jednej ręki strącił rozżarzony garnek z brzucha ofiary, a drugą chwycił przerażonego gryzonia i schował go z powrotem do worka. Na dłoni został mu krwawy ślad po pysku zwierza. Dopiero teraz odwrócił się w stronę więźnia, by ocenić rozmiar szkód.

Brzuch leżącego był jedną wielką pulsującą raną. Ciepła krew wymieszała się z żółcią, tworząc nieokreślonego koloru gejzer. Na zewnątrz wystawały rozerwane kawałki flaków, które wraz z resztkami nadpalonej skóry i jakiejś cuchnącej przeraźliwie mazi tworzyły istne bajoro bólu i rozpacz. Duże krople potu zrosiły czoło nieszczęśnika, twarz wykrzywiała się w przerażającym grymasie, a oczy patrzyły błagalnie na swego oprawcę. W tym momencie zdradziłyby własną matkę, byle tylko uniknąć kolejnego spotkania z gryzoniem. Co jakiś czas jego spojrzenie napotykało miotający się worek, który zawisł w ręku Bruna lub Kuna wprost nad jego głową. Chciał coś powiedzieć, lecz strach i ból odebrały mu mowę. Otworzył usta, lecz zamiast słów wydobył się z niej nieartykułowany dźwięk. Bliźniacy zaśmiali się chrapliwie. Jeniec spróbował raz jeszcze, tym razem się udało.

- Jam poddany Olkmunda - wysapał, ledwo wymawiając słowa. - Miałem sprawdzić pogłoski, jakoby... jakoby Kirań został zdobyty.

Następnie w urywanymi zdaniem potwierdził doniesienia brata Kritza, napawając serce seneszala czarną rozpaczą. Pozostali mężczyźni też mieli nietęgą miny. Mistrz Bólu i Cierpienia rozpaczął w myślach nad upadkiem cywilizacji.

Gdzie się podziały prawdziwe chwaty? - dumał z rozżaleniem. - Ech, świat schodzi na psy. Niegdyś dwa dni musiałem się trudzić, nim coś zdołałem wyciągnąć z ofiary, a teraz... teraz wystarczy ino szczurek. Świat ginie, świat umiera. Niedługo zabraknie już prawdziwych mężczyzn.

Bruno i Kuno także nie potrafili ukryć goszczącego na ich licach rozczarowania. Liczyli na długi koncert pełen fascynujących zwrotów akcji, bólu, cierpienia i poniżeń. A co otrzymali? Jedynie kilka radosnych nut, parę taktów potwornej muzyki, która nawet na dobre nie zaczęła brzmieć w ich lubujących się w odgłosach cierpienia uszach. A zapowiadało się tak pięknie. *Chociaż... może nie wszystko stracone?* - pomyślał jeden z nich, a drugi w tym samym momencie odwrócił głowę w kierunku kolejnego więźnia. Po chwili obaj

westchnęli z rezygnacją. Drugi ze schwytanych szpiegów nie wyglądał na takiego, co byłby w stanie oprzeć się nieprzeciętnym talentom ich mistrza dłużej niż chwila niezbędna do splunięcia. Błada, niemal trupia twarz chłopaka była cała zalana łzami. Żółta kałuża moczu zwiększyła znacznie swoje rozmiary, a jej odór zmieszał się z jeszcze gorszym smrodem kału, który samoczynnie wy dostał się na zewnątrz. Dwa zgrabne noski w jednej chwili skrzywiły się w grymasie obrzydzenia.

- Fúj! - krzyknęli jednocześnie.

Brat Kritz powiódł wzrokiem w ich kierunku i także się skrzywił. Pożegnał się pośpiesznie z niezrównanym Mistrzem Zadawania Bólu i Cierpienia i powrócił do swych obowiązków.

Jakże przewrotna bywa Matka Natura. Już to nęci świat cudownym odrodzeniem, już to przynosi powiew ciepła, ogrzewa serca i daje nadzieję. Już to zsyła wiosnę... i nagle wszystko zabiera. Jednym ruchem dłoni przepędza w dal swą najmłodszą córę, przywołując w jej miejsce mroźną Panią Zimę. W ciągu jednej nocy zneconą odwilżą ziemia pokryła się grubą warstwą śnieżnego puchu. Garnące się do nieba kwiatki zamarzyły w srogich objęciach okrutnicy. Zima wszak nie lubi zieleni liści, czerwieni i różu kwiatnych płatków, żółci pręcików i innych rażących srogie oczka barw. Tylko biel i czerń mają dla niej swój urok. Biel wszechogarniającego śniegu i czerń sukni swej najdroższej przyjaciółki - Pani Nocy - z którą niepodzielnie chciałaby rządzić całym światem. Słońce, które jak co rano wyrosło spod ziemi, zalewając świat życiodajnymi promieniami, schowało się czym prędzej za grubą warstwą chmur. Nawet ono przeraziło się tak nagłą zmianą pogody. Temperatura spadła, kałuże zamarzyły, życie niemal ustało. A wojna... wojna czekać nie mogła.

Wieści o potężnej armii wyznawców jednego Boga, która szybkim tempem zbliżała się do Równin Szeptu, obiegła dwa niedawno wrogie obozy. Z każdą chwilą coraz bardziej namacalne połączyły to, co

wydawało się na zawsze rozłączone – księstwa. Dawni wrogowie stali teraz w jednym rzędzie, tak jak kiedyś, za dawnych, lepszych czasów. Jarogniew Stateczny i Olkmund Staloręki. A obok nich księżę Ichnuzji, Vrongrund Kaleki, wraz ze swym pożerającym niewieście serca giermkim. I tylko Pięknej Pani brakowało. Od dwóch dni leżała w swym namiocie, tracąc i odzyskując na przemian zmysły. Targały nią rozpacz, wściekłość i strach. Już nie przypominała pewnej siebie władczyni, mającej u stóp cały świat. Teraz była niczym wystraszona dziewczynka, która zewsząd szuka ratunku. Dziewczynka, która swą przewrotnością niemal doprowadziła innych do upadku. Gdy wreszcie doszła jako tako do zdrowia, postanowiła wyjść z namiotu. Szukała swego byłego kochanka, lecz ten nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem. Nie to jednak bolało najbardziej ambitną księżną, lecz świadomość, że przez całe życie była manipulowana. Dowody dostarczone przez Bolesława pozbawiły ją reszty złudzeń.

Garvulla! Ta zdradziecka szmata! – krzyczała w myślach Lady Erzsébe, zsyłając na Wiedźmę najbardziej plugawe przekleństwa, jaki ludzki język był w stanie wymyślić. Była pewna, że to starucha za wszystkim stała. – *Jakże ja byłam głupia. Dałam się omamić obietnicą wiecznej młodości. Zrobiłam wszystko, co chciała, i teraz będę musiała za to zapłacić. Ale ona też mi zapłaci za zdradę. Zapłaci po stokroć!*

Wizja straszliwej zemsty ogarnęła ją do tego stopnia, że na każdym kroku widziała perfidne oczka swej niegdysiejszej powierniczki. Wysłała w tajemnicy Iwana, by wraz wiernymi rękodajnymi przywiedli jędzę przed jej oblicze. Tej jednak już dawno nie było w kurnej chacie, stojącej na obrzeżu niewielkiej wioski. Ubrana w białą suknię służebnicy Pana, chadzała dumnie po szerokich korytarzach pałacu w Breslangu. A wraz z nią jej nieodłączni towarzysze: czarny kocur i przerażający odór, którego nawet różana woda nie była w stanie zamaskować.

Wściekłość Erzsébe podsyciała także obecność Bolesława. *Ta jego świętoszkowata mina. To niewinne spojrzenie, pełne zrozumienia*

i współczucia. I to pełne szacunku spojrzenia żołnierzy, którzy wodzą za nim, jakby był samym Perunem. Och... jakże ja go nienawidzę. Najchętniej wyrwałabym mu flaki z trzewi i zrobiła z nich naszyjnik. Szkoda, że tego nie uczyniłam, kiedy miałam okazję.

Nagle przed oczyma stanął jej obraz związanego i zupełnie bezbronnego młodzieńca, który patrzył na nią błagalnym wzrokiem. Na samo to wspomnienie poczuła delikatne mrowienie w podbrzuszu, które jednak szybko zostało zastąpione przez nieustającą złość. Mimo to Lady wiedziała, że to nie był dobry czas na nienawiść. Teraz był czas wojny, czas sojuszy z dawnymi wrogami. Jeśli przegrają, jej zemsta i pragnienie wiecznej młodości nigdy się nie spełnią, a to właśnie one trzymały filigranową blondynkę przy życiu.

Bolesław nie zdawał sobie sprawy z burzy uczuć księżnej Magyoranu. Siedział dumnie na karym rumaku i jeździł wśród swych żołnierzy, dodając im otuchy. A wyglądał przy tym wprost bajecznie. Odzyskany czarny kirys z krwistoczerwonymi rubinami prezentował się dumnie na zmężniałej sylwetce, a pewne siebie spojrzenie napełniało serca poddanych nadzieją. Długie, czarne niczym krucze pióra włosy targał wiejący z dużą siłą wicher, a pojawiające się od czasu do czasu słońce padało na jego arystokratyczną twarz. Ci, co pamiętali go z miasta Kirań, przecierali oczy ze zdumienia.

- Nie może być - szeptali między sobą z podziwem i niedowierzaniem.

- To chyba nie on - odpowiadali inni.

A zewsząd dookoła dało się słyszeć głośnie okrzyki:

- Niech żyje Bolesław! Niech żyje Wielki Książę! Niech żyje Ziemia Warszzycka!

I tylko gdzieś z boku złośliwy sierżant nie poddał się podniosłej atmosferze. Z wrodzoną złośliwością znęcał się nad świeżym rekrutem, co to wyglądał niczym dwie złączone ze sobą beczki tłuszczu.

- Padnij! Powstań! Padnij! Powstań! No, ruszaj się, tłusciuchu zafajdany. To jest wojsko. W domu mogłeś se żreć do woli, ale ja

z ciebie jeszcze zrobię żołnierza, czy tego chcesz, czy nie. I co tak wytrzeszczasz gały? Myślisz, że to koniec? O nie. Ty mnie jeszcze nie znasz. Nie znasz, ale mnie poznasz. No już powstań, beko sadła! Raz-dwa! Raz-dwa, kurwa twoja macierz.

Mimo chłodnego wiatru czoło żołnierza było mokre od potu. Mięśnie paliły niczym przypalane pochodnią, serce waliło jak oszalałe, a w oczach kręciły się ledwo widoczne łzy. Żołnierz jednak był twardy. Nie chciał sprawić satysfakcji znienawidzonemu przełożonemu i z niezwykłą zaciętością spełniał jego rozkazy. W myślach zaś marzył o srogiej zemście.

Nagle jego wzrok padł na przejeżdżającego nieopodal Bolesława. Znieruchomiał na chwilę, jakby nie był pewien, czy wzrok nie płąta mu psikusa.

Nie płątał.

Nie zastanawiając się długo, żołnierz ruszył w stronę księcia, ignorując wściekły głos sierżanta.

- Gdzie leziesz, kupo tłuszczu? Wracaj, bo każę cię powiesić na najbliższym drzewie, jeśli wytrzyma ten ciężar.

- Wiwat Bolesław! Wiwat Wielki Książę! Wiwat Ziemia Warszucka! - ponownie rozległy się głośne okrzyki zlewające się ze stekiem najwymyślniejszych określeń, jakimi sierżant obdarzał niesubordynowanego rekruta, jego matkę, ojca, siostrę, a nawet psa, którego ten nigdy nie posiadał. Grubas zaś zbliżał się coraz bardziej do książęcego wierzchowca, nieporadnie przebierając grubymi niczym pnie dębu nogami. A z każdym jego krokiem brzuch falował mu niczym morze podczas sztormu. W końcu stanął tuż przed pyskiem książęcego ogiera, złapał za uzdy, zadarł łeb do góry i spojrzał hardo na jeźdźca.

Reszta żołnierzy zamarła na wpół ze strachu, na wpół z ciekawości. Tak jawna obraza majestatu nie wróżyła niczego dobrego.

Wściekły sierżant otworzył usta, oczekując z niecierpliwością na to, co zaraz się wydarzy. *Wreszcie ubędzie mi tego spaślaka -*

pomyślał z ulgą i uśmiechnął się pod nosem.

Bolesław zaś spał lejce i spojrział w dół. Zmrużył oczy, zmarszczył czoło i wciągnął ze świstem haust mroźnego powietrza.

- Wiedziałem, że dobrzy bogowie znów połączą nasze ścieżki - odezwał się gruby żołnierz, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Bolesław rozdziawił usta w wyrazie największego zdumienia. Pięciu żołnierzy podskoczyło do grubasa z gołymi mieczami w dłoni. Już uniosły się one w górę, już miały spaść na śmiałka, gdy nagle ubiegła je uniesiona w górę dłoń księcia. Na zmęczonej ostatnimi wydarzeniami arystokratycznej twarzy pojawiło się niedowierzanie, później widoczny był szok, a na końcu wyraz bezbrzeżnego szczęścia.

- Ty... ty żyjesz? - wyjąkał.

- A jakże. Co bym miał nie żyć? Rzekłem wam niegdyś, książę, że nie tak łatwo jest zabić wybrańca bogów. Jam to w pełnej krasie. Cały i zdrowy.

Później zdarzyło się coś tak niepojętnego, że nawet najstarsi żołnierzy przetarli oczy ze zdumienia, a szwendający się po obozie pies z obciętym ogonem przystanął i zamarł w oczekiwaniu. W oddali zamiauczał łaciaty kocur, szydząc ze swego odwiecznego wroga, lecz ten nie zwrócił na to uwagi. Stał i patrzył, jak syn Wielkiego Księcia zeskakuje z konia i porywa w objęcia zwykłego piechura, chłopą wartego mniej niż przeciętny rumak.

Pękata twarz sierżanta w jednej chwili stała się jasnozielona, a jego oczy poszerzyły się trzykrotnie, jakby żołnierz ujrzał samą Panią Śmierć. I faktycznie, stara kostucha zwróciła na niego swoją uwagę. Trzymała się z boku, obserwując bacznie nikczemnego woja. Czekwała na jakiś znak od wybrańca bogów, ten jednak był zbyt wzruszony, by przejmować się swoim krzywdzicielem... do czasu.

- Oran, mój przyjacielu. Jakże się cieszę. To cud, że żyjesz - krzyczał rozentuzjasmowany Bolesław, ściskając, poklepując i całując na przemian swego niegdysiejszego wybawcę. Tembr jego głosu to wznosił się, to opadał, a pierś skakała w nierównym oddechu.

- E tam - westchnął tylko grubas. Wiadomym mu było, że wybrańcom bogów i wielkim bohaterom nie wypada specjalnie okazywać uczuć. Jego serce jednak śpiewało radosną pieśń, a oczy z trudem opierały się napierającym falom wzruszenia.

I nawet siedzący w swych złocistych komnatach bogowie uśmiechnęli się półgębkiem.

- Ale jakim sposobem udało ci się przeżyć? Myślałem... przecież ty byłeś...

- Martwy? - dokończył za niego Oran. - Może i byłem, jednak bogowie stwierdzili, że ktoś przecież musi nas uratować przed tą krwiożerczą hordą jednobogów. Pamiętam tylko, że obudziłem się w jaskini obok... obok ciała... Volko.

- Nie myśl o tym - próbował pocieszyć go Bolesław, widząc, jak piwne oczy Orana w jednej chwili zaszły mgłą.

Dwaj cudem odnalezieni przyjaciele, książę i chłop, jeszcze przez kilka chwil rozmawiali ze sobą wśród zdumionych spojrzeń reszty żołnierzy. W końcu Bolesław zorientował się, że nie przystoi następcy tronu spoufalać się z byle kmieciem. Zrobił krok w tył, jednym ruchem wyjął misternie zdobiony miecz i uniósł oręż nad głowę.

- Klęknij, żołnierzu Oranie - powiedział donośnym głosem.

Grubas spojrział na niego niepewnie. Tysiące myśli przebiegły mu przez głowę, lecz żadna nie była właściwa. Lata poddaństwa zrobiły jednak swoje. Pan każe, sługa musi. Z widocznym wysiłkiem zgiął swe olbrzymie cielsko i uklęknął przed księciem, zapadając się w ubłoconej ziemi. *Chyba mi teraz łba nie utnie?* - pomyślał zszokowany, widząc nad sobą śmiercionośne ostrze.

Bolesław uśmiechnął się szczerze. Miecz zakołysał się w powietrzu i dwukrotnie dotknął ramienia grubasa.

- Wstań, rycerzu Oranie - zawołał książę gromkim głosem. Jego głos rozległ się po okolicy, docierając do uszu żołnierzy. Dotarł także do wrednego sierżanta, który w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat i pochylił ku ziemi, jakby wyrósł mu na plecach kamienny garb.

Rycerzu Oranie... czy ja dobrze słyszałem? Zostałem nazwany rycerzem... przez księcia? – zastanawiał się grubas, nie wierząc własnym uszom.

Oran wstał powoli, jakby bał się wybudzić z tego pięknego snu. Otrzepał kolana z błota i rozejrzał się dookoła ledwie przytomnym wzrokiem. Rozum jeszcze w pełni nie pojął wielkości tej chwili, lecz serce zrozumiało. Zaczęło niesłyszalnie wyć z radości i tańczyć szalonym rytmem. Pompowana krew szybciej krążyła w jego ciele, niosąc dobre wieści do każdego zakamarka ciała. W końcu i rozum zrozumiał, że oto spełniło się najśmielsze marzenie Orana. Stał się rycerzem z krwi i kości. I tylko gdzieś w głębi duszy krył się wielki smutek po świętej pamięci nieboszczku, Volko, który nie doczekał tej cudownej chwili.

– Niezmiernie rad cię widzieć, przyjacielu – odezwał się syn Wielkiego Księcia tak, by stojący dookoła żołnierze doskonale go słyszeli. – Teraz wiem, że bogowie mają nas w swej opiece. Z nimi i z tobą żaden wróg nam niestraszny. Racz odwiedzić mnie dziś wieczorem w namiocie. Mamy sobie tyle do opowiedzenia.

– To będzie dla mnie zaszczyt, książę – odezwał się Oran i ukłonił niezdarnie. Wyglądało to niezwykle komicznie, lecz nikt się nie zaśmiał.

– Na mnie już czas. Bywaj, rycerzu, bywaj, przyjacielu – zawołał Bolesław i z wielką gracją wskoczył na konia, po czym ruszył dostojnie w stronę łopoczącego nieopodal namiotu swego ojca. Oran zaś ponownie rozejrzał się dookoła i widząc zdumione spojrzenia swych niedawnych towarzyszy, krzyknął gromko:

– No co tak gały wytrzeszczacie? Rycerza nigdyście nie widzieli?!

Nagle jego wzrok padł na skulonego ze strachu i rozpaczy sierżanta – swego niedawnego oprawcę. Uśmiech wyższości zagościł na tłustym licu wybrańca bogów.

– Ej, ty. – Kiwnął na niego palcem. – Podejdź no tu do mnie. Ino chyłkiem, bo nie mam czasu.

Twarz sierżanta zmieniła ponownie kolor na trupioblady. Niepewnie podszedł do świeżo mianowanego rycerza i wbił wzrok w ziemię. Wyglądał jak siedem nieszczęść, jak rodzony brat Pani Śmierci, jak sama śmierć.

- Patrz, jak do ciebie mówię, chłopku małorolny. I stój prosto. Rycerz do ciebie przemawia - krzyknął mu Oran prosto do ucha, wyginając twarz w rozanielonym uśmiechu.

Sierżant wyprostował się jak struna i przybrał wzorcową pozycję. Tylko jego oczy patrzyły nienawistnie na rozkoszującego się tym widokiem Orana.

- Rycerz Oran potrzebuje godnej zbroi i godnego oręża - odezwał się grubas, akcentując pierwsze słowo. - Rusz więc ten kościsty zad, i to chyżo, bo inaczej każę cię batem ćwiczyć, choć tego i tak pewnie nie unikniesz.

- Tak, pa...ie - jęknął niewyraźnie stropiony sierżant, przestępując z nogi na nogę.

- Coś rzekł? Nie słyszałem.

- Tak, panie - powtórzył żołnierz, tym razem głośno i wyraźnie, choć ostatnie słowo z ledwością przemknęło mu przez wąskie gardło.

- Tak już lepiej - odparł dumny grubas. - A jak skończysz, to przyprowadź mi jakiegoś konia. Tylko szlachetni panowie, tacy jak ja, mogą jeździć. Plebsowi wystarczą nogi. Jak skończysz, to zamelduj się u mnie. A teraz znikaj z mych rycerskich oczu, nim się rozmyślę i każę cię powiesić na najbliższym drzewie.

Sierżant odwrócił się błyskawicznie, chcąc jak najszybciej zniknąć z zasięgu wzroku poniżanego niedawno przez siebie tłuściocha. Nie zaszedł jednak zbyt daleko, gdy ponownie dogonił go groźny głos wybrańca bogów.

- Stój! Wracaj tu!

Żołnierz zbladł jeszcze bardziej. Zrobił zwrot na pięcie i niczym wystraszony kundel przydreptał z powrotem przed oblicze grubasa.

- Co się odpowiada, jak rycerz wydaje rozkaz?

- Tak, panie - wyjąkał żołnierz.

- Głośniej!

- Tak, panie! - krzyknął sierżant, przeżywając właśnie najgorsze chwile w swym długim i niezbyt chwalebnyim życiu.

- Tak lepiej - odparł łaskawie rycerz Oran i strzelił go z liścia, aż zapiekło. - Możesz odejść, ścierwo, ale wiedz, że jeszcze z tobą nie skończyłem.

Nadeszła noc. Później świt. A wraz z nim podmuchy ciepłego wiatru. Nieoczekiwany powrót Pani Zimy skończył się szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Miotła się jeszcze mroźna okrutnica, strasząc chłodem i lodem, lecz były to tylko czcze pogroźki. Najmłodsza córka Matki Natury wróciła do łask i zajęła należne jej miejsce. Jednym dotknięciem palca zaczęła topić zalegające pokłady białej pierzyny, zmieniając ziemię w czarno-szarą pluchę. Bocznie drogi stały się niemal nieprzejezdne, lecz symonici nie musieli już się ukrywać. Byli na miejscu. Na Równinach Szeptu, naprzeciwko połączonej armii Pięciu Księstw. Gdzie nie spojrzeć, wzbijały się w niebo wyszyte złocistymi nićmi milczące błyskawice, łopotały toporne klucze, furgotały brodate twarze Szymona Maga - magiczne, poważne, natchnione, na różnokolorowych tłach. Wiły się targane podmuchami wichru podobizny aniołów, Heleny, wszystkich świętych. A wśród nich przebijały się pojedyncze sztandary licznych plemion, które całkiem niedawno poznały miłosierdzie Pana: czerwone nietoperze z rozłożonymi skrzydłami, dwunogie wilki, wijące się skolopendry oraz wszelaki korowód rachitycznych stworów, demonów i okropieństw. A poniżej sztandarów w równych rzędach stało potężne wojsko. Ogromna masa nienawiści i fanatyzmu, czekająca na pierwszy sygnał do ataku. Kogóż tam nie było? Barkudzi, Afirandajczycy, Gralvalle, Kreoni, Nerobandajczycy i elita wśród elit - bracia Zakonu Najświętszego Serca Szymona Maga. Nie zabrakło także magów. Ubrani w jaskrawoczerwone stroje trzymali się na uboczu, oczekując ze spokojem na swój czas.

Dowodzący armią Kwizdyń Gładkolicy stał na niewielkim wzniesieniu i lustrował wzrokiem okolicę. Napięcie malujące się od kilku dni na jego twarzy ustąpiło miejsca pełnej koncentracji. Zdawał sobie sprawę, że oto nadeszła decydująca chwila. Zwieńczenie dwóch dekad misternie knutych planów, spisków, zdrad i przekupstw. Oto nadszedł dzień, na który czekał całe swoje życie. Śpiewne słowa modlitwy wypłynęły z jego ust i pofrunęły wprost do nieba. Zastanowił się przez chwilę, czy ktoś je usłyszy, lecz szybko wypędził bluźniercze myśli z głowy. To nie był czas na dylematy moralne. To był czas wojny, czas zabijania.

Zamyślony zakonnik objął wzrokiem poczet swojego wojska. Żołnierze czekali cierpliwie. Ich pocziwe, a czasem mniej pocziwe czy wręcz zakazane mordy wyrażały pełnię wiary w ostateczny sukces. To go trochę uspokoiło. Wokół słyhać było szmer podnieconych rozmów, brzdęk stali, szum wiatru, śpiew ptaków, parskanie koni. I nagle tę niemal sielankową atmosferę popsuł samotny jeździec, który z głośnym wrzaskiem wyrwał się z równych szeregów. Kwizdyń zmrużył oczy i przyłożył otwartą dłoń do czoła. Kąciki jego ust wygięły się do góry, a śnieżnobiałe zęby wyszczerzyły się w pełnym słońcu i odbiły niczym od tafli niezmaconej wody.

Jeździec spał boki konia i ruszył stępem ku szeregom pogan. Z tyłu rozległy się gromkie owacje. Nie było chyba ani jednego symonity, który by nie słyszał o bohaterskich czynach mężnego wojownika zwanego Cieniem. To jego imieniem matki straszyły niegrzecznych chłopców, to na jego cześć nazwano niezdobyty górski szczyt w dalekiej prowincji Azkargardu. To o nim śpiewano pieśni i wystawiano sztuki i to przed nim wrogowie pierzchali na drugi koniec świata, bojąc się nawet obejrzeć za siebie. Bo gdyby śmierć była mężczyzną, to nazywałaby się właśnie Cień.

Jeździec podjechał w pobliże szeregów armii Pięciu Księstw. Zeskoczył z konia, obrzucił wrogów szyderczym spojrzeniem, splunął na ziemię żółcią i flegmą i zaryczał donośnym głosem:

- Słuchajta, matkojebcy, słuchajta, ojcojebcy. Oto stoję przed wami ja, prawy sługa Pana. I cóż widzę? Ano same tchórzliwe kozy. Słyszał żem, że wśród was ino tchórze i baby, alem myślał, że to bajdy. Wszak w każdej armii znajdzie się choć jeden mąż. Tak żem myślał do teraz. Bo teraz widzę, że me bracia prawdę powiadali. Toż tu same tchórzliwe mordy widzę. A może się mylę? Nie ma nikogo, kto by chciał zadać kłam mym słowom? Nie ma tu nikogo, kto by chciał stawić czoło przesławnemu Cieniowi? Pytam się. Ja się pytam!

Nikt ze stojących żołnierzy Pięciu Księstw się nie poruszył. Nie dlatego, że się bali. Nikt nie rozumiał ani słowa z przedziwnego języka, jakim posługiwał się stojący przed nimi mężczyzna o twarzy wyglądającej tak, jakby przeszła przez końskie trzewia.

- Ha, ha, ha. Me bracia prawdę godoli. Toż tu faktycznie same tchórzliwe baby z kurew zrodzeni i przez diobelskie nasienie spółdzeni. Wy czorcie gówna, świńskie pastuchy, śmierdzące kobyle zwisy, niegodniście nawet patrzeć na rycerza Boga, któremu do stóp nie dorastata. Oto ja, sam Cień, stoję tu przed wami i rzucam wyzwanie. Znajdzie się chociażby jeden mąż w tej zafajdanej bandzie kurzych bobków? Pytam się. Ja się pytam!

Cień ponownie splunął na ziemię i zatoczył wzrokiem szeroki okrąg.

- Co tam szemrasz do siebie, koński pierdzie? - odezwał się nagle chrapliwy głos dobiegający z drugiego szeregu armii Pięciu Księstw. Żołnierze jak jeden mąż obrócili głowy i spojrzeli na śmiałka, który podjął wyzwanie. Nad ziemią rozległ się szmer podziwu, a potem jeden wielki okrzyk radości. Nawet nie tak dawno pewny siebie Cień otworzył szeroko oczy na widok idącego ku niemu olbrzyma.

Stanęli naprzeciw siebie. Z jednej strony zwinny i gibki Cień trzymający w dłoni kiścień z dwiema kolczastymi kulami dyndającymi na końcu metalowego trzonka. Z drugiej strony przewyższający go niemal dwukrotnie sir Drazdan ze swym nieodłącznym przyjacielem - mocarnym toporem. Dwaj bohaterowie wiecznie żywych pieśni, dwaj byli banici, dwaj godni siebie przeciwnicy.

Zamarły wszelkie rozmowy, chichoty i drwiny. Ucichł wiatr, wzeszło słońce. Bogowie skończyli zakłady i rozsiedli się wygodnie na swych tronach. Wrogowie zmierzili się surowymi spojrzeniami, szykując do krwawej potyczki. Gdzieś z boku zarżał koń, ktoś kaszlnął, ktoś splunął.

Przeciwnicy zaczęli krążyć wokół siebie niczym dwa wygłodniałe sępy nad ofiarą. Trwało to dość długo, aż widzowie zaczęli się niecierpliwić. Pierwszy zaatakował Cień. Z brzęcącym niczym przelatująca plaga szarańczy okrzykiem zamachnął się bronią z góry na dół, tam, gdzie znajdował się potężny łeb Drazdana. Broń odbiła się ze zgrzytem od topornej tarczy, a w powietrze wzbił się snop iskier. Drazdan zaśmiał się chrapliwie i natychmiast przystąpił do kontrnatarcia. Potężny topór wystrzelił niczym błyskawica wprost ku głowie Cienia. Trafił jednak w próżnię. Tam, gdzie przed chwilą znajdował się symonita, było tylko powietrze. Olbrzym ponowił atak, raz, drugi i trzeci, lecz za każdym razem skutek był ten sam. Cień gwizdnął wesoło, jakby właśnie bawił się na weselu przyjaciela. Drazdan ponownie przystąpił do ataku, lecz zamaszyste uderzenia za każdym razem przelatywały w sporej odległości od nieuchwytnego przeciwnika. W pewnym momencie Cień zrobił unik, przeturlał się po ziemi i zahaczył kiścieniem o nogi Drazdana. Ten pofrunął w dół i wylądował twardo na plecach. Zatrzeszczały kości, w górę wzbił się obłok kurzu. Symonici wydali okrzyk zwycięstwa.

Drazdan nie czekał na Cienia i czym prędzej powstał. Wylał drobinki śliny z ust i przerzucił broń do drugiej ręki. Walczący ponownie stanęli naprzeciwko siebie. Wyglądali, jakby należeli do dwóch różnych światów – świata ludzi i świata olbrzymów. I znów zaczęli krążyć powoli wokół siebie, markując ciosy, dysząc ciężko, obdarzając się dawką kpin i zawziętych spojrzeń. Słońce odbijało się od nagiej stali, wiatr targał połami płaszczy, konie drobily w miejscu. Twarze walczących stężały w koncentracji, oczy wlepiały się w przeciwnika, wypatrując najmniejszego nawet znaku. Wszak każdy

wie, że oczy są zwierciadłem zamiarów. One jednak były puste, złodowaciałe, matowe.

Tym razem pierwszy ruszył protegowany Wielkiego Księcia. Zamarkował cios toporem i niemal w tym samym czasie wyprowadził kopnięcie w krocze przeciwnika. Ten jednak spodziewał się tego i w porę odskoczył, wyprowadzając w tym samym momencie swój cios. Dwie kolczaste kule trafiły w tarczę olbrzyma, wydając głuche odgłosy. Drazdan spojrział zdumiony na przeciwnika, zastanawiając się, skąd w tym mikrusie tyle siły. Zaraz jednak musiał ponownie zasłonić się tarczą. Zamaszyste uderzenia zaczęły spadać na niego raz za razem. Kilka z nich trafiło w zbroję olbrzyma, powodując wgniecenia i uczucie tępego bólu. Kule przecinały powietrze coraz szybciej, spychając Drazdana do głębokiej defensywy. Ten od czasu do czasu próbował kontratakować, lecz Cień był nieuchwytny. To stał w jednym miejscu, by po chwili pojawić się zupełnie gdzie indziej. Wyprowadzane z potworną siłą uderzenia topornego oręża były zbyt wolne, by mu zagrozić.

Drazdan zaczął ciężko oddychać. Kątem oka zobaczył dwie tańczące w powietrzu stalowe kule mknące ku jego twarzy. W ostatniej chwili zdołał się odchylić, czując przed nosem nagły powiew powietrza. Z drugiej strony dojrzał odblask miecza, który nie wiadomo kiedy pojawił się w lewej ręce symonity. Podniósł tarczę do góry, lecz miecz nagle zmienił kierunek i trafił go w nabiodrnik. W tym samym czasie poczuł ból w okolicach piersi. Dwa głuche odgłosy zlały się w jeden. Po chwili dołączył do nich stłumiony krzyk olbrzyma. Obserwujący walkę widzowie jęknęli ze zgrozy. Drazdan zachwiał się i musiał podeprzeć się toporem, by nie upaść. Cień wyczuł jego słabość i z jeszcze większą werwą ruszył do ataku. Bijaki wywinęły dwa fikołki w powietrzu i poruszane wprawnym ruchem nadgarstka wystrzeliły w stronę głowy Drazdana. Ten zrobił krok w tył, podniósł topór do góry poziomo do ziemi i przesunął go do przodu. Rzemienie kiścienia owinęły się wokół drzewca oręża. Drazdan szarpnął bronią z całej siły i wyrwał kiścień z rąk

zdziwionego takim obrotem sprawy Cienia. Oręż poszybował w powietrzu i upadł kilkanaście kroków dalej. W tym samym czasie Drazdan wyprowadził silne kopnięcie w brzuch przeciwnika, odrzucając go do tyłu. Z szeregów Pięciu Księżstw dało się słyszeć gromkie owacje. Na krótko. Cień poderwał się z ziemi i dopadł w kilku susach do zatopionej w błocie broni. Zamachał nią kilka razy w powietrzu, otarł pot z czoła i wywalił na wierzch język.

- Tylko na to cię stać, kozi wypierdku? - syknął, wykrzywiając twarz w szyderczym uśmiechu.

Drazdan nie odpowiedział. Odrzucił nieporęczny topór, który zabierał mu więcej sił, niż wyrządzał krzywdy przeciwnikowi, a w zamian podniósł z ziemi lżejszy i poręczniejszy miecz, który jakiś z żołnierzy rzucił mu po nogi. Machnął nim kilka razy na próbę i ruszył do przodu.

Ponownie starli się w boju. Broń śmigła w powietrzu, powodując ciche świsty. Bijaki zaczęły coraz śmieiej sobie poczynać, trafiając od czasu do czasu w wielkie ciało Drazdana. A Cień wciąż był nieuchwytny.

Muszę go zmęczyć - pomyślał Drazdan, lecz to on zaczął coraz głośniejsz sapać. Symonita zaś jakby z każdym uderzeniem nabierał sił. Bijaki kiścienia tańczyły wraz z krótkim mieczem w przezroczystym powietrzu niczym trzy wróbelki podczas zalotów. Drazdan zdał sobie sprawę, że przegrywa. Jego nadludzka siła na nic się zdawała w walce z przeciwnikiem, który był niczym wiatr. Niczym najprawdziwszy cień, który można poczuć, lecz którego nie można dotknąć. Mocarne nogi coraz częściej się uginały, serce dudniło jak kowalski miech. Każdy haust powietrza kłuł płuca, jakby było ono przesiąknięte drobnymi igłami. Drazdanowi zakręciło się w głowie. Nagle poczuł dochodzący z boku pęd powietrza. Starał się zasłonić, lecz było za późno. Przed oczyma ujrzał oślepiające światło. Później nadszedł tępy ból i smak krwi w ustach. Olbrzymie ciało osunęło się powoli na ziemię.

Cień wydał z siebie okrzyk triumfu i podbiegł dobić przeciwnika. Drażdan zdołał wydobyć z siebie ostatnie zapasy sił i przeturlał się w bok. Bijaki z całą mocą gruchnęły o ziemię, wzbijając w górę grudki błota. Po chwili jednak znów pędziły w stronę wyczerpanego olbrzyma. Ten podniósł tarczę. Huk był tak wielki, jakby niedaleko od nich rąbnął piorun. Po chwili nastąpiły kolejne ataki zalewające Drażdana powodzią ciosów. Tylko jakimś cudem żaden z nich nie trafił celu. Samozwańczy rycerz odpychał się nogami, chcąc uciec jak najdalej od tej nawałnicy, lecz Cień jakby się do niego przykleił. Drażdan zablokował ostatnie uderzenie i nagłym ruchem poderwał się z ziemi.

- Jeszcze nie masz dosyć, pogański kiepie? - spytał pogardliwie wyznawca jednoboga i uśmiechnął się perfidnie.

Olbrzym wykorzystał ten moment na krótki odpoczynek. Zbyt krótki. Jego przeciwnik znów zaatakował. Śmiercionośne bijaki ponownie poszybowały po niebie i osiągnąwszy olbrzymią prędkość, spadły na tarczę Drażdana. Raz, drugi, trzeci... za każdym razem w innym miejscu. I znów trafiły w głowę, powodując tępy ból, jasny blask... i coś jeszcze. Drażdan spojrzał głęboko w oczy wojownika Szymona. Później przeniósł wzrok na przestrzeń, po której ponownie pędziły bijaki. I nagle wiedział, w które miejsce uderzą.

Kolejne uderzenie trafiło w jego głowę, lecz tym razem nie były to stalowe kule, lecz błysk oświecenia. Drażdan ujrzał wzór, według którego poruszał się oręż przeciwnika. Ósemka w powietrzu, cios w górę, pętelka, pchnięcie miecza, cios w korpus, nagły zwrot, cięcie miecza, fortel, cios w twarz, ósemka nogi, pętelka, korpus... Wiedział już, co zrobi symonita, potrafił przewidzieć kolejny ruch.

Nieświadomy niczego Cień wciąż atakował. Bawił się swoim przeciwnikiem, upajając się dobiegającymi z oddali owacjami swych towarzyszy. Jawnie lekceważył olbrzyma, ufając swym siłom. Był pewny siebie... zbyt pewny. I to go zgubiło. Drażdan z łatwością przewidział nadciągające zagrożenie. W odpowiednim momencie ukucnął, pozwalając bijakom przelecieć mu nad głową, i gdy kiścień

zawracał, huknął z całej siły tarczą w twarz Cienia. Rozległ się odgłos łamanych kości. Z nosa trysnął strumień krwi, z ust posypały się wybite zęby, a w oczach symonity pojawiło się niedowierzenie. Cień padł w błoto. Zdołał jeszcze spojrzeć w niebo, jakby tam szukał ratunku, lecz ujrzał jedynie świetlny refleks, biel obnażonych zębisk, złowrogi uśmiech. Chciał wstać, lecz nie zdążył. Miecz Drazdana z olbrzymią prędkością przeciął ciężkie powietrze, przebił jego skórę i dotarł do serca. Przed oczyma Cienia, niczym różnokolorowe szkiełka w kalejdoskopie, pojawiły się migawki z jego życia. Przez chwilę znów był w swojej rodzinnej wiosce, siedząc przy ognisku z ukochaną babcią. Zaraz potem ujrzał jej zmasakrowane zwłoki i swoje łzy. Później po kolei pojawiały się przerażone twarze licznych ofiar, którym odebrał cześć i godność. Pojawiła się także urocza buzia jego wielkiej miłości, dziewczki o cudownych oczach, przez które popadł w tarapaty. A potem znów siedział zapomniany przez wszystkich w ciasnym lochu, znów rozmawiał z młodym kapłanem, przemierzał pustynię, ocean, łąki i lasy. Na samym końcu zdołał jeszcze dojrzeć zgarbioną sylwetkę kościstej staruchy, który zbliżała swe usta do jego twarzy. Poczul na wargach zimny dotyk. I nagle wszystko się skończyło. Nastal kres jego życia.

Z ośmiu tysięcy gardeł wyrwał się krzyk triumfu. Z dwunastu tysięcy gardeł wyrwał się krzyk grozy.

- A niech to szlag - przeklął siedzący obok Swaroga i Peruna Szymon Mag, widząc klęskę swojego wyznawcy. - Mam nadzieję, że mu nie pomagaliście.

- A skądże znowu - oburzył się pogański bóg nieba, obrzucając swego adwersarza zdumionym spojrzeniem. - Umawialiśmy się wszak, że nie interweniujemy w sprawie tych idiotów. Chcą się pozabijać w naszym imieniu, niech to robią. A teraz skupmy się, zapowiada się ciekawa bitwa.

Kwizdyń Gładkolicy uniósł prawą dłoń w górę. W powietrzu rozległ się rozdzierający odgłos trąb. Sztandary zafurgotały, kropierze załopotały, płaszcze zawirowały na wietrze. Trzykrotnie zapiał kur.

I nagle ziemia zadudniła odgłosem tysięcy kopyt. Centrum symonitów zafalowało. Setki jeźdźców ruszyło do ataku – ku sławie, ku chwale, ku śmierci i ku wiecznemu życiu.

Z przodu, uformowana w dwie kolumny, jechała lekka jazda strzelców wyborowych – Kurdańczycy. Wiejący z przodu wiatr nadymał ich obszerne płaszcze koloru ziemi, sprawiając wrażenie, że oto nadlatuje olbrzymie stado krwiożerczych nietoperzy. Jechali w ciszy, lekko pochyleni w siodłach, a w rękach trzymali swe sławetne łuki, wykonane z brzozowego drewna, zwierzęcych ścięgien oraz kości.

Kilka długości koni za nimi podążali ciężkozbrojni rycerze zakonu. Ich zbroje świeciły w promieniach słońca, a czoła pociły się pod ciężkimi hełmami, zasłaniającymi całą twarz. Żłociste błyskawice na ich płaszczach zdawały się emanować niszczycielską siłą, czekając tylko na moment, aż będą mogły wbić się w serca wrogów wiary. Tak jak trzymane przez rycerzy skierowane ku niebu kopie, tworzące gęsty las śmierci.

Ziemia dudniła jak podczas trzęsienia. W powietrze wzbijały się tumany kurzu, srogie oczy wbijały się w majaczące w oddali sylwetki pogan. Przejechali już ponad połowę drogi, gdy nagle skręcili ostro w prawo, wprost na chorągwie Magyoranu.

Wielki Książę pokiwał głową, doceniając manewr przeciwnika. Sam by tak zrobił, będąc na ich miejscu.

Czasu było coraz mniej. Jarogniew wiedział, że musi coś zrobić, bo inaczej skrzydło zostanie przełamane. A czas – podstępna bestia – nagle przyspieszył.

– Wysłać jazdę! – krzyknął co sił w płucach.

Jego słowa zostały kilkakrotnie powtórzone, aż dotarły do uszu Bolesława, który przeżył się do skoku niczym drapieżnik polujący na ofiarę. Twarz młodego księcia była spokojna, niemal natchniona. Zupełnie inna niż siedzącego po jego prawicy wybrańca bogów. Grubas cały się spocił, nieprzywykły do ciężkiej i niewygodnej zbroi opinającej jego słusznych rozmiarów ciało. On także usłyszał rozkaz

i wraz z innymi ruszył do ataku, przeklinając chwilę, gdy z własnej woli zaciągnął się do wojska Wielkiego Księcia. No cóż... nikt nie mówił, że życie bohatera usłane jest różami.

Tymczasem z drugiego skrzydła armii symonitów ruszyły zastępy pieszych. Kierowały się wprost na chorągwie Kriglandastanu. Z przodu pikinierzy, dalej łucznicy, synowie pustyni, czarni jak Pani Noc Afirandajczycy, potężni Barkudzi i setki, tysiące innych mężów pragnących dać upust nagromadzonej żądzy mordy. Jeszcze kilka dziesięcioleci wstecz toczyli ze sobą odwieczne spory. Teraz jednak idą ramię w ramię, pod wspólnym sztandarem uszytym z miłosierdzia Szymona.

Ziemia ponownie zadrżała, kur zamilkł przeszyty przypadkowym bełtem. W szeregach Lady Erzsébe pojawiły się pierwsze oznaki niepokoju. Żołnierze z niecierpliwością oczekiwali na wynik starcia dwóch nieuchronnie zmierzających ku sobie ludzkich fal.

Tymczasem jeźdźcy byli coraz bliżej siebie. Kurdańczycy zwolnili, wyprostowali się w siodłach, wyciągnawszy przed siebie swoje łuki. I nagle w powietrze wzbił się grad strzał. Pierwsze szeregi rycerstwa Ziemi Warszuckiej zostały zdziesiątkowane. Jeźdźcy upadali na ziemię, stając się przeszkodą dla tych jadących z tyłu. Niektóre konie spanikowały. Inne nie zdążyły wyminąć leżących ciał i przewracały się, zrzucając dosiadających ich mężczyzn. Ci, którzy ustali, wystawili kopie do przodu, celując wprost w nieuzbrojonych strzelców. Długie ciężkie drzewca broni ciążyły ku ziemi, lecz potężne mięśnie rycerzy utrzymywały je na wprost. Już miały zetknąć się z pierwszymi ofiarami, gdy nagle jadące z przodu dwie kolumny strzelców rozjechały się w obie strony niczym prąd rzeki, który trafił na olbrzymią kłodę. A tuż za nimi wyłonili się ciężkozbrojni rycerze zakonu z gotowymi do zderzenia kopiami.

Rozległ się olbrzymi huk. Stal trafiła w stal. W powietrzu zawirowały iskry, drobiny kurzu, połamanego drewna, wybite zęby i strugi krwi. Synowie Ziemi Warszuckiej padali na ziemię niczym łany pszenicy podczas zniw. Rycerze zakonu w impetem wnicali w wolne

luki, roztrzaskując kopie, których miejsce zajęły niebawem miecze. Jeszcze czyste, lecz po chwili na każdym z nich pojawiła się krwawa smuga. Zewsząd rozlegał się brzdęk tarcz, parskanie koni, krzyki rannych.

W samym środku wrzawy prym wiódł zrzędlawy Hunold, który wreszcie mógł dać upust nagromadzonej w nim złości. Właśnie powalił siwowłosego rycerza o hełmie z dwoma byczymi rogami, a już rozglądał się za kolejną ofiarą. Krople krwi powoli padały na zabłoconą ziemię. Kap, kap, kap. Kątem oka ujrzał nadciągający ku niemu oręż - sam nie wiedział, czy był to miecz, topór, czy inne żelastwo. Szarpnął lejcami, wystawił tarczę, ciął mieczem. I znów krew zaczęła kapać z jego miecza, rysując w powietrzu czerwoną linię.

Wielki Książę zmarszczył brwi, obserwując powolną klęskę swego rycerstwa.

- Posłać chorągwie Magyoranu! - zaryczał tubalnym głosem.

Ponownie rozległ się przeszywający bitewny zgiełk głos trąb. Ponownie załomotały w powietrzu sygnalizacyjne flagi, dające znak Pięknej Pani. Żołnierze Magyoranu ruszyli w sukurs swym niedawnym wrogom. Z przodu pikinierzy z wystawionymi do przodu drzewcami, dalej łucznicy, a tuż za nimi chłopska hołota, którą siłą wcielono do wojska, przeszkolono niedbale i wciśnięto w dłonie różnoraką broń. Im także udzieliła się zbiorowa furia. Na samym końcu szli wierni rękodajni, bacząc uważnie, by nikt nie próbował wymigać się od obowiązku.

- Bić, zabić! - krzyknął któryś z wojaków, próbując dodać sobie i innym otuchy.

- Bić, zabić, bić, zabić! - odpowiadali inni, ściskając mocniej broń w dłoniach.

Pierwsze szeregi przyśpieszyły kroku, naciskane przez idących z tyłu towarzyszy. Nie uszli jednak zbyt daleko, jak spod ziemi wyłoniła bowiem się lekka jazda Kurdańczyków. Tak samo milcząca, tak samo złowroga i tak samo siekająca wrogów deszczem strzał.

Padły trupy. Symonici byli coraz bliżej. Żołnierze Pięknej Pani zatrzymali się, przygotowując do odparcia natarcia. Tępe końce pik ponownie ugrzęzły w błocie, a ich ostrza skierowane zostały wprost na cielska nadjeżdżających koni. I ponownie przeszły jedynie powietrze, tak samo jak strzały stojących z tyłu strzelców Magyoranu. Lekka jazda symonitów z wielką sprawnością rozjechała się na boki. Po chwili ponownie zrobiła nawrót i, uformowana tak samo jak na początku bitwy, ponowiła atak.

- Tarcze w górę! - krzyknął Ivan, który dowodził poddany Pięknej Pani. - Łucznicy, ognia!

W górę wzbiły się dwie zmierzające w przeciwnych kierunkach chmury strzał. Powietrze przeszły chrapanie koni i wrzask rannych. Symonici porzucili łuki i w pełnym galopie dobyli lekko zakrzywionych szabli. Z całym impetem natarli na spodziewających się kolejnego nawrotu żołnierzy Magyoranu. Bezgłowe ciała zaczęły padać na ziemię.

Na środku błotnistych równin utworzyły się dwa ogniska walki, które stopniowo zlewały się ze sobą.

Wielki Książę stał z boku na niewielkim wzgórzu. Splótł ręce z tyłu i zmarszczył brwi. Bitwa od samego początku nie układała się po jego myśli.

- Trzeba posłać chorągwie Ichnuzji - poradził mu stojący obok Sulimir. - Póki jeszcze nie wszystko stracone.

Książę pokiwał głową. Kilka chwil później zastępy wojowników północy ruszyły do ataku. Ponownie zadudniła ziemia. Siedzące na drzewach ptactwo poderwało się w górę. Słońce schowało się za chmurami, wzmógł się wiatr. A oni wciąż gnali, wzbijając w górę tabuny kurzu.

Tymczasem drugie skrzydło wyznawców Szymona zbliżało się do stojących w równym rzędzie wojsk Olkmunda Stalorękiego. Książę Kriglandastanu czekał nieruchomo w otoczeniu swych rycerzy. Jego twarz połyskiwała w słońcu, które ponownie weszło nad pokrytymi krwią równinami. Władca był spokojny. Wśród bitewnej wrzawy,

latających pocisków, strug potu i krwi czuł się niczym ryba w wodzie. Nie zdawał sobie sprawy z problemów, jakie jego sojusznicy mieli na drugim skrzydle. On miał swoje zadanie do wykonania.

- Czekać na mój rozkaz! - darł się, ile miał sił w płucach. - Nie strzelać. Jeszcze nie!

Symonici byli coraz bliżej. Co bardziej niecierpliwi zaczęli wyrwać się do przodu, chcąc jak najszybciej zatopić ostrza swych broni w ciele wrogów Pana. Inni nie chcieli być gorsi. Dowódcy wydzierali się wniebogłosy, próbując zachować resztę dyscypliny, lecz było już za późno. Instynkt plemienny i żądza krwi wygrały z długotrwałymi ćwiczeniami taktyki. Po chwili nadciągająca chmara ludzi w niczym nie przypominała karnej armii, tylko bezładną horde krwiożerczych bestii, pędzących na złamanie karku ku stojącym nieruchomo wyznawcom wielu bogów. Każdy chciał być pierwszy. Każdy chciał zabić lub zginąć - w imię Boga, w imię Szymona, w imię wiecznego życia.

- Hurrrrrrraaaaaaa! - z zachrypniętych gardeł wyrwał się świdrujący ryk, mający napełnić serca wrogów lękiem.

Kriglandastańczycy wciąż stali nieruchomo. Czekali.

- Czekać... jeszcze nie... Ognia! - rozległ się dudniący po okolicy wrzask księcia Olkmunda.

W powietrze wzbiła się salwa strzał, która niczym burzowa chmura przesłoniła na jakiś czas niebo. To jednak nie krople deszczu, lecz śmiercionośne pociski zaczęły spadać na biegnących bezładnie symonitów.

- Ognia! - ponowił rozkaz książę i znowu niebo zageściło się od świszających strzał. Symonici jednak nie zwolnili. Wręcz przeciwnie. Zapach krwi i widok padających towarzyszy rozsierdził ich jeszcze bardziej. - Ognia! - ponowił Olkmund i trzecia salwa strzał wzbiła się w powietrze. - Pierwszy szereg w tył. Piki w górę. Czekać. Przygotować pawężę.

Pierwsi symonici już dobiegali do zwartych szeregów obrońców. Już widać było ich zaślepione rządzą mordu ślepie. Sprężyste mięśnie

napinały się w gotowości, a oczy płonęły ogniem.

- Piki w dół.

Drugi szereg wojsk Olkmunda opuścił długie drzewce broni, których ostrza po chwili wbiły się w chronione jedynie skórzanymi pancerzami ciała wrogów. Gruchnęły kości, trysnęła krew. Ci, którzy jakimś cudem zdołali się prześlizgnąć przez las ostrzy, teraz odbijali się z impetem od olbrzymich pawęży broniących dostępu niczym miejskie mury. Symonici padali jak muchy w smołę, jednak z pokrytej tumanami kurzu i błota równiny wciąż napływały ich nowe fale. Nieskończona ciżba zła i agresji.

- Ognia! - wydarł się Olkmund, którego głos powoli ginał w okrutnej wrzawie. Mimo to setki strzał ponownie wyleciało w powietrze, trafiając nadbiegających wrogów.

Zaczęła się walka wręcz.

- Trzymać szyk! - krzyknął jeszcze Olkmund, lecz po chwili ujrzał pędzącego w jego stronę olbrzyma z toporem uniesionym ku niebu. Ten kierował się wprost na księcia, lecz nie zdołał pokonać nawet połowy odległości, gdy jego głowa oderwała się od ciała. Korpus zrobił jeszcze dwa kroki, nim zwałił się na ziemię. Zaraz jednak pojawił się następny śmiałek. I kolejny. Każdy kończył podobnie. Miecz Olkmunda tańczył z wirtuozerią godną mistrza i powalał symonitów niczym huragan tnący drzewa. Jednego za drugim. Reszta rycerstwa starała się dorównać swemu wodzowi, wybijając rytmiczny takt z okrzyków agonii swych wrogów. Tych jednak cały czas przybywało. Wyrastali jakby spod ziemi i momentalnie zalewali ziemię strugami własnej posoki. To nie było miejsce pełne miłości i współczucia, to było istne piekło. Ziemia obiecana wiecznie nienasyconej Pani Śmierci, która przechadzała się w tłumie walczących, wskazując raz po razie kościstym szponem i składając setki zimnych pocałunków na ustach swych ofiar. Cieszyła się przy tym niczym małe dziecko, widząc, jak jej wybrańcy rozpaczliwie trzymają się tego łoża padołu.

Wojska Olkmunda dzielnie odpierały atak symonitów i z każdą chwilą zdobywały przewagę. Dumnie siedząca w siodle i wydająca rozkazy postać władcy napełniała serca żołnierzy niezwykłą otuchą. Takich właśnie władców kocha żołnierska brać. Dzielnych i walecznych, którzy ramię w ramię ze swymi poddanymi, w samym środku bitewnego kotła, stawiają przeciwnikowi czoła

Takich właśnie władców nienawidziła dusza Hamila al-Kataraja, która z góry obserwowała przebieg potyczki. Odczekała jeszcze kilka chwil, po czym ponownie zespoliła się ze starczym ciałem.

- Niedobrze - westchnął do siebie Kwizdyń Gładkolicy, gdy stojący obok mag streścił mu przebieg potyczki. Następnie odwrócił się do stojących nieopodal kurierów i wydał rozkaz.

I niebawem na pole bitwy wjechał zastęp złożony z najznamienitszych jeźdźców świata. Zwinni jak kocury w rui, odważni niczym wygłodniałe szczury, niscy, lecz niezwykle waleczni Gontarzy wychynęli z niewielkiego zagajnika i ruszyli galopem w kierunku kłębowiska walczących. Wyglądali niczym rozpędzona kula zła, lawina wściekłości, tajfun agresji. Ich pomalowane na czerwony kolor twarze kipiały żądzą mordy, oczy strzelały piorunami, a gardła wyły niczym dusze potępionych. Tumany kurzu wzbijały się w powietrze, ziemia dudniła, czarne chorągwie łopotały. Gontarzy byli coraz bliżej celu. Niektórzy powyciągali oręż. Promienie słońca zafalowały na główkach szabel, strzelając refleksami w niebo. A jeźdźcy nagle zwolnili, wpierywając, później słysząc, a na koniec widząc nadciągające ku nim niebezpieczeństwo.

Nieoczekiwanie z ich lewej strony pojawił się gruby obłok kurzu, który dość szybko przybrał postać pędzącego na nich tabunu wojowników. Zbliżał się bardzo szybko, wypełniając powietrze przeraźliwym okrzykiem setek gardeł. Już widać było pojedyncze twarze nacierających, ich wykrzywione wargi, pomalowane czoła i majtające na wszystkie strony splecione warkocze, wyrastające z czubków wygolonych dookoła czaszek. Konie szarżujących były dwa razy większe od wierzchowców Gontarów, a siedzący na nich

wojownicy wyglądali niczym prawdziwi synowie wojny. Mogliby nawet konkurować z Barkudami o zaszczytny tytuł najbardziej przerażających istot ludzkich, jakie kiedykolwiek stąpały po ziemi. Bitwa to jednak nie konkurs piękności. Tu liczy się siła, sprawność, intelekt i odwaga. A z tych wszystkich cech nadjeżdżający bynajmniej nie słynęli. Mieli za to inny argument - liczebność. I to ona spowodowała, że serca gnających na złamanie karku Gontarów wypełniły się strachem.

- Urrraaaaaaaa!!! - darli się nadciągający Capowie, bo to właśnie oni zawitali na karty historii. Były to owiane złą sławą plemiona zamieszkujące jałowe stepy na zachód od Kriglandastanu. Zdradliwe, podstępne i pazerne. I to właśnie ta ostatnia cecha skłoniła ich do wzięcia udziału w wojnie obcych potęg. Skuszeni obietnicą nieprzebranych worków złota, mieli być tajną bronią Olkmunda w walce z Wielkim Księciem. Teraz zaś przybywali mu z pomocą, by odeprzeć atak Gontarów, który mógłby ostatecznie przechylić szalę zwycięstwa w tej bitwie.

Potężna fala jeźdźców zbliżała się coraz szybciej. Okrzyk zmienił się w przeciągłe wycie, które mieszało się ze stukotem końskich kopyt. Gontarzy w porę zareagowali i zmienili tor jazdy. Teraz kierowali się wprost na wrogów.

I w końcu zderzyli się ze sobą. Dwa przeciwległe prądy zmieszały się w śmiertelnym tańcu. W powietrzu rozległ się olbrzymi huk, który wzbil się ponad głowy walczących, poniósł po całej okolicy, wypełnił ziemię, przestraszył niebo. Czerwień zawładnęła światem, nienawiść zawładnęła ludźmi i tylko suchość zimnych ust kostuchy potrafiła ją okiełznać. Mniejsze i zwinniejsze konie Gontarów zręcznie lawirowały pomiędzy olbrzymimi wierzchowcami Capów, a dosiadający ich jeźdźcy sprawnie unikali wyprowadzanych z olbrzymią siłą ciosów. Odchylali się w siodłach, zmieniali pozycje, chowali się pod cwałujące brzuchy i nagle wystrzeliwali z drugiej strony, tnąc celnie wrogów. Ich ostrza szybko zabarwiły się posoką, lecz wciąż były nienasycone. Jednak Capów było wielu. Jakim dziwnym miejscem bywa niedostępny

step, że z pozoru jałowa ziemia jest w stanie ich wszystkich wykarmić. Byli niczym ziarnka piasku pustyni pchane siłą wiatru wprost pod oręż symonitów. I niczym ziarnka piasku w końcu oblepiły swych wrogów, krępując im ruchy i ograniczając pole manewru. Gontarzy zaczęli tracić siły, a końca potyczki nie było widać.

Dusza Hamila al-Kataraja ponownie wróciła do swego pana. Starzec otworzył oczy i wziął głęboki oddech. Zakreśliło mu się w głowie, zachwiał się i wpadł na stojącego obok Kwizdynia, który musiał go przytrzymać. Dopiero po chwili starzec poczuł się na tyle silny, by odpowiednie słowa uformowały się w jego gardle. I nie były to bynajmniej słowa, jakie miał ochotę usłyszeć głównodowodzący armią Szymona.

- Nie jest dobrze. Te pogańskie psy stawiają zacięty opór. Tracimy zbyt wielu ludzi, szczególnie na zachodnim skrzydle. Musimy coś wymyślić, nim będzie za późno.

- Co proponujesz? - spytał Kwizdyń Gładkolicy, słusznie się domyślając, że jego rozmówca ma plan.

- Trzeba osłabić ich ducha - odparł z rozmysłem starzec. - Pozwól mi wziąć mych braci z darem i posłać tego przeklętego poganina, Olkmunda, tam gdzie jego miejsce - do najdalszych odmętów piekła. Bez wodza żołnierze staną się bezbronni niczym sieroty.

Kwizdyń Gładkolicy zmarszczył czoło, wydał wargi i podrapał się po czubku głowy, usilnie zastanawiając się nad słowami starca. Z jednej strony potrzebował maga przy sobie - ten był przecież jego oczami, dzięki niemu miał możliwość wglądu w przebieg całej bitwy. Z drugiej strony starzec mógł mieć rację. Może nadszedł właściwy czas.

- Jedź - odparł krótko, wykonując ręką pionowy ruch z góry na dół. - Dam wam eskortę. A jak wam się uda, to pošlijcie też w diabły tego grubasa, który zaczyna mnie coraz bardziej mierzić.

Brat Hamil uśmiechnął się ponuro. Otworzył usta, by jeszcze coś powiedzieć, lecz zamiast tego machnął ręką w powietrzu. Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do stojącego nieopodal białego

niczym śnieżny puch rumaka. Z zadziwiającą lekkością wskoczył na siodło i pokłusował ku grupce odzianych w jaskrawe stroje magów. Siwe włosy czarownika wirowały w porywach nasilającego się wiatru, a oczy płonęły czerwonym blaskiem. Zatrzymał się przed swymi towarzyszami i, nie wypowiadając żadnych słów, przekazał im swój plan. Czterech magów jednocześnie kiwnęło głowami i po chwili wszyscy ruszyli do przodu. Towarzyszył im tuzin białych płaszczy ze złocistymi błyskawicami wyszytymi na piersiach.

Wtem nad Równinami Szeptu wzbił się przeraźliwie głośny okrzyk radości, wyrwany z tysięcy piersi wielbiących Szymona. Olbrzymi, górujący nad innymi sztandar Ziemi Warszzyckiej legł w błoto wraz z trzymającym go chorążym. Kwizdyń wreszcie się uśmiechnął. Przynajmniej na tamtym skrzydle wszystko przebiegało po jego myśli. Białe płaszcze łopotały na wietrze, a unoszone przez ich właścicieli miecze raz za razem cięły wrogów wiary. Tych zostało niewiele, jednak bronili się do ostatniego tchu. Gdzieś przemknęła sylwetka brata Yvesa, który dwoił się i troił, a tych, którym odebrał życie, nikt nie był w stanie policzyć. Z drugiej strony prym wiódł złotowłosey kapitan Chociemir Slava – istny bóg wojny, istny posłaniec śmierci. Nie liczył już ofiar, tylko ciął każdego, kto mu się nawinął. I nagle oczy tych dwóch srogich wojów spotkały się w połowie drogi. Z nienawiścią, ale też z szacunkiem. Dwie szyje jednocześnie schyliły się ku ziemi, a pięty uderzyły w końskie boki. Zaczęli jechać ku sobie, brocząc drogę szlakiem krwi. Raz jeszcze łypnęli na siebie, tym razem ostrożnie i z rozmysłem, próbując ocenić przeciwnika. I wreszcie zaczęli krwawy taniec. Wokół zrobiło się pusto. Byli tylko oni – młody kapitan książęcej gwardii i starszy zakonnik, uczeń Szymona. Miecz przeciwko mieczowi, tarcza przeciwko tarczy, rycerz przeciwko rycerzowi. I Pani Śmierć – ona czaiła się tuż obok. I nagle we wszystko wmieszała się włócznia rzucona przez któregoś z pogan. Przecięła gęste powietrze i zatopiła swój ząb w bok konia dosiadanego przez zakonnik. Ten właśnie szykował się do ciosu, gdy zwierz stanął dęba i zrzucił go na ziemię. Głowa huknęła o glebę,

kręgi szyjne uległy złamaniu, serce stanęło. Ech, spodziewaliśmy się czegoś więcej.

Nieco dalej szalał Bolesław. Otoczony ze wszystkich stron dzielnie stawiał opór nawałnicy ciosów. Ruchy jego miecza były wyważone, wyprowadzone jakby od niechcienia, lecz za każdym razem niechybnie trafiały celu. Precyzyjnie i miarowo. Jeden ruch, jeden trup. Tuż obok stał jego wuj Jarnasz, który w każdym symonicie widział znieawidzonego Helmunda. I właśnie ta nienawiść dodawała mu siły. Wyglądał niczym bóg zemsty karzący okrutnie swych wrogów. Potężny i mściwy, z jednym okiem zasłoniętym czarną opaską, a drugim zasnutym krwią. A obok nich zajadłe walczył sam wybraniec bogów. Jego grube cielsko było łatwym celem dla wprawionych w boju zakonników, jednak jakimś cudem miecze go omijały. Widocznie wybrańcy bogów tak mają. Grubas był ledwie żywy z wysiłku. Strugi potu zalewały mu oczy pod zakrywającym całą twarz hełmem z przyłbicą. Nogi słaniały się z lewa na prawo, a wielgachny bebecch podskakiwał z każdym kolejnym ruchem. A mimo to nadal walczył. Walczył i zabijał. Był przecież rycerzem. Na domiar złego w jego ciele utkwiała strzała, szukająca drogi do dzielnego serca. Nawet ona pogubiła się w bezmiarze tłuszczu i dała za wygraną, rozsierdzając jeszcze bardziej bohatera przyszłych opowieści.

- Który jeszcze chce się zmierzyć z przesławnym rycerzem Oranem? - zaryczał grubas, gdy jego miecz jakimś cudem skrócił o głowę młodego symonitę. - No który, psie syny?

Nagle zamilkł, gdyż ujrzał zbliżającego się ku niemu męża o twarzy srogiej niczym Pani Zima. Przesycone złością oczy symonity kłuły serce grubasa na podobieństwo ostrych cierni i w jednej chwili napęłniły je paraliżującym strachem. Owalna twarz wykrzywiła się w groteskowym grymasie. Oran z trudem przełknął ślinę i przeklął w myślach swój plugawy jęzor.

Posępny wojownik zbliżył się do niego i zamachnął mieczem. Grubas chciał się zasłonić, lecz zabrakło mu siły.

Żegnaj, życie, witaj, Volko - zdołał jeszcze pomyśleć, przygotowując się na śmierć. Momentalnie zapomniał, że jest wybrańcem bogów. Bogowie jednak o nim nie zapomnieli. W ostatniej chwili przyszli mu z pomocą i rękoma Bolesława uchronili jego głowę przed wycieczką poza obręb ciała. Miecz książęcego syna sparował uderzenie symonity, po czym wywinął w powietrzu zamaszysty łuk i trafił zakonnika pod żebra.

- Poradziłbym sobie - wysapał Oran, lecz po chwili kolejny przeciwnik stanął na jego drodze. Tym razem uratował go Achud, który zaszedł śmiałka od tyłu i odrąbał mu rękę wraz z mieczem. Napastnik przeklął szpetnie w swym barbarzyńskim języku, zatoczył się w bok i potknął o jakiegoś trupa. Już nie wstał, został zgnieciony kopytami czyjegoś konia.

Oran spojrział w jego stronę i splunął na ziemię. I właśnie wtedy jego wzrok padł na główny sztandar Ziemi Warszzyckiej. Leżał tuż obok niego, upaprany błotem i krwią, przywalony czyjąś drgającą w konwulsjach pierśią. Kilka razy jakaś stopa zbecześciła go swym dotykiem, lecz nikt nie miał na tyle odwagi, by schylić się po niego i uratować go przed dalszym poniżeniem. Nie, kiedy tuż obok szalał obryzganym krwią wrogów brat Hunold, złorzecząc na swój podły los i tnąc wrogie karki z szybkością żywiołu.

- Nie może być - westchnął Oran, widząc to świętokradztwo. Nie namyślając się długo, zeskoczył z konia i, cudem unikając zetknięcia z nienasyconym orężem symonity, podniósł sztandar z ziemi. Skrzydlata postać mężczyzny o nogach byka i lwim ogonie, uzbrojona w tarczę i miecz, ponownie załopotwała na wietrze, a serca poddanych Wielkiego Księcia napełniły się radością i nową falą bitewnego zapału. A nasz poczciwy grubasek wreszcie znalazł pretekst, by usunąć się z samego wiru bitewnej zawieruchy. Trzymał przecież chorągwie księstwa. Odzyskał je, narażając swe życie. Był bohaterem i chciał nim pozostać jak najdłużej.

W tym samym czasie grupka magów z Hamilem al-Katarajem na czele dojechała do celu. Wyglądali niczym trupa cyrkowych artystów,

która jakimś przypadkiem znaleźli się na polu bitwy. Ich jaskrawe stroje, starcze twarze i zgarbione sylwetki kontrastowały z otaczającymi ich dumnymi rycerzami zakonu. Dusza Hamila al-Kataraja ponownie wyrwała się na wolność i niczym drapieżny ptak wypatrujący swej ofiary przesuwiała wzrokiem po kłębowisku bijących się w oddali wojowników. Z łatwością odnalazła tego, którego szukała. Dumna postać jeźdźca odzianego w czarną zbroję wyróżniała się wśród innego rycerstwa i barbarzyńskiej hołoty.

Dusza wróciła do ciała. Brat Hamil porozumiał się ze swymi towarzyszami. Magowie zamknęli oczy i uwolnili na zewnątrz zgromadzoną w nich magię. Pięć niosących śmierć kul wzbiło się wysoko w górę i poszybowało w powietrzu. Minęły nieświadomych niczego żołnierzy, przefrunęły nad zalaną krwią ziemią, musnęły czubek głowy siejącego postrach wśród pogan brata Ligona i w końcu zbliżyły się do celu.

Władca Kriglandastanu nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie nad nim zawisło. Zalewał swych wrogów powodzią cięć, sztychów, uników i zastaw. Był niczym nienasycona bestia, a każdy, kto stanął na jego drodze, zaraz potem miał schadzkę z kościstą Panią Śmiercią. A stos jego ofiar rósł z każdą chwilą.

Śmiałków jednak nie brakowało. Właśnie znalazł się kolejny – syn wodza jednego z barbarzyńskich plemion, które całkiem niedawno zawitało w objęcia miłosiernego Szymona. Silny i odważny. I na tyle głupi, by chcieć zmierzyć się z wirtuozem walki zbrojnej. Lekko skośne oczy łypnęły na księcia, wytatuowana w całości twarz wykrzywiła się w mającym budzić grozę grymasie. Z ust wyrwał się urywany krzyk, który bardziej przypominał skowyt rannego wilka niż człowieczy odgłos. Książę Olkmund dojrzał śmiałka. Czekał spokojnie, nie wykonując zbędnych ruchów. Oszczędzał siły. Dziki wojownik był coraz bliżej. Podniósł w górę olbrzymią maczugę i zamachnął się nią na przeciwnika, wierząc, że w ten sposób zdoła pokonać samego księcia. Głupiec! Olkmund tylko na to czekał. W odpowiednim momencie, gdy maczuga już miała zderzyć się z jego hełmem, odchylił

swe ciało w tył i wyprowadził jednocześnie pchnięcie mieczem. Czerwone od krwi ostrze dotknęło marnego pancerza, gotowe zanurzyć się w brzuchu symonity, lecz nagle zatrzymało się w miejscu. Miecz zawisł w powietrzu, by chwilę później spaść na ziemię.

Ciało Olkmunda wygięło się w łuk, a żar kłębiący się w jego oczach momentalnie stracił swój blask. Do końca życia pozostało mu jeszcze kilka chwil potwornego bólu.

Stojący w pobliżu wojownicy Kriglandastanu zamarli w bezruchu. Na ich twarzach pojawił się lęk. Tuż obok kolejnych dwóch rycerzy zważyło się na ziemię. Silny podmuch wiatru wbił się klinem między zbitą masę walczących, przynosząc ulotny zapach ziemi, spalenizny i kwiatów. Słońce schowało się za chmurami i pokryło świat smutną szarugą. Zaczęło lekko kropić. Tuż nad martwym ciałem księcia Kriglandastanu przeleciał olbrzymi kruk, z pyska którego wydobyło się głośne krakanie. Zatrzepotał potężnymi skrzydłami, zrobił niewielkie kółko i zawrócił, aby przysiąść na piersi władcy. Następnie schylił swój długi, zakończony ostrym dziobem pysk, tak jakby chciał oddać cześć wspaniałemu wojownikowi. Chwilę później poderwał się do lotu i zniknął w kłębiących się chmurach. Widzieli go nieliczni, a i ci zastanawiali się później, czy aby nie padli ofiarą jakiejś zbiorowej halucynacji.

I nagle rozległ się chrapliwy wrzask radości. To krzyczał wytatuowany dzikus, który jako ostatni zmierzył się z księciem. Był święcie przekonany, że to on pokonał władcę i swym okrzykiem chciał dać temu wyraz. Zaraz potem dołączyli do niego inni i niebawem okrzyk zmienił się w górującą nad bitewnym zgiełkiem wrzawę, która nappełniła serca symonitów wiarą, a wojownikom martwego księcia podcięła skrzydła. Już nie było w nich tej zaciętości, która jeszcze przed chwilą mogła zmienić bieg historii. Duch zwycięstwa został zastąpiony ponurą świadomością klęski. Walczyli jeszcze, lecz ich ruchy były wolniejsze, ich miecze mniej groźne, a ich tarcze coraz rzadziej zatrzymywały ciosy przeciwników. Niektórzy myśleli już tylko

o tym, by przeżyć i chyłkiem opuszczali bitewny plac, lawirując między chcącymi ich zabić wyznawcami Szymona. A ci litości nie znali. Byli też tacy, którzy do samego końca walczyli mimo że w ich sercach nadzieja już dawno umarła. Woleli umrzeć, niż się poddać czy uciec. I umierali posłusznie, jeden za drugim, lecz nawet w tej ostatniej drodze zabierali ze sobą dziesiątki wrogów. Bitwa trwała, wiara umarła.

I wtem, wśród tej krwawej scenerii, wśród potu, śmierci i krwi rozległy się pierwsze takty pieśni. To był hymn zwycięstwa, który towarzyszył wyznawcom Szymona w każdej bitwie. I zawsze obwieszczał rychłe zwycięstwo.

*Miłosierdzie Twoje innym ludom niosę,
By ich serca otworzyć na nauki Twe.
Niechaj wszyscy w świecie słowa Twoje znają,
Niechaj wszyscy w świecie wielbią miłość Twą.*

*Wszehpotężny Szymonie, studnio wszechmądrości,
Pod twoją opiekę oddaję ja się.
Wszehpotężny Szymonie, miłości skarbnico,
Tyś zawsze jest przy mnie, Ty prowadzisz mnie.*

*Słowo Twoje, Panie, niczym ziarno prawdy
W jałowej nawet ziemi zakiełkuje wnet.
Niechaj wszyscy wrogowie cześć Ci zacząć składać,
Niechaj pieśń zwycięstwa czyny sławi Twe.*

*Wszehpotężny Szymonie, studnio wszechmądrości,
Pod twoją opiekę oddaję ja się.
Wszehpotężny Szymonie, miłości skarbnico,
Tyś zawsze jest przy mnie, Ty prowadzisz mnie.*

Z każdym wersem pieśni serca wojowników Kriglandastanu napępniały się coraz większą trwogą. Nadzieja na zwycięstwo ulatywała z ich dusz niczym powietrze z przekłutego balonu. Jeszcze próbowali stawiać czoła, lecz klęska ostateczna stawała się coraz bardziej realna.

- Książę nie żyje, lecz jego duch powiewa nad nami i ochrania nas przed wrogiem. Musimy walczyć do końca. W imię bogów, w imię księcia, w imię naszych przodków! - zagrzewał ich do boju jeden z rycerzy, który odpierał przy tym atak potężnego symonity.

Część żołnierzy go posłuchała i po chwili walka wybuchła ze zdwojoną siłą. Ponownie rozległ się brzdęk stali, świst powietrza, odgłos ciężkich oddechów i wrzask konających. Trysnęły kolejne strugi krwi, kolejne kończyny poszybowały w górę, by po chwili opaść daleko od swych właścicieli.

A Pani Śmierć śmiała się coraz głośniej.

Jednak na zryw było już za późno. Wraz ze śmiercią Olkmunda zniknęła też nadzieja na wypchane złotem worki, które książę obiecał wodzowi Capów. Więc po cóż miał walczyć dalej i narażać na śmierć swych poddanych? Dla obcych bogów? Dla obcych ludów? Nie. On potrzebował złota i tylko ono skłoniło go do wojny. Teraz zaś była najwyższa pora, by się wycofać.

Tabun przerażających z wyglądu jeźdźców zniknął równie szybko, jak się pojawił, pozostawiając po sobie jedynie obłoki kurzu i dziesiątki trupów. Gontarzy wydali z siebie okrzyk zwycięstwa i, nie czekając na rozkazy, ruszyli do przodu. Oni nie pragnęli złota, oni pragnęli krwi. Krwi pogan, którzy ośmielili się przeciwstawić ekspansji wiary w Jedyne Boga. Jeśli jeszcze Kriglandastańczycy mieli choć cień nadziei na odwrócenie niekorzystnej sytuacji, widok nadciągających oddziałów wroga pozbawił ich resztki złudzeń. To był koniec. Klęska była druzgocąca. Żołnierze Kriglandastanu padali martwi, jeden za drugim. Inni nie czekali na śmierć, tylko czym prędzej porzucali pole bitwy, szukając ratunku w pobliskich lasach.

Prawe skrzydło armii Pięciu Księstw zostało rozbite.

Po drugiej stronie walka jednak wciąż trwała. Twarda, krwawa i zacięta. Rycerstwo Ichnuzji rozbiło natarcie rycerzy zakonu i pośpieszyło z pomocą Wielkiemu Księciu. W samą porę, jego sytuacja stawała się bowiem coraz gorsza.

Dusza Hamila al-Kataraja wróciła do ciała. Stary mag otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Do jego uszu dotarły niesione wiatrem dźwięki dobrze znanej pieśni, którą kiedyś sam napisał, gdy pod wpływem miesięcznego postu popadł w długotrwałą ekstazę. Wtedy też jego dusza po raz pierwszy wyrwała się na zewnątrz. To były zamierzchłe czasy, pełne miłości i spokoju. Czasy, które dość szybko się skończyły. Teraz jego życie powoli dobiegało kresu. Zostało tylko ostatnie zadanie do wykonania, nim wreszcie będzie mógł zasiąść po prawicy stwórcy świata i cieszyć się wiekuistym spokojem.

Słowa pieśni dotarły także do samego Kwizdynia Gładkoliciego. Brat Wielkiego Mistrza uśmiechnął się do siebie. *Udało im się* – pomyślał i wydał kolejny rozkaz. Ponownie rozległ się dźwięk trąb, ponownie załopotwały flagi. W oddali odezwał się głos bębna, a jego powolne takty z każdą chwilą zwiększały tempo.

Bum, bum, bum, bum, bum, bum, bum.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Po chwili dołączyły do niego kolejne bębny, zalewając okolicę przeraźliwym rumorem. Zza niewielkiego wzniesienia wychylali się pierwsi synowie dalekiego południa. Odziani w grube futra, z wargami i nosami przekłutymi kośćmi zwierząt oraz z naszyjnikami zrobionymi z ludzkich uszu wyglądali niczym prawdziwe bestie. Podobnie zresztą jak wierzchowce, na których dumnie siedzieli. Były dużo większe od zwyczajnych koni, miały pofalowane grzbiety i grube ogony, którymi machały na wszystkie strony. Z rdzawych pysków kapały im potoki śliny, a wokół roztaczał się zapach skisłego mleka. Jeźdźcy ruszyli w zbitej gromadzie. Z początku powoli, niemal dostojnie, lecz z każdą chwilą gnali coraz szybciej. Wprost ku rozrzedzonym szeregom Pięciu Księstw.

Nad ziemią wzmógł się wiatr. Przeważające na sztandarach błyskawice zafalowały nad głowami walczących. Bolesław ciął kolejnego wroga i zaraz potem obrał nowy cel. Grupka magów ruszyła do przodu. Wielki Książę zagryzł wargi.

Pierwsi ludzie południa dotarli do celu. Ich olbrzymie topory zakreśliły się w powietrzu i zaczęły spadać raz po razie na pogańskie głowy. Magowie zatrzymali się kilkaset kroków dalej. Z ich rąk po raz wtóry wystrzeliło pięć niewidocznych dla większości świetlistych kul. Słońce schowało się za chmury, jakby nie chciało dłużej oglądać porażki rycerstwa Pięciu Księstw. Olbrzymi topór zawisł nad głową Bolesława i z całą mocą runął na niego. Młody książę w ostatniej chwili zdołał odskoczyć. W tym samym momencie ujrzał pędzące nad jego głową magiczne pociski. W jednej chwili uwolnił iskrę magii, chcąc je zatrzymać, lecz w tym samym momencie poczuł silne uderzenie w kark. Odwrócił głowę i ujrzał wpatrujące się w niego ślepiec bestii. Drugi cios trafił go w plecy i zwałił z konia. Jaskrawe światło rozbłysło mu przed oczyma, powodując przejmujący ból w skroniach. Poczuł kolejne uderzenie i nagle ujrzał najgłębszą ciemność, jakiej nawet nie mógłby sobie wyobrazić.

Wokół zaległa przejmująca cisza.

W tej samej chwili jeden z magicznych pocisków dosięgnął jego ojca, Wielkiego Księcia Ziemi Warszuckiej. Władca poczuł dotkliwy ból w okolicy brzucha, tak jakby ktoś wbił w niego rozżarzony pręt. Ból narastał, zabierając mu oddech. Jego oczy zaszyły bielą, a w kącikach ust pojawiła się krew. Nawet Pani Śmierć z szacunkiem skłoniła przed nim głowę, nim złożyła na tłustych ustach zimny pocałunek. Ostatni pocałunek w długim życiu wielkiego władcy.

Waga zwycięstwa z brzdękiem opadła, pogrążając armię Pięciu Księstw w niebycie. Jej żołnierze zamarli z przerażenia, padając pod ciosami wrogów. Po chwili na placu pozostali tylko martwi i konający.

I nagle... nie było żadnego nagle. Już nie. Nie stało się nic, co by mogło jeszcze przechylić szalę zwycięstwa. Żadne przełomowe wydarzenie, które poeci opiewaliby po wsze czasy. Nic. Zero. Pustka.

Nie zstąpił żaden anioł z gorejącym mieczem, nie pojawiła się żadna armia, nie pojawił się nawet jeden dzielny mąż. Wręcz przeciwnie. Ci, co jeszcze żyli, pierzchali we wszystkie strony, byle jak najdalej od krwawych równin. Bogowie nie zstąpili na ziemię, by obronić swój lud przed niechybną klęską. Nic z tych rzeczy.

Bitwa dobiegła końca, a wraz z nią nadzieja na szczęśliwe życie.

Epilog

Wewnątrz panował nieznośny gorąc. Parne i suche powietrze potęgowało katusze leżącego mężczyzny. Już nie spał. Wodził dookoła otwartymi oczyma i zastanawiał się, skąd zna to miejsce. Chciał wstać, lecz każdy ruch jego ciała łączył się z niewyobrażalnym bólem. Wychudzoną ręką dotknął okolic brzucha i poczuł pod cienkim prześcieradłem grubą warstwę bandażu.

Chyba żyję - pomyślał, choć ta świadomość nie poprawiła mu humoru.

Bolesne wspomnienia zaczęły napływać do jego mózgu, powodując, że po zarośniętym policzku spłynęła ciepła łza.

Wokół panowała niezmacona cisza. Jakże inna od szalejącej pożogi, która rozgorzała po wielkiej bitwie w innych zakątkach niegdysiejszych Pięciu Księstw. Świątynie starych bóstw stały w płomieniach wraz z ich kapłanami i każdym, kto nie pokłonił się przed Szymonem Magiem. Jego wyznawcy wprowadzali nowe, krwawe rządy. Gdziekolwiek wybuchały ogniska oporu, lecz były one tępione z całą bezwzględnością. Świat starych bogów umarł.

W pewnej chwili drzwi niewielkiej komnaty otworzyły się, a w progu stanęła piękna niewiasta. Bolesław poznał ją od razu. Zimny pot oblał ciało młodzieńca. Wolałby się spotkać z samą Panią Śmiercią niż z tą na pozór delikatną, filigranową blondynką o twarzy anioła, a duszy diabła. Piękna Pani, nieświadoma strachu, jaki jej widok spowodował u rannego, uśmiechnęła się do niego, ukazując dwa

rzędy idealnie białych zębów. Podeszła do księcia, zmysłowo kołysząc biodrami, i przysiadła na drewnianym krześle. Jej delikatna dłoń odgarnęła niesforny kosmyk, przysłaniający prawe oko młodzieńca. Ten zacisnął zęby i przełknął zalegającą w ustach porcję śliny.

- Cieszę się, że się obudziłeś, książę - odezwała się Erzsébe śpiewnym głosem. Padające przez odsłonięte okno słońce spoczęło na jej twarzy i podkreśliło jej niewątpliwą urodę. Ten widok nie poruszył jednak Bolesława.

- Co ja tu robię? - spytał słabym, przeżartym przez chorobę głosem.

- Moi żołnierze znaleźli cię rannego na placu boju. Byłeś ledwie żyw. Myślałam, że umrzesz, jednak, jak widać, bogowie mają specjalne plany względem ciebie. - Blondynka zamilkła na chwilę, po czym zwilżyła spierzchnięte usta młodzieńca wilgotną szmatką. Była w tym ruchu niezwykła czułość, tak niepasująca do okrutnej władczyni. - Spałeś jak zabity przez trzy tygodnie, lecz te...

- A bitwa... jak się skończyła? - wszedł jej w słowo Bolesław.

Księżna spojrzała na niego smutnym wzrokiem.

- Powiedzieć, że przegraliśmy, to za mało. Doznaliśmy sromotnej klęski. Wszyscy nie żyją - twój ociec, książę Olkmund, Vrongrund Kaleki. Wszyscy. Nasze armie uległy rozbiciu, a reszta żołnierzy kryje się po lasach niczym szczury. Część z nich dotarła tutaj, bo to jedyne miejsce, które nie jest pod panowaniem tych morderców. Każdego dnia napływają nowi. Coraz trudniej ich wykarmić.

Kolejna łza pociekła po policzku młodego księcia.

- Symonici i nas próbowali podbić - kontynuowała Erzsébe. - Lecz im się nie udało. Zamek leży w trudnym do zdobycia miejscu, a oni ponieśli ogromne straty podczas bitwy na Równinach Szeptu. Mają także własne problemy. Doszły mnie wieści, że w ich dalekich prowincjach wybuchł bunt, który się coraz bardziej rozprzestrzenia. Dlatego mamy trochę czasu, nim ponownie skierują przeciw nam swe szpony.

- Niewielkie to pocieszenie - skwitował Bolesław, którego wrodzony optymizm stopniał niczym garnek śniegu pod wpływem ognia. - Co zamierzasz ze mną zrobić?

Filigranowa blondynka spojrzała na niego maślanym wzrokiem i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nic. Jesteś moim gościem, książę. Możesz odejść, kiedy tylko chcesz, choć w twoim stanie to niewskazane. Poza tym... nie bardzo masz dokąd iść. Wiedz jednak, że to, co kiedyś było między nami, to przeszłość. Teraz jest nowa era. Zapomnijmy o starych ranach. Musimy trzymać się razem albo nie przetrwamy w tym nowym, okropnym świecie.

Bolesław zamyślił się. Nie ufał tej przewrotnej dziwce, która tyle złego uczyniła w swoim życiu. Tylko... czy miał jakiś wybór? Jego ojciec nie żył, miasto było w ruinach, kraj płonął w ogniu miłosierdzia, a on sam ledwo dychał. Ze zgrozą uświadomił sobie, że nie ma dokąd wracać. Jest wodzem bez wojska, księciem bez księstwa, człowiekiem bez nadziei.

- Połączmy nasze siły i razem stawmy opór wrogowi. Nie daruję im, że przez tyle lat mną manipulowali. Zniszczyli moje życie. Zniszczyli życie nas wszystkich - zapaliła się Erzsébe. - Wiem, że możesz uważać mnie za wcielonego diabła, lecz prawda ma zawsze dwa oblicza. Zresztą teraz to wszystko jest nieważne. Musimy zapomnieć o przeszłości, zagoić stare rany i razem, ramię w ramię, walczyć o przetrwanie. Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni, książę. Ty i ja.

Bolesław nie odpowiedział. Zamknął oczy i zapadł w długą, niespokojną drzemkę. Śnił o beztroskich czasach, gdy wraz ze swymi kompanami włóczył się po knajpach i zamtuzach. Czasach miłości, pokoju i starych bogów.

Koniec

Aneks

Spis ważniejszych postaci:

Ziemia Warszzycka

Jarogniew Stateczny - Książę Ziemi Warszzyckiej. Herb - skrzydlata postać mężczyzny o nogach byka i lwim ogonie uzbrojona w tarczę i miecz

Bolesław - syn Jarogniewa, następca tronu

Wielka Rada:

Baw Oqrth - starzec, mędrzec, nauczyciel Bolesława

Chociemir Slava - dowódca Gwardii Książęcej

Sulimir - Pierwszy Wśród Szpiegów

Algurgsis al-Birun - Pierwszy Wśród Medyków

Argomił Ocki - Pierwszy Wśród Znaczców Prawa

Mysłav Bystry - Pierwszy Wśród Budowniczych

Drogomor Grodny - Pierwszy Wśród Dyplomatów

Gościwuj Ręcki - Nadworny Skarbnik

Pierwszy Wśród Wróżbitów

Dalibor Sieciech

Znamir Zbytny

Dobromiła - żona księcia

Berorg - przyjaciel Bolesława

Lingwen - przyjaciel Bolesława

Drazdan - ochroniarz Bolesława

Jarnasz - mąż siostry Wielkiego Księcia, wuj Bolesława. Stacjonuje w zamku w Czerdzińsku

Żdan - kapitan

Ciszpirz - sierżant

Bliznobór, Sulisz, Bugwald, Szczurza Twarz, Broniwuj - żołnierze

Melkuloz Merkoz Mergongez - medyk z zamku w Czerdzińsku

Magyoran

Lady Erzsébe (Piękna Pani, Mroczna Pani) - władczyni Magyoranu

Iwan - zaufany Lady Erzsébe, dowódca rękodajnych

Dravko - rękodajny Lady Erzsébe

Garvulla (niegdyś Esterralda) - wiedźma i powierniczka Lady Erzsébe

Volko (chudzielec) - chłop służący na zamku Lady Erzsébe, brat Orana

Oran (grubas) - chłop służący na zamku Lady Erzsébe, brat Volko

Etela - dziewczka kuchenna na zamku Lady Erzsébe, siostra Volko i Orana

Timra (naga dziewczynka z obrozą) - osobista suczka Erzsébe

Malik - dziesięcioletni chłopiec

Kazmer - zmarły mąż Lady Erzsébe

Iszlo Koztuntz - wuj Lady Erzsébe

Kriglandastan

Olmund Staloręki - książę. Herb - trójgłowy orzeł trzymający w pysku królewską koronę, jabłko i strzałę

Rajmund – syn księcia (w rzeczywistości owoc zdrady jego żony)

Ichnuzja

Vrongrund Kaleki – książę

Domagoj – giermek księcia

Breslang

Brurgrund Moźnowładca – książę

Hamil al-Kataraj – doradca księcia

Symonici

Eutychanus I Bogobojny – cesarz, Władca Świata

Rosmund Nadsak – Wielki Mistrz Zakonu Najświętszego Serca

Szymona Maga

Kwizdyń Gładkolicy – seneszał, rodzony brat Wielkiego Mistrza

Baziliskus – Wielki Kapłan

Ligon/Morgnus – członek zakonu działający w mieście Horkas, szpieg
i zdrajca

Hunold – zręczliwy zakonnik

Dybort – młody zakonnik

Switun – zakonnik

Adelina – siostra zakonna, szpieg w Kiraniu

Yves – brat zakonny (wuj Adeliny)

Brat Kritz – człowiek Kwizdynia, szpieg

Nighurd Qatz – niezrównany Mistrz Zadawania Bólu i Cierpienia

Kuno i Bruno – uczniowie Nighurda Qatza, bliźniacy

Cień – wojownik

Inni

Szymon Mag (Simon Magnus, Szymon z Gitty) – Bóg Jedyny (Elohim)
wcielony w ludzką postać, postać autentyczna
Helena – wcielona w ludzką postać myśl boska (Enoida), ziemska
towarzyszka życia Szymona, uwolniona przez niego z domu
rozkoszy
Achud – jeniec z Arkandy, skazany na bycie mankrutem
Saliha/Zafira – dziewczynka z Arkandy
Masmar – zmarły brat Salihy, setnik, przyjaciel Achuda
Cyryl Pustelnik – pustelnik
Król Machud III – władca zdobytego przez symonitów miasta Arkanda
Król Xergos XV – władca zdobytego przez symonitów miasta Horkas
Boipello – czarnoskóry syn wodza jednego z plemion Archipelagu
Kamienego Wdechu
Zuri – czarnoskóra dziewczynka z Archipelagu Kamienego Wdechu
Belina – narzeczona Boipello, miejscowa piękność
Futuraha – brat Zuri
Nkosazana – żona Futurahy
Abazi – handlarz niewolnikami

